

Lewis Susan

Kobiety z klasą

Cztery przyjaciółki mają wszystko - klasę, sukcesy zawodowe, pieniądze, ale też i sekrety, które jakże łatwo mogłyby zniszczyć im życie. Są piękne i niezależne, inteligentne i wyrafiowane, a nade wszystko nierozłączne... dopóki życie prywatne nie zacznie ich dzielić. W walce o jedyne nie spełnione marzenie - o prawdziwie romantycznej miłości - pękają wieloletnie więzy, namiętność przeradza się w zdradę, a błyskotliwy sukces szybko traci blask.

Bo w noc miłości, zdrady i zbrodni nawet przyjaźń zawodzi.

„Nieco wcześniej rzecznik policji potwierdził, że rozpoczęto zakrojone na wielką skalę poszukiwania zabójcy. Jak dotąd nie ma dowodów pozwalających ustalić motyw tej; zbrodni, a policja zwraca się do wszystkich osób, które znajdowały się wówczas w pobliżu i mogły dostrzec lub usłyszeć coś podejrzanego, aby zgłaszały się...” - Głos spikera czytającego wiadomości dobiegał przez otwarte drzwi budynku. Zacisnęła powieki, próbując nie słuchać. Nie chciała myśleć o morderstwie. Nie teraz. Trzymając się poręczy, posuwała się dalej w górę po schodach. Udawała przed sobą, że nie czuje strachu ściskającego jej serce.

Wreszcie dotarła do drzwi u szczytu schodów. Zawahała się przez przez chwile, nie wiedząc, co robić. Rozejrzała się po pustym korytarzu - "Nie Wyglądał zachęcająco. Podskoczyła, kiedy wewnątrz mieszkania rozległ się dzwonek telefonu. Wsłuchiwała się w przeciągłe sygnały. Nikt nie podnosił słuchawki. Dzwonek umilkł równocześnie z trzaśnięciem drzwi na dole.

Wolno uniosła rękę i zapukała. Głuchy odgłos odbił się echem o ściany korytarza.

Jeszcze raz się rozejrzała. Była zupełnie sama. Sięgnęła do torebki po klucz. Wsuwając go do zamka, czuła łomotanie serca. Myślała tylko o jednym - uciec stąd.

Drzwi otwarły się z cichym szcęknięciem. Weszła do środka. Mimo słonecznej pogody panującej na zewnątrz, mieszkanie było pogrążone w mroku. Wszystkie zasłony były zaciągnięte.

Zawołała głośno, ale nikt się nie odezwał.

Przesuwając się wzdłuż ściany holu, doszła do drzwi sypialni. Nacisnęła klamkę, a uświadomiwszy sobie, że własna ostrożność tylko zwiększa jej zdenerwowanie, pchnęła drzwi i znalazła się w środku. Pokój był pusty.

Przełknęła z wysiłkiem, ślinę i rozejrzała się po sypialni. Tutaj również story były zasunięte.

Wycofała się z powrotem do holu. Jeszcze kilka kroków i dotarła do kuchni. Powtórzyła wołanie, ale tym razem także nie było odzewu.

Z parapetu otwartego okna nagle zeskoczył kot, lądując na podłodze u jej stóp,

Wstrzymując oddech i próbując zapanować nad gwałtownym trzepotaniem serca, schyliła się, by go pogłaskać.

Znowu rozdzwonił się telefon, więc przeszła do salonu, aby go odebrać. Po drodze odstawiła kota na krzesło.

Nagle pozbawiona strachu, ponieważ dzwoniący telefon dał jej poczucie obecności drugiej osoby, zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi.

Krzyknęła... Krzyczała i krzyczała, a telefon wciąż dzwonił i dzwonił...

Rozdział I

Katherine Całloway! Powiedz to jeszcze raz! - pisnęła Ellamarie.

- Nie mam siły, już to słyszałyście - broniła się Kate. Śmiała się, ale wyraz jej oczu zdradzał niepewność.

Ellamarie zwróciła się do Jeimeen, jakby od niej oczekiwała powtórzenia opowieści, ta jednak wyszczerzyła tylko zęby w uśmiechu i wzruszyła ramionami.

Chyba mnie nie nabierasz, Kate, co? - spytała Ellamartę przyglądając się nieufnie przyjaciółce. Kate zaprzeczyła ruchem głowy i dołała wina do kieliszków.

- Czy on...? No nie... nie chce mi się wierzyć. Mówimy przecież o Stephenie Frenchu. O tym właśnie Stephenie Frenchu. .

-Zgadza się.

- Kate, ale on jest zabójczy.

Kate z uśmiechem odchyliła się na oparcie fotela i zaczęła uważnie oglądać swoje paznokcie.

- O tak, on też tak uważa.

Ellamarie znowu skierowała wzrok na Jenneen.

- Ta kobieta nie była z facetem w łóżku od ponad roku, a teraz dała kosza samemu Stephenowi Frenchowi.

Nie siedź tak, przemów jej do rozumu. Powiedz coś.

Niby co? - spytała Jenneen.

- Nie wiem. Cokolwiek. Słuchaj, nie rozumiem - ciągnęła Ellmarie, zwracając się znowu do Kate - dlaczego to zrobiłaś? Pomijając wszystko inne, po tak długim czasie musisz przecież być strasznie napalona na te rzeczy. Wyobrażam sobie, ile baterii musiałaś zużyć do tego czasu.

Kate parsknęła śmiechem.

- Jak możesz się z tego śmiać? - zgorszyła się Ellamarie.

- Wcale się nie śmieję. Właściwie śmieję się, ale to nie znaczy, że się poddaję.

- Według mnie - odezwała się Jenneen sięgając po nadziewaną oliwkę - to może być powód do dumy. Jak sądzicie, czy jest możliwe, żeby po pewnym czasie, no wiecie, tamto miejsce znowu zarosło? Wtedy mogłabyś być dziewczicą w noc poślubną, Kate. Dziewicą z niezłym doświadczeniem. Czyż to nie byłby sukces? Jenneen! Mogłabyś się nie wygłupiać? Musimy jej znaleźć faceta. I to szybko. Cholera, jeśli to potrwa jeszcze jakiś czas, gotowa ztzczać dobierać się do psa.

- Nie bądź wulgarna, Ellamarie— roześmiała się Kate. - Zresztą, ja nie mam psa.

- Swoją drogą łatwiej o psa niż o mężczyznę - zamyśliła się Jenneen. - No i łatwiej wytresować.

- Przestańcie! Powiedziałam tylko, że nie poszłam do łóżka ze

Stephenem Frenchem, a wy od razu chcecie mnie skojarzyć z jakimś pudłem.

- Myślałam raczej o czymś wielkości niemieckiego doga - sprostowała z uśmiechem Jenneen.

- Och, zamknij się. Żałuję, że w ogóle wam powiedziałam.

- Jakie to uczucie? - spytała Ellamarie. - Mam na myśli, jak to jest dać kosza komuś takiemu jak Stephen French? Cholera! Co ja bym dała, żeby zobaczyć jego minę.

- O jakie uczucie ci chodzi? Tu nie ma co czuć.

- No tak, z pewnością. Ale powiedz, Kate, nie marzy ci się czasami jakaś erekcja?

Kate rzuciła w nią poduszką.

- Powiedziałam, przestań!

- Hej! - krzyknęła zniecierpliwiona Jenneen. - Mam.

- Nie widać. - Ellamarie utkwiała wzrok w dolnej części jej łona.

- No nie, mam kogoś z erekcją.

- Ciągłą? - zainteresowała się Kate.

- Tego nie wiem, ale z całą pewnością miał ją dzisiaj podczas lunchu. Miałam zamiar zachować go dla siebie. Ale teraz, skoro wiem, że jesteś w większej potrzebie niż ja... Niech nikt nie mówi, że nie umiem się poświęcać dla przyjaciół.

- Kto to jest? Czy może raczej powinnam spytać: jaki rozmiar? - włączyła się Ellamarie.

Teraz już wszystkie zaczęły się skrecać ze śmiechu. Wreszcie Jenneen zdołała im powiedzieć o Joelu Martinie, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności, jako że Kate pisała powieść, okazał się jednym z najbardziej wziętych londyńskich agentów literackich. Jenneen gościła go w swoim cotygodniowym programie telewizyjnym, gdzie wystąpił wspólnie z Dianą Kelsey jako bohater jednego z serii wywiadów z agentami i ich klientami.

- Wnoszę, że moja oddana publiczność znowu przegapiła mój program - zakończyła.

- To dlatego, że jest nadawany w takim czasie - usprawiedliwiła się Kate. - Prawie zawsze jestem poza domem... Hej, poczekajcie!

Co ja mówię? Nagrałam go. No i co teraz powiesz o mojej lojalności? Zadowolona? - Podbiegła do magnetowidu. - Miejmy nadzieję, że nie pomyliłam kanału. To by mi się zdarzyło pierwszy raz. Wcisnęła guzik przewijania i usadowiła się na podłodze. - Otwiadczałam wam, że oglądałam to tylko po to, żeby na własne oczy zobaczyć tę erekcję. Nic poza tym. Żadnych randek w ciemno.

- Ale ta nie będzie w ciemno - sprostowała Jenneen, - Przecież go zobaczysz.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kate rzuciła okiem na zegarek.

- To może być albo pani Adams z góry, żeby coś pożyczyć, albo Ashley.

- Nie wiem, jak ty wytrzymujesz z tą staruszką - zdziwiła się Jenneen, kiedy Ellamarie wstała, by otworzyć drzwi. - Czy ona w ogóle sama cokolwiek kupuje?

- Raczej niewiele - przyznała Kate. - Ale nie jest taka najgorsza.

Ellamarie otworzyła drzwi i z ulgą dostrzegła stojącą na progu Ashley, z ciemnymi włosami przyklejonymi do głowy i wysoko podniesionym kołnierzem. - Czyżby padało? - spytała.

Ashley skrzywiła się, strząsnęła parasol i wetknęła go jej do ręki.

- Jak poszło?

- Nie mnie o to pytaj. - Ashley wydobywała się z mokrego płaszcza. - Nie mogłam się na niczym skupić.

- Był tam Julian?

- Nie, on jest w Paryżu. Giles Creddesly prowadził zebranie. I zadzierał nosa. Jezu, on jest okropny!

- Dostałaś już odpowiedź?

- Z Newslin? Jutro.

- Co Giles sądził o prezentacji?

- Myślę, że mu się podobała, ale przecież znasz go. Jeśli coś nie jest jego własnym pomysłem, to nie może być dobre. Zresztą, nie zależy mi na tym. Bardziej się martwię, co powie Julian, jeśli stracimy kontrakt

- Nie stracie - zapewniła z przekonaniem Ellamarie. - No, chodź do środka. Zaraz będziemy oglądać film porno.

-Co?!

- Faceta z erekcją. Dla Kate. -

- Nie dla mnie - sprzeciwiła się Kate. - Cześć, Ashley, jak poszło?

- Wolałabym najpierw dostać kieliszek wina i rzucić okiem na to porno - odparła. - Ale myślę, że poszło nieźle.

- No dobrze, uwaga wszyscy! - wykrzyknęła Jenneen. - Szykujcie się, oto przyszedł pan Calloway.

Przez chwilę w milczeniu patrzyły na ekran, aż Ashley wybuchnęła śmiechem.

- O co chodzi? - zainteresowała się Jenneen.

- On przemawia cytatami.

- To świadczy o odczytaniu. No cóż - Jenneen zwróciła się do Kate - jak ci się widzi? Jak już wspominałam, miałam zamiar zostawić go sobie, ale zważywszy na okoliczności, doszłam do wniosku, że ty go lepiej wykorzystasz.

- Jakie okoliczności? - zdziwiła się Ashley.

Jenneen wtajemniczyła ją w szczegóły randki Kate ze Stephenem

Frenchem. ,

- Wydawało mi się, że ta książka, którą piszesz, miała być o przygodach opętanej seksem dziennikarki - powiedziała Ashley, patrząc na Kate.

- W końcu ma się wyobraźnię.

- Ale czymś tę wyobraźnię trzeba karmić - wtrąciła Ellamarie.

- Jak dotąd, nie głodowała. - Wykręciła szyję, by spojrzeć w twarz Jenneen. - Uważam, że jest cudowny. Jak on się nazywa, przypomnij mi.

- Joel. Joel Martin.

- Jest dobrym agentem?

- A kogo to obchodzi? O, przepraszam, ciebie obchodzi. No więc tak, przynajmniej on tak twierdzi. Ta pisarka, która z nim występowała, też nie mogła się go nachwalić.
- Kiedy możesz go tu ściągnąć?
- Noo, skoro ci nie zależy, to zapomnijmy o całej sprawie.
- Jenneen! Czasami..

- No dobrze. Zostaw to mnie.
 - Wyjdziemy coś zjeść? - Ashley spojrzała na zegarek. – Umieram z głodu.
 - Zaraz będzie jedzenie – pocieszyła ją Kate. – Pogoda jest okropna, więc postanowiłam coś upichcić, żebyśmy nie musiały wychodzić. Wyszła do kuchni, a reszta pograżyła się w lekkiej, bez troskiej paplaninie, będącej stałym punktem programu ich wspólnie spędzanych wieczorów. Nazywały swoje spotkania „konferencjami w Barnes, nawiązując do czasów, kiedy jako dwudziestoparoletnie dziewczyny wynajmowały razem dom w Barnes. Teraz miały po trzydzieści parę lat, każda z nich zbliżała się do szczytu swojej kariery, a więzy łączące ich przyjaźni pozostały tak samo silne jak przed laty. W przypiływie filozoficznej zadumy Jenneen stwierdziła, że wszystkie cztery związały swój los z Londynem lat osiemdziesiątych, wszystkie osiągnęły sukces, są zdolne do miłości dokładnie tak samo, jak kiedyś ich matki i babki, ale muszą się zmagać z wyzwaniem, jakie przyniosły ze sobą rewolucja seksualna, równouprawnienie i lata ażeścdziesiąte. No i z uprzedzeniami.
- Kate otworzyła drzwiczki kuchenki mikrofalowej, wstawiła potrawę i zerknęła na swe odbicie w lustrze. Potrząsnęła głową; świeżo zakręcone loki opadły miękko wokół twarzy. Szkoda, że Stephen French okazał się takim nudziarzem - perspektywa spotkań z młodym zdolnym maklerem wyglądała obiecująco. Słyszając śmiech Ellamarie, wsunęła głowę do pokoju i spytała o powód rozbawienia.
- To Jenneen. - Ellamarie z trudem chwytając oddech pokładając się ze śmiechu i ocierając łzy.- Znowu jest obsceniczna.
 - Ja? - oburzyła się oskarżona. A skądże znowu - zakpiła Ashley.
- Zostawiając drzwi otwarte, Kate zaczęła nakrywać do stołu.
- Oj, właśnie sobie przypomniałam! Ellamarie, czy jest szansa na dwie dodatkowe wejściówki, na premierę?
 - Zobaczę, co się da zrobić. Ale myślałam, że przyjdziecie wszyscy na drugie przedstawienie.

- Zgadza się - powiedziała Kate wnosząc tacę z posiłkiem. - Ale tatuś ma ochotę się wybrać. Mama wraca na tydzień do domu, więc ojciec pomyślał, że zrobi jej tym przyjemność. O ile ona się, zgodzi. - Matka Kate przebywała w domu opieki, od czasu gdy brat Kate trzy lata temu zginął w wypadku. Pani Calloway nie potrafiła pogodzić się ze śmiercią syna i w końcu stało się konieczne wysłanie jej gdzieś, gdzie mogła znaleźć właściwą opiekę.
- Jak idą próby, Ellamarie? - spytała Ashley.
- Nieźle. Ale dość wolno.
- A jak tam Bob?
- Jest zachwycony.
- A gdzie się dzisiaj podziewa?
- Tam gdzie zawsze w piątek wieczorem. W domu z żoną, Ashley zrobiła współczującą minę.
- Nie wiem, jak ty to znosisz, Ellamarie.
- Sama nie wiem, ale co zrobić. Mam go przez cztery wieczory w tygodniu, a jak mam szczęście, to nawet pięć. Zobaczcie, co dzisiaj od niego dostałam. - Wyciągnęła rękę demonstrując cienką złotą bransoletkę, którą Bob wsunął jej na nadgarstek przed wyjściem z sali prób. Twarz Ellamarie promieniała, piegi na arystokratycznym nosku dodawały jej blasku. Przyjaciółki wydawały stosowne okrzyki zachwyty. - No i czy on nie jest cudowny? - westchnęła. - Powiedział, że to nagroda za to, że pamiętałam cały tekst. A trzeba przyznać, że nie można tego powiedzieć o Maureen Woodley.
- Ona zdaje się gra Violę? - spytała Kate, przelękając porcję lasagnii. Ellamarie przytaknęła.
- A wiecie dlaczego? Bo ona z figury przypomina wiolonczelę.
- Och, Ellamarie, daj spokój! - niemal zakrzuszyła się Ashley.
- Serio. Musi mieć co najmniej setkę w biodrach, a ta jej szyja, Jezu, widziałyście jej szyję? Mogłaby konkurować z żyrafą.
- Czasami potrafisz być zmiłą - zaśmiała się Jenneen.
- Nie taką jak ona. Miałam ochotę zabić Boba za to, że dał jej tę rolę. A ona ciągle kłuje mnie tym w oczy.

- Przecież wiesz, dlaczego nie dał jej tobie - przypomniła Kate.
 - Wiem, wiem. Ale to mi wcale nie pomaga. - Zaczęła przedrzeźniać Boba: - powoli, bez pośpiechu. Wszystko w swoim czasie. Nie należy się spieszyć. W końcu osiągniesz to, co chcesz". - Albo dowolny wariant tego tekstu. Słyszałam wszystkie możliwe. Zresztą, rola Marii nie jest przecież taka najgorsza - dodała niechętnie. - No, ale dość już o mnie. Co słychać u ciebie, Ashley Mayne?
 - U mnie?
 - Nie udawaj niewiniątka. Czy masz zamiar powiedzieć wielkiemu Julianowi Arbrey-Nelmes o gorącej namiętności rozpalającej ci serce, a jeśli tak, to kiedy?
- Ashley oblała się rumieńcem; poczuła, że coś ją ściska w środku.
- Chyba tak - odpowiedziała.
 - Chyba! Musisz mu powiedzieć:
 - Łatwo ci to mówić, bo to nie o ciebie chodzi.
- Gdybyś to zrobiła wcześniej, teraz byś się tak nie męczyła. Zresztą nie wiem, czego się obawiasz, przecież ten facet za tobą szaleje.
- Miło mi to słyszeć - powiedziała Ashley z uśmiechem. Ale nie ode mnie. Niech on ci to mówi.
 - Kiedy wraca Blanche? - spytała Jenneen. Uśmiech zniknął z twarzy Ashley.
 - W środę - odparła.
- Ellamarie machnęła widelcem w powietrzu.
- Nie przejmuj się nią. Gdyby Julian naprawdę miał zamiar się z nią ożenić, już by to zrobił do tej pory. On chce ciebie, ale ty się zgrywasz na niedostępną.
 - Nie wiem, czy można uchodzić za niedostępną, jeśli się spędza razem pięć nocy w tygodniu - zauważyła Kate.
 - Dobrze wiesz, o co mi chodzi - nie dawała za wygraną Ellamarie. - Spójrz na to od tej strony - ciągnęła, dolewając sobie wina - ile lat ma w tej chwili Alex? Siedem? Tak, siedem. Lepiej się związać, zanim będzie zbyt duży. - Mówiła o synu Ashley, jedynej cennej pozostałości nieudanego wczesnego małżeństwa.

- Albo zanim ja będę za stara - sprostowała Ashley.
- Przecież Julian go uwielbia, więc w czym problem?
- W Blanche.
- Głupoty gadasz. Wyjechała na ponad dwa lata. Gdyby ją kochał, toby do tego nie dopuścił. A zgodził się na to, bo ma ciebie. I to ciebie chce, nie jej. Wykorzystaj właściwy moment. Będziesz się z nim widziała jutro wieczorem, prawda?

Ashley skinęła potakująco.

- No to mu powiedz. Zareczam ci, że to będzie najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki kiedykolwiek dostał.
 - A potem będzie ślub - rozmarzyła się Kate. - Boże, ód wieków nie byłam na żadnym ślubie. Jak myślisz, Ash, kiedy się pobierzecie?
 - Może na Wielkanoc. - Ashley na chwilę poddała się nastrojowi.
 - Kochanie, po co tyle zwlekać?
 - Może na Świętego Walentego? - podrzuciła Jenneen.
 - Nie, zostajemy przy Wielkanocy. Więcej szans na ładną pogodę.
 - Ile będzie druhen? - zapaliła się Ellamarie.
 - Och, czyż to nie cudowne - westchnęła z rozrzewnieniem Kate. - W co się ubierzesz?
 - Przestańcie - oprzytomniała nagle Ashley. - Gdyby on nas teraz słyszał, uciekłby, gdzie pieprz rośnie.
- Ellamarie nie odezwała się słowem, ale jej spojrzenie było niezwykle wymowne. Ashley wyczytała w nim radę, by skończyć z tym pesymizmem, i pożałowała, iż nie potrafi się do niej zastosować. Miała romans z Julianem Arbrey-Nelmesem, prezesem agencji reklamowej Frazier-Nelmes, w której od ponad roku piastowała odpowiedzialne kierownicze stanowisko, ale jak dotąd żadne z nich nie wyznało swoich uczuć, Ashley była; pewna, że Julianowi na niej zależy, może nawet było to coś więcej, lecz nigdy nie wyraził chęci zerwania swego długotrwałego związku z Blanche Wetherburn. Ashley nie chciała dać po sobie poznać obawy, iż jego ambicje wezmą górę nad porywem serca, ale wiedziała, że jest to bardzo prawdopodobne. Rzecz w tym, że dla Juliana Arbrey-Nelmesa Blanche stanowiła idealnie dobraną partię. Miała odpowiednie

pochodzenie, wychowanie i koneksje, wszystko, co było istotne dla mężczyzny o jego pozycji. Była nawet spokrewniona z Conradem Frazierem, amerykańskim współwłaścicielem firmy. Poza tym Blanche nie była Żydówką - Ashley starała się nie dopuszczać do siebie myśli, że akurat to może zaważyć na jego decyzji. Do końca wspólnego wieczoru przyjaciółki namówiły ją na zrobienie tego, co i tak by zrobiła, również bez ich perswazji. Ale w głębi serca żadna z nich nie chciała być na jej miejscu. Niełatwo było wyznawać miłość mężczyźnie, jeśli on pierwszy nie poruszył tego tematu. Takie podejście mogłd się wydawać staroświeckie, jednak każda z nich miała głęboko zakorzenione zasady dotyczące miłosnej strategii.

- Pomyślałam sobie - odezwała się przy wyjściu Ashley - że jeśli zdobędziemy jutro to zlecenie dla Newslink, to wszystko będzie dobrze. A jeśli nie...
- Ach ty, z tymi swoimi głupimi przesadami - rozgniewała się Kate. - Masz szczęśliwą rękę. Zdobędziecie, zobaczysz. Zdobędziesz jedno i drugie.

Rozdział 2

To był zwariowany dzień. Miała wrażenie, że ludzie pracujący w reklamie nic słyszeli o czymś takim jak weekend Telefon Ashley wręcz się urywał, wszyscy chcieli mieć wszystko gotowe już nie na wczoraj, lecz na zeszły tydzień. Wreszcie tuż po trzeciej wyrwała się z biura, mówiąc swojej twórczej załodze, żeby radziła sobie bez niej, i pojechała do Surrey pobyć godzinę

Ledwie zdążyła z powrotem do Londynu i to tylko dzięki temu, że ojciec ją podwiózł, żeby przejażdżką sprawić przyjemność wnukowi.

Matka została w domu i przygotowywała wieczorny posiłek. Były mąż Ashley ze swoją rodziną miał być dziś u nich na kolacji, jak zwykle w sobotę.

Julian przyjechał po nią do jej mieszkania przy Onslow Square parę minut po ósmej. Przez cały dzień Ashley była kłębkim nerwów z powodu tego, co ją czekało, a teraz, gdy kelner prowadził ich do stolika, wcale nie czuła się lepiej. Julian uklonił się z daleka starszemu mężczyźnie siedzącemu w rogu sali, a Ashley dołączyła się do pozdrowień i pomachała ręką. Właściwie żadne z nich nie znało tego człowieka, ale- ilekroć się tu pojawiali, on siedział na swoim miejscu, z serwetką pod brodą, zsuwającymi się z nosa okularami i wyrazem zadowolenia na uśmiechniętej twarzy.

Kelner podsunął jej krzesło. Siadając Ashley ze zdziwieniem zauważyła butelkę szampana chłodzącą się w kubelku na ich stoliku. Spojrzała na Juliana i zobaczyła, że się uśmiecha. To był jego sposób na wyrażenie pochwały i podziękowania. Między innymi za to go pokochała - za tę troskliwość i dbałość o formy.

Kelner otworzył butelkę. Julian poczekał, aż kieliszki zostaną napełnione, po czym spojrzał jej w oczy i powiedział po prostu:

- Za ciebie.

Ashley przełknęła dławiące ją w gardle wzruszenie, ze zdumieniem czując, że jest bliska łez, i podniosła kieliszek.

- A może raczej za nas?

Uśmiechnął się, sięgnął ponad stolikiem i ujął ją za rękę. Patrzyła na jego palce zaciskające się lekko na jej dłoni, porażona tym samym dreszczem, jakim jej ciało zawsze odpowiadało na jego dotyk.

Kiedy podniosła wzrok, dostrzegła, że przygląda jej się uważnie. Zapadła długa cisza, ale w jej wzroku mógł wyczytać wszystko, co miała mu do powiedzenia. Poczowała, że mocniej ściska jej rękę. Nagle na stoliku między nimi stanął koszyk z pieczywem i nastrój prysnął.

Julian rozsiadł się wygodnie na krześle.

- No - zaczął - ponieważ nie widziałem teczek z ostateczną wersją projektu, może mi powiesz, co planujesz dla tych z Newsmk. Nawiasem mówiąc, rozmawiałem dziś rano z Davidem Mackayem.

Był pod wrażeniem. Powiedział, że w żaden sposób nie mógł odrzucić twojej propozycji.

- Jasne, że nie mógł — zgodziła się. - Ta prezentacja kosztowała masę pracy.

- Jakbym tego nie wiedział. Ashley podniosła swój kieliszek.

- No więc, kiedy ty sobie latałeś tam i z powrotem nad Atlantykiem, a potem siedziałeś w Paryżu, my, szara siła robocza, pracowaliśmy nad tym tematem historycznym, o" którym ci już wspominałam. Rozumiesz, braliśmy każdy numer ich czasopisma, każdą gazetę, i wplataliśmy w fabularny wątek. Każde wydanie będzie miało osobną reklamówkę, ale podporządkowaną wspólnej myśli przewodniej, która ma dać firmie czytelny znak rozpoznawczy, a przy okazji ilustruje jej długą historię. Wiesz, o co mi chodziło: przedstawić ważne wydarzenia, o jakich pisali w ciągu tych dwustu lat, zabarwić to trochę humorem i przypieczętować dobrym sloganem reklamowym. Hilary wymyśliła kilka niezłych haseł, ale z tego, co wiem, David Mackay jeszcze się nie zdecydował, które z nich wybierze.

- Brzmi to nieźle - przyznał Julian, pochylając się nad stolikiem. Lubił słuchać jej pomysłów, zazwyczaj dobrych, a czasami wyjątkowo błyskotliwych. Często zaskakiwał go jej entuzjazm, choć zdawał sobie sprawę z tego, że kondycja i sukcesy firmy są dla niej prawie tak samo ważne jak dla niego i jego wspólnika.

Wkrótce pograżyli się w długiej rozmowie na temat zamówienia Newsłmk, wymyślali różne koncepcje; jedno od razu odrzucali, inne rozważali poważnie, a najczęściej rozśmieszali się nawzajem dowcipnymi uwagami. Kiedy wreszcie posiłek zjawiał się . na stole, rozluźnili się i postanowili na resztę wieczora zrezygnować z tematów zawodowych.

- Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie, Ash - wyszeptał Julian, kiedy kelner sprzątnął ze stolika i odszedł.

- Dziękuję. A więc podoba ci się to sukienka?

- Owszem,, ale jeszcze bardziej podoba mi się to, co jest w środku.

Serce zabiło jej żywiej. W jego głosie dźwięczały kpiarskie nutki, ale oczy pozostały poważne. Może właśnie teraz była odpowiednia chwila, żeby mu powiedzieć. Ale było już między nimi wiele takich momentów, kiedy wydawało jej się, że on chce powiedzieć coś więcej, a jednak nigdy tego nie zrobił. Obserwowała, jak rozlewa do kieliszków resztkę szampana i próbowała znaleźć odpowiednie słowa. Nie przychodziły jej do głowy, a poza tym opuściła ją odwaga,

- Skąd wzięłaś drzewko? - spytał, odchylając się wygodnie na oparcie krzesła.

Przez chwilę nie wiedziała, o co mu chodzi, ale zaraz zorientowała się, że pyta o choinkę, stojącą w jej mieszkaniu. - Kupiłam u Harrodsa - przyznała się, wiedząc, że go to rozbawi.

- U Harrodsa! - wykrzyknął. - Kupujesz choinki u Harrodsa?

- Tylko jedną - sprostowała- A dlaczego by nie?

- Sam nie wiem - zaśmiał się. - Czy reklamowali ją jako „drzewko dla najlepszych”?

- Naturalnie. „Drzewko dla najlepszych” dla dwojga najlepszych.

- Dla mnie i dla ciebie? - spytał. ? - Tak, dla mnie i dla ciebie.

- W takim razie, mogę spytać, dla kogo są te wszystkie prezenty?

- Dla ciebie.

- Dla mnie! Wszystkie dla mnie? Przytaknęła.

- Ale tam ich było co najmniej sześć.

Jeszcze raz skinęła potakująco, rozbawiona jego miną.

- Powinieneś się cieszyć. Miotalam się przez cały dzień, żeby to wszystko zorganizować. Z biura wyrwałam się dopiero po trzeciej. - Kupiłaś mi sześć prezentów? - Właściwie to siedem.

- Ale dlaczego?

- Bo taką miałam ochotę.

- Ale dlaczego, Ashley, dlaczego?

- Jesteś typowym mężczyzną - oświadczyła przesadnie modulowanym głosem. – Nie potrafisz przyjac prezentu, nie pytając dlaczego.

- Ale aż tylu?
- Nie mogłam się zdecydować, który wybrać.
- Czyż nie jesteś typową kobietą? - przedrzeźniał ją.
- Właściwie to kupiłam je chyba dlatego... - przerwała, gdy kelner nalewał im kawę - że pragnęłam, byśmy razem spędzili Boże Narodzenie. Wiesz, o co mi chodzi, żebyśmy razem odpakowywali prezenty.

Nie uszedł jej uwagi nagły cień w jego wzroku, mimo że pojawił się tylko na sekundę. Julian natychmiast rozpromienił się w uśmiechu.

- To brzmi cudownie.
- Naprawdę tak myślisz? - spytała z nagłą nieśmiałością, rozpaczliwie pragnąc, by to była prawda.
- Tak - zapewnił. - Ależ tak, naprawdę tak uważam.

Zaczęła się śmiać, gwałtownie przechodząc w stan euforii. - Wiesz, co jeszcze sobie pomyślałam? Pomyślałam, że mógłbyś mnie w ten dzień obudzić, podając szampana i wędzonego łososa. Mówiłeś, że właśnie to lubisz w Boże Narodzenie. Moglibyśmy zjeść śniadanie w łóżku, a potem rozpakowalibyśmy prezenty, zanim wzięłbyś się do gotowania lunchu.

- Ja miałbym gotować lunch?
- Tak, ty. Jesteś przecież mężczyzną wyzwolonym. Nie zapominaj, że obowiązuje równouprawnienie. . .
- Ach tak. Przyznaję, że czasami wylatuje mi to z pamięci. No dobrze, mów dalej. - Wyraźnie podobała mu się ta zabawa i cieszył go blask jej ciemnych oczu.
- No cóż, pomyślałam, że moglibyśmy zaprosić się nawzajem na lunch, no wiesz, żeby się z tego zrobiło przyjęcie z mnóstwem jedzenia i picia, a potem poszlibyśmy do łóżka, żeby się wyspać przed wieczornymi wizytami. - Jak dotąd plan mi się podoba, ale proszę o więcej szczegółów na temat popołudnia - wtrącił. - Wiesz, chodzi mi o to, co będzie przed tymi wizytami. Zamyśliła się na moment. - Jeszcze nie ustaliłam, co będzie nam się śniło. Jeśli o to ci chodzi.

- Niezupełnie. Chodzi mi o to, co będę robił przed zaśnięciem.
- Och, myślisz pewnie o zmywaniu? Wybuchnął śmiechem.
- Jesteś słodka. Zapadła cisza.
- Mówiłam poważnie - odezwała się. - Wiesz, że moglibyśmy mieć Wspaniałe święta razem.
- Tak, moglibyśmy.

Patrzyła mu w oczy czekając, by mówił dalej, ale on gestem wezwał kelnera z rachunkiem. Ashley spojrzała na zegarek. Jest jeszcze wcześnie.

- Wiem, ale pomyślałem sobie, że dobrze byłoby pójść do domu i przećwiczyć ten fragment pomiędzy zmywaniem a snami. Wiesz, żebyśmy byli gotowi przed Gwiazdką.

Kiedy wychodziła z restauracji, otoczona jego ramieniem, kręciło jej się w głowie od niewypowiedzianych słów. Kocham cię, kocham cię; kocham cię. Nie teraz. Poczekaj, aż znajdą się w domu, usiądą pod „drzewkiem dla najlepszych” i - wtedy mu powie. A on weźmie ją w ramiona i wyzna, że od dawna czekał, by usłyszeć od niej te słowa.

Jadąc samochodem trzymali się za ręce, ale nie rozmawiali. Od czasu do czasu Julian odwracał głowę, żeby na nią spojrzeć, lecz wyraz jego twarzy pozostawał nieprzenikniony. Rozmyślał o obrazie wymarzonych świąt, jaki mu przed chwilą odmalowała i o tym, jak bardzo chciałby spełnienia tych marzeń. Ale to była tylko zabawa, nic więcej, oboje wiedzieli, że nigdy tak nie będzie. Był jej wdzięczny za to, że nigdy nie mówi o swoich uczuciach do niego. Istniała między nimi niepisana umowa, że nie będą rozmawiać o tym, co do siebie czują, i Ashley ani razu jej nie złamała. Kochał ją za to i nie tylko za to. Chociaż może to by ułatwiło sprawę; Była przecież Blanche i choć nie zależało mu na niej tak jak na Ashley, kochał swoją narzeczoną i miał zamiar się z nią ożenić. Podporządkował swoje życie potrzebie sukcesu, a z Blanche mógł go osiągnąć.

Dom powitał ich blaskiem choinkowych światełek. AsMejf wyszła do kuchni zrobić kawę, a Julian zajął się nalewaniem drinkow.

Gdy weszła do pokoju, zastała go stojącego przy choince, w kolorowym półmroku, z rękami w kieszeniach, wpatzonego w pięknie zapakowane prezenty. Cicho odstawiała tacę na stolik i zbliżyła się do niego. Powie mu teraz. Czują, że nadszedł właściwy czas. Niech się spełni świąteczne marzenie, Spojrzał na nią z uśmiechem i przyciągnął ją do siebie. Czy ona musi dzisiaj tak pięknie wyglądać? Chociaż dla niego zawsze wyglądała pięknie. Nic nie mogło mu ułatwić powiedzenia jej tego, co miał zamiar powiedzieć.

- Czy myślisz o tym samym co ja? - spytała szeptem, bawiąc się lampką zwisającą z gałązki.

- Nie wiem.

- Myślałam o tym, jak byłoby miło, gdybyśmy naprawdę mogli spędzić razem święta.

- Yhm... - mruknął i objął ją mocniej. - Ale to wszystko jest marzeniem, tylko marzeniem.

- Nie musi być. - Mówiła tak cicho, że ledwie ją słyszał. - Powiedziałam, że nie musi być.

Patrzył na nią z góry, opierając ręce na jej ramionach. - Nie rozumiesz, Julianie? Nie wiesz, co chcę powiedzieć? Na ułamek chwili jego oczy pociemniały z gniewu, ale nie odwrócił wzroku. Wiedział, co nastąpi, i nie był w stanie jej powstrzymać.

- Kocham cię, Julianie - szepnęła. - Kocham cię. Przyciągnął ją do siebie i mocno uściskał. Dobry Boże, czemu ona to robi?

Ashley czuła bicie jego serca, słyszała jego oddech i czekała na jego słowa.

Czas mijał, a Julian się nie odzywał. Wysunęła się z jego uścisku.

Patrzył na choinkę. Nienawidził siebie za to, co jej wyrządzał.

Ashley usiadła na sofie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jest całkiem spokojna. Patrząc na ogień w kominku pomyślała, że musiał, go rozpaścić, kiedy parzyła w kuchni kawę. Kawa! Czekająca stoliku, tam gdzie ją postawiła. Obok stały nietknięte kieliszki z brandy. Może sięgając po nie odwróci zły urok, odzyska szansę na spełnienie marzeń.

- Nie wypiliśmy swojej brandy.

- Ashley...

Odezwali się równocześnie.

Usiadł obok niej i próbował ująć jej dłoń, ale ona sięgnęła po dzbanek z kawą i zaczęła napełniać filiżanki.

Czarną czy z mlekiem? - spytała. - Czarną.

- Bardzo proszę.

Wręczyła mu filiżankę i sięgnęła po kieliszek, Julian chwycił ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie. Odstawił swoją kawę z powrotem na stolik. Ashley usiłowała nie patrzeć mu w oczy.

- Ashley, proszę, posłuchaj.

- Nie masz ochoty na kawę?

- Ash, kochanie, proszę cię. Spójrz na mnie.

- Nie mogę. - Opuściła głowę. Przyciągnął ją do siebie.

- Kochanie. Tak mi przykro. Co mogę powiedzieć? - Poczuli, że zeszywniała w jego ramionach. - Myślałem, że wiesz. Myślałem, że cały czas zgadzasz się z tym, że pewnego dnia... - urwał.

- Wszystko się skończy? To miałeś zamiar powiedzieć? - W jej głosie nie było gorczy, jedynie smutek. -

Oczywiście, że wiedziałam. - Rozpaczliwie usiłowała powstrzymać łzy. - Julianie, przepraszam za to, co powiedziałam. Cofam to. Proszę cię, zapomnij o tym.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, Ash.

- Wiem o tym.

Nagle poczuła, że ogarnia ją panika. Pojawiła się nie wiadomo skąd i uświadomiła jej, że to koniec. Zjedli właśnie ostatnią wspólną kolację. Już nigdy nie będzie patrzył jej w oczy z uśmiechem, który wystarczał za słowa wyznania. Nie ma przed nimi wspólnych dni, wspólnych nocy, wspólnego śmiechu. Koniec. Straciła go, ale czy tak naprawdę kiedykolwiek miała go dla siebie? Czując na włosach jego dłoń i przez jedną przerażającą chwilę myślała, że będzie go błagać, by został.

- Byłam głupia - powiedziała. - To moja wina. Nigdy mi nic nie

obiecowałeś, nigdy nie mówiłeś, że opuścisz Blanche. Ale w swojej naiwności wierzyłam, że to zrobisz.

- Nie, to moja wina. Nie powinienem dopuścić, żeby sprawy zaszły tak daleko.

- Nie, proszę, nie mów tak. To znaczy, że żałujesz tego, co było między nami.

- Kiedy widzę cię taką nieszczęśliwą, to żałuję. Wyprostowała się i nadal na niego nie patrząc, próbowała się roześmiać.

- Och, jakoś to przetrzymam - powiedziała z nadzieją, że te słowa dodadzą jej siły.

- Z pewnością-podchwycił. - Wkrótce spotkasz kogoś. Kogoś... odpowiedniego dla siebie.

Teraz jej oczy rozbłysły gniewem.

- Kogoś żydowskiego pochodzenia, czy to masz na myśli?

- Nie, nie o to mi chodziło. Przepraszam. - Chciał jej powiedzieć, jak bolesna była myśl o niej z innym mężczyzną.

Odwróciła się od niego, próbując odciąć się od jego obecności. Julian wiedział, że zostając przedłuża jedynie cierpienie, ale nie mógł się zmusić do odejścia. W chwili gdy zamknie za sobą drzwi, nastąpi nieodwołalny koniec ich związku, nie będzie odwrotu.

Poczuł, jak jej plecy zaczynają drżeć pod jego dłonią. Płakała. Przytulając ją do siebie, walczył z własnymi łzami. Bóg świadkiem, że nigdy wcześniej tak się nie czuł. Jakby coś w nim pękło. Długo trzymał ją w objęciach, a ona wypłakiwała mu w ramię swój ból, że go traci. Głaskał ją po włosach, całował w czubek głowy, przeklinając zły los.

Wreszcie podniosła głowę i tym razem spojrzała mu w oczy. Widząc jej zapłakaną twarz i zmierzwiłone włosy, zrozumiał, że nigdy jeszcze nie kochał jej tak bardzo, jak w tej chwili. - Pocałuj mnie, Julianie - poprosiła szeptem. Czuł, jak drżą jej usta. Wiedział, że najprościej byłoby machnąć ręką na wszystko i wyznaczyć, co do niej czuje. Zarwmiąć o reszcie życia i zostać z nią. Ale plany zostały już powzięte i należało się im podporządkować.

- Będziesz się ze mną kochał, Julianie? spytała cichutko. - Ten ostatni raz.

Spojrzał na nią i poczuł rosnące pożądanie. Ale widząc rozpacz na jej twarzy zrozumiał, że nie może poddawać się pragnieniu. Potrząsnął głową, a ona odsunęła się od niego zapłakana.

- Wiesz, że nie powinniśmy - powiedział, ujmując ją za rękę. -Potem będzie jeszcze gorzej, kiedy odejdę. Słyszając te słowa, Ashley miała ochotę umrzeć. Wstała, wygładziła sukienkę i poprawiła włosy. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Chcesz, żebym zrezygnowała teraz, czy wolisz to mieć na piśmie w poniedziałek?

Westchnął i pokręcił głową.

- Nie mogę dalej dla ciebie pracować, Julianie. Musisz to zrozumieć. Czuję się taka upokorzona. Boże, wysłałam na głupią geś.

- Przestań! Nie mów tak. Nie chcę, żebyś zrezygnowała. Nerwowo przesunęła dłonią po włosach.

- Sama nie wiem, co robić.

. - Może dobrze by ci zrobił krótki urlop? Możesz wrócić po Bożym Narodzeniu. - Zauważył, że wzdrygnęła się, kiedy wspomniał o świętach.

Może -przyznała.

- Dzięki temu przynajmniej przez jakiś czas nie będziemy musieli codziennie się widywać. ^

- Aha.

Zdawał sobie sprawę, że proponuje jej taki układ, kierując się egoizmem, ale tak chyba było najlepiej. Dla niego też w końcu byłoby bolesne patzenie na nią co dnia, zastanawianie się, jak sobie radzi z nową sytuacją.

- W tej chwili wydaje mi się, że nie będę chciała widzieć cię już nigdy w życiu - powiedziała. - Może tak będzie lepiej.

- Odłóż decyzję do Nowego Roku, dobrze?

Pokiwała głową i posłała mu bezradny uśmiech. Serce mu się ścisnęło. Chyba powinien teraz wyjść. Zanim się rozmyśli.

- Obiecuj mi jedno, Julianie - poprosiła.

- Jeśli będę mógł.

- Nigdy do mnie nie dzwoń. Nigdy do mnie nie pisz. Nigdy nie pytaj, co u mnie słychać.

Nie odpowiedział.

- Proszę cię, Julianie, obiecuj mi. Obiecuj, że nigdy nie będziesz próbował się ze mną skontaktować poza biurem. Że nigdy nie będziemy już rozmawiać o nas.

- Ale...

- Proszę cię. Jeśli mi to obiecasz, będę wiedziała, że wszystko skończone. Że nie mogę mieć nadziei. Nie będę wtedy siedzieć przy telefonie modląc się, byś zadzwonił. W biurze nie będę oczekiwać, że się do mnie odezwiesz. Zrób to dla mnie, Julianie, proszę; Obiecuj.

Kochał ją za to, że próbowała być taka dzielna. Przetarł dłonią oczy .

- Dobrze, obiecuję - zgodził się w końcu.

Spojrzał na zegarek. Zauważyła to spojrzenie i odwróciła się, kiedy wstawał. W milczeniu podeszli do drzwi.

- Uważaj na siebie - powiedział, odgarniając jej włosy z czoła. Pokiwała głową, lecz nie była w stanie patrzeć mu w oczy,

- Ty też. Gdy wyszedł, oparła się o ścianę walcząc z bólem i ogarniającym ją przerażeniem. Rozejrzała się dookoła. Mieszkanie nagle wydało jej się przeraźliwie puste.

Wolno wróciła do salonu. Oświetlona choinka mrugała do niej z kąta. Podchodząc, żeby wyłączyć lampki, zahaczyła o coś pantoflem. Na podłodze przy jej stopach leżała paczka, którą zaczął rozpakowywać wcześniej, kiedy po nią przyjechał. Podniosła ją i wpatrywała się w kolorowe opakowanie. Co ona teraz zrobi z tymi wszystkimi prezentami? To był pierwszy i najmniejszy problem. Jak ma znieść święta bez niego, po zrobieniu tych wszystkich planów? I Nowy Rok? Jak ma teraz żyć? Czy w ogóle ma chęć do życia? Świat zamykał się wokół niej. Wiedziała, co nastąpi. Będzie musiała poradzić sobie z poczuciem odrzucenia, z cierpieniem, z samomością.

Przeżywała to już raz, kiedy skończyło się jej małżeństwo. Przetrwiała. Ale tym razem nie czuła się na siłach. Nie chciała przechodzić tego wszystkiego jeszcze raz, od początku. Każda myśl o nim i o Blanche będzie torturą. Podobnie jak codzienna pustka. Bezsenne noce, kiedy jej ciało będzie tęsknić do jego dotyku.

Wiedziała, co ją czeka, i wiedziała, że sobie z tym nie poradzi.

Życie wymknęło jej się z rąk, a ból, który wcześniej wściekle kąsał jej serce, teraz przychodził regularnymi ciągłymi falami. Idąc w stronę łazienki miała przed oczyma jego twarz. Wydawało jej się, że w jego oczach widzi miłość. I przypomniała sobie swoje słowa, jakby je mówiła dawno temu: „Kocham cię, Julianie, kocham cię”. Przypomniała sobie także, że on nic wtedy nie powiedział.

Trzymała w ręce tabletki aspiryny. Patrzyła na nie ze zdziwieniem. Musiało ich być ze dwadzieścia, może trzydzieści, małych białych, drażetek, spoczywających niewinnie na otwartej dłoni. Zamieszała w nich palcem, strącając kilka na podłogę.

Wzięte z półki szklankę i podstawiła pod strumień wody. Z trudem rozpoznała twarz spoglądającą na nią z lustra nad umywalką. Cały czas wpatrując się w swoje odbicie szeroko otwartymi, przestraszonymi oczyma, położyła na języku dwie tabletki. Połknęła je bez trudu, popijając zimną wodą. Przyjrzała się pozostałym, wciąż leżącym na jej dłoni.

Nagle nocną ciszę rozdarła syrena karetki. Dźwięk powtórzył się kilkakrotnie. Odczekała, aż ucichnie, po czym znowu spojrzała w lustro.

Ramiona zaczęły jej drżeć, ciałem wstrząsało rozdzierające łkanie. Uderzyła ręką w ścianę, rozsypując resztę tabletek.

- Julianie! Och, Julianie! - Trzymając się umywalki opadła na kolana. O czym myślała? Czyżby była tak słaba, że myślała o skończeniu z sobą? On zadzwoni. Złamie obietnicę i zadzwoni. Nieprawda, że to koniec. To nie może być koniec. Za bardzo mu na niej zależy, żeby mógł tak po prostu odejść.

- Zadzwoni - powiedziała na głos. - O Boże, proszę, on musi zadzwonić.

Rozdział 3

Przeprowadzanie wywiadu na planie filmowym nigdy nie było łatwe, ale deszcz jeszcze zwiększał stopień trudności. Ekipa Jermeen była rozdrażniona z powodu spóźnienia spowodowanego niedokładnymi instrukcjami, jak dojechać na miejsce, nic więc dziwnego, że do reszty straciła cierpliwość dla reżysera, który nawet będąc , w najlepszej formie miał kłopoty z podejmowaniem decyzji, a dzisiaj przeszedł samego siebie... No cóż, już to, że zadzwonił do niej o wpół do ósmej rano, pytając, w co ma się ubrać, powinno dać Jenaen do

myslenia. Lodowaty deszcz i wichura na nabrzeżu, a facet nie wie, co na siebie włożyć!

- Może bermudy i cylinder - burknęła i trzasnęła słuchawką. Nieoczekiwanie piosenkarz, z którym pojechała robić wywiad,

okazał się całkiem miłym człowiekiem. Przerwy na planie w kręceniu wideoklipów są z reguły śmiertelnie nudne, ale on potrafił zachować pogodę ducha. Nie można było tego niestety powiedzieć o jego napuszonej agentce. Jenneen zanotowała w myślach, żeby wyciąć ją z filmu, zostawiając tylko jedno dość złośliwe ujęcie, na które operator bez trudu dał się namówić. Po dokonaniu tej poprawki nabrała przekonania, że to będzie dobry film, a robienie dobrych filmów było życiowym celem Jenneen Grey. Kiedy w wieku dwudziestu jeden lat po raz pierwszy znalazła się w Londynie, czuła się bardzo dorosła i wykształcona. Wkrótce została brutalnie sprowadzona na ziemię - usłyszała, jak koledzy reporterzy, z którymi pracowała, bezlitośnie przedrzeźniają jej północny akcent. Nie potrafiła śmiać się razem z nimi, wiedząc, że pod ich śmiechem kryje się autentyczne okrucieństwo i snobizm. W końcu, w myśl zasady: „skoro nie możesz ich pokonać, to się do nich przyłącz”, zainwestowała część swych skromnych dochodów w lekcje wymowy.

Była pojętną uczennicą i w ciągu roku praktycznie pozbyła się naleciałości z Yorkshire. Tylko czasami, gdy była wściekła, dawne akcenty pojawiały się w jej języku, ale nie zdarzało się to często.

Roześmiała się na myśl o tym, jak bardzo w owych czasach chciała się wszystkim przypodobać. Wydawało jej się to wówczas takie ważne. Teraz sprawy miały się zupełnie inaczej, zwłaszcza oglądane z pozycji, jaką obecnie zajmowała - prawie ze szczytn. Bill Pruitt, szef popołudniowego programu, który prowadziła raz w tygodniu, był przekonany, że dzięki niej osiągną najwyższą oglądalność. Minęło ponad dziewięć lat od chwili, gdy po raz pierwszy spytał ją, co chce osiągnąć.

- Mam powiedzieć prawdę? - upewniła się.

- Yhm - przytaknął. - Tylko prawdę.

- Obiecuję, że nie będziesz się śmiał.

- Obiecuję. - Uśmiechnął się mimo wszystko.

- Chcę być sławna - oświadczyła spokojnie, lecz z ogniem w oczach.

- Sławna?

- Właśnie. Sławna. I nie tylko sławna. Chcę zdobyć sławę dzięki robieniu dobrych, potrzebnych programów. - Zaczerwieniła się na myśl, co musiał sobie o niej pomyśleć.

A teraz, po tych wszystkich latach, była prawie u celu. Bill ostrzegał ją o konieczności zachowania nienagannej reputacji, podkreślając, że tak będzie korzystnie nie tylko dla niej samej, lecz także dla stacji telewizyjnej. W tej dziedzinie nie powiodło jej się zbyt dobrze. Nie znaczy to, że ktokolwiek znał jej prywatne sekrety, przynajmniej na razie, ale nie wiedziała, jak długo uda jej się jeszcze trzymać je z dala od prasy. Ze znużeniem wsunęła stopy w pantofle i poszła do kuchni po kakao, które sobie wcześniej przygotowała. Spojrzała na zegarek i wykręciła numer Ashley. Nie było odpowiedzi.

Jenneen zastanawiała się, czy nie powinna pojechać do mieszkania przyjaciółki, ale Ashley wspominała coś na temat pracy do późna, więc zapewne nie było powodu do niepokoju. Pewnie przesiaduje w biurze, kojąc swój ból dodatkową robotą.

Jenneen, Kate i Ellamarie spędziły z Ashley cały poprzedni dzień, próbując wspólnie znaleźć jakiś sens w tym, co się stało. Wszystkie szczerze wierzyły, że Julian tak samo szaleje za Ashley, jak ona za nim, a teraz oskarżały się o ślepotę i brak wyczucia. Ashley cały czas była jak w transie, częściowo z braku snu, a częściowo z bólu po stracie ukochanego mężczyzny. Jak na ironię cios nastąpił akurat teraz, na dwa tygodnie przed Gwiazdką.

Jenneen usadowiła się wygodnie w fotelu podwijając nogi pod siebie i zaczęła rozmyślać o świętach. Notatki dotyczące filmu wysunęły jej się z ręki i spadły na podłogę. Czyż nie byłoby cudownie, gdyby w tym roku chociaż raz, spotkała kogoś, kto by jej się naprawdę spodobał? Mężczyznie marzącego o kobiecie takiej, jak ona. Nieduża blondynka, bardzo kobieca, tak przynajmniej twierdzą

życzliwe przyjaciółki, z ciętym językiem, który wciąż zaskakiwał nawet tych, którzy dobrze ją znali. Zabawnie było czasem patrzeć, jak ludziom, którzy próbowali nią manipulować, oczy otwierały się szeroko ze zdziwienia. Łagodna, atrakcyjna twarzyczka kryła bystry umysł, a cięte riposty Jenneen często zbijały z pantałyku jej adwersarzy. No, ale Ten Jedyńy kochałby ją za jej złożony charakter. Dałby jej poczucie bezpieczeństwa i chronił przed tymi wszystkimi złośliwcami w studiu. Przy nim czułaby się kochana. Dziwna sprawa, ale choć tak się starała, nie bardzo mogła sobie wyobrazić kogoś takiego, Na zewnątrz rozległ się trzask zamykanych drzwi samochodu. Otrząsnęła się z romantycznego nastroju i podniosła z ziemi notatki. Zaczęła czytać, ale przerwał jej odgłos kroków na schodach. Zastygła w bezruchu. - Boże, proszę, niech nie zadzwoni do mnie - pomyślała. Ale już wiedziała. Jakby potrafiła wyczuć go jakimś szóstym zmysłem. Zadzwieczał dzwonek. - Odejdź - syknęła. - Boże, proszę, niech on sobie pójdzie. Wstała powoli i podeszła do okna. Odsunąwszy na centymetr zasłonę, spojrzała w dół na ulicę. No tak, przed domem parkowało stare poobijane Audi. Stał tam i patrzył w górę, prosto na nią. Że też głupota kazała jej pokazać się w oknie. Znowu zabrzmiał dzwonek, tym razem bardziej natarczywie. Nie mówiąc nic przez domofon, nacisnęła guzik zwalniający zamek drzwi wejściowych. Otworzyła drzwi do mieszkania i wycofała się do salonu. Słyszała jego kroki, wchodził na górę, po dwa stopnie naraz. Można by pomyśleć, że pilno mu do niej. Drań! Nienawidziła go tak mocno, że czasem to uczucie ją przerażało. Żałowała, że nie wie, jak mogłaby pozbyć się go raz na zawsze, wymazać ze swego życia. Ale co mogło wchodzić w grę poza morderstwem? Usłyszała odgłos zamykanych drzwi i poczuła- chłodny powiew, który przyniósł ze sobą.

- Cześć, Jenneen - przywitał ją z uśmiechem, ściągnając płaszcz i zmierzając prosto do barku, by poczęstować się drinkiem. - Gotowa do łóżka? - spytał spoglądając na jej szlafrok.

Nie odpowiedziała. Nie miała mu nic do powiedzenia.

- Ach, rozumiem. Mieliśmy zły dzień?

Wpatrywała się w fotel stojący naprzeciw niej, więc go zajął. Odwróciła się od niego.

- Daj spokój, Jenn, bo jeszcze sobie pomyślę, że się nie cieszysz z mojej wizyty.

Przyglądała mu się, jego krótkim, postrzępionym włosom, kiedyś złocistym, teraz nieokreślonego mysiego koloru, i podbiegłym krwią szarym oczom. Nerwowo rozejrzał się po pokoju, po czym wbił w nią wzrok.

Zadrżała, kiady jednym haustem wychylił szklaneczkę szkockiej whisky i od razu nalał sobie następną porcję.

- Mów, czego chcesz i wynoś się! - zażądała.

- Ooo, to tak się traktuje starych przyjaciół?

Przełknął kolejny potężny łyk alkoholu i czknał z zadowoleniem. - Niezła whisky, Jenn.

- Najtańsza. Kupiłam specjalnie dla ciebie - oznajmiła.

- Kochana Jenn, tak się nie mówi do przyjaciela, który często cię odwiedza i dba o ciebie. Który strzeże twojego małego sekretu...

Żadnych wstępów, od razu kawa na ławę. Jenneen wpatrywała się w ogień na kominku.

- Wiesz, Jenneen, byłoby miło, gdybyś się zdobyła wobec mnie na więcej gościnności. Ostatecznie sama wiesz, że robię ci przysługę, nie mówiąc nikomu.

- Nikt by ci nie uwierzył, ty gnojku!

- Hm, ale me wiesz tego na pewno, prawda?

- Wynoś się stąd. No już, zjeżdżaj. Wynoś się z mojego życia! Nie zwracając na nią uwagi, zaczął się bawić pilotem od telewizora.

Przerzucił kilka kanałów, ale stwierdziwszy, że nie ma nic, co chciałby obejrzeć, odłożył urządzenie.

- Jestem głodny, masz coś na ząb?

- Nie.

- Musisz coś mieć. Chyba nie chcesz, żeby gość wyszedł głodny? Zacisnęła zęby.
- Ty brudny, wredny gnoju. Przychodzisz tu, żeby mnie szan-tażować, i jeszcze masz czelność, domagać się żarcia?
- W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk.
- Uspokój się, Jenneen. Chyba nie chcesz mnie rozzłościć, co?
- A czym, do cholery, miałabym cię rozzłościć? Przyłazisz tu, wypijasz mój alkohol, żadasz jedzenia, rujnujesz mi życie...
- Wystarczy. - Poderwał się z fotela i zaczął chodzić wokół niej. - Rujnuję ci życie, mówisz. A to dobre. Ja rujnuję twoje życie. Chyba będę ci musiał przypomnieć, co ty zrobiłaś z moim życiem.
- Zamknij się! - krzyknęła.
- O, czyżbyś nie miała ochoty tego słuchać? Nie chcesz, żeby ci przypominać, jak jednym mściwym zdaniem unicestwiłaś całą moją karierę? Zniszczyłaś wszystko, czego dokonałem. Mam ci przypomnieć, co powiedziałaś? Te słowa, które następnego dnia były we wszystkich gazetach i zniszczyły człowieka i całą jego przyszłość?
- Nie oszukuj się, Matthew. Byłeś skończony na długo przed tym, nim ja to powiedziałam. Potrzebny ci był ktoś, na kogo mógłbyś zwalić winę. Gdybym to nie była ja, znalazłby się ktoś inny,
- Tylko że ja nie miałem romansu z „kimś innym”. Nie, ja sypiałem z tobą, Jenneen Grey. Z tą, która jest znawczynią mężczyzn i męskich możliwości. Masz w tej dziedzinie ogromne doświadczenie. Ilu ich było w tym tygodniu? Pięciu? Sześciu?
- Zerwała się z miejsca i stanęła przy oknie.,
- Więcej? Zresztą, wolę nie wiedzieć. Sypiasz, z kim chcesz. Możesz mieć tylu facetów, ilu ci się podoba, Albo kobiet! - dodał. Jenneen przymknęła oczy. Wiedziała, że do tego dojdzie. - Zapomniałaś języka w gębie? Nie odpowiedziała. - Szkoda, że ci się to nie przytrafiło tamtego wieczoru, kiedy robili z tobą wywiad w „Nocnych Pogawędkach”. Gdyby tak było, może żadne z nas nie miałoby obecnych kłopotów,
- Słuchaj, Matthew - zwróciła się do niego, patrząc błagalnie.

- Wiesz tak samo dobrze jak ja, że wyrzucili cię z serialu z powodu picia. To nie miało nic wspólnego z tym, co wtedy powiedziałam. Na litość boską, gdyby za każdym razem, kiedy jakaś kobieta publicznie pape głupstwa, jakiś mężczyzna był niszczone, to niewielu by zostało.

- Jesteś kłamczuchą, Jenneen, i wiesz o tym. Rzuciłem cię dzień przed tamtym programem. To ja cię rzuciłem! I twoja cholerna duma nie mogła tego znieść. „Czy jest dobry w łóżku? Będę z wami szczerza - powiedziałaś. - Jest zawsze tak naćpany albo zalany, że przypomina to kładzenie się do łóżka z kłodą, która ma w pewnym miejscu wystający sęk. Czy nie tak powiedziałaś? - Mówił podniesionym głosem idąc przez pokój w jej stronę. - Czy nie to...

- Przestań! - krzyknęła, widząc, jak z każdym słowem popada w większą furję.

- Grałem w tym serialu główną rolę, Jenneen. Byłem o krok od tego, żeby zostać czołowym amantem w kraju. W porządku, to może brzmi głupio, ale daje kupę forsy. A ty zniszczyłaś to w ciągu jednego wieczoru. - Stał nad nią, bijący od niego zapach whisky przyprawiał ją o mdłości.

Zacisnęła pięści.

- Ile chcesz tym razem?

Matthew wpatrywał się w nią z nienawiścią, jakby chciał ją uderzyć, ale po chwili się uspokoił.

- Tak już lepiej - pochwalił. - Zapłacisz. Nie ma wątpliwości, że zapłacisz.

- Ile chcesz? Powiedz mi, ile?

- Powiem ci, kiedy będę gotów. Na razie jestem głodny, więc idź zrobić mi coś do jedzenia.

Jennen przeszła do kuchni i zaczęła wyciągać naczynia. Słyszała, jak Matthew krząta się w salonie, nalewając sobie kolejnego drinka. Chciało jej się płakać, ale wiedziała, że płacz nic jej nie pomoże. Od miesięcy prosiła go, błagała, żeby zostawił ją w spokoju. A on ciągle wracał. Krzyczał na nią, obrażał wulgarnymi słowami, czasami nawet bił. Żyła w ciągłym strachu przed tyra, co może jej zrobić.

Dobry Boże, gdyby tamtej nocy nie poszła na to przyjęcie... Czy to możliwe, że minęły już dwa lata od tamtej chwili? Wtedy po raz pierwszy spotkała Matthew.

Jak na ironię, wcale nie miała ochoty iść na tamto przyjęcie. Męczyły ją początki grypy, czuła się okropnie, a mężczyzna, z którym się tam wybrała, też nie poprawiał jej samopoczucia. To śmieszne, nie mogła sobie teraz nawet przypomnieć jego imienia.

Z upływem wieczoru jej partner, wyczuwając brak zainteresowania z jej strony, zaczął emablować jakąś inną uczestniczkę zabawy, a Jenneen siedziała samotnie w kącie i sączyła whisky użalając się nad sobą. To ostatnie należało w jej przypadku do charakterystycznych objawów rozwijającej się grypy.

Nie pamiętała już, jak to się stało, że zaczęła rozmawiać z tamtą kobietą, umknęła jej też z pamięci treść rozmowy. Kimkolwiek jednak była ta kobieta, sprawiała wrażenie miłej i szczerze zainteresowanej wszystkim, co Jenneen miała do powiedzenia. Dużo się śmiały i miały podobne poglądy na temat spraw, których Jenneen nie mogła lub nie chciała sobie przypomnieć.

Musiało być gdzieś około północy, czy może nawet później, kiedy Jenneen zaczęła się podnosić z zamiarem opuszczenia towarzystwa. Ale okazało się, że wypila więcej, niż przypuszczała; chichocząc, opadła z powrotem na kanapę. Tamta kobieta z uśmiechem zaproponowała, że jej pomoże.

Jenneen rozglądała się za swoim partnerem, lecz nigdzie go nie było.

Typowe, pomyślała i nieoczekiwanie załapała się łzami. Kobieta wydawała się nieco zaskoczona, ale objęła Jenneen w pasie i wyprowadziła ją z pokoju. Jak przez mgłę Jenneen pamiętała wchodzenie po schodach i uspokajające szepty swej towarzyszki, że* jest zbyt chora, by mogła wracać do domu.

Nie pamięta, żeby protestowała. Jak dziecko pozwoliła sobie pomóc przy rozbieraniu. Nawet teraz nie wiedziała, ile razy ta

kobieta ją pocałowała, zanim Jenneen zdała sobie sprawę, Co się dzieje. Ale nie powstrzymała jej. Błądzące po niej usta były miękkie, ręce chłodne i delikatne, a jej ciało odprężało się pod łagodnym dotykiem. Żadnych brutalnych, szorstkich dłoni na jej piersiach, żadnych twardych wypukłości napierających na jej łono, Jedyne ciepło, miękkość i zmysłowa czułość, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała. A potem jej ręce same zaczęły oddawać pieśń* czoty. Dotykała dziwiąc się niezwyklej gładkości skóry, wdychając leciutki zapach perfum, czując na twarzy muśnięcia jedwabistych włosów.

He czasu mogło upłynąć, nim otwartą się drzwi? Godziny? Może minuty. Podniósłszy głowę, zobaczyła mężczyznę stojącego przy łóżku z kieliszkiem w dłoni i obserwującego je z uśmiechem.- Nie znała go wówczas, ale był to Matthew Bordsleigh, wtedy jeszcze mało znany aktor. Kobieta leżąca obok niej wyraźnie ucieszyła się z jego obecności i nie okazywała żadnego zażenowania. Zapropono? wała, aby został i patrzył, a on chętnie się zgodził. Jenneen nigdy nie potrafiła sobie wytłumaczyć, co skłoniło ją do uczestnictwa w takim „akcie perwersji”, jak nazwałaby to jej rodzina. A Matmew Bordsleigh siedział na fotelu w kącie, sącząc szkocką whisky i nie odrywając wzroku od nagich kobiecych ciał wijących się przed;nim na łóżku. Drugi raz spotkała go po roku od tamtego wydarzenia. Rozpoznali się, ale nie od razu mogli sobie przypomnieć, skąd się znają. Jenneen zepchnęła wspomnienie tamtej nocy tak głęboko do podświadomości, że nigdy więcej nie wracała do niego myślami- Za bardzo się wstydziła.

Matthew przypomniawszy sobie pierwszy. Na początku wszystkim zaprzeczyła. Musiał pomylić ją z kimś innym. „Nie bądź śmieszny, przecież sypiam z tobą od dwóch miesięcy. Jak mogłabym pójść do łóżka z kobietą? Czy lesbijka zachowywałaby się w łóżku z mężczyzną tak jak ja z tobą?” Ale on się upierał przy swoim i wreszcie Jenneen się przyznała. Śmiał się z jej upokorzenia, zapewniając, że jest człowiekiem wyzwolonym, więc mu to nie przeszkadza i oczywiście ani mu się śni komuś o tym wspominać.

-Dotrzymywał obietnicy, ale co jakiś czas proponował jej udział w trzyosobowych zabawach. Jenneen w końcu znienawidziła go za to, Wciąż jednak się z nim widywała, choć sama Me wiedziała, dlaczego to robi. Kiedy po raz pierwszy zauważyła, że jego pociąg do alkoholu staje się poważnym problemem, powinna była potraktować to jako ostrzeżenie. Tamtej nocy, gdy z nią zerwał, był pijany, jak jeszcze nigdy. Kłócili się, próbowała go powstrzymać przed następnym kieliszkiem, tłumacząc, że robi z siebie żalosne widowisko. Śmiał się z niej i przypominał, że akurat ona nie powinna się wypowiadać na temat żalonych widowisk. A potem ją uderzył. Pierwszy cios nawet specjalnie nic zabolął, ale drugi, trzeci i następne - owszem. Nie pamiętała ile razy ją uderzył, ale ból nie pozwolił o sobie zapomnieć. Wreszcie Matthew wyszedł, trzaskając drzwiami, rzucając przez ramię najgorsze przekleństwa i zarzekając się, że do niej nie wróci. Cóż to była za ulga!

Następnego dnia miała wystąpić jako gość w „Nocnych Pogawędkach” Jako nowej prezenterce stałego popołudniowego programu zależało jej, by przedstawić siebie, a tym samym swój program, od jak najlepszej strony. Musiała założyć ciemne okulary, a rozcięta od środka warga bolała ją nieznośnie. Mimo to postanowiła się nie poddawać. Dopiero kiedy znalazła się w garderobie przed rozpoczęciem występu, zdała sobie w pełni sprawę z tego, co jej zrobił. Oczy patrzące na nią z lustra, zazwyczaj niebieskie i spokojnej teraz były czerwone, sino podkrążone i opuchnięte - wyglądała strasznie. Zepsuł jej pierwszy telewizyjny występ, po którym tak wiele sobie obiecywała. Powinna w tej chwili mieć poczucie sukcesu, kipiel radością ze spełnionego marzenia, a on odebrał jej to wszystko. Nienawidziła go. Czuła, że wraz z nienawiścią rośnie w niej żądza zemsty. Poprzysięgła sobie, że kiedyś mu odpłaci pięknym za nadobne. Nie spodziewała się wtedy, że okazja nadarzy się tak szybko, a chwila satysfakcji będzie ją tak drogo kosztować.

- Co ty się tam tak grzebiesz?

Jego głos sprowadził ją na powrót do terażniejszości. Poczwały że

palce same zaciskają jej się na rękojeści noża, Z jaką rozkoszą wbiłaby go w tego drania. Zobaczyć w jego oczach przerażenie, niedowierzanie, a potem widzieć, jak kona. Patrzeć, jak osuwa się martwy na ziemię... Otrząsnęła się. Musi się wziąć w garść. Znajdzie jakieś wyjście z sytuacji, ale z pewnością nie takie. Przeszła do salonu i postawiła na stole przygotowane jedzenie, trzaskając talerzem o blat, po czym zajęła miejsce na sofie; Matthew wolno zbliżył się do stołu i usiadł. Słyszała, jak je, i ten odgłos działał jej na nerwy. Zauważyła, że butelka whisky, stojąca na podłodze koło kominka, była już do połowy opróżniona. Nic jej to nie obchodziło. Niech go szlag trafi. Dobrze, da mu pieniądze, jeśli właśnie na to są mu potrzebne. Usłyszała wreszcie odgłos odkładanych sztućców, potem ciężkie westchnienie przerwane beknięciem. Najedzony Matthew rozsiadł się wygodnie i podniósł do ust kieliszek. Przez chwilę obserwował ją bez słowa. Zaraz jej powie, ile pieniędzy chce tym razem- A ona pójdzie po torebkę lub po książeczkę czekową, da mu tyle, ile zażąda, i wtedy on sobie pójdzie. Tak było najłatwiej. Głupawy uśmiech wykrzywił mu twarz, wywołując w niej zdziwienie, jak mogła kiedyś uważać go za atrakcyjnego mężczyznę. Miał zęby żółte od papierosów, twarz spuchniętą od picia, a niegdyś muskularne ciało straciło formę.

- Zdejmij szlafrok - odezwał się, dłubiąc w zębach. Zignorowała polecenie.
- Słyszałaś? Powiedziałem, żebyś zdjęła szlafrok,
- Niech cię cholera! - poderwała się z zamiarem opuszczenia pokoju. Błyskawicznie znalazł się tuż obok, wykręcając jej rękę do tyłu. Nawet nie miała czasu się zdziwić, jakim cudem człowiek tak pijany jak on w tej chwili mógł się poruszać tak szybko, gdy pchnął ją na podłogę. Patrzył na nią z góry, oczy błyszczały mtt tuezdrowo.
- Zdejmuj! - warknął.

Wiedząc, że dalsza odmowa tylko pogorszy sprawę, Jenneen zaczęła wolno rozpinać guziki. Odwróciła głowę w kierunku ognia na¹ kominku; próbując psychicznie oddzielić się od własnego ciała.

Przyglądał się jej, czekając, aż wszystkie guziki będą rozpięte. Potem chwycił ją za ramię i szarpnięciem postawił na nogach.

- Wystarczy! - powiedział. - Miałabyś łatwiejsze życie, gdybyś się wreszcie nauczyła robić od razu to, co ci każę. A teraz dawaj pięćdziesiąt funtów, czekiem albo gotówką, wszystko jedno.

Zrozumiała, że nie zamierza jej jednak zgwałcić i ogarnęła ją taka ulga, że prawie pobiegła po książeczkę czekową. Przy wypisywaniu czeku ręce trzęsły jej się ze złości i strachu.

Roześmiał się odbierając od niej swój łup. Następnie schylił się po prawie pustą już butelkę, wepchnął ją do kieszeni płaszcza i wyszedł. , Po jego wyjściu długo siedziała w fotelu gapiąc się w ogień. Dlaczego pozwoliła wtedy tamtej kobiecie zabrać się do łóżka? I czy naprawdę było to takie złe? Zadrżała. Oczywiście, że było złe. Tam, skąd pochodziła, ludzie uważali, że kobiety, które robią takie rzeczy, są obrzydliwe i godne pogardy. Gdyby matka się o tym dowiedziała, Jenneen już nigdy nie mogłaby jej spojrzeć w oczy. A ojciec? Bała się nawet pomyśleć, jak on by zareagował.

A jej przyjaciółki? Co by sobie pomyślały? Bezpowrotnie straciłaby ich zaufanie. Każdy pocałunek na powitanie budziłby ich podejrzenia, czy aby na pewno wyraża tylko przyjaźń. Nie zniosłaby tego. Nie zniosłaby, gdyby wszyscy, których kocha, odwrócili się od niej. Wyobraziła sobie spojrzenia ludzi, z którymi spotykała się w pracy. Te chichoty i szepty za plecami. Nie, musi się pogodzić z żądaniami Matthew, to jedyne wyjście. Mogła tylko dziękować Bogu, że on nie wie o niej wszystkiego.

Rozdział 4

Ew

Ellamarie i Bob znali się już od ponad dwóch lat. Od czasu do czasu razem pracowali, a często wpadali na siebie przypadkiem w ciasnym teatralnym świątku londyńskiego West Endu. I choć Ellamarie z początku nie zdawała sobie z tego sprawy, Bob zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Nie potrafił wytłumaczyć siły i gwałtowności swoich uczuć. Oczywiście, Ellamarie była piękna, ale jako reżyser spędzał wiele czasu z pięknymi kobietami. Z jakiegoś powodu pociągała go jak żadna inna kobieta. Własne uczucia zaskakiwały go i wprawiały w zakłopotanie,

ale z całą pewnością nie mógł im zaprzeczyć. Przez wszystkie lata małżeństwa nie dopuścił się zdrady, nigdy nawet nie czuł takiej potrzeby. Było mu dobrze z żoną, co w połączeniu z fascynującą pracą zawodową pozwalało mu żywić wewnętrzne przekonanie, że spełnia się w życiu. Wszystko to zmieniło się z chwilą spotkania Ellamarie Goold.

Siedział w starym Ghurch Hall, gdzie drugi tydzień trwały próby do *Wieczoru Trzech Króli* i oglądał Ellamarie we fragmencie sceny z błaznem.

Zaskoczył wszystkich prośbą o zagranie tej sceny, a zrobił to tylko po to, by przypochlebić się Ellamarie.

Wiedział, że będzie zła, jeśli ort tego ranka nie weźmie udziału w próbie.

Z uwagą śledził dialog Marii z błaznem. To była pierwsza profesjonalna rola Ellamarie w sztuce Szekspira i wkładała w nią całą duszę... odkąd pogodziła się z faktem, że nie zagra Yioli. Bob uśmiechnął się patrząc na nią, kiedy przygotowywała się do pierwszego zejścia ze sceny. Niezbędny przy wypowiedaniu tej kwestii rumieniec pojawił się na jej policzkach jak na zawołanie.

Podniosła dumnie głowę.

- „Cicho, hultaju! Ani słowa o tym więcej. Zbliża się moja pani, wytłumacz się przed nią roztropnie; usłuchaj mojej rady.”* - ruszyła do wyjścia.

- Stop! Przerwywamy! - zawołał Bob, zanim całkiem znikła za kulisami. Podeszedł do zebranych na scenie aktorów, wiedząc że spoczywa na nim wzrok wszystkich członków obsady.

- Wydaje mi się, Ellamarie, że mogłabyś się trochę bardziej uśmiechać, idąc do wyjścia. Nie ustami, oczyma, wiesz,: tak załomie. A ty, Geoffrey, patrz za nią, kiedy wychodzi, aż do momentu* gdy opuści scenę, a potem kłaśnij w dłonie. ;

Ellamarie patrzyła na niego, ale unikał jej wzroku.

- Pomyślałem sobie - wtrącił Geoffrey, nieświadomie pomagając

* Wszystkie fragmenty *Wieczoru Trzech Króli* w przekładzie Leona Ulricha

mu wybrnąć z sytuacji że kiedy Maria wychodzi, mógłbym zrobić za nią parę kroków, odczekać, aż wyjdzie, i dopiero wrócić do przerwanej kwestii.

Bob zastanowił się nad jego propozycją. Spróbuj - zgodził się. - I pamiętaj, żeby to zrobić przesadnie. Tak, jakbyś spadał ze schodów. - Zademonstrował, czego oczekuje, rozśmieszając wszystkich, po czym wrócił na swoje miejsce. - Zaczynij od: „Niejedno dobre powieszenie salwuje od złego małżeństwa”, -t Cały czas patrzył na Geoffreya.

Maria i Feste odegrali fragment do momentu wyjścia Marii. Tym razem Bob nie przerywał i scena potoczyła się gładko, aż do ponownego pojawienia się Marii. Wówczas kiwnął głową w stronę inspicjentki, która widocznie na to czekała, bo natychmiast zawołała donośnie:

- Przerwa na lunch!

Ellamarie chwyciła torebkę i wybiegła do toalety. Cholera! Czemu Bob nie dał jej szansy grać dalej? Przecież widział, że jest gotowa na więcej. Wiedział doskonale, jak jej zależało na pokazaniu, co potrafi. I to nie tylko innym, ale też sobie samej. Nie uchodziły jej uwagi porozumiewawcze spojrzenia i szeptki kolegów aktorów i miała zamiar udowodnić im, że poradzi sobie z rolą. Ze nie korzysta z przywilejów kochanki reżysera.

Wiedziała, że z powodzeniem wyzbyła się swego amerykańskiego akcentu, ale mimo to dla Maureen Woodley pozostawała osobą niepożądaną w obsadzie szekspirowskiej sztuki. Zdaniem Maureen Woodley żaden Amerykanin nie miał prawa nawet przymierzać się do Szekspira. Uważała to za coś w rodzaju świętokradztwa. A ponieważ w jej przekonaniu ta Amerykanka otrzymała rolę dzięki sypianiu z reżyserem, cała sprawa była oburzająca i niesmaczna.

Ellamarie minęła rząd umywalek, weszła do kabiny i zatrzasnęła za sobą drzwi. Musiała się uspokoić przed rozmową z Bobem. Gdyby sobie pozwoliła na kłótnię z nim podczas lunchu, wszyscy by o tym wiedzieli, a nie miała zamiaru dać satysfakcji tej żmii, Maureen Woodley.

Zastosowała stary sposób na ukojenie wzburzonych nerwów -kilkakrotne Uczenie do dziesięciu, i po chwili była gotowa do

wyjścia. Zaczęła odsuwać zatrzask, ale zastygła z uniesioną dłonią słysząc, że ktoś otwiera drzwi wymawiając jej imię.

- Flaki mi się przewracają na sam widok Ellamarie Goold. Mówi swoje kwestie bez wyczucia, miota się po scenie, jakby poza nią nikogo tam nie było, i jeszcze ma czelność plątać się pod nogami, kiedy my gramy. Jezu, niedobrze mi się robi na myśl o niej!-Wzburzony głos bez wątpienia należał do Maureen Woodley.

-Słyszaliście, jak podpowiadała Richardowi dziś rano?

- Yhm.

Ellamarie rozpoznała głos Ann Hollier.

- Jak ona śmiała podpowiadać samemu Richardowi Coulthardowi!

- Mówiąc szczerze, trochę się pogubił - przypomniała Ann.

- Ale nie do niej należy podpowiadanie.

- No tak, chyba nie do niej. Gdzie pójdziemy na lunch?

- A słyszaliście, jak wcześniej rozmawiała z Nicholasem Goughem o pauzach? Strasznie się wymądrzała, myślałby kto, że jest ekspertem od Szekspira.- Może jest - wtrąciła Am.

W pierwszej chwili Ellamarie, słysząc wyrzekania Maureen, stężała z wściekłości, ale teraz z trudem powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem Cholera, ta Maureen Woodley naprawdę jest głupia. Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że jest po prostu nudna? Arą Hollier była gwiazdą, co mogły ją obchodzić wynuizenia takiej Maureen Woodley?

- Niech no tylko spróbuje mi podpowiadać - ciągnęła niezrażona Maureen; jej zniekształcony głos wskazywał na to, że właśnie maluje usta swoją ulubioną pomarańczową szminką. - Już ja ją pouczę, jeśli się odważy.

Na te słowa Ellamarie pchnęła drzwi kabiny i wyszła. Widok pomarańczowej smugi, rozmazującej się pod nosem Maureen, sprawił jej niemałą satysfakcję. Zarzucając niedbale torebkę na ramię, odezwała się z niewinną miną:

- Zawsze chętnie słucham wskazówek dotyczących roli, Maureen, więc jestem do dyspozycji. - Ruszyła ku drzwiom. - Och, byłabym zapomniała. - Obejrzała się z uśmiechem i napotkawszy wzrok

Maureen w lustrze, spojrzała znacząco na skrypt leżący na umywalce. - Przecież nie skończyłaś się jeszcze uczyć swojej, prawdą? Więc może pouczanie innych odłożysz na później. - Uśmiechnęła się promiennie i opuściła pomieszczenie. Wychodząc dostrzegła porozumiewawczy błysk w oku Ann Hollier.

Wszystko, co było związane z Londynem i jego burzliwą przeszłością, mocno poruszało romantyczną duszę Ellamarie, a i Bob, choć śmiał się, idąc z nią w stronę Tower, przyznawał, że jest pod urokiem tego miasta. Oboje byli opatuleni w ciepłe szaliki i wełniane kapelusze chroniące przed dotkliwym chłodem. Natychmiast po wyjściu z sali prób Ellamarie wsunęła mu rękę pod pachę. Ilekroć to robiła Bob czuł się zakłopotany, że może spotkać kogoś znajomego lub, co gorsza, kogoś, kto zna jego żonę. Obawa była bezzasadna, jako że często pokazywał się w ten sposób z aktorkami, -ale przypuszczał, iż w tym przypadku jego lęk wynika z poczucia winy. Nie zabrał jednak ramienia, bo wiedział, że sprawiłby tym przykrość Ellamarie. Więc sam rozumiesz - mówiła - że się o me martwię.

- Kochanie, one są dorosłe - przypomniał jej. - Jestem pewien, że same potrafią się troszczyć o swoje sprawy.

- Oczywiście, że tak, ale to nie przeszkadza, żebym się o me martwiła. Widziałam się z Ashley wczoraj podczas lunchu. Szkoda, że jej nie widziałeś. Wygląda okropnie. Nie mogę pojąć, jak on mógł jej to zrobić Bob wzruszył ramionami.

- Widocznie miał swoje powody. .

- Nie stawaj po jego stronie - zaperzyła się Ellamane. - Nie pozwalam ci. Jest obrzydliwym sukinsynem i tyle. No i trzeba coś zrobić z Kate. To przecież nienormalne być tak długo bez chłopca.

- Słyszałem, że prawie co wieczór spotyka się z jakimś mężczyzną - zdziwił się Bob.

- Ale z nimi nie sypia.

Nie każda kobieta jest tak nienasycona jak ty, kochanie. Roześmiała się.

- Bo nie każda ma ciebie. Uściskał jej rękę.

- Wydawało mi się, że Jenneen ma umówić Kate z tym... Josephem?

- Joelem. Zgadza się. Ale kto znajdzie faceta dla Jenneen?

- Ellamarie, daj spokój. Pewnie zaraz się dowiem, że prowadzisz biuro matrymonialne.

- Nie, po prostu chcę, żeby wszyscy byli tacy szczęśliwi jak ja. Zatrzymała się i pociągnęła go za ramię, odwracając twarzą do siebie.

- Ty, moja droga, masz romans z żonatym człowiekiem. - Nie przypominaj mi o tym. - Przestała się uśmiechać.

Przez chwilę szli w milczeniu, patrząc na mijających ich ludzi i stare zabudowania City. Ellamarie żałowała, że jej ojciec nie może być teraz z nimi. Staruszek słuchałby z zachwytem jej opowieści o Tower i o ludziach, którzy tu żyli i umierali. Zrobiło jej się smutno, jak zawsze, gdy myślała o nim, wciąż wierzącym tam daleko, w Wyoming, że pewnego dnia córka powróci do domu, podczas gdy ona wiedziała, że tak się nigdy nie stanie. Otrząsnęła się z niewesołych rozmyślań.

- Jak ci minął weekend? - spytała.

- Nieźle. -Poczuł na sobie pytający wzrok.

- Tęskniłem za tobą - szepnął, nachylając się w jej stronę. - A ty za mną tęskniłaś?

Wyglądało, jakby namyślała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Trochę - przyznała wreszcie.

- Tylko trochę? - Uniósł brwi ze zdumienia. W jego głosie wyraźniej niż zwykle dał się słyszeć szkocki akcent.

Pokiwała głową twierdząco. Nagle rozległo się wycie syreny i wraz z innymi przechaiaiami, przystanęli, by obserwować przejazd wozu strażackiego.

- Jak oceniasz dzisiejszą poranną próbę? - spytała, kiedy znowu ruszyli.

- Nieźle. Tak, całkiem nieźle. Jest jeszcze sporo do zrobienia, ale myślę, że jesteśmy blisko celu. Zdecydowałem, że dziś po południu nie będzie próby.
- Czy to znaczy, panie reżyserze, że dziś po południu daje nam pan wolne?
- Mowy nie ma! - zaprotestował. - Nie, pomyślałem tylko, że dziś po południu, ponieważ cała obsada i statyści są na miejscu, moglibyśmy omówić pewne sprawy. Przeanalizować niektóre problemy.
- Ciężka sprawa.
- A kto mówi, że Szekspir jest lekki?
- Żartowałam. Wiesz co? Moglibyśmy zacząć od razu. Daj fory biednej Amerykance. Zerknął na nią niepewnie, podejrzewając kpinę, ale upewnił się, że mówi serio.
- Dobrze zaczai. - Chcę zwrócić uwagę na cztery rodzaje miłości występujące w tej sztuce. Orsino, który uwielbia kochać. Oliwia, która zakochuje się od pierwszego wejrzenia, Viola kochająca potajemnie....
- Według mnie raczej cierpiąca z powodu potajemnej miłości. - Nadała głosowi znaczące brzmienie. Zerknął pytająco w jej stronę, ale nie podjął tematu.
- No i mamy jeszcze Malvolia... - kontynuował wyliczankę.
- ...który kocha samego siebie - dokończyła.
- Właśnie. I o tym chcę podyskutować dziś po południu.
- Rozumiem. - Pograżyła się we własnych rozmyślaniach, a Bob nie przerywał, ponieważ było mu to nawet na rękę. Musiał pomyśleć o czekającym go wywiadzie dla BBC, w którym będą go wypytywać o inscenizację *Wieczoru Trzech Króli*. Nie cierpiał tych wszystkich reklamowych przedsięwzięć związanych z przygotowywanymi spektaklami. Uważał, że aktorzy lepiej się do tego nadają. - Niestety, raz zrobił błąd, dając się poznać jako atrakcyjny partner do rozmów na żywo i od tego czasu wciąż namawiano go do takich występów. Ci z BBC zaproponowali, że będą kręcić w sali prób, ale Bob nie ufał

Maureen Woodley. Mogłaby wskazać palcem Ellamarie i szepnąć prowadzącemu wywiad do ucha coś nieobliczalnego - to było do niej podobne. Już i tak zwracali na siebie za dużo uwagi, nie potrzeba im jeszcze telewizji.

Poczuł, że Ellamarie mu się przygląda. Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Uśmiechnęła się, a on podniósł rękę i pogłaskał ją po twarzy.

- Gdzie błądziłeś myślami? - Zawsze czuła się nieswojo, kiedy przy niej popadał w zamyślenie. Bała się, że myśli wtedy o ich nielegalnym życiu we dwoje, że żałuje wejścia w ten związek. Potrzebowała ciągłych zapewnień z jego strony, że jest inaczej. Bob wiedział o tym.

- Myślałem o koncercie. - Uśmiechnął się do niej. Wyraźnie się odprężyła.

- Kiedy ma się odbyć?

- Ten, o którym myślałem? - Odczuł ulgę, że uwierzyła w jego kłamstwo. - W przyszły piątek. A ty? Gdzie ty byłaś?

- Ja? Gdzieś daleko, dawno temu. W pięknej sukni, pośród bogaczy. Otoczona służkami i błaznami. Miałam u boku ukochanego, który patrzył na mnie z miłością i ofiarował mi swe serce.

- Przyjęłaś je?

- Tak.

- Ale przecież masz już moje.

Ellamarie poczuła ucisk w sercu na widok zmarszczek wokół uśmiechniętych niebieskich oczu. Wyciągnęła rękę i pogładziła go po brodzie.

- Nie, mam tylko część. W moim śnie ofiarowałeś mi całe. Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło.

Wiem, że w to nie wierzysz - szepnął - ale tu i teraz moje serce należy w całości do ciebie. Nie trzeba podróżować w czasie, żeby się o tym przekonać.

-- Chciałabym ci wierzyć, Bob. Och, jak bardzo bym chciała ci wierzyć.

Przygarnął ją do siebie, po czym nadal objęci ruszyli naprzód.

- Jesteś pewna, że nie masz ochoty na jedzenie? - Jestem pewna.

- A może wstąpilibyśmy gdzieś na kawę?

- Lepiej nie. Wolałabym pospacerować.

Most Tower był akurat podniesiony, więc przystanęli patrząc na przepływający statek.

- Jak duże było to trochę? - spytał, nachylając się do niej. Wyraz jej oczu zdradzał, że nie wie, o co chodzi. f

- No, to trochę, co za mną tęskniłaś -^wyjaśnił.

- Gigantyczne. - W jej oczach zapaliły się ciepłe błyski. Przytulił ją mocno.

- To dobrze. Cieszę się. Chcę, żebyś za mną tęskniła; - Uścisnął ją jeszcze mocniej. - Mmm, przyjemnie cię dotykać. Nawet przez to wszystko. - Skubnął palcami jej gruby kożuch.

Rozpięła guziki, żeby mógł wsunąć ręce pod spód, i oparła mu głowę na ramieniu.

- Co robiłaś podczas weekendu? - spytał. - Wiesz, wtedy, kiedy za mną tak tęskniłaś.

- Od czego mam zacząć? Było kilka przyjęć, spotkałam całe mnóstwo ludzi, miałam masę rzeczy do zrobienia. Najgorsi są ci wszyscy ludzie. Niełatwo być popularnym.

- A więc weekend taki jak zwykle?

- Yhm.

Nagle, zanim mogła się zorientować, co się dzieje, Bob zerwał jej z głowy kapelusz.

- Hej! - zawołał. - Kim oni są? Powiedz! Wyzwę każdego z nich naj)ojedynek!

- Najpierw mi oddaj kapelusz!

- Powiedz, bo inaczej rzucę się do rzeki!

Śmiali się oboje, ale Ellamarie me ustępowała. .

- Za nic!

Szczęśliwe, roześmiane'oczy błyszcząły w świeżej, zarumienionej od mroźnego powietrza twarzy. Bob chwycił ją w ramiona i pocałował. W pierwszej chwili zaskoczona jego gwałtownością Ellamarie przywarła do niego i oddała pocałunek. Kapelusz upadł na ziemię zapomniany, a jej rude włosy swobodnie falowały unoszone wiatrem.

- Och skarbie, tak za tobą tęskniłem - westchnął. - Nie cierpię być z dala od ciebie.

Nie odezwała się, ale on wiedział, o czym myślała. O tym, że wcale nie muszą być z dala od siebie. Że to on i tylko on jest winny ich rozłąkom. I gdyby się zgodził, mogliby być razem. Przez cały czas. W głębi duszy wiedział, że nie może zawsze żyć tak jak teraz. To nie było w porządku wobec niej. Zaslugiwała na coś więcej niż te ukradkowe spotkania, zachowywanie pozorów wśród ludzi, potajemne telefony. Była młoda i piękna. Powinna krzyczeć o swej miłości całemu światu, żyć pełnią życia z mężczyzną, który da jej wszystko. A jednak nie potrafił się jej wyrzec. Za bardzo ją kochał.

- Zostaniesz ze mną na dzisiejszą noc? Przytaknął, czując w środku znajomy niepokój.

- U mnie?

- Dlaczego u ciebie? - Spojrzała na niego pytająco.

- Linda ma do mnie zadzwonić, więc muszę tam być. Nastrój prysł. Ellamarie odsunęła się od niego.

- Przepraszam.

- W porządku. - Zapięła kozuch i podniosła z ziemi kapelusz.

- Zadzwoni, żeby mi powiedzieć, o której mam w piątek odebrać moją matkę z dworca.

- Rozumiem.

- Matka przyjeżdża do nas na Boże Narodzenie. - Żałował, że się w ogóle odezwał.

- No tak, przecież mamy Boże Narodzenie - westchnęła.

- Wiesz już, co będziesz robić w święta? Spojrzała mu w twarz.

- Chciałabym spędzić je z tobą.

Objął ją, nie mogąc znieść widoku łez w jej oczach.

- Ja też chciałbym spędzić z tobą święta, ale wiesz, że to niemożliwe.

- Wiem.

- Ale przecież nie będziesz sama, prawda? Co z twoimi przyjaciółkami, jakie one mają plany?

- Nie wiem - skłamała. Chciała, żeby się poczuł winny. Nie chciała, by wiedział, że została już zaproszona na święta do Kate i jej rodziny.

- Jesteś zaproszona na całe mnóstwo przyjęć. Będiesz się świetnie bawić.

- Na litość boską, Bob, nie musisz być taki opiekuńczy. Potrafię sama się o siebie zatroszczyć. Ale to niczego nie zmienia. To z tobą chcę być i to z tobą chcę się obudzić w świąteczny poranek. Zamiast tego będę myśleć o tobie i o niej! Że obudzisz się leżąc w łóżku obok niej, spędzisz z nią dzień i będę się zastanawiać, czy w ogóle o mnie pomyślałeś.

- Ellamarię, myślę o tobie cały czas. Kiedy nie jestem z tobą, myślę o tobie bez przerwy. Wiesz o tym. - Chwyił ją za ramiona. - Kocham cię. Kocham.

- Jest jeszcze twoja żona.

- Mówiłem ci tyle razy, że nie żyjemy ze sobą. Moje życie jest tu, z tobą.

Nie odpowiedziała.

Patrzył jej w twarz, smutną i zamyśloną. Nienawidził siebie za te wszystkie kłamstwa, jakich jej naopowiadał.

- Chodź - powiedział, spoglądając na zegarek. - Powinniśmy już wracać.

W drodze powrotnej trzymała ręce tak głęboko wetknięte w kieszenie, że tym razem to on wziął ją pod rękę. Ellamarię naśmiewała się z siebie w duchu. Tak starannie zaplanowała własne życie. Sukcesy, uznanie, wspaniałe role, na scenie i poza nią. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, dopóki w jej życiu nie pojawił się Bob McElfrey. Bob McElfrey, który walczył o nią tak zawzięcie, że w końcu pomyślała sobie: A, niech stracę. Jeszcze nigdy nie miałam romansu z żonatym facetem. To może być niezła zabawa.

Ani przez chwilę nie pomyślała o konsekwencjach. Była wówczas taka dziecinnie. Myślała o znajomych, którzy miewali tego rodzaju związki, j o tej szczególnej atmosferze, jaka ich otaczała. O swoistym

podziwie, jaki wzbudzali w otoczeniu. Czy to była zazdrość? O kosztowanie zakazanego owocu. O nagłe znikanie we dwoje z towarzystwa w środku przyjęcia. Opowieści o nocach namiętności, podsycanej jeszcze aurą sekretu i występności związku. Och, jakże cudowne wydawało się to wszystko... widziane z zewnątrz. A teraz patrzyła prawdzie w oczy. Rzeczywistość nie spełnionych obietnic. Oczekiwanie zmieniające się w żal i cierpienie, jakich jeszcze nie znała. Serce wypełnione nadzieją, o której nawet nie wolno mówić. Rzadkie chwile szczęścia, nigdy pełnego, zawsze na kredyt. Kradziona rozkosz, kiedy czuła dotyk jego ciała, słyszała, jak mówi, że jeszcze nigdy nie czuł się tak, jak z nią teraz. I wierzyła mu, bo chciała wierzyć. Musiała. Dlaczego tak się dzieje, że namiętność, jaką czuje do tego mężczyzny, jest silniejsza niż wszystkie inne uczucia? Że miłość jest głębsza, a radość większa? Czy tak jest naprawdę? A może to tylko mit wiecznego trójkąta? Trójkąta, który rodzi oszustwa, samobójstwa i morderstwa? Znowu zaczęła popadać w pesymistyczny nastrój.

Rozdział 5

Kate z westchnieniem zamknęła książkę i obróciła się na drugi bok. Miała zamglony wzrok, a na jej twarzy błąkał się cień uśmiechu. Każda przeczytana książka wywoływała u niej sprzeczne emocje. Spojrzała na zegar - dochodziła szósta rano. Naciągnęła kołdrę na głowę i zamknęła oczy. Słyszała obok oddech mężczyzny pogrążonego w głębokim śnie. Leżała spokojnie, oczekując na jego przebudzenie. Po partt mmutach, czując jego dłoń przesuwaną się po jej biodrze

i brzuchu, przesunęła się ku środkowi łóżka. Rozchyliła wargi, w oczekiwaniu ciepłego dotknięcia jego ust. W chwili, gdy jej sutki zaczęły nabrzmiwać pod jego dłonią, poczuła jego język głęboko w ustach. Odwróciła się do niego; miękką wypukłością brzucha natrafiła na jego rosnącą męskość. Nakierował jej dłoń w to miejsce. Ujęła palcami członek i wolno zaczęła poruszać ręką w górę i w dół. Nie przerywając pocałunku, założył sobie jej nogę na biodro. Wszedł w nią szybkim, łagodnym pchnięciem. Kołysali się zgodnym rytmem, coraz szybciej. Wsunął ręce pod jej plecy, uniósł ją i w tym ostatnim, najważniejszym momencie wyszeptał jej imię. Kate wyciągnęła ręce, by dotknąć jego twarzy. Pod palcami poczuła chłodną gładkość poduszki. Otworzyła oczy. Rzeczywistość okazała się tak przykra - obok nie było nikogo. Czym prędzej przymknęła powieki. A przecież wszystko było takie realne. Jak zawsze... Poczuła, że ma wilgotne uda. Westchnęła. Jej ciało płonęło, spragnione, podniecone aż do bólu. Wysunęła rękę spod kołdry i sięgnęła do szuflady nocnego stolika. Namacała obły kształt wibratora. Leżąc na plecach próbowała doprowadzić się do orgazmu. Po paru minutach dała sobie spokój. To, co robiła, nie dawało prawdziwej rozkoszy. A jej brakowało nie tylko seksu, lecz także miłości. Wrzuciła wibrator z powrotem do szuflady i wstała z łóżka. Odkręciła prysznic i zaczęła śpiewać wysokim głosem. Przycichła nieco, kiedy mieszkająca nad nią pani Adams zastukała w podłogę. Woda była cudownie letnia, a piosenka radosna. Wychodząc spod prysznica Kate czuła się znacznie lepiej. O dziewiątej była gotowa do wyjścia. Pojechała samochodem przez Fullham Road do Sloane Square, gdzie zatrzymała się u Petera Jonesa, żeby sprawdzić, czy jej nowe zasłony są gotowe. Nie były. W takim razie dalej do Victorii i siedziby czasopisma „Światowe Życie”. Trzy miesiące wcześniej, opuszczając redakcję tego magazynu, miała zamiar zerwać z dziennikarstwem i skupić się bez reszty na

pisaniu powieści. Jednakże Margaret Stanley, redaktorka „Światowego Życia”, wydzwaniała do niej regularnie i zlecała wykonanie różnych zadań. A Margaret Stanley należała do kobiet, które nie uznają odmowy.

Jillian, fotoreporterka, czekała już na Kate, więc zostawiła samochód na zatłoczonym parkingu i ruszyły do stacji metra, które miało ich dowieźć na West End. Zamierzały bowiem spotkać się z obsadą *Nędzników*. Dzień był pełen sukcesów, w notatniku Kate rósł plik świetnych wywiadów. Żałowała, że nie może przyłączyć się do aktorów podczas lunchu, ale jak wyjaśniła szeptem fotoreporterce, była kompletnie załamana i musiała zobaczyć się z ojcem. Jillian uśmiechnęła się i mrugnęła do niej porozumiewawczo. Kate wiedziała, o co jej chodzi. Czy raczej, o kogo...

Ojciec jak zwykle ucieszył się na jej widok. Rozmawiali o powieści, którą Kate pisała. Nie zebrała się jeszcze na odwagę, by mu powiedzieć o śmiałych scenach erotycznych, zresztą postanowiła zwalić później winę na wydawcę. Zakładając, że kogoś takiego znajdzie. Ale ojciec miał szerokie wpływy, pomoże jej to załatwić. Tak jak pomagał jej właściwie we wszystkim do tej pory. Nie znaczyło to, że brakuje jej talentu, rzecz jasna. Ale świat był taki, jaki był, i talent nie zawsze wystarczał.

Gdy wróciła po południu do teatru, zauważyła, że Jillian zdążyła omotać jednego z aktorów, na którego miała oko już od rana. O wpół do szóstej oboje byli gotowi do umówienia się na randkę.

Rozstając się z Jillian, Kate pokręciła głową i spytała:

- Czy ty nigdy nie chcesz więcej?
- Więcej czego?
- No, więcej od niego... - Wzruszyła ramionami.
- Jeszcze nie wiem, na ile go stać. Kate wybuchnęła śmiechem.
- Należało mi się. Głupia odpowiedź na głupie pytanie. Baw się dobrze.

- Możesz się o nas nie martwić - zapewniła Jillian z uśmiechem i skierowała się do baru, gdzie była umówiona z aktorem.

Kate zaczęła rozmyślać o wykorzystaniu tego wątku w swej powieści.

Wchodząc do mieszkania usłyszała dzwoniący telefon.

- Kate? Tu Jenn.

- O, cześć. Właśnie wróciłam. Skąd dzwonicz?

- Jestem w domu, pakuję się, Muszę jeszcze dziś jechać do Brighton. Mam tam być >jutro wczesnym rano, więc dzwonię, żeby cię zawiadomić, że nie będę mogła przyjść dziś wieczorem.

- Szkoda. Ale się nie przejmuj. A co z Ashley? Rozmawiałaś z nią?

- Chyba już do ciebie jedzie. To dzisiaj, wiesz...

- Co?

- Blanche, Przylatuje dziś wieczorem. Ashley jest w fatalnej formie. Mówiłam jej, żeby nie wracała do pracy, ale ona się uparła. Nie wiem, jak ona to znosi, to widywanie go codziennie.

- Ja też tego nie pojmuję. Pójdę otworzyć butelkę wina. Zadzwoń do mnie, jak tylko wrócisz, dobrze?

Jasne.

Ashley zjawiła się po dziesięciu minutach.

- Wyglądasz okropnie - powitała ją Kate.

- Dzięki. I tak też się czuję.

- Widziałaś się z nim dzisiaj?

- Oczywiście.

- Rozmawiałaś z nim? - Tak.

- I co powiedział?

- Dzień dobry, Ashley. Jak się miewasz? .

- A co ty powiedziałaś? Ashley uśmiechnęła się,

- Powiedziałam: Dziękuję, świetnie, panie Arbrey-Nelmes. Mam nadzieję, że pan również.

- Mój Boże. Blanche przyjeżdża dzisiaj?
- Aha.
- O której?
- Nie wiem. Przylatuje na Gatwick o wpół do dziewiątej.
- On się po nią wybiera?
- Nie wiem. Chyba tak.
- No pewnie, ten szczur!
- Wiesz, Kate, on wcale nie jest szcurem.
- O, przepraszam, oczywiście, że nie jest. On tylko tak udaje. Ashley zmusiła się do uśmiechu.
- Właściwie nie przyszłam tu rozmawiać o nim. Miałam tego ostatnio pod dostatkiem. Co masz do picia?
- Co powiesz na butelkę Chateauneuf-du-Pape?
- Świetnie.

Rozmowa się nie kleiła. Ashley najwyraźniej była nieobecna myślami. Ale za każdym razem, gdy Kate próbowała poruszyć temat Juliana, stanowczo urywała.

- Gadanie jeszcze nigdy nie skleiło złamanego serca - stwierdziła.
- Ale pomaga uleczyć ból - upierała się Kate.
- Dostyc mnie ostatnio leczyłaś. Jeśli będę o nim rozmawiać jeszcze dzisiaj, to chyba zwariuję.
- No dobrze. A jak się miewa Alex? Twarz Ashley rozpromieniła się natychmiast.
- Cudownie. Rozmawiałam z nim dzisiaj... to znaczy, zdążyłam się z nim tylko przywitać, bo tata gdzieś go zabierał, więc nie miałam za wiele czasu.
- Ty to masz szczęście, wiesz, Ashley? - powiedziała Kate z odcieniem szczerzej zazdrości. - On jest takim słodkim dzieckiem. Mam nadzieję, że ja też kiedyś będę miała dzieci,
- Będiesz - zapewniła Ashley. - Ale nie śpiesz się z tym za bardzo.
- Mam trzydziestkę - przypomniała Kate. - Trudno tu mówić o pośpiechu.
- No tak. Ale robisz karierę, piszesz książkę i prowadzisz

najciekawsze życie towarzyskie z całej naszej czwórki. Jeśli zdecydujesz się na dzieci, będziesz musiała zrezygnować z tego wszystkiego.

- Jestem gotowa zrezygnować. Dla czegoś takiego warto zrezygnować.

- Nie bądź tego taka pewna.

- A zresztą, wcale nie musiałabym rezygnować. Weźmy ma przykład ciebie. Ty także robisz karierę. Twoje życie towarzyskie też nie wygląda najgorzej.

- Czyżby?

- Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Jak często robisz coś atrakcyjnego podczas weekendów? Kiedy wy jedziecie na polowanie, na konną przejażdżkę albo gdziekolwiek indziej, mnie z wami nigdy nie ma, o ile zauważyłaś.

- A chciałabyś być?

- Owszem. Chciałabym. Oczywiście, chcę też być z Alexem. Nie mogę wymagać od rodziców, żeby zajmowali się nim przez siedem dni w tygodniu. I tak mają go przez pięć dni, a w ich wieku to wystarczy. A wakacje? Julian chciał mnie zabrać gdzieś w lecie, ale nie mogłam z nim jechać. Tak, wiem, powiedział, żeby zabrać też Alexa, ale to nie to sam jechać we dwoje czy być przez cały czas z dzieckiem, zwłaszcza jeśli to nie jest jego dziecko. Masz wolność, Kate, i powinnaś korzystać z niej, jak długo się da. Gdybym nie wyszła za mąż w wieku dwudziestu lat, moje życie inaczej by teraz wyglądało.

- Ciekawa jestem jak. I tak masz więcej wolności niż inne matki.

- Wiem. Ale to nie znaczy, że ty byś miała. I chociaż wydaje się, że rzeczywiście mam swobodę, to. zawsze towarzyszy mi poczucie winy. Co wieczór wracając do domu wiem, że powinnam jechać do Alexa, ale jestem samolubna i zostaję w Londynie. Wiem, że tak musi być, ale chciałabym, żeby cena nie była tak wysoka,.

- Och, na miłość boską, Ashley, cena wcale nie jest wysoka, W porządku. Mam balowe kreacje, dobry samochód i niezłe pobory,

ale co to wszystko znaczy? To ty, dopóki nie rozstałaś się z Julianem, miałaś wszystko. Czego byś jeszcze chciała?

- Juliana.

Kate zaczerwieniła się.

- Przepraszam, to było nietaktowne. Ale rozumiesz, do czego zmierzam.

Zadzwoił telefon i Kate wstała, żeby podnieść słuchawkę.

Ashley rozmyślała nad słowami Kate. To nie była ich pierwsza rozmowa na ten temat i Ashley wiedziała, że w pewien sposób irytuje Kate. Ale i ją Kate czasem denerwowała. Podobnie jak Ellamarie i Jenneen.

Ellamarie powiedziała kiedyś, że przydałby im się jakiś pojemnik, w którym mogłyby gromadzić swoją przyjaźń, tak żeby mogły wybierać z niego te cechy charakteru, które u siebie najbardziej lubią. Jenneen zapytała wówczas poważnie:

- A czy nie po to właśnie mamy siebie nawzajem?

Ileż to razy w ciągu ostatnich dni Ashley dziękowała Bogu, że ma swoje przyjaciółki...

Wyobraziła sobie Juliana oczekującego na lotnisku na Blancne. Serce jej się ścisnęło i pomyślała o tych wszystkich samotnych nocach, jakie spędziła od czasu rozstania. I o bolesnym widywaniu go co dnia. To było jak tortura. Najpierw nieudane małżeństwo, teraz nieudany romans.

- Tatusz - poinformowała Kate odkładając słuchawkę. - Wygląda na to, że zostawiłam notes w restauracji podczas lunchu. Zaraz tu przyjdzie.

- No, na mnie już czas. - Ashley zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Ależ nie - zaprotestowała Kate. - On wpadnie tylko na chwilkę.

- Nie, naprawdę chyba powinnam już iść. Nie zaszkodzi mi, jak się wcześniej położę spać.

- Och, Ashley, tak mi przykro.

- Daj spokój - przerwała Ashley. - I tak byłam o krok od tego, żeby zacząć się nad sobą użalać. Ciesz się, że cię to minęło.

- Wiesz, że możesz wrócić, jeśli zmienisz, zdanie -r zapewniła Kate z uśmiechem.

- Dzięki. Ale chyba wiem, co zrobię.

- Tak?

Ashley postukała się palcem po nosie i posłała przyjaciółce tajemniczy uśmiech.

Czuła się okropnie. Nie chciała być sama. Nie dzisiaj. Wiedziała, że tego nie zniesie. Mogła pójść tylko w jedno miejsce. Nie wiedziała, czy dobrze robi, idąc tam, ale musiała z kimś porozmawiać.

1 aksówka odjechała pozostawiając Ashley przed wejściem do restauracji. Panował przenikliwy chłód, więc owinęła mocniej szalik wokół szyi chroniąc się przed wiatrem. Zaczynała żałować, że tu przyjechała. W okolicy żołądka czuła twardy węzeł. Chwilami ból utraty wydawał jej się nie do zniesienia.

Drzwi stę otwarły i wyszła z nich jakaś kobieta. Śmiała się, odwróciła głowę, by spojrzeć w oczy towarzyszącemu jej mężczyźnie. Objęci ruszyli biegiem przed siebie, śpiesząc się, by jak najszybciej uciec przed zimnem i znaleźć się w domu... razem. Ashley patrzyła za nimi, aż zniknęli jej z oczu. Pomyślała o Julianie i spojrzała na zegarek. Z pewnością czekał na lotnisku, samolot powinien zaraz wylądować.

Pomyślała o jego urodziwej twarzy, nieprzeniknionej, ale uśmiechniętej, ilekroć wiedział, że ktoś na niego patrzy. Taki właśnie był - zawsze uśmiechnięty.

Westchnęła. Między innymi ten uśmiech sprawił, że była tu teraz, przed tą restauracją. Ich restauracją.

Deszcz znowu zaczął padać, więc pchnęła drzwi i weszła do środka. Nie było tłoczno i rozejrzawszy się po sali szybko znalazła osobę, której szukała. Podszedł kelner i chciał wziąć od niej płaszcz, ale podziękowała mu mówiąc, że nie jest pewna, czy zostanie. Serce waliło jej w piersi. Nagle poczuła się tak, jakby przyszła na spotkanie z Julianem. Zastanawiała się, co by pomyślał, gdyby wiedział, że przyszła tu teraz, i gdyby wiedział dlaczego.

Kiedy zbliżała się do stolika starego mężczyzny, ten podniósł już

wzrok marszcząc twarz w powitalnym uśmiechu. Spojrzał wyczekująco na drzwi, a potem znowu na nią. - Witaj, moja droga - odezwał się.

- Dobry wieczór. - Przez chwilę stała niezdecydowanie obok stolika, nie wyjmując rąk z kieszeni płaszcza.

- Jest pani sama?

- Tak, sama.

- Ach, rozumiem - powiedział, i była pewna, że naprawdę rozumie.

- Czy miałby pan coś przeciwko... - Głos jej się załamał. Odchrząknęła. - Przeciwko temu, żebym się przysiadła?

Wskazał jej krzesło naprzeciw siebie i skinął na kelnera.

- Może się pani czegoś napije?

- Poproszę o wodę mineralną.

-Zacznijmy raczej od dużej szkockiej - wydał dyspozycję kelnerowi. - Dla mnie to co zwykle.

Ashley uśmiechnęła się. Obecność w tym znajomym miejscu oraz widok starszaka przywołały wspomnienie czasów, kiedy bywała tu z Julianem, ich wspólnego śmiechu i cudownych chwil spędzonych razem.

Wiedziała, że tak będzie. Popełniła błąd przychodząc tutaj.

- Wyjątkowo okropna pogoda, nie sądzi pani? - powiedział starszek patrząc w stronę drzwi, gdzie nowo przybyli goście otrząsali z deszczu parasole.

- Obrzydliwa.

- Cóż, o tej porze roku trudno się spodziewać czegoś lepszego, więc chyba nie powinniśmy narzekać.

Ashley przyjrzała się zmarszczkom na jego twarzy, zastanawiając się, jak to jest, kiedy jest się starym i można oceniać własne życie z dystansu. Czy on by coś zmienił w swojej przeszłości? Niebieskie oczy patrzyły na nią zza okularów, ciepło i ze zrozumieniem.

- Czy mogę przy pani zapalić? - spytał, wyciągając papierosy.

- Oczywiście, bardzo proszę - odparła.

- A może pani ma ochotę? - Podsunął jej pudełko. Wzięła i podziękowała.

- W dzisiejszych czasach to trochę niemodne, prawda?
 - Próbował pan kiedyś rzucić palenie? - zainteresowała się.
 - Właściwie nie. Dla mnie to jedna z niewielu drobnych życiowych przyjemności. Zwłaszcza teraz, kiedy wiem, że nie powinienem palić. Dzięki temu czuję się jak buntownik.
 - Więc bądźmy buntownikami we dwójkę - powiedziała przypalając papierosa.
 - Będzie pani coś jadła? - spytał. - Polecam dziczyznę. Chyba że jest pani wegetarianką.
 - Nie, nie jestem wegetarianką.
 - To dobrze,
 - Dobrze?
 - Pewnie, że dobrze. W dzisiejszych czasach ludzie mają tyle zasad, że sami nie wiedzą, ilu przyjemności się pozbawiają. O ile uważa pani, że jedzenie dziczyzny jest przyjemnością... bo ja tak uważam.
 - Ale chyba panu nie przeszkadzają cudze zasady?
 - Oczywiście, że nie. Chodzi mi o fanatyków, którzy próbują narzucić innym swoje poglądy. Według tego, co ktoś tam kiedyś stwierdził, wszystko, co człowiek robi, jest niebezpieczne. Nie wolno palić ani pić. Dwie rzeczy, które sprawiają mi wielką przyjemność. Ponadto nie wolno ci jeść tego, co lubisz, oddychać powietrzem, które cię otacza. W lecie niebezpiecznie jest się opalać, a w zimie deszcz nie jest już zwykłym deszczem, tylko kropelkami kwasu. Nie powinienem nosić takich butów, jakie mam na nogach, bosą zrobione ze skóry, ani takiej czapki, bo jest z futra. Mam wymieniać dalej?
 - Chyba wiem, o co panu chodzi.
- Pociągnął mały łyk i odstawił kieliszek z powrotem na stół. W jego oczach pojawił się nagle przewrotny błysk.
- Wie pani, co dzisiaj zrobiłem? - spytał, nachylając się nad stolikiem i rozglądając dookoła, czy nikt niepowołany ich nie słyszy. Zaprzeczyła ruchem głowy. - No więc, dzisiaj setnie się ubawiłem. To było bardzo ryzykowne, muszę pani powiedzieć, ale dzisiaj czułem się odważny. Niech ich wszyscy diabli, pomyślałem sobie.

Przygotowany na poniesienie konsekwencji, wypaliłem w metrze całego papierosa. Calutkiego, do samego końca. Robiłem groźne miny i prowokowałem do zaczepki: Nic mnie nie obchodziło. Lubię żyć niebezpiecznie. - Bardzo niebezpiecznie - zgodziła się. - Czy ktoś zwrócił panu uwagę?

- Nie.

- Och...

Wysunął dolną szczękę.

- Byłem sam w wagonie.

Wybuchnęła śmiechem i miała ochotę go uściskać.

- Często pan tak ryzykuje?

- O tak. W zeszłym tygodniu kupiłem futrzaną czapkę i wyszedłem w niej ze sklepu. Niestety nikt mnie nie spryskał zieloną farbą, - Nagle się rozpromienił. - Ale jest jeszcze nadzieja. Noszę ją codziennie.

Pojawił się kelner gotowy przyjąć zamówienie od Ashley. Szybko podniosła ze stolika kartę i zaczęła ją przeglądać. Jednakże sama myśl o jedzeniu przyprawiła ją o mdłości, więc odłożyła kartę z powrotem na stolik. - Dziękuję, nie będę nic jadła. Ale czy może nam pan podać jeszcze dwa drinki?

- Obawiam się, proszę pani, że przepisy nakazują, aby pani coś zamówiła - powiedział kelner wręczając jej ponownie menu. Ashley nie wiedziała, co ma zrobić. Była pewna, że nie zdoła nic przełknąć, lecz nie chciała jeszcze stąd wychodzić. Staruszek wyreczył ją, zwracając się do kelnera:

- Pani weźmie stek z sarny, George, z zestawem jarzyn.

- Ależ nie, nie zjem tego - zaprotestowała Ashley, patrząc to na jednego, to na drugiego.

- Powinna pani! - upierał się kelner.

- Nie mogę - nie poddawała się Ashley. - Nie jestem głodna.

- Muszę wziąć od pani zamówienie - powtórzył kelner.

- George, zamówiłem dla pani danie. Stek z sarny z zestawem jarzyn. Kelner się oddalił. Nie chciał doprowadzić do kłótni.

Naprawdę nie mogę nic zjeść - broniła się wciąż Ashley.

- Nie twierdę, że pani może - wyjaśnił spokojnie starszy. - Ale ja mogę.

- Myślałam, że pan już...

Podniósł rękę, powstrzymując ją przed dalszymi protestami.

- Mam ochotę zjeść jeszcze jedną porcję. Zresztą, on mógłby próbować nakłonić panią do wyjścia, gdyby pani nic nie zamówiła, a niecodziennie mi się zdarza siedzieć przy stole z piękną młodą kobietą, nawet jeśli ta kobieta jest smutna i wolałaby siedzieć z kimś innym.

Ashley spojrzała mu w oczy. Umiechał się. Poczula ucisk w gardle. Przełknęła ślinę, zanim się odezwała.

- Przepraszam. Czy to widać?

- Trochę.

Spojrzała na swoje dłonie zaciśnięte na brzegu stolika.

- Pozwoli pani, że zgadnę. To ma" coś wspólnego z tym młodym człowiekiem. Z tym, z którym tu panią widuję od czasu do czasu. Ashley przytaknęła.

- Żeni się z kimś innym - powiedziała starając się nie okazać uczuć, jakie wywołało głośne wypowiedzenie tych słów. - Oczywiście, wiedziałam od dawna, że ma taki zamiar. Nigdy mnie nie okłamywał. Ale miałam nadzieję, że tego nie zrobi.

- Czy on wie?

- Czy co wie?

- Jak bardzo pani go kocha. Łzy zakłuły ją pod powiekami. .

- Tak.- Kelner przyniósł napoje.

- Pewnie pan myśli, że jestem śmieszna przychodząc tu i wywnętrzając się, dręcząc się wspomnieniami.

- Dlaczego śmieszna?

- Bo jestem śmieszna. Pomyślałam, że jeśli pana zobaczę, toto... Jestem żalosna i śmieszna.

- W pani cierpieniu nie ma nic śmiesznego powiedział: - Kiedy człowiek nagle traci cel w życiu, czuje się oszołomiony, zagubiony

i cierpi. Utrata kogoś ukochanego może złamać człowiekowi serce, a to wcale nie jest śmieszne.

- Ale ja nie potrafię myśleć o niczym innym. Zasypiam myśląc o nim, budzę się myśląc o nim, całymi dniami rozmawiam z nim w myślach, I cały czas zastanawiam się, dlaczego. Dlaczego to się musiało stać? Skoro los nie chciał, żebyśmy byli razem, to po co w ogóle nas zetknął? - Podniosła do ust szklanke.

- Wolałaby pani nigdy go nie spotkać?

- Nie. Ale nie chciałam, żeby to się tak skończyło. Myślałam, że mnie kocha. Naprawdę wierzyłam, że mnie kocha. A teraz wiem, że nie kochał.

- Mówił kiedyś, że panią kocha?

- Właściwie nie.

- Ale pani wiedziała?

- Tak. Tak mi się przynajmniej zdawało. Ale się myliłam. Bardzo się myliłam. Wierzyłam, że wszystko się szczęśliwie ułoży, tak jak jest w książkach i w filmach. Powiedziałam mu, co czuję, wierząc, że to wszystko zmieni. I właśnie dlatego jestem śmieszna. Wygłupiłam się. Takie poczucie to najgorsza rzecz, jaka człowieka może spotkać.

- Może i ma pani rację. Zawsze trudno pogodzić się z odrzuceniem. Poczucie, że nie jest się ważnym dla osoby, która dla nas jest najważniejsza, może człowiekowi złamać serce. To przynosi rozgoryczenie i złość, i potrzebę wyjaśnienia tej osobie, że ją kochamy, że zależy nam na niej tak bardzo, iż nie możemy bez niej żyć. Każda godzina zapowiada następną taką samą, każdy dzień staje się rieżarem nie do udźwignięcia. - Utkwił wzrok w jakimś punkcie ponad jej głową i Ashley domyśliła się, że wspomina przeżycia z własnej przeszłości. Nagle wrócił do terażniejszości i usnęchnął się.

Miała ochotę sięgnąć ponad stolikiem i dotknąć jego dłoni, ale nie starczyło jej odwagi, by to zrobić.

- Kochałem moją żonę - mówił dalej. - i straciłem ją. Umarła. Piec lat temu. Wtedy dalsze życie wydawało mi się niemożliwe. Bez niej wszystko było puste i bezwartościowe. Dopóki nie odeszła, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ją kocham. To jest jedna

z najsmutniejszych rzeczy w życiu, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak kogoś Kochamy, dopóki tego kogoś nie zabraknie. A wtedy jest już za późno. Dobrze pani zrobiła mówiąc mu o swoich uczuciach, mimo że to niczego nie zmieniło. Gdyby pani tego nie zrobiła, na zawsze pozostałaby pani niepewność. Ale wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, a pani jest młoda, ma pani całe życie przed sobą. Znajdzie się ktoś, z kim będzie pani je dzielić, i choć to się może pani w tej chwili wydawać niemożliwe, będzie go pani kochać. I niech pani się nie boi powiedzieć mu o tym. Nigdy nie wolno się wstydzić swoich uczuć.

- Ale chyba nie powinno się skupiać tylko na jednej osobie, uzależniać od niej swego szczęścia. Nie powinno się budować całego życia wokół jednego człowieka.

- Na tym właśnie polega kochanie.

- Ale to później tak boli... kiedy ta osoba odchodzi. Wie pan, że naprawdę chciałam, aby Julian umarł. Myślałam sobie, że gdyby umarł,¹ zachowałabym piękne wspomnienia i nie musiałabym żyć ze świadomością, że on mnie nie kochał. Już nigdy nikogo nie będę tak kochała.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

- Nie wierzy mi pan.

- Ależ tak, wierzę pani. Nie sądzę, aby pani kochała tak samo. Nigdy nie kocha się dwa razy tak samo. Nie przyszło pani do głowy, że może jednak on panią kocha?

- Cały czas tak myślałam, dopóki mi nie powiedział, że nadal ma zamiar ożenić się z Blanche. Ona tak ma na imię. Teraz znam prawdę.

- Czy to jest prawda? Czy powiedział, że pani nie kocha?

- Nie, ale nie musiał tego mówić. Nie jest okrutny. Przynajmniej nie w ten sposób.

- Może on także cierpi. Zapewne było mu bardzo trudno powiedzieć pani, że to koniec. Dlaczego pani z nim jeszcze raz nie porozmawia? Może to by pomogło.

- Nie, nie mogę z nim rozmawiać. Nie o nas. Jest zdecydowany i muszę się z tym pogodzić. Całe noce nie śpię, myślę o tym, jak byliśmy razem i zastanawiam się, gdzie popełniłam błąd. Co mogłam

zrobić, żeby temu zapobiec. Myślę sobie - gdybym zrobiła to, nadal bylibyśmy razem, gdybym zrobiła tamto, z pewnością by się we mnie zakochał. Potrzebuję snu, ale boję się, że będę śnić o nim. Boję się zbudzić z myślą, że wszystko jest w porządku i po chwili sobie przypomnieć, że jego już przy mnie nie ma. Takie życie jest koszmarem.

- Wiem. Ale jak wszystkie koszmary, i ten kiedyś minie, obiecuję to pani,

- Gdyby był jakiś środek na uśmierzenie tego bólu - westchnęła.

- Gdyby był, moja droga, może pani być pewna, że Amerykanie dawno by go zapakowali w butelki i sprzedawali.

Rozpogodziła się nieco.

- To zabawne, że kiedy człowiek się tak czuje, to wydaje mu się, że jest jedyną osobą na świecie, która tak cierpi. Tak, inni ludzie też miewają bolesne przeżycia, ale nikt nie ma pojęcia, przez co ty przechodzisz. Z nimi nie mogło być tak źle jak z tobą.

- Każdy ma swój sposób przeżywania bólu i straty i każdemu się wydaje, że on został pokrzywdzony najbardziej. - Podniósł szklaneczkę. - Gdy przyjdzie czas, otrząśnie się pani i podejmie walkę. Przyjdą lepsze dni, będzie się pani zdawało, że najgorsze minęło, a potem coś się wydarzy i znowu będzie źle. I właśnie w takie dni, kiedy to się wydaje niemożliwe, trzeba być dzielnym i walczyć. Z własnego doświadczenia wiem, że ci, co walczą, zawsze wygrywają. Ale trzeba być dzielnym. Brać życie za rogi i żyć. Buntować się przeciw rozpacz, która odbiera człowiekowi siłę, i powtarzać sobie, że ma się przed sobą całe życie, i nie bać się nowych wyzwań. Kiedyś będzie pani taka stara jak ja i wtedy nie będzie pani miała tylu możliwości zaczynania od początku. Proszę tylko pomyśleć; jakie ma pani szczęście, jakie to podniecające, zaczynać nowy etap w swoim życiu. Wszystko przed panią i nikt nie wie, co zdarzy się w przyszłości. Nie trzeba wciąż oglądać się za siebie.

- W pana ustach to brzmi tak, jakby moja sytuacja była godna pozazdroszczenia. Wydaje mi się, że byłoby łatwiej, gdybym go w ogóle nie widywała. Wie pan, my razem pracujemy.

- Cóż, ciężka sprawa. Ale im trudniejsza walka, tym wspanialsze zwycięstwo.

- Prawdziwie bojowe podejście.
- W końcu jestem starym bojownikiem. Pani też potrafi walczyć.
- Tak pan sądzi?
- Ja to wiem.

W takim razie zacznę walkę od zapalenia papierosa w metrze -zdecydowała i oboje wybuchnęli śmiechem. -
Lepiej się czuję po rozmowie z panem. A tak, nawiasem mówiąc, co z tym sarnim stekiem?

- George się poddał. Pewnie się domyślił, że to ja mam zamiar go zjeść, a wie, że nie wolno mi jeść zbyt dużo mięsa. Boże, uchwaj nas przed ludźmi, którzy się o nas troszczą.
 - Ale dzięki Bogu, że tacy są.
 - Też prawda.
 - Strasznie się tu przed panem wywnętrzałam. Przepraszam.
 - Nie musi pani przeproszać. Chyba że zamierza pani się jednak załamać.
 - Nie zamierzam. Wiem, że jakoś sobie z tym poradzę. Tylko tęsknię za nim i mam ochotę udusić go za to, że przez niego czuję się taka dziecinna i śmieszna.
 - No i proszę, rozmowa zatoczyła koło i wróciliśmy do punktu wyjścia,
 - Owszem. Obawiam się, że przez ostatnie cztery dni cały czas kręciłam się w kółko.
 - Hm. Tylko że to prowadzi donikąd,
 - Do rozpamiętywania wszystkiego od początku. - Ja tego nie robię.
- AsbJey westchnęła ciężko.
- Wydaje mi się, że pani też powinna kupić sobie jutro futrzaną czapkę - poradził.
- Spojrzała w pocziwą twarz starego człowieka i uśmiechnęła się.
- Dziękuję, że mnie pan wysłuchał.
 - Ja także pani dziękuję - rzekł. Wiedziała, że i dla niego ta rozmowa coś znaczyła. Wyciągnęła rękę ponad stolikiem i serdecznie uścisnęła mu dłoń. Oczy staruszka połyskiwały ciepło zata otntłasów. Ashley nie żałowała już, że tu przyszła.

Rozdział 6

Padło przez całą drogę do Brighton i Jenneen poczuła więcej niż ulgę przyjechawszy wreszcie do małego hoteliku, w którym miała zarezerwowany pokój. Na następną noc zatrzyma się w Metropolu, razem z filmowcami. Ale dzisiejszy wieczór to co innego.

Rozglądała się po mrocznej recepcji, podczas gdy dziewczyna zza kontuaru zniknęła gdzieś w poszukiwaniu klucza. Pomieszczenie zapelniały wygniecione sofy i inne zniszczone, pochodzące najwyraźniej z komisji sprzętu, rozstawione w dość przypadkowych

miejskach. W oknach brakowało firanek i widać było nieustające strumienie lejącego deszczu. Zadrżała i odwróciła się z powrotem do kontuaru. Młoda recepcjonistka wyszła z kluczem z małego pokoiku na zapleczu. Podsunęła Jenneen książkę wpisów.

- Dziękuję, pani Green - powiedziała i wręczyła jej klucz.

- Przypuszczam, że wrócę dzisiaj dość późno. - Jenneen schyliła się po swój bagaż. - Może macie jakiś zapasowy klucz do drzwi wejściowych, który mogłabym zabrać ze sobą. Na wypadek, gdybyście chcieli wcześniej zamknąć.

T Nie ma problemu - odparła dziewczyna. - Proszę wziąć mój, ja i tak nigdzie nie wychodzę. Nie w taką pogodę.

Jenneen wzięła klucz i ze swoją torbą podróżną w ręku skierowała się w stronę schodów.

- Mam nadzieję, że będzie pani miała przyjemny pobyt - zawołała za nią dziewczyna.

Jenneen uśmiechnęła się, ale nie spojrzała jej prosto w twarz - nie chciała ryzykować. Miała kapelusz wciśnięty głęboko na oczy i twarz opatuloną szalem. Nie, nie było niebezpieczeństwa, że zostanie rozpoznana. Zresztą, ta dziewczyna nie sprawiała wrażenia specjalnie zainteresowanej.

Jenneen wniosła torbę na drugie piętro i otworzyła drzwi pokoju numer sześć. Zastała dokładnie to, czego się spodziewała. Wielkie podwójne łóżko, małą poobijaną szafę, bez wątpienia pochodzącą z miejscowego komisju, i oczywiście Biblię, leżącą na stoliku pomiędzy dwoma głównymi meblami. Schowała ją do szafy.

Widok Biblii zawsze wprawiał ją w pewnego rodzaju niepokój, zwłaszcza w takie wieczory jak dzisiejszy.

Okno najwyraźniej nie było otwierane od miesiący. Domyśliła się, że w dzień widać przez nie morze.

Obok okna stała niewielka komódka, a nad nią wisiało lustro. Jenneen postawiła torbę na łóżku, zapaliła kinkiet i usiadła.

Przez chwilę z pochyloną głową nasłuchiwała hałasu dobiegającego z sąsiedniego pokoju, po czym wróciła wzrokiem do swego odbicia w lustrze.

Trzęsły jej się ręce. Nieznacznie[^] na tyle jednak, że zapragnęła Się napić. Była na to przygotowana, więc wyjęła butelkę z torebki i udała się do łazienki w poszukiwaniu szklanki. Znalazła dwie. Jeszcze jeden powód, by meldować się w dwuosobowych pokojach. Nalała trochę whisky do jednej ze szklanek i pociągnęła potężny łyk. Dołała kolejną porcję i postawiła szklankę na komodzie.

Teraz patrząc w lustro poczuła się trochę pewniej. Jej twarz nadal zakryta była kapeluszem i szalikiem; zdjęła je i rzuciła na brzeg łóżka. Potem zdjęła futro i również odłożyła je na łóżko.

Rozsunęła zamek torby. Sukienka, której potrzebowała, leżała na samym wierzchu. Jenneen szybko zrzuciła z siebie dzinsy, sweter i bieliznę i naga stanęła przed lustrem. Długo wpatrywała się w swoje odbicie. Twarz była pozbawiona wyrazu, a jasne włosy oklapły wokół twarzy od noszenia kapelusza. Przyjrzała się śnieżnobiałej skórze ramion i małym piersiom. Dotknęła ich delikatnie, a drugą rękę przesunęła w dół po płaskim brzuchu. W tym miejscu lustro się kończyło. Spojrzała znowu na swoją twarz.

- Jenneen Grey - szepnęła do swego odbicia, a potem wykrzywiając lekko usta dodała: - Pani Green.

Sięgnęła znowu do torby. Jej ruchy były powolne i przemyślane. Tym razem wyjęła przybory do makijażu.

Najpierw brązowy ołówek. Przesunęła nim po jasnych brwiach, przyciemniając je i nadając tym swojej twarzy ciężki, niemal męski wygląd. Teraz tusz do rzęs - czarny. Oczy nabrały odpowiedniego wyrazu.

Znowu ołówek. Górna i dolna powieka, podkreślone rzęsy. Odchyliła się, obserwując w lustrze efekt i z nagłym uśmiechem dotknęła ołówkiem polkaka. Piepizyk? A dlaczegoż by nie?

Teraz trochę różu. Kilka razy przesunęła pędzelkiem po policzkach, rozprowadzając kolor aż do skroni, co dało efekt podwyższenia kości policzkowych i wrażenie zmiany rysów. Po tym zabiegu jej twarz wydawała się dłuższa i bardziej pociągła.

przyszła kolej na szminkę. Soczysta czerwień, mocno błyszcząca. To była najbardziej skomplikowana część operacji, Zmiana kształtu ust powinna zmienić całą twarz. Zanurzyła cienki pędzelek w słoiczku

z tłustą emulsją i obrysowała kontur ust. Przyjrzała się dokładnie swemu dziełu. Wyraźnie nabierała wprawy, chociaż te nowe usta wydawały się trochę za duże w stosunku do jej rysów. Nie miało to znaczenia.

Dokończyła malowania warg i sięgnęła po sukienkę.

Chłodny dotyk jedwabiu na skórze wydawał się przyjemny. Wygładziła fałdy na ramionach i nie odrywając oczu od lustra zapięła guziki, jeden po drugim, i zawiązała pasek.

Była prawie gotowa. Wzięła do ręki grzebień i szeszała włosy z twarzy, upinając je wysoko na czubku głowy. Peruka, którą wyjęła z torby, była w ciemnym, lekko kasztanowym odcieniu.

Odsunęła się nieco od lustra, by móc w pełni podziwiać swoją nową tożsamość. Jak łatwo było stać się zupełnie inną osobą. Jak łatwo żyć innym życiem. Poczwała, jak krew zaczyna jej szybciej krążyć w żyłach, jak narasta w niej podniecenie i oczekiwanie. Spojrzała na zegarek. Dziesiąta. Czas wyjść. Została jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia.

Wyjęła z torby pasek i pończochy. Znowu trzęsły jej się ręce. Whisky; jeszcze kropelkę whisky. Wychyliła* szklanekę jednym haustem i westchnęła. Już lepiej. Podniosła sukienkę, włożyła pasek i naciągnęła na nogi pończochy. Jeszcze jeden łyk whisky. Chwyciła futrzany płaszcz, zgasiła światło i wyszła z pokoju.

Deszcz przestał padać, ale było bardzo zimno. Owinęła się szczelnie płaszczem. Przez moment odniosła dziwne wrażenie, że jest śledzona, ale rozejrzała się parę razy i nie zauważyła nikogo. Z uczuciem, że wyobraźnia płata jej figle, ruszyła przed siebie szybkim krokiem.

Starła się nie myśleć o tym, co powiedziałyby jej przyjaciółki, widząc ją w tej chwili. Byłyby przerażone, rozczarowane, może nawet pełne pogardy. Z pewnością zadałyby jej pytanie, na które nie mogła odpowiedzieć, i którego obawiała się zadać nawet sama sobie.

Dlaczego? Co ją skłania do robienia tego, co robi?

Tyle ryzyka, strasznego, bezsensownego ryzyka za każdym razem. Może właśnie o to chodziło. Może Właśnie ryzyko dawało jej ten dreszcz; Groźba, że zostanie zdemaskowana. Nie miała zamiaru teraz o tym myśleć. Była panią Green, a pani Green nie przejmowała się

takimi rzeczami. Pani Green robiła wszystko to, czego Jenneen Grey robić nie mogła, ale do czego ciągnęło ją w te noce niepojętego szaleństwa. Pani Green była wszystkim, czym chciała być Jenneen... dziś wieczorem. Zanim dotarła na miejsce, znowu się rozpadało. Zdziwił ją widok tak wielu ludzi przy barze i na dwóch parkietach usytuowanych po obu stronach podium discjockeya. Wyglądali bardzo młodo. I oczywiście byli młodzi. Przynajmniej o dziesięć lat młodszy od niej. Dyskoteki takie jak ta były przeznaczone dla młodzieży. Podeszła do mniejszego baru z tyłu sali i usiadła przy wolnym stoliku. Kelner zapytał, czego się napije, więc zamówiła dużą szkocką. Ponownie rozejrzała się po sali. Sami młodociani. Śliczne dziewczyny czekające, aż je ktoś poprosi do tańca, i nieśmiali, trochę niezręczni chłopcy, zbyt skrepowani, by je poprosić. I kto mówi, że warto mieć znowu dwadzieścia lat!

Powoli sączyła drinka czując, jak jej ciało samo kołysze się w takt melodii. Czy ktoś ją poprosi do tańca? Mjała teką nadzieję. Uwielbiała dotyk młodego ciała, giętkiego i mocnego, choć niedoświadczonego, ocierającego się o nią w rytm muzyki.

Czas płynął, zamówiła drugą whisky i zaczęła się właśnie zastanawiać, czy przypadkiem iu marnuje czasu, kiedy dostrzegła dwóch chłopców, z których żaden nie miał więcej niż osiemnaście lat, przyglądających jej się z drugiego końca sali. Zaszło jej w gardle i poczuła, że poca jej się dłonie. Odwróciła się w stronę baru i podniosła do ust szklankę. Gdy po chwili zerknęła w tamtą stronę, stwierdziła, że wciąż na nią patrzą. Uśmiechali; się wymieniając między sobą jakieś uwagi. Odpowiedziała im uśmiechem, a oni spojrzeli po sobie i mrugnęli. Chciało jej się śmiać. Jakże to było mało oryginalne.

Odczekała chwilę, ale nie trwało to długo. Ruszyli w jej stronę zatrzymując się po drodze. Wiedziała, że będzie musiała jakoś ich ośmielić przed ostatecznym podejściem. Zwilżyła językiem wargi, wydeła usta i odwróciła się do nich z zachęcającym uśmiechem. Podziałało. Uśmiechnęli się szeroko i podeszli.

- Cześć - odezwał się wyższy i przystojniejszy.

- Cześć.

- Sama? Przytaknęła.

- Jestem Neil - przedstawił się. - A to jest Sean.

- Cześć, Sean.

Stali przed nią trochę onieśmieleni.

- Nie powiesz nam, jak się nazywasz? - odważył się wreszcie Neil.

- Pani Green.

- Tak się mamy do ciebie zwracać? - spytał zaskoczony.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Nie ma pani żadnego imienia?

- Jane.

- Możemy się przysiąc? - Sean przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

- Już to zrobiliście - roześmiała się, a oni jej zawtórowali. Spoglądali po sobie, usiłując wymyślić coś do powiedzenia.

- Powiedz mi - zaczął Neil - co taka ładna kobieta jak ty robi tu całkiem sama?

Jenneen poczuła brzemień swoich lat. Kobieta, hmm? Już nie dziewczyna, ale sposób podrywania bez zmian.

Wzruszyła ramionami.

- Nudziło mi się samej w domu.

- Mieszkasz w Brighton? - spytał Sean.

- Niedaleko za miastem. A wy?

- My obaj tu mieszkamy.

- Pracujecie tu?

- Chodzimy do college'u - wyjaśnił Neil.

- Aha. - Opróżniła szklanekę.

- Możemy ci postawić następnego drinka? - spytał Neil.

- Yhm, proszę.

Wezwał kelnera i zamówił trzy szkockie. Sean zaproponował przeniesienie się na półokrągłą kanapę w rogu sali. Jenneen wyraziła zgodę. Wygładziła jedwabną sukienkę na udach i usiadła pomiędzy

Neilem i Seanem, Nastąpiła kolejna chwila niezręcznej ciszy, kiedy chłopcy wymyślali temat do rozmowy. Jenneen zaśmiewała .się w duchu.

- Często siedzisz sama w domu? - zaczął Neil.

- Od kiedy mąż mnie opuścił. - Kłamstwa wychodziły jej z ust z niebywałą łatwością.

- Chyba zwariował! - stwierdził z przekonaniem Sean, patrząc na jej nogi.

- Dziękuję. - Z uśmiechem przyjęła komplement.

- Masz ochotę zatańczyć? - Propozycja padła od Neila.

- Z przyjemnością.

Sean wyglądał na trochę zawiedzionego. Ale było jeszcze mnóstwo czasu, wieczór dopiero się zaczynał.

Podczas tańca Jenneen czuła na sobie wzrok Neila, co chwila zahaczający o jej piersi poruszające się swobodnie pod sukienką. Podniósł oczy i widząc, że go obserwuje, zaczerwienił się. Roześmiała się głośno.

- Co cię tak śmieszy? - próbował przekrzyczeć muzykę.

- Nic takiego!

Roześmiał się także, odszukał wzrokiem Seana i mrugnął do niego. Seanowi nie bardzo się spodobał ten sygnał - wyglądało nato, że Neil znowu odejdzie z dziewczyną zostawiając go na lodzie.

Jenneen została na parkiecie z Neilem przez dwa następne tańce, ale kiedy muzyka zwolniła tempo, skierowała się do stolika. - Nie lubisz wolnych? - zdziwił się Neil siadając obok niej.

- Owszem, lubię, ale chciałabym na chwilę usiąść - wyjaśniła. Siedzieli w milczeniu słuchając muzyki i obserwując tańczących. Wszyscy troje śmiali się i bili brawo, kiedy discjockey ogłosił zaręczyny młodziutkiej, nieśmiałej pary. Spytał narzeczonych, jakie nagranie chcieliby usłyszeć, a oni wybrali romantyczną piosenkę, którą Jenneen bardzo lubiła.

- Może jeszcze zatańczymy? - zaprosił Neil, biorąc, ją za rękę. Pozwoliła rmi zaprowadzić się na parkiet i kiedy wziął ją w ramiona,

Poczuła, że krew zaczyna w niej wrzeć. Głód w jego spojrzeniu,

kontrastujący z niewinnością młodego ciała, działał na nią jak magnes. Wtuliła się w niego i poddała kołysaniu, niestety mocno odbiegającemu od rytmu muzyki.

- Jesteś piękna - szepnął jej do ucha, błędząc dłonią po jej plecach. Nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko z naiwności jego

wyznania. Przyłgnęła do niego mocniej i wyczuła jego sztywniejącą męskość. Potem wsunęła mu ręce pod marynarkę i zaczęła go gładzić po pośladkach. Usłyszała westchnienie i po chwili, zgodnie z oczekiwaniem, poczuła jego pocałunek. Gdy nagranie się skończyło, poszli na miejsce.

- Pocałunki na parkiecie! - roześmiała się Jenneen. - Czuję się, jakbym znowu była młoda.

- Przecież nie jesteś stara - zaproponował Neil, przerzucając rękę przez oparcie kanapy.

- No, nie bardzo - zgodziła się. Bawił ją wyraz twarzy Seana. -Może ty nasz ochotę zatańczyć? - zwróciła się do niego.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać i z zapalem wprowadził ją na parkiet

Tańczył całkiem dobrze, lepiej niż Neil. Jenneen doszła do wniosku, że poza brzydko obciętymi blond włosami Sean wygląda wcale nie najgorzej. Jak miała pomiędzy nimi wybierać? Cóż, nie będzie się tym martwić. Może oni zadecydują

Piosenka dobiegła końca. Jenneen odwróciła się i zaczęła schodzić z parkietem. Sean nie puścił jej ręki i przyciągnął ją znowu do siebie. Zaczynała się nowa melodia. Jenneen zarzuciła mu ręce na szyję,

- Pójdiesz ze mną do domu? - spytał bez ogródek i natychmiast się zmieszał, widząc, że ją rozśmieszył.

- Może ^ odparła.

Wieczór mijał powoli, a oni troje rozmawiali, tańczyli, popijali. Im więcej pili, tym stawali się śmielsi.

Chłopcy zaczęli być natarczywi i nie kryli swych zamiarów. .

Jenneen wyszła do toalety poprawić makijaż i stwierdziła, że wcale się nie rozmazał, czego się obawiała.

Wracając spostrzegła, że chłopcy się kłócą - wydawało jej się, że usłyszała coś na

temat pieniędzy. Zauważyła, że jej szklanka została znowu napełniona i domyśliła się, że kończą im się fundusze. Usiadła i podniosła szklankę do ust.

- Dziękuję za drinka - powiedziała, pociągając mały łyk.

Sean był zmieszany, nerwowo skubał klapę marynarki. Jenneen popatrzyła na niego, ale ponieważ się nie odezwał, zaczęła obserwować tańczących.

Przez chwilę studiował jej profil, a potem gwałtownym ruchem wychylił swoją szklankę.

- Zastanawiamy się, czy grasz w te klocki.

- Pieprzysz, Sean! To trochę za mocne, nie? - zachłysnął się Neil, ale nie spuszczał oka z Jenneen oczekując odpowiedzi.

Roześmiała się. Uwaga była jak najbardziej na miejscu. To zabawne, jak pani Green mogła się śmiać z czegoś takiego. Jenneen Grey byłaby ciężko obrażona.

- A dlaczego?

- Nie, nic - wycofywał się Sean. - Przepraszam, nie powinienem był tego powiedzieć.

Neil obserwował ją, mierzył ją wzrokiem z góry na dół i zauważył, że rozpięła kolejny guzik sukienki.

Świadoma, że On patrzy, Jenneen nachyliła się po swojego drinka. Głośno przełknął ślinę. Doprowadzała go do szaleństwa. Kiedy z powrotem odchyliła się na oparcie kanapy, objął ją, przyciągnął do siebie i zaczął całować. Pozwoliła mu na to, ale sama nie wykonała żadnego ruchu. W końcu odepchnęła go i spojrzała na Seana, który obserwował parkiet z udawanym zainteresowaniem. Roześmiała się. Wzięła go za rękę i położyła ją sobie na piersi. Czekwała, co chłopak zrobi. Zaskoczony podrapał się wolną ręką po głowie, ale kiedy uwolniła jego dłoń, nie wycofał się. Czuł nabrzmiały sutek ocierający się o jedwab sukienki. Przysunął się jeszcze bliżej i objął ją za szyję. Otworzył szeroko usta, za szeroko, a ona wsunęła w nie język, rozpoczynając długi, zmysłowy pocałunek.

Neil odwrócił się bokiem, osłaniając ich od parkiem. Poczula jego

Dłoni na udzie. Na moment zastygła w bezruchu, ale zaraz potem rozsunęła lekko nogi. Nie posuwał się dalej niż do miejsca, gdzie kończyła się pończocha, więc przesunęła się bliżej niego. Słyszała, jak łapie oddech, kiedy dotknął jej i odkrył, że jest naga. Jęknęła prosto w otwarte usta Seana, kiedy Neil poruszył palcami, a potem wziął jej rękę i przyłożył sobie do krocza. Oswobodziła głowę i spojrzała kolejno na każdego z nich.

- No więc? - odezwał się Neil z pałającą twarzą. - Który z nas będzie tym szczęściarzem?

Z uśmiechem podniosła szklankę i zaczęła wolniutko saczyć resztę whisky. Odstawiła naczynie dopiero, kiedy było całkiem puste.

- Więc który z nas? - spytał Sean zduszonym głosem. Roześmiała się i odgarnęła włosy z twarzy.

- A może obydwaj?

Popatrzyli po sobie, najpierw zdumieni, potem podnieceni. Sean zgodził się pierwszy, Neil też nie kazał długo czekać na swoją zgodę.

- Dlaczego nie? Ja jestem chętny.

- W takim razie idę po płaszcz - podjęła decyzję i wstała.

Rozdział 7

Bob cichutko wymknął się z łóżka, nie chcąc przeszkadzać śpiącej Ellamarie, i przeszedł na palcach przez pokój. Spojrzał na zegarek - za dziesięć trzecia. Miał jeszcze sporo czasu przed udaniem się na stację.

Zza okna dobiegał gwar przechodniów robiących świąteczne zakupy na King's Road. Narzucił szlafrok i poszedł do kuchni nastawić kawę.

Tego popołudnia nie było prób. Kolejna miała się odbyć w poniedziałek, dzień przed Wigilią, a potem miała być przerwa do dwudziestego dziewiątego grudnia. Ogólnie szło nieźle, choć życzymy sobie, żeby Maureen Woodfey bardziej stosowała się do jego

wskazówek. Może powinien poświęcić trochę czasu jej samej? Ale skąd miał wziąć ten czas? *Don Giovanni* w jego reżyserii wracał na afisz w Colisseum w lutym, a Old Vic dosłownie błagał go o wystawienie *Long Day's Journey Into Night*. Do tego jeszcze otrzymał propozycję zrobienia filmu, na której bardzo mu zależało. Minęły już prawie dwa lata od czasu, gdy wyreżyserował ostatni film. Otrzymał za niego zresztą nagrodę.

Kiedy stawiał kubki na kuchennym blacie, zauważył portfel ze zdjęciami, który musiała tam zostawić Ellamarie. Czekał, aż woda się zagotuje, zaczął je przeglądać. Patrząc na nie bezwiednie się uśmiechał. Zostały zrobione przeszło dwa lata temu, podczas ich wspólnego długiego weekendu w Szkocji. Nazywali ten okres miodowym miesiącem i rzeczywiście taki był. Nigdy nie zapomni, jak kochali się pierwszy raz, na stoku góry o zachodzie słońca. Wciąż miał przed oczyma jej jasną skórę na tle soczystej zielonej trawy i polnych kwiatów, pamiętał, jak wyciągała do niego ramiona i szeptem prosiła, by się z nią kochał.

Wzruszenie ścisnęło go za gardło, kiedy przypomniał sobie, jak zastanawiał się wówczas, czy to możliwe, aby taka miłość mogła trwać. Okazało się możliwe - właściwie kochał ją teraz jeszcze bardziej. Trzymał w dłoni zdjęcie państwa Duff, prowadzących mały hotelik, w którym się zatrzymali. Ellamarie lubiła ich rozśmieszać. Posmutniał, przerzucając fotografie, gdy pomyślał, że to niepewność co do przyszłości ich związku każe jej rozpamiętywać przeszłość. Nagle roześmiał się na widok kilku źle wykadrowanych fotografii przedstawiających go jadącego konno przez zagajnik i...

O Boże! Jak mógł zapomnieć? Musi dziś po południu odebrać nowe buty Lindy do konnej jazdy. I gdzie jest ta lista rzeczy, które kazała mu po drodze kupić u Harrodsa? Pewnie ją zostawił w teatee. Cholera, to znaczy, że będzie musiał tam wrócić. Jej prezenty tejs tam zostały. Niech to szlag trafi! Znowu spojrzął na zegarek. Nie starczy mu czasu na to wszystko, będzie musiał odłożyć pewne sprawy na jutro. Matka zatrzyma się na noc w zajeździe w Londynie. Rzecz jasna, nie może o tym powiedzieć Ellamarie. Westchnął. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby mógł zamieszkać tu w Londynie

z Ellamarie. Będzie za nią tęsknił w święta, ale nie było sensu myśleć o tym teraz - musiał jechać do domu i tyle.

Czajnik się wyczerpał. Wstał i nasypał rozpuszczalnej kawy do dwóch kubków.

- Obawiam się, że nie ma mleka.

Odwrócił się gwałtownie i dostrzegł Ellamarie - patrzyła na niego stojąc w drzwiach.

- No to wypijemy czarną- odparł, ale nie wrócił do przyrządzania kawy, lecz dalej na nią patrzył. Miała jeszcze zasnęłą twarz, zmierzwiłone włosy spadały jej na ramiona. Nic na sobie nie włożyła, stała całkiem naga, nie okazując żadnego skrępowania.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo, podeszła i objęła go za szyję. Całując ją w usta, błędził rękami po jej plecach. Jego ciało pod' okryciem odpowiadało na jej nagość. Odsunęła się lekko, prezentując mu się w całej okazałości. Poczuł, jak znowu narasta w nim pragnienie. Westchnęła cichutko, kiedy objął jej piersi i nachylił się, by je pocałować. Gdy jego usta stały się bardziej natarczywe, mocno wbiła mu palce w ramiona. Odsunął się niechętnie. Jutro wracał do żony i bał się, że ogarnięta namiętnością Ellamarie może go podrapać.

Pocałował ją lekko w czubek nosa.

- Jesteś nienasycona - szepnął.

- Wiem o tym - przyznała i wsunęła mu ręce pod szlafrok. Pieściła go coraz namiętniej, a on odchylił głowę do tyłu, niezdolny powstrzymać wzbierającej w nim fali. Uśmiechnięta patrzyła mu w twarz, obserwując malujące się na niej uczucia. Próbował ją objąć, ale odepchnęła jego ręce i rozpięła mu szlafrok. Nie zrobił nic, żeby ją powstrzymać, więc szlafrok zsunął się na podłogę. Całowała go po szyi, ramionach, zanurzyła palce w kępkę włosów na jego piersi. Jego oddech stał się cięższy, kiedy zaczęła wodzić po jego ciele ustami.

Opadła na kolana całując go po brzuchu, owiewając go gorącym oddechem. Patrzył jej w twarz i kiedy zwilżyła usta obwodząc je końcem języka, zacisnął dłonie na krawędzi blatu wydając stłumiony jęk. Zamknął oczy, czekając, aż otoczy go ciepło jej warg. Zaczęła go delikatnie całować długimi, niespiesznymi pocałunkami. Muskała jego

biodra, brzuch i pachwiny, biorąc do ust kolejno każde z jąder i pieszcząc językiem do momentu, gdy wydawało mu się, że jest bliski eksplozji.

Następnie czubkiem języka zaczęła obwodzić koniuszek jego członka, całując go i lekko ściskając zębami. Objęła go dłonią i delikatnie drażniąc palcami zbliżyła do ust, tak że czuł wilgotne ciepło jej oddechu.

- Och, Ellamarie - jęknął i przyciągnął ją do siebie. - Teraz, proszę cię, teraz...

Kiedy wzięła go do ust, poczuł, że jest o krok od wybuchu. Niemal gwałtownie zaczęła go ssać i naciskać językiem. Obejmowany jej dłońmi i ustami, wytrysnął prosto w nią, chwytając ją za włosy i przyciskając jej twarz mocno do swego łona, tracąc oddech, kiedy wyciągała do ostatniej kropli cały sok z jego ciała.

Z trudem oddychał, wczepiony dłońmi w blat. Nie był pewien, czy utrzyma się na własnych nogach.

Ellamarie wstała i zarzuciła mu ręce na szyję. Miał oczy zamknięte, ale wiedział, że patrzy na niego, więc przygarnął jej głowę do swej piersi.

Długo stali tak przytuleni do siebie. Słuchała bicia jego serca, przechodzącego stopniowo w równomierny rytm; czuła dotyk jego palców głaszczących jej gołe ramiona.

- Kocham cię - szepnął, odzyskawszy wreszcie normalny oddech. Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy. - Wiesz, że jesteś niezwykła, prawda?

Odpowiedziała uśmiechem.

- Kawy? - spytała, uwalniając się z jego objęć. Skinął głową. Stał za nią, kiedy nalewała kawę.

- Mam dla ciebie niespodziankę - szepnął jej do ucha, przyciągając ją do siebie.

- Chyba nie masz na myśli... - Odwróciła się do niego z uwodzicielskim błyskiem w oczach.

- Nie, nic to. - Roześmiał się. - Ale jeśli się natychmiast nie ubierzesz, to kto wie. - Klepnął ją w goły pośladek i przeszedł do jadalni.

Kiedy do niego po chwili dołączyła, miała na sobie różowy jedwabny szlafrok, który kupił jej na urodziny.

Odetchnął z ulgą. Wprawdzie pociąg matki przyjeżdżał dopiero o szóstej, ale robiło się

późno. Spojrzał na zegarek i natychmiast pożałował tego odruchu. To było głupie, starał się nigdy tego nie robić w obecności Ellamarie. Nic nie powiedziała, ale zauważył przelotny cień na jej twarzy.. Wręczyła mu kubek i usiadła na drugim końcu kanapy, skąd mogła na niego nie tylko patrzeć, ale i dotknąć go wyciągając rękę.

- Powiedziałeś, że masz dla mnie niespodziankę. Spodoba mi się?

- Tak myślę - powiedział, uśmiechając się i spoglądając na-nią z ukosa. - Mam nadzieję.

- No to powiedz mi, co to takiego.

- Spróbuj zgadnąć.

- Hm, nie wiem, co to może być. Podpowiedz mi.

- Zastanówmy się. Już wiem. Ze wszystkich rzeczy, jakie mogłyby się zdarzyć, której byś chciała najbardziej? Ellamarie wpatrywała się w niego z napięciem. Czyżby on...?

W tym momencie już wiedział, że popełnił straszny błąd. Myślał gorączkowo, co powiedzieć, za wszelką cenę chciał ją powstrzymać przed wypowiedzeniem tego, o czym pomyślała.

- Tak, chodzi o film! - oświadczył uroczyście. - Zaproponowano mi, żebym wyreżyserował *Słynną tragedię królowej Kornwalii*. I pomyślałem sobie, że pewnie będzie ci odpowiadała rola królowej,

Odwróciła się szybko, by ukryć rozczarowanie, i sięgnęła ;po

- Co, nie jesteś zadowolona? - spytał, a wymuszony lekki ton zabrzmiał fałszywie nawet w jego własnych uszach. - Ależ jestem - odparła. - Oczywiście, że jestem.

Opuścił wzrok, wściekły na siebie zasposób, w jaki przekazał jej tę wiadomość. Dostrzegła, że drżą mu ręce, kiedy podnosi kubek, i zrobiło jej się go żal Wiedziała, że jest mu przykro, że jest na, siebie zły, bo sprawił jej zawód, a chciał jej przecież zrobić przyjemność.

Rozpromieniła się w uśmiechu, i z drugiego końca kanapy rzuciła mu się.jw ramiona tak, że ledwie zdążył odstawić kawę na stół. Pocałowała go szybko w usta.

- Mówiłam ci już kiedyś, że mam fioła na twoim, punkcie? Jezu, nie mogę- w to uwierzyć. Film! Ja w filmie! *Słynna tragedia-*

Zaczęła tanecznym krokiem krążyć po pokoju. - Kiedy to się stało? - zainteresowała się, przystając przed nim na moment - Czemu nic mi o tym nie wspomniałeś? Kiedy zaczynamy zdjęcia? Śmiał się, patrząc na nią.

- Jeszcze nie tak od razu. Wiesz, jak to zwykle wygląda.

- Ale Bob - wykrzyknęła składając ręce. - Przecież to cudowne. Wyobrażasz sobie? Będę gwiazdą filmową. Zawsze o tym marzyłam. Szekspir i filmy. Teraz będę robić jedno i drugie. Czy to znaczy, że pojedziemy do Francji i do Konwalii? Pojedziesz wcześniej wybierać plenery? Będę mogła pojechać z tobą?

Skinał potakująco.

- No nie, nie mogę w to uwierzyć - entuzjasmowała się. - Na jak długo? To znaczy, że będę cię miała tylko dla siebie.

- To zabawne, właśnie myślałem, że to ja będę cię miał wyłącznie dla siebie.

- Nie mogę się doczekać! Czy scenariusz jest już gotowy?

- Mam nadzieję, że będzie gotowy zaraz po świętach. I jaki jest?

- Dobry. Można powiedzieć, że bardzo dobry. Ale chcę jeszcze przedyskutować kilka spraw z autorem. Jestem pewien, że będę mógł dać ci egzemplarz do przeczytania tuż po Nowym Roku.

- Och, Bob! - zawołała uszczęśliwiona. - Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć Jenneen. Ona się tak ucieszy. I Ashley też. I Kate.

- I ja. - Przyciągnął ją z powrotem do siebie.

- I ty - westchnęła. - Tak bardzo cię kocham, wiesz? Kocham cię tak bardzo, że mogłabym umrzeć.

Skuliła się w kłębek w jego ramionach. Głaskał ją czule po włosach, ciesząc się w duchu, że chwila napięcia minęła.

Była szczęśliwa. Właśnie tego chciała - być z nim, cały czas non pracować. I chociaż przed chwilą doznała rozczarowania, a jej nadzieje okazały się płonne, w głębi serca była przekonana, że pewnego dnia się spełnią i będzie razem z Bobem.

- O której musisz wyjść? - spytała, przekręcając mu zegarek na nadgarstku.

- Za jakieś pół godziny. Muszę jeszcze wstąpić do teatru zabrać kilka rzeczy.
 - Tak? - zdziwiła się. - Myślałam, że wszystko wzięłaś.
 - Nie. Właśnie sobie przypomniałem, że zostawiłem parę drobiazgów i muszę po nie pojechać.
 - Pewnie tekst? - domyśliła się.
 - Nie. - Prawie natychmiast pożałował, że nie potwierdził jej domysłów.
 - W takim razie co to takiego? - Sama nie wiedziała, dlaczego tak naciska. W końcu to, że musi wrócić do teatru, nie było niczym nadzwyczajnym. Ale było w jego zachowaniu coś, co mówiło jej, że on nie chce, aby wiedziała, po co wraca.
 - Nic ważnego. - Zmienił pozycję, kręcąc się nerwowo.
 - Skoro nic ważnego, to czemu po to jedziesz? - ciągnęła, nienawidząc samej siebie za to wypytywanie.
 - Bo muszę.
 - Więc cóż to takiego?
 - No dobrze - westchnął. - To prezent gwiazdkowy. Wyprostowała się sztywno.
 - - Dla niej, tak?
 - Tak - przyznał i usiłował wziąć ją za rękę.
- Odsunęła się od niego. Dlaczego nie skłamał? Czyż nie próbowała wszelkimi siłami starać się nie myśleć za dużo o świętach? O tym jak on spędza je ze swoją żoną. O swojej samotności. Rodzina Elłamarie nie chciała przylecieć ze Stanów, a ona nie mogła wrócić do domu na Boże Narodzenie.
- Elłamarie - odezwał się cichym, proszącym tonem. Nie odpowiedziała.
 - Przepraszam. Nie powinienem był ci mówić.
 - Nie - wpadła mu w słowo. - Nie, to moja wina; Jestem niemądra. To naturalne, że kupiłeś prezent dla swojej żony. Byłoby dziwne, gdybyś nie kupił. Jestem po prostu memądra.
 - Wołałbym być tutaj, z tobą - powiedział, wiedząc, że jego słowa tylko w połowie odpowiadają prawdzie.

- Naprawdę byś wolał? Skinął głową.

Przez chwilę nic nie mówiła, a Bob nie przerywał milczenia czekając, aż ona pierwsza coś powie. Kiedy wreszcie się odezwała, powiedziała to, czego najbardziej się obawiał.

- Wtedy, wcześniej - zaczęła nie patrząc na niego - kiedy powiedziałeś, że masz dla mnie niespodziankę... Znieruchomiał, przecierając oczy palcami.

- Wiesz, co pomyślałam, że powiesz?

- Wiem.

Spojrzała mu prosto w oczy,

- Myślałam, że masz zamiar mi powiedzieć, że odchodzisz od żony.

- Wiem o tym. Przepraszam.

- Ze wszystkich rzeczy na świecie właśnie ta najbardziej by mnie uszczęśliwiła. Gdybyśmy mogli być razem.

Ujął jej dłonie i popatrzył jej głęboko w oczy.

- Będziemy. Już niedługo będziemy.

- Kiedy? Och Bob, wiem, że nie powinnam o to pytać, ale czy wiesz, co to dla mnie znaczy? Myślenie o tym, że jesteś z nią. Rozmawiasz z nią, jesz, śpisz...

- Bądź cierpliwa, kochanie. Będziemy razem, obiecuję.

- Kiedy jej powiesz?

- Jeszcze nie wiem. Wkrótce. - Zaczynał się czuć jak w pułapce, ale nie widział wyjścia.

- Sam mówiłeś, że ona cię nie potrzebuje. Że kocha konie i to one są jej życiem. Nigdy nie przyjeżdża do miasta, nigdy nie chodzi na twoje przedstawienia. Odcięła się od ciebie. Nie może wymagać, żebyś był szczęśliwy żyjąc w ten sposób.

- Ona to widzi inaczej niż ty.

- Więc jak ona to widzi? Według mnie, ona w ogóle tego nie dostrzega. Jest samolubna, Bob. Nie myśli o tobie i nie zależy jej na tobie. Mówiłeś mi wiele razy, że ta sfera waszego małżeństwa od lat nie istnieje. Z pewnością będzie zadowolona, jeśli zostawisz jej dom

i stajnie. Będzie miała to, czego pragnie, a ty będziesz mógł zostać tutaj, ze mną. Moglibyśmy być razem. Nie chcesz tego?

- Chcę - odpowiedział, nawijając sobie na palec kosmyk jej włosów. - Chcę tego. I wiem, że masz rację w tym, co mówisz. Ale mełatwo tak po prostu przekreślić jedenaście lat życia.

- Zaczynaj od powiedzenia jej, że masz kogoś innego. Nie musisz mówić, że odchodzisz. Daj jej trochę czasu na oswojenie się z tą myślą. A potem, po jakimś czasie, kiedy uwierzy, że mówisz poważnie, że naprawdę kochasz kogoś innego, pozwoli ci odejść. Nie będzie chciała cię zatrzymać, wiedząc, że nie jesteś szczęśliwy. Bo nie jesteś tam szczęśliwy, prawda, Bob? Przecież to mnie pragniesz:

- Och, kochanie, oczywiście, że to Ciebie pragnę.

- Więc powiedz jej, Bob. Proszę cię, powiedz.

- Spróbuję.

- Nie. Powiedz, że to zrobisz. Przyrzeknij, że jej powiesz.

Bał się na nią spojrzeć. W głowie miał zamęt. Co miał powiedzieć? Co miał zrobić? Poczł jej dłoń na policzku. Odwróciła jego twarz, tak by móc spojrzeć mu w oczy.

Wpatrywała się w niego jak dziecko, szeroko otwartymi oczyma, błagalnym wzrokiem. Jak mógł jej odmówić? Uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Dobrze - obiecał. - Jeśli nadarzy się okazja powiem jej. -Zrobiło mu się niedobrze.

Rzuciła mu się na szyję.

- Kocham cię - zawołała. - Nigdy nie będziesz tego żałował. Obiecuję, nigdy nie pożałujesz.

- Wiem - odpali, ale w jego głosie nie było czułości.

Przez zamknięte drzwi biura Billa Pruitta dobiegał gwar głosów, dzwonienie telefonów i jednostajny stukot maszyn do pisania. Wszyscy mówili tylko o tym. Jeimeen Gray nie pokazała się w czwartek rano na planie.

Ambitna Jenneen Gray, która oddałaby życie za swoją pracę, po prostu się nie pojawiła.

Bill przymknął oczy i pokiwał głową z westchnieniem. Każdy inny na jego miejscu wpadłby we wściekłość, miotałby przekleństwa, krzyczał i groził. Ale nie on, Był szefem tego programu od momentu jego powstania przed siedmiu laty i jak dotąd wszystko szło świetnie. Nie uznawał metody ciężkiej ręki stosowanej przez niektórych kolegów. Jeśli istniał problem, on chciał go poznać i rozwiązać na swój, nieco paternalistyczny sposób. Praca z Jenneen Grey nigdy nie należała do najłatwiejszych. Bill zdawał sobie sprawę z niechęci, jaką żywili do niej inni członkowie zespołu, szczególnie Stephen Sommers i Geoff Pentland, przekonani, że reportaże, których się podejmowała, powinny być robione przez mężczyznę. Obecny cykl wywiadów był w zasadzie pierwszym zadaniem wykonywanym przez Jenneen, które można by uznać za „kobiecy”, używając ich określenia. Bill miał nadzieję, że dzięki temu w końcu stosunki między nią a Steve'em i Geoffem jakoś się ułożą. A tymczasem ona wszystko zepsuła. Bill wiedział, co o niej teraz mówią. Że Jenneen Grey uznała to, co ostatnio robi, za niegodne siebie, że uważa się za zbyt dobrą, by podejmować się czegoś tak trywialnego jak wywiady z agentami i ich klientami, i wyraziła protest nie stawiając się na planie. Wcześniej usłyszał, jak Geoff mówił coś o babskich fochach oraz o siedzeniu w domu i wychowywaniu dzieci. Bill nienawidził tego rodzaju szowinistycznego podejścia, ale tym razem nie zareagował. Musiał najpierw porozmawiać z Jenneen. Tyle tylko, że nic nie wskórał. Jak miał jej pomóc, skoro nawet nie chciała mu powiedzieć, gdzie była wczoraj rano?

Westchnął raz jeszcze i odwrócił się od okna. Jenneen siedziała przy biurku z opuszczoną głową, nerwowo skubiąc chusteczkę.

- Jenn - odezwał się. Widząc, że skuliła się w krześle, podszedł i stanął obok niej. - Spójrz na mnie, Jenn. - Podniósł jej twarz i dostrzegł, że ma oczy czerwone i spuchnięte od płaczu, który z pewnością wypełnił jej ostatnie dwadzieścia cztery godziny. - Jeśli nie chcesz powiedzieć, gdzie byłaś, to powiedz przynajmniej coś, co będę mógł przekazać Maurice'owi Fellowesowi. Na litość-boską, wymyśl coś, jeśli musisz, ale przestań powtarzać, że ci przykro. Ja mogę na tym poprzestać, ale Maurice'owi to nie wystarczy.

Jenneen bezradnie potrząsnęła głową.

- Nie mogę, Bill. Po prostu nie mogę.

- To powiedz mi prawdę. Jeśli chcesz, to obiecuję, że zachowam ją dla siebie i wymyślę coś dla Maurice'a. Co ty na to? Jenneen znowu opuściła głowę. Jak miała mu powiedzieć? Jak miała komukolwiek powiedzieć? W chwilach przytomności umysłu sama nie mogła uwierzyć w „panią Green”, Wstrząsnęła się, pełna pogardy dla samej siebie. Z takim samym uczuciem obudziła się tamtego ranka w zapyziałym pokoju hotelowym w Brighton, znajdując w swoim łóżku dwóch chłopców, pogrążonych we śnie, splecionych z nią w uścisku. Przycisnęła rękę do ust, czując napływającą falę mdłości. Jednak obrzydzenie do siebie było niczym w porównaniu z tym, co poczuła do tych chłopców.

- Nie mógłbyś wymyślić czegoś mimo wszystko? - spytała zerkając na Billa, niezdolna wytrzymać jego spojrzenia dłużej niż przez sekundę. Widoczne w jej oczach błaganie, a nawet cierpienie, skłoniło go do wyrażenia zgody.

- Myślę, że dzisiaj powinnaś już pójść do domu - poradził. -Cokolwiek się wydarzyło, musiało tobą niezłe wstrząsnąć. Wyglądasz na wykończoną. Jak sądzisz, będziesz mogła przyjść do studia jutro?

Pokiwiała głową bez słowa.

- Przygotowałaś materiały?

- Są na moim biurku.

- Daj je Christine i idź do domu. Zadzwoń do ciebie później, żeby sprawdzić, jak się czujesz.

Podniosła się do wyjścia.

- Jenneen - rzucił, gdy była już przy drzwiach. Odwróciła głowę. -Przecież nie może być aż tak źle. W jej oczach czaił się chłód, a uśmiech zaprawiony był goryczą.

- Może - szepnęła. - O tak, może.

Wyprawy do Harrodsa należały do ulubionych rozrywek Kate. Często tam wstępowała,, nawet jeśli nie miała zamiaru nic kupować.

Lubiła przeciskać się przez tłumy klientów, zastanawiając się, kim są mijający ją ludzie. Tego popołudnia przyszła tu po gwiazdkowe prezenty, ale, jak co roku, i tym razem najwięcej rzeczy kupiła dla siebie. Była obładowana sprawunkami - oprócz swoich dźwigała też rzeczy kupione dla sąsiadki z góry, pani Adams, i bolały ją ręce. Już to wystarczało, żeby zbierać się do wyjścia. Ojciec nie lubił, kiedy chodziła do Harrodsa tuż przed Bożym Narodzeniem. Zaledwie wczoraj podawali w wiadomościach, że IRA planuje w święta kolejny zamach bombowy. W zeszłym roku ich wybór padł właśnie na dom handlowy Harrodsa.

Jednakże Kate nie potrafiła odmówić sobie tej przyjemności. Gdzie, jak nie u Harrodsa, mogłaby kupować prezenty?

Nie miała potrzeby wjeżdżać na czwarte piętro, poza tym że było Boże Narodzenie i po prostu nie mogła się powstrzymać. Już przy wysiadaniu z windy usłyszała kolędy i dziecięce śmiechy dobiegające z Królestwa Zabawek. Była ciekawa, czy spotka świętego Mikołaja i o mało nie wybuchnęła śmiechem uświadomiwszy sobie absurdalność swojego podniecenia. Nagle mały chłopczyk, nie mogąc dłużej opanować rozsadzających go emocji, wyrwał się matce i pędem ruszył przed siebie, potrącając Kate.

- Ben! - zawołała za nim matka. - Bardzo przepraszam - zwróciła się do Kate, pomagając jej zbierać rozsypane pakunki.

- Nic się nie stało. Gdybym była w jego wieku, zrobiłabym to samo.

- Mamusiu! Mamusiu! - krzyczał mały winowajca. Był niewidoczny, słychać było jedynie jego donośny głosik. - Chodź tutaj, zobacz! Ja też takie chcę!

- Ojej! - westchnęła matka. - Wiedziałam, że nie powinnam tu z nim przychodzić.

- Powodzenia - życzyła jej z uśmiechem Kate, patrząc, jak przedziera się przez tłum w kierunku, skąd dochodziło wołanie malca.

Kate wiedziała, dokąd zmierza kobieta, i sama również udała się w tamtą stronę. Pokonawszy z trudem coś, co można by nazwać dziecięcym torem przeszkód, znalazła się pośród domków dla lalek, lalek i dziesiątków pięknych ubranek i innych lalczyńskich akcesoriów. Poczuli się jak w bajkowym świecie, oczy błyszczały jej, jakby

znowu miała pięć lat. Część lalek potrafiła mówić, niektóre chodziły, większość wydawała dźwięk podobny do płaczu, parę siusiało, jedna tańczyła, a inne nic nie robiły poza tym, że ślicznie wyglądały. Miała ochotę kupić je wszystkie. Zupełnie nie peszyły jej zaciekawione spojrzenia, jakimi obrzucali ją przechodzący obok stoiska ludzie.

Właśnie chichotała pod nosem trzymając lalkę, która poinformowała ją, że jest głodna, kiedy dostrzegła parę niebieskich oczu obserwujących ją zza rogu lady z wielkim zainteresowaniem. Były to najpiękniejsze niebieskie oczy, jakie w życiu widziała, a wзираły z różowej twarzyczki okolonej jasnymi kędziorami. Dziewczynka była śliczna, wyglądała jak cherubinek. Kate uśmiechnęła się do niej. Niebieskie oczy otworzyły się jeszcze szerzej.

- Cześć - odezwała się Kate. Dziewczynka wetknęła palec do buzi.

- Smakuje?

Dziecko wpatrywało się w nią w milczeniu.

- Nazywam się Kate. Powiesz mi, jak masz na imię? Dziewczynka energicznie pokręciła głową.

- Ach, rozumiem. To tajemnica? Mała przytaknęła z powagą.

- W takim razie, nie możesz mi powiedzieć, skoro to jest sekret. Dziewczynka wyjęła drugą rączkę z kieszeni płaszczyka i doticnęła

lalki, którą trzymała Kate. Kate pochyliła się i wręczyła ją dziecku.

- Podoba ci się? Znowu gest potakiwania.

- Chciałabyś ją trochę potrzymać?

Różowa twarzyczka rozpromieniła się. Dziewczynka wyjęła palec z ust i objęła lalkę pulchnymi ramionkami.

- Ciekawe, czy ona umie mówić? - Kate podpuszczała małą.

- Nie. - Dziecięcy głosik był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Ja myślę, że, umie - Stwierdziła stanowczo Kate Odpowiedziało jej kolejne potrząśnięcie głową.

- Ona jest jeszcze malutka, prawda? - Uhm. -

- A będzie umiała mówić, kiedy będzie taka duża jak ty?
 - Tak.
 - Ile masz lat?
 - Cztery. A ty ile masz?
 - Ja? Trzydzieści.
 - Moja mamusia jest starsza od ciebie - oznajmiła dziewczynka z dumą. Nieoczekiwanie stała się rozmowna.
 - Naprawdę? - Tak. Moja mamusia ma dwadzieścia sześć. Kate roześmiała się serdecznie.
 - Oj, to rzeczywiście dużo. Masz braci i siostry? - Mam brata.
 - Ile ma lat? - Sześć.
 - Jest miły?
 - Czasami. Ale przeważnie jest okropny! Bije moje lalki.
 - Oj, to nieładnie.
 - Ale ja przewracam jego żołnierzyki i on się wtedy złości i na mnie krzyczy.
- Kate całą siłą woli powstrzymywała się od przytulenia małej.
- Ja też kiedyś miałam brata - powiedziała. - Był taki sam. Chłopcy bywają czasem okropni, prawda? Wiesz co, może pooglądamy jeszcze inne lalki?
- Dziewczynka była zachwycona pomysłem, więc razem zaczęły zwiedzać stoisko. Przechodziły od lalki do lalki pociągając za sznurki, czesząc jedwabiste włosy, śmiejąc się głośno lub chichocząc pod nosem i świetnie się razem bawiąc. Mała nie chciała się rozstać z lalką, którą Kate dała jej potrzymać na początku, więc zaczęły szukać dla niej siostry, jako że o bracie nie mogło być mowy. Nagle gwałtownie przywołano je do rzeczywistości;
- Elizabeth! Co ty wyprawiasz?
- Elizabeth odwróciła się na pięcie, a Kate nie zdążyła jeszcze podnieść się z kolan, gdy ujrzała nad sobą czerwoną ze zdenerwowania kobiecą twarz. Malował się na niej wyraz ulgi.

- Dzień dobry - powiedziała Kate wstając. - Przepraszam, wiem, że dzieci nie powinny rozmawiać z obcymi, ale ona jest taka śliczna, że nie mogłam się powstrzymać. Nie miałam złych zamiarów.
 - W porządku, nic się nie stało. Myślałam tylko, że się zgubiła. Powinnam się była domyślić, że wróci tutaj.
 - Mamusiu, czy mogłabym dostać tę lalkę na Gwiazdkę? - Elizabeth uniosła lalkę, pokazując ją matce.
 - Nie, Lizzie. Masz ich już dosyć.
 - Mamusiu, proszę cię. Obiecuję, że będę grzeczna.
 - Nie przypominam sobie, żebyś kiedyś dotrzymała tej obietnicy. Kate roześmiała się.
 - Ona wygląda jak aniołek, niemożliwe, żeby była niegrzeczna.
 - Wszystkim się tak wydaje - powiedziała matka. - Szkoda, że pani nie widziała, jaka potrafi być w domu.
 - Mamusiu, proszę - błagała Elizabeth.
 - Powiedziałam - nie. Puść, bo muszę ją odłożyć na miejsce. Kate zajrzała w twarz Elizabeth i stwierdziła, że mała jest bliska płaczu.
 - Jeśli pani się zgodzi - zwróciła się do kobiety - to chciałabym jej kupić tę lalkę w prezencie. - Słowa wymknęły jej się z ust, zanim tak naprawdę się nad nimi zastanowiła, więc była prawie tak samo zaskoczona swą propozycją jak matka Elizabeth.
 - Ależ nie, nie może pani.
 - Bardzo panią proszę, zależy mi na tym.
 - Ale ta lalka jest stanowczo zbyt droga.
 - Nie tak bardzo.
- Elizabeth z zadartą główką przysłuchiwała się rozmowie.
- Mamusiu, proszę cię.
 - Ale pani nas przecież nie zna - zaproponowała kobieta, nie znajdując innych argumentów.
 - To prawda, ale... to mi sprawi wielką przyjemność.
- W zasięgu ich wzroku pojawiła się ekspedientka, więc Kate postanowiła wykorzystać sposobność.
- Proszę zapakować tę lalkę - poleciła. - Chcę ją kupić.

Matka dziewczynki wyraźnie nie wiedziała, jak się zachować. Odczekała do chwili, gdy dostarczono lalkę z powrotem, pięknie opakowaną w różowe pudełko, i zaoferowała Kate zwrot kosztów: - Ależ nie, absolutnie - ucieła Kate, patrząc z uśmiechem na dziewczynkę,

-Naprawdę, nie wiem, co powiedzieć - matka wciąż miała obiekcje. - To bardzo miłe z pani strony. Podziękuj pani, Elizabeth -zwróciła się do małej, przyjmującej pakunek z rąk Kate.

- Dziękuję - wykrzyknęła Elizabeth, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Bardzo proszę - odpowiedziała Kate, a dziewczynka upuściła paczkę i objęła ją rączkami za kolana. Kate przykucnęła, by uściskać dziecko.

- Muszę ci powiedzieć, że jesteś wyjątkową dziewczynką.

- To wielkie wyróżnienie - dodała matka Elizabeth z uśmiechem. -Mnie nie spotykają takie zaszczyty. Przynajmniej nie za często.

Kate wypuściła dziewczynkę z objęć, podniosła prezent i wręczyła go małej. r- Muszę już iść.

Matka Elizabeth spojrzała na zegarek.

- Może byśmy wstąpiły razem na kawę?

- Nie, dziękuję - wymówiła się Kate, sięgając po swoje sprawunki. - Jestem już spóźniona. Ale dziękuję za zaproszenie. - Mówiąc to, zmierzała już w kierunku wyjścia.

- Dziękujemy za lalkę - zawołała za nią kobieta.

Kate zbiegła po schodach i wyszła na świeże powietrze. Mrugała, chcąc powstrzymać łzy napływające jej do oczu; Trzymając dziecko w ramionach uświadomiła sobie boleśnie pustkę i samotność panujące w jej życiu.

Wiedziała, że chce mieć dziecko, ale nie zdawała sobie sprawy, że to pragnienie może być tak silne.

Powiedziała sobie, że przecież są święta Bożego Narodzenia, a w te święta ludzie zawsze stają się sentymentalni.

A jednak wspomnienie drobnego ciała, kruchego i ufnego, wtulonego w jej ramiona, jeszcze długo miało ją prześladować.

Rozdział 8

Julian siedział przy biurku z nogą opartą na wysuniętej szufladzie i bawił się piórem. Było już po siódmej, wszyscy się rozeszli i choć zazwyczaj w biurze było coś do zrobienia, dziś nie widział nic, co nie mogłoby poczekać. Przedświąteczny rozgardiasz został ostatecznie opanowany i teraz Julian miał czas spokojnie usiąść i pomyśleć o wydarzeniach ostatniego tygodnia.

Zamówienie od Newslink było jednym z najlepszych w historii agencji. Conrad rozpływał się w gratulacjach, kiedy Julian zadzwonił, by ma przekazać nowinę. A Conradowi nieczęsto zdarzało się

reagować w ten sposób. Julian miał świadomość, że pracuje dla niego dobry zespół, mogący śmiało konkurować z ludźmi Conrada w Nowym Jorku. Mógł zlecić wykonanie filmów reklamowych do telewizji najbardziej wziętym reżyserom i współpracować ze znanymi artystami. Pomysły, które Ashley i jej współpracownicy przedstawili dla Newslink, były znakomite i po całym tym nerwowym zamieszaniu związanym z prezentacją Julian miał wreszcie prawo odetchnąć i cieszyć się sukcesem. Więc czemu tego nie robił?

Blanche wróciła w środę i szczerze się ucieszył na jej widok. Mimo że z pewnością była zmęczona podróżą, uparła się, że chce gdzieś iść na późną kolację w takie miejsce, gdzie będą mogli być sami i spokojnie porozmawiać.

Jak zwykle dopisywał jej humor i zabawiała go opowieściami o swoich przeżyciach w Sydney. Powiedziała, że cieszy się z powrotu do domu, do niego, i że bardzo za nim tęskniła.

Był zupełnie zbity z tropu, kiedy przyznała mu się, że miała z kimś romans w Sydney. Właściwie nie wiedział, dlaczego tak go to zaskoczyło, w końcu mógł się tego spodziewać. A jednak był zszokowany jej wyznaniem. Powiedziała, iż nie chce sekretów w ich związku i że chociaż romans był całkiem miły, nie traktowała go poważnie i to Julian jest tym jedynym mężczyzną, którego darzy prawdziwą miłością.

- Oczywiście domyślałam się, że ty także się z kimś spotykałeś - powiedziała. - Nie próbuj zaprzeczać.

Widziałam, jak kobiety na ciebie patrzą. Byłbyś świętym, gdybyś temu nie uległ. Ale nie martw się, nie mam ci tego za złe. Moim zdaniem nie ma w tym nic nagannego. Pierwsze doświadczenia trzeba zdobywać przed małżeństwem. Dzięki temu żadne z nas nie będzie się oglądać za siebie i żałować straconych szans.

Niepewnym głosem przyznał jej rację.

- No więc - naciskała. - Jak się nazywały? A może była tylko jedna?

Zbył ją zapewnieniem, że było ich zbyt wiele, by wymieniać ich

imiona, i że cieszy się z jej powrotu, który uwolni go od zmagania się z tłumami spragnionych wielbicielek. Nie chciał wspominać o Ashley. Powiedzenie o niej Blanche w tych okolicznościach w jakiś sposób spłyciłoby jego uczucia, więc przemilczał ten temat.

Później rozmawiali o liście, który Blanche napisała do niego przed paru tygodniami i w którym pytała go, czy ma coś przeciwko temu, by ogłosić ich zaręczyny podczas kameralnego przyjęcia w domu jej ojca, w Wigilię. Uśmiechnął się i ujmując jej dłoń zapewnił, że nie matuc przeciwko temu. Tym sposobem od paru dni snuli już plany dotyczące ślubu. v

Jednym z powodów, dla których wciąż siedział to w biurze, był miesiąc miodowy. Zamierzał przeglądać atlas w nadziei, że zdoła zaczerpnąć stamtąd parę pomysłów. Ale od chwili, gdy jego sekretarka wyszła do domu, po prostu siedział nic nie robiąc. Próbował myśleć o różnych rzeczach: o agencji, o świętach, o ślubie, ale miał wrażenie że jego własny mózg stawia mu opór. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma sensu dalej się oszukiwać - nie był w stanie myśleć o niczym innym, bo jego umysł był całkowicie zajęty myśleniem o Ashley.

Widział jej minę, kiedy wyszedł dziś nagle ze swojego biura i zastał ją rozmawiającą z jego sekretarką. Zauważyły że przez ostami tydzień odnosiła się bardziej przyjaźnie do Amandy i wiedział dlaczego. Wiedział, jak cierpi. Przecież on sam czuł się podobnie. A jednak nic nie można było na to poradzić. Rozstali się i tak już musiało pozostać. Miał niezłomny zamiar ożenić się z Blanche i właściwie pragnął się z nią ożenić. Ale chciał również Ashley.

Widywanie jej w pracy tylko utrudniało całą sprawę. Nie chciał jej prosić, żeby odeszła z firmy. Nie mógł jej tego zrobić. Już wystarczająco ciebie nienawidził. Rozstanie się z nią tamtego wieczora wymagało od niego całej siły woli, jaką posiadał. Nigdy nie zapomni wyrazu jej twarzy, kiedy zrozumiała, że nie zamierza odwzajemnić jej wyznania. Do tego jeszcze ta choinka, ta cholerna choinka. Przygotowała ją dla niego. I te prezenty, wszystkie dla niego. Był sukinsynem! Nie powinien był pozwolić, by sprawy zaszły tak

daleko. W swojej głupocie wierzył, że wszystko ułoży się bezboleśnie. Ale się nie ułożyło. Ona cierpiała, on cierpiał, i nic nie mógł na to poradzić.

Wstał i obszedł biurko dookoła. Wrócił na miejsce. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Stłumiony zgiełk ulicznego ruchu kojarzył mu się z własnym samopoczuciem. Podszedł do drzwi, po czym znowu powrócił za biurko. Usiadł, by zaraz potem wstać, wyjąć z szafy butelkę i nalać sobie drinka. Zachowywał się jak idiota, bowiem przytłaczał go ciężar winy, którego nie potrafił udźwignąć.

Tęsknił za Ashley. Kochał ją. Tak, do diabła! Kochał ją! Ale kochał także Blanche. To był inny rodzaj miłości, jednak naprawdę kochał Blanche. Poza tym wszyscy się spodziewali, że wkrótce się z nią ożeni. Nie umiał się tak po prostu wycofać, nie mógł jej zostawić. Tylko że on radził sobie z sytuacją o wiele lepiej niż Ashley, która mogła być rzeczowa i twarda w pracy, lecz kiedy chodziło o uczucie do niego lub o sprawę jej syna, stawała się zupełnie bezbronna. A on zranił ją w najczulsze miejsce.

Pomyślał o Alexie. Jak mógł to zrobić temu dziecku? Z trudem znosił myśl, że Alex go znienawidzi. Chciał jakoś odkupić swoją winę. Ale w jaki sposób .mógłby to zrobić? Skrzywdził jego matkę i wiedział, że Alex mu tego nigdy nie wybaczy. Było coś, co mógłby zrobić, by wynagrodzić krzywdę chłopcu. I jego matce.

Gdyby się z nią ożenił, wszyscy byliby szczęśliwi. Ale wówczas co z Blanche?

Czy w żaden sposób nie można rozwiązać tej sprawy?

Nalał sobie następny kieliszek.

I wtedy wpadł na pomysł. Kupi im obojgu, Ashley i Alexowi, coś specjalnego na Gwiazdkę. Coś, czego bardzo pragną. Myślał o tym, a im dłużej myślał, tym lepszy wydawał mu się pomysł. Musiał tylko wymyślić, co im kupi. Ale doszedł i do tego.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Nie poszło tak łatwo, jak się spodziewał, lecz po kilku rozmowach i dwóch dzinach z tonikiem sprawa była załatwiona.

Westchnął z ulgą odsuwając od siebie telefon. Wprawdzie uspokojenie sumienia okazało się dość kosztowne, ale cóż innego mógł zrobić?¹ To, na co się zdecydował, miało uszczęśliwić Ashley i Alexa, i choć nie chciał się do tego przed sobą przyznać, miało też zmniejszyć jego winę.

Włożył płaszcz, pogasił światła i wyszedł z biura.

Przez ostatnie dni przed świętami wszystkie były bardzo zajęte i prawie nie miały ze sobą kontaktu, więc kiedy spotkały się wreszcie w koktajlbarze Ritza dzień przed Wigilią, miały sobie wiele do powiedzenia. Kate miała poważny dylemat. Ellamarie przyszła na spotkanie prosto z próby, przyprawiając ze sobą Nicholasa Gougha, który grał rolę Sebastiana w *Wieczorze Trzech Króli*. Kate miała na niego oko już od pewnego czasu, ale do tej pory był poza jej zasięgiem. Już miała wyrazić, jak bardzo się cieszy z poznania go, kiedy zjawiała się Jenneen z Joelem Martinem. Kate zaniemówiła z wrażenia i pozostawała w tym stanie przez kilka sekund.

- Uważaj, bo za chwilę zaczniesz się ślinić - ostrzegła szeptem Ashley.

- Dziwisz się? - odparła Kate. - To mu się przyjrzyj - Nachyliła się do ucha Ashley. - Idę z nim do łóżka jeszcze dzisiaj, choćbym miała tego nie przeżyć.

- Ó, jest Bob - przerwała Ellamarie i objęła go na powitanie, kiedy do nich podszedł.

- Życzę wszystkim wesołych świąt - zawołał Boh i uniósł kieliszek, który Ellamarie wsunęła mu do ręki.

Pozostali przytoczyli się do toastu

- Może byśmy usiedli - zaproponowała Ellamarie. - Strasznie mnie bolą nogi.

- Ciekawe dlaczego - mruknął pod nosem Bob. - Prawie całe popołudnie spędziłaś leżąc na plecach.

Zakrztusiła się i nerwowo rozejrzała, czy ktoś słyszał jego słowa.

Wyraz twarzy Joela Martina zdradzał, że owszem, słyszał.

- Musisz to robić? - skarciła Boba, powstrzymując śmiech.

- Nie musiałem, ale sama mnie o to prosiłaś. - Bob sięgnął po następnego drinka.

- Wcale nie. A poza tym, nie to miałam na myśli. Jesteśmy teraz w barze, więc zachowuj się przyzwoicie, dobrze?

- Chodź tutaj! - zawołała Ashley, poklepując miejsce obok siebie. Umyślnie deptając nogą Boba, Ellamarie przecisnęła się przez

tłum, by dołączyć do reszty towarzystwa usadowionego w rogu baru.

- Joel Martin - przedstawił się Joel, podając Bobowi rękę.

- Bob McElfrey. Przyszedł pan z Jenneen, prawda?

- Namówiła mnie - odparł Joel. - Twierdzi, że zbieracie się to w każde święta.

- Chodzi o Ritza? - spytał Bob rozglądając się po barze. - To taka ich tradycja.

- Proszę mi powiedzieć, kim jest osoba siedząca obok Jenneen? Wydaje mi się, że nie byliśmy sobie przedstawieni. Bob spojrzał w tamtym kierunku.

- Ashley Mayne. - Widząc charakterystyczny błysk w oku Joela, dodał: - Nie ma szans. Właśnie przeżywa zawód miłosny. Joel wolno pokiwał głową, nie spuszczać wzroku z Ashley. Odwróciła się. Nie chciała mówić tego Kate, ale choć był bardzo przystojny, od razu poczuła do niego antypatię.

Bob i Joel podeszli do stolika. Siedzący ścieśnili się, by zrobić im miejsce. Wszyscy śmiali się z czegoś, co powiedziała Jenneen, a Joel zauważył, że Ashley się zarumieniła.

- Ach, Bob - rzekła Jenneen pociągając go na miejsce między sobą a Ellamarie. - Może ty potrafisz odpowiedzieć na to pytanie.

- Jakie pytanie? - zainteresował się Bob.

- Jenneen, proszę cię... - wtrąciła Ashley.

- Nie, chcę wiedzieć - upierała się Jenneen. - Bob, powiedz nam, bo przecież ty wiesz wszystko, dlaczego dmuchanie nazywane jest dmuchaniem?

Bob zastygł z otwartymi ustami. Ellamarie wybuchła śmiechem.

- No więc?

Bob spojrział na Joela, potem na Nicka, jakby oczekiwał od nich pomocy. Potrząsnęli tylko głowami, a Jenneen dalej czekała na odpowiedź.

- Może niektóre kobiety rzeczywiście dmuchają w ten instrument -podpowiedziała. - A jeśli dmuchają, to czy wydobywają z niego jakiś dźwięk? Ashley, Kate i Ellamarie spojrzały po sobie i zaczęły się śmiać,

- To zależy od tego, na ile są muzykalne - oznajmił Joel.

- Nie rozumiem - stwierdziła Ellamarie.

- Jeśli uznać krzyk rozkoszy za muzykę, to owszem, taki dźwięk można z niego wydobyć.

Kilka głów odwróciło się w ich stronę, kiedy zgodnie wybuchnęli śmiechem.

- Dobrze, a teraz chciałabym się dowiedzieć - ciągnęła Jenneen -czy wam to sprawia przyjemność?

- Żartujesz sobie? - zawołał Bob.

- Nie o ciebie mi chodzi - sprecyzowała Jenneen, - Miałam na myśli Ellamarie. Albo Kate. Albo ciebie, Ashley. Czy kobietom naprawdę sprawia to przyjemność? Połykacie to?

- Jenneen!-jęknęła Ashley.

- Słucham?

- Ludzie cię słyszą.

- No to co? Jestem strasznie ciekawa i założę się, że oni też -powiedziała, gapiąc się na kobietę przy sąsiednim stoliku. Po chwili zwróciła się do Ashley: - A ty połykasz?

- Ja? - spytała Ashley.

- No przecież nie mówię do Boba.

- Nie będę odpowiadać na tego rodzaju pytania - oświadczyła Ashley.

- Kochanie, człowiek może przełknąć wszystko, byle było dobrze przyprawione... - włączyła się Kate cienkim głosem.

Jenneen spojrzała na nią.

- To Moliere - powiedział Joel tonem wyjaśnienia. - Muszę wam powiedzieć, że zawsze noszę przy sobie przyprawę. Wszystkie trzy..

- Mam wrażenie, że ta rozmowa prowadzi nas donikąd - zauważyła Ashley. - Może zmienimy temat?

- Orgazmy? - podrzuciła Jenneen.

- Wychodzę do toalety - poddała się Ashley.,

- Niektórzy wolą się nie afiszować z tymi rzeczami - wyjaśniła Joelowi Ellamarie.

Ashley pociągnęła przyjaciółkę za włosy. Joel odprowadził ją wzrokiem, kiedy przeciskała się przez zatłoczoną salę.

Jenneen nagle przypomniała sobie o powodach zaproszenia Joela Martina i przedstawiła go Kate. Zmierzył ją od stóp do głów taksującym spojrzeniem. Zrobiło jej się gorąco. Jenneen i Ellamarie wymieniły porozumiewawcze uśmiechy. Nick wstał i odszedł na chwilę porozmawiać z kimś znajomym.

- A niech to szlag! - zawołała zniecierpliwiona Ellamarie. Bob podążył za jej wzrokiem.

- O nie - jęknął. - Jeszcze tego nam brakowało.

- Kto to jest? - zaciekawił się Joel, patrząc na dwóch eleganckich mężczyzn stojących w drzwiach.

- Były partner Ashley - westchnął Bob. r Ten czarny czy blondyn?

- Blondyn.

- A kim jest ta boska istota obok niego? - Kate spytała szeptem Jenneen.

Pojęcia nie mam, ale i tak mogę mu się oddać, jeśli zechce. Ellamarie szturchnęła Jenneen łokciem.

- To musi być Blanche - powiedziała, kiedy drobna, uśmiechnięta twarz wychyliła się zza Juliana. - Chyba ktoś powinien pójść ostrzec Ashley. - Podniosła się z zamiarem pośpieszenia na pomoc przyjaciółce. Kate i Jenneen udały się w jej ślady.

Blanche rozglądała się z oczami jaśniejącymi zadowoleniem, zajęta „wyszukiwaniem sławnych twarzy”, jak sama to nazywała.

Juliana bawiło jej podniecenie. Kiedy kelner prowadził ich do stolika, powiedział jej, że zbyt długo była poza Londynem.

Parę minut później Julian pochwycił wzrok Boba z drugiego konca wymienili ukłony. Blanche zauważyła to i wychyliła się, by sprawdzić, o kogo chodzi.

- Och, Julianie! - zachłysnęła się, ściskając go za ramię. - Czy to ten Bob McElfrey, reżyser? Nie wiedziałam, że go znasz.

- Owszem - odparł krótko Julian.

- Och, kochanie, proszę, chodźmy się z nim przywitać. Zawsze chciałam go poznać.

Widząc, że Bob siedzi z kimś, kogo nie rozpoznawał, Julian doszedł do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, by spełnić prośbę Blanche. Zawsze lubił Boba i z przyjemnością mógł mu przedstawić Blanche i Conrada. Bob zobaczył, jak podchodzą i domyślił się natychmiast, że Julian niewłaściwie ocenił sytuację.

Rozejrzał się w popłochu. Jak mógł go ostrzec? Żaden pomysł nie przyszedł mu do głowy; więc usiadł z nadzieją, że Julian i jego kompania tylko się przywitają i odejdą od stolika, zanim Ashley wróci z toalety.

Nie miał szczęścia. Wstając, by uścisnąć dłoń Blanche, dostrzegł Ellamarie zmierzającą w ich stronę. Ashley była tuż za nią. Podał rękę Conradowi. - Jezus Maria - mruknęła Ellamarie. - Nie sądziłam, że będzie aż taki głupi.

- Co? O co chodzi - zainteresowała się Jenneen.

- Spójrz! - syknęła Ellamarie, wskazując głową stolik.

- O kurwa! - wyrwało się Jenneen. Odruchowo przydmęto dłoń do ust, bo przechodzący kelner popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Też tak myślę - zgodziła się Ellamarie.

Kate chwyciła Ashley za rękę. Była lodowato zimna.

- I co teraz?

Ashley potrząsnęła głową, a one spoglądały jedna na drugą, me wiedz®, co robić. Ashley, blada jak płótno, wpatrywała się w postać

Blanche Wetherburn, która uśmiechała się wpatrzona w Juliana, kompletnie nieświadoma zamieszania, jakie wywołała. Podejźmy - zdecydowała Ashley. - Nie mamy innego wyjścia.

- Zawsze możemy wrócić do toalety i poczekać, aż sobie pójda - zasugerowała Kate.

- Nie - rzekła Ashley. - Kiedyś i tak muszę się z nią spotkać. Łatwiej mi będzie w waszej obecności.

- Jesteś pewna? - spytała Kate, wciąż pełna obaw. Ashley zmusiła się do uśmiechu.

Jasne - uspokoiła je. - No chodźmy, tarasujemy drogę. - I ruszyła na czele przyjaciółek.

Widząc zbliżającą się Ashley, Bob odwrócił się do Juliana, który akurat śmiał się z czegoś, co mówił Joel, i Bob nie miał możliwości go ostrzec. W tym momencie z galerii rozległy się kołеды.

- Blanche - krzyknął Bob, łapiąc ją za rękę. - Może pójźmy popatrzeć na śpiewaków? - I zanim zaskoczona Blanche zdołała odpowiedzieć, pociągnął ją za sobą. To było najlepsze, co w tej sytuacji mógł wymyślić.

Ellamarie powinna być z niego dumna.

Julian patrzył, jak znikają w tłumie, i odwracając się z powrotem do stolika powiedział do Conrada:

- Będzie o tym opowiadać przez...

Conrad podniósł wzrok i stwierdził, że Julian patrzy przed siebie z wyrazem przerażenia na twarzy. Obejrzał się, by sprawdzić, kto lub co spowodowało tę nagłą przemianę jego współnika.

- Cześć, Julianie - powiedziała Ashley zduszonym, cichym jak szept głosem.

- Cześć - Głos Juliana brzmiał niewiele głośniej.

- Julian - syknęła Ellamarie przez zaciśnięte zęby.

- Witam, Ellamarie, Kate, Jenneen.

Kate i Jenneen zdawkowo kiwnęły głowami i usiadły.

- Nie wiedziałem, że będziecie tu dziś wieczorem - zaczął Julian zwracając się do Ashley i próbując nadać swemu głosowi ton. uprzejmego pytania.

- Wiem o tym - odpowiedziała Ashley.

Julian zaczerwienił się. Conrad, który natychmiast zorientował się w sytuacji, przyglądał się scenie z pełnym rozbawienia zainteresowaniem.

- Jak się miewasz, Julianie? - Ellamarie przerwała niezręczne milczenie.

- Dziękuję, świetnie.

- Mam nadzieję, że ci się to podoba - powiedziała, z sekundowym opóźnieniem wskazując kołędników.

Julian nie odpowiedział. Patrzył na Ashley, która obserwowała występ popijając szampana. Jenneen nachyliła się do Kate.

- Dowiedziałyśmy się, kim jest ten drugi facet - szepnęła, wskazując oczyma Conrada.

Kate potrząsnęła głową,

- Będę z tobą walczyć o niego. Jest piękny.

Jenneen roześmiała się głośno.

- Coś mi się widzi, że jest więcej chętnych, które będziesz musiała pokonać - kiwnęła głową w stronę sąsiedniego stolika. Siedzące przy nim kobiety, zupełnie nie zwracając uwagi na swoich partnerów, otwarcie zachwyciły się Conradem.

Wiedział, że rozmawiają o nim, ale było mu to zupełnie obojętne. Był przyzwyczajony. Sącył szampana, którym poczęstawał go Bob, zanim odszedł, i kątem oka obserwował Juliana i Ashley.

- Gdzie jest Bob? - spytała Ellamarie rozglądając się.

- Ogląda kołędników z Blanche - odparł Julian, nie spuszczać wzroku z Ashley. Widział, że drgnęła, i sprawiło mu to przyjemność. Chciał wiedzieć, że jeszcze jej na nim zależy.

- Jaką Blanche? - spytała niewinnie Ellamarie. Julian miał ochotę zapaść się pod ziemię.

- Och - powiedział, biorąc się nagle w garść. - Zapominam o dobrych manierach. Miłe panie, to jest Conrad Frazier. Pozwól, stary, że ci przedstawię...

Jenneen, Kate i Ellamarie posłały Conradowi swoje najpiękniejsze uśmiechy, ale z jego strony odpowiedział im jedynie uprzejmy brak zainteresowania.

- Ashley już poznałeś - dodał Julian.

Conrad obrzucił Ashley krótkim, lecz pochlebnyim spojrzeniem.

- Właściwie wcale się nie poznaliśmy - sprostowała Ashley. W każdych innych okolicznościach byłaby zaciekawiona, mogąc wreszcie poznać współnika firmy, o którym tyle słyszała, ale w tej sytuacji, zważywszy w dodatku na zarozumiały i arogancki sposób bycia Conrada, z trudem zdobywała się na grzeczność.

Julian był zdziwiony, że wcześniej się nie spotkali.

- Ashley jest kierowniczką działu tu, w Londynie - wyjaśnił. - Jest bardzo dobra.

- Głupi skurwiel! - syknęła Kate do Jenneen.

Ashley przyjrzała się twarzy Conrada i doszła do wniosku, że dobrze by było, gdyby to pierwsze spotkanie było zarazem ostatnim. Przypomniawszy sobie jednak w porę, że ma do czynienia ze swoim szefem, uścisnęła mu rękę i odwróciła się, nim miał okazję potraktować ją równie lekceważąco jak jej przyjaciółki. -

- Nie wydaje mi się, żeby specjalnie zaimponował Ashley - mruknęła Ellamarie do Jenneen.

- Dlaczego stąd nie odchodzą? - dziwiła się Kate.

- Bo Blanche poszła z Bobem oglądać kolędników - wyjaśniła Ellamarie. - Jezu, on jest czasami tak głupi, że brak słów.

- Wracają - oznajmiła Jenneen i wszystkie trzy, Kate, Jenneen i Ellamarie, jak na komendę podniosły wzrok.

Mimo lojalności wobec Ashley, nie mogły opanować chęci przyjrzenia się Blanche.

- Zawsze ją sobie wyobrażałam z ciemnymi włosami - powiedziała Ellamarie.

- Ja też - dodała Kate.

Jenneen wymierzyła im po szturchańcu i wskazała oczami na Ashley.

- O mój Boże - szepnęła Kate - to musi być dla niej jak koszmarne sen.

I istotnie takie było. Mimo całego wypitego szampana Ashley zachowała całkowitą trzeźwość umysłu. Skręcało ją w środku i miała ochotę uciec. Wydawało jej się niepojęte, że oto stoi przed nią mężczyzna, którego kocha. Zwracał się do niej jak do kogoś obcego. To było najbardziej bolesne. Musiała jeszcze znieść upokorzenie przedstawienia się jego przyszłej żonie. Zamknęła oczy, walcząc z falą podchodzących jej do gardła mdłości.

Blanche była już przy nich. Trzymając Juliana za rękę, uśmiechnęła się do Ellamarie.

- Pożyczyłam sobie na chwilę pani męża - powiedziała. - Mam nadzieję, że nie ma mi pani tego za złe.

- Oczywiście, że nie - odparła Ellamarie. Cóż innego mogła powiedzieć?

Blanche popatrzyła na Juliana wyczekująco.

- Blanche - odezwał się w końcu - pozwól sobie przedstawić. To jest Ashley, Ellamarie, Jenneen i Kate. Boba i Joela już poznałaś. Panie pozwolę, to jest Blanche Wetherburn, hmm, kuzynka Conrada. .

Conrad chrząknął i odwrócił się, by ukryć uśmiech. Bob także wyszczerzył zęby.

- Miło mi - powiedziała Blanche. - Sprawdźmy, czy zapamiętałam wasze imiona. Kochanie, ty jesteś w tym niesamowity. Pani - zwróciła się do Kate - jest Kate. - Kate przytaknęła. - A pani - ciągnęła - jest Jenneen. -

Jenneen uśmiechnęła się obłudnie. - A pani - wyliczała dalej Blanche - jest Ella Carrie...

- Ellamarie - sprostowała Ellamarie ze słodkim uśmiechem. -M jak morderstwo.

Bob unikał wzroku Juliana.

- Chyba powinniśmy wracać do naszego stolika - wtrącił się Julian.

- A ja jestem Ashley - powiedziała Ashley i wyciągnęła rękę. -Miło mi panią poznać, Blanche. Wiele o pani słyszałam. - Blanche

uścisnęła dłoń Ashley i spojrzała z zainteresowaniem na swą rozmówczynię. - Pracuję w firmie Frazier-Nelmes - wyjaśniła Ashley.

- Ach tak, rozumiem - rzekła Blanche i chyba rzeczywiście zrozumiała. - Bardzo mi przyjemnie. Przypuszczam, że będziemy się w przyszłości często widywać.

- Naprawdę? - zdziwiła się Ashley. - To wspaniale.

Julian był wyraźnie skrepowany i miał ochotę czym prędzej zabrać Blanche i uciec. Ale ona jeszcze nie skończyła.

- Tak - powiedziała i odwróciła się do niego. - Myślę, że nie stanie się nic złego, jeśli teraz wszystkim powiemy. Jak sądzisz, kochanie? - Sięgnęła po jego dłoń.

Julian przymknął oczy.

- Wy się dowiecie pierwsi - ciągnęła Blanche odwracając się znowu do stolika. - Ustaliliśmy z Julianem datę ślubu. Odbędzie się w czasie świąt Wielkanocy.

Rozdział 9

Jenneen odwiozła Ashley do domu i zaproponowała, że wejdzie z nią do środka, ta jednak upierała się, że chce zostać sama. Miała mnóstwo pracy przed jutrzejszym wyjazdem do domu, jak wyjaśniła przyjaciółce, i do tego kilka spraw do załatwienia w biurze rano. No i nie zapakować jeszcze wszystkich prezentowała Alexa. Jeśli nie weźmie się za to od razu, czeka ją nie przespana noc Jenneen współczuła jej z całego serca. Niestety, nieszczęścia na ogół chodzą parami. Że też Julian i Blanche na domiar złego musieli wybrać Wielkanoc...

Odczekała, aż Ashley wejdzie do domu, i odjechała.

Serce jej zamarło, kiedy zatrzymała się przed drzwiami własnego mieszkania przy Argyll Road. Na schodach siedział Matthew, z długim szarym płaszczem przewieszonym przez kolana i twarzą ukrytą w dłoniach.

- Dobry Boże - mruknęła. - Wszystkie gady wypełzły dziś ze swoich plugawych nor. - Kusiło ją, by odjechać nie wysiadając, ale już ją zauważył i wiedziała, że będzie czekał, dopóki nie wróci.

Otworzyła drzwi samochodu i wysiadła.

- Czego tu szukasz? - warknęła. Podniósł na nią oczy, ale nie wstawał.

- Chciałem się z tobą zobaczyć, Jenn. Zatrzasnęła drzwi i przekręciła kluczyk.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- Nie sądzę, abyśmy mieli sobie coś do powiedzenia, Matthew.

- A ja sądzę, że mamy.

- Chcesz ode mnie czegoś, tak? Nie byłoby cię tu, gdybyś nie chciał.

Uśmiechnął się.

- Masz bardzo podejrzliwą naturę, Jenneen Green, to jest Grey. Zmartwiała. Czy to było umyślne przejęzyczenie?

- Coś nie tak? - spytał Matthew, podnosząc się ze schodów.

- Owszem, ty!

- Nie bądź taka, Jenn. Słuchaj, przysięgam, nie przyszedłem tu z żadnego innego powodu poza tym, że chciałem cię zobaczyć. Nie chcę pieniędzy ani niczego innego. Chcę tylko porozmawiać.

- Nie wysilaj się, Matthew.

- Dobrze, możesz mi nie wierzyć, Sama zobaczysz. - Wzruszył ramionami.

Jenneen przyjrzała mu się podejrzliwie. Nigdy nie przychodził do niej trzeźwy, a już na pierwszy rzut oka stwierdziła, że dziś nie jest pijany. Uśmiechnął się, ale odwróciła głowę.

- Trzęsiesz się - zauważył. - Może wejdziemy do środka? Myślę, że zaciekawili cię to, co mam ci do powiedzenia. - Ze zdumieniem

stwierdziła, że brak mu zwykłej pewności siebie. - Przynajmniej mam taką nadzieję - dodał.

Czyżby wydarzyło się coś, o czym nie wiedziała? Czyżby doszedł do wniosku, że jego zemsta ciągnie się już wystarczająco długo? Mój Boże, gdybyż o to chodziło.

- Wejdźmy do domu i napijmy się.

- Ja dziękuję - odmówiła zmęczonym głosem. - Mam już dosyć.

- To dotrzyмай mi towarzystwa - zaproponował.

- Chcesz, żebym siedziała i patrzyła, jak nasiąkasz niczym gąbka - stwierdziła gderliwie. - Nie, dziękuję.

- Jestem na odwyku - oznajmił.

- O? Ciekawa jestem, jak długo wytrzymasz.

- Proszę cię, Jenn, chcę porozmawiać.

- Matthew, już ci mówiłam, nie mamy sobie nic do powiedzenia. Wbił ręce w kieszenie i stanął tyłem do niej.

Przez moment

wydawało jej się, że ma zamiar odejść, ale zaraz się odwrócił.

- Słuchaj, chciałem ci tylko powiedzieć, że jest mi bardzo przykro, ale trudno to mówić tu, na ulicy, nie uważasz? - Matthew, nie obchodzą mnie twoje przeprosiny. Interesuje mnie tylko to, żebyś się wyniósł z mojego życia i to na zawsze!

- Proszę cię, Jenneen - nie ustępował. - Muszę z tobą porozmawiać. Proszę! Pozwól mi wejść.

Nagły podmuch wiatru szarpnął jej płaszczem - poczuła też na twarzy osiadającą mżawkę. Zrozumiała, że nie ma wyboru, musi go wpuścić do domu. Jeśli tego nie zrobi, on i tak wejdzie siłą.

Weszła pierwsza po schedach prowadzących do drzwi mieszkania. W przedpokoju zdjęła płaszcz i podażyła za nim do jadalni. Stał przy barku, nalewając dwa drinki. Zdziwiła się widząc, że poprzestał na soku pomarańczowym. Może rzeczywiście miał zamiar rozpocząć nowe życie.

- No więc - zaczęła, opierając się o ścianę. - O czym chcesz rozmawiać?

- O nas.

- Co to znaczy - o nas? Nie ma żadnych nas.

- Nie ma - zgodził się. - Ale kiedyś byliśmy.
- To było dawno temu.
- Wiem, ale nie zapomniałem. Oczy jej rozbłyły gniewem.
- Czego nie zapomniałeś? Tego, jak mnie biłeś? Pijackich orgii, w które próbowałeś mnie wciągać? Twoich wrednych oskarżeń? Czy to właśnie pamiętasz, Matthew? Bo ja tylko to pamiętam.
- Tego się spodziewałem - westchnął. - I nie mogę ci mieć tego za złe. Nie ma usprawiedliwienia na to, jak się wobec ciebie zachowywałem, może tylko to, że byłem zagubiony. Zrujnowałem sobie życie i winę za to próbowałem rzucić na ciebie. Chciałem cię ukarać i teraz się tego wstydzę, Jenn. Naprawdę się wstydzę. I chcę, żebyś wiedziała, że nie mam do ciebie żalu. Właściwie nigdy nie miałem, tylko że, tak jak mówiłem, nie widziałem wtedy sensu w życiu. Ale postanowiłem spróbować jeszcze raz od początku i chciałem, żebyś ty się o tym pierwsza dowiedziała.

Obserwowała go uważnie, wciąż pełna podejrzliwości.

- Chyba nie liczysz na to, że zacznę ci gratulować?
- Nie. Aż tyle nie mogę oczekiwać,
- I masz rację.
- Jenn, proszę cię. Nie złość się na mnie. Zwrócę ci te pieniądze, które od ciebie wziąłem, i zrobię wszystko, żeby ci to wynagrodzić.
- Za późno, Matthew, nigdy nie będziesz w stanie tego zrobić.
- Pozwól mi przynajmniej spróbować.

Widziała smutek w jego oczach i zastanawiała się, czy jest szczery. Wyglądał lepiej. Zrzucił trochę wagi i cerę miał zdrowszą niż wtedy, gdy go poprzednio widziała, Wpatrywał się w swoją szklanke. Przypominał jej małego chłopca, porzuconego przez matkę. Choć tego nie chciała, zrobiło jej się go żal.

- Matthew - odezwała się, tym razem znacznie miększym tonem. Spojrzał na nią.
- Czy to prawda? Naprawdę chcesz mi to wynagrodzić?
- Tak, Jenn, naprawdę- Pokiwał głową.

- Więc zostaw mnie w spokoju. Proszę cię, po prostu zostaw mnie w spokoju.

- Chciałbym - westchnął, - Wierz mi, że chciałbym. Ale nie mogę. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, po tym wszystkim, co ci zrobiłem, ale wydaje mi się, że cię kocham.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Czy on kompletnie zwariował?

- Chyba pamiętasz, że to ty ze mną zerwałeś?

- Tak - przyznał. - Pamiętam.

- Więc dlaczego?

- Nie wiem. Sam tego nie rozumiem. - Sprawiał wrażenie zmęczonego i załamane. Ramiona zaczęły mu drżeć i Jenneen domyśliła się, że płacze.

- O Boże - mruknęła pod nosem. - Matthew, proszę cię, weź się w garść.

Spojrzał jej prosto w oczy i po raz pierwszy od roku pomyślała o tym, jaki jest przystojny. Otarła mu łzy z twarzy i pozwoliła, by zabrał jej z ręki szklankę. Potem wziął ją w ramiona i pocałował. Delikatnie, bez narastającego pożądania, jedynie z Czulością.

Odepchnęła go gwałtownie.

- Matthew, przestań! Proszę, przestań! Nie mogę! Nie po tym wszystkim... Nie, przestań! - krzyknęła, kiedy znowu ją objął. Tym razem przycisnął ją mocno do siebie i wsunął jej język w ustø,

- Nie mogę przestać - wymamrotał. - Kocham cię, nie rozumiesz tego?

Poczuła, że jej opór słabnie. Do diabła, co się z nią dzieje? Czyżby nie panowała nad swoimi zmysłami? To było szaleństwo. Po tym wszystkim, co przez niego przeszła - poniżeniu i upokorzeniach, wciąż ją pociągał seksualnie.

Kate leżała w łóżku z głową opartą na łokciu i przyglądała się śpiącemu Joelowi. Po chwili dotknęła kosmyka czarnych włosów na jego skroni i przejechała palcem po kielkującym zarostu na brodzie.

Miał powieki tak ciemne, że wyglądały, jakby padał na nie cień. Nachyliła się, by je pocałować. Długie rzęsy zatrzepotały i Joel wolno otworzył oczy. Ostry ból przeszył mu głowę. Kac okazał się nadszpiewanie ciężki i jedyną rzeczą, o jakiej teraz marzył, był sen. Szybko zamknął znowu oczy i odwrócił się na drugi bok. Kate przytuliła się do jego pleców, przywierając do niego wszystkimi wypukłościami ciała. Przesunęła palcem po jego brzuchu, wywołując skurcz wszystkich mięśni. Chwył jej rękę i przyłożył sobie do piersi. Nie było chyba nic gorszego, niż obudzić się w cudzym łóżku z kacem. Szczególnie, jeśli to łóżko należało do spragnionej seksu kobiety. Ułożył się na brzuchu, pozwalając jej dłoni wędrować po swoich plecach. Skoro już chce go łaskotać, to niech to będzie od tej strony. Sprawiało mu to przyjemność i działało usypiająco.

Kate miała jednak inne zamiary, toteż w końcu Joel musiał się poddać i pogodzić z tym, że koniec ze spaniem. Przynajmniej na razie; Byłoby łatwiej, gdyby należał do mężczyzn, którzy budzą się z erekcją. Ale jemu nigdy nie wychodziło tak zaraz z rana.

Westchnął i obrócił się do niej przodem. Jej mina potwierdziła jego podejrzenia. Niektóre kobiety są nienasycone. Musiał jednak przyznać, że jej pomysł wzbudził w nim rosnące, i to dosłownie, zainteresowanie.

- Chcesz czegoś? - spytał szeptem. Przytaknęła.

- Tak też myślałem. - Patrzyła na niego tak, że mógłby z nią zrobić wszystko. Wykrzywił usta w uśmiechu. - A co konkretnie masz na myśli?

To - powiedziała, biorąc do ręki jego rosnący członek.

- Aha. - Zajrzał jej w oczy.

Nachyliła się i pocałowała go w usta, ale dalej leżał z rękami skrzyżowanymi na piersi,

- Czy chciałabyś z nim zrobić coś szczególnego? - spytała.

- Wszystko, na co masz ochotę.

Zaczął się naprawdę budzić. Nie znał jej jeszcze dość dobrze, ale wiedział, że wkrótce będzie mógł robić z nią, co tylko zechce.

- A co powiesz na to? - spytał wsuwając palce między jej uda. Wciągnęła głęboko powietrze i pokiwała głową.

- To poproś mnie. Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Poproś, żebym je tam włożył - zażądał.

- Proszę, włóż je tam - powiedziała cicho.

- Błagaj mnie! - wymruczał, zamykając oczy. Nie mogła tego zrobić.

- Błagaj! - powtórzył.

Z trudem przelknęła ślinę i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Oczy mu błyszczały, kiedy na nią spojrział.

- Chcesz tego, błagasz o to.

- Nie mogę - szepnęła. Gwałtownie wsunął w nią palce.

- No, dalej - ponaglał. - Powiedz mi, jak bardzo tego chcesz. Chcę usłyszeć, jak mnie błagasz.

Stawał się coraz bardziej natarczywy. Tego typu rozmowa, czy może wrażenie panowania nad dziewczyną, zawsze niezawodnie doprowadzało go do erekcji. Szczególnie jeśli miał do czynienia z kobietą taką jak Kate Calloway - wyrafinowaną i dobrze wychowaną.

- Proszę! - wykrztusiła z trudem.

- O co prosisz?

- Proszę, kochaj się ze mną.

- Chcesz, żebym cię pieprzył?

Przytaknęła, a jej policzki przybrały purpurowy odcień.

- Więc powiedz to. Usłyszał, jak przełyka ślinę.

- No już - ponaglił z pałającymi oczyma. - Poproś, żebym cię pieprzył.

- Będiesz mnie pieprzył?

Położył się na niej i wszedł w nią jednym pchnięciem.

- Poproś jeszcze raz! - krzyknął. - No już, błagaj mnie, błagaj, żebyś się pieprzyła!

Nie odezwała się, ale obejmowała go mocno.

- Powiedz mi, jak teraz jest - spytał zduszonym głosem.

-Dobrze - chlipnęła i zaczęła się poruszać razem z nim.

Kochał się z nią gwałtownie, wielokrotnie zmieniając pozycję, zgniatał jej piersi, miażdżył usta pocałunkami.

W końcu przewrócił się na plecy i wciągnął ją na siebie.

- Ujeżdżaj mnie! - zażądał.

Kate poczuła, jak ulatują gdzieś wszystkie jej opory i zahamowania. Joel miał usta zaciśnięte, wydawał się agresywny, oczy błyszczały mu żądzą. Pochyliła się, wparła ręce w jego boki i ujeżdżała go z całych sił.

- Mów! - wrzasnęła. - Mów coś do mnie.

Przypomniała sobie najgorsze słowa, jakie w ogóle знаła, i wykrzyczała mu je prosto w twarz. Chwycił ją mocno za włosy i rzucił na plecy. Jego usta wyrażały wręcz okrucieństwo, kiedy nachylił się do pocałunku.

Wygięła plecy w łuk i przejechała mu paznokciami po pośladkach. Bolesnie wbijając jej palce w ramiona, krzyczał głośno w chwili spełnienia.

Mokry od potu, przewrócił się na plecy i zakrył oczy zgiętym ramieniem. Dyszał ciężko: Objęła go i przyjrzała mu się, ale się nie poruszył.

Jej ciało po fali spazmów wracało powoli do równowagi. Odczekała, aż oddech nabierze regularnego rytmu, i dopiero wtedy się odezwała.

- Wiesz - zaczęła szeptem - to był mój pierwszy raz od ponad roku.

Nie ukrywał zdziwienia.

- Od roku? - spytał, ale nie odsłonił oczu. - To długo, szczególnie jak na kobietę, która się pieprzy tak jak ty.

Chciała, żeby zdjął rękę z oczu.

- Mogłeś chyba powiedzieć, że się szanowałam.

Tym razem usunął ramię z twarzy i spojrzał na nią. Nie uśmiechał się, przeciwnie, był zły.

- Mam nadzieję, że warto było czekać. Tylko tyle mogę powiedzieć. Pocałowała go w policzek.
- O tak, warto było. Spojrzał na zegarek. Nagle poczuł się zagrożony i pomyślał, że najlepiej będzie szybko się stąd wynosić. Ona mówiła poważnie, naprawdę się oszczędzała. Niech to szlag trafi. Dlaczego padło akurat na niego? - Masz ochotę na śniadanie? - spytała szybko.
- Chyba muszę już iść.
- Tak wcześnie? - zdziwiła się. - Przecież jest Wigilia.
- A co to za różnica?
- Chyba żadna. Ale czy musisz się tak śpieszyć?
- Mam dzisiaj masę do zrobienia. Muszę jeszcze kupić prezenty. - Podniósł się z łóżka.
- To może chociaż kawę?
- Nie, dziękuję, nie mam czasu. Gdzie jest moje ubranie?
- Tam, gdzie je zostawiłeś. Podrapał się po głowie.
- W holu.
- Ach, tak. - Wyszedł z pokoju.

Kate stała przy łóżku i patrzyła, jak wychodzi, zażenowany i wściekły. Po paru minutach usłyszała jego gwizdanie z salonu, gdzie się ubierał. Włożyła szlafrok i stanęła w drzwiach.

- Co robisz w święta? - rzucił, widząc, że go obserwuje.
- Wyjeżdżam do rodziców, dziś po południu. - Yhm. - Usiadł na kanapie wciągając skarpetki.
- A ty co będziesz robił?
- Będę u rodziny brata, w Hampstead.
- Fantastycznie.

Nie był pewien, czy się z niego przypadkiem nie nabija. Tacy jak ona często używali dziwnych, nieodpowiednich słów.

- Jaka jest najbliższa stacja metra?

- South Kensington. Przejdź ulicą do końca, do Fulham Road, i skreć w prawo - poinstruowała, umyślnie kierując go w przeciwną stronę niż stacja, i wróciła do sypialni. Przeklęty sukinsyn! Nigdy w życiu nie czuła się tak wykorzystana. Jak on śmiał tak po prostu przyjść, przespać się z nią i wyjść? Potraktować ją, jakby była zwykłą dziwką. Ci mężczyźni! Nienawidziła ich!

- Zatrzaśnij za sobą drzwi - zawołała. - Ja idę się wykąpać. - Zamknęła się w łazience. Niech ma, piękne za nadobne.

Odkręciła kran i usiadła na brzegu wanny. Było jej smutno. I pomyśleć, że naprawdę jej się podobał. No tak, był draniem, ale to ją jeszcze bardziej pociągało. A poza tym, chciała z nim porozmawiać o swojej powieści. Mogłoby ich łączyć coś więcej niż seks, gdyby tylko na to pozwolił. A tak, pewnie się już więcej nie zobaczą. Czuła się jak kobieta łatwa. Mężczyźni potrafią odchodzić, kiedy mają ochotę, a potem zabierać się za następną. Czy oni nie rozumieją, że kobiety inaczej traktują te sprawy? Usłyszała pukanie do drzwi.

- Kate!

Ciesz się z drobnych przyjemności, pomyślała sobie w duchu, dobrze, że przynajmniej pamięta, jak masz na imię.

- Tak? - Zaczęła nucić. - Mogę wejść?

- Czego chcesz? - pożegnać się.

No dobrze, co jej szkodzi? Przekręciła klucz i uchyliła drzwi:

- Cześć — rzuciła i zamierzała je z powrotem zamknąć. Przytrzymał je stopą.

- To wszystko? - Co wszystko?

- Wszystko, co mi się należy?

- A o co ci jeszcze chodzi?

- Myślałem, że może dostanę buzi.

Puściła drzwi i odwróciła się w stronę wanny. Wiedziała, że okazuje słabość, ale nie potrafiła się powstrzymać.

Joel patrzył, jak nachyla się, by zakręcić kran. Żałował, że wcześniej potraktował ją tak brutalnie. Chwycił Kate za ramiona i odwrócił do siebie.

- Chyba wezwę taksówkę - zdecydował. - Więc może jednak napiję się kawy przed wyjściem?

- Koło łóżka jest telefon - poinformowała oschłym tonem. - Domyślam się, że go zauważyłeś, kiedy tam leżałeś.

- Kate, daj spokój, nie bądź taka. Myślę, że było nam ze sobą dobrze.

- Naprawdę?

- A ty tak nie myślisz?

- Sama nie wiem, co myśleć.

- Słuchaj, zadzwonię do ciebie w święta. Umówimy się po twoim powrocie do Londynu. Co ty na to?

- Łaska pańska na pstrym koniu jeździ - mruknęła pod nosem.

- Słucham?

- Nic takiego. Zapiszę ci mój numer. Kiedy zadzwonisz? - Do licha, gdzie się podziała jej duma?

- Jutro, żeby ci życzyć wesołych świąt, he?

- Obiecujesz? - To już było jak czołganie się u stóp.

- Obiecuję - powiedział i nachylił się do jej twarzy. - To jak, dostanę tego buziaka?

Uśmiechnęła się wreszcie i objęła go za szyję.

- Idę zadzwonić po taksówkę. - Wypuścił ją z objęć. Poszła za nim do sypialni i napisała numer rodziców na kartce. - Wiesz co - zaproponował - zrobię kawę.

- Mężczyzna w kuchni. Czego chcesz więcej.

Ledwie zdążył wypić, w drzwiach pojawiła się pani Adams z prośbą o pożyczenie odrobiny mleka. Jak zwykle nie czekając na zachętę wkroczyła do mieszkania i obrzuciła nieprzychylnym spojrzeniem Joela, rozmawiającego przez domofon z taksówkarzem.

Kate miała ochotę wyrzucić natrętną sąsiadkę.

- Masz tu płaszcz - zwróciła się do Joela, wsuwając mu do kieszeni kartkę z numerem telefonu.

Joel przełknął ostatni łyk kawy i odstawił kubek na stół.

- Dzięki za cudowną zabawę - powiedział, całując ją lekko na pożegnanie.

- Pa - odpowiedziała, - Nie zapomnij jutro zadzwonić. Ale jego już nie było.

Ellamarie zadzwoniła do Ashley do biura, żeby jej opowiedzieć o tym, jak Maureen Woodley zjawiała się w Ritzu po jej wyjściu, w sukience za ciasnej o dwa numery i w dodatku rozciętej do pasa.

- Ma cellulitis, moja droga, jej ciało wygląda jak skóra pomarańczy. Ashley śmiała się, ale wyczuła strach w głosie przyjaciółki, kiedy

Ellamarie dodała, że Maureen Woodley dopiero teraz przyznała się, iż zna żonę Boba.

- Chyba nie sądzisz, że może coś zrobić - zaniepokoiła się Ashley. Ellamarie plastycznie opisała jej, co zrobi z Maureen Woodley,

jeśli ta odważy się puścić parę z ust, a potem zmieniła temat i powiedziała, iż Kate zabrała Joela ze sobą do domu.

- Dosłownie kipiała żądzą. A w ogóle, to właśnie dzwoniłam do Jenneen i nigdy nie zgadniesz, kto u niej był. Matthew. Matthew Bordsleigh.

- Myślałam, że między nimi dawno skończone,

- Wszystkie tak myślałyśmy. Ale on tam teraz jest Odebrał telefon.

- No cóż, cieszę się - westchnęła Ashley.

Żadna z nich nie wiedziała, że Matthew szantażował Jenneen przez ostatnie dwa lata.

- A u ciebie wszystko w porządku? - zatroskała się Ellamarie.

- O tak, świetnie - uspokoiła ją Ashley; sama czuła, że nie zabrzmiało to przekonywająco.

- Przypomniałam sobie, że przyjaciel Juliana, ten jego współnik, czy kim on tam jest...

- Kuzynem Blanchewtrąciła Ashley,

- Kuzyn Blanche, nieeń będzie. Więc on odwiózł wczoraj dp domu Maureen Woodley. Tak mi się przynajmniej wydaje. Wybrał

odpowiednią osobę, o ile w ogóle można ją tak nazwać, bo Maureen jest niezrównana, jeśli chodzi o pochlebstwa, a sądząc po jego zarozumiałości, miała co mówić do samego rana.

Rozmowa była krótka, bo Ełlamarie się śpieszyła, ale po tym, jak Ashley poprzedniej nocy wcześniej wyszła z Ritza, chciała się upewnić, że uprzyjaciółki wszystko jest w porządku.

Ashley uspokoiła ją co do swego samopoczucia i powróciła do przerwanej pracy. Pół godziny później była gotowa i zaczęła się zbierać do wyjścia. Rozejrzała się po biurze. To właśnie w tym pokoju Julian po raz pierwszy... Nie! Dość tego! Musi stąd wyjść, zanim znowu zacznie. Porwała płaszcz i szybko zamknęła za sobą drzwi.

- Wesołych świąt! - zawołała do Amandy, mijając sekretariat.

- Wesołych świąt, Ashley! - odkrzyknęła Amanda. - Baw się dobrze!

- Ty też - życzyła jej Ashley. Odwróciła się do wyjścia i w tym momencie ktoś na nią wpadł, wytrącając jej z ręki torebkę i akta, które szerokim wachlarzem rozsypały się po podłodze.

- Nie może pani patrzeć, gdzie idzie? - Usłyszała gderliwy głos. Odwróciła się gwałtownie.

- Do jasnej...¹

- Do czego jasnego? - spytał Conrad Frazier, przyglądając jej się z rozbawieniem.

- Niczego - warknęła, odwracając wzrok, żeby na niego nie patrzeć. Schyliła się po swoje rzeczy, ale kątem oka zdążyła zauważyć jego zmięte ubranie i cień zarostu na brodzie. A więc Ełlamarie miała rację.

Ku jej zaskoczeniu minął ją, nie mając zamiaru się zatrzymać.

- Nie mógłby pan przynajmniej pomóc mi tego pozbiierać? -zawołała za nim. v

- Nie - brzmiała krótka odpowiedź.

Była tak zszokowana jego nieuprzejmością, że brakło jej stów. Znienacka, sama tym zaskoczona, załała się łzami.

- Co to za hałasy? - Julian wychylił się ze swojego gabinetu. Nie zauważył Ashley. - Conrad - Usłyszała, jak zwraca się do współnika - Sądząc po tym, jak wyglądasz, masz za sobą udaną noc - zaśmiał się.

- Bywały gorsze - potwierdził niedbale Conrad.

- Ashley! - wykrzyknął nagle Julian.

Zastygła w bezruchu. Byle się tylko nie zbliżać Proszę cię, nic nie mów, błagała go w duchu.

- Co ty robisz?

- Zbieram rzeczy, które pan Frazier wytrącił mi z rąk - wyjaśniła nie podnosząc oczu.

- Pozwól, że ci pomogę. - Julian podszedł bliżej.

- Nie, nie. Nie trzeba. Już wszystko zebrałam. - Podniosła się, przecierając oczy wierzchem dłoni.

Julian od razu zorientował się, że płakała.

- Co się stało? - zwrócił się do Conrada.

- Wpadła na mnie. Ale o co płacze, nie mam pojęcia. - Dopiero teraz przyjrzał się dokładnie twarzy Ashley. -

O Boże - jęknął, rozpoznając ją wreszcie. - Bardzo przepraszam. To moja wina. Nie patrzyłem przed siebie.

Zgadza się, nie patrzył pan! - potwierdziła Ashley. Łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy. - Ale przecież ktoś taki ważny jak pan nie musi. - Chwileczkę - oburzył się Conrad; ruszył w jej stronę.

- Proszę się do mnie nie zbliżać!

- Ta kobieta wpadła w histerię! - zirytował się.

- Słuchaj, zostaw to mnie - przerwał Julian i odwrócił się do Conrada plecami. - Dobrze się czujesz, Ash? Czy coś ci się stało?

- A co sobie do cholery wyobrażasz? - krzyknęła i pobiegła korytarzem do wyjścia.

- Czy wszystkie kobiety, które tu pracują, są takie?

- Daj spokój, Conrad.

Wzruszył ramionami

- Nie ma sprawy. Napiłbym się kawy - powiedział do Amandy, która wpatrywała się w niego z wielkopoddańczym uwielbieniem, i zniknął w gabinecie Juliana.

Julian popatrzył w ślad za Ashley, ale korytarz był już pusty. Wszystko zrobiło się jakoś cholernie pogmatwane. Niech diabli porwą Ashley! I Blanche także!

Rozdział 10

Ashley dotarła do domu około siódmej. Alex czekał. Choć z trudem panował nad własnym podnieceniem, był gotów natychmiast pójść spać, wierząc, że im wcześniej się położy, tym szybciej nadejdzie Boże Narodzenie. Ashley utuliła go w łóżeczku rozczulając się niemal do łez, kiedy zarzucił jej rączki na szyję i na dobranoc wycisnął na jej policzku wilgotny pocałunek. Wyszła z dziecinniej sypialni i poszła do kuchni; matka przygotowywała indyka, a ojciec dotrzymywał jej towarzystwa siedząc przy

stole. Śmiali się z czegoś, kiedy wchodziła, ale na jej widok umilkli. Przyłapała ich na wymienianiu ukradkowych spojrzeń, kiedy matka spytała ją, czy wszystko jest w porządku. Ashley uśmiechnęła się, może trochę zbyt promiennie, zapewniła, że oczywiście, wszystko jest w jak najlepszym porządku, i sięgnęła po fartuszek. Ledwie zdążyła założyć go na sukienkę, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Ojciec poszedł otworzyć. Po chwili wrócił i poinformował ją, że przy drzwiach czeka jakiś pan Caffin, który chce się z nią zobaczyć. Ashley spojrzała pytająco na matkę, ale ta odpowiedziała jedynie wzruszeniem ramion. Ashley słuchała pana Cafrina przez parę minut, zanim do niej dotarło to, co on mówi, ale nawet wtedy była zbyt oszołomiona, żeby się odezwać. Wyglądało na to, że biały Aportowy Mercedes, zaparkowany na podjeździe obok samochodu ojca, należy do niej. Podeszła tam i jej zdziwienie jeszcze wzrosło, kiedy na przednim siedzeniu znalazła siedzącego w pudełku szczeniaka. Obok leżał bilecik, w którym Julian pisał, że mały labrador to prezent dla Alexa.

Ashley przeplakała całą noc. Prezenty uświadomiły jej, lepiej niż wszystko, co zostało wcześniej powiedziane i zrobione, że Julian nigdy do niej nie wróci. Zapłacił za jej miłość i rachunki były wyrównane. Przed świtem w dzień Bożego Narodzenia wśliznęła się do łóżka Alexa i przeleżała przytulona do synka aż do rana.

O kilka mil dalej, w innej części Surrey, Kate i Ellamarie wypityły za dużo czerwonego wina w towarzystwie ojca Kate; jej matka urzędowała w kuchni, szykując posiłek dla pięciu osób. Porcję Jonathana przygotowała do podgrzania, bo przecież on zawsze się spóźnia. Kate i ojciec nie tłumaczyli jej już, że Jonathan nigdy nie wróci; pozwalali matce robić to, co uważała za stosowne, jakby też wierzyli w jego powrót. Przy każdym dzwonku telefonu obie, Kate i Ellamarie, wstrzymywały oddech, modląc się w duchu, by to było do nich. Ale świąteczny dzień minął i ani Bob, ani Joel nie zadzwonili.

Jednakże drugiego dnia świąt, kiedy wrócili z polowania, przyjechał Joel. Kate nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie zadzwonił, żeby uprzedzić o swoim przyjeździe, lecz po prostu wyrósł przed nią, jak

spod ziemi. Nie przyszło jej nawet do głowy złościć się na niego za bezceremonialność, była tak szczęśliwa, że przyjechał.

Ellamarie została w domu z panem Callowayem, a Joel i Kate poszli na spacer wokół Frensham Pońds. Długo ich nie było i Ellamarie zaczynała już odczuwać skrepowanie, patrząc na pana Callowaya i widząc jego zaniepokojenie. Kiedy w końcu wrócili, Kate miała rozpalone policzki.

Joel został na obiedzie, a potem odjechał do Londynu.

Ellamarie walczyła z tęsknotą i ogarniającym ją lękiem. Mijała godzina za godziną, a ona wciąż czekała na telefon od Boba. Nie zadzwonił. Nie mogąc się powstrzymać, wykrciła jego numer. Odebrała żona; Ellamarie bez słowa odłożyła słuchawkę. Potem zadrczała się, wyobrażając go sobie w domu z rodziną. Choinka, prezenty, ta szczególna atmosfera. Alkohol przynosił jej ulgę, więc dolewała sobie obficie i czekała niecierpliwie na moment powrotu do Londynu. Przez ten czas Bob powie już o wszystkim żonie. Obiecał przecież.

Matthew chciał zamieszkać z Jenneen i błagał ją, żeby się na to zgodziła. Przerażona już tym, że pozwoliła mu zostać na jedną noc, próbowała odmówić. On jednak nie ustępował i w końcu poddała się - wyjechała do Yorkshire z postanowieniem, że zajmie się tą sprawą po powrocie. Na razie musiała wyjechać.

Rodzice ucieszyli się z jej przyjazdu, a ją ich widok napełnił zarówno radością, jak i smutkiem. Kochała ich prostotę i serdeczność. Nagrzana kuchnia nęciła cudownym zapachem kurczaka i pieczonych ziemniaków. Po obu stronach zapalonego kominka stały dwa foteieje które pamiętała w tym miejscu od zawsze. Ilekroć przyjeżdżała do domu, jeden z nich był zarezerwowany dla niej. Znalazła się w innym świecie i trudno było uwierzyć, że jest załedwie paręsetmil od Londynu. W domu rodziców Jenneen nie czuła się u siebie. Nie lubiła tego uczucia, ale sądziła, że jest zrozumiałe - jej życie było teraz inne.

- Jeszcze trochę sosu, kochanie? - spytała matka. Był wieczór drugiego dnia świąt i przy stole w największym pokoju, używanym tylko z okazji urodzin, ślubów i świąt, a teraz, gdy bracia Jenneen dorastali, również do podejmowania herbatą ich sympatii, zgromadzili się wujowie i ciotki.

Jenneen poprosiła o dokładkę i patrzyła teraz na szorstką, pokrytą żyłami rękę matki, która polewała sosem jej danie. Pochwyciła jej spojrzenie i dostrzegając pełen dumy uśmiech matki poczuła, że topnieje jej serce i cała wypełnia się miłością, taką samą jak w dzieciństwie. Niezależnie od tego, jak zmieniło się jej życie i co przyniesie przyszłość, matka na zawsze pozostanie dla niej najważniejszą osobą na świecie.

Później, po skończonym posiłku, wybrali się do klubu robotniczego przy końcu ulicy. Ojciec bardzo się ucieszył, że Jenneen zgodziła się im towarzyszyć, lubił się pochwalić sławną córką." Odpnęła się i zaczęła całkiem dobrze się bawić. Wkrótce tańczyła z Jimem Woodruffem, swoją niegdysiejszą sympatią, a obecnie liderem domu towarowego. Był żonaty ze szkolną koleżanką Jenneen, Lindsey, która tego popołudnia została w domu doglądać dzieci, ale z pewnością, jak twierdził Jim, bardzo by się ucieszyła, gdyby Jenneen wpadła do niej w odwiedziny przed powrotem do Londynu.

Tańczyli razem już trzeci taniec, kiedy Jenneen szepnęła mu coś do ucha i nie mówiąc pozostałym ani słowa, wymknęła się z klubu. W domu wyjęła przybory do makijażu i szybko się umalowała. Potem rozebrała się, włożyła futro i botki i pojechała z powrotem do klubu, przed którym w ukryciu czekał Jim. Wsiadł do jej samochodu i pojechali na wrzosowisko. Kiedy zdjęła futro i pokazała mu się całkiem naga, był zszokowany, ale jej to nie przeszkadzało. Pani Green domagała się satysfakcji i było jej wszystko jedno, z kim i gdzie ją osiągnie. Tylne siedzenie w samochodzie było niewygodne, toteż Jenneen usiadła na kolanach Jima Woodruffa, zwrócona twarzą do niego, objęła go udami i rozkołysała aż do orgazmu.

Gorzki wstyd, który dopadł ją potem, był najgorszy ze wszystkich dotychczasowych. Twarz matki, dobra i zatroskana, wciąż stała jej

przed oczyma. Myśl o ojcu, szorstkim i trochę niezręcznym, ale pełnym zaufania do córki i dumnym z jej osiągnięć, wycisnęła jej z oczu łzy skruchy i wstydu. Co by było, gdyby się dowiedzieli? Zadrżała i spojrzała na swe odbicie w lustrze. Dobry Boże, cóż to za demon czaił się w mrocznych zakamarkach jej duszy? Dochodziła dziesiąta wieczór drugiego dnia świąt, kiedy Ashley podjechała pod dom rodziców. Od razu rozpoznała samochód Keitha. Mimo że minęło już ryle czasu, nadal czuła się nieswojo w obecności byłego męża.

Nie dlatego, by ciągle jej na nim zależało. Z tym uporała się już dawno. Jej obecne uczucia wobec Keitha były dowodem, że czas rzeczywiście leczy rany. Nie, to nie jej uczucia powodowały szybsze bicie serca na myśl o spotkaniu, lecz to, że on wciąż ją kochał. W ciągu ostatniego roku odbyli wiele męczących rozmów, podczas których dosłownie błagał ją, żeby do niego wróciła. Jeśli już nie dla niego, to przynajmniej dla Alexa. Zasypywał ją obietnicami i pomysłami na nowe wspólne życie, ale ona wiedziała, że nigdy do niego nie wróci. Kochała Juliana, a Keith należał do przeszłości.

Wnosząc do domu śpiącego Alexa zastanawiała się, czy matka powiedziała już Keithowi o Julianie. Miała nadzieję, że nie, ale Keith z pewnością zapytał, a matka by go nie okłamała. Była zła na Keitha o przedwczesne przybycie. Miał przyjechać ze swoją rodziną dopiero następnego dnia, by zgodnie z ustalonym zwyczajem zostać na sobotnim obiedzie. Gdyby się trzymał planu, czekałaby na niego w domu.

- Czy to ty, kochanie? - zawołał ojciec, wychodząc do holu i zapalając światło.

- Tak, to ja. Keith jest tutaj, prawda?

- Jest tutaj z mamą. Wezmę małego na górę i położę do łóżka - zaproponował, wyciągając ręce po Alexa.

Oddała mu śpiące dziecko i rozejrzała się za szczeniakiem.

- Chyba najpierw nastawię czajnik. Chodź, Cezar..

Cezar przez chwilę przeżywał rozterkę - Alex odchodził w jedną stronę, a jego wzywano w drugą. Ashley złapała psiaka za obrozę, wyręczając go w podjęciu trudnej decyzji.

- Nalała wody do czajnika i przeciągnęła się leniwie. Miała ochotę od razu pójść spać, ale wypadało się przywitać z Keithem.

- Witaj, Ash. - Wszedł do kuchni. Odwróciła się do niego.

- O, cześć.

- Spóźnione wesółych świąt - powiedział. - Przyniosłem ci prezent Leży pod choinką.

- Dzięki, nie powinienes. - Uśmiechnęła się.

- Ale chciałem. Czy Alexowi podobały się prezenty?

- Bardzo. Kolejka stoi rozłożona w jego pokoju, zobaczysz jajutro. Tatuś zabrał Alexa na górę, do łóżka. Jest nieprzytomny ze zmęczenia. - Gdzie byliście?

- U Kate. Ellamarie też tam jest.

- Ach tak. - Nie zdołał ukryć irytacji. Przyjaciółki stanowiły część jej nowego życia, do którego on już nie należał, więc odnosił się do nich z niechęcią.

- Miło spędziłeś święta? - zagadnęła.

- Owszem, całkiem przyjemnie. Mama jest trochę osłabiona, ale ojciec jak zwykle w świetnej formie.

~ Co dolega twojej matce?

- Początki grypy, jak sędzę, nic poważnego. A jak ty się miewasz?

- Świetnie, jestem tylko trochę zmęczona.

- Twoja matka powiedziała mi o Julianie - odezwał się po chwili przerwy. -Przykro mi.

Ashley popatrzyła na niego, zastanawiając się, czy mówi prawdę. Miał poważną minę i wyraz szczerego współczucia w oczach. - No cóż, chyba jakoś to przeżyję. - Wzruszyła ramionami;

- Z pewnością - starał się ją pocieszyć. - To kwestia czasu. , Znowu to samo, pomyślała. Woda w czajniku zagotowała się, więc rozejrzała się za dzbankiem,

- Dokąd chcesz zabrać jutro Alexa?

- Pomyślałem, że wezmę go do kina, W Esher wyświetlają *Goonies* Stevena Spilberga. Występuje tam pirat, jednooki Willie.

Ashley roześmiała się. To mu się powinno spodobać. Powiedziała ci mama, że Alex ma nowego przyjaciela?

- Masz na myśli jego? - spytał Keith, wskazując na zmęczonego Cezara, zwiniętego w kłębek na prowizorycznym posłaniu w kącie.

- Tak, jego.

- Słyszałem, że dostał go od Juliana.

- Zgadza się.

- A ty dostałaś Mercedesa?

- Na to wygląda.

- Okazał wielką hojność.

- Wielką - przytaknęła Ashley. - Mógłbyś zanieść tacę? Ja wezmę trochę herbatników.

Poczekala, aż Keith wyjdzie, a potem wbiegła po schodach na górę, żeby pocałować Alexa na dobranoc. Nie chciała, by Keith poszedł razem z nią. Bała się sceny czułych rodziców pochylających się nad śpiącym dzieckiem. Popęlniła już kiedyś ten błąd i skończyło się to szlochem i błaganiami Keitha, które obudziły Alexa. Nie chciała, żeby się to kiedykolwiek powtórzyło. Alex wiedział, że Keith rozpaczliwie pragnie ich powrotu, i Ashley bała się, że teraz, kiedy Julian zniknął z ich życia, chłopiec mógłby stanąć po stronie ojca i próbować namówić ją na ponowne połączenie rodziny. Była teraz tak nieszczęśliwa, że nie miała siły z nimi walczyć.

Kiedy znowu zeszła na dół, Keith siedział na kanapie i oglądał telewizję z rodzicami. Usiadła obok niego, uważając, by nie przysuwać się zbyt blisko. Marka przecierała oczy; na ekranie rozgrywały się ostatnie sceny *Traviaty*.

Opera dobiegła końca. Pani Lakeman westchnęła i uniosła filiżankę z herbatą.

- No jak tam, kochanie, dobrze się bawiłaś u Kate?

- O tak - zapewniła Ashley. - Kazała was pozdrowić, Ellamarie także.

Jakże się miewa matka Kate?

- Obawiam się, że nie najlepiej. Przez cały dzień nazywała Alexa Jonathanem, co niezbyt mu się podobało.

- Ojej! - zatroskała się matka, - Ale chyba nie był niegrzeczny?

- Właściwie nie.

- Jak mógłby być niegrzeczny? Charakter ma przecież po tatusiu - wtrącił się Keith i natychmiast tego pożałował.

- Chętnie bym się już położył - oznajmił pan Lakeman. - A ty, Rachel?

- O jedenastej jest film z Gene'em Kellym. Myślałam, że może... - Napotkała wzrok męża. - Nie, masz rację. Jestem trochę zmęczona. Zresztą, wystarczy tej telewizji na dzisiaj.

Ashley wstała, żeby wyjść za matką, ale Keith chwycił ją za rękę.

- No to życzę wam dobrej nocy - pożegnał się pan Lakeman.

- Dobranoc, tato - odpowiedziała Ashley.

- Dobranoc - powtórzył za nią Keith. Wziął pilota i wyłączył telewizor.

- Chyba też już pójść się położyć - stwierdziła Ashley.

- Nie chodź jeszcze. Może się napijemy przed snem. Tylko we dwoje.

Ashley nie chciała być nieuprzejma, ale nie podobała jej się ostatnia uwaga.

- W końcu - mówił podchodząc do stoliczka na kółkach, który pełnił funkcję barku - nieczęsto jesteśmy sami i mamy okazję porozmawiać.

Usiadła zrezygnowana.

- Proszę o pomarańczówkę.

Ashley zasmuciła się, widząc jego radosne ożywienie. Trudno było poradzić sobie z całym tym uczuciowym zamętem.

- Zastanawiałem się - mówił Keith, wracając z napełnionymi kieliszkami - czy będziesz tutaj w sylwestra.

-. Jeszcze o tym nie myślałam.

- Byłoby miło, gdybyś była. Chodzi mi o Alexa.

- Naprawdę nie wiem. On jeszcze nie rozumie, co to jest sylwester. Nie wytrzyma nawet do dziesiątej.
Keith roześmiał się.

- Chyba masz rację, ale, jak rozumiem, nic nie zatrzyma cię w Londynie.

- Nie wiem o niczym, co mogłoby mnie zatrzymać. A ty? Co ty będziesz robił?

- Jeszcze nic nie zaplanowałem. Pewnie coś wymyślę w ostatniej chwili.

Pokiwała głową ze zrozumieniem i podniosła do ust kieliszek. Poddając się nastrojowi myślała o tym, jak wyglądałoby jej życie, gdyby została z Keithem. W takich chwilach jak ta, kiedy czuła się samotna i bezbronna, pamiętała tylko dobre okresy ich wspólnego życia. Czasy, kiedy przesiadywali razem, tak jak teraz, rozmawiając do późna w nocy. Nie ulegało wątpliwości, że kiedyś go kochała, ale to było tak dawno. Tyle się od tego czasu wydarzyło.

- Co byś powiedziała na to, żeby w sylwestra wybrać się ze mną gdzieś na kolację? - zapytał.

Odwróciła się od niego i natychmiast poczuła się winna za ten gest.

- Przepraszam. Nie powinienem był tego mówić. Jeszcze na to za wcześnie.

- Ależ nie - uspokoiła go. - Nie przepraszaj. Z przyjemnością wybiorę się z tobą na kolację w-sylwestra.

Dziękuję za zaproszenie.

- Mówisz serio? Potwierdziła z uśmiechem.

- Jeśli chcesz, przyjadę do Londynu.

- Nie, umówmy się gdzieś tutaj.

- Dobrze. Zarezerwuję stolik. Może w Grange? To była restauracja, w której jej się oświadczył.

- Dobrze, możemy pójść do Grange.

Podniósł kieliszek, jakby chciał toastem przypieczętować ich umowę.

- Miałem zamiar cię zaprosić tak czy inaczej. To nie ma nic wspólnego z Julianem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Nadal go kochasz? Ashley zachnęła się.

- Przepraszam cię - wycofał się Keith - ja...

- Nie szkodzi. Odpowiedź brzmi: tak. Tak, nadal go kocham.

- Przyjąłabyś go z powrotem, gdyby o to poprosił?

- Tak, przyjąłabym go. - Pokiwała głową.

- Wiedziałem, że to powiesz. - W milczeniu obracał w palcach kieliszek. - Ale do mnie nie wrócisz?

- Och, Keith, proszę cię - westchnęła, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Nie zaczynajmy od początku.

-Przepraszam - powiedział ze smutkiem. - Nie mogłem się powstrzymać. Tak bardzo cię kocham i tak tęsknię za Alexem. To okropne widywać go tylko od czasu do czasu. Chcę mu pomagać w lekcjach i uczestniczyć w jego zabawach jak prawdziwy ojciec, a nie jak niedzielny tatuś. To ja powinienem mu kupić psa i ja powinienem spędzać z nim święta. Boję się, że będzie dorastał beze mnie. Boję się, bo wszystko dzieje się tak szybko, że zostanę w tyle i nie będę już znał swojego własnego syna.

Spojrzał na obrączkę na jej palcu - nosiła ją, mimo że od przeszło dwóch lat byli rozwiedzeni.

- Teraz wszystko wygląda inaczej, wiesz? - ciągnął. - Już prawie nie piję i nie gram. Od dawna nie spojrzałem na żadną inną kobietę. Pragnę tylko ciebie, Ash. Ciebie i Alexa, mojej rodziny.

Schowała za siebie rękę z obrączką i pochyliła się do przodu.

- Będę czekał, Ash - zapewnił. - Nieważne, ile to będzie trwało, będę czekał. Zawsze tu będę, gdybyś mnie potrzebowała. Zawsze będzie mi na tobie zależało. Już nigdy cię nie zawiodę, przysięgam.

- Och, Keith - westchnęła. - Wierzę, że naprawdę tak myślisz.

- To prawda, Ashley. Nigdy nie przestałem myśleć o tobie jako o mojej żonie. A to wszystko, co wydarzyło się trzy lata temu... -patrzył przed siebie, niezdolny mówić dalej. Ashley sięgnęła po jego dłoń. Wiedziała, jak trudno mu wspominać tamte pogróżki, że się

zabije, jeśli ona do niego nie wróci. Później były jeszcze groźby, że zabierze Alexa i ukryje tak, że ona go nigdy nie znajdzie. Uścisnął mocno jej dłoń.

- Powiedz mi tylko, że może pewnego dnia znowu będziesz moją żoną. Daj mi jakąś szansę.

- Nie mogę tego powiedzieć. Wiesz, że nie mogę. - Wyprostowała się, opierając głowę o poduszki kanapy. O ileż prostsze byłoby życie, gdyby potrafiła go od nowa pokochać. Byliby znowu rodziną, pełną rodziną. Alex miałby ojca, a ona miłość i poczucie bezpieczeństwa, którego tak potrzebuje. Nie chciałyby rezygnować z pracy, ale wiedziała, że Keith zgodzi się na każde warunki, byleby tylko być znowu z Alexem. I nie musiałyby drżeć ze strachu idąc codziennie do biura. Mogłyby się przenieść do jakiejś agencji bliżej domu. Gdyby wróciła do Keitha, wszystko jakoś by się ułożyło.

Poczuła, że Keith kładzie jej dłoń na ramieniu. Wyjął jej z ręki kieliszek. Objął ją i delikatnie pocałował. Przytłoczona samotnością, z zamętem w głowie, nie wzbraniała się przed pocałunkiem.

Rozdział 11

Recenzje z przedstawienia *Wieczoru Trzech Króli*, reżyserowanego przez Boba McElfreya, były doskonałe. Nawet sam Bob nie spodziewał się tak entuzjastycznego odbioru sztuki. Powodowany skromnością, tłumaczył swój sukces przesytem nowoczesnymi interpretacjami Szekspira, dominującymi w teatrze w ciągu ostatnich lat, a krytycy zgadzali się z jego opinią.

Jeśli nawet nie wiedzieliśmy tego wcześniej, to wiemy teraz -głosiła jedna z recenzji - że wolimy Szekspira w wersji klasycznej. I pragniemy oglądać także jego lżejsze sztuki. A Bob McElfrey dał

nam właśnie to, czego oczekujemy." „Kawał dobrej teatralnej roboty, nie mającej sobie równej w ostatnich latach" - twierdziła inna. Romantyczna historia opowiedziana z uczuciem i humorem, których nauczyliśmy się oczekiwać od jednego z naszych najlepszych reżyserów." Były też artykuły pisane w bardziej swobodnym tonie, mówiące o „wybuchach śmiechu na widowni" i „wołaniach o bis". Jedna z autorek recenzji dość okrutnie potraktowała Maureen Woodley, pisząc o jej występie, że „okazała się lepsza jako Viola przebrana za mężczyznę, bo tylko wówczas była w miarę wiarygodna".

Bob uważał tę ocenę za zbyt surową, ale musiał przyznać, że Maureen nie udało się do końca wczuć w odtwarzaną postać. A co gorsza, sprawiała wrażenie, jakby się tym w ogóle nie przejmowała, Bob był na nią tak zły, że prawie się do niej nie odzywał, kiedy po premierze wybrali się wszyscy na tradycyjne przyjęcie. Nie chciał prowokować awantury, przynajmniej nie w chwili, gdy cały zespół świętował swój triumf. Jednakże nikt się nie zdziwił, gdy zarządził próby już następnego dnia.

Inspicjentka wynajęła salę prób na cały dzień. Bob miał niejasne przeczucie, że dla Maureen byłoby lepiej trzymać się z daleka od teatru aż do wieczornego przedstawienia. Wezwał cały zespół na popołudnie. Nie tylko rola Maureen wymagała doszlifowania, niezależnie od tego, co mówili krytycy.

Ellamarie siedziała z boku sali w towarzystwie Nicholasa Gougha. Obserwowali Maureen próbującą z Davidem Floodem, który grał Orsyna. Co jakiś czas udawało jej się pochwycić spojrzenie Boba; robiło jej się wówczas ciepło koło serca. W końcu Bob uśmiechnął się pod nosem i przesunął stolik z tekstem, tak by nie mieć jej w polu widzenia - widocznie próbował bardziej skoncentrować się na pracy.

Ellamarie odczytała jego myśli i ucieszyła się, że święta minęły i znowu mogą być razem. Ponownie skupiła uwagę na postaci Maureen Woodley. Niezależnie od swoich uprzedzeń musiała przyznać, że Maureen jest uzdolnioną aktorką... przynajmniej tego ranka. Ellamarie dziwiła się, dlaczego tak słabo wypadła na.

Premierze.

Bob prawie nie przerywał Maureen, nie było takiej potrzeby; a kiedy już to robił, bezbłędnie reagowała na jego sugestie. Była miła, śmiała się, kiedy sam wypowiadał kwestie, a po skończonej próbie najwyraźniej czekała na pochwałę i otrzymała ją.

W następnej scenie nie występowała ani Maureen, ani Ellamarie, więc obie siedziały z boku i przyglądały się próbującym kolegom, a przynajmniej sprawiały takie wrażenie. W istocie Ellamarie kątem oka obserwowała Maureen, która prawie nie odrywała oczu od Boba.

Ellamarie nie wierzyła własnym oczom: Maureen Woodley leciała na Boba! Ellamarie była zszokowana. Nie miała pojęcia, że Maureen żywiła do niego tego rodzaju uczucia. Zupełnie ich wcześniej nie zauważyła.

Kiedy to się zaczęło?

Była tak pochłonięta rozważaniami nad dwulicowością Maureen, że nie usłyszała, jak Bob zwołuje resztę obsady, aby przyłączyli się do dyskusji. Kiedy zwrócił się bezpośrednio do niej, twarz Maureen wykrzywiła taka nienawiść, że Ellamarie aż się wzdrygnęła.

- Chcę, żebyście wszyscy tego posłuchali - zwrócił się Bob do zebranych wokół aktorów. - Będziemy mówić o pauzowaniu. - Rozległy się śmiechy i narzekania. - Tak, tak - ciągnął, podnosząc rękę- stara śpiewka. -

Zwrócił się do Davida i Maureen: - Dobrze, powtórzcie ten ostami fragment.

- Skąd mamy zacząć? - spytał David.

- Zaczynajcie od „Mówisz po mistrzowsku” - zarządził Bob i odsunął się o krok, by móc lepiej obserwować scenę.

- Mówisz po mistrzowsku; Choć jesteś młody, jestem przecie pewny, że już twe oko padło na oblicze; któreś pokochał; czy myślę się, chłopcze?

- Trochę w tym prawdy.

- Cóż to za kobieta?

- Twej cery, panie. Bob uniósł rękę.

. - Maureen, może powiesz początek tej kwestii od razu, a potem zawieszisz głos. Wiesz, o co mi chodzi?

„Twej... cery, panie.” Jesteś

tu trochę zaskoczona, więc może nie powinnaś od razu tak gładko odpowiedzieć. Spróbuj to. Maureen posłała mu uśmiech i zwróciła się twarzą do Davida.

- Twojej... cery, panie - powtórzyła. - O tak! - pisnęła, odwracając się powtórnie do Boba. - Rzeczywiście, tak jest lepiej, Teraz to brzmi świetnie. Dziękuję.

Bob skinął głową i obejrzał się, bo inspicjentka ciągnęła go za rękaw. Wskazywała na zegarek,

- Słuchajcie - zawołał. - Macie dziesięć minut na herbatę. Nie będziemy powtarzać wszystkiego od początku, ale chcę, żeby wszyscy byli pod ręką, więc proszę się nie rozchodzić.

Wrócił do swojego stolika i wyjął z teczki libretto do *Don Giovanniego*. Jutrzejszy dzień miał spędzić na próbach w Lilian Bayliss House, więc postanowił wykorzystać przerwę na to, by jeszcze raz prześledzić treść opery. Zajrzał do skryptu, jęknął w duchu i postanowił wzmocnić się jednak filiżanką herbaty.

Otwierając wahadłowe drzwi do małej kuchenki na tyłach sali, zatrzymał się w pół kroku, słysząc wysoki głos Maureen. Nikt nie widział, jak wchodzi; trafił akurat na moment, kiedy Maureen z przesadnym amerykańskim akcentem praedrżeźniała Ellamarie:

- Romeo, Romeo, gdzie jesteś, Romeo?

Potem zniżyła głos, naśladowując szkocki akcent Boba:

- W domu z żoną, najdroższa.

- Maureen! - Odwróciła się gwałtownie, słysząc ostry ton Boba, - Pozwól na słowo.

Maureen wyszła za nim do holu. Gestem pokazał jej, by zmoknęła drzwi do kuchni, i stanął przy swoim stoliku. W pobliżu nie było nikogo, nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Maureen - zaczął łagodnym głosem, nie przystającym do gniewnego spojrzenia. - Sporo rzeczy w twojej roli wymaga jeszcze dopracowania. Gdybyś więcej uwagi skupiła na tym, a mniej na pozostałych członkach zespołu, może mielibyśmy lepsze wyniki.

Maureen spąsowiała na twarzy, ale nie odważyła się nic powiedzieć.

- A teraz wypij herbatę i popracuj nad rolą z Davidem. Ośmiesz-

jąc Ellamarie, ośmieszasz również mnie, a tego nie będę tolerował, rozumiesz? Nie jesteś niezastąpiona. Ku jego zaskoczeniu była bliska łez. Nie spodziewał się, że może płakać. Już prędzej oczekiwał krzyku i tupania nogami, ale nie łez.

- Posłuchaj - odezwał się ugodowo. - Przykro mi, że musiałem mówić do ciebie w taki sposób. Nie będziemy do tego wracać, dobrze?

Odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę kuchni. Patrzył, jak odchodzi. Nie ufał jej. Była aktorką, i to dobrą. I znowu, już nie pierwszy raz, pomyślał o tym, że ona zna jego żonę. Będzie musiał na nią uważać. Czy może raczej sam będzie musiał uważać.

Zjadłbyś coś? - spytała Ellamarie,

- Yhm, chyba tak.

- Wyjdziemy do restauracji? Możemy pójść gdzieś na King's Road, na pizzę albo coś innego.

Bob zastanowił się przez chwilę.

- Wolalbym zjeść tutaj. Może wyjdę i coś przyniosę?

- Dobrze. Co zamówimy?

- Proponuję chińszczyznę. Zaakceptowała ten pomysł,

- Iść z tobą?

- Nie ma potrzeby. - Nadarzała się okazja, by znaleźć telefon i zadzwonić do żony. Cały dzień o tym myślał, ale popołudniowa próba skończyła się dopiero o piątej i nie miał okazji tego zrobić, bo Ellamarie nie odstępowała go na krok.

Wziął z biurka klucze, pocałował ją pośpiesznie i wyszedł.

Ellamarie była wyjątkowo podniecona dzisiejszym występem. Na widowni miały być wszystkie jej przyjaciółki, a po przedstawieniu wybierali się razem na kolację do Villa Dei Cesari. Żałowała tylko, że ojciec nie może jej zobaczyć. Wiedziała, że byłby zachwycony sztuką. Postanowiła wysłać mu wycinki z recenzjami.

Jeden z krytyków stwierdził, że Ellamarie Goold jest aktorką o wielkiej przyszłości. Jestem pewien - pisał - że jeszcze nieraz zobaczymy tę piękną i utalentowaną młodą aktorkę." Chciałaby widzieć minę ojca, kiedy będzie to czytał. Będzie z niej naprawdę dumny. Matka pewnie też, ale ona rzadko okazywała jakiegokolwiek emocje. Ojciec pomyślał o tym, by do niej zadzwonić wczoraj przed premierą; sprawił jej tym ogromną przyjemność. Tak dawno go nie widziała.

Rozebrała się i poszła napuścić wody do wanny. Była ciekawa, co Bob powiedział Maureen, ale wiedziała, że nie może o to pytać. Nie lubił rozmawiać o sprawach dotyczących jego stosunku do innych członków zespołu. Tak było lepiej dla niej i dla nich.

Miała ochotę powiedzieć mu, że Maureen jest w nim zadurzona, lecz odrzuciła ten pomysł. To nie miało sensu. Maureen i tak wkrótce wyleczy się z tej fascynacji. Szkoda, że kuzyn Blanche, jakkolwiek on się tam nazywał, tak szybko wrócił do Stanów.

Zadzwonił telefon. Owinęła się ręcznikiem i poszła odebrać.

Dzwoniła Kate z życzeniami powodzenia i z wiadomością, że jej rodzice nie będą mogli jednak przyjechać na przedstawienie.

- A Joel przyjdzie? - spytała Ellamarie.

- Oczywiście, że tak. Przyjedzie po mnie o wpół do ósmej. Zdążymy dojechać na czas?

- Swobodnie. Zaczyna się dopiero o ósmej trzydzieści. Nawiasem mówiąc, Nicholas Gough pytał dziś o ciebie. - O! - ucieszyła się Kate. - Co mówił?

- Pytał tylko, czy będziesz dzisiaj na spektaklu?

- I co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że będziesz. Ale nie mówiłam mu, że Joel też będzie.

- On chyba nie oczekuje...

- Nie wydaje mi się - przerwała Ellamarie.

- Nie był specjalnie zmartwiony, że wychodzę z Joelem, wtedy w Ritzu.

- Nic takiego nie mówił. Ale wydaje mi się, że był trochę zbity

z tropu. W końcu to ty mnie prosiłaś od miesiący, żeby cię z nim spiknąć.

- Trzeba przyznać, że się nie śpieszył - wtrąciła gderliwie Kate.

- Spotykał się z kimś innym.

- No cóż, trudno. Obawiam się, że ocknął się trochę za późno.

- To miły facet, Kate.

- Przestań, bo zaczynam mieć wyrzuty sumienia. Rozmawiałaś dziś z dziewczynami? Mam się z nimi spotkać w barze.

- Jenneen dzwoniła wcześniej. Przychodzi z Matthew. I wiesz co? Ashley też kogoś przyprowadza.

- Nie mów! Kogo?

- Mnie się pytasz? Mówiła, zdaje się, że poznała go w restauracji.

- Ale kto to taki?

- Pojęcia nie mam. Twierdzi, że na pewno nam się spodoba.

- Nie mogę się doczekać. Mówiła ci, co się stało w zeszłą sobotę w biurze?

- Nie.

- To było okropne. Chodzi o Juliana. Podszedł do niej i wyobraź sobie, próbował ją pocałować. Powiedział, że jest mu przykro i czy mógłby się nadal z nią widywać.

- Jezu Chryste! I co zrobiła?

- Akurat wtedy wszedł ten dupek Conrad. I okazało się, że dobrze zrobił, bo Blanche właśnie wchodziła po schodach. Gdy tylko Julian usłyszał imię Blanche, zbladł i ulotnił się, zostawiając biedną Ashley na pastwę tego nowojorskiego filistra. - Co Conrad na to?

- Nagadał różnych obraźliwych rzeczy. Kłócili się jak cholera. I wtedy wszedł mały Alex i Ashley powiedziała, że na widok dziecka Conrad się opamiętał i zaczął się zachowywać prawie po ludzku. Ale co sądzisz o Julianie? Mieści ci się to w głowie? Tym razem nawet Ashley się wściekła.

- Julian jest samolubnym, egoistycznym sukinsynem - zawyrokowała Ellamarie, zaskakując Kate stanowczością swego osądu. Nastąpiła krótka pauza.

- Miałam cię zapytać - odezwała się Kate już spokojniejszym tonem - czy... czy Bob powiedział już żonie? Ellamarie westchnęła.
 - Hmm, jeśli nawet tak, to nic mi o tym nie wiadomo. Więc chyba możemy przyjąć, że nie.
 - Och, przepraszam cię. Jesteś zła?
 - Jak diabli. Ale co mogę na to poradzić? Zresztą i-tak na to nie pora. Nie teraz, kiedy zaczynamy grać i w ogóle.
 - Gdzie on teraz jest?
 - Właśnie wchodzi. Poszedł kupić coś do jedzenia.
 - Chcesz powiedzieć, że możesz jeść? - zdziwiła się Kate. - Nie jesteś potwornie zdenerwowana?
 - Nic nie jest w stanie odebrać mi apetytu - oświadczyła Ellamarie. - Tak czy inaczej, muszę już kończyć, bo on się tłucze w kuchni, żeby mi dać znać, że już wrócił. Zachowuje się jak rozpieszczone dziecko. Wymaga bezustannej uwagi.
 - Jak wszyscy mężczyźni - roześmiała się Kate.
- Ellamarie odłożyła słuchawkę i weszła do kuchni, gdzie Bob dłubał w kartonowych pudełkach z jedzeniem.
- Nie mogłeś poczekać?
 - Umieram z głodu. Cały dzień nic nie jadłem.
 - No to chociaż przełóżmy to na talerze. - Zabrała mu pudełka sprzed nosa.
- Stał patrząc, jak odsuwa i zamyka szuflady, wyjmując sztucce i przyprawy. Niemal rzuciła je na stół.
- Jesteś o coś zła? - zdziwił się. - Nie.
 - Kto dzwonił?
 - Kate.
 - Przyjdzie dzisiaj?
 - Tak. Z Joelem.
 - O, to ona się z nim nadal widuje?
 - Owszem. Co wi tym dziwnego? Bob przyjrzał się jej uważnie.

- Coś cię gryzie, Ellamarie. O co chodzi? - Nic mnie nie gryzie. Już ci mówiłam.

Wyjęła z kredensu talerze i wyłożyła na nie zawartość kartoników. Potem włączyła piekarnik i wstawiła swoją porcję do środka.

- Co robisz? - zainteresował się Bob.

- Podgrzewam swoje jedzenie. Idę się najpierw wykapać.

- A ja myślałem, że rozebrałaś się specjalnie dla mnie. Nie rozśmieszyło jej to.

Wzruszył ramionami, usiadł przy stole i zabrał się za jedzenie. Kiedy wyszła z łazienki, siedział przed telewizorem i oglądał wywiad, który Terry Wogan przeprowadzał z Ann Hollier i Davidem Floodem.

- Zapomniałam, że będą dzisiaj w telewizji - odezwała się. - Długo to trwa?

- Już się prawie kończy. - Więc dlaczego mnie nie zawołałeś?

Popatrzył na nią bez wyrazu.

- Przepraszam, nie pomyślałem o tym.

- Jak zwykle - stwierdziła zgryźliwie.

- Ellamarie, przestań się tak zachowywać. Jeśli cię czymś zdenerwowałem, powiedz mi to wprost.

Odwróciła głowę i wbiła widelec w jedzenie, które przyniosła do salonu. Straciła apetyt. Odsunęła talerz.

- Coś nie tak? - Może byś przestał mnie w kółko o to pytać?

- Na litość boską - zirytował się. - Nagle się okazuje, że wciąż mówię nie to, co trzeba.

- Ludzie, którzy w ogóle nic nie mówią, nie mówią tego, co trzeba.

- Co to ma niby znaczyć?

- Dokładnie to, co znaczy.

- To wybacz, że jestem taki głupi, ale nie rozumiem.

- I o to właśnie chodzi, Bob? Nie rozumiesz!

- Gdybym wiedział, co mam zrozumieć, to może bym spróbował.

- Spróbuj zrozumieć, że przed Bożym Narodzeniem złożyłeś mi obietnicę, o której wyraźnie nie chcesz pamiętać.

- Jaką obietnicę?

- A to dobre! - nie wytrzymała. - Jaką obietnicę? Wiesz, jaką obietnicę. Obiecałeś, że powiesz o nas swojej żonie. Obiecałeś, że będziemy razem. Obiecałeś...

Bob wstał i wyłączył telewizor.

- Dlaczego nagle dziś z tym wyskoczyłaś? - Odwrócił się do niej, ale patrzyła w okno. Podszedł i zaciągnął zasłony.

- Bo prawie o niczym innym nie myślę.

- Ale teraz, przed spektaklem?

- Tak, nawet teraz, przed spektaklem. W moim życiu istnieją jeszcze inne sprawy poza gramem, Bob. A ty jesteś jedną z nich. Przynajmniej wydawało mi się, że jesteś.

- Wyolbrzypiasz nieistotne problemy, EUamarie.

- Nie pouczaj mnie - krzyknęła. - Może dla ciebie są nieistotne, ale nie dla mnie. I o to właśnie chodzi. Dla ciebie to nieważne. To wszystko nic dla ciebie nie znaczy. Ja się nie liczę. Nawet do mnie nie zadzwoniłeś przez całe święta. Musiałeś wiedzieć, co przeżywam. Joel przyjechał do Kate w drugi dzień świąt i wiesz co? Kiedy zastukał do drzwi, byłam na tyle głupia, że myślałam, że to ty przyjechałeś. Byłam głupia, bo myślałam, że dotrzymałeś obietnicy i powiedziałeś jej, i przyjechałeś mi powiedzieć, że wszystko jest w porządku. Do jakiego stopnia człowiek może zgłupieć? Powinam wiedzieć. Jezu Chryste, powinam była wiedzieć. Jesteś słaby, Bob. Jesteś słaby i brak ci odwagi. Myślałeś, że będziesz mnie tak trzymał, skacząc wokół ciebie jak jakaś bezmózga laleczka. No cóż, ja także mam uczucia! Ja też odczuwam ból. Tylko co cię to obchodzi? Masz ją i te jej cholerne konie, i masz mnie i teatr. Czemu miałbyś się czegoś wyrzekać? Masz wszystko, ty sukinsynu! I nie odchodź stąd, kiedy do ciebie mówię!

- Wychodzę - wyjaśnił - bo straciłaś głowę. Nie wiesz, co mówisz, a ja nie chcę kłótni przed spektaklem, ty z pewnością także nie. Porozmawiamy o tym później.

- Jeszcze czego! - krzyczała. Zatrzymał się w progu, ale nie odwrócił głowy, - Nie będzie żadnego później. Nie ma żadnego

później dla mnie i dla ciebie, słyszysz Bob? Żadnego później! Niedobrze mi się robi od tego i od ciebie też mi się robi niedobrze! Odwrócił się i zobaczyła, że pobladł.

- Myślę, że powinnaś przestać, Ellamarie, zanim powiesz coś, czego będziesz żałować.

- Mówię, że między nami skończone. Koniec. Po wszystkim. Rozumiesz? Wszystko skończone. Tam są drzwi.

- Mam cię zawieźć do teatru.

- Sama się zawiozę. Wynoś się! Idź!

Zacisnął szczęki. Widziała, że z trudem panuje nad nerwami.

- Idź się ubrać. Poczekam, aż będziesz gotowa, i zawiozę cię do teatru.

- Do teatru, no jasne, tam, gdzie czeka reszta twojego klubu wielbicielek. Z Maureen Woodley na czele, prawda?

- O czym ty do diabła mówisz?

- Nie oszukuj mnie. Widziałam, jak na ciebie patrzy, i nie próbuj mi wmawiać, że ty tego nie widzisz. Na ile ją zachęciłeś, Boh? Jest następna w kolejce? Pozbądź się Ellamarie Goold, weź Maureen Woodley. Jesteś jak jeden z tych cholernych koni twojej żony. Jesteś ogierem! Ale jedna klacz już rezygnuje z usług.

Bob patrzył na nią osłupiały.

- Jesteś odrażająca, Ellamarie. A jeżeli naprawdę tak to odbierasz, to może masz rację, że powinniśmy się rozstać. Nie spóźnij się do teatru. - Wziął płaszcz i zatrzaskał za sobą drzwi.

Tego wieczoru Ellamarie Goold dała najlepszy występ w życiu. Nikt tego specjalnie nie zauważył, ale ona sama miała tego świadomość.

Po wyjściu Boba rzuciła się na kanapę i długo płakała. Wiedziała, że posunęła się za daleko. Powiedziała mnóstwo rzeczy, których wcale nie myślała. Coś w niej pękło i straciła kontrolę nad tym, co mówi. Teraz była przerażona, że on jej nie wybaczy. Że wszystko zepsuła i że on nigdy do niej nie wróci.

Kiedy zjawiała się w teatrze, był w swoim biurze, a jego sekretarka poinformowała ją, iż nie życzy sobie, by mu przeszkadzano, więc zeszła na dół i zamknęła się w garderobie. Nie chciała nikogo widzieć aż do podniesienia kurtyny. O tak, poradzi sobie. Po tym, jak zaatakowała go tymi bezsensownymi oskarżeniami, nie może go zawieść.

Nakładając makijaż obserwowała w lustrze swoje odbicie, ale widziała jego twarz, zmieszaną i nieszczęśliwą; patrzył na nią, nie rozumiejąc, dlaczego to wszystko mówi. Jak mogła mu to zrobić? Jemu, który tak ją kochał, wręcz ją uwielbiał, i nigdy by jej rozmyślnie nie skrzywdził.

Rozległy się trzy dzwonki, bezlitośnie długie, szarpiące jej napięte nerwy. Musiała wyjść na scenę. Musiała wziąć się w garść, zanim znowu nastąpi załamanie.

Po przedstawieniu wbiegła z powrotem do swojej garderoby i zamknęła drzwi na klucz. Ktoś zapukał kilka razy, ale nie otworzyła. Wiedziała, że to nie może być on. On nie miał jej już nic do powiedzenia.

Zapaliła papierosa. Ostatnio rzadko paliła. Bob tego nie lubił, więc starała się w ogóle rzucić palenie. Ale teraz potrzebowała czegoś, co by pomogło uspokoić nerwy.

Przebiegła myślami ostatnie dwa lata, cały ten czas, który spędzili razem. Czyż nie wiedziała, że ta chwila musi kiedyś nadejść? I wszystko się skończy. Żonaci mężczyźni nigdy nie zostawiają swoich żon, zawsze sobie to powtarzała, mimo że do końca nie chciała w to uwierzyć. W każdym razie tacy jak Bob. Był lojalny, uczciwy i nie brała wcześniej pod uwagę, ile go kosztuje oszukiwanie żony, chociaż jej nie kochał. Tak, wiedziała, że ten dzień nadejdzie wcześniej czy później. I czasami, w chwilach osamotnienia, zazwyczaj podczas weekendów, wyobrażała sobie, jaki będzie. Miało to być czułe, chwytające za serce rozstanie dwojga ludzi, którzy podejmują rozsądną decyzję. Nie takie jak dzisiejsze. Do tej pory jeszcze nigdy się nie kłócili... A dziś była to wyłącznie jej wina.

Jeszcze raz ktoś zastukał do drzwi, lecz się nie ruszyła. Nie chciała

nikogo widzieć. Wiedziała, że przyjaciółki będą na nią czekać przed teatrem, ale w tej chwili nie była w stanie spotkać się nawet z nimi. Gdyby tak mogła porozmawiać z ojcem...

Wiedziała, że się oszukuje. Ojciec byłby przerażony na samą myśl, że jego córka popełnia ciężki grzech, zadając się z żonatym mężczyzną.

Ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się płaczem. Pukanie do drzwi powtórzyło się.

- Ellamarie! Ellamarie! Mogę wejść?

To była Ashley. Nieszczęsna Ashley, która cierpiała tak samo jak ona. Która usiłowała robić dobrą minę do złej gry, tak jak ona sama dziś wieczniorem.

- Ellamarie! Jesteś tam?

Podniosła się wreszcie z miejsca i otworzyła drzwi. Usunęła się na bok, wpuszczając Ashley do środka - ledwo było ją widać zza naręcza bukietów.

- Co ty robisz? Już zaczynałam myśleć, że cię tu nie ma.

- Zmywałam makijaż. Ashley rzuciła kwiaty na kozetkę w rogu i usiadła obok Ellamarie przed lustrem.

- Reszta poszła do baru na drinka. Będą tam na nas czekać. Pomyślałam sobie, że przyjdę ci pomóc i powiedzieć, jak cudownie... - Przerwała, widząc zaczerwienione oczy Ellamarie. - Co się dzieje? Płakałaś?

- Nie. Krem dostał mi się do oczu.

- Aha. - Zapadła krótka cisza; po chwili Ashley znowu się odezwała. - Wiesz, on czeka tam za drzwiami.

Chce wiedzieć, czy może wejść.

Ellamarie spojrzała na nią, nie wierząc własnym uszom.

- Więc jak?

Ellamarie popatrzyła w stronę drzwi. Potem dotknęła dłońmi policzków i odwróciła się do lustra.

- Masz. - Ashley podała jej chusteczkę higieniczną. - Wysiąkaj nos i zetrzyj makijaż spod oczu. A ja pójde mu powiedzieć, że droga wolna.

Ellamarie bez ruchu gapiała się w lustro. Zastanawiała się, co mu powie. Z pewnością do tej pory już się uspokoił. Bob nigdy się długo nie złościł. Ale czy chce się z nią zobaczyć po to, żeby wyjaśnić wszystko do końca? Załatwić sprawę kulturalnie, tak żeby mogli nadal razem pracować? Może chce ją prosić, żeby się wycofała z obsady? Jej dublerka mogłaby przejąć rolę do czasu, aż znajdą kogoś innego. O Boże, tylko nie to. Proszę, tylko nie to.

Odwróciła się na krześle i zobaczyła, że Bob stoi w progu. Wpatrywała się w wysoką postać z siwymi pasmami w brodzie i na skroniach. Jego twarz miała nieprzenikniony wyraz, lecz Ellamarie zauważyła zaciśnięte szczęki i zbiegające kostki na dłoni ściskającej klamkę. On także na nią patrzył. Czowała, że kocha go w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek.

Spojrzała na swoje ręce i ze zdumieniem stwierdziła, że bezwiednie podarła chusteczkę na drobne kawałeczki.

- Wiem, że nie mogę wymagać, byś mi wybaczył - szepnęła - ale przepraszam za to wszystko, co powiedziałam. Żałuję, że tak się stało. Pewnie mnie teraz nienawidzisz... i nie mam ci tego za złe, ale jest mi przykro. Och, Bob, tak mi przykro... - Rozpląkała się.

- Kocham cię, Ellamarie. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Słucham?

- Powiedziałem, że cię kocham, Ellamarie. Natychmiast znalazła się w jego ramionach.

- Och, Bob - szlochała. - Ja też cię kocham. Przepraszam za wszystko, co powiedziałam. Wcale tak nie myślałam. Nie wiem, co mnie napadło, żeby mówić takie rzeczy. Och, Bob! Nie zostawiaj mnie, przepraszam.

Trzymał ją mocno, pozwalając jej się wypłakać w swoje ramię.

- Ciiicho. Już dobrze, nie płacz. - Głaskał ją po włosach. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Wyglądasz okropnie. - Dotknął śladów łez na jej policzkach. Wział ją za reke, podprowadził do lustra i maczając chusteczki

w kremie wycierał jej twarz, na przemian ją całując i śmiejąc się z niej, kiedy robiła do lustra miny lub płakała. Wzięłaś coś do ubrania na kolację? - zapytał.

Pokiwała głową, wskazując na sukienkę wiszącą na framudze drzwi.

Zdjął ją z wieszaka, włożył jej przez głowę i zasunął zamek błyskawiczny.

- A buty?

- Są tam.

Posadził ją z powrotem na krzesło i zmienił buty Marii na buty Ellamarie. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po brodzie.

- Nie zasługuję na ciebie.

- To raczej ja na ciebie nie zasługuję - sprostował. - To była moja wina, Ellamarie. Tylko moja. Powinienem był ciebie rozumieć. Ostatnio miałaś ciężki okres, a ja okazałem się samolubny i nieczuły! Premiera, święta, to, że nie widziałas się z rodzicami... I do tego jeszcze ja. Tego było już za wiele, przepraszam cię.

Przepraszam,]» wcześniej tego nie dostrzegałem. I przepraszam, że nie powiedziałem ' żonie. Ale powiem jej, kochanie, obiecuję ci, że powiem.

- Nie musisz, Bob - zapewniła, rzucając mu się na szyję. - Dopóki jesteśmy razem, przynajmniej czasami, i tak jestem szczęśliwa. Nie powinnam była naciskać. Próbowalam cię zmusić do czegoś, co jest przeciwne twojej naturze. Teraz to rozumiem. Rozumiem, że nie chcesz skrzywdzić swojej żony. I kocham cię za to.

Całował ją delikatnie, z sercem przepelnionym miłością.

- Jesteś gotowa do wyjścia na kolację? Przytaknęła.

- Dobrze wyglądam?

- Wyglądasz pięknie.

- Nie jesteś obiektywny.

- Oczywiście; że nie. Wychodząc za nią na korytarz, sięgnął do kontaktu, by pogasić światła. Nie zauważył Maureen Woodley, wślizgującej się do swojej garderoby. I nie widział spojrzenia jakim obrzuciła Ellamarie

Rozdział 12

Kate przygotowała się na cios, wiedząc, że nieuchronnie nastąpi. Miała rację, nastąpił. Po nim kolejny. I jeszcze jeden. Krzyknęła i natychmiast zatkała sobie usta ręką, wbijając zęby w ciało mocno, aż do krwi. I wtedy poczuła dotyk jego ust na skórze i palców, delikatnie głaskających jej pośladki. Odwróciła się i spojrzała Joelowi w oczy. Błyszczały podnieceniem. Wysunął biodra do przodu, złapał jej rękę i potarł nią członek. Był twardy jak skała. Odwrócił ją znowu twarzą do poduszki.

- Nie - jęknęła. - Proszę, już nie.

Opadł ciężko na łóżko, a potem położył się na niej. Kolanem rozsunął jej nogi, podłożył ręce pod jej brzuch, uniósł ją i wszedł w nią jednym gwałtownym pchnięciem. Na szczęście sadystyczna pantomima szybko dobiegła końca.

Kiedy później leżeli w ciemności, Kate oparła mu głowę na ramieniu i wsłuchiwała się w jego oddech. Starła się powstrzymać łzy, kapiące jej z oczu wprost na jego pierś. Byłby zły, gdyby wiedział, że płacze.

Nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia nawet dla samej siebie. Spytał, czy może ją uderzyć, a ona się zgodziła. Ale kiedy o to pytał, był onieśmielony, niemal zażenowany. Objęła go i powiedziała, że zrobi dla niego wszystko, czego tylko zechce. Wszystko, żeby go zadowolić.

Nie miała wówczas pojęcia, że okaże się taki gwałtowny. Zdarzało się, że po takim wieczorze następnego dnia miała trudności z chodzeniem. Żałowała, że nie ma odwagi powiedzieć mu, żeby przestał, bo nie może już tego znieść. Bała się jednak, że go straci, jeśli mu to powie.

W końcu zasnęła. Ślady po uderzeniach laską paliły ją żywym ogniem.

Następnego ranka obudził ich telefon. Joel sięgnął po słuchawkę, nim zdążyła go powstrzymać. Ku jej uldze była to Margaret Stanley ze „Światowego Życia”. Kate zadrżała na myśl, że mógłby to być jej ojciec.

Słuchając głosu Margaret, czuła, że Joel zaczyna się bawić jej piersiami. Miała obolałe sutki, więc odsunęła się od niego. - Słuchasz mnie, Kate? - spytała Margaret. Tak, tak - zapewniła Kate. - Jak byś chciała, żeby to zrobić?

- Idz najpierw do biura, to pogadamy. Wystarczy, jak tam będziesz o wpół do czwartej. Wszystko zorganizowałam. Aha, Kate, wiem, że nie muszę ci przypominać, ale będziesz rozmawiać z członkiem rodziny królewskiej. Nienaganne maniery i tak dalej...

- Rodziny królewskiej? - nie zrozumiała Kate.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - zniecierpliwiła się Margaret. -

Jest tam ktoś z tobą? Nie, nie odpowiadaj, to w końcu nie moja sprawa. Ale wywal go z łóżka i sama też rusz tyłek. Będiesz mieć do czynienia z prawdziwym waźniakiem. - Odłożyła z trzaskiem słuchawkę.

Kate wpatrywała się w aparat telefoniczny. O kim właściwie mówiła Margaret? Wspomniała o członku rodziny królewskiej. Ale o kogo chodziło? Poderwała się z łóżka.

- O, psia mać! Królowa!

Joel wyciągnął rękę, żeby zgarnąć ją z powrotem do łóżka. Wyśliznęła mu się i wybiegła z sypialni.

- Co się do cholery dzieje? - gderał idąc za nią do kuchni.

- Królowa. Będę przeprowadzać wywiad z królową.

- W Chinach?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Królowa jest teraz w Chinach.

- W takim razie z księciem Walii. Z księżną Dianą, Nie wiem. Dziś po południu. Muszę zadzwonić do ojca i powiedzieć mu. Nie uwierzy. - Rzuciła się do telefonu.

Joel wszedł do łazienki i odkręcił prysznic.

- Nie słyszałeś, co powiedziałam? - zawołała za nim Kate. - Naprawdę robię wywiad z kimś z rodziny królewskiej.

- Jestem pod wrażeniem - odkrzyknął i zamknął za sobą drzwi.

Linda McElfrey jak zwykle wstała wczesnie rano. O szóstej trzydzieści zabrała Moonlighta na przejażdżkę, pozwalając mu na pełny galop. Pędząc przed siebie po polach czuła na twarzy chłodną mżawkę. Wiatr targał jej włosy. Najbardziej lubiła właśnie tę porę dnia. Stajenni wyprowadzali pewnie teraz na jazdę pozostałe konie. Chciała spędzić trochę czasu w samotności. Musiała pomyśleć.

Bob był ostatoio jakiś roztargniony, niepodobny do siebie. Kiedy pytała, co go gnębi, śmiał się tylko, że jest przewrażliwiona, i zbywał ją zapewnieniami, że wszystko jest w porządku. Znała go jednak zbyt dobrze i wiedziała, że ma jakieś kłopoty. Potrafiła rozpoznać, kiedy

praca nad sztuką nie układała się tak, jak sobie życzył. Nie zawsze o tym mówił, nie należał do wylewnych i nie lubił, gdy ludzie za bardzo się nim interesowali. Ale to właśnie ta wewnętrzna cecha, potrzeba samodzielnego rozwiązywania problemów, uczyniła go tym, kim jest obecnie. Linda miała tego świadomość i nigdy nie próbowała się wtrącać.

Tym razem sprawa wyglądała inaczej. Przez całe święta był może nie tyle zdenerwowany, co nie w pełni odprężony. Zanim wrócił do Londynu, Linda wyczuła, że w jakiś sposób oddalili się od siebie. Tak jak obiecał, zjawił się z powrotem na sylwestra i spędzili wieczór w domu z jego matką, tylko we trójkę. Rozmawiali i żartowali, a o północy wzniesli toast i złożyli sobie życzenia. Ale to, co męczyło go podczas świąt, najwyraźniej nadal nie dawało mu spokoju. Minęło już kilka tygodni nowego roku, a sytuacją nie zmieniała się.

Linda była kobietą silną, i to zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Szczyciła się swoimi wzorowo utrzymanymi stajniami i równie wzorowym małżeństwem. Żyli ze sobą od jedenastu lat^ż czego" osiem jako małżonkowie. Od samego początku byli sobie bardzo bliscy, a odmienne zainteresowania bardziej ich łączyły niż dzieliły.

Teraz, po raz pierwszy, Linda zastanawiała się, czy postępuje właściwie. Może powinna się bardziej interesować jego pracą i nim samym. Może za długo każde z nich prowadziło oddzielne życie. Wiedziała, że Bob pragnie powiększenia rodziny, ale ona zawsze się temu opierała. Miała już trzydzieści osiem lat i może czas było przestać się przed tym bronić.

Kiedy wróciła do domu, było już po wpół do dziewiątej. Umierała z głodu. Teściowa, która miała u nich zostać do końca miesiąca, czekała w drzwiach kuchni.

Moonlight wbiegł klusem na podwórze przed stajnią, zmoknięty i parujący. Postukiwał tylnymi kopytami, okazując w ten sposób radość z udanej przejażdżki. Linda poklepała go po szyi.

- Czas na śniadanie, co?

Teściowa pomachała do niej z daleka.

- Trzymam czajnik na ogniu - zawołała.

- Zaraz przyjdę.

Barry, chłopak stajenny, podbiegł odebrać Moonlighta. Linda wypytała go o inne konie, po czym weszła do domu. W kuchni było ciepło i przytulnie, a smakowity zapach smażącego się boczku i jajek mile łęchał podniebienie.

- Przy piecu grzeje się ręcznik - odezwała się teściowa. - Idź się wytrzeć, a ja nakryję do stołu.

Linda wzięła ciepły ręcznik i zaczęła wycierać włosy.

- Wmiejscowej gazecie jest artykuł o Bobie-powiedziała z dumą Violet McElfrey. - Zostawiłam ją na stole, żebyś mogła przeczytać.

- Dzięki. - Linda rozczesywała splątane włosy. - Co piszą?

- Och, to co zwykle. Nasz sławny rodak, jeszcze jedno arcydzieło, sama wiesz, to co zawsze.

Linda roześmiała się.

- Za mało, jak dla dumnej matki. Ale masz rację, czasem mi się wydaje, że mają dla niego gotową formułkę i gdy coś zrobi, zmieniają tylko tytuł sztuki i nazwiska aktorów.

- Właśnie - zgodziła się Violet. - Ale i tak wkleję te wycinki. Dwa plastry bekonu czy trzy?

- Niech będą trzy, umieram z głodu. Barry też przyjdzie na śniadanie?

- Nie. Jadł godzinę temu.

- Wcześniej dzisiaj wstałaś.

- Jak można spać, kiedy pod oknem ciągle słyszeć stukot kopyt - poskarżyła się Violet.

- Radziłam ci zająć pokój od frontu, wtedy nikt by ci nie przeszkadzał.

- Ależ nic się nie stało. Zresztą, przynajmniej miałam coś do roboty, przygotowałam wam śniadanie.

- Nie myśl sobie, że tego nie doceniamy - powiedziała Linda siadając do stołu. - Zwłaszcza ja. Nienawidzę robić śniadań. Ciągle planuję wyrysować grafik z dyżurami, ale obawiam się, że większość tych półgłówków me odróżnia patelni od czajnika, więc to chyba nic ma sensu.

Violet postawiła talerz przed synową i odwróciła się z powrotem do pieca.

- Chyba też wezmę sobie trzy plasterki - zdecydowała, zsuwając bekon z patelni. - Herbaty?

- Yłim - odpowiedziała Linda z pełnymi ustami.

Violet napełniła dwa kubki i postawiła je na stole. Zadzwoił telefon.

- Mam powiedzieć, żeby zadzwonili po śniadaniu?

- Tak. Chyba że to Bob. Violet podniosła słuchawkę.

- Halo. Tak. Je teraz śniadanie, czy może pani zadzwonić za pół godziny? Ach tak, rozumiem, pójdę ją zapytać. Proszę poczekać. -Zwróciła się do Lindy: - To do ciebie. Wygląda na to, że coś pilnego.

Linda poczuła skurcz w żołądku. Jakiś szósty zmysł podpowiadał jej, że to nie będzie dobra wiadomość. Kto to?

- Nie przedstawiła się. Odbierzesz? Przytaknęła i wolno podniosła się z krzesła. Miała jeszcze mokre włosy, a buty wydawały jej się nieznośnie ciężkie, kiedy szła po kamiennej posadzce w stronę telefonu. Zatrzymała się w ostatniej chwili.

- Odbiorę w gabinecie.

Teściowa zrobiła zdziwioną minę, ale poczekała, aż Linda odbierze w sąsiednim pomieszczeniu i odłożyła słuchawkę na widełki. Wyczuwała niepokój Lindy, lecz nie chciała być wścibska.

- Halo - odezwała się Linda. - Mówi Linda McElfrey. Czym mogę służyć?

- Pani McElfrey - zaczął damski głos. - Mówi Maureen Woodley. Nie wiem, czy mnie pani pamięta, ale poznałyśmy się zeszłego roku w Badminton.

- Nie przypominam sobie - odpowiedziała Linda - ale wiem, kim pani jest. Czy życzy pani sobie czegoś ode mnie?

Zapadła krótka cisza.

- Halo? Czy pani tam jest?
- Tak. Jestem.
- Czy coś się stało Bobowi? - Linda doskonale panowała nad głosem.
- Nie - uspokoiła ją Maureen. - Nie chodzi o nic takiego.
- Więc o co chodzi?
- Chodzi o Boba. Pomyślałam sobie, że pani powinna o tym wiedzieć.
Linda już wiedziała, co za chwilę usłyszy.
- Co powinnam wiedzieć?
- Że pani mąż ma romans z jedną z aktorek grających w *Wieczorze Trzech Króli*, i to już od pewnego czasu, mówię to tylko dlatego, że według mnie powinna pani się dowiedzieć. To okropne, kiedy mężczyzna oszukuje żonę i wszyscy o tym wiedzą poza nią. Więc pomyślałam, że powinnam pani powiedzieć.
- Rozumiem - powiedziała Linda, próbując utrzymać spokojny ton.
- I jeszcze... - Maureen przerwała, po czym dodała niepewnie: - Myślałam, że będzie pani chciała wiedzieć, ale jestem pewna, że to nic poważnego. To panią Bob kocha, wszyscy o tym wiedzą.
Lindę ogarnął gniew.
- Rozumiem, że Bob zwierzył się pani z tego wszystkiego.
- Hmm, no nie. - Na chwilę zapadła cisza. - Spędzają razem większość nocy, kiedy Bob jest w Londynie.
- Kim ona jest?
- Tak jak mówiłam, należy do obsady.
- Czy to pani, Maureen?
- Nie, nie, to nie ja. - Ton głosu świadczył, że jest zaskoczona.
- Nie — powtórzyła Linda - oczywiście, że to nie pani Bob nie byłby tak głupi, żeby wybrać kogoś, kto jest zdolny, zrobić to, co pani teraz robi.
- Przepraszam, nie dosłyszałam. - Słyszała pani dobrze.
- No wie pani, przecież próbuję tylko pomóc. Mówię to pani dla pani dobra.

- To proszę mi powiedzieć, Maureen, co dobrego, pani Zdaniem, wyniknie z tego, że mi pani powiedziała?
- Będzie pani mogła walczyć, żeby go zatrzymać. - Będę mogła walczyć, żeby go zatrzymać?
- Właśnie.

Linda zawahała się przez chwilę.

- Coś pani powiem, Maureen Woodley. Nawet jeśli to, co pani mówi, jest prawdą, a mocno w to wątpię, nie potrzeba mi żadnych wścibskich bab, czerpiących przyjemność z wtykania nosa w nie swoje sprawy. Więc radzę, żeby pani teraz odłożyła słuchawkę i poszła do Boba powiedzieć mu, co pani zrobiła. On załatwi z panią tę sprawę. Jeśli zaś chodzi o mnie, to nie życzę sobie, aby jeszcze kiedykolwiek dzwoniła pani pod ten numer lub próbowała się ze mną kontaktować w inny sposób. Trzeba być wyjątkowo podłym człowiekiem, żeby zrobić to, co pani właśnie zrobiła. Żegnam. - Linda odłożyła słuchawkę.

Przez cały czas rozmowy nie podniosła głosu, ale trzęsła się i mocno zaciskała dłoń na słuchawce. Wyrzała przez okno, próbując uspokoić nerwy, lecz ovladnął ją strach i narastające poczucie, że' ziemia usuwa jej się spod nóg. Powinna była wiedzieć. Wszystko na to wskazywało. Może nawet wiedziała, ale nie chciała uwierzyć. A teraz ta teatralna suka rzuciła jej to w twarz.

W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Boba. Ale jeśli Maureen Woodley mówiła prawdę, nie będzie go teraz w zajeździe. Mimo to wykręciła jego numer. Nikt nie odebrał telefonu.

Mogła pojechać do Londynu. Pójść do teatru i go odszukać. Ale jego kochanka, kimkolwiek była, też się tam znajdowała. Linda nie lubiła awantur tak samo jak Bob.

Musiała jednak coś zrobić. Kochała swego męża i nie chciała go stracić. I w głębi serca czuła, że on też nadal ją kocha. W tej chwili mogło mu się wydawać, że jest inaczej, ale ona wiedziała, że ją kocha. Jakoś sobie z tym poradzą.

Wciąż roztrzęsiona, wróciła do kuchni.

- Siadaj szybko - odezwała się Violet. - Śniadanie ci stygnie. Linda spojrzała na talerz.

- Nie jestem głodna.

Violet odstawiła swój kubek z herbatą i przyjrzała się synowej, Stojąc z rękami w kieszeniach, Linda wpatrywała się w ogień; włosy opadły jej na twarz.

- Kto dzwonił?

- Nic ważnego.

Violet zaczęła sprzątać ze stołu. Linda powie, kiedy sama zechce. Violet nie miała wątpliwości, że telefon miał coś wspólnego z Bobem. Ale to nie dotyczyło matki, przynajmniej na razie. Nie była ślepa. Zauważyła, że ostatnio atmosfera między Lindą i Bobem była napięta. Jeśli mieli jakieś problemy, sami powinni je rozwiązać. Oboje wiedzieli, że mogą na nią liczyć, ale to oni muszą się do niej zwrócić. Sama nie miała zamiaru się narzucać.

Odkręciła kran i zaczęła wkładać naczynia do zlewu. Linda wciąż stała przy ogniu, pogrążona w myślach.

- Zrobię świeżej herbaty - zaproponowała Violet. - Tamta już całkiem wystygła.

Linda spojrzała na nią i przeniosła wzrok na stół.

- Nie ma potrzeby, wypiję zimną.

Podniosła kubek i wypijała herbatę, po czym podeszła do teściowej i kładąc jej rękę na ramieniu, spytała:

- Violet, co byś powiedziała na to, żeby zostać babcią?

...Tak i do tego dostałam list z Pałacu Kensington z podziękowaniami. Wyobrażasz sobie? - Kate posłała Ashley radosny uśmiech przez całą długość pokoju i odwróciła się z powrotem do telefonu.

- Ma się rozumieć - ciągnęła * oczywiście, że dam go oprawić... Szczerze mówiąc, tatusiu, jeden naprawdę wystarczy, ...Dobrze.; Tak, zobaczymy się podczas weekendu..., Dobrze, no to do zobaczenia. - Odłożyła słuchawkę i natychmiast mina jej zrzędła.

- Coś nie tak?

- Owszem, wszystko, jeśli chcesz wiedzieć. Ellamarie nie chce ze mną gadać, bo wtedy wystawiłam do wiatru Nicholasa Gougha.

Jenneen wydziera się na mnie za to, że nie tryskam humorem, a teraz jeszcze mój ojciec narzeka, że go nie odwiedziłam. A jeśli chodzi o moją książkę, to możesz o niej zapomnieć, nic z tego nie będzie. Czy to wystarczy?

- Calkowicie - przyznała Ashley. - Czemu wystawiłaś Nicka?

- Bo miał przyjść Joel.

- Joel zadzwonił po Nicku, jak się domyślam. Masz rację, tak było.

- Ellamarie nagrała to spotkanie, żeby ci pomóc.

- Wiem. - Kate ze złością odgarnęła włosy. - Wszyscy próbują robić wszystko, żeby mi pomóc. Wolałabym, żeby się wszyscy po prostu ode mnie odczepili. Potrafię sama kierować swoim życiem, piękne dzięki. I ty też nie zaczynaj mi prawić kazań. Nie wszystkie umiemy radzić sobie tak dobrze jak ty, bo nie wszystkie mamy tyle szczęścia.

- Uspokój się natychmiast - ostrzegła Ashley.

- Nie, to ty się uspokój. Zaraz zaczniesz mi truć, co powinnam, a czego nie powinnam, tak jak wszyscy. Daruj sobie! Spójrz na' własne życie, Ashley, a potem popatrz na moje, Pławisz Się w szczęściu i przywilejach. Masz tego cudownego staruszka, którego ciągle odwiedzasz i możesz rozmawiać o Julianie, kiedy tylko ci przyjdzie ochota: - Ashley spiorunowała ją wzrokiem, ale Kate nie przerywała. - Masz byłego męża, który skacze wokół ciebie i tylko czeka, żebyś do niego wróciła. Wiedzie ci się fantastycznie w tej cholernej agencji i przypuszczam, że lada dzień dostaniesz awans... kolejny plaster na sumienie Juliana, dodatek do tego pięknego Mercedesa, którym wozisz swojego wspaniałego syna podczas weekendów. Wkurzasz mnie, Ashley. Wszyscy mnie wkurzacie - Przy tych słowach wybuchnęła płaczem.

Ashley usiadła koło przyjaciółki i otoczyła ją ramieniem. Pozwoliła jej się wypłakać, a kiedy Kate wreszcie się uspokoiła, rzekła: Wnioskuje z tego, że jeszcze się nie odezwał? Kate pokręciła głową:

- Kiedy miał zadzwonić?

- W zeszłym tygodniu.

- Próbowiałaś do niego dzwonić?

- Och, chyba z tysiąc razy - odparła Kate z goryczą. - Nie ma go w domu. Albo nie chce ze mną rozmawiać. Najgorsze, że tak jest już od miesięcy. Nie daje znaku życia przez dłuższy czas, a potem nagle, ni stąd ni z owad, zostawia mi wiadomość W drzwiach, kiedy mam być gotowa. Zawsze zakłada, że będę czekać i... niech to jasny szlag trafi, ja zawsze czekam. - Popatrzyła na Ashley. - Nikomu o tym me mówiłam - szepnęła, z twarzą czerwoną i opuchniętą od płaczu. - Za bardzo się wstydziałam, żeby to komuś powiedzieć. Ale czasami, w nocy, chodzę pod jego dom i stoję tam. Boję się wejść do środka, więc po prostu stoję, z nadzieją, że może on wyjdzie. Wyobrażasz sobie? Jak ja mogę się tak poniżyć?

Ashley uśmiechnęła się i pogłaskała Kate po włosach.

- Ja też tak robiłam - przyznała się. - Wiele razy podjeżdżałam nocą pod dom Juliana, parkowałam i siedziałam w samochodzie. Nie wiedziałam, dlaczego to robię. W końcu widuję go codziennie.

Przypuszczam, że to jakaś dziwna potrzeba dręczenia samej siebie.

Kate przytuliła się do Ashley. Dawały sobie wzajemne zrozumienie i oparcie, do jakiego zdolne są jedynie - kobiety doświadczone cierpieniem przez mężczyzn.

- I w dodatku nie mogę pisać - poskarżyła się Kate, odsuwając się od przyjaciółki. Próbowiała się roześmiać. - Od tygodni nie jestem w stanie nic napisać. To znaczy, mogę pisać dla gazety, to akurat potrafię robić nawet stojąc na głowie. Ale jeśli chodzi o moją książkę, nie ma się co łudzić. Wiem, że nigdy nie zdołam jej napisać, - Napiszesz - zapewniła ją Ashley. - Może nie teraz, ale kiedyś napiszesz,

Kate zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

- Ash, przepraszam za to wszystko, co ci nagadałam. Jestem zazdrosna. Zazdroszczę ci tak, że czasami aż cię nienawidzę. Chcę być taka jak ty. Chciałabym umieć zapamiętać się w pracy, tak samo jak ty. Ile świetnych interesów zrobiłaś dla Juliana Arbrey-Nelmesa w ciągu ostatnich dwóch miesięcy? - Wymówiła jego nazwisko

z niechęcią. Uniosła dłoń. - Nie, lepiej mi nie mów. Chyba bym tego nie zniosła. Pewnie chodzi o miliony, tak?

Ashley nie odpowiedziała. Kate miała rację. Miała też rację w sprawie awansu. Julian na razie zrobił tylko aluzję, ale wiedziała, że nie będzie długo czekać. Jeśli przecucie jej nie myliło, powinno to nastąpić na Wielkanoc. Przeprasiny za to, że żeni się z kimś innym.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- To pewnie Ellamarie. Spędziła cały dzień z Bobem, rozmawiali o *Królowej Kornwalii*. Ma swój pierwszy film i ma Boba. A Jenneen... również powinna się tu zjawić, żeby mi świecić w oczy swoim sukcesem. Jeśli nie filmuje gdzieś w Szkocji, to na pewno przyjdzie. Ashley wstała.

- Już dobrze, skończ to rozczulanie się nad sobą. Ja otworzę drzwi. Ellamarie wpadła z wiadomością, że Nicholas Gough ma grać

Tristrama. Cieszyła się, że znowu będą pracować we trójkę - ona Nick i Bob.

- Życie jest piękne - westchnęła, pijąc wino.

Kate wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju.

- Co ja takiego powiedziałam? — Ellamarie była zaskoczona. Ashley wyjaśniła jej powody złego nastroju Kate. - O cholera! - jęknęła Ellamarie. - Powinnam była wiedzieć. Myślałam o sobie i nie przyszło mi to do głowy. Ale, do diabła, Ash, co ona w nim widzi? Przecież to kawał drania,

- Spróbuj jej to wytłumaczyć. Ashley spojrzała na zegarek. - Słuchaj, muszę lecieć. Robimy dziś nocne zdjęcia i muszę tam być o ósmej, a obiecałam Keithowi wpaść z nim na drinka przed wyjazdem. Możesz zostać chwilę z Kate? - Pewnie - zgodziła się Ellamarie. - Jak sprawy stoją między tobą i Keithem?

Ashley wzruszyła ramionami.

- Zatrzasnę za sobą drzwi. Powodzenia.

Ellamarie uśmiechnęła się sceptycznie i zajrzała do sypialni. Kate leżała na łóżku. Ellamarie zaciągnęła zasłony.

- Jak się teraz czujesz?

- Jestem wściekła! Cholernie wściekła.
- Nie mogę powiedzieć, że bym ci to miała za złe. To skurwysyn.
- Ochj nie na niego - sprostowała Kate. - Na siebie. Za to, że pozwoliłam na to, by mnie tak traktował.
- Cóż, skąd mogłaś wiedzieć?
- Powinam była. - Wstrząsnął nią dreszcz. - Boże, nie mogę ścierpieć myśli, że zachowuję się w taki sposób.
- Więc się tak nie zachowuj. - Ellamarie podeszła do łóżka i usiadła obok Kate. - On nie jest tego wart,
- Wiem, Ellamarie, ale czasami się martwię, że nie spotkam już nikogo. Mam trzydzieści lat. Czas ucieka, a co ja dotąd osiągnęłam?
- Mogłabyś wymienić sporo rzeczy, ale zależy, co uważasz za najważniejsze.
- Och, sama nie wiem. Chyba moją karierę, na pewno... ale czy to wystarczy? Jak się czułaś, kiedy kończyłaś trzydziestkę?

Ellamarie zamyśliła się na chwilę.

- Tak samo. Istnieje jakaś, psychiczna granica, a może to strach, związany z tym wiekiem. I wrażenie, że coś bezpowrotnie się skończyło i jakaś część ciebie umarła. Nie, to za mocno powiedziane. Może raczej, że te cechy dziecka, które były w tobie, ustąpiły przed dojrzałością. To koniec dekady uznawanej za najważniejszą w życiu. Z pewnością czułam się wtedy nieszczęśliwa. Ale wydaje mi się, to znaczy wiem, że teraz jestem znacznie szczęśliwsza. Pewnie dlatego, że miałam czas się przyzwyczać. Może powinnaś traktować to jako zakończenie pewnego etapu życia. Teraz masz szansę rozpocząć następny, -
- Albo zamknięcie jednej książki i rozpoczęcie nowej.
- Tak czy inaczej, powinnaś patrzeć przed siebie i myśleć o tym, co znajdzie się w tej nowej księdze. W końcu to ty jesteś specjalistką od pisania powieści.
- Tak - potwierdziła Kate, może trochę za szybko - tak, zawsze miałam tę moją książkę. Ale tak naprawdę to nie o to mi chodzi. Wiesz, w rzeczywistości najbardziej... hm, najbardziej potrzebuję kogoś bliskiego.

Ellamarie wzięła ją za rękę.

- No pewnie. Nie byłabyś człowiekiem, gdybyś nie potrzebowała. Nie ty pierwsza masz wątpliwości. Byłam już po trzydziestce, kiedy spotkałam Boba.

- To dopiero połowa problemu. Nie chcę być. po trzydziestce. Po trzydziestce jest za późno.

- Na co za późno?

- Może nie za późno. Po prostu późno. - Kate zajrzała Ellamarie w oczy. - Myślałaś kiedy o dzieciach, Ellamarie? - Masz na myśli posiadanie dzieci? Własnych dzieci?

- Tak.

Ellamarie zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Chyba tak. Czasami o tym myślę. Ale dużo czasu upłynie, zanim będę sobie mogła na to pozwolić.

- A nie chciałabyś dziecka już teraz?

- Nie o to chodzi, że bym nie chciała, ale nie mogę teraz mieć dziecka.

- Dlaczego?

- Och, Kate. Bob nadal jest żonaty. A ja robię karierę. Jest tyle rzeczy, których chciałabym dokonać wcześniej. A ty nie?

- Owszem. Ale chcę też czegoś innego. Czegoś prawdziwego, namacalnego. Tworzenie książkowej postaci jest czymś bardzo dziwnym. To jest jak ożywianie człowieka, istniejącego dotąd tylko w twojej wyobraźni. Mężczyzny idealnego. Czasami chciałabym go naprawdę spotkać i Smutno mi, kiedy sobie uświadomię, że tęsknię za kimś, kto żyje tylko w mojej fantazji lub na kartach książki.

- To dlatego, że jeszcze nikogo takiego nie poznałaś. A kiedy poznasz, okaże się, że jest zupełnie inny niż ten wymyślony.

- Oto właśnie chodzi - weszła jej w słowo Kate. - Spotkanie Joela było jak spotkanie tego wymyślonego mężczyzny. Wyglądał dokładnie tak, jak opisałam Alana Younga. A teraz mam takie wrażenie, jakby moja własna książka mnie odpychała. Wiem, że to brzmi głupio; wręcz idiotycznie, ale tak się właśnie czuję.

- Nie uważam, żeby to brzmiało idiotycznie - zaprotestowała

Ellamarie. - Może trochę dziwnie, ale nie dla mnie. Ja też miewam podobne przeżycia, jeśli chodzi o postacie, które gram. Niezupełnie takie same, rzecz jasna. Ale jestem w stanie zrozumieć, jak coś, co naprawdę nie istnieje, może wpłynąć na twoje życie.

- Romantyczne bzdury, nic więcej. Ellamarie, tak bym chciała mieć dziecko. Małą dziewczynkę. Czasami chcę tego tak bardzo, że o niczym innym nie potrafię myśleć. Wiem, pomyślisz że jestem szalona, ale rozważałam nawet, czy nie przestać zażywać pigułki. Zwyciężył zdrowy rozsądek. A zwyciężył chyba dlatego, że chcę także mieć kogoś, kogo będę kochać i kto mnie będzie kochał. A najbardziej smuci mnie myśl, że jest już za późno, bym mogła być tym, kim zawsze chciałam być - młodą matką. A człowiek, za którego wyjdę, o ile w ogóle wyjdę za męża, nie będzie mnie znał takiej, jaka byłam w wieku dwudziestu kilku lat. A do czasu, kiedy moja córeczka będzie miała dziesięć lat, ja najprawdopodobniej będę mieć czterdzieści, albo nawet czterdzieści pięć. Życie mnie jakoś omija.

- Może jeszcze powiesz, że przed tobą ucieka? - roześmiała się Ellamarie.

- Przepraszam, jestem zrzęda. Ale tak to wygląda, jak się jest trzydziestoletnią Katherine Calloway.

Ellamarie uśmiechała się ze zrozumieniem. W pokoju zrobiło się całkiem ciemno, więc zapaliła lampę. W tej samej chwili zadzwonił telefon i Kate podskoczyła jak oparzona.

- Ja odbiorę - uprzedziła ją Ellamarie. Podniosła słuchawkę. - Halo.

Popatrzyła na Kate, a potem odwróciła wzrok.

- Nie, przykro mi - mówiła do słuchawki - właśnie wyszła do samochodu. Już jesteśmy spóźnione. Powiem jej, żeby oddzwoniła. Przepraszam, mógłbyś to powtórzyć? Tak, dziękuję. Przekażę jej. Do widzenia.

- To on, prawda?

Ellamarie przytaknęła i dostrzegła wyraz niepokoju na twarzy przyjaciółki. Doskonale wiedziała, co czuje Kate.

- Wiem, że to niełatwe, kochana, ale zapewniam cię, że tak jest lepiej. On jest łajdakiem i w głębi duszy sama dobrze o tym wiesz.

Kate odwróciła się i ukryła twarz w poduszce. Ellamarie siedziała przy niej, trzymając ją za rękę. Wreszcie Kate znowu podniosła głowę.

- Proszę cię - odezwała się cichym, lecz już spokojnym głosem. - Nie wspominaj nigdy o tym mojemu ojcu. O tym, jak ja się zachowuję. O tym, że chcę mieć dziecko. O niczym. Bardzo by go to zdenerwowało. On bardzo chce, żebym napisała tę książkę. Odkąd zginął mój brat, wszystkie ambicje, jakie żywił wobec nas obojga, przeniósł na mnie, więc nie mogę go zawieść. Nie zawiodę go.

- Oczywiście, że nic mu nie powiem - obiecała Ellamarie. - Ale pamiętaj, Kate, że tu chodzi o twoje życie. Musisz robić to, czego ty pragniesz. Nie możesz zastępować brata i nie powinnaś tego robić.

- Wiem - powiedziała Kate i nagle się roześmiała.

Ellamarie spojrzała jej w twarz i to, co zobaczyła, bardzo ją zaniepokoiło.

Rozdział 13

Podtrzymując słuchawkę ramieniem Ellamarie nalewała sobie drinka przy barku.

- ... cholera, wyjeżdżam do domu na dziesięć dni, a kiedy wracam, to nikogo nie ma. Gdzie wy się wszystkie podziewacie? Próbuję się do was dodzwonić od tygodnia.

- No, no, Ellamarie, tyle się wydarzyło, że nie wiem, jak to nadrobisz - drażniła się z nią Ashley. - Ja byłam na samym dnie żwirowni z najbardziej nieznośnym reżyserem, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia.

Jenneen dzwoniła do mnie ostatnio z Rzymu, a Kate jest w Monte Carlo... no, zgadnij, z kim?... Z Joelem.

- Z Joelem?! Właśnie, z Joelem.

Sama nie wiem, co powiedzieć - stwierdziła Ellamarie, co bardzo rozśmieszyło Ashley, bo przyjaciółce rzadko brakowało słów.

Ashley dodała, że Jenneen zajmowała się właśnie filmowaniem posiadłości bogatych i sławnych ludzi, a Kate została porwana na południe Francji przez Joela Martina.

- Ale przecież, kiedy wyjeżdżałam, spotykała się Nicholasem Goughiem. W każdym razie była z nim raz czy dwa razy na kolacji

- dziwiła się Ellamarie.

Od czasu rozmowy telefonicznej z Ellamarie Joel nie dawał Kate spokoju. W końcu zgodziła się z nim umówić... tylko na lunch, jak podkreślała. Jednakże podczas lunchu Joel był taki czarujący i troskliwy, że poszła z nim znowu do łóżka.

- Jak więc widzisz, twoja strategia przyniosła wyniki - podsumowała Ashley.

- Nie takie miała przynieść. Joel Martin jest nie tylko sukinsynem, ale i podstępna świnia.

-Jak tam Bob?

- Fantastycznie! Właśnie tu jest/zbiera się do wyjścia, bo jest v umówiony na wywiad dla „The Timesa”.

- O, proszę, proszę... - Ashley przerwała, bo ktoś otworzył drzwi do jej gabinetu. To był Julian. Zarumieniła się i głos jej zadrżał, kiedy mówiła, że musi kończyć rozmowę.

rr Nie przerywaj sobiewtrącił się Julian. - Wpadłem tylko, by się upewnić, czy będziesz na rozdaniu nagród jutro wieczorem. Ashley zakryła dłonią słuchawkę. Oczywiście. Obecność zwycięzców jest zwykle pożądana.

- Podoba mi się twoja wiara w siebie - zaśmiał się i zamknął za sobą drzwi.

- Czy to była ta osoba, którą mam na myśli?

- Owszem - potwierdziła Ashley. - Co się tam do diabła dzieje?

- zaniepokoiła się, słysząc piski Ellamane.

- Powiedzmy, że to pan McElfrey stęsknił się za mną w czasie,

kiedy mnie nie było. - Bob przesuwiał ustami w górę po jej plecach i nagle ugryzł ją w ramię. - Lepiej skończmy, zanim ta rozmowa zmieni się w tektoniczne porno.

- No tak, niektórzy to mają szczęście - zakończyła Ashley ze śmiechem i odłożyła słuchawkę. Monte Carlo kojarzyło się Kate z kilkoma rzeczami. Na przykład z tańcami u Jimmy'ego lub z nieskutecznymi próbami zbitcia fortuny w Sajles Privées. To miał być ostami dzień ich pobytu w tym miejscu. Joel i Royston Robberts, pisarz, z którym przyjechali się tutaj spotkać, jedli kolację na jachcie Robbertsa, a Kate razem z Maggie Robberts wybrały się do Hotel de Paris. Później spotkali się wszyscy czworo u Jimmy'ego, a stamtąd poszli spróbować szczęścia jeszcze raz, tym razem ostami, przy stolikach do gry. Sezon w Monte Carlo właściwie jeszcze się nie rozpoczął, ale przy zbliżających się feriach wielkanocnych przybywało coraz więcej gości. Kate weszła do zatłoczonego kasyna, trzymając pod rękę Joela, i nagle oczy jej zabłyśły. Nieco dalej, rozmawiając z korpulentnym i niewątpliwie bogatym Arabem, stała Jenneen. Kate zawołała do niej, lecz przyjaciółka nie odwróciła głowy.

- Jenneen! - krzyknęła jeszcze raz Kate, próbując utorować sobie drogę w tamtym-kierunku. Nagle zatrzymała się w pół kroku. Osoba, która wreszcie się odwróciła i spojrzała na nią, wcale nie była jej przyjaciółką Jenneen.

- Przepraszam - mruknęła Kate i zawróciła na pięcie. Spojrzenie, które posłała jej tamta kobieta, zupełnie zbiło Kate

z tropu, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Raz i drugi przez resztę wieczoru Kate wyciągała szyję, żeby sprawdzić, czy nieznajoma jest jeszcze w barze, jednak nie zostało po niej ani śladu.

Joel śmiał się z niej i twierdził, że jest wścibska. Zapewnił ją, że w Monte Carlo można znaleźć wiele ciekawszych zajęć niż poszukiwanie w kasynie kogoś, kogo nawet się nie zna. Z błysku w jego oczach Kate domyśliła się, jakie inne atrakcje, a szczególnie jedną z nich, miał

na myśli. W swej nieustającej pogoni za nowymi doznaniem seksualnymi nabrał upodobania do odbywania z nią stosunków w miejscach publicznych. Aby mu sprawić przyjemność, Kate od samego przyjazdu nie nosiła bielizny. Teraz Joel posadził ją sobie na kolanach i włożył rękę pod falbanki sukienki. Kate gwałtownie wciągnęła powietrze czując, jak wsuwa w nią palce; rozejrzała się, czy nikt tego nie widzi. Znajdowali się w najciemniejszym kącie kasyna, a Robbertsowie odeszli w stronę stolików, gdzie grano w bakarata. Po kilkuminutowych pieszczotach, którymi doprowadził ją niemal do orgazmu, Joel zepchnął ją z kolan i kazał jej stać z uniesioną sukienką, podczas gdy sam rozpiął rozporek. Potem odwrócił ją, z powrotem posadził ją sobie na kolanach i wszedł w nią głęboko. Po paru minutach kiwnął na przechodzącego w pobliżu kelnera i zamówił szampana. Tuż po odejściu kelnera Kate wyprężyła się, gdy Joel ścisnął ją mocno za ramiona i ukrywając twarz w jej włosach próbował stłumić krzyk, towarzyszący wytryskowi nasienia.

Następnego ranka odlecieli helikopterem Roystona Robbertsa na lotnisko w Nicei, a stamtąd samolotem do Londynu. Po powrocie Kate wyznała Ellamarie, że bawiła się cudownie i jest zakochana w Joełu bardziej niż kiedykolwiek. Przyjaciółka przyjęła tę wiadomość bez komentarza.

Matthew czekał w drzwiach mieszkania, kiedy Jenneen weszła na schody z walizką w ręku. Rzucił się, by jej rmióc, całując ją przelotnie w policzek i obdarzając promiennym uśmiechem. Sprawiał wrażenie zadowolonego z jej powrotu, czym mimo woli poczuła się wzruszona.

Kręcenie reportażu trwało dłużej niż ktokolwiek mógł przewidzieć, więc nie było jej w domu przeszło trzy tygodnie. Nie przyznała się Matthew, że gdy przyleciała na Heathrow dwa dni temu, złapała pociąg do Yorkshire, by spędzić trochę czasu z rodzicami.

- Jak było? - spytał, stawiając walizkę w holu i obejmując Jenneen na powitanie.

- Mniej więcej tak, jak ci mówiłam przez telefon - zbyła go krótka Roześmiała się niepewnie.

- Nie żartuj, zrobię kawę i porozmawiamy.

Z westchnieniem zdjęła płaszcz. Chciała być sama. Wolałaby, żeby nikt na nią nie czekał. Czyż to nie zakrawało na ironię? Tyle razy wracała do pustego domu i użalała się nad sobą, że nie ma mleka w lodówce, chleb jest stęchły, a w mieszkaniu zimno jak w psiarni. A teraz wchodziła do ciepłego wnętrza, podawano jej kawę, w kredensie z pewnością był świeży chleb, wyciągały się do niej stęsknione ramiona, a ona marzyła tylko o tym, żeby mogła być sama. Co więc było potrzebne Jenneen Grey?

- Co robisz? - zawołał Matthew z kuchni. Otrząsnęła się z zamyślenia.

- Idę do ciebie.

Weszła do salonu i uśmiechnęła się na widok panującego tam wzorowego porządku. W powietrzu unosił się zapach emulsji do czyszczenia mebli, a włos dywanu był jeszcze zgnieciony od przesuwania po nim odkurzaczem. Szyby w oknach błyszczały; wszędzie było świeżo i czysto. Wazon z kwiatami stał na stole. Pocziwy Matthew, naprawdę się starał.

Usiadła, opierając stopy na niskim stoliku. Co tu gadać, dobrze znaleźć się znowu w domu.

Matthew wniósł kawę i postawił na stoliku.

- Skąd są te kwiaty?

- Z kwiaciarni.

- Są śliczne, dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego.

- Chciałem, żeby wszystko wyglądało ładnie, gdy wrócisz. Bardzo za tobą tęskniłem.

Podniosła do ust filiżankę.

- Kupiłeś wszystko, - o co cię prosiłam?

- Wszystko jest w kuchni. Dzwoniła Ellamarie. Przyjdą z Bobem w tym samym czasie co inni. Nie ma dziś wieczorem przedstawienia.

- To świetnie - ucieszyła się Jenneen. - A co z resztą? Wszyscy przychodzą?

- Z tego, co wiem, tak. Nikt nie dzwonił, żeby odwołać wizytę. Jenneen ziewnęła.

- Przydałaby mi się mała drzemka, zanim wszyscy przyjdą. Która godzina?
- Wpół do piątej.
- Chyba mogę się położyć na godzinkę.
- Dobra myśl. Mogę zacząć coś przygotowywać, jeśli mi powiesz, co trzeba zrobić.
- Przecież nie umiesz gotować, Matthew - roześmiała się. -Zawsze mogę się nauczyć. Zresztą nie proponowałem, że będę gotował. Myślałem raczej o obieraniu jarzyn i rozbijaniu jajek.
- Nic się nie martw. Możemy to zrobić razem, jak wstanę.
- Pójdę kupić trochę wina - zaoferował.

Wzięła do ręki kolorowy folder ze stosu leżącego obok niej na stoliku i zaczęła go przeglądać.

- Skąd to się wzięło?
- Dostałem je dziś rano z biura podróży.
- Na co?
- Jak to na co? Na wakacje.
- Gdzie masz zamiar się wybrać? - Jak widać po tych broszurach - na narty.

Pokiwiała głową i dalej wertowała folder. Właściwie nie patrzyła na przewracane strony; była zbyt zmęczona, by myśleć. - I co ty na to?

Spojrzała na niego nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Co na to powiesz? Pracujesz ostatnio tak ciężko, więc pomyślałem, że przydałaby ci się przerwa. Oboje moglibyśmy pojechać.

Nadal nie odpowiadała.

- Nie wydaje ci się, że dobrze byłoby gdzieś się wyrwać, tylko we dwoje? Słońce, śnieg, świeże powietrze i jazda na nartach. I różne atrakcje po nartach, ma się rozumieć. - Nie wspomniał nic o ludziach, których spotkał w pubie pod jej nieobecność i którzy zaproponowali, by się do nich przyłączył. Wiedział, że nie może pojechać bez Jenneen, bo to ona płaciła.

- Nie sądzę, żebym mogła pojechać. W każdym razie nie teraz.

- Nie mówię, że zaraz. Ale może za parę tygodni, zanim śnieg stopnieje. Jak myślisz?
- Nie lubię jeździć na nartach.
- Skąd wiesz? Nigdy nie próbowałaś.
- Po prostu mi się to nie podoba.
- Spodoba ci się, jak już tam będziesz.
- Nie sędzę. Pewnie złamię sobie nogę albo coś jeszcze gorszego. Nie, Matthew, nie chcę jechać na narty. Ale może ty pojedziesz? - Umyślnie nie dała po sobie poznać, że wie, iż on jest bez pieniędzy.
- Nie chcę jechać bez ciebie. Cały sens wyjazdu na wakacje sprowadza się do tego, żebyśmy mogli spędzić trochę czasu razem.
- To miłe, Matthew, ale szczerze mówiąc, nie podoba mi się ten pomysł.
- Może ci się spodoba.
- Nie wiem. Słuchaj, może porozmawiamy o tym później, Teraz jestem taka zmęczona, że trudno mi myśleć.
- Jesteś pewna, że chcesz wydać to dzisiejsze przyjęcie? Skoro jesteś taka zmęczona... Może zadzwonię do każdego po kolei i odwołam całą imprezę. Moglibyśmy spędzić miły, spokojny wieczór we dwoje.
- Nie - odrzuciła jego sugestię. - Nie. Nie widziałam się z nimi od trzech tygodni, a zresztą już za późno, żeby odwoływać. Jeśli się trochę prześpię, będę w dobrej formie. - Prędzej czy później musiała się zobaczyć z Kate. Miała nadzieję, że przyjaciółka nie rozpoznała jej mimo wszystko tamtej nocy w kasynie. Matthew wzruszył ramionami.
- Skoro tak twierdzisz... - Usiadł obok niej na kanapie. - Dostanę buzi, zanim mi znowu uciekniesz?
- Uśmiechnęła się i przymknęła oczy. Kiedy je znowu otworzyła, przyglądał się jej, czekając na odpowiedź.
- Prawie się do mnie nie zbliżyłaś od przyjazdu.
- Przepraszam. - Objęła go w pasie, a on przytulił ją, głaskał po włosach i muskał jej twarz delikatnymi pocałunkami.
- Jak to dobrze, że wróciłaś, Jenn - szepnął i ustami odszukał jej wargi.

- W porządku - powiedział, kiedy oswobodziła się z jego ramion. — Idź się trochę przespać. Ja pójdę po wino.
- Pomógł jej wstać. - O której mam cię obudzić?
- Około szóstej.
- Przygotuję ci kąpiel.

Była już w sypialni, rozbierała się, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Zdziwiła się, kto to może być, ale zaraz pomyślała, że ludzie Często myślą dzwonek i ten prawdopodobnie był do jakiegoś innego lokatora tej kamienicy.

Odsunęła kołdrę i wśliznęła się do łóżka. Pościel była świeżo wyprana i pewnie poczułaby wdzięczność dla Matthew, gdyby nie wiedziała, że zrobił to z wyrachowania. Ani przez moment nie dała się nabrać na te wakacje na nartach.

Rozległo się pukanie i Matthew wsadził głowę przez drzwi.

- Wszystko dobrze?
 - Yhm, bosko.
 - Przyszła jakaś dziewczyna. Mówi, że cię zna i że jej oczekujesz. Jenneen zmarszczyła brwi.
 - Kto to? - Nikogo nie zapraszała na dzisiejsze popołudnie. Nazywa się Maggie. Maggie Dewar.
- Jenneen westchnęła, przypominając Sobieskim mowa. Usiadła na łóżku. Gdzie ona jest?
- W salonie.
 - Wejź i zniknij drzwi - nakazała mu szeptem. Matthew zrobił zdziwioną minę.
 - Co to za jedna? - spytał, podchodząc do łóżka. Jenneen spuściła nogi na podłogę.
 - Jest córką przyjaciółki mojej matki.
 - Ale co ona tu robi?
 - Przyjechała w sprawie pracy w zakładzie fryzjerskim na WestEnd.
 - To wcale nie tłumaczy, skąd się tu wzięła.
 - Powiedziałam jej kiedyś, że może się u mnie zatrzymać, jak

przyjedzie do Londynu. Zupełnie o tym zapomniałam. Matka musiała jej dać mój adres. Nie wiedziałam, że przyjedzie tak szybko,

- Co masz zamiar z nią zrobić?

- A co mogę zrobić? Obawiam się, że będzie musiała zostać. Niech to szlag! Cholernie mi to nie na rękę.

Powiedziałeś jej, że jestem w domu?

Matthew przytaknął.

- W takim razie muszę się ubrać. Cholera! Niech to diabli wezmą!

- Nie, nie wstawaj. Powiedziałem jej, że śpisz, więc wracaj do łóżka, a ja się nią zajmę. Przygotuję dla niej łóżko w gościnnym pokoju, dobrze?

- Niech będzie - zgodziła się Jenneen. - Jak ci się wydaje, mamy dość jedzenia dla jednej osoby więcej?

- Jasne. Nakupowałem jak wariat.

- Wyobrażam sobie. To nie masz nic przeciwko temu, żeby się nią zająć?

- Absolutnie. Wygląda na sympatyczne dziecko. Wracaj do łóżka. Obudzę cię o szóstej.

Jenneen zastosowała się do jego rady. Matthew otulił ją kołdrą i pocałował. Dlaczego, dlaczego składała pochopne obietnice, których potem mimo niechęci musiała dotrzymywać?

Zgodnie z zapowiedzią Matthew obudził Jenneen o szóstej i napuścił jej wody do kąpieli. Nie chciało jej się wychodzić z łóżka; spała za krótko i wcale nie przeszło jej zmęczenie.

Kiedy wychodziła z sypialni, zdziwiła się, słysząc głosy, ale zaraz sobie przypomniała, że przyjechała, Maggie Dewar. Wypadało pójść się przywita?;

Wszedłszy do salonu zauważyła, że Maggie z Matthew opróżnili już prawie całą butelkę wina i rozzłościło ją to. Tego jej jeszcze brakowało, wstawionej nastolatki przy kolacji. Nie podobało jej się także to, że Matthew. znowu pije. Choć ostatecznie był to jego problem. Najważniejsze, żeby Maggie się nie upiła.

Powściągając irytację, przywitała się serdecznie z Maggie i starała się okazać jej tyle gościnności, na ile potrafiła się zdobyć. Nie musiała się wysilać. Maggie najwyraźniej była już nieźle zadomowiona i wszystko wskazywało na to, że znalazła z Matthew wspólny język. Ma się rozumieć pamiętała Matthew z serialu telewizyjnego, w którym występował kilka lat temu, i niewątpliwie z kilku reklam, jakie nakręcił od tamtej pory. Jenneen nie potrzebowała dużo czasu żeby się zorientować, że komplementy Maggie działały na jego duszę jak balsam.

Matthew wstał po dodatkowy kieliszek.

- Napijesz się wina, Jenn?

- Nie, jeszcze nie teraz. Najpierw pójdę wziąć kąpiel.

- Może zacznę coś robić w kuchni?

- Tak, możesz zacząć zupę.

- Co podamy?

- Krem z brukselki.

- Faj! - parsknęła Maggie, wykrzywiając się z obrzydzeniem. Jenneen spojrzała na nią, z trudem ukrywając złość.

- Poczekaj, aż spróbujesz - próbował łagodzić Matthew. - Jest pyszna.

Maggie nie wyglądała na przekonaną.

- Co mam zrobić? - spytał szybko Matthew, przeczuwając, że Jenneen ma na końcu języka ostrą uwagę.

Przyjrzała mu się - najwyraźniej zależało mu na tych wakacjach bardziej, niż sądziła.

- Najpierw przygotuj składniki. W kuchni jest książka kucharska. Znajdziesz tam przepis.

- Zrobi się; - Zwrócił się do Maggie: - Pomożesz mi? Wzruszyła ramionami, niezbyt zachwycona propozycją.

Jenneen wyszła do łazienki. Przeczuwała, że ta dziewczyna okaże

się dopustem bożym. Czy musiała akurat dzisiaj przyjeżdżać? Była za młoda, żeby brać udział w ich przyjęciu. Ani chybi je zepsuje. Jenneen zastanawiała się przez chwilę nad odesłaniem jej do hotelu, ale wiedziała, że Matthew nie będzie chciał o tym sfyszeć, a pragnęła

uniknąć dziś kłótni. No dobrze, niech on się nią zajmuje. Jeśli ta mała się upije, trzeba będzie po prostu położyć ją do łóżka.

Wykąpała się szybko i włożyła ubranie, śpiesząc się do kuchni, zanim poczynione tam szkody okażą się nieodwracalne.

Matthew powitał jej obecność z ulgą, ale nadal krzątał się pracowicie, usiłując pomagać. Tak bardzo się starał być miły, że zaczynało; jej to działać na nerwy.

- Słuchaj - nie wytrzymała, kiedy po raz piąty spytał, co jeszcze może zrobić - może byś tak zabrał Maggie gdzieś do baru? Sama lepiej sobie poradzę.

- Próbowałem tylko pomóc.

- Tak, wiem, jesteś cudowny. Ale słowo ci daję, że wolałabym zrobić to sama. Gdzie kucharek sześć... Sam rozumiesz,

- Chciałabym pójść do baru - wtrąciła się Maggie. - Nigdy nie byłam w londyńskim barze.

- Niczym się nie różnią od tych poza Londynem. - Głos Jenneen nabrał niebezpiecznych tonów.

- No to chodźmy - zdecydował Matthew, dochodząc do wniosku, że może uratować sytuację, jeśli zastosuje się do polecenia Jenneen.

Maggie poszła po płaszcz.

- Dopilnuj, żeby piła tylko sok pomarańczowy - syknęła Jenneen. Przytaknął.

- Zobaczymy się za jakąś godzinę, co?

- Może za półtorej. Do tego czasu wszystko powinno być gotowe.

Po godzinie ryba w cieście zapiekała się w piekarniku, zupa dochodziła na wolnym ogniu, a sorbety chłodziły się w lodówce. Jenneen nalała sobie duży kieliszek wina i usiadła na pięciominutowy odpoczynek.

Musiła się zastanowić, co powie, jeśli Kate wspomni o tamtej nocy w kasynie. Oczywiście zaprzeczy, że była w Monte Carlo w tamtym czasie, ale niełatwo było okłamać Kate czy którąś

z pozostałych przyjaciółek. Ależ była głupia, że nie założyła wtedy peruki pani Green. Była nieostrożna, ale nie przyszło jej do głowy, że może spotkać w kasynie kogoś znajomego. Dzięki Bogu, że pani Green miała chociaż makijaż: w końcu była dziwką i chciała wyglądać jak dziwka. Tym to zabawniejsze, że nie godziła się nigdy przyjmować pieniędzy. Ten Arab okazał się więcej niż hojny oferując niebotyczną sumę, ale pani Green odmówiła. Nie odmówiła natomiast, kiedy zaproponował, by spędziła noc na jego jachcie. Nie odmówiła też, kiedy odkryła, co tam na nią czeka.

Jenneen zadrżała, próbując wymazać z pamięci orgie tamtej nocy. Wzięła do ręki gazetę i usiłowała się skupić na czytaniu artykułu o Bobie. Parę minut później rozległ się dzwonek do drzwi. Podniosła się z ociąganiem. Matthew musiał zapomnieć klucza.

- Halo - odezwała się do domofonu.

- Cześć, to ja, Ashley.

- Ash! - ucieszyła się Jenneen. - Chodź na górę.

Ashley energicznie wchodziła po schodach i Jenneen zorientowała się, że przyjaciółka aż kipi z wściekłości.

- Cholerni mężczyźni! Ci cholerni faceci! Jenneen nie mogła opanować śmiechu.

- Co ten Julian znowu zrobił? - spytała zamykając drzwi.

- On? Nie, tym razem nie chodzi o niego. Byłam właśnie na stacji benzynowej, żeby zatankować, uzupełnić olej i tak dalej, i zauważyłam, że z warsztatu przygląda mi się dwóch facetów.

- Chyba cię to nie zaskoczyło- wtrąciła Jenneen. - Musisz mieć to na co dzień. Atrakcyjna kobieta w Mercedesie, każdy facet by się przyglądał.

- O to właśnie chodzi - podchwyciła Ashley. - Zaczynam mieć tego powyżej uszu. Patrzyli na mnie i podśmiewali się, a jeden z nich powiedział do tego drugiego: „Ciekawe, gdzie ona ma wlew paliwa?” Niech ich cholera weźmie!

- A co ty na to? - zacięła się Jenneen.,

- Nic. Miałam im pokazać palec odjeżdżając, ale postanowiłam nie zniżać się do ich poziomu. Dzięki; - Przyjęła od Jenneen

kieliszek. - Niedobrze mi się robi. Kobiecie nie wolno mieć nic ładnego, żeby jej od razu nie podejrzewali o puszczanie się. Ograniczone, głupie świnię, rzygać mi się chce na takich typów. To zazdrość. Zazdrość. Szkoda, że ich nie przejechałam. Jenneen zachichotała.

- Pojęcia nie mam, skąd u niektórych kobiet bierze się przekonanie, że osiągnęły równouprawnienie - gorączkowała się Ashley. - Dopóki na świecie są takie półgłówki jak tamci, nie mamy szans.

- Co masz na myśli? Dostosowanie się do ich poziomu? Mam nadzieję, że nie o to ci chodzi.

- Co gorsza - ciągnęła Ashley - w drodze do stacji zatrzymałam się na światłach. Miałam opuszczoną szybę, a ten idiota stanął obok, też otworzył okno i zawołał: „Ile, skarbie?” A wiesz, co ja zrobiłam? Zaczęłam się śmiać. Myślałam, że pyta o cenę samochodu!

Jenneen wybuchnęła śmiechem.

- Och, uwielbiam cię, Ashley Mayne. Jesteś jedyną kobietą na świecie na tyle naiwną, żeby tak pomyśleć. Daj już temu spokój i usiądź.

Ashley usiadła na sofie i wzięła do ręki narciarskie foldery .

- Opowiedz mi o zdjęciach. Gdzie byłaś? Kogo spotkałaś? Nie wiedziałam, że interesujesz się narciarstwem - dodała, wertując jedną z broszur.

- Ja nie. To Matthew.

- A gdzie on jest?

- W barze. Wyrzuciłam go, bo przeszkadzał.

- Biedny Matthew.

- Kiedy przyjdzie ten twój znajomy, pan Winston? - zmieniła temat Jenneen.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć, nie może przyjść. Na kilka dni przyjechał do niego bratanek.

- Oj, to szkoda. Miło się z nim rozmawia.

- Wiem. Naprawdę, bardzo żałował, że go tu nie będzie. Przesyła pozdrowienia.

- Ale nadal jesteśmy z nim umówione na lunch w sobotę w piwiarni, prawda?
- Naturalnie.
- No, to wtedy sobie pogadamy. Zaprosiłaś na jego miejsce Keitha? Ashley potrząsnęła głową i pociągnęła łyk wina.
- Jest teraz gdzieś w Dorset, na jakimś szkoleniu, więc też nie mógł przyjść.
- Jak się sprawy mają?
- Dobrze. Chyba podobnie jak u ciebie i Matthew. Miło mieć kogoś pod ręką, ale nie chcę nic poza tym. Żeby jeszcze Keith chciał to zrozumieć. Nigdy więcej! Dwa razy się sparzyłam, wystarczy. Ale czułam się zobowiązana zaprosić w zamian kogoś innego.
- Tak?
- Gilesa Creddesleya.
- Gilesa Creddesleya! Tego Gilesa Creddesleya? Co cię do tego skłoniło?
- Przede wszystkim to, że nie miałam wyboru, - Myślałam, że nie możecie na siebie patrzeć?
- Zazwyczaj tak. Ale ostatnio był taki miły, że nawet nie skrytykował mojego projektu. I z taką galanterią eskortował mnie na uroczystość rozdania nagród, na której firma Frazier-Nelmes odbierała nagrodę za kampanię Newslink...
- Ashley! - wykrzyknęła Jenneen. - Gratuluję. To ty ją organizowałaś? Jaka była? Co Julian na to? Jezu, to cudownie. Powinniśmy pić szampana.
- Ashley śmiała się.
- Wino wystarczy, dziękuję. Tamtego wieczoru, kiedy wygraliśmy, wypiliśmy dość szampana, żeby zatopić łódź podwodną. Więc, wracając do sprawy, pomyślałam, że skoro Giles nie ma innych planów na dziś wieczór, to go zaproszę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?
- Ja nie, skoro ty nie masz.
- Kate powinna być zadowolona. Robiła dziś z nim wywiad do artykułu na temat mężczyzn w środkach masowego przekazu. To mu powinno bardzo pochwalić.

- O Boże, będzie nieznośny - jęknęła Jenneen.
- Najwyżej się z niego ponabijamy.
- Nie sądzisz chyba, że przyniesie ze sobą tę ohydną fajkę?
- To możliwe.
- Nie wiem, czym on ją napycha, ale to śmierdzi jak śmieci pozamiatane na podwórku.
- Nie mów mu tego - ostrzegła Ashley. - On myśli, że nas to podnieca. Że niby takie męskie, rozumiesz.
- Ale nie wolno mu jej zapalić, dopóki nie skończymy jeść.
- Nie obawiaj się, zabronię mu. Dziesięć minut później zjawiała się Kate.
- Ja go zabiję! - krzyczała od progu. - Wtłoczę mu jego własny łeb do tej zasranej fajki!
- Wejź - zaprosiła Jenneen. - Widzę, że wszystkie dziś żywimy ciepłe uczucia do płci przeciwnej. Kto cię tak zdenerwował?
- Jak to kto? Ten cholerny Giles Creddesley!
- No proszę, to możemy mieć problem. Chodź do salonu. Ashley już tam jest.
- To świetnie. Mam z nią na pieńku.
- Kate - zaanonsowała Jenneen, otwierając szeroko drzwi do salonu. - Przygotuj się — dodała ciszej.
- Cześć — powiedziała na przywitanie Ashley. - Jak się masz?
- Jestem cholernie wściekła.
- Dlaczego?
- Przez Pilesa Kretyna!
- Gilesa. Ale dlaczego? Co się stało?
- Nie wiem, jak mogłaś mnie narażać na spotkanie z kimś takim, Ash, naprawdę nie wiem. To dupek. Ashley uniosła brwi.
- W życiu nikt mnie tak nie obraził - ciągnęła Kate. - Jak ty możesz z nim pracować? Jak to wytrzymujesz?
- Z trudem.
- On jest okropny! Z tą różową muszką w zielone kropki,

z wydychaniem chmary palonego nawozu i z tymi swoimi dickensowskimi manierami jest obrazą dla rodu ludzkiego.

- Zgadzam się z tobą całkowicie - przerwała Ashley. - Ale zrobiłaś wywiad?

- Czy zrobiłam wywiad! Skarbie, niech no on tylko poczeka, aż ten artykuł się ukáže. Wtedy się dowie, co znaczy gniew kobiety. Mam zamiar go ukrzyżować.

- Co on ci właściwie takiego powiedział? - zaciekała się Jenneen.

- Niewiele, a to, co powiedział, na nic mi się nie przydało. A teraz on się dowie, jak jemu się przyda.

Zapytałam go o coś, już dokładnie nie pamiętam, o co, a on powiedział: „Moja droga, nie mogę za panią pisać tego artykułu”. Co za bezczelność! A potem spytałam go o coś w związku z kierownictwem artystycznym, a on pyknął z tej swojej fajki i powiedział: „Moja droga, pani rzeczywiście niewiele wie, prawda?” W tym momencie byłam bliska witania i uduszenia go tym jego zakichanym krawacikiem.

- Nie lubi, kiedy się tak mówi na jego muszkę - oświadczyła z powagą Ashley.

Jenneen pokładała się ze śmiechu.

- Czy ty też byłaś dla niego nieuprzejma?

- Wyjaśniłam mu, że gdybym wszystko wiedziała, tobym go przecież nie pytała.

- I co on na to?

- „Proszę o następne pytanie.” Więc spytałam go, skąd się wzięła na ziemi taka kreatura jak on.

- I?

- Powiedział, że nie rozumie pytania. Więc wyjaśniłam. Wtedy zaczął się śmiać. Powiedział: „Och, moja droga nie powinna się pani tak denerwować. To dlatego wiele kobiet w dzisiejszych czasach odnosi porażki, walcząc o równe prawa i status. Wszystkie jesteście zbyt uczuciowe”. Myślałam, że zacznę krzyczeć.

- Ale chyba nie zaczęłaś? - niedowierzała Jenneen.

- Nie, wzięłam pióro, napigałam w poprzek moich notatek wielkimi

literami „dupek” i uśmiechnęłam się do niego słodko. Potem założyłam płaszcz, powiedziałam mu, że to było interesujące doświadczenie, i wyszłam.

- On to gotów wziąć za komplement - zauważyła trzeźwo Ashley.

- Jestem tego pewna - zgodziła się z nią Kate. - Jest na to wystarczająco głupi. Miałabym ochotę wepchnąć mu do gardła tę jego śmierzącą fajkę.

- Cóż, chyba będziesz miała ku temu okazję - bąknęła nieśmiało Jenneen.

Kate spojrzała na nią z niepokojem.

- Co masz na myśli?

- Przychodzi dziś na kolację.

- Co?! Giles Creddesley tu przychodzi? Dlaczego? Jakim cudem? Och Jenneen, jak mogłaś?

- Obawiam się, że to ja go zaprosiłam - przyznała się Ashley.

- Czyś ty zgłupiała?

- Najprawdopodobniej. Ale ostatnio zachowywał się tak nienagannie, że nie widziałam w tym nic złego.

- Tylko nie sadzajcie go blisko mnie - ostrzegła Kate. - Bo nie odpowiadam za swoje czyny. Macie tu coś do picia? Może wino mnie trochę uspokoi.

- Częstuj się - zachęciła Jenneen. - A ja pójdę zobaczyć, co z kolacją.

Rozdział 14

Wieczor upływał całkiem przyjemnie. Wrodzony talent Jermeen do zaskakiwania nowymi daniami sprawił, że kolacja była bardzo udana i nawet Maggie zdołała przełknąć zupę. Gdy po skończonym posiłku Mattbew sprzątał ze stołu, Jenneen spojrzała na Maggie i stwierdziła, że dziewczyna siedzi z podbródkiem wspartym wygodnie na reku, zbyt pijana, na szczęście, żeby cokolwiek mówić.

Panowie, a w szczególności Giles, całkowicie zdominowali rozmowę przez większą część wieczoru. Gdzie to ona czytała te dane

statystyczne, zastanawiała się Jenneen, podając, że przebywając w mieszanym towarzystwie mężczyźni wypełniają tokowaniem osiem na każde dziesięć minut? Z ulgą odwróciła się do Ellamarie, która pytała, ile Kate przegrała w kasynie w Monte Carlo. Ellamarie zaniemówiła, kiedy Kate rzuciła sumę. Padło kolejne pytanie: czy spotkała tam kogoś sławnego? Jenneen poruszyła się niespokojnie i zagadnęła o coś Boba, nachylając się ku niemu. Kate odparła, że widziała jedynie księcia Alberta i chyba Stefanię, choć tego ostatniego nie była pewna.

- Ale zaraz, poczekajcie - wykrzyknęła nagle. - Wydawało mi się, że widziałam ciebie, Jenn. Pamiętasz? - zwróciła się do Joela. - Ta kobieta w kasynie, z Arabem. Na oko był strasznie bogaty. A ta kobieta wyglądała zupełnie jak ty, Jenn. Do tego stopnia, że nawet zawołałam do niej. To było naprawdę niesamowite. Podobno każdy ma gdzieś swojego sobowtóra, a ja z początku mogłabym przysiąc, że to byłeś ty. Nie znasz przypadkiem jakichś bogatych Arabów? Chyba ich przed nami nie ukrywasz?

Jenneen napotkała spojrzenie Matthew i w żaden sposób nie potrafiła ukryć ciemnego rumieńca, który oblał jej twarz.

- Ona się rumieni! - zauważyła Kate. — A więc masz coś do ukrycia. No już, przyznaj się!

Matthew nie pozwolił jej uciec wzrokiem. Uśmiechnął się i podniósł butelkę, by dolać wina do swojego kieliszka.

- Nie, Jenneen nie ma sobowtóra, prawda, Jenn? - odezwał się spokojnie. - Jenneen ma drugie wcielenie.

- Och, Matthew! - wstrząsnęła się Kate. - Nie mów takich okropnych rzeczy.

Jenneen zmrużyła oczy, ale odpowiedziała z uśmiechem:

- Po kimś takim jak on tylko tego się można spodziewać.

Wszyscy stanęli w jej obronie, obrzucając Matthew żartobliwymi oskarżeniami. Matthew przyjmował je bez urazy, a Jenneen z utęsknieniem czekała na zmianę tematu.

Ellamarie obserwowała zachowanie Kate wobec Joela. Chwilami była bliska furii, widząc, jak Kate się przed nim płaszczy. Ten facet był nic

niewart, Ellamarie nie miała co do tego wątpliwości. Umiała sporo wyczytać człowiekowi z oczu, a te zdradzały okrucieństwo. Napotkawszy jej wzrok, Joel uśmiechnął się nieszczerze i podniósł kieliszek. Ellamarie odwzajemniła uśmiech. Nie знаła go zbyt dobrze, zresztą wiedziała, że nic by to nie zmieniło. Kate musiała się sama przekonać, jaki on jest. Nikt nie był w stanie na nią wpłynąć. Ellamarie odwróciła się czując, że Bob chwyta ją za rękę. Joel Marin wzbudzał w niej niesmak.

Bob doskonale się bawił w towarzystwie Gilesa Creddesleya. Im więcej Giles pił, tym bardziej się stawiał nadęty i zarozumiały. Szczęściem dla siebie nie słyszał tłumionych śmiechów swych rozmówców. Wiedział wszystko na absolutnie każdy temat, a jego poglądy, wygłaszane donośnie i tonem nie znoszącym sprzeciwu, były całkowicie pozbawione samokrytycyzmu.

Bob, a potem i Matthew, robili wszystko, żeby go zachęcić do dalszych wywodów. Joel przysłuchiwał się rozparty wygodnie, nie zawsze pamiętając, by przyjąć poważny wyraz twarzy, gdy Giles zwracał się do niego. Ashley skuliła się na swoim miejscu odczuwając całe to zażenowanie, które powinien czuć Giles, gdyby posiadał choć odrobinę wrażliwości. W pewnym momencie usłyszała, jak Kate szepcze do Jenneen, że Giles musi być niezrównany w wyrażaniu aplauzu, co on sam natychmiast skwapliwie potwierdził i zaczął szukać „okienka” w swoim terminarzu, bo musi, jak dodał, po prostu musi się wybrać na ten poczywy, stary *Wieczór Trzech Króli*. No i na *Don Giovanniego*, ma się rozumieć. O choroba, *Don Giovanni* kolidował z wyjazdem do Badrlinton, co za szkoda. Oczywiście, musi pojechać do Badminton, choć nie wyjawiał dlaczego. Ale w końcu wszyscy jeżdżą do Badminton, czyż nie?

W przeciwieństwie do rozbawionych panów, Jenneen szybko znudziła się paplaniną Gilesa i zaczęła rozmawiać z Kate, pytając ją o postępy w pisaniu powieści. Był to błąd. Giles, któremu, jak się okazało, czujnych uszu mógłby pozazdrościć każdy szanujący się nietoperz, także pisał książkę. Joel spojrzał porozumiewawczo na Boba, a Matthew napełnił kieliszki.

Ashley uśmiechnęła się pod nosem, kiedy Bob wsłuchany w Gileśa, opowiadającego jakiś rozwlekły wątek, usadowił się wygodnie w fotelu, objął Ellamarie i spytał, czy omawiana książka jest może w jakiś sposób autobiograficzna.

- Autobiograficzna? - powtórzył Giles.

- Właściwie czym się konkretnie zajmujesz w dziedzinie reklamy? - Bob przeszedł do następnego pytania.

Giles pyknął z fajki, cmokając głośno.

- Ja?! - Nie udało mu się zawrzeć w tym wykrzykniku ani grama skromności. - Hmm, od czego by tu zacząć. -

Ashley aż zamrugła, kiedy Giles z najwyższą swobodą zaczął snuć wątek, a po chwili, zachęcany przez Boba, odrzucił wszelką fałszywą skromność i ciągnął wyliczankę swych talentów i osiągnięć na polu zawodowym.

Jenneen patrzyła na niego z rosnącą niechęcią. Nawet z zamkniętymi ustami nie należał do mężczyzn szczególnie atrakcyjnych, a już z otwartymi... Brakło jej słów. Swoją drogą szkoda, że o nim nie można było tego powiedzieć. Ziewnęła i pograżyła się w rozmyślaniami. Ocknęła się dopiero po paru minutach na dźwięk głosu Boba i skupiła się na tym, co mówił.

- Och, zgadzam się ze wszystkim, co mówisz, Bob - wtrącił Giles, "gdy Bob przerwał dla złapania oddechu. - Nasz system klasowy jest rzeczywiście archaiczny. - Jenneen nie zauważyła, kiedy zmienili temat. - Mimo to jednak - nie dał nikomu dojść do głosu Giles - nie da się zaprzeczyć, że istnieje i ma swoje prawa. Chodzi mi o to, że przecież nie możemy sobie pozwolić na to, by pierwszy z brzegu facet, czy ^ zachichotał - baba pakowali nam się do sali konferencyjnej. Włos się człowiekowi jeży na głowie na myśl, co by było, gdyby ci parweniusze postawili na swoim. - Wyszczrzył zęby przez obłok dymu z fajki - był to niesamowity widok.

- Giles, daj już spokój - jęknęła Ashley.

- Ależ nie - wtrąciła Ellamarie. - Mów, bardzo mnie to interesuje. Mów dalej, Giles. Jak myślisz, co by się stało, gdyby ci chłopci postawili na swoim, czy te... - Zerknęła na Ashley i wstrząsnęła się. -...Boże uchron, baby!

- Ach, baby, to znaczy kobiety, tak samo jak mężczyźni przynależą do struktury klasowej - odparł Giles, zrećnie omijając istotę pytania. - I jeśli mają odpowiednie podstawy, pochodzą z właściwego pnia, wówczas mogą się nadawać, co więcej, mogą być zadziwiająco sprawne na swoim stanowisku.

- A jeśli nie pochodzą z odpowiedniej klasy, z właściwego pnia -przerwała Jenneen, którą wypowiedzi Gilesa zaczęły przyprawiać o mdłości - a mimo to zajmują wysokie stanowiska, co wtedy? Giles wzruszył ramionami.

- Cóż, histerie, choroby, sam nie wiem, mówi się na to...

- Cholera, nie wierzę własnym uszom - wtrąciła Ellamarie.

- Jeśli chodzi o mnie - mówiła Jenneen - to jestem i parweniuszką, i kobietą, i choć nie mogę powiedzieć, że jestem na samej górze, nie uważam się też za przegraną, więc gdzie twoim zdaniem przynależę? Jak określisz moje życie?

Giles znowu wzruszył ramionami i zaczął ssać ustnik fajki.

- Przecież musimy gdzieś należeć - naciskała Kate. - My wszystkie. Do której szufladki twojego systemu klasowego pasują takie kobiety jak my, co, Giles? Pochodzimy z różnych środowisk, a jednak obecnie prowadzimy podobny styl życia. Udanego życia. Więc gdzie pasujemy? Kim właściwie jesteśmy? ,

Giles po raz kolejny odpowiedział wzruszeniem ramion, jakby pytanie dotyczyło nieistotnego drobiazgu.

- Nazywajcie się, jak chcecie.

Bob uśmiechnął się na widok wściekłości bijącej z oczu Jenneen.

- Powiem ci, kim jesteśmy, Giles. - Nie udało jej się powstrzymać przed walnięciem dłonią w stół. - Jesteśmy czymś, czego tacy jak ty prawdopodobnie nigdy nie pojmą. Czymś przekraczającym twoje zadufanie i zdolności rozumienia. Istnieje jeszcze jedna klasa, Giles, o której ty i tobie podobni nawet nie wiecie i do której nie należycie, bo jesteście na to zbyt głupi. To klasa świadomości, Giles, bez dyskryminacji i uprzedzeń, sprzyjająca ambicjom i dążeniu do sukcesu niezależnie od pochodzenia. I nie należy do tego skostniałego, wstecznego systemu klasowego, za którego część, przykro mi to

mówić, z tak bezmyślną i śmieszną dumą się uważasz. Tó jest elita, Giles, zasługująca na swoją pozycję, niezależna od twojego systemu. To osobna klasa i my ją stanowimy.

Ashley, Kate i Ellamarie nagrodziły jej słowa oklaskami. Giles popatrzył na nią, a potem wypuścił kłęb dymu.

- Chyba za bardzo się angażujesz, staruszk - odezwał się protekcjonalnie Joel.

Giles zacisnął dłoń na cybuchu fajki.

Nieoczekiwany odgłos czkawki zwrócił spojrzenia wszystkich na Maggie. Czknęła jeszcze raz i przez chwilę próbowała rozróżnić postacie otaczających ją ludzi. Nie powiodło się i Maggie wbiła wzrok w Gilesa.

- To śmierdzi - stwierdziła dosadnie po zidentyfikowaniu, że specyficzny zapach pochodzi od niego. Były to pierwsze słowa, jakie zdołała wypowiedzieć przez cały wieczór. Sądząc po jej minie, dziewczyna za chwilę mogła zwymiotować. Bob nie wytrzymał i ryknął śmiechem.

Godzinę później Joel spojrzął na zegarek i oświadczył, że na niego już czas.

- Muszę jutro wstać - usprawiedliwił się. Widząc, że Kate sięga po torebkę, przytrzymał jej rękę. -

Nie, ty zostań. Nie musisz jeszcze wychodzić:

- Nic nie szkodzi - zapewniała Kate rumieniąc się, gdy zdała sobie sprawę z tego, że wszyscy na nią patrzą. - Mogę wyjść.

- Nie, proszę cię, zostań i baw się dobrze. Ty nie musisz wstawać.

Jenneen pośpieszyła na ratunek przyjaciółce.

- Może usiądziemy wygodniej i napijemy się brandy - zaproponowała gościom, podnosząc się z miejsca.

Kate i Joel pozostali przy stole.

- Czemu już wychodzisz? - spytała go szeptem.

- Mówiłem ci: muszę jutro wstać wcześniej rano.

- To wyjdziemy razem.

- Nie ma potrzeby. Muszę się dobrze wyspać, więc pomyślałem, że pojedę do siebie.
- Mogę pojechać z tobą.
- Nie. Zostań tu ze swoimi przyjaciółmi. Zadzwoń do ciebie jutro.

Ruszył do drzwi, ale Kate chwyciła go za rękę.

- Pomyślałam, że moglibyśmy, wiesz...
- No właśnie - przerwał. - Muszę się wyspać. Zadzwoń jutro, dobrze?
- Zobaczymy się jutro wieczorem? - spytała, zła sama na siebie za te słowa.
- Nie wiem, chyba tak. Odprowadzę cię do wyjścia. W holu Joel objął ją.
- Nie rób takiej smutnej miny - poprosił. - Przecież to tylko na jedną nopi Słowo daję, Kate, muszę się od czasu do czasu wyspać. Jesteś nienasycona.

- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy znowu zacząć używać laski - szepnęła, kiedy wkładał płaszcz.

Znieruchomiał i przyjrzał się jej uważnie. Zauważyła, że oczy mu rozbłysły. Czekala, co powie. Przycisnął ją mocno do siebie. Wyczuła przez ubranie jego sztywniejącą męskość.

- Pojedziesz ze mną do domu? - spytała.
- Kochanie - westchnął. - Chciałbym. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale muszę dziś jechać do siebie. Mam jeszcze masę roboty. Przyjdę jutro. Obiecuję. Przygotujesz się, hm?
- Kocham cię, Joel.
- Yhm - mruknął i pocałował ją jeszcze raz. Zapiął płaszcz i sięgnął do klamki.
- Nie powiesz mi, że mnie kochasz? - zdziwiła się Kate. Odwrócił się do niej.
- Przecież wiesz, że tak,
- Czasami wątpię.
- Nie masz powodu. Chyba nikomu nie mówiłaś?

- Ze mnie kochasz?
- Nie, mam na myśli naszą małą tajemnicę.
- Oczywiście, że nie.
- Grzeczna dziewczynka. Skubnął ją w koniec nosa i uśmiechnął się do niej: - Będziemy w kontakcie - rzucił i wyszedł.

Kate zamknęła za nim drzwi i oparła się o nie plecami. Wszystko było takie cudowne, gdy byli we Francji, ale teraz, od powrotu, stał się chłodny i nieprzystępny. Chciałaby wiedzieć, co go tak odmieniło. Usłyszała, jak towarzystwo w sąsiednim pokoju śmieje się z czegoś, ale nie ruszyła się, by do nich dołączyć. Była tak zauroczona Joelem, że o niczym innym nie potrafiła nawet myśleć.

Jeimeen obudziła się tego ranka bardzo wcześnie. Poprzedniej nocy uważała, żeby nie pić za dużo, ale i tak głowa jej ciążyła. Przez chwilę próbowała znowu zasnąć, lecz w końcu zrezygnowała i wstała z łóżka.

Matthew był nadal pogrążony we śnie, więc starała się bezszelestnie wyjść z pokoju.

Deszcz monotonicznie stukał o szyby, a od czasu do czasu słychać było szum mijającego domu samochodu.

Ogrzewanie zostało dopiero niedawno włączone i w mieszkaniu panował jeszcze chłód. Owinęła się szczelnie szlafrokiem, czekając, aż woda w czajniku się zagotuje.

Kuchnia była w znacznie lepszym stanie, niż się spodziewała. Widocznie Matthew posprzątał w nocy, zanim się położył. Jednak brudne naczynia czekały w zlewie, a salon wyglądał jak po wybuchu bomby.

Nie zważając na bałagan, usiadła na kanapie z filiżanką kawy i wzięła do ręki jeden z folderów narciarskich.

Prawdę mówiąc, pomysł wyjazdu nawet dosyć jej się podobał, ale złościło ją, że poruszył temat w taki sposób, jakby nie znała go na tyle, by przejrzeć jego zamiary.

Wcześniej czy później musieli spojrzeć prawdzie w oczy. Ich związek nie był udany. A mówiąc ściślej, ona nie uważała go za udany.- Widziała, że od świąt Matthew bardzo się stęsknił, ale to nie

wystarczało. Pragnęła czegoś więcej. Czego? Na ogół był miły i delikaty, robił wszystko, żeby jej się przypodobać, ale nadal mu nie ufała.

Miała nadzieję, że skoro jej stosunki z Mattbew jakoś się ułożyły, pozbedzie się obsesyjnej potrzeby prowadzenia podwójnego życia. Wystaralo jednak wspomnieć to, co zdarzyło się na południu Francji, by wiedzieć, że pani Green wcale jej nie opuściła, przeciwnie- nawet bardziej była z nią związana. Teraz już prawie nie opuszczał jej strach, że coś z nią jest poważnie nie w porządku. Zdawała sobie sprawę, że nie jest normalne posiadanie drugiej osobowości, która zmuszała ją do postępowania w sposób zupełnie Obcy jej prawdziwej naturze. Dlaczego nawet teraz, kiedy miała Matthew, musiała nadal zaspokajać żądania pani Green? Nie znajdowała odpowiedzi na to pytanie. Jej życie zaczynało przebiegać według makabrycznego schematu: w dzień była Jenneen Grey, osobą znaną z telewizji, w nocy - i to prawie każdej nocy - panią Green, swoim alter ego i nimfomanką!

A wiec tak! W końcu to powiedziała. Nimfomanka. Była nimfomanką. Ale na czym to polegało? Zgodnie z definicją w słowniku, nimfomania to chorobliwy, nieopanowany popęd seksualny u kobiet. Jenneen nie była jednak pewna, czy w jej przypadku chodzi o pociąg seksualny, ponieważ nie czerpała z tego przyjemności. No tak, ona nie, ale pani Green z pewnością, więc i Jenneen także. Jednak nienawidziła tego. Nienawidziła siebie, nienawidziła mężczyzn. A najbardziej ze wszystkiego nienawidziła, samego faktu, tego, że pani Green tak bezwstydnie dysponuje jej ciałem.

Zastanawiała się, czy nie powinna szukać pomocy. Ale jak miała ją uzyskać? Gdyby prasa się o tym dowiedziała, rozpętałyby piekło. Już widziała nagłówki: "Jenneen Grey leczy się z problemów seksualnych", "podwójna osobowość telewizyjna." „Pani Green czy panna Grey?" Była jeszcze ta noc spędzona z kobietą, zaspokajającą jej nienasycony apetyt... Wszystko to mogło wyjść na jaw, a to oznaczało jej koniec. Już nigdy nie byłaby w stanie pokazywać się publicznie z podniesioną głową. Żaden szef stacji telewizyjnej przy

zdrowych zmysłach by jej nie zatrudnił, żaden pracodawca nie chciałby ryzykować takiego skandalu. A co najgorsze, jak by to odebrali rodzice? Z pewnością trzeba jakoś rozwiązać ten problem. Gdyby tylko mogła odkryć, tam gdzieś głęboko w sobie, na czym on właściwie polega, potrafiłaby sobie z nim poradzić. Czy chodzi o to, że własny sukces ją przerasta? Czy było w niej coś, jakaś wewnętrzna ; sihi, popychająca ją ku samounicestwieniu? Dobry Boże, dlaczego to robi? Gdyby tak mogła z kimś porozmawiać... ale nikogo takiego nie było. Czowała, że łzy rozpaczy kłują ją pod powiekami, kiedy podniosła głowę i zobaczyła, że Matthew obserwuje ją stojąc w drzwiach. Przetarła oczy wierzchem dłoni i pociągnęła nosem.

- Dzień dobry - odezwała się. - Nie widziałam, że tu stoisz. - Wcześniej wstałaś.

- Nie mogłam spać.

Wyjął papierosa z paczki leżącej na stole i zapalił.

- Byłaś strasznie zamyślona.

- Było widać? Usiłowałam wymyślić komentarz do tych filmów, które kręciliśmy w Europie. Ale nic mi nie przychodzi do głowy.

- W tym chyba nie znajdziesz pomysłów.

Jenneen spojrzała na trzymany w ręku folder, o którym całkiem zapomniała. Ze zdziwieniem odkryła, że jest zmięty i podarty. - Chcesz jeszcze kawy?

Kiwnęła głową i podała mu pustą filiżankę.

- Jedziesz dziś do telewizji? - zawołał z kuchni.

- Tak, muszę. Mam masę roboty.

- Nie możesz zadzwonić, że jesteś chora? Wyglądasz okropnie.

- Nie, jestem po prostu zmęczona. Położę się dzisiaj wcześniej. Po chwili wrócił z kawą i usiadł naprzeciwko niej. Czowała się nieswojo, bo przyglądał jej się uważnie. Zapewne martwił się o nią, ale nie chciała jego troskliwości. Prawda była taka, że w ogóle go nie chciała. - Jeszcze coś cię dręczy, Jenn, nie tylko ten komentarz, prawda? - spytał poważnym tonem.

Unikała jego wzroku.

- Co to takiego? Potrząsnęła głową.
- Nic. Nic mnie nie dręczy.
- Mógłbym ci pomóc, gdybyś mi powiedziała.
- Powiedziałam ci już, Matthew, że nic mnie nie dręczy. - Nie chciała, by w jej głosie pobrzmiwała złość.
- W porządku, jak sobie życzysz. - Wzruszył ramionami.

Siedzieli w milczeniu, popijając kawę. Jenneen omijała go wzrokiem. To nie była właściwa chwila, żeby mu powiedzieć, ale wiedziała, że nie może tego odkładać w nieskończoność. Nie potrafi dłużej żyć z tym kłamstwem. W jej życiu i tak było już za dużo kłamstw.

- Chyba pójde wziąć prysznic - powiedziała w końcu i wstała.
- Poczekaj, Jenn.

Spojrzała na niego i z jego twarzy wyczytała, że Matthew chce się dowiedzieć pewnych rzeczy.

- Nie teraz, Matthew - poprosiła.
- W takim razie kiedy? Musimy porozmawiać, wiesz o tym. Coś jest między nami nie tak i chcę wiedzieć co. Muszę wiedzieć, czy to, moja wina, czy chodzi o coś innego.
- Porozmawiamy później.

- Nie! — krzyknął. - Zawsze tak mówisz i nigdy nie dochodzi do rozmowy. Od tygodni próbuję się z tobą porozumieć, ale ty wciąż robisz uniki. Chcę porozmawiać teraz!

Przeciagnęła palcami po włosach i westchnęła z rezygnacją.

- Co mogę zrobić, Jenneen? Powiedz mi, co mam zrobić, żeby do ciebie dotrzeć?

Usiadła z powrotem i ukryła twarz w dłoniach.

- Posłuchaj - jego głos brzmiał niemal błagalnie. - Wiesz, co do ciebie czuję. Nie mogę już tego wytrzymać. Chcę być częścią twojego życia, chcę dzielić twoje kłopoty i radości, więc czemu mi na to nie pozwalasz?
- Naprawdę, Matthew? Naprawdę tego chcesz? - spytała nie odrywając dłoni od twarzy.
- Jenneen...

- Matthew. - Odsłoniła wreszcie twarz. - Nie ma sensu dłużej udawać. Nasz związek nie ma przyszłości, ja to wiem i ty to wiesz. Więc skończmy to udawanie.

- Dlaczego?

- Nie kocham cię, Matthew. Nie mogę cię kochać. Próbowалам, Bóg mi świadkiem, że próbowałam, ale nie mogę.

- Nie dałaś nam czasu.

- Nie potrzebuję czasu, żeby to wiedzieć. Nic z tego nie będzie, bo nie może być.

- Mogłoby, gdybyśmy się postarali,

- Nie, Matthew. Gdybyś był szczerzy wobec siebie samego, też byś to wiedział.

- Spotkałaś kogoś innego?

- Nie.

- W takim razie nie rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Po prostu cię nie kocham i nie mogę tego dalej ciągnąć.

- Ale ja ciebie kocham - wyznał.

- Nie, nie kochasz. Co prawda tak mówisz, ale to nieprawda. Przez te ostatnie tygodnie okłamywaliśmy się nawzajem.

Odwrócił wzrok. Jej słowa zawisły w powietrzu.

- Czy to oznacza, że chcesz, abym odszedł? - odezwał się po chwili. Zauważyła, że głos lekko mu drży.

- Tak. Poczł narastający ucisk w gardle.

- Kiedy? - wykrztusił wreszcie z trudem. - Najszybciej, jak możesz.

- Tak po prostu? - Właśnie tak. - Wzruszyła ramionami.

- Nie mam dokąd pójść.

- Możesz zamieszkać u jakichś znajomych. Patrzył jej w twarz, kiedy to mówiła. Zacisnął zęby.

- Właściwie nic cię nie obchodzi, prawda?

- Wiesz, że to nieprawda.

- Nie, nie wiem. Wreszcie masz kogoś, kto się o ciebie troszczy, kto cię kocha i pragnie być z tobą, a ty chcesz to wszystko tak po prostu odrzucić. Trudno z tego wywnioskować, że cię obchodzi, Jenneen.

- Dobrze więc, nie obchodzisz mnie.

Poderwał się z krzesła. Widziała, jak ciemny rumieniec stopniowo zabarwia mu policzki.

- Jeśli chodzi o ciebie, to nigdy nikt cię nie obchodził, prawda? Wykorzystałaś mnie, tak jak wykorzystujesz wszystkich innych w życiu. Nie zależy ci na nikim, poza sobą samą. Spełniłem swoją rolę, jaka by ona nie była, i masz zamiar się mnie pozbyć, tak jak robisz zawsze w takich wypadkach. Żal mi ciebie, Jenneen, jesteś tchórzem i jesteś suką. Zimną, pozbawioną uczuć suką. Nigdy w życiu nie stworzysz niczego dobrego.

Nigdy!

Wpatrywała się w swoje kolana. Nie chciała widzieć gniewu na jego twarzy. Nie chciała go słuchać.

Wszystko, co mówił, było prawdą. Była tchórzem i nie zależało jej na nikim, a już z pewnością nie na nim.

- Jesteś chora, wiesz o tym, prawda? Chora na głowę. - Dostrzegł w jej oczach strach, kiedy na niego spojrzała. Roześmiał się. Pamiętała jego uwagę z poprzedniego wieczoru, gdy powiedział o jej drugim wcieleniu. - Tak – ciągnął, tak, wiesz o tym. I wcale się rym nie przejmujesz, prawda?

- Matthew, proszę cię, nie wiesz, co mówisz.

- Czyżby? Niech ci się nie wydaje, że nic o tobie nie wiem. Wiem o tobie wszystko. Wiem, jak bardzo jesteś chora.

Trzęsła się cała i miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

- Nie wiesz, o czym mówisz. - Zaschło jej w gardle i jej głos był zaledwie szeptem.

- Dobrze wiem, co mówię - szydził. - Wiem, do czego doszłaś. Cały czas wiedziałem. To dlatego się wzdrygnęłaś; kiedy powiedziałem, że jesteś chora, prawda? Bo ty też o tym wiesz. Jesteś chora i budzisz we mnie wstręt, ale choć sam nie wiem, jak to możliwe, jestem w tobie zakochany.

- Przestań, Matthew. Zamknij się!

- Nie potrafisz znieść prawdy, Jenneen? Najwyższy czas, żebyś spojrzała jej w oczy. Musisz się leczyć. Potrzebujesz psychiatry. Jesteś nienormalna. Normalni ludzie nie zachowują się tak jak ty.
- Kazałam ci się zamknąć! Zamknij się! Wynoś się! Wynoś się z mojego życia, nie chcę cię więcej widzieć. Słyszysz? Nie chcę cię tutaj!
- O tak, słyszę cię dobrze. Wielka Jenneen Grey przemówiła. A może powinenem powiedzieć: pani Green? Jenneen zbladła. Od jak dawna wiedział? Jak długo to w sobie nosił, czekając na okazję, by rzucić jej to w twarz? Kurczyła się w sobie pod jego zimnym, drwiącym spojrzeniem.
- Mogłam się domyślić - powiedziała spokojnie. - Nie zmieniłeś się ani na jotę, co, Matthew? To wszystko było grą. A teraz znowu mamy przed sobą prawdziwego Matthew. Może i masz rację w jednym, może i mam problem, ale zanim zaczniesz rzucać we mnie kamieniami, czemu nie przyjrzesz się własnemu życiu?
- Niezła gadka, jak na osobę zboczoną. Przyznaj się, to ciebie Kate widziała w kasynie, co? Nie musisz zaprzeczać, widziałem twoją minę. Gdzie masz perukę, Jenneen? Gdzie ją trzymasz? Kiedy planujesz następną wycieczkę, w świat brudu i upadku? W świat, w którym jest twoje miejsce. A może znowu się przerzuciłaś na kobiety? Kto będzie następny, pani Green? Może Ashley? Kate? Ellamarie? Kto następny? Każda cząstka jej duszy protestowała przeciw temu, co mówił: Jenneen trzęsła się cała jak w ataku febry.
- No więc, pani Green? - drwił. - Kto następny? Kate jest bardzo pociągająca, prawda? Nie? Nie jest w twoim typie?
- Ty sukinsynu! - wybuchnęła. - Ty ohydny, wstrętny sukinsynu. Wynoś się stąd razem ze swoimi zboczonymi pomysłami.
- Zboczonymi pomysłami? Daj spokój, Jenneen. Nie próbuj mi wmawiać, że nigdy o tym nie myślał! Widziałem, jak na nią patrzysz. Jest piękna, prawda? A Ashley, może ona jest bardziej w twoim typie? Wysoka, z tymi zmysłowymi oczami i pełnymi ustami. Założę się, że marzysz o pogłaskaniu jej po tych lśniących czarnych włosach. Ciekawe, jaka jest w łóżku? Chociaż ty już pewnie wiesz coś na ten temat, przy twojej bogatej zwyrodniałej wyobraźni.

- Ty gnoju! Jak mogłam ci kiedykolwiek wierzyć? To ty jesteś zwyrodnialcem, Matthew. Ty! Jesteś do niczego, jesteś przegrany i nic lepszego cię nie czeka.

- Dobrze sobie! I pomyśleć, że te słowa pochodzą od nimfomanki i do tego lesbijki. Przynajmniej moje upodobania seksualne są normalne. – Normalne! Normalne! Jesteś kompletnie pozbawiony seksu...

- Zważywszy na to, do czego jesteś przyzwyczajona, nie dziwię się, że tak uważasz. Ale ostatniej nocy nie słyszałam, żebyś narzekała. Dla ciebie jestem gotów posunąć się do wszystkiego, Jenneen, nie zauważyłaś? Ale, ma się rozumieć, brakuje mi pewnych istotnych organów, prawda? Nie mam biustu. Ani przyjemnej, miękkiej...

- Jesteś obrzydliwy. Wynoś się stąd! Nie chcę cię więcej widzieć! Nigdy!

- Nie obawiaj się, już wychodzę. Ale ostrzegam cię, Jenneen: nie znajdziesz nikogo innego. Ja cię kocham, ty suko. Wiedząc o tobie wszystko, nadal cię kocham. I ty też mnie pragniesz, bo jestem wszystkim, co możesz dostać. Nieczęsto mi się zdarzało dawać komuś z siebie tyle, ile dałem tobie, Jenneen Grey, a ty obróciłaś się przeciwko mnie, tak jak popizednim razem. Zapłacisz za to, zapamiętaj moje słowa, będziesz...

- Niedoczekanie! Nigdy nip ode ranie nie dostaniesz. I niech ci się nie wydaje, że możesz mnie szantażować, bo to się już skończyło, Matthew. A nie starcza ci jaj, żeby...

- Poczekaj, przekonasz się, Jenneen. Nikt nie będzie mnie wyrzucał, szczególnie nikt taki jak ty, kurwo!

Wiem o tobie tyle, że będziesz płacić do końca życia. Obiecuję ci, że skoro ja nie mogę cię mieć, to zadbam o to, żeby żaden inny pieprzony facet też cię nie miał.

Podniosła ze stołu filiżankę i z całej siły rzuciła w niego.

- Wynoś się! - wrzasnęła

Matthew uchylił się i filiżanka roztrzaskała się o ścianę za jego plecami. Jenneen wychyliła się po następną, ale on chwycił ją za rękę i pchnął z powrotem na kanapę.

- Nie rób tego nigdy więcej - wykrzyczał jej w twarz, śliniąc się obficie.

- Puść mnie! Puść mnie natychmiast!

- Spójrz na siebie - rzekł zjadliwie. - Jesteś żałosna. Żałosna i chora! - Przytrzymując ją jedną ręką, drugą zacisnął w pięść, wziął szeroki zamach i wymierzył jej cios w szczękę. - Zostawiam ci to na pamiątkę. Traktuj to jako nauczkę. Nikt, słyszysz, nikt nie będzie mnie wyrzucał na ulicę, a już na pewno nikt taki jak ty! Wróć.

-Z tymi słowami wypadł z pokoju.

Idąc przez hol, omal nie potknął się o Maggie przyczajoną za drzwiami. Przyglądał jej się przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem. Wyraz twarzy Maggie nie pozostawiał wątpliwości, że wszystko słyszała.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Zabierz ją ze sobą - krzyknęła Jenneen. Stała w drzwiach, po brodzie ściekała jej wąska strużka krwi. - Nie chcę jej tutaj.

Matthew spojrział na bladą, wystraszoną twarz Maggie. Dotarło do niego, że skoro dziewczyna wie już wszystko o Jenneen, musi ją zabrać ze sobą.

- No, na co czekasz? - ponagliła Jenneen. - Wynoś się! No już, wynoście się oboje!

Maggie patrzyła na nią bezradnie, nie wiedząc, co zrobić.

- Chodź, dziecinko - odezwał się Matthew, otaczając Maggie ramieniem. - Zabierz swoje rzeczy. Nie zostawię cię z nią, nie byłabyś bezpieczna.

Maggie spojrziała na Jenneen. - Poczekaj tylko, jak opowiem o tobie w domu - powiedziała wolno - skończy się twoje szpanowanie, pani Green!

Jenneen zamknęła oczy i opadła na kolana. Bezgłośnie, dławiące łkanie wstrząsało całym jej ciałem. Kiedy Maggie wspomniała o domu, poczuła, jak paniczny strach ściska jej mózg niczym obręcz. To było nieuniknione. Zawsze wiedziała, że kiedyś nastąpi, zawsze wiedziała, że pani Green w końcu zwycięży. I właśnie teraz pani Green miała zwycięstwo w zasięgu ręki. Dla Jenneen Grey oznaczało to początek końca.

Rozdział 15

Kate podśpiewywała, odmierzając łyżeczką kawę do dzbanka. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że oczy jej błyszczą, ale gdyby wiedziała, wcale by jej to nie zdziwiło, bo po raz pierwszy od wielu tygodni czuła się naprawdę szczęśliwa.

Spędziła cudowny wieczór z Nicholasem Goughiem - już trzeci w ciągu niespełna dwóch tygodni - i nie pamiętała, kiedy poprzednio tak dobrze się bawiła. Po przedstawieniu poszli na kolację w towarzystwie Ellamari i Boba, których ogarnęła ostatnio tak potężna fala miłości, że wcześniej się ulotnili. Nick i Kate naśmiewali się z nich,

ale Kate zapamiętała wyraz twarzy Nicka, kiedy odwrócił się do niej i przyjacielskim tonem zaproponował, by też już wyszli.

Kiedy wróciła do pokoju z tacą, stał przy jej biurku. Kate odetchnęła z ulgą, że nie zostawiła nic w maszynie. Jeszcze pół biedy, gdyby została tam strona z artykułu, który właśnie pisała dla czasopisma, ale nie chciała, by widział jej książkę, a raczej to, jak niewiele jej dotąd powstało. Było nie było, miała do czynienia z aktorem szekspirowskim.

- Kawa gotowa - zaanonsowała, stawiając tacę na stole. Niestety, bez śmietanki. Moja wścibska sąsiadka, pani Adams, była tu wcześniej i Wszystko wyszabrowała.

Nick uśmiechnął się i poczekał, aż napełni filiżanki.

- Wiesz co, mówiłaś dziś wieczorem o wszystkim innym... - zaczął, sadowiać się wygodnie na kanapie i wyciągając długie nogi, jak zauważyła - dłuższe i z pewnością lepiej umięśnione niż Joela -...ale nawet nie wspomniałaś o swojej książce.

- Och, obawiałam się, że to powiesz. - Nie odzywał się, czekając na jej dalsze słowa. - Prawda jest taka, że nie mówiłam, bo niewiele mam na ten temat do powiedzenia.

- Rozumiem. A nie jesteś przypadkiem zbyt skromna?

- Nie - rzekła stanowczo. - Serio, naprawdę nie ma o czym mówić, Prawie nic nie napisałam.

- Ellamarie jest przekonana, że praca posuwa się naprzód.

- Bo tak jej powiedziałam.

- Anie jest tak? Pokręciła przecząco głową.

- W czym problem? Pewnie masz za mało czasu.

- Nie sędzę, żeby to miało coś wspólnego z brakiem czasu, przynajmniej nie w fflloim przypadku - westchnęła.

- Boję się przyznać, nawet przed sobą samą, że tak naprawdę to chyba nie jestem w stanie tego dokonać. '

~ Trudno mi w to uwierzyć. Od jak dawna próbujesz pisać?

- Och, wieki całe! Od czterech miesięcy albo i dłużej. Pokiwał głową ze śmiechem.

- I to mają być te całe wieki?

Uśmiechnęła się. Na policzkach wystąpił jej lekki rumieniec.

- Mnie się tak wydaje.

- To, że niektórzy popełniają książkę w parę tygodni, wcale nie znaczy, że wszyscy tak muszą.

- Wiem. Chodzi o to, że jako dziennikarka, wiesz, w końcu pisanie to mój zawód, wyobrażałam sobie, że będę umiała to zrobić, że to będzie, hmm, raczej łatwe. Ale nie jest.

- Będziesz próbować dalej?

- Tak, chyba tak. Sama nie wiem. Właściwie muszę. Mój ojciec byłby strasznie rozczarowany, gdybym zrezygnowała. Jest tym bardzo przejęty. Ostatnio prawie o niczym innym ze mną nie rozmawia.

- Mówiłaś mu, że masz problemy?

- Mój Boże, nie. On myśli tak samo jak inni, że praca świetnie mi idzie. Bardzo by się zdenerwował, gdyby poznał prawdę. Więc sam widzisz, że muszę wytrwać.

A co Joel na to? O ile wiem, jest twoim agentem? Potrząsnęła głową.

- Nie. Joel dał mi jasno do zrozumienia, że nie chce o niczym wiedzieć, dopóki nie skończę. Zresztą, nie widziałam się z nim od, czasu przyjęcia u Jenneen, o którym ci opowiadałam. Tak czy owak... - Zmusiła się do uśmiechu i lekkiego tonu, choć wcale nie było jej wesoło i lekko. - Nie ma się czym martwić, wszystko się jakoś samo ułoży.

Wyczuwał, że jest zdenerwowana.

- Przepraszam - usprawiedliwił się - Nie powinienem wypytywać. Sięgnęła po filiżankę z kawą. Nick przyglądał się jej, a Kate

pomyślała z żalem, że wiele by dała, żeby Joel patrzył na nią czasem w ten sposób.

- Może to wyznanie prawdy trochę mi ulży - stwierdziła.

- Próbowałaś do niego dzwonić?

- Tak. Ale albo nikt nie odbierał, albo się dowiadywałam, że jest na jakimś spotkaniu. To upokarzające.

- To dlatego zadzwoniłaś do mnie? Zamiast do Joela?

- Skłamałabym, gdybym zaprzeczyła. Ale cieszę się, że zadzwoniłam.

- Ja też.

Uśmiechnęła się.

- W niedzielę - zaczął - będę miał cały dzień wolny, może moglibyśmy się gdzieś razem wybrać? Na przykład na wycieczkę na wieś. - Widać było, że Kate się waha, - Nie, możesz wiecznie na niego czekać, Kate.

- Wiem. - Odwróciła głowę, zawstydzona, że tak łatwo ją przejrzał.

- No, na mnie już czas. Ran reżyser McElfrey nie lubi, gdy my, aktorzy, włóczymy się po nocach. Jutro zaczynamy czytane próby do *Królowej Kornwalii*.

- Naprawdę jest takim tyranem? Nick się roześmiał.

- Czasami. Ale to nie jest chyba takie złe. Sam stawia sobie duże wymagania i oczekuje, że jego współpracownicy też będą je spełniać. - Podniósł się i odstawił filiżankę na tacę, - Gdybyś zmieniła zdanie co do niedzieli, to propozycja jest wciąż aktualna.

Kiedy już go nie było, pożałowała, że nie zgodziła się pojechać, ale musiała przecież być wolna... na wypadek, gdyby Joel zadzwonił.

Weszła do sypialni i przed zapaleniem światła zaciągnęła zasłony. Stało się to już jej zwyczajem - z dwóch powodów. Po pierwsze, chciała lepiej widzieć, gdyby Joel podjechał swoim Range-Roverem, a po drugie sama nie chciała być widoczna dla kogoś z zewnątrz.

Tajemnicze telefony zdarzały się ostatnio coraz częściej. Parę razy zdawało jej się, że rozpoznaje głos, ale nie umiała skojarzyć go z konkretną osobą. Kto ze znanych jej ludzi byłby zdolny do tego rodzaju wybryków? Telefony nie zawierały żadnych pogrózek, wręcz przeciwnie. Były zwięzłe i pośpieszne, i mogłaby się założyć, że rozmówca zakrywał czymś słuchawkę, żeby zmienić głos. Przez krótką, szaloną chwilę myślała, że to Joel, ale to było do niego niepodobne.

Usiadła przed lustrem i zaczęła zmywać makijaż. Za każdym razem, kiedy przed dom podjeżdżał samochód, teżała w bezruchu czekając na dzwonek u drzwi, ale nadal panowała cisza.

Spojrzała na laskę opartą niewinnie w rogu i poczuła nagły przyływ gniewu. Jak pies, który chce się przypochlebić swemu sadystycznemu panu, powiedziała mu, że może jej znów użyć, a on nawet się nie pofatygował, by do niej zadzwonić. Miała ochotę połamać laskę i wysłać mu ją w kawałkach, ale bała się go rozzłościć.

Jednak wcześniej czy później zobaczy się z nim, była o tym przekonana. Położyła dłoń na brzuchu i uśmiechnęła się do swego odbicia. Była pewna, że Joel ucieszy się z zostania ojcem... kiedy się już oswoi z tą myślą.

Ashley pisnęła i podniosła ręce o sekundę za późno. Śnieżna kulka uderzyła ją prosto w twarz.

- Och, poczekaj tylko - zagroziła i nabierając garść śnieżnego puchu, ruszyła w pościg.

- Musisz biegać trochę szybciej - wołał Keith, chowając się za drzewo. Nagle krzyknął, bo Alex zaskoczył go od tyłu i celnie trafił śnieżką w twarz. - To było oszustwo - śmiał się Keith, ocierając śnieg z oczu. - Chodź no tutaj!

Lecz Alex uniknął, zanim ojciec zdołał go dosięgnąć.

- Hej!- rozległ się okrzyk Ashley.

Keith odwrócił się i został ugodzony następnym śnieżnym pociskiem.

- To nie fair- zaprotestował otrząsając się ze śniegu. - Dwóch na jednego? Tak nie wolno.

- Wolno, wolno - wyjaśnił zwięźle Alex. - Jesteś od nas większy.

- Zgadza się - poparła syna Ashley, ciskając kolejną pigułą, tym razem niecelnie.

- Dobrze, sami się o to prosiliście - oświadczył wojowniczo Keith, próbując zgromadzić amunicję i równocześnie opędzając się od Cezara, który z wielkim zaangażowaniem przyłączył się do walki po stronie przeciwników.

Ashley i Alex pośpiesznie lepili zapas kul po swojej stronie linii frontu. Zaczęła się regularna bitwa.

- A masz! - krzyczał podniecony Alex, kiedy jedna ze śnieżek rzuconych przez Ashley trafiła Keitha w plecy.

- I jeszcze raz! - głośno dopingował ciskającą kulkami matkę.

Zasypany gradem pocisków Keith nie miał szans starannie wycelować, ale jego przeciwnicy szybko wyczerpali cały zapas amunicji i byli zmuszeni zastosować kolejny punkt strategii obronnej, czyli rzucić się do ucieczki. Wykorzystując sprzyjające okoliczności, Keith ruszył w pościg. Złapał Ashley za szyję i wrzucił jej śnieżkę za kołnierz kurtki.

- O nie! - oburzyła się, czując, jak śnieg topi się w zetknięciu z ciałem. - Tak nie można.

Zachwycony Alex skakał wokół nich.

- Mamy cię, mamusiu! Ashley spojrzała na niego z góry.

- Po czyjej ty właściwie jesteś stronie? - nabrała garść śniegu i rzuciła w synka.

- Dawaj, Alex, za nią! - zachęcał Keim, biegnąc za uciekającą znowu Ashley.

Ashley zataczała się ze śmiechu, więc nie zdołała odbiec daleko, nim znowu ją dopadli. .

- Nie - krzyczała, widząc, że Keith lepi następną kulę. - Nie!

- Dawaj, tato!

Cezar czekał biegając wokół nich, oszalały ze szczęścia. Keith zbliżał się do Ashley, trzymając skrzającą się śniegową kulę na otwartej dłoni.

- Nie - zanosila się od śmiechu. - Ani mi się waż!

Wolno podniósł śnieżkę do jej twarzy. Próbowwała się bronić, ukrywając twarz na jego ramieniu, ale wykazał się lepszym refleksem.

- Już dobrze, dobrze - prychała, ocierając śnieg z oczu, - Poddaję się.

- Słyszałeś, Alex - upewniał się Keith, - Wygraliśmy !

- Hurra! - wrzasnął chłopiec, podskakując z radości.

- Chcesz wracać, żeby się wysuszyć? - Keith zwrócił się do Ashley.

- Nie, ja nie chcę! — zaprotestował Alex..

- Nie, jakoś wytrzymam. Wcale nie dzięki tobie - dodała patrząc na syna. - Chodźmy nad strumień, zobaczymy, czy jest zamrznięty.

Alex uczeplił się nóg ojca. Keith , podniósł go i trzymając pod pachami okręcił wokół siebie jak na karuzeli. Chłopiec wyściskał ojca, a potem zawołał Cezara i pobiegł przed siebie z rozpostartymi rękami, udając samolot.

- Jesteś pewna, że nie trzeba wracać? - spytał Keith, patrząc na Ashley.

- Pewna. I tylko trochę mokra. Roześmiał się i otoczył ją ramieniem.

Gdy obudzili się tego ranka, stwierdzili z zaskoczeniem, że mimo wiosny za oknem pada śnieg. Wszystkim się to spodobało. Ashley zawsze lubiła spacerować po lesie, kiedy wszystko wokół pokryte było śniegiem.

Taka sceneria wzbudzała w niej romantyczne poczucie, że jest postacią ze świątecznej kartki.

Przysiedli na ławce przyglądając się zabawom Alexa z Cezarem na zamrzniętym strumieniu. Cezarowi rozjeżdżały się na lodzie wszystkie cztery łapy, wyraźnie nie potrafił zapanować nad sytuacją.

- Chodźcie tu! - zawołał do nich Alex. - Tu jest świetnie!

- Twoja mama nie umie się ślizgać. Pojęcia nie mająk się to ęobi. Ashley zmierzyła Keitha wzrokiem.

- Kto tak twierdzi?

- Ja - odparł zaczepnie.

- No to popatrz. - Zaczęła schodzić w dół pochyłym brzegiem. Nagle krzyknęła głośno, bo śnieg pod jej stopami obsunął się i resztę drogi przejechała na siedzeniu, lądując płasko na lodzie.

- Cofam to, co powiedziałem - zawołał Kehn, gdy już odzyskał mowę po ataku śmiechu. - To był pokaz doskonałego stylu.

Ashley rzuciła w niego śnieżką, ale nie trafiła.

- Czemu się nie poddasz? Pomijając wszystko inne, jesteś za stara.

- Poczekaj tylko, jak tam wrócę. Zrobię ri coś okropnie złośliwego i nieprzyjemnego.

- Nie mogę się doczekać - śmiał się, patrząc Jak Ashley wdrapuje

się po brzegu. W końcu udało jej się dotrzeć na górę i zasapana usiadła obok niego na ławce:
Znowu zaczął padać śnieg, Leciutkie płatki wirowały w powietrzu. Świat wokół nich wyglądał pięknie i spokojnie, wywołując u Ashley miłe wspomnienia z dzieciństwa.

Oparła się o Keitha, który gładził ją po ramieniu. Było jej z nim tak dobrze. Za każdym razem, gdy widziała go z Alexem, czuła, jak coś ściskają w gardle. Bez wątplenia Keith naprawdę kochał syna, a Alex kochał ojca. Czasami zachowywali się bardziej jak przyjaciele niż jak ojciec i syn, ale zawsze sprawiali wrażenie bardzo zadowolonych, kiedy przyłączała się do nich podczas ich razem spędzanych dni. Musiała przyznać, że i ona bardzo to lubiła. Miała poczucie, że tak właśnie powinno być zawsze.

- O czym myślisz? - odezwał się Keith.

- Och, o niczym.

- Myślałaś o nim?

Spojrzała Keithowi w oczy i wyczytała w nich smutek. Potrząsnęła głową.

- Nie, nie myślałam o nim.

- Jak się układają sprawy?

- W biurze? Chyba w porządku.

- Często go widzisz?

- Nie częściej niż zwykle. W pracy - dodała.

- Myślisz o nim jeszcze?

- Właściwie nie - skłamała. - A o co chodzi?

- O nic, chyba że nadal go kochasz. Odwróciła wzrok.

- Kochasz go?

Ashley wstrzymała oddech. Bała się, że Keith zada kiedyś to pytanie. Nie chciała go okłamywać i choć mogło się to wydawać dziwne, czuła, że gdyby zaprzeczyła, byłaby nielojalna wobec Juliana, lecz nie chciała też ranić Keitha. Prawda była taka, że ostatnie kilka miesięcy było dla niej piekłem. Wmawiała sobie, że z czasem będzie jej łatwiej i niekiedy nawet w to wierzyła. Ale wystarczyło, żeby

zobaczyła Juliana wchodzącego do swego gabinetu lub rozmawiającego z kimś na korytarzu, by uświadomić sobie, że kocha go nadal tak samo jak dawniej. Gdyby życie było takie proste jak w książkach! Parę Stron, może tylko parę linijek i już po wszystkim, czas na nowe przeżycia. Ale życie wyglądało inaczej. Poczucie odrzucenia i wywołane tym cierpienie były prawdziwe i nie mijały, nie mijały przez bardzo długi czas. Alex, przestań! - zawołał Keith. Ashley spojrzała w dół i zobaczyła, że Alex trzyma psa za przednie łapy i tańczy z nim na lodzie.

- Jemu się to podoba - próbował się usprawiedliwić Alex.

- Nie podoba mu się. Robisz mu krzywdę, zostaw go w spokoju. Alex puścił słowa ojca mimo uszu i dalej zabawiał się z pieszkiem. Keith wstał.

- Alex - rzekł ostrzejszym tonem - słyszałeś, co powiedziałem?

- Ale tato, jemu się to naprawdę podoba, popatrz.

- Puść go. Już! Nie będę więcej powtarzał.

- Mamusiu, prawda, że on to lubi? - Alex zwrócił się do matki o poparcie:

- Alex! - Tym razem głos ojca brzmiał w uszach chłopca już całkiem surowo.

Mały niechętnie puścił łapy Cezara. Psiak popędził między drzewa, najwyraźniej zadowolony z odzyskanej wolności. ,

- A teraz chodź do mnie.

Alex nie ruszył się z miejsca. Ashley obserwowała scenę w milczeniu, choć serce rwało jej się do synka, który wpatrywał się w ojca szeroko otwartymi oczyma.

- Czekam. - Keith wyciągnął rękę, gotów pomóc chłopcu wydostać się na brzeg.

- Słuchaj - zaczął, kiedy Alex stanął już naprzeciw niego. - Musisz zrozumieć, że Cezar jest tylko szczeniakiem i nawet jeśli robisz mu krzywdę, nie umie się poskarżyć. Za bardzo cię kocha, żeby cię ugryźć, więc pozwoli się męczyć. Ale chyba nie chcesz mu zrobić krzywdy, prawda?

Alex potrząsnął głową.

- A teraz go zawołaj i przeproś.

Alex odwrócił się, trochę nadąsany, i zawołał psa. Szczeniak wybiegł spomiędzy drzew z gałązką w pysku. Chłopiec zabrał mu ją i pobiegł przed siebie.

Keith usiadł, układając ramię tak jak poprzednio. Ciągle jeszcze miał zagniewaną minę. Ashley roześmiała się. - Chyba nie zaczniesz mnie także pouczać?

- Nie - uspokoił ją. - Ale powinienem. Czasami jesteś dla niego zbyt pobłażliwa.

- Nie rób mi wymówek. Po prostu ty zareagowałeś wcześniej, to wszystko.

- Chyba nie możesz zaprzeczyć, że on potrzebuje ojca.

- Przecież ma ojca.

- Wiesz, że nie to mam na myśli.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Keith ujął ją delikatnie pod brodę i odwrócił twarzą do siebie.

- Więc co ty na to, Ash?

- Na co?

- Żebyśmy znowu byli razem, jako rodzina.

Opuściła wzrok na swoje ręce i zaczęła skubać rękawiczkę. Nie mogła zaprzeczyć, że także tego chce. Ale nie kochała Keitha... przynajmniej nie tak jak Juliana. Pomyślała o tych wszystkich samotnych nocach, kiedy tęskniła do kochających ramion, które by ją przygarnęły. O tęsknocie, by być dla kogoś ważną i upragnioną. Czegoś brakowało w jej życiu i to poczucie oraz samotność stawały się powoli nie do zniesienia.

- Więc jak?

Spojrzała w niebo i westchnęła.

- Naprawdę warto, Ashley, wiesz o tym. Przez te ostatnie miesiące szło nam bardzo dobrze. Poza tym wiesz, co do ciebie czuję. Nie moglibyśmy spróbować?

- Och, Keith, chciałabym, żeby życie było takie proste.

- Przecież nie może być zawsze tak jak teraz. Marnujemy czas.

- Wiem, ale w tej chwili mam w głowie zamęt Nie chcę cię

stracić, to wiem na pewno, lecz nie wiem, czy nasz związek się sprawdzi.

- Nie będziesz tego wiedzieć, dopóki nie spróbujesz. - Znowu odwrócił ją do siebie. - Kocham cię, Ash. Kocham cię ponad wszystko na świecie.

Pochylił się i pocałował ją. Zaciśnęła powieki, żeby nie dostrzegł w jej oczach łez. Gdybyż mogła przestać myśleć o Julianie...

- Powiedz, że mamy szansę - poprosił, kiedy wtuliła twarz w jego ramię. - Proszę cię, powiedz tylko, że istnieje jakaś szansa.

Nie odpowiedziała, więc odsunął ją od siebie i spojrzał jej prosto w oczy. Patrzyła na niego i nienawidziła się za to, że pragnie, byją jego miejscu był Julian.

- Więc jak?

Uśmiechnęła się z przymusem. Wyczytał w jej wzroku wahanie, które wydało mu się zaczątkiem zgody.

- Daj mi trochę więcej czasu, Keith. Proszę, daj mi trochę czasu. - Podniosła się z ławki i ruszyła w stronę drzew.

Patrzył, jak odchodzi, z nadzieją, że upłynie jeszcze trochę czasu i będzie miał z powrotem swego syna.

Rozdział 16

Linda odłożyła słuchawkę po rozmowie z Violet. Wyrzała przez okno i stwierdziła, że na zewnątrz zaczyna się ściemniać. Było piątkowe popołudnie, Bob w każdej chwili mógł wrócić do domu. Serce zamarło jej na moment. Od czasu telefonu Maureen Woodley w obecności męża Linda stawała się coraz bardziej nerwowa. Zaczynała tydzień od ulgi, że wrócił do Londynu nie mówiąc jej nic podczas weekendu, by oczekiwać z narastającym strachem, graniczącym czasami z przerażeniem, że nadchodzący weekend przymiesię powie jej, że odchodzi.

Z początku chciała się dowiedzieć, kim jest ta druga kobieta, ale porzuciła ten zamiar. Powstrzymało ją przed tym tchórzostwo, cecha, której dotychczas u siebie nie знаła. Bała się tego, co może odkryć. Być może walka z niewiadomym nie była najlepszym wyjściem, ale Linda bała się, że gdyby poznała tę drugą kobietę, gdyby odkryła, dlaczego Bob ją kocha, gdyby ta druga okazała się piękna, błyskotliwa, inteligentna i ze swobodą obracająca się w londyńskich kręgach, ona sama mogłaby się poczuć pospolita, nudna i niezdolna podjąć rywalizacji.

Walizki stały na podłodze koło łóżka, spakowane i gotowe do wyjazdu. Włożyła płaszcz. To, co robiła, nie było właściwie ucieczką, tak sobie przynajmniej wmawiała, po prostu nie czuła się na siłach spędzić z nim tego weekendu. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła się powstrzymać. Bob wyczuwał, że coś jest nie w porządku, że się zmieniła, Chciał znać przyczynę, ale nie potrafiła się zmusić, by mu powiedzieć. Jedyne, na co mogła się zdobyć, to robić dobrą minę do złej gry i udawać, że wszystko jest w normie. Teraz jednak zamierzała wyjechać. Niedaleko, przynajmniej niedaleko od rodziny. Miała zamiar spędzić weekend z Violet, która była chora na grypę. Linda mogła usprawiedliwić tym swoją nieobecność w domu.

Próbowała dodzwonić się do Boba wcześniej do zajazdu, ale nikt nie odbierał telefonu. Nie spodziewała się go zastać, niemniej dotknęło ją to boleśnie. Zastanawiała się, czy Bob przyjedzie za nią do matki, czy zostanie sam tutaj, na farmie. Istniała jeszcze możliwość, że wróci do Londynu, do tamtej, ale Linda nie chciała nawet o tym myśleć.

Wzięła do ręki ślubną fotografię, która stała na parapecie w ich sypialni. Byli wtedy dużo młodszy, bardzo w sobie zakochani i pełni radości życia. Kupił jej w prezencie ślubnym tę posiadłość, by mogła tu trzymać swoje konie i przyjmować inne do trenowania. Wtedy musiała go niemal siłą wsadzać do pociągu, którym po weekendzie, wracał do Londynu. I nigdy nie była zaskoczona, widząc go w domu już w czwartek zamiast w piątek. Zapraszał różnych ludzi. Pisarzy, producentów, aktorów, reżyserów - przyjeżdżali na weekendy. Ale ostatnio wszystkie sprawy załatwiał tam na miejscu, w Londynie,

i rzadko zapraszał kogoś do nich. Przeszło jej przez myśl, że to może z jej powodu przestali u nich bywać, i rozplakana się, Łączyło ich z Bobem tak wiele, a teraz tamta kobieta, kimkolwiek była, miała to wszystko zabrać. Linda dotknęła twarzy Boba na fotografii. Łza kapnęła jej na palce.

- Proszę, niech nie będzie za późno - szepnęła. - Proszę, nie odchodź.

Przyjęcia wydawane przez Roberta Blackwella były znane z szalonej, czasem nieco ostentacyjnej ekstrawagancji, dziwaczного stylu i paru innych rzeczy, o których nie mówiło się głośno. Wszyscy goście przychodzili nastawieni na świetną zabawę, a Robert Blackwell robił wszystko, co w jego mocy, żeby się nie zawiedli. Nie oszczędzał na niczym i dbał o zaspokojenie najwymyślniejszych życzeń.

Ellamarie skręciła z szosy w aleję wijącą się między drzewami, by wreszcie wjechać na podjazd przed obszerną rezydencją. Cała trasa była rzęsiście oświetlona, a pole obok zabudowań przeznaczono na parking dla samochodów. Na widok domu wszystkimi czterem kobietom zaparło dech w piersiach.

- Popatrzcie tylko! - wykrzyknęła Ellamarie.

- Czyż to nie romantyczne? - zachłysnęła się Kate, klaszcząc w dłonie.

Ashley siedziała na tylnym siedzeniu z Jenneen, która już podczas jazdy niewiele się odzywała, a teraz sprawiała wrażenie, jakby zupełnie odebrało jej mowę. Ashley położyła jej dłoń na ramieniu.

- Jenn, dobrze się czujesz?

Jenneen przytaknęła; Ashley usłyszała w ciemności, jak przyjaciółka głośno przełyka ślinę.

Przywitał je lokaj w eleganckim czarnym ubraniu, a w olbrzymim, surowo urządzonej holi czekali inni służący, którzy odebrali od nich okrycia i torby z rzeczami na noc, poczęstowali je szampanem i skierowali do pomieszczeń, gdzie odbywało się przyjęcie.

-Ole! - powitał je Joel, przeciskając się przez tłum gości. Wyglądacie wspaniale; wszystkie.

Kate rozpromieniła się, kiedy objął ją ramieniem i pocałował.

- Jak się masz? - szepnął.

- Świetnie. Chociaż za tobą tęskniłam.

- Ja też za tobą tęskniłem. Nadrobimy to później, dobrze? Uśmiechnęła się patrząc mu w oczy i pokiwała głową. Wystarczyło, że go zobaczyła, by zaczęły jej drżeć kolana. Wspomnienie Nicholasa Gougha i myśl, że znowu sprawi mu zawód, natychmiast wywietrzały jej z głowy.

Joel zadzwonił dzień wcześniej, żeby ją zaprosić na to przyjęcie, i nalegał, by wzięła ze sobą przyjaciółki. Był to pierwszy znak życia, jaki jej dał od dłuższego czasu... dokładnie od przyjęcia u Jenneen.

- Przepraszam, że sam po ciebie nie przyjechałem - usprawiedliwiał się - ale jestem tu już od rana. Było masę roboty z tym przyjęciem. A gdzie Bob? - spytał Ellamarie.

- Jest strasznie zajęty - odpowiedziała trochę za szybko. Nie miała zamiaru opowiadać mu o kłótni, do jakiej doszło między nią a Bobem, kiedy odmówił pójścia na to przyjęcie. Nie wiedziała tylko, ponieważ Bob nie mógł jej tego powiedzieć, że nie może jej towarzyszyć, bo wcześniej został tu zaproszony z żoną. Kiedy się dowiedział, że Ellamarie zamierza jednak pójść, był wdzięczny Lindzie za wysłanie okraszonej przeprosinami odmowy.

Kate szturchnęła w bok Ellamarie i wskazała jej ruchem głowy przechodzącą parę.

- Księżę Dimitri z Jugosławii - szepnęła. - Czyż on nie jest boski? Ellamarie oczy wyszły na wierzch.

W istocie, pośród gości roiło się od arystokratów, znanych piosenkarzy, aktorów i ludzi biznesu. Korki od szampana strzelały jednostajną kanonadą, światła były przyćmione, a z sali balowej dobiegała muzyka.

Ashley wkrótce poważnie naraziła się sympatii Roberta Blackwella, ponieważ gospodarz nie krył wcale swych erotycznych zamiarów. W miarę wypijanego szampana Ashley coraz bardziej poddawała się ogólnie panującej beztrosce; aż do chwili, gdy uświadomiła sobie, że niewiele brakuje, by uległa zalotom Blackwella.

Ellamarie została porwana do tańca przez „greckiego Boga”. Rozśmieszyła przyjaciółki, bo znikając w sali balowej rzuciła przez ramię spojrzenie pałające bezwstydną chucią.

Jennenn trzymała się na uboczu, tak onieśmielona, że wręcz bała się poruszyć. Przesuwała wzrokiem po otaczających ją twarzach, wytwornych sukniach i błyszczących klejnotach. Wokół niej panował taki gwar, że z trudem słyszała, co do niej mówiono. Spojrzała na wiszącą obok zasłonę i odczuła chęć schowania się za nią. Nie miała ochoty tu przychodzić, a teraz żałowała, że się zgodziła. Bała się tego, co może zrobić. Bała się, że w każdej chwili pani Green może dojść do głosu i ją skompromitować. Nie miała już nad nią kontroli i pani Green mogła się pojawić w każdej chwili. Rozejrzała się wokół, niemal spodziewając się ujrzeć twarz Matthew wyłaniającą się z tłumu. Nie miała od mego wieści od czasu tamtej pamiętnej sceny, a jego milczenie przerażało ją jeszcze bardziej niż groźby.

Nagle zwróciły jej uwagę śmiechy dobiegające z przeciwległego końca pokoju. Z kąta wytrysnęła fontanna - fontanna szampana. Spojrzała na swój pusty kieliszek. Właściwie, dlaczego nie? W końcu nie może tu przestać całej nocy.

Przeciskając się przez tłum, przysłuchiwała się strzępkom rozmów prowadzonych przez mijanych ludzi.

- ...zdjęcia z Cannes, skarbie - mówił ktoś - ...były...

- ...ukradziono nam samochód i cały bagaż diabli wzięli, cha, cha, cha! - śmiał się ktoś inny.

Jenneen spojrzała w tamtą stronę ze zdziwieniem.

- ...popłyną w lipcu. Kupuj! Mówię ci, kupuj!

Kiedy wreszcie dotarła do fontanny, poczuła się bardzo osamotniona. Stała pośród rozbawionych ludzi, niepewna, jak się zachować. Podniosła wzrok, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Para niebieskich oczu obserwowała ją z leniwym zainteresowaniem. Rozpoznała go natychmiast. To był Paul Deane. Nie znała go osobiście, rzecz jasna, ale wiedziała, że należy do narodowej reprezentacji w krykiecie.

Uśmiechnęła się.

- Tak już lepiej - pochwalił, wyjmując jej z ręki kieliszek. - Pani pozwoli...

Poczekala, aż napełni kieliszek szampanem z fontanny.

- Pozwoli pani, że się przedstawię - zaczął kurtuazyjnie.

n Wiem, kim pan jest - przerwała - choć muszę przyznać, że nigdy nie widziałam, jak pan gra.

- Powinienem się obrazić - odparł ze śmiechem. - A czy ja przypadkiem też pani nie znam? Pani twarz wydaje mi się znajoma.

- Jestem Jenneen Grey - przedstawiła się, wyciągając do niego rękę.

- No jasne. Moja żona ogląda pani program co tydzień. Jenneen uniosła brwi i rozejrzała się.

- Nie ma jej tu. Przynajmniej jeszcze nie. - Podniósł kieliszek. -Pani zdrowie.

- Dzięki. - Przyjrzała mu się uważnie. - I pańskie. Wyglądał jeszcze przystojniej niż w białym ubraniu sportowym.

Kręcone blond włosy sięgały kołnierza, a szczupła opalona twarz marszczyła się w nieco ironicznym uśmiechu.

- Czemu pani ma taką smutną minę? - spytał, odprowadzając ją na bok.

Jenneen spojrzala na niego ze zdumieniem.

- Sprawia pani wrażenie nieszczęśliwej, samotnej w dumie, że się tak wyrażę. Wyzwała pani we mnie instynkt opiekuńczy.

- Czyżby mężczyźni jeszcze coś takiego posiadali?

- Oczywiście. Skąd te wątpliwości? Wzruszyła ramionami.

- Wie pani co, przypomina mi pani stokrotkę, jest pani tak krucha i bezbronna. Czy pani istnieje naprawdę, Jenneen?

- A pan jest pewny, że gra w krykieta?

- Tak mówią. Ale uprawianie sportu nie czyni człowieka obojętnym na piękniejszą stronę życia. Tę wyjątkową. Bo myślę, że pani' jest absolutnie wyjątkowa.

- A ja myślę, że pan ze mną bezczelnie flirtuje. Zrobił przesadnie zdziwioną minę.

- Ma mi to pani za złe?
- Nie wiem, co odpowiedzieć - roześmiała się.
- Przyszłaś sama? - spytał, przesuwając dłonią po jej włosach.
- Niezupełnie.
- Niezupełnie? Czy to znaczy, że zmyliłaś na chwilę obstawę? Czy raczej, że przyjechałaś taksówką?
- To znaczy, że przyjechałam z paroma przyjaciółkami, które w tej chwili właśnie tańczą.
- Paul, kochanie!

Jenneen odwróciła się i ujrzała zmierzającą w ich stronę piękną kobietę o takich samych blond włosach jak Paul i wesołych ciemnych oczach. Najwyraźniej była zachwycona spotkaniem Paula.

- Vicky! - Twarz Paula rozjaśnił uśmiech.
- Nie wiedziałem, że tu przyjdiesz - zdziwił się. - Czemu mi nie powiedziałaś?
- Bo przecież nie spowiadam ci się ze wszystkiego, co robię. Paul przeniósł wzrok na Jenneen i zauważył, że przygląda im się z zainteresowaniem.

- Jenneen, pozwól, że ci przedstawię Victorię Deane, moją kuzynkę. Vicky, poznaj Jenneen Grey.
- Witam - powiedziała Vicky, ściskając rękę Jenneen. - Miło mi panią poznać.
- Mnie również - zrewanżowała się Jenneen.
- Zaskoczyła mnie pani - stwierdziła Vicky bezpośrednio. - Jest pani o wiele niższa niż to wygląda w telewizji. Och, przepraszam - zreflektowała się, zakrywając usta dłonią. - Mam nadzieję, że pani nie wraziłam. Jenneen uśmiechnęła się wyrozumiale.
- Ależ skąd.

Z niewiadomych powodów od pierwszego wejrzenia polubiła tę kobietę. Jej jasnowłosa były trochę zmierzwiłone i sprawiała wrażenie osoby żyjącej w wiecznym pośpiechu. Jednakże uśmiech był łagodny i szczery, a oczy błyszczały zainteresowaniem.

- Wzięła Paula pod rękę.

- Pewnie próbował zwalić panią z nóg?
- Do tego jeszcze nie doszliśmy - zaprotestował Paul.
- O, popatrzcie! - zawołała nagle Vicky. - Fontanna z szampana! Zaraz wrócę. - Oddaliła się, by napełnić kieliszek.
- Zupełnie zwariowana! - ocenił Paul. - Ale ją uwielbiam. - Wyjął kieliszek z ręki Jenneen. - Masz ochotę zatańczyć?

Ogarnęła ją fala nagłej paniki. Zaciśnęła, palce na nóżce kieliszka i już miała powiedzieć - nie, ale w ostatniej chwili zdołała się opanować. Z trudem utrzymując uśmiech na twarzy, dała się poprowadzić do sali balowej. Gdy znalazła się pośród tańczących par, powtarzała sobie ze strachem, że cokolwiek będzie się działo, nie wolno jej uwieść tego mężczyzny ani teraz, ani nigdy.

Jenneen widziała Ashley wirującą w ramionach Roberta Blackwella. Była tam też Ellamarie, kołysząca się w rytm muzyki w objęciach adonisa i chichocząca z tego, co do niej mówił.

Robert Blackwell zajrzał Ashley głęboko w oczy i przeciągnął wierzchem dłoni po jej piersi. Robił to już po raz trzeci; pobudzone sutki zaznaczyły się wyraźnie pod cienkim materiałem sukienki. Popatrzyła na niego - miał wilgotne, lekko rozchylone usta.

- Ashley, wiesz, że będę się z tobą kochał dziś wieczorem, prawda? - szepnął.

Przymknęła oczy, kiedy ich usta zetknęły się miękko. Wiedziała, że za dużo wypiła, ale w tej chwili było jej to obojętne. Zmysły wzięły górę. Przyłgnęła do niego mocniej, wyczuwając jego twardniejącą męskość.

Po chwili odsunęła się nieco i spojrzała na niego pytająco, oczekując, że coś do niej powie, lecz on patrzył gdzieś ponad jej głową.

- Sean! - zawołał. - Myślałem, że jesteś w Stanach.

- Wróciłem wcześniej, niż było w planie.

Ashley odwróciła się z niedowierzaniem. Rozpoznałaby ten głos na końcu świata. Nogi się pod nią ugięły na widok roześmianych

oczu sławnego aktora. Sean Connery zachichotał, ubawiony jej zakłopotaniem.

Kate obserwowała ją z zazdrością. Cóż ona by dała, żeby poznać Seana Connery. Joel uważał sytuację za zabawną, ale nie czuł się uprawniony do dokonania prezentacji, więc poprowadził Kate do sąsiedniego pokoju i wręczył jej kolejny kieliszek szampana.

- Muszę się z kimś spotkać - oznajmił. - Zostań tutaj, nigdzie nie odchodź. Zaraz wrócę.

Była trochę zdziwiona, że nie zabrał jej ze sobą, lecz wokół tyle się działo, że z przyjemnością pozostała na miejscu obserwując otaczających ją ludzi.

Ellamarie zaśmiewała się w objęciach adonisa.

- Nie wierzę - przekomarzała się z nim.

- To prawda. Widziałem cię we wszystkich rolach. - Próbował przycisnąć ją do siebie. - Jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie Bóg w swej mądrości kiedykolwiek stworzył.

- Och, nie posuwałabym się do takiej przesady.

- Ja bym się posunął jeszcze dalej.

- Proszę, nie rób tego. - Zakryła mu usta dłonią. - Chyba bym tego nie wytrzymała.

- Oglądam cię co wieczór. - Pocałował ją w rękę. - Co wieczór. Czuję się, jakbym cię dobrze znał. Jakbym znał każdy centymetr twojego ciała. Zebrałem wszystko, co o tobie pisano, każde twoje zdjęcie.

- Żartujesz...

- Mogę ci pokazać, jeśli chcesz. r Zaśmiała się trochę nerwowo. Coś w jego zachowaniu i w tym, co mówił, wzbudzało jej-niepokój. Komplementy i pochlebstwa to jedno, ale bycie adorowaną, wręcz czczoną przez zupełnie obcego mężczyznę... Czuła, jak zimne ciarki przechodzą jej po kręgosłupie. Wpatrywał się w nią z bliska, jego jasne oczy niemal obmacywały jej twarz. Odwróciła głowę.

- Nierób tak - powiedział, przyciągnął ją do siebie i zaczął

okrywać jej twarz lekkimi pocałunkami. Uniósł jej włosy z szyi i pocałował odkryte miejsce. Czują na skórze jego ciepły, wilgotny oddech, cały czas też gładził ją po plecach.

- Proszę, przestań - zaprotestowała, próbując go odepchnąć. Zajrzała mu w oczy i stwierdziła, że mają dziwny wyraz.

- Chcę cię tak całować po całym ciele - szeptał. - Wszędzie. - Uśmiechnął się, dziki blask jego oczu kontrastował z łagodnym tonem. Nachylił się i przejechał językiem po jej otwartych ustach.

- Proszę cię, przestań, to mnie krępuje. - Żałowała, że nie ma z nią Boba, który mógłby ją uwolnić od tego dziwnego człowieka.

- Chodź ze mną gdzieś, gdzie będziemy sami. - Wziął ją za rękę i Ellamarie, niezdolna do protestu, ruszyła za nim w stronę wyjścia. Patrzyła na niego i nie rozumiała, dlaczego zgadza się z nim wyjść. Dlaczego pozwala nieznanemu zabrać się stąd gdzieś, gdzie będą sam na sam i...

- Ellamarie!

Odwróciła się i dostrzegła Kate, która machała do niej z daleka. Adonis wzmocnił uścisk i Ellamarie próbowała mu się wyrwać.

- Wybacz - rzuciła - ale tam jest moja przyjaciółka. Muszę do niej podejść i dowiedzieć się, czy wszystko w porządku.

- Przecież widzisz, że w porządku - zdziwił się. - Nie musisz do niej podchodzić.

- Naprawdę muszę. Pozwól mi odejść. Nadal nie puszczał jej dłoni.

- Będę czekał, Ellamarie - szepnął.

Wyszarpnęła rękę i szybko odeszła w kierunku Kate. Adonis patrzył, jak prawie biegnie przez pokój. Nie obejrzała się, -Dzięki Bogu, że tu byłeś - westchnęła z ulgą, podchodząc do przyjaciółki. Boję się myśleć, co by było, gdybyś mnie nie zawołała.

- Coś ci się nie podoba? - zdumiała się Kate. - Przecież on jest boski.

- Jest dziwny! - Ellamarie wstrząsnęła się. - A gdzie Joel?

- Odszedł z kimś porozmawiaj nie wiem z kim. Widziałaś Ashley? Rozmawia z Seanem Connery.

- Nie żartuj! Gdzie? Gdzie on jest?
- Tam. - Kate wskazała na salę balową.
- A czy my też mogłybyśmy zostać przedstawione?
- Obawiam się, że raczej nie. On jest z Robertem Blackwellem, gość honorowy i tak dalej, rozumiesz...
- Szkoda. Widziałaś gdzieś Jenneen?
- Zdawało mi się; że widziałam, jak tańczyła z Paulem Deane... wiesz, tym od krykieta. Podejrzewam, że da mu się we znaki. Ellamarie roześmiała się.
- Chyba tego jej teraz potrzeba.
- Mówiła ci coś? O Matthew?
- Ani słowa. Wiem tylko, że on już u niej nie mieszka. Nie wiesz przypadkiem, co między nimi zaszło?
- Pojęcia nie mam. Pytałam Ashley, ale ona też nic nie wie.
- Zastanawiam się, dlaczego nie chce nic mówić na ten temat? Kate wzruszyła ramionami.
- Hm, kiedy ją ostatnio widziałam z Paulem Deane, była uśmiechnięta. To już coś.
- Jest żonaty?
- Aha, tak mi się wydaje. Ale czy to kiedyś kogoś powstrzymało? Ellamarie rzuciła jej wymowne spojrzenie.
- Bez osobistych wycieczek, proszę. A co słyszeć u Joela?-zmieniła temat. - Mówił, dlaczego tak długo nie dzwonił?
- Sza, ani słowa! Właśnie nadchodzi - ostrzegła Kate, z promienną miną spoglądając przez ramię Ellamarie.
- Ciebie nikt jeszcze nie porwał, Ellamarie? - spytał z uśmiechem Joel, całując Kate w policzek.
- A co, miałyś jakąś ofertę?
- Jasne. - Odwrócił się i Kate dostrzegła, że ktoś zmierza w ich kierunku.
- No nie... - mruknęła pod nosem.
- Miłe panie - zaczął uroczyście Joel - przypuszczam, że poznałyście już Conrada Frazier. Conrad, oto Ellamarie i Kate.

Conrad niedbale kiwnął głową. Ellamarie i Kate pomyślały równocześnie, że jego maniere nadal pozostawiają sporo do życzenia. Odpowiedziały chłodnymi skinieniami.

- Zatańczysz, Ellamarie? - spytał Joel podając jej ramię, po czym poprowadził ją na parkiet.

Kate spojrzała na Conrada, ale ten obserwował ludzi przy fontannie- napełniali szampanem buty. Roześmiał się na widok równie pięknej co pijanej kobiety, która przedarła się przez tłum i niepewnie zmierzała w ich stronę.

Kate przyglądała się twarzy Conrada, kiedy z uśmiechem poprawiał ramiączka sukni nieznajomej. Mimo iż go nie lubiła, poczuła ucisk w dołku. Do licha, był niesamowicie przystojny. Kobieta pocałowała go w usta, a Kate patrzyła bez skrepowania, jak Conrad odwzajemnia pocałunek.

- Candy, skarbie - usłyszała jego szept. - Wydaje mi się, że Wypiłaś trochę za dużo.

- Bzdura - oburzyła się Candy i na nieco sztywnych nogach udała się z powrotem do fontanny. Conrad odwrócił się do Kate, która zarumieniła się, uświadomiwszy sobie, że przez cały czas nie może od niego oczu oderwać. Uśmiechnął się, a ona odruchowo odwzajemniła uśmiech.

- Skąd pan się tu wziął? - spytała, przekrzykując gwar dochodzący od fontanny.

- Zostałem zaproszony - wyjaśnił, pociągając łyk szampana. Uniosła brwi.

- Tego się domyśliłam. Ale czy nie mieszka pan przypadkiem w Nowym Jorku?

- Zgadza się - potwierdził. - Miałem jednak do załatwienia pewien interes w Londynie, więc postanowiłem połączyć przyjemne z pożytecznym.

- Ale Juliana *ta* chyba nie ma? - spytała szybko Kate.

- Nie słyszałem, żeby się wybierał.

- Dzięki Bogu,

Jej słowa rozweseliły Conrada.

- Niech mi pani tylko nie mówi, że jest kolejną ofiarą zabójczego wdzięku Arbreya-Nelmesa.

- Skądże znowu! - obruszyła się Kate.

Conrad wzruszył ramionami i wszystko wskazywało na to, że stracił dla niej zainteresowanie.

- Zawsze jest pan taki grubiański? - Obeszła go dookoła, by stanąć twarzą w twarz.

-Ja?

- Tak, pan!

Zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Tak, chyba tak.

- Lubi pan obrażać ludzi?

- Raczej tak. Takie przyjęcia mnie nudzą, podobnie jak ludzie, którzy biorą w nich udział.

- Do jasnej...

- Kate! - zawołała Ashley zbliżając się do przyjaciółki. - Nigdy nie zgadniesz, z kim właśnie rozmawiałam.

- Z Seanem Connery - „zgadła” Kate, odwracając się gwałtownie. - Chyba cię zabiję. O ile wcześniej nie zabiję jego - syknęła przez zęby, ruchem głowy wskazując Conrada.

Ashley zbladła na jego widok. Conrad odsłonił zęby w uśmiechu i wyciągnął do niej rękę.

- Obawiam się, że zapomniałem pani imię.

Błysk oburzenia w oczach Ashley nie uszedł jego uwagi i wprowadził go w jeszcze lepszy humor.

- Conrad Frazier - przedstawił się.

- Tak, wiem, kim pan jest - Zignorowała wyciągniętą dłoń.

- A może mi pani przypomnieć, kim pani jest? Poza tym, że jest pani kochanką mojego współnika.

Ashley zaniemówiła. Jak on śmiał?! Odwróciła się do niego plecami. Kate wzięła ją pod ramię i odeszły w inny koniec pokoju.

Conrad patrzył za nimi z zagadkowym uśmiechem na ustach. Nagle jego uwagę przyciągnął głośny wybuch entuzjazmu przy fontannie. Candida polewała swoje nagie ciało strumykami szampana.

Kiedy podszedł do niej, spojrzała mu w twarz, jakby oczekując na pocałunek, a potem z głębokim westchnieniem przerywanym czkawką bezwładnie padła w jego ramiona.

Bob wjechał w aleję, zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Przed sobą w oddali widział poprzez drzewa rozświetlone okna rezydencji. Wiedział, że Ellamarie jest w środku, dlatego tu przyjechał. Dlaczego więc się zatrzymał? Dlaczego nie podjechał pod dom i nie poszedł jej szukać?

Włączył radio, ale wydobywające się z niego dźwięki działały mu na nerwy, więc wyłączył je z powrotem. Odchylił głowę do tyłu i oparł o zagłówek. Wszystko zaczynało się cholernie komplikować. Nie wiedział, co dzieje się z jego życiem, i co gorsza, nie wiedział, czego właściwie chce. Próbował pracować nad *Królową Kornwalii*, ale nie był w stanie się skoncentrować. Przed oczyma wciąż stały mu ich twarze. Ellamarie, krzycząca na niego, próbująca zagłuszyć w sobie ból i rozczarowanie. Linda, cierpiąca w milczeniu, rozpaczliwie usiłująca okazać się silną, lecz naprawdę złamana wewnętrznie. W oczach obydwu widział miłość, jaką go darzyły. I sam miał serce wypełnione miłością do nich obu.

Co miał zrobić? Co mógł zrobić? Wiedział jedno - tak dalej być nie może. Był nieuczciwy wobec nich obydwu i nie umiał już sobie z tym poradzić. Czy przyjechał to, żeby powiedzieć Ellamarie, że między nimi wszystko skończone? Czy dlatego, że nie mógł znieść rozłąki z nią? Miał w głowie zamęt i nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Cokolwiek zrobi, jedna z nich zostanie skrzywdzona. On także będzie cierpiał. Nie chodziło jednak o niego, ważne były tylko one. Której z nich przypadnie ten zły los? Od której z nich powinien odejść na zawsze?

Pomyślał o Ellamarie. Pewnie tańczyła teraz z kimś śmiejąc się i flirtując, zupełnie nieświadoma, że on tu siedzi i zastanawia się nad odebraniem jej szczęścia. Po cóż było w ogóle o tym myśleć? Nie miał zamiaru tego zrobić, więc równie dobrze mógł sobie darować te

bolesne rozważania. Po prostu wejdź tam, odszukaj ją i powiedz, że ją kochasz, mówił sobie. Ale co wówczas powie Lindzie?

Lindo, zakochałem się w kimś innym. Nasze małżeństwo jest skończone, odchodzę.

Zadrzał, wiedząc, że i tego nigdy nie będzie w stanie powiedzieć.

Lindo, kocham cię, wybacz mi wszystkie krzywdy, jakie ci wyrządziłem, to już minęło, jestem z tobą i już nigdy nie wyrządzę ci przykrości.

Nie będzie zawała żadnych pytań, weźmie go w ramiona i powie, że wszystko jest w porządku, żeby tylko był z nią.

Dobry Boże, co powinien wybrać?

Zapalił silnik i zawrócił. Może i jest słaby, ale nie potrafił podjąć decyzji... nie w tej chwili. Zapewne nigdy nie będzie umiał jej podjąć. Pozwoli, by los zadecydował za nich wszystkich. Tak, zrzuci z siebie ten nieznośny ciężar i zda się na przeznaczenie.

Rozdział 17

Conrad wszedł z powrotem do pokoju. Po tym, jak Candida padła nieprzytomna w jego ramiona, zaniósł ją na górę i położył do łóżka. Przez chwilę bawił się myślą, czy z nią nie zostać, ale miał tu na dole pewną nie dokończoną sprawę do załatwienia. Rozejrzał się za Robertem Blackwellem i zauważył, że rozmawia z Ashley. Uśmiechnął się, widząc, że oczy Ashley błyszczą, jakby miała gorączkę. Robert był szybkim zawodnikiem. Jakby na potwierdzenie tego, Blackwell odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia prowadzącego na trawnik z basenem. Ashley odstawiła kieliszek na tacę przechodzącego właśnie obok kelnera i podniosła swoją torebkę.

Conrad przyśpieszył kroku i zrównał się z nią w chwili, gdy miała zniknąć w drzwiach. Czując rękę zaciskającą się na jej nadgarstku, Ashley odwróciła się gwałtownie.

- Zatańczymy? - stanowczym tonem spytał Conrad.
- Proszę mnie puścić! - Spojrzała najpierw na jego rękę, a dopiero potem na twarz.
- Powiedziałem, że zatańczymy. - Nie zwalniając uścisku, niemal wciągnął ją do sali balowej.
- Jak pan śmie! - syknęła, próbując wyszarpnąć rękę, ale nadal trzymał tak mocno, że nie udało jej się wyswobodzić. Nadepnęła mu z całej siły na nogę. Grymas bólu na jego twarzy sprawił jej przyjemność.
- Proszę tego więcej nie robić - ostrzegł.
- O co panu chodzi? - Wpatrywała się w niego ze złością. Uniósł brew i uśmiechał się tym swoim krzywym uśmiechem, którego tak nienawidziła.
- Robert Blackwell zaprosił panią, żeby popływać, prawda? Ashley posłała mu nieprzyjazne spojrzenie. Nie odpowiedziała na jego pytanie.
- Tak właśnie myślałem - stwierdził.
- Dalej nie rozumiem, o co panu chodzi. - Próbowała jeszcze raz go nadepnąć, ale nie trafiła.
- Wie pani, co się dzieje tam w basenie?
- Przypuszczam, że ludzie pływają.
- Otóż robią różne rzeczy, ale akurat pływanie do nich nie należy.
- Co to ma niby znaczyć?
- Jestem pewien, że nawet pani nie jest aż tak naiwna.
- Niech pan nie będzie taki cholernie nadęty - warknęła, - Cokolwiek by się tam działo, nie rozumiem, co to pana obchodzi. Proszę mnie puścić.
- Nic mnie nie obchodzi, ponieważ nie zamierzam się przyłączać. Ale skoro pani ma taki zamiar, czuję się zobowiązany panią powstrzymać, z uwagi na Juliana. Ani on, ani ja nie bylibyśmy zachwyceni tym, że jego kochanka bierze udział w orgii.
- Co takiego?
- Za niecałe dwa tygodnie Julian ma się ożenić z moją kuzynką i nie chciałbym, żeby nabawiła się czegoś...
hmm, nieprzyjemnego podczas miodowego miesiąca.

Ashley wymierzyła mu policzek, który zmusił go do puszczenia jej ręki i cofnięcia się o krok.

- Do pana wiadomości - powiedziała, drżąc z oburzenia. - Nie jestem już kochanką Juliana, jak pan to określa, więc proszę się łaskawie do mnie nie zbliżać. Nigdy! - Wypadła z pokoju. Twarz jej pobladła z wściekłości, a dłoń piekła po uderzeniu. W drugim końcu pokoju Kate i Joel roześmiali się serdecznie.

- Należało mu się - powiedziała Kate z satysfakcją. - Żałuję, że nie słyszałam, co on jej takiego powiedział.

- Albo raczej, co ona powiedziała jemu. Z niej jest niezły numer - zauważył Joel.

- Prawda? - podchwyciła Kate, nieświadoma spojrzenia, jakim Joel śledził wychodzącą Ashley.

- Więc jak? - Odwrócił się znowu do Kate. - Co ty na to? Zarumieniła się, przypomniawszy sobie, o Czym wcześniej rozmawiali.

- Dobrze.

- Mój pokój jest na pierwszym piętrze.

- Właściwie najpierw chciałabym ci coś powiedzieć.

- Może z tym jeszcze trochę poczekaś? Marzę o tym, żeby być z tobą sam przez całą noc.

- Och, Joel, prawie ze mną nie rozmawiałeś przez cały wieczór.

- Przyznaję, że miałem pewną sprawę do załatwienia, ale poza tym nie odstępowałem cię ani na chwilę.

Pocałuj mnie - poprosił.

Zarzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła usta. Mocno, niemal brutalnie wpił się w jej wargi. Czowała jego narastające pożądanie. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie i zaczął się poruszać, równocześnie ciągnąć ją za włosy i miażdżąc usta pocałunkiem.

Kiedy ją puścił, nie mogła złapać tchu. Nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał się po pokoju. Dostrzegł Ashley wymykającą się przez drzwi prowadzące na basen i w jego oczach pojawił się nowy błysk. Do licha, ależ ona jest piękna.

- Idź na górę - polecił Kate. - Lokaj zaniósł twoje rzeczy do mojego pokoju, pokaże ci drogę.

- A ty jeszcze nie idziesz? - zdziwiła się.
- Będę sobie wyobrazać, jak się dla mnie przygotowujesz, - Zastonił ją sobą i wsunął jej dłoń między nogi. - Masz na sobie bieliznę - szepnął. - Dopilnuj, żeby jej tam nie było, kiedy przyjdę. - Pocałował ją jeszcze raz. - Ani skraweczka, dobrze?

Przytaknęła i poszła szukać lokaja.

- Wygląda na to, że Kate lada chwila odda się rozpuście - zachichotała Jenneen.
- Taka to ma szczęście - skomentowała Ellamarie.
- Ona i Ashley.
- Ashley?
- Widziałam, jak szła w stronę basenu. Wiesz, co się tam dzieje? Ellamarie potrząsnęła głową.
- Nie, ale mogę się domyślić. Kto z nią wyszedł?
- Sam pan Blackwell. Nie patrz teraz - ciągnęła— ale znowu jesteś obserwowana.
- O nie - jęknęła Ellamarie. - Chyba nie przez tego typa?
- Obawiam się, że tak. Stoi koło drzwi. Nie może od ciebie oczu oderwać.
- Cokolwiek by się działo, nie zostawiaj mnie samej. Gapi się na mnie przez cały wieczór jak jakiś maniak.
- Hmm, lepiej się przygotuj, bo on tu idzie - ostrzegła Jenneen.
- Co mam zrobić?
- Wyjść do damskiej toalety.
- Gdzie to jest?
- Nie mam pojęcia, spróbujmy tędy.

Zanim adonis zdążył do nich dołączyć, oddaliły się w przeciwnym kierunku.

Nad basenem unosiły się kłęby gęstej, wirującej pary. Ashley słyszała śmiechy i piski dobiegające z drugiego brzegu. Od czasu do czasu ukazywało się z wody czyjeś nagie ciało i Ashley pomyślała, że przypomina to igraszki bogów w chmurach. Zadrzała, bo noc była

zimna, a bikini, które znalazła w małej przebieralni w rogu ogrodu, zakrywało bardzo niewiele. Stała nad oświetlona częścią basenu i patrzyła na kłębiące się u jej stóp obłoki pary. Po chwili bez zastanowienia wskoczyła do wody i przepłynęła na drugą stronę basenu. Potem wynurzyła się, zachwycona dotykem chłodnego powietrza na skórze, który pobudzał jak pieśczoła. Nurkując znowu w ciepłej wodzie, poczuła radosne rwdnienie. Miała dziś zamiar zrobić wszystko, czego zażąda od niej Robert Blackwell, i już sama ta myśl wzbudzała w niej przyjemne oczekiwanie. Popłynęła z powrotem do miejsca, w którym wskoczyła do basenu. Ktoś pojawił się obok niej i sięgnął do jej piersi. Ashley odrzuciła głowę do tyłu i rozchyliła wargi. Jęknęła, gdy mężczyzna zanurzył język w jej ustach. Potem nagle odpłynął; Ashley patrzyła za nim, ale nie mogła nic dostrzec poprzez srebrzyste opary. Zgasły światła. Woda obmywała jej ciało miękkimi, pieśczącymi skórę falami. Trzymając się brzegu, wyprostowała nogi, poruszając nimi lekko, by utrzymać się na powierzchni. Nagle pojawił się tuż obok niej. Wyczuła, że to on, jego ciało przyciągnęło ją jak magnes. Przywarł do jej pleców, mizerne skrawki kostiumu kąpielowego nie przeszkadzały jej czuć każdej wypukłości jego nagiego ciała. Odchylił jej głowę do tyłu, oparł na swoim ramieniu i wsunął jej język w usta, głęboko i zachłannie. Przebierał palcami przy klamercie kostiumu, ale nie mogąc sobie poradzić z rozpięciem, zerwał z niej stanik i odrzucił za siebie. Wyciągnęła ręce do tyłu, wynurzając się z wody do pasa. Dotknął pobudzonych sutków, obrzmiałych aż do bólu. Sięgnęła niżej i objęła dłonią twardy członek; przebiegł ją dreszcz, kiedy usłyszała jego spazmatyczne westchnienie. Podniósł ją jedną ręką, a drugą ściągnął z niej przez nogi dół kostiumu. Wsunął jej rękę między uda i pchnął ją lekko do przodu. Chwyciła się brzegu basenu, czekając, by przyjąć go w siebie. Łagodnym ruchem rozsunął jej nogi i wszedł w nią jednym pchnięciem, przyciskając ją do siebie i kładąc ręce na jej piersiach, by pieścić je najpierw delikatnie, później z narastającą gwałtownością. Poruszał się jednostajnie uderzając biodrami o jej pośladki;

chwyciła jego uda, przyciskając go do siebie jeszcze mocniej i zanurzając się pod wodę. Odpłynęła od niego, ale natychmiast przyciągnął ją i wbił się w nią tak mocno, że aż krzyknęła. Błądził rękami po całym jej ciele. Odchyliła głowę do tyłu, zbliżając do jego twarzy. Pocałował ją znowu, tym razem również wciskając jej język głęboko w usta i nie przestając cały czas się w niej poruszać.

W końcu ze zduszonym jękiem przyparł ją do brzegu basenu, i zagłębił się w niej, wstrząsając biodrami, dopóki nie wypłynęła z niego ostatnia kropla nasienia.

Kiedy się z niej wysunął, odwróciła się, by wziąć go w ramiona, ale on już odpływał. Uśmiechnęła się pod nosem i przesunęła rękami po piersiach. Właśnie tak miało być. Żadnych komplikacji, żadnych deklaracji, jedynie dwa ciała razem osiągające szczyt rozkoszy.

Wyszła z basenu. Czowała przyjemne zmęczenie, kolana jej drżały. Po raz pierwszy w życiu zrobiła coś takiego i wcale tego nie żałowała.

Kiedy zbliżyła się do przebieralni, drzwi uchyliły się i smuga światła padła na ogród. Zatrzymała się nagle, widząc Joela opartego o ścianę, gołego i ociekającego wodą. Uśmiechnął się widząc, że go zauważyła w ciemności. Wtem pojawiła się przy nim kobieta i zarzuciła mu ręce na szyję. Zanim drzwi się znowu zamknęły, Ashley dostrzegła, że całując się z tamtą kobietą, Joel nie spuszcza z niej oczu.

Weszła do przebieralni, wysuszyła się i nałożyła makijaż.

Kiedy dołączyła do bawiących się gości, Jenneen zauważyła ją i pomachała do niej ręką. Ashley ruszyła przez pokój w stronę przyjaciółki.

Obok niej przechodził kelner z tacą, więc sięgnęła po kieliszek szampana. I wtedy go zobaczyła. Oczy zrobiły jej się okrągłe z przerażenia. Robert Blackwell stał przy fontannie, nieuważnie pieszcząc prawie naga pierś swojej dziewczyny. Ashley stała w miejscu jak przymurowana, usiłując zdławić w sobie podejrzenie, jakie zrodziło się w niej na widok tej sceny. Lecz kiedy napotkała jego wzrok, wyrażający zarazem żal i przeprosiny, to, co wydawało się nie do pomyślenia, stało się oczywiste. Kimkolwiek był ten mężczyzna w basenie, z pewnością nie był to Robert Blackwell.

Ogarnięte paniką Ashley rozejrzała się wokół siebie. Jeśli nie on, to kto? Kto to był? Joel? Zamknęła oczy. To musiał być Joel. Kochała się z chłopakiem swojej najbliższej przyjaciółki.- Przy drzwiach prowadzących do basenu, opierając się o nie plecami, stał Conrad. Przyglądał jej się z tym swoim obraźliwym uśmiechem. Ze sposobu, w jaki na nią patrzył, domyśliła się, że wie, co się wydarzyło. Widząc panikę w jej oczach, uśmiechnął się szerzej i podniósł kieliszek w geście toastu. Nienawidziła go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Odwróciła się i nie widząc nic przed sobą, jak ślepa, odeszła w przeciwległy kąt pokoju. Kate nigdy nie może dowiedzieć się o tym, co się stało. Conrad Frezier wiedział. Ale on przecież nie powie Kate. Przystanąła, oglądając się przez ramię w stronę Conrada. Nadal ją obserwował. Nie, nie będzie go prosić. Nigdy! Prędzej umrze, niż da mu tę satysfakcję.

Kate leżała w wytwornej jedwabnej pościeli i wpatrywała się w sufit. Powinna być szczęśliwa, z pewnością powinna. Ich ostatni stosunek był chyba najbardziej udany ze wszystkich dotychczasowych; myślała, że Joel eksploduje, kiedy osiągnął wreszcie orgazm. Kochali się długo, wstrzymywał się, przeciągając każdą chwilę. Dawali sobie nawzajem niewypowiedzianą rozkosz, choć czuła, że on się o jej przyjemność specjalnie nie stara i że było to dla niego zupełnie nieistotne. Uśmiechnęła się gorzko.

Czekała na niego prawie godzinę; siedziała naga na łóżku i wiedziała, że jest godna politowania, kiedy spoglądała na przyniesioną przez siebie laskę. Czuła się śmieszna i bała się, że ktoś przez pomyłkę może wejść do pokoju.

Wreszcie przyszedł, z mokrymi włosami i uśmiechem na twarzy... tym dziwnym uśmiechem, który nie bardzo u niego lubiła. Chciała wiedzieć, co go tak długo zatrzymało. Nadal się uśmiechając spytał, czy jest na niego zła. Wyczuwała, że pragnie, by tak było.

Rozebrał się i wziął od niej laskę. Wyrwała mu ją z ręki - nie chciała, by ją bił. Ze zdziwieniem dostrzegła na jego twarzy rosnące podniecenie. Zażądał, żeby ona go biła. Spełniła jego prośbę, dając

upust złości i upokorzeniu. Biła go tak mocno, że na udach i pośladkach zostawały czerwone ślady Ale jego to tylko coraz bardziej podniecało.

Uśmiechnęła się pod nosem. O tak, doznawała przyjemności raniąc go, tak jak on ranił ją. A potem, kiedy już skończyli się kochać, położył się obok niej i teraz chrapał cicho przy jej boku,

Zaczęła mu się przyglądać. Ciemne włosy odcinały się od śnieżnej bieli poduszki. Miał zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Podczas snu wyglądał niemal bezbronne i zrobiło jej się smutno, że kiedy nie spał, jego twarz tak często miała wyraz arogancji, a usta wyrażały wręcz okrucieństwo. Z całego serca pragnęła, żeby to się zmieniło. Nie chciała po miłosnym akcie leżeć tak jak teraz, samotna i niepotrzebna. Gdyby wiedział, jak bardzo go kocha, z pewnością by jej tak nie traktował, tyle że mówiła mu to dziesiątki razy, a nic się nie zmieniało. Wyglądało na to, że drażnienie jej i upokarzanie sprawia mu przyjemność. Czyż to możliwe, że tylko tego od niej chciał? Bić ją i żeby ona go biła, by mógł osiągnąć silniejszy niż zwykle orgazm? Czy on nie rozumie, że cha niej liczy się jeszcze coś? Że jest kobietą, która ma serce?

Wstała z łóżka i usiadła przed lustrem. Miała zmierzwione włosy, a klejnoty, które wcześniej stanowiły efektowną ozdobę, teraz, zaplątane we włosy, zwisały jej na szyi. Wyjęła z torby szczotkę i wzięła się za naprawianie zniszczeń. - Co robisz?

Odwróciła się do niego. Obserwował ją, podparty na łokciu.

- Wszystko w porządku? - spytał łagodnym tonem. Potwierdziła z uśmiechem.

- Kocham cię - szepnął.

Serce jej zabiło mocniej. Mówił to po raz pierwszy od długiego czasu.

- Naprawdę? - spytała podchodząc do łóżka.

- Oczywiście. - Poglaskał ją po twarzy. - Jesteś piękna. Wiesz, nie przeżywałem jeszcze nigdy z nikim tego, co z tobą.

- Ja też - wyznała i nachyliła się, by go pocałować.

Usiadł i odsunął kołdrę, robiąc jej miejsce koło siebie. Oparła mu głowę na ramieniu i przyłgnęła do niego mocniej, kiedy ją objął. Przesunął ręką od jej szyi przez piersi. Nie był to gest pożądania, lecz

raczej czułości. Potem przeniósł dłoń w dół do jej brzucha i zaczął leciutko gładzić skórę wokół pępka.

Spojrzała mu w oczy, a on uśmiechnął się ciepło i pocałował ją w koniuszek nosa. Westchnęła. Zachowywał się tak, jakby wiedział... Wzięła go za rękę i ich palce splotły się razem.

- Muszę ci coś powiedzieć. - Tak?

- Coś... coś ważnego.

Przytulił ją i czekał na dalsze słowa.

Wzięła głęboki oddech, ale nagle zabrakło jej odwagi. Teraz, gdy wreszcie nadszedł ten moment, była jeszcze bardziej zdenerwowana, niż przeczuwała. Słowa uwieźły jej w gardle.

Przycisnął ją do siebie i cmoknął w policzek.

Podniosła jego dłoń do twarzy, z przyjemnością czując dotknięcie szorstkiej skóry.

- Będę miała dziecko - powiedziała wreszcie łamiącym się szeptem. Czowała, jak zastygł w pełnym napięcia bezruchu.

- Wiem, że to dla ciebie zaskoczenie - mówiła, bojąc się na niego Spojrzeć - ale miałam nadzieję, że kiedy się już oswoisz z tą myślą, to... sama nie wiem... to będziesz zadowolony.

Odepchnął ją i wyskoczył z łóżka. Stał przy oknie, plecami do niej, i milcząc wpatrywał się w ciemność.

Odczekała chwilę. - Joel...

Wyprostował się sztywno.

- Nic mi nie powiesz? - Usiadła na krawędzi łóżka. Odwrócił się, a ona aż się cofnęła, widząc wyraz jego oczu.

- A niby co miałbym ci powiedzieć? - Jego głos był zimny i wrogi. Opuściła głowę i wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie wiem. Chyba miałam nadzieję, że będziesz zadowolony... kiedy już...

- Zadowolony? Zadowolony! Spodziewałaś się, że będę zadowolony z tego, że jesteś w ciąży? Czyś ty zwariowała?

Sięgnęła po szlafrok. Ręce jej się trzęsły i bała się, że zemdleje.

- Jak to się stało? - warknął. Spojrzała na niego, nie rozumiejąc pytania.
- Zakładałem, że bierzesz pigułkę czy coś w tym rodzaju. Potrząsnęła głową.
- Niech to cholera! - zaklął. - Czy ty jesteś szalona? Musiałaś wiedzieć, że to się może stać.
- Zawsze brałam pigułkę - usprawiedliwiała się. - Musiałam tym razem po prostu zapomnieć. -
- Po prostu zapomnieć - przedrzeźniał ją. - Po prostu zapomnieć. Chciałaś powiedzieć: umyślnie zapomnieć...
 - To nieprawda. To się stało przypadkiem. Nie zrobiłam tego umyślnie. Naprawdę.
- Kłamiesz! - wrzasnął. Uderzył się otwartą dłonią w czoło. - Cholera, powinienem wiedzieć, że z tobą może mi się przytrafić coś takiego. Powinienem wiedzieć, że nie można ci ufać. Niech to szlag trafi! Co za pech! Wyglądał trochę śmiesznie, kiedy tak stał nago i krzyczał. Podniósł ręce i wczepił palce we włosy.
- Musisz się tego pozbyć.
- Nie! -jęknęła z przestraszeniem.
- Nie mów mi tylko, że jesteś aż tak głupia, że chcesz urodzić tego bękarta?
- Oczywiście, że chcę mieć to dziecko. Dlaczego nie miałabym go mieć?
- Ponieważ ja nie mam zamiaru mieć dziecka, dlatego!
- Słuchaj - zaczęła spokojniej. - Wiem, że jesteś teraz zły, rozumiem to... to w końcu szok. Ale kiedy się z tym oswoisz, to zobaczysz...
- Oswoić się z tą myślą? Nie mam najmniejszego zamiaru z niczym się oswajać. Wybij to sobie z głowy raz na zawsze.
- Ale...
- ...A jeśli sobie wyobrażasz, że się z tobą ożenię, to też o tym zapomnij. Jezu Chryste, nie mogę w to uwierzyć.
- Ale... myślałam, że mnie kochasz.

Rozpłakała się.

- I przestań płakać, bo to niczego nie rozwiązuje.

Przetarła oczy wierzchem dłoni. Joel zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem po pokoju.

- Co się z wami, kobietami, dzieje? Co to jest?

- Posłuchaj, wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Nie musimy się pobierać, jeśli nie chcesz. Moglibyśmy...

- Masz pieprzoną rację, że nie chcę.

- Moglibyśmy zamieszkać razem. Mogłabym sprzedać swoje mieszkanie i wprowadzić się do ciebie. Nie musimy być małżeństwem. Ale to jest też twoje dziecko, Joel, to przecież musi coś dla ciebie znaczyć?

- Nie! - wrzasnął. - Nie! Słyszysz? Nie!

Odwróciła się, kuląc ramiona. Odezwała się dopiero po chwili.

- Wybacz, wszystko źle zrozumiałam. Myślałam, że naprawdę mnie kochasz, skoro tak mówiłeś, i że mógłbyś być szczęśliwy, gdybyśmy mieli dziecko. Teraz widzę, jakie to było głupie. Przepraszam.

- Daruj sobie tę teatralną mowę.

- Nie wiem, co innego mogłabym powiedzieć.

- Jesteś taka sama jak reszta kobiet. Widzisz tylko to, co chcesz widzieć, i udajesz, że reszta nie istnieje. Nie ma potrzeby dalej udawać, Kate. Nie ożenię się z tobą, nie chcę dziecka i prawdę mówiąc, ciebie też nie chcę. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym całym cyrkiem i dobrze wiesz dlaczego.

Błada jak ściana Kate pokręciła głową.

- Dlatego, że już z kimś mieszkam. I nie mów mi, że o tym nie wiedziałaś, bo w to nie uwierzę.

Przytrzymała się łóżka, żeby nie upaść. Joel mówił dalej, a ona rozpaczliwie usiłowała tego nie słuchać.

- ...Jenneen wiedziała, więc musiała ci powiedzieć. Cała ta heca z ciążą była po to, żebym zmienił zdanie, tak? Cóż, zapewniam cię tu i teraz: nic mi nie każe zmienić zdania i nie dam się złapać na takie numery. Można by pomyśleć, że żyjemy w epoce wiktoriańskiej. W dzisiejszych czasach nie można już łapać facetów na brzuch, nie

wiedziałaś o tym? - Odwrócił się do okna. - Dam ci pieniądze, jeśli chcesz, a ty się tego pozbadź. -Ale jeśli zdecydujesz się urodzić, to twoja sprawa, a ja się wyprę i nigdy mnie więcej nie zobaczysz. Wybór należy do ciebie.

Kręciło jej się w głowie. A więc jednak był ktoś inny. Powinna była się domyślić, oczywiście, choćby z tego, że nie widywał się z nią przez całe tygodnie. Powiedział, że Jenneen wiedziała. Więc dlaczego jej nie powiedziała? To był jakiś koszmar. Robiła z siebie idiotkę, a Jenneen spokojnie na to patrzyła. Ale nikt nie odbierze jej dziecka, nikt.

Joel wkładał ubranie; miał twarz nadal pociemniałą od furii.

- Dokąd idziesz? - spytała.

- Nie wiem. Dokądkolwiek. Byle dalej od ciebie. Duszę się przy tobie.

Łzy spływały jej po twarzy. Nie zrobiła nic, by je powstrzymać. Wreszcie Joel włożył marynarkę i stanął przed nią

- Jesteś głupim, bardzo głupim dzieckiem, Kate. - Jego głos brzmiał już spokojniej. - Jeśli skorzystasz z mojej rady, pozbędziesz się tego. Jeśli chcesz pieniędzy, to ci je dam. W dzisiejszych czasach nietrudno załatwić skrobankę. Między nami skończone. Nie chcę cię więcej widzieć.

- Joel! - zawołała, chwytając go za rękę. - Proszę cię, nie odchodź w taki sposób. Proszę cię, zostań.

Porozmawiajmy, możemy to jakoś rozwiązać. Wyrwał rękę.

- Nie ma o czym rozmawiać. Jestem zakochany w kimś innym, Kate. Między nami był tylko przełomy romans. Wiedziałaś o tym, a ja nigdy nie udawałem, że łączy nas coś innego.

- Przecież mówiłeś, że mnie kochasz.

- Słowa, Kate, to tylko słowa. Nie wiesz, że ludzie nie zawsze myślą to, co mówią? Ty bierzesz wszystko tak cholernie dosłownie. Wiedziałaś, że jest ktoś inny, musiałaś wiedzieć.

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

- No to spytaj Jenneen, ona ci powie. I mam nadzieję, że zdoła ci przemówić do rozsądku, żebyś usunęła ciężę. Wychodzę.

Patrzyła, jak Joel idzie do drzwi. Miała ochotę umrzeć. Wiedziała, że potrafi być gwałtowny, nawet okrutny, ale czegoś takiego się nie spodziewała. Żeby sprawić jej taki ból, rzucać takie brutalne słowa... Nazwał ją dzieckiem i w tym może miał rację, była naiwna jak dziecko. Bo wierzyła mu, godziła się spełniać jego poniżające wymagania, znosiła jego obojętność i przy tym wszystkim nadal go kochała. Tak, była nie tylko dziecinna, lecz także głupia, wyzbywając się godności i dumy.

Kate wciąż siedziała wczepiona palcami w krawędź łóżka, kiedy drzwi się otworzyły i Ashley wsadziła głowę do środka.

- Mogę wejść?

Nie odpowiedziała, więc Ashley cicho zamknęła za sobą drzwi i usiadła obok przyjaciółki na łóżku.

- Co ci jest? Co się stało?

Kate nadal nie odpowiadała, jedynie dwie duże łzy wypłynęły jej z oczu i toczyły się wolno po policzkach.

- Spotkałam Joela - wyjaśniła Ashley. - Kazał mi przyjść tu na górę. O co chodzi? Powiedz mi, co się stało?

- Nic. - Kate potrząsnęła głową, - Nic się nie stało.

- Musiało się coś stać, bo inaczej byś nie płakała.

- Ja płacę? - zdziwiła się Kate i zabrzmiało to zupełnie szczerze. Ashley wzięła przyjaciółkę za rękę.

- Pokłóciliście się? Kate zaśmiała się gorzko.

- Nie, nie pokłóciliśmy się.

- Więc co?

- Po wszystkim- stwierdziła krótko.-Nie chce mnie więcej widzieć. - Dlaczego?

Kate opuściła głowę i spojrzała na swoje ręce.

- Bo będę miała dziecko.

- Co takiego? - Ashley omal się nie zachłysnęła. - Czemu wcześniej nic nie mówiłaś?

-Chciałam, żeby on się dowiedział pierwszy. Możesz w to uwierzyć? Chciałam, żeby dowiedział się pierwszy.

- I co on na to?

- Powiedział, że jestem naiwna, że zaplanowałam to, żeby go złapać, i że muszę się poddać skrobance.

- O mój Boże. Od kiedy wiesz?

- Niedługo. Parę tygodni:

- Co masz zamiar zrobić?

- Nie wiem. Ale nie chcę usuwać, Ash - powiedziała żałośnie, patrząc przyjaciółce w oczy. - Chcę je mieć.

Nie mogę usunąć. Ty to rozumiesz, prawda? Jesteś przecież matką.

- Nikt nie mówi, że musisz usuwać - pocieszała Ashley, bo Kate znowu wybuchnęła płaczem.

- Owszem, Joel. Jeśli urodzę, on się wyprze ojcostwa. Och, Asto, jak on może tak mówić? Jak może być taki bezwzględny? Przecież to także jego dziecko, więc czemu mu na nim nie zależy?

- Na pewno mu zależy- zapewniła ją Ashley. - To był po prostu dla niego szok. Ofi wróci, zobaczysz. Kate nie dawała się przekonać.

Drzwi znowu się otwały i weszły Ellamarie z Jenneen, która niosła butelkę brandy i cztery kieliszki.

- Pomyślałam, że mogłybyśmy to wykorzystać - odezwała się, wesoło.

Kate spojrzała na Jenneen i Ashley zauważyła, jak zmienia się jej wyraz twarzy.

- Jak mogłaś? - zaczęła ochryplym głosem Kate. - Jak mogłaś, Jenneen?

Jenneen patrzyła na przyjaciółkę, nic nie rozumiejąc.

- To tylko brandy - bąknęła zmieszana.

- Nie chodzi mi o brandy. Wiesz, co mam na myśl. Wiedzialas, prawda? Wiedziałaś przez cały czas i nic mi nie powiedziałaś. Pozwoliłaś, żebym się dalej poniżała, płakała przez niego, wyczekiwała, podczas gdy wy wiedziałyście dobrze, że on nie przyjdzie. Nic dziwnego, że tak mnie wszystkie namawiałyście na spotkania

z Nicholasem Goughiem. Wiedziałyście, prawda? Wszystkie wiedziałyście! I żadna z was nie powiedziała ani słowa.

- Czego nie powiedziała? - spytała zaskoczona Ellamarie. - Co wiedziałyśmy?

- O Joelu - rzuciła z wściekłością Kate.

- Co o Joelu? - nadal nie rozumiała Jenneen.

- Ciekawe, że ty to mówisz, ty, która wiedziałaś od początku. Wiedziałaś, że jest ktoś inny w jego życiu, prawda? Powiedział mi, że wiedziałaś. Nigdy nie zrozumiem, jak mogłyście mnie tak okłamywać! Nigdy nie będę w stanie wam tego wybaczyć. - Nie wiem, o czym mówisz - broniła się Jenneen.

- Nie udawaj! - Kate wykrzyczała jej to prosto w twarz. - To ty mnie z nim poznałaś. To ty mnie namówiłaś na spotkanie z nim, choć wiedziałaś, że on ma kogoś innego. Boże, i ty się nazywasz moją przyjaciółką! Już nigdy ci nie zaufam.

- Kate - przerwała Jenneen. - Nie wiedziałam. Przysięgam, że nic nie wiedziałam.

- Za, późno, Jenneen, już się stało. Przypuszczam, że dla ciebie to było zabawne, bo ty nigdy się nie przejmujesz innymi, prawda? Obnaszasz się z tym swoim robotniczym pochodzeniem, wywyższasz się ponad całą resztę ludzkiego rodu. Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę! Nie wiem, co sobie planujesz w tym swoim polcrętnym umyśle, ale cokolwiek to jest, jest złe. Nie chcę cię więcej widzieć. Wynoście się stąd! Wszystkie! Po prostu wynoście się i zostawcie mnie samą.

- Poczekaj chwilę... - zaprotestowała Jenneen.

- Nie! Nie poczekam ani chwili. Wynoś się, Jenneen! Ashley zbliżyła się do przyjaciółki. Kate...

- Nie dotykaj mnie! - wzdrygnęła się Kate, odsuwając się od Ashley. - Idźcie stąd! Dzwonię po taksówkę i wracam do Londynu.

Odwiozę cię - zaproponowała Ellamarie.

- Nie!

- Słuchaj - próbowała łagodzić Ashley. - Jesteś zdenerwowana i wściekła, ale my chcemy ci pomóc, Kate, martwimy się o ciebie.

- Nie rozśmieszaj mnie! - Kate niemal wypluła te słowa. - Skoro takie jesteście chętne do pomocy, to dlaczego nic nie powiedziałyście, zanim zaszłam w ciążę?

Jenneen zaniemówiła z wrażenia.

- Tak - potwierdziła Kate, zwracając się do niej. - Jestem w ciąży! Jak się teraz czujesz? Gdybyś była wobec mnie od początku uczciwa, to by się z pewnością nie stało. Jesteś tak samo winna jak wszyscy, Jenneen Grey, i nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy, słyszysz? Chwyliła Jenneen za ramiona i wypchnęła ją z pokoju. - Wy też się wynoście - rozkazała Ellamarie i Ashley.

- Kate, proszę cię, posłuchaj - nie ustępowała Ellamarie.

- Wynoście się! Wynocha! Nie słyszycie?! - Kate krzyczała histerycznie.

Widząc, że na razie nic więcej nie mogą zrobić, Ellamarie i Ashley wyszły za Jenneen na korytarz. Jenneen była blada i miała łzy w oczach.

- Nie martw się - pocieszała Ellamarie, obejmując ją - przejdzie jej, zobaczysz.

- Ale ona jest w ciąży - przypomniała Jenneen.

- Wiedziałaś, Jenn? Mam na myśli Joela? - spytała Ellamarie. Jenneen zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ona teraz za bardzo cierpi, żeby słuchać rozsądnych argumentów - stwierdziła Ashley. - Co zrobimy?

Spojrzały po sobie. Ellamarie pierwsza się otrząsnęła i przejęła inicjatywę.

- Wracajcie taksówką do Londynu. Ja poczekam tu, aż ona wyjdzie, - Ponagliła je do wyjścia.

Jenneen wytarła łzy z oczu. To wszystko było takie okropne. Jej własne życie było nieudane, a teraz jeszcze zniszczyła życie Kate. Kochała swoje przyjaciółki, potrzebowała ich, ale nigdy nie zdobędzie się na to, by przyznać, że rzeczywiście wiedziała o Joelu. Wiedziała o tej drugiej kobiecie, lecz nic nie mówiła, bo nie przypuszczała, że to może być coś poważnego. A kiedy się zorientowała, jak bardzo Kate jest zaangażowana w związek z Joelem, miała nadzieję, że i on

się w niej zakocha i wszystko się jakoś ułoży. Jak powiedzieć najbliższej przyjaciółce, że mężczyzna, którego kocha, żyje z inną kobietą? Nie mówiła więc Kate o niczym, żywiąc nadzieję, że problem sam się rozwiąże. Nawet jej się nie śniło, że Kate może zająć w ciążę. Taka myśl nigdy nie przyszła jej do głowy. I właśnie dlatego okazała się złą przyjaciółką. Znała Kate bardzo dobrze, wiedziała, jak pragnie mieć dzieci. Gdyby o tym pomyślała, mogłaby nie dopuścić do tego, co się stało. Kochana Kate, tak bardzo chciała dziecka, a teraz ma je urodzić w takiej sytuacji.

- Chodźmy. - Ashley wzięła ją pod rękę. - Poszukajmy naszych rzeczy. Możesz zostać dziś u mnie na noc. Dasz sobie radę? -zwróciła się do Ellamarie.

Ellamarie przytaknęła.

- Zadzwoń do ciebie jutro.

Jenneen i Ashley czekały w holu na przyjazd taksówki. Siedziały w milczeniu. Jenneen bała się, że Kate zaraz zejdzie po schodach z Ellamarie i zastanie je tutaj. Ashley trzymała ją za rękę i od czasu do czasu ścisnęła jej dłoń lekkim, pokrzepiającym uściskiem. Służba taktownie nie zwracała na nie uwagi.

- A, tu jesteś!

Jenneen podniosła wzrok i Ashley przestraszyła się wyrazu, jaki nagle przybrała twarz przyjaciółki. Trwało to tak krótko, że Ashley zastanawiała się później, czy przypadkiem nie miała przywidzenia.

- Wszędzie cię szukałem - mówił z wyrzutem Paul. - Gdzie się pedziewałaś?

Jenneen nie odpowiedziała. Ashley widziała, jak zaciska zęby. Chyba jeszcze nie wyjeżdżasz? - spytał Paul, patrząc na złożony u ich stóp bagaż. Jenneen skinęła głową.

- Ależ zabawa ma trwać cały weekend - zaprotestował. - Myślałem, że może moglibyśmy...

- Nie - przerwała mu ostro Jenneen. - Cóż wypadło i muszę wracać do Londynu.

Wiedziała, że Paul zaraz zaproponuje, by powtórzyli wcześniejszą zabawę, kiedy to wywabiła go i dwóch innych członków drużyny krykieta z sali balowej do małego pokoiku pod schodami, na tyłach domu.

Rozebrała się pośród sprzętu łowieckiego i usiadła na Paulu okrakiem w obecności patrzących kolegów. Był zdumiony jej temperamentem i doświadczeniem w zaspokajaniu trzech mężczyzn naraz, lecz jeszcze bardziej zaskoczyła go chłodnym rozstaniem po fakcie.

Na szczęście w tym momencie nadjechała taksówka.

- No cóż - odezwał się Paul, kiedy wstała, szykując się do odejścia. - Może mógłbym czasem do ciebie zadzwonić w Londynie...

Mruknęła coś niezrozumiale, wyminęła go i ruszyła do taksówki. Ashley szła przodem, za służącym, który wynosił ich bagaże. Paul chwycił Jenneen za ramię.

- Chciałbym się jeszcze z tobą zobaczyć - szepnął. - Jesteś niesamowita, wiesz?

Jenneen popatrzyła na niego. Aż się cofnął na widok pogardy i nienawiści bijących z jej oczu.

- Już wychodzicie?

Jenneen obejrzała się, słysząc głos kuzynki Paula, Victorii, która zbliżała się do nich chwiejnym krokiem, balansując trzymanym w palcach kieliszkiem szampana i tłumiąc czkawkę.

Jenneen uśmiechnęła się bez wesołości. Jak to jest być kimś takim jak ta dziewczyna? Bawić się i cieszyć życiem, bez zagrożenia ze strony pani Green, która tylko czeka na okazję, by zapanować nad nią i pogrążyć ją w otchłani wstydu i upodlenia,

- Tak - odpowiedziała Jenneen. - Niestety, coś wypadło i musimy wracać.

- Oeh, jaka szkoda - zasmuciła się Vicky. - Nie miałyśmy nawet okazji bliżej się poznać; Ale to nic, może następnym razem... - Odeszła, zabierając ze sobą Paula.

Następnego dnia Ellamarie otrzymała pierwsze kwiaty.

Rozdział 18

Kate aż się skuliła, widząc żal i gniew na twarzy ojca: W końcu, w akcie rozpacz, zwróciła się do niego o pomoc. Po tygodniach cierpienia i niemożności podjęcia decyzji doszła do wniosku, że tylko on jej pozostał. Teraz żałowała swych zwierzeń. Stał przed nią zaciskając zęby, żeby nie powiedzieć tych strasznych rzeczy, które myślał, a Kate miała ochotę uciec i nie oglądać go, nie oglądać nikogo, już nigdy. Wołałby ją uderzyć, zbić ją.. . byleby nie przyjmować do wiadomości tego, co mu powiedziała. Odwrócił się i oparł rękami o ob-

ramowanie kominka. Widziała, jak niu zbieleły kostki palców, gdy zaciskał je na gzymsie, i była przerażona. W końcu wszyscy ją zawiedli. Joel, przyjaciółki, teraz jeszcze ojciec. Żadne z nich nie troszczyło się o nią, nie przejmowało się tym, przez co przechodziła. Nikt z nich nie myślał o bólu, wypełniającym jej każdy dzień, i o przerażającym osamotnieniu. Nienawidziła ich wszystkich, a najbardziej Jenneen.

Podniosła głowę, słysząc głos ojca. Zaczął mówić, ale słowa brzmiały tak, jakby ktoś ścisnął mu gardło, odcinając dopływ powietrza.

- On ma oczywiście rację. Będziesz musiała się tego pozbyć. Nie wolno ci nawet myśleć o urodzeniu tego dziecka.

Kate wpatrywała się w ojca, uświadamiając sobie, że tak naprawdę dotąd go nie знаła.

- Czy wiesz, co mówisz? - szepnęła. Sińce pod oczami odcinały się w pobladłej twarzy. - Chcesz, żebym uśmierciła twojego wnuka.

Odwrócił się gwałtownie.

- To nie jest człowiek, Kate. Jeszcze nie. - Wyraźnie starał się zapanować nad głosem.

- Jest! - krzyknęła. - Oczywiście, że jest. Jeszcze nie narodzony, ale żywy. To istota ludzka.

- Nie! - ryknął.

Zapadła długa chwila milczenia.

- To nas do niczego nie zaprowadzi - odezwał się, głośno wciągając powietrze. - Musimy się zachowywać rozsądnie, przemyśleć wszystko i zdecydować, co robić. Jeszcze nie jest za późno. Jeżeli dzisiaj skontaktujemy się z lekarzem, będzie mógł się tobą zająć. Może pod koniec,...

- Przestań! - nie wytrzymała. Poderwała się na nogi. - Przestań! Nie zrobię skrobanki. Nigdy nie poddam się aborcji. Mówisz o moim dziecku. Moim, słyszysz? Chcę je mieć. Kocham je.

- Gadasz bzdury - stwierdził beznamiętnie ojciec. - Jak możesz kochać? Tu jeszcze nie ma co kochać.

- Czy tak samo myślałeś o mnie, kiedy mama była w ciąży? Tak myślałeś? Że jestem niczym; że nie można mnie kochać, bo jestem jeshm w brzuchu?

Oczywiście, że nie - zachnął się. - Ale ty byłaś planowana. Oboje z matką pragnęliśmy cie mieć.

- Ja też pragnę mieć moje dziecko. Przymknął oczy i zaczął pocierać dłonią czoło.

- W ten sposób me powołuje się dzieci na świat, Kate - rzekł po chwili.

Zacisnęła zęby, próbując się opanować.

- Nie słuchasz mnie. Będę je kochać, opiekować się nim, niczego mu nie będzie brakowało. Myślałam, że ty mi pomożesz, ale teraz widzę, że się myliłam. Pozwól jednak, że jeszcze raz ci przypomnę, że to także twoja krew, twój wnuk.

- I bękart Joela Martina.

Odwróciła wzrok, spłoszona nienawiścią bijącą z oczu ojca.

- Zastanowiłaś się, jak to wpłynie na twoje życie? - ciągnął. - Na oczach wszystkich będziesz paradować z jego bękartem. Nie będziesz miała wolności, chwili czasu dla siebie. Możesz zapomnieć o swojej książce, którą zawsze tak chciałaś napisać. Możesz się pożegnać z przyjaciółmi, bo nie będziesz miała dla nich czasu. I możesz się też pożegnać ze mną.

- Co?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

- Słyszałaś, co powiedziałem. Jeśli urodzisz to dziecko, nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Nie mógłbym znieść jego widoku ani widoku mojej własnej córki, wykorzystanej i porzuconej przez Joela Martina.

- Na litość boską, za co go tak nienawidzisz?

- Jak możesz mnie o to pytać? Nie rozumiesz, co on ci zrobił? Jesteś splamiona i napiętnowana. Patrząc na to dziecko, nie mógłbym zapomnieć, co ten człowiek ci zrobił.

- To nie tylko jego wina. Do zrobienia dziecka potrzebne są dwie osoby.

Nie bądź wulgarna! - uciał. - Nie chcę cię więcej słyszeć mówiącej takie rzeczy. Nie chcę tego słuchać.

- W porządku, już dobrze. Ale nie można udawać, że nie ma żadnego dziecka...
 - Dziecko bez ojca? Tego właśnie chcesz?
 - Oczywiście, że nie tego chcę, ale to właśnie mam. Zresztą, kto wie, może Joel wróci, gdy się urodzi.
 - Nie oszukuj się, Kate. Już go nie zobaczysz. Sam ci to powiedział i musisz mu wierzyć. Jeśli już za nic innego, to powinnaś mu być wdzięczna przynajmniej za to, że wyniósł się z twojego życia.
 - Wdzięczna?
 - Tak. Widziałaś w nim tylko to, co chciałaś widzieć, i oszukiwałaś się, wierząc, że cię kocha. Otóż nie kochał i powinnaś się z tym pogodzić. Nie chce ani ciebie, ani dziecka.
- Po policzkach Kate popłynęły łzy.
- Nie mów tak - szlochała. - Nie mów tak.
 - Na litość boską, Kate, co cię napadło? Nie możesz sobie zniszczyć życia, nie teraz.
 - Nie niszczę sobie życia. Dlaczego nikt nie chce mnie wysłuchać? Chcę mieć to dziecko, nawet jeśli będę musiała sama je wychowywać.
- Ojciec westchnął ciężko i usiadł obok niej.
- Słuchaj - zaczął, obejmując ją ramieniem. - Trudno ci w tej chwili jasno ocenić sytuację, za bardzo ponoszą cię emocje, jesteś zdenerwowana. Ale z czasem się przekonasz, że to jedyne rozsądne wyjście. Skarbie, kocham cię, przecież wiesz o tym. Naprawdę wierzysz, że namawiałbym cię do zrobienia czegoś złego? Proszę cię, żebyś to zrobiła dla własnego dobra. Byłbym bardzo nieszczęśliwy widząc cię wychowującą dziecko mężczyzny, który nawet nie chce cię widzieć. Myślałem o tym od dawna i teraz, w tej sytuacji, może ty sama też uznasz, że to nie jest taki zły pomysł. Otóż chcę, żebyś wróciła do domu i zamieszkała ze mną. Czuję się samotny, kiedy mama jest w szpitalu, a ostatnio spędza tam wiele czasu. Poza tym nie masz potrzeby mieszkać w Londynie teraz, kiedy uprawiasz wolny zawód, prawda? Będziesz mogła pisać tutaj, nikt ci nie będzie przeszkadzał. A kiedyś, później, kiedy sprawy się... unormują, możemy się jeszcze raz nad tym zastanowić i kto wie, może wtedy

przyjdzie czas na posiadanie dzieci. Ale nie teraz, Kate. Nie teraz, kiedy wszystko tak dobrze ci się układa.

- Wcale mi się tak dobrze nie układa - wyznała Kate. - Jesteś w błędzie. Nie chciałam ci tego mówić, ale wygląda na to, że będę musiała. Nie potrafię napisać książki, nigdy nie będę umiała napisać książki. Po prostu nie jestem do tego zdolna.

- Oczywiście, że w tej chwili nie jesteś. To dlatego, że Joel Martin od kilku miesięcy komplikował ci życie. Ale zobaczysz, że kiedyś napiszesz. Napiszesz, Kate, a ja zrobię wszystko, żeby ci w tym pomóc. Ale nie będziesz w stanie pisać w otoczeniu pieluch i płaczących dzieci. Więc co ty na to? Zabieg można przeprowadzić w każdej chwili, a potem możemy zacząć wszystko od nowa. Tu, w domu, tak jak dawniej. Potrząsnęła głową i otarła łzy.

- Proszę cię, przestań, nie mów już ani słowa więcej.

- Dobrze, widzę że jesteś zmęczona. Może pójdziesz na górę, położysz się i pomyślisz o tym przez chwilę? Zrozumiesz, że to, co proponuję, jest najlepsze.

- Nie zrozumie! - krzyknęła Kate, odpychając ojca od siebie. - Proszę, błagam cię, wysłuchaj mnie. Mam zamiar urodzić to dziecko, a jeśli ty nie zostaniesz przy mnie, tato, to będę musiała sama dać sobie radę. Widzę teraz, że nikomu z was na mnie nie zależy, wszyscy myślicie tylko o sobie. A to chodzi o mnie. O mnie! Słyszysz? I o moje dziecko. Nic potrzebujemy was, poradzimy sobie bez was. Nienawidzę cię, wszystkich was nienawidzę... - rzuciła się na oparcie kanapy, wstrząsana łkaniem.

Ojciec przyciągnął jej głowę do swojego ramienia. - Już dobrze - powiedział. - Dobrze, Nie będziemy teraz o tym mówić. Chodź, zaprowadzę cię do łóżka. Jesteś zmęczona. Jak się wyśpisz, ujrzysz sprawy w innym świetle.

Kate miała ochotę krzyknąć mu w twarz, ale czuła się na to zbyt słaba. Miała rozstrojone nerwy, a od czasu kiedy Joel ją opuścił, przeżywała huśtawkę nastrojów. Dzwoniła do mego kilka razy, lecz, nie chciał z nią rozmawiać. Telefonowała do niej Jenneen, ale tym

razem to Kate nie chciała z nią rozmawiać i odłożyła słuchawkę. Nie widywała się z Ellamarie ani z Ashley. Nie chciała widzieć nikogo. W końcu zwróciła się do ojca, lecz i to okazało się pomyłką. Pozwoliła się zaprowadzić do pokoju i położyła się do łóżka. Ojciec został z nią na chwilę; nic nie mówił, tylko głaskał ją po głowie i trzymał za rękę. Zmusi go, żeby ją zrozumiał. Będzie miała to dziecko. Kochała Joela, to było jego dziecko, ich dziecko, i nie może go zabić. On w końcu wróci, wszyscy wrócą. Muszą wrócić.

Ellamarie weszła do pokoju i wręczyła Jenneen kieliszek,

- Miałyście od niej jakąś wiadomość? Rozmawiałyście z nią w ogóle?

- Nie zamieniłam z nią ani słowa - przyznała Ashley.

- Za każdym razem, kiedy do niej dzwonię, odkłada słuchawkę - oświadczyła Jenneen. Ellamarie widziała po minie przyjaciółki, jak bardzo ją to boli. - Co jakiś czas próbuję, ale bez skutku. Ona po prostu nie chce ze mną rozmawiać. A ty, Ellamarie? Rozmawiałaś z nią?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie. Próbowалам, tak samo jak wy, ale nie chciała mnie słuchać. Rozmawiałam za to z Joelem.

- Kiedy? - zainteresowała się Jenneen.

- Dziś rano. Zadzwońlam do niego. Myślałam, że może on z nią rozmawiał.

- I co, rozmawiał? - spytała Ashley.

- Nie i wcale nie ma zamiaru, o ile mogłam wywnioskować.

- Co powiedział?

- Mówił, że dzwoniła do niego parę razy, ale on nie widzi sensu wałkowania tego wszystkiego od nowa.

- Sukinsyn! - mruknęła Jenneen.

- I to jaki - zgodziła się Ellamarie. - Musimy coś zrobić. Chyba jedna z nas powinna zadzwonić do jej ojca.

Spojrzały po sobie. Żadna nie miała specjalnej ochoty rozmawiać z panem Callowayem. Ellamarie pierwsza okazała gotowość.

- Sądzę, że ja powinnam to zrobić, skoro spędziłam z nimi Boże Narodzenie. Chcę tylko wiedzieć, czy się zgadzacie. Ashley i Jenneen wyraziły zgodę.

Ellamarie wyszła do holu, żeby tam skorzystała z telefonu. Jenneen i Ashley siedziały w milczeniu, czekając na jej powrót, pełne obaw, co mogła powiedzieć ojcu Kate. Jenneen czuła się odpowiedzialna za Wszystko, i cały czas obwiniała się o to, co się stało.

Ellamarie w końcu wróciła. Spojrzały na nią, oczekując relacji z rozmowy.

- Kate jest u rodziców. Jest tam już od kilku dni. Ojciec powiedział, że czuje się dobrze... na tyle, na ile to możliwe. Jej matka też jest, w domu.

- Więc wiedział o dziecku? - spytała Ashley.

- Tak, wie wszystko.

- Rozmawiałaś z nią? - spytała Jenneen.

- Nie. Nie podeszła do telefonu. Rozmawiałam tylko z jej ojcem.

- Powiedział coś jeszcze?

Ellamarie zawahała się na moment. Cisza, jaka zapadła przed jej dalszymi słowami, wydała im się dziwnie złowieszcza.

- Będzie miała skrobankę, w piątek - powiedziała w końcu.

- O mój Boże! - westchnęła Jenneen. - To niemożliwe! Nie może tego zrobić. Ona chce tego dziecka.

- Najwyraźniej już nie chce. Ojciec powiedział, że rozmawiali na ten temat przez cały weekend i doszli do wniosku, że tak będzie najlepiej.

- Nie wiem, co powiedzieć - odezwała się Ashley.

- Jej ojciec pytał - ciągnęła Ellamarie - czy mogłybyśmy jutro przyjechać się z nią zobaczyć. Czy to możliwe?

- Jasne - ucieszyła się Jenneen. - Poodwołuję wszystko, Ellamarie spojrzała na nią poważnie. Wiedziała, jak bardzo osobiście Jenneen to wszystko odbiera. Jak się obwinia. A Kate nie chciała jej widzieć. Zgodziła się jedynie na spotkanie z Ellamarie i Ashley. Bez Jenneen. Ellamarie nie wiedziała, jak jej to przekazać.

- Przykro mi... - szepnęła.

Jenneen nachyliła się i odstawiła kieliszek na stół. Ręka jej drżała.

- Nie chce mnie widzieć? - spytała cicho, Ellamarie skinęła twierdząco.

Jenneen przymknęła oczy i próbowała razełknąć grude, która nagle utkwiała jej w gardle.

- Przykro mi - powtórzyła Ellamarie i objęła przyjaciółkę, próbując ją pocieszyć.

Jenneen rozplakała się, chowając głowę na jej ramieniu. Co ona zrobiła? Psuła wszystko, czego tylko tknęła.

Ale Kate... dlaczego? Kate nie mogła odwrócić się do niej plecami. Kochała Kate i wszystko, co zrobiła,

robiła z myślą o jej szczęściu. Żeby Kate miała to, czego pragnie. Już nigdy nie będzie się wtrącać do

niczyjego życia, bo to zawsze kończy się katastrofą. Teraz Kate miała się pozbyć dziecka, a potem już nigdy nie będzie taka jak dawniej. I przez resztę życia obie będą wiedziały, że Jenneen mogła ją przed tym uratować, ale nie zrobiła tego.

Nieco później tego wieczoru, kiedy wychodziła z teatru, Ellamarie dostała kolejne kwiaty.

W piątkowy rano pan Calloway stanął przed starym wiktoriańskim budynkiem na Kensington Square i zadzierając głowę spojrzął w okna. Sprawdził adres, który miał zapisany na skrawku papieru, i nacisnął dzwonek. Czekał na otwarcie drzwi rozglądał się po placu. Była wiosna. Słońce przedzierało się przez chmury, ptaki wesoło świergotały w koronach drzew.

W domofonie rozległ się kobiecy głos, więc podał swoje nazwisko.

- Czy pan Martin oczekuje pana? - spytała dziewczyna. Powinien,

Zapadła cisza. Calloway czekał, wpatrując się w domofon. Nagle dał się słyszeć brzęczyk i blokada w zamku została zwolniona,

- Trzecie piętro - usłyszał jeszcze, zamykając za sobą drzwi. Wchodził, wołona górę. Nie było pośpiechu.

Minał parę osób, ale

na żadną z nich nawet nie spojrział. Miał zacięty wyraz twarzy, lecz nawet najmniejsze drgnienie mięśni nie zdradzało miotającej nim furii.

Pół godziny wcześniej zostawił Kate w szpitalu. Chciała tam być sama. Z początku podejrzewał, że ma zamiar uciec, gdy tylko on się oddali, ale uśmiechnęła się tym martwym uśmiechem, który tak dobrze poznał w ostatnim tygodniu, i zapewniła go, że to on ma rację i aborcja jest jedynym wyjściem.

W skrytości ducha był zadowolony, że stamtąd wyszedł. Gdyby został, mógłby się załamać. Jej oczy wyrażały bezradność i osamotnienie, i stwarzały między nimi barierę, której dawniej nie było. Pamiętał czasy, kiedy była dzieckiem, jego ukochanym dzieckiem, a on robił wszystko, co mógł, żeby chronić ją przed ciemnymi stronami życia. Nie był przygotowany na coś takiego. Na zabicie czy może raczej zamordowanie własnego wnuka. Ale jak mógł się pogodzić z tym, by nosiła dziecko tego człowieka? Kiedy mu powiedziała, był zszokowany i z trudem zdołał ukryć wstręt na myśl o rękach innego mężczyzny dotykających jego ukochanej dziewczynki. Ten człowiek ją splamił, skrzywdził, i teraz za to zapłaci.

Dotarł w końcu do drzwi na trzecim piętrze. Wypolerowana do połysku wizytówka głosiła, że znajduje się przed siedzibą Joela Martina i jego współpracowników. Zastukał lekko i kiedy kobiecy głos zachęcił go do wejścia, nacisnął klamkę.

Młoda, na oko dwudziestoparoletnia sekretarka obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem. Czy wiedziała, dla jakiego potwora pracuje? Chociaż to już nie był jego problem. Jego interesowała tylko Kate i to, przez co obecnie przechodziła za sprawą tego zwierzęcia po drugiej stronie drzwi.

- Pan Martin będzie do pana dyspozycji za minutę - oznajmiła dziewczyna. - Może zechce pan usiąść i poczekać. - Wskazała na wielką, przesadnie wypchaną sofę pod oknem. Calloway miał mnóstwo czasu.

Owszem, poczeka.

Nie wyjmował rąk z kieszeni, by nie było widać, jak mu drżą. Odmówił kawy i siedział rozglądając się po pomieszczeniu. Nie widział niczego. Niczego, poza twarzą swojej córki, oznajmiającej

mu, że jest w ciąży. Twarzą córki, mówiącej, że Joel Martin zapłodnił ją i potem porzucił, by więcej się z nią nie zobaczyć. Widział swoją Kate. Ukochaną małą Kate wykorzystaną przez tego drania, dla którego nawet nic nie znaczyła.

- Ładny dzień, prawda? - zagadnęła dziewczyna.

Calloway przytaknął i odwrócił głowę, zniechęcając ją do dalszych tego rodzaju pogaduszek.

Po paru minutach na biurku sekretarki zabrzączał sygnał. Zwróciła się do Callowaya:

- Pan Martin przyjmie pana teraz. - Wstała zza biurka i poszła otworzyć przed nim drzwi.

Wszedł do gabinetu. Spojrzał na ciemnowłosego mężczyznę siedzącego za olbrzymim biurkiem. Miał wrażenie, że cały świat zamarł w bezruchu i wstrzymał oddech, czekając na burzę.

Joel uśmiechał się niedbale, ale jego oczy pozostawały czujne.

- Pan Calloway - odezwał się wstając. - Co za niespodzianka. - Wyciągnął rękę, ale jego gest został zignorowany. - Może pan usiądzie? - Joel wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

- Niespodzianka? - Calloway rozluźnił węzeł krawata. Musiał za wszelką cenę zachować spokój.

- No cóż - powiedział Joel tonem zdradzającym pewne zaniepokojenie. - Nie spodziewałem się pana widzieć.

W każdym razie, nie tutaj.

- Tak? Więc gdzie?

- Noo... raczej nigdzie.

- Oczywiście. Nie sędzę, żeby pan się spodziewał ze mną spotkać. Ani z moją córką.

Joel zaczerwienił się.

- Jakże się miewa Kate?

- Proszę nie zadawać pytań, na które nie chce pań usłyszeć odpowiedzi.

Joel spojrzał na niego twardo. Nie przywykł, żeby ktoś rozmawiał z nim w ten sposób, szczególnie w jego własnym gabinecie, i maniery gościa zaczynały go drażnić.

- Po co pan tu właściwie przyszedł, panie Calloway? Chce pan pieniędzy? Bo jeśli tak...

Calloway zniemacka chwycił go za gardło i rzucił o ścianę. – Nie jestem młody Martin – ryknął, ale mogłbym cie zabić. Wiesz, gdzie teraz jest Kate? Wiesz? Nie, oczywiście nie wiesz i nic cię to nie obchodzi. Czy nie tak? - Potrząsał Joelem i tłukł jego głową o ścianę. Joel napiął ramiona i zdołał go odepchnąć.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli pan stąd natychmiast wyjdzie, panie Calloway - rzekł, z trudem opanowując wściekłość.

- Wyjdę, kiedy uznam, że powinienem - odparł Calloway, wolno cedząc słowa. - Moja córka jest teraz w szpitalu. Morduje dziecko, pańskie dziecko. Nie wiem, jak to się stało, i nie chcę wiedzieć, wiem tylko, że pan jest najgorszym śmieciem na ziemi. Nie wiem, co pan jej powiedział, że tak się zmieniła, ale odebrał jej pan wszystko. Szacunek do samej siebie, godność, dumę i teraz jeszcze dziecko. Obdarłeś ją ze wszystkiego, Martin, i mam zamiar dopilnować, żebyś za to odpowiedział.

- Och, niechże pan da spokój - przerwał mu Joel, uśmiechając się lekceważąco. - Nie jesteśmy w kinie. Nie można chodzić i grozić ludziom w ten sposób.

- Zamknij się! Nie interesuje mnie to, co masz do powiedzenia. Przyszedłem tu z dwóch powodów. Po pierwsze, żeby ci powiedzieć, że od dzisiaj pięć największych wydawnictw w tym kraju zaprzestanie robić z tobą interesy. Jutro pozostałe pójdą w ich ślady.

Przez moment mina Joela zdradzała niepewność, a potem odezwał się szyderczo:

- Tego nie może mi pan zrobić.

- Mogę i już zrobiłem. Autorzy, którzy mieli nieszczęście być reprezentowani przez pana, dostaną nowych agentów, a wydawcy, jak już mówiłem, od dziś nie będą chcieli pana znać.

-Niema pan takiej władzy, Calloway, nikt nie ma.

- Myli się pan. Ale jeśli mi pan nie wierzy, proszę spróbować teraz zadzwonić do któregoś z nich. - Podniósł słuchawkę telefonu i wyciągnął w stronę Joela, lecz ten jej nie przyjął.

Calloway odłożył słuchawkę na miejsce.

- A teraz drugi powód, dla którego tu przyszedłem.— Jego głos był teraz lodowato spokojny. - Powinienem cię zabić już za samo to, że dotknąłeś mojej córki, ale nie mam zamiaru wylądować w więzieniu za sprawą takiego śmiecia jak ty. Chcę cię tylko ostrzec, żebyś już nigdy nie zbliżał się do Kate, słyszysz? Nigdy. Ona jest moja i nikt, nikt nie dotknie mojej córki bezkarnie.

Joel wpatrywał się w siedzącego przed nim niemłodego człowieka.

- Jest pan chory! - zaczej, wykrzywiając usta ze wstrętem.— Podejrzywałem to już wtedy, gdy spotkałem pana po raz pierwszy, ale nie miałem pojęcia, że zgnilizna sięga tak głęboko. Nie chodzi tylko o mnie, prawda? Nie może pan znieść myśli, że jakikolwiek mężczyzna dotyka pańskiej bezcennej córeczki. Skręca pana na samą myśl o czymś takim. To jest jak robak, zjadający pana od środka. Kate z innym mężczyzną. Jesteś w niej zakochany, co, ty zboczony staruchu? Jesteś zakochany w swojej własnej córce. Jesteś obrzydliwy! Nieważne, czyje dziecko ona w sobie nosi, co? Ważne tylko, że nie twoje. Jesteś zboczony, Calloway. Jesteś...

Cios w szczękę był tak silny, że Joel upadł na podłogę. Calloway pochylił się nad nim z twarzą pociemniałą od furii.

- Ostrzegam cię, Martin! Jeśli tylko się zbliżysz, zabiję cię. Słyszysz? Zabiję cię! - Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z gabinetu.

Więc tak się człowiek czuje zabijając własne dziecko. Właściwie nic nie czuje. Nic. Minutę temu jeszcze tam było, a teraz już nie ma. Nic nie zostało, żadnego załączka życia, po prostu nic. Pusto i bezboleśnie. Nie ma uczuć. Nie ma troski, miłości, nienawiści. Zabierając dziecko, zabrali także jej duszę. Jej ciało jest teraz pustą muszelką,

Chwilami zasypiała, ale na krótko. Otwierała oczy, ale nie było na co patrzeć. Od czasu do czasu wchodzili i wychodzili jacyś ludzie, lecz nie wiedziała, kim są. Trzymali ją za rękę, całowali, czute,, że powinna ich znać, ale byli obcy i bak się ich. Nie odzywała się do

nich, nie miała im nic do powiedzenia, bo w ogóle nie pozostało już niedopowiedzenia.

Dziwiło ją tylko jedna Dlaczego dziecko nie przestaje płakać? Dlaczego pozwalają mu tak płakać? Czy nikt się nim nie zajmuje? Ktoś do niej coś mówił. Czy oni nie widzą, że ich nie słyszy? Czemu nie pomogą dziecku? Czemu nie dopilnują, żeby przestało płakać? Wiedziała, że to jej dziecko. To, które zabiła. Nie żyło. Płakało, bo je zabiła. Będzie tak płakać już zawsze. Nic już nie pocieszy jej dziecka, żadne kochające ramiona go nie utulą, żadna pierś nie nakarmi. Jej dziecku nie pozostało już nic oprócz płaczu. Płaczu za życiem, którego nigdy nie zaznało. Za życiem, które mu odebrała.

Głos ucichł, lecz płacz rozlegał się nadal. Słyszała zamykane gdzieś w oddali drzwi, ale płacz nie ustawał. Dziecięcy płacz, odbijający się echem w pustce wieczności. Płakało, bo matka je zabiła, odebrała mu życie. Ale ona też wkrótce umrze i wtedy będzie mogła je pocieszyć, będzie mogła je kochać i nakarmić je mlekiem wiecznego życia. Tak, wkrótce umrze i będzie mogła wziąć w ramiona swoje dziecko.

- Nie jest dobrze - stwierdziła zmartwiona Ellamarie po powrocie do salonu. - Nadal nie chce nic powiedzieć. Ojciec Kate podniósł wzrok. Miał twarz spiętą cierpieniem, a zmarszczki wokół oczu pogłębiły się w ciągu ostatnich dwóch dni. Od kiedy przywiózł ją do domu, Kate leżała na łóżku i nie odezwała się ani jednym słowem. Nie jadła, nie płakała...

Przeciagnął dłonią po włosach. Ellamarie zauważyła, że ręce mu się trzęsą.

- Nie wiem, co robić - westchnął. - Po prostu nie wiem, co robić. " Chyba powinniśmy wezwać lekarza. Nie można jej tak zostawić, musi, coś jeść.

- Dobrze - zgodził się z rezygnacją. - Gdzie jest numer?

- Proszę się nie trudzić - wtrąciła Ashley. - Proszę siedzieć, ja to zrobię.

Kiedy wyszła, Ellamarie usiadła koło ojca Kate i objęła go serdecznie. Bob wyjął z barku butelkę brandy.

Nalewając dla

wszystkich, zauważył ledwie zaczęty maszynopis powieści Kate, leżący obok maszyny do pisania. Zrobiło mu się nagle smutno, bo zwątpił, czy Kate zdoła ją dokończyć. Rozdał kieliszki z brandy.

- To miłe z waszej strony, że tak się o nią troszczyście powiedział Calloway, bliski zupełnego załamania.

- Wszyscy ją kochamy - zapewniła Ellamarie. - Chcemy pomóc.

- To tylko depresja - mówił Calloway. Wyjdzie z tego. Potrzebuje jedynie czasu. To minie... - Spojrzał na Boba błagalnym wzrokiem.

Bob uśmiechnął się, próbując dodać mu otuchy, której tak bardzo potrzebował.

- Oczywiście, że z tego wyjdzie. Takie rzeczy zawsze wymagają czasu. Ale wszystico będzie dobrze, już wkrótce,

Ashley wróciła do salonu.

- Doktor jest już w drodze. Calloway ujął ją za rękę.

- Dziękuję ci, moja droga. Jesteś taka dobra. Nie wiem, co bym zrobił bez was wszystkich.

Ashley przycisnęła jego dłoń do swojej twarzy.

- Bardzo nam na niej zależy, panie Calloway. Żałuję, że nie mogliśmy zrobić nic więcej.

Zapadło długie milczenie, przerwane wreszcie przez ojca Kate.

- Widzieliście Jenneen? - spytał, patrząc na Boba i Ellamarie. Ellamarie rzuciła Bobowi ukradkowe spojrzenie, zanim przytaknęła.

- Jak ona się miewa?

- Obawiam się, że nienajlepiej - rzekł Bob. - Wciąż się obwinia. Uznała, że najlepiej zrobi trzymając się na razie z daleka. Jej pojawienie się tutaj mogłoby tylko zdenerwować Kate.

- Proszę, powiedzcie jej, że nie może się obwiniać. To nie jej wina. Nie może brać na siebie odpowiedzialności. Kate jest dorosłą kobietą i sama decyduje o swoim życiu. - Jego głos nie brzmiał przekonywająco. Obwiniął siebie za to, co się stało.

- Mówiąc szczerze - zaczęła Ellamarie - nie sadzimy, żeby to tylko z powodu Kate Jenneen była w takim nastroju. Powodem może być jeszcze coś innego.

Calloway patrzył na nich. Pytanie w jego oczach zdradzało potrzebę oderwania myśli od Kate i zajęcia głowy czymś innym, choć na chwilę.

Nie chce nikomu nic powiedzieć - mówił Bob - ale była przygnębiona już wcześniej, zanim to wszystko się stało. Rozmawiałem dziś z jej szefem i wiem, że w pracy też nie układa jej się najlepiej. Bill bardzo się o nią martwi.

- Gzy jest coś, w czym mógłbym jej pomóc? - spytał Calloway. Bob pokręcił głową.

- Myślę, że tutaj ma pan dość do roboty. Kate pana potrzebuje. My się zajmiemy Jenneen, proszę się nie martwić.

Przyjechał lekarz. Wszedł prosto do pokoju Kate. Czekali bez słowa, aż stamtąd wyjdzie. Nikt nie okazał zdziwienia, kiedy lekarz zdecydował, że zabiera Kate z powrotem do szpitala. Potrzebowała opieki, jakiej tu na miejscu nie można było jej zapewnić.

Calloway zniósł córkę po schodach do samochodu i posadził na tylnym siedzeniu. Ellamarie usiadła obok niej, biorąc ją za rękę. Zawołała do Boba, że spotka się z nim później.

Dobry Boże, modliła się w duchu, kiedy jechali zatłoczonymi ulicami Kensington. Niech ona wyzdrowieje. Pomóż jej z tego wyjść.

Rozdział 19

Jemeen skończyła czytać list. Po długim oczekiwaniu, dziś wreszcie nadszedł. Przeczytała całość jeszcze raz od początku. Ironia, czysta ironia. List nie zawierał w ogóle tego, czego się spodziewała. Nie czuła jednak ulgi, lecz jedynie uświadomiła sobie to, co wiedziałyby wcześniej, gdyby się tylko dobrze zastanowiła. Maura zaczynała list od tradycyjnych doniesień. Babcia wygrała w bingo pięćdziesiąt funtów i planowała zrobić sobie w okresie Wielkanocy krótkie wakacje w Skegness. Tato miał się dobrze,

bracia także, a o sobie jak zwykle nic nie napisała. Potem przeszła do informacji, że młoda Maggie Dewar nie wróciła z Londynu, ale dzwoniła do swojej matki, żeby jej powiedzieć, że zamieszkała ze swoim chłopakiem, niejakim Matthew Bordsleighem. Czy to przypadkiem nie ten aktor, znajomy Jenneen?

I to było właściwie wszystko, co matka miała jej do zakomunikowania, poza tym, że ją bardzo kocha i ma nadzieję, że córka będzie mogła znowu ich wkrótce odwiedzić. Dołączyła do listu zabawną małą fotografię, wyszukaną przez babcię, a przedstawiającą czteroletnią Jenneen bawiącą się w piasku w Blackpool. Jenneen spojrzała na drugą stronę zdjęcia, oczekując, że coś będzie napisane na odwrocie, ale nic tam nie było.

Włożyła zdjęcie z powrotem do koperty i wróciła do czytania listu. Nie było żadnej innej wzmianki o Maggie czy Matthew, więc wynikało z tego jasno, że nie spełnili groźby. Ma się rozumieć, wszystko wróciło do normy. Żądania finansowe wzrosły. Matthew już nie prosił o dwadzieścia czy pięćdziesiąt funtów za każdym razem. Nie, teraz żądał setki, a czasami nawet dwustu funtów. Miało to swoje uzasadnienie - utrzymywał także Maggie. To znaczy, gwoli ścisłości, Jenneen utrzymywała także Maggie. Ciekawy przykład złośliwości losu - dzięki niej się poznali i teraz razem na niej pasożytowali.

Szantaż. Najbardziej okrutna tortura znana ludzkości. Człowiek przekonuje się o tym, oczywiście, dopiero kiedy sam zostaje ofiarą. Ten strach, z którym musi żyć na co dzień. Obawa przed gniewem prześladowcy, niepewność, czy dotrzyma słowa i zachowa tajemnicę. Nigdy nie wiadomo, kiedy się u ciebie zjawi; boisz się dzwonnka do drzwi, telefonu, poczty.

Zarzuciła płaszcz i wyszła z mieszkania. Nie zdąży, jeśli się nie pośpieszy, a ostatnio stanowczo zbyt często się Spóźniała. Zespół miał wyznaczone spotkanie na dziewiątą trzydzieści w Earls Court. Sezon pokazów mody rozpoczął się na dobre.

Kiedy dotarła na miejsce, wszyscy już czekali. Jedli śniadanie w barze kawowym. Spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia pięć po dziewiątej. Chwała Bogu, przyszła punktualnie. Reżyser siedział ze

swoją asystentką przy oddzielnym stoliku. Przywitawszy się z resztą zespołu, Jenneen przysiadła się do nich.

- Dzień dobry - powiedziała, siadając obok Patsy.

Oboje przywitali się z nią, jak jej się wydało, wyjątkowo serdecznie, więc natychmiast, co zdarzało jej się ostatnio bardzo często, Jenneen wpadła w panikę. Dlaczego byli dla niej tacy mili? Czyżby wiedzieli coś, czego ona nie wie? Czy to, co dostrzegła w oczach Patsy, nie było przypadkiem litością? Matthew musiał złamać słowo... Gdzie są poranne gazety? Brian, reżyser, zaczął z nią całkiem normalnie rozmawiać o zdjęciach, a Patsy jak zwykle poszła, by przynieść jej kawę. Jenneen stopniowo się rozluźniała.

Ranek ciągnął się nieznośnie; dopiero za ósmym podejściem udało jej się bezbłędnie zacząć program do kamery. Wiedziała, że Brian jest zaskoczony, choć nie zrobił na ten temat żadnej uwagi; zawsze wystarczały jej najwyżej dwa ujęcia.

W czasie przerwy na lunch postanowiła pójść na spacer. Była zbyt zdenerwowana, żeby siedzieć z zespołem i oddawać się bzdurnym pogawędkom. Dzisiejszy list zaniepokoił ją bardziej, niż się spodziewała. Czuła, że samego Matthew byłaby w stanie kontrolować, a nie wtedy, gdy był podpuszczany przez dwudziestoletnią intrygantkę. To już inna sprawa. A zważywszy, że Maggie pochodziła z jej rodzinnego miasta, doprawdy trudno było czuć się bezpiecznie. Co mogła zrobić? Wciąż nad tym myślała i nic nie potrafiła wymyślić - mieli ją w garści.

Przypomniała sobie, kiedy ostami raz widziała Matthew. Wdarł się wtedy do jej mieszkania. Jenneen płakała, rozpaczliwie potrzebowała z kimś porozmawiać. Próbowła mu powiedzieć o Kate, próbowała trafić do tej drugiej strony jego natury, do tego Matthew, który kiedyś ją kochał. Ale on ją wyśmiał. Spytał, czy wreszcie się przekonała, jaką jest wredną suką. Zdradziła nawet swoją najbliższą przyjaciółkę. Dlaczego? Sam odpowiedział na to pytanie: bo była zazdrosna. Bo miała wobec Kate perwersyjne zamiary, a taki zboczony umysł jąt jej potrafi myśleć tylko o jednym.

Błagała go, by przestał, prosiła by ją zrozumiał i pomógł jej, ale

W jego oczach nie wyczytała współczucia, jedynie drwiny. W końcu dała mu pieniądze, po które przyszedł, i zostawił ją w spokoju.

Szła powoli i myślała o Kale. Bardziej niż czeokolwiek innego pragnęła być z nią teraz i opiekować się nią. Chciała objąć Kate, przeprosić i błagać o przebaczenie. Marzyła, by usłyszeć jej łagodny głos mówiący, że wszystko będzie dobrze. Że nigdy nie jest aż tak ile, jak się człowiekowi wydaje, i że za nic jej nie wini. Tylko że Kate była dla Jenneen nieosiągalna.

Podniosła wzrok i stwierdziła, że znajduje się przed Cromwell Hospital. Patrzyła na niebieskie rolety w oknach, zastanawiając się, za którą z nich jest Kate. Chciała wejść do środka, ciągnęło ją tam, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Co wieczór dzwoniła do Ellamarie lub Ashley, żeby się dowiedzieć o zdrowie Kate, sama jednak nie ośmieliła się jej odwiedzić. Już niedługo, jak mówiła Ashley, Kate miała wrócić do domu. Poprawa jej zdrowia następowała wprawdzie powoli, ale wszystko szło ku lepszemu. Jenneen nie pytała, czy Kate o niej wspomina. Znała odpowiedź na to pytanie.

Zakrawało na ironię, jeśli w ogóle istniał ktoś, do kogo Jenneen mogłaby się zwrócić o pomoc i znaleźć zrozumienie, to tym kimś była Kate. Jenneen uświadomiła to sobie ze zdumieniem. Szukając wsparcia i zachęty, zazwyczaj zwracała się do Ellamarie, lecz wiedziała, że właśnie Kate przeżywała rozterki i samotność podobne do tych, które teraz były jej udziałem.

Odeszła sprzed szpitala i wracała przez Cromwell Road w stronę Earls Square. Kilku przechodniów obrzuciło ją zaciekawionym spojrzeniami. Nie zdawała sobie sprawy, że ma twarz mokrą od łez.

Po pewnym czasie zatrzymała się i rozejrzała wokół siebie. Serce zaczęło jej bić szybciej, czuła coraz silniejszy zawrót głowy. Przed oczyma stanęła jej twarz Matthew, śmiejącego się z niej szyderczo; potem twarz Kate, z której mogła wyczytać wszystkie uczucia. Następnie ujrzała panią Green, popychającą ją bezlitośnie do zachowań tak upodlających, że Jenneen trudno było nawet o nich myśleć. Kolejnymi postaciami w tym przerażającym korowodzie byli

rodzice - wiedzieli wszystko, bo ich oczy były pełne bólu z powodu wstydu i upokorzenia, jakie zgotowała im córka. Później znów pojawiła się twarz Kate, po niej Matthew; byli tam wszyscy, patrzyli na nią nieruchomym wzrokiem, patrzyli i czekali. Ci, których życie już obróciła w ruinę, i ci, których dopiero miała zniszczyć. Było za późno, żeby coś zmienić. Nie miała się już gdzie zwrócić.

Obok przejeżdżały z łoskotem ciężarówki; samochody pędzące z szybkością sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu mil na godzinę wzbijały wokół niej tumany kurzu. Zamknęła oczy, ale te twarze dalej tam były, patrzyły i czekały, podczas gdy ona wsłuchiwała się w uliczny szum. Wolno otwarła oczy, przyśpieszony rytm serca wzmógł krążenie krwi i rozjaśnił jej umysł. Już się nie bała. Wszystko zaczęło się wydawać takie proste.

Czuła, że porusza się jak we śnie, wolno i z rozmysłem. Panujący wokół hałas przeszedł w kakofonię mistycznych, niezrozumiałych dźwięków, jakby dochodził znad powierzchni bardzo głębokiego basenu. A mimo to był. Przypominało to zapadanie w niespokojny sen, gdzie odległe dźwięki raz rozlegają się głośnie, raz zamierają.

Przyciągała ją jakaś dziwna siła, podszeptująca jej miękko, że wszystko będzie dobrze. A potem Jenneen stała, jak gdyby oddzielona od własnego ciała, patrzyła na siebie i uśmiechała się z radością, że już wkrótce będzie po wszystkim. Zniknie Matthew i pani Green. Nie będzie już odrzucona i samotna. Wystarczy jeden krok.

Rozległ się przeraźliwy pisk opon i ostry dźwięk klaksonu. Oczekiwała bólu, pragnęła go... Zaraz będzie po wszystkim... zaraz. Miała ściśnięte ramiona, tak mocno, że z trudem mogła oddychać. Jfeewróciła się na plecy i patrzyła w niebo, widziała przepływające chmury. Wokół panowała cisza.

Cały czas obserwowała chmury, przepływające majestatycznie tam w górze. Niezdobyte podniebne szczyty, jedno szare, inne białe. Potem pojawiły się twarze, zaniepokojone, wystraszone. Podnosiły ją czyjeś ręce, usłyszała jakieś głosy - ktoś coś do niej mówił.

Oszołomiona mrugała oczami. Próbowwała skupić wzrok na tych twarzach, ale znikwały, uciekały od niej, by po chwili znowu się

Pokazać. Czują dotyk jakichś delikatnych dłoni; uspokajający głos dotarł do jej mózgu. Obróciła głowę i zobaczyła klęczącą obok niej kobietę. Wiedziała, że powinna ją znać, ale nie mogła zebrać myśli.

- Proszę wezwać karetkę -mówił ktoś. -Oprzytomniała. Spróbowała się podnieść.

- Nie - jęknęła ledwo dosłyszalnie. - Proszę, nie.

Kobieta podtrzymywała ją za ramiona. Jenneen oparła się o nią. Czy to była Kate?

Jenneen? - odezwała się nieznajoma. - Jenneen? Jenneen spojrzała na nią. Tak, znała ją, ale skąd?

- Muszę wracać do pracy - niepewnym głosem powiedziała Jenneen. - Będą na mnie czekać. Nie mogę znowu się spóźnić.

- Ciii... Wzywamy karetkę.

- Nie - zaprotestowała Jenneen. - Nie trzeba. Nic mi nie jest, naprawdę, nic mi nie jest. - Usiłowała wstać.

Nogi nie chciały jej unieść, ale zaraz ktoś ją podtrzymał. Pozwoliła się zaprowadzić na chodnik.

Wirowało jej w głowie, bała się, że zemdleje. Nie mogła zemdleć, musiała się trzymać.

- Proszę mnie zabrać do domu - poprosiła. - Proszę mnie zawieźć do domu.

Zobaczyła, że ta kobieta odwraca się i rozmawia z jakimś człowiekiem. Jenneen widziała jego twarz - była biała ze strachu. Nie odrywał od niej oczu. W końcu odszedł. Chciała do mego zawołać i powiedzieć, że jest jej przykro, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Kobieta wzięła ją pod rękę i wolnuto poprowadziła chodnikiem do najbliższego rogu; Tam stanęły, kobieta wyjęła klucz i weszły do dużego domu.

Musiało minąć kilka godzin, zanim Jenneen wreszcie się obudziła. Na zewnątrz było ciemno - widziała księżyc przez rozsunięte firanki. Rozejrzała się po obcym pokoju, zastanawiając się, gdzie jest i jak się tu znalazła. Łóżko było wygodne i ciepłe, odwróciła się na drugi bok i z powrotem zamknęła oczy. . .

Leżała spokojnie, nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Szczekał pies; ktoś w oddali stukał młotkiem. Odgłos kroków i szum ulicznego ruchu. Uliczny ruch. Otworzyła szeroko oczy, przypominając sobie wszystko. Położyła się na plecach ze wzrokiem wbitym w sufit. Próbowwała się zabić. Próbowwała wybrać to, co według niej było jedynym wyjściem. Samobójstwo. Najbardziej samolubne z ludzkich zachowań. Samobójstwo i szantaż. Co się stało z jej życiem? Kiedy wszystko się popsuło?

Usiadła na łóżku. Przypomniła sobie kobietę, klęczącą obok niej na jezdni, która potem przyprowadziła ją do tego domu. Otworzyły się drzwi i weszła ta sama kobieta. Sprawiała wrażenie zaskoczonej, że Jenneen siedzi. Uśmiechnęła się, a Jenneen znowu zaczęła się zastanawiać, skąd ją zna. Szukała gorączkowo w pamięci. Gdzie ją wcześniej spotkała? Nic nie przychodziło jej do głowy.

- Jak się pani czuje?

Jenneen pokiwała głową i zdobyła się na słaby uśmiech.

- Chyba dobrze.

- Jest pani bardzo blada, może powinna pani jechać do szpitala.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. Kobieta zbliżyła się do łóżka.

- Czuję się, jakbym skądś panią znała.

Kobieta roześmiała się. Był to młodzieńczy śmiech i nagle zaczęła wyglądać dużo młodziej, prawie jak nastolatka.

- Spotkałyśmy się u Roberta Blackwella. Mój kuzyn nas zapoznał. Paul, pamięta pani? Jestem Victoria Deane.

-No tak, oczywiście. Przepraszam, nie przypomniałam sobie od razu.

- Nie szkodzi -uspokoila ją Victoria. - Może pani się położy, aja przyniosę herbatę. Właśnie zaparzyłam świeżą. Wyszła z pokoju. Jenneen wpatrywała się przez chwilę w drzwi. Musi wstać. Nie może tu zostać ani chwili dłużej. Victoria jest bardzo miła, ale zapewne marzy tylko o tym, żeby się jej już pozbyć.

Wyszła z łóżka i rozejrzała się za swoim ubraniem. Leżało na krześle, starannie poskładane. Włożyła je szybko i przypomniała

sobie, że tego popołudnia miała w planie kręcenie zdjęć. Musi zadzwonić do Billa. Będzie wściekły. Ostrzegł ją w zeszłym tygodniu, że jej postępowanie zaczyna zwracać uwagę i że nie może wciąż lekceważyć swoich obowiązków. Dyrekcja z pewnością zażąda od niej Wyjaśnień, a ona nie będzie w stanie ich udzielić. Victoria nalewała w kuchni herbatę.

- Mogę zadzwonić po taksówkę? - spytała Jenneen. Victoria odwróciła się do niej z niepewną miną.

- Myślę, że nie powinna pani już dziś nigdzie wychodzić - powiedziała. - Przymyślniej nie sama. Może pani po kogoś zadzwoni? - Jenneen spuściła oczy i Victoria domyśliła się, że nie chce, by ktoś się dowiedział o tym, co się wydarzyło. - Przeżyła pani spory szok. Dlaczego nie zostanie pani tutaj...? - zaproponowała.

- Ale...

- Proszę nie odmawiać. Chcę, żeby pani została. Może utniemy sobie pogawędkę, do której nie miałyśmy okazji u Roberta.

Wsunęła Jenneen do ręki filiżankę. Jenneen uśmiechnęła się z wdzięcznością. Miała ochotę zostać.

- Przejdźmy tutaj. - Victoria pchnęła drzwi do saloniku.

- Powinam zadzwonić do mojego szefa - odezwała się Jenneen, siadając na sofie. - Mieliśmy dziś po południu filmować.

- Już to zrobiłam. Proszę się o nic nie martwić, okazał zrozumienie. Powiedział, żeby się pani nie martwiła i że zadzwoni do pani jutro.

- Chyba mu pani nie powiedziała...?

- Nie. - Victoria potrząsnęła głową.

- Dzięki. Tym razem już mi nie ujdzie na sucho - jęknęła Jenneen.

- Później się pani będzie tym martwić - ucieła Victoria. - Teraz proszę pić herbatę, zanim wystygnie.

Przez chwilę nie mówiły. Jenneen rozglądała się po pokoju, popijając herbatę drobnymi łykami. Wzruszył ją widok mnóstwa fotografii Paula. Dwie z nich były zrobione niedawno.

- Dlaczego? - spytała w końcu Victoria, tak cicho, że Jenneen ledwo ją usłyszała.

- Co, dlaczego?

- Dlaczego chciałaś to zrobić?

Jenneen poczuła, że ręce zaczynają jej drżeć. Odstawiła filiżankę na stolik przy sofie.

- Przepraszam. To nie moja sprawa. Nie powinnam była pytać.

- Nic się nie stało, nie przepraszaj. Masz prawo zapytać. W końcu uratowałaś mi życie i chyba powinnam ci być wdzięczna.

- Nie chodzi o wdzięczność. To powinna być ulga. Wiesz, że to nie jest rozwiązanie.

- Nie jest? Rozwiązałoby wiele spraw.

- Nie sądzę. Nie może być aż tak źle.

- Ależ może, może.

- Chcesz o tym porozmawiać? Jenneen pokręciła głową.

- To by mogło pomóc.

- Nie pomoże. Muszę sobie z tym poradzić sama.

- Jak chcesz, ale gdybyś zmieniła zdanie...

- Dzięki Victoria wstała.

- Przygotowałam dla nas coś do jedzenia, powinno już być gotowe. Mam nadzieję, że jesteś głodna.

- Jesteś naprawdę bardzo miła.

Victoria skrzywiła się zabawnie. Wyszły razem z pokoju.

- Mogę w czymś pomóc? - zaoferowała się Jenneen.

- Nie. Dziś wieczorem masz być rozpieszczana; to rozkaz. Wracaj do salonu i usiądź, zawołam cię, jak będzie podane. Jenneen posłusznie wykonała polecenie. Oglądanie Victorii w takiej roli było niespodzianką. Kiedy spotkały się po raz pierwszy, Victoria zrobiła na Jenneen wrażenie zblazowanej blondynki, srzędzającej życie na zabawie i przyjemnościach. Okazało się, że ma i inne oblicze, ciepłe i przyjazne. Jenneen czuła, że naprawdę ją lubi. Podczas jedzenia rozmawiały i śmiały się. Nie wspominały o tym, co się stało, więc Jenneen zaczęła się rozluźniać. Czuła się tu dobrze i bezpiecznie, nie musiała się niczego obawiać.

Słuchając, jak Victoria opowiada o swoim życiu, Jenneen obser-

wowała jej twarz. Była to młoda, twarz, pełna życiowej energii. Podobał jej się też łagodny głos Victorii, przechodzący chwilami w wybuchy radosnego, dziewczęcego śmiechu.

Opowiadała o sieci butików, które prowadziła w Londynie. Jenneen wielokrotnie robiła w nich zakupy.

Vicky, bo tak kazała się nazywać, odziedziczyła trochę pieniędzy po dziadku i z pomocą rodziców udało jej się rozkręcić interes, który dał im dochody, o jakich na początku nawet im się nie śniło.

Przyjemnie było słuchać. Słuchać o życiu kogoś, kto jest szczęśliwy i żyje w prostym, nieskomplikowanym świecie. Jenneen wcale jej nie zazdrościła, tylko lubiła ją za to jeszcze bardziej.

Później przeniosły się znowu do salonu i Vicky otworzyła butelkę brandy.

Wracając później myślą do tego wieczoru, Jenneen z uśmiechem zastanawiała się, jak to się stało, że wyznała wszystko, całą ponurą prawdę, osobie, która na dobrą sprawę była jej obca.

Vicky wysłuchiwała jej nie przerywając. Widziała w twarzy Jenneen ból i niepewność. Serce jej się krajało ze współczucia, gdy słuchała o pani Green, Matthew i Kate. Patrząc na siedzącą przed nią Jenneen, słabą i niepozorną, nie mogła uwierzyć, że gdzieś pod powierzchnią czai się występna postać pani Green. Albo że ktoś może ją tak krzywdzić jak Matthew. Go do Kate, Vicky była pewna, że wróci.

Skończywszy swą długą opowieść, Jenneen spojrzała na Vicky, siedzącą naprzeciw niej, lecz ukrytą w cieniu. Odniosła wrażenie, że Vicky odsuwa się od niej z niechęcią, Tego się właśnie spodziewała. Ale kiedy Vicky pochylila się, by dolać brandy do kieliszków, Jenneen dostrzegła, że uśmiecha się smutnym, współczującym uśmiechem.

- Nie powinnaś zostać z tym sama, Jenneen - powiedziała.

- A co innego mogłabym zrobić?

Potrzebujesz pomocy. Może powinnaś jej szukać u specjalisty. - Nie, nie mogę.

- Ale to ci rujnuje życie. Musisz porozmawiać o tym z kimś, kto zrozumie i będzie mógł ci pomóc. Jenneen przymknęła oczy i przyglądała włosy.

- Nie powinnam była ci tego mówić.

- Ależ powinnaś. Za długo to w sobie dusisz. Czy któraś z twoich przyjaciółek wie?

- Mój Boże, nie - powiedziała Jenneen, wstrząsając się na samą myśl.

- Posłuchaj, mówiąc szczerze, wcale nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Tak, wiem, łatwo mi mówić, ale można coś z tym zrobić, o ile pozwolisz sobie pomóc, na początek choćby przyjaciółce. A skoro ci się wydaje, że nie potrafisz mówić o tym z kimś, kogo dobrze znasz, to może ja spróbuję? W końcu i tak już sporo wiem.

Jenneen czuła, że zbiera jej się na płacz.

- Ale przecież nic nie możesz zrobić. Chyba to widzisz. Nikt nie może nic zrobić.

- To prawda, dopóki nie będziesz przygotowana, żeby pomóc sobie samej.

Jenneen czuła, że coś ściska ją w gardle.

- A ty chcesz sobie pomóc, prawda?

Jenneen patrzyła bezradnie na swoje ręce. Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Chyba tak.

- Cóż, zawsze można spróbować, a ja ci pomogę, na ile tylko będę mogła.

Jenneen zmarszczyła brwi, spojrzała w oczy Vicky.

- Dlaczego? Nie rozumiem. Przecież ledwie mnie znasz.

- To nie ma znaczenia. - Uśmiechnęła się. - Każdy ma w życiu taki okres, kiedy potrzebuje pomocy. Kiedy czuje, że nie ma się do kogo zwrócić, wtedy gdy najbardziej tego potrzebuje. Wiem, co to znaczy, tak się czuć. Tak niepewnie i samotnie, że nie chce się dłużej żyć. Że nawet gdyby ktoś przy nas był, i tak by nie zrozumiał. Kiedy wszystko wydaje się takie beznadziejne i bezcelowe, że posuwamy się w kółko po omacku, próbując z tym wszystkim skończyć. Usiłujemy znaleźć coś, co mogłoby znowu nadać sens naszemu życiu, ale nie znajdujemy nic w tej ciemności, tylko pustkę bez dna i kresu.

Vicky uśmiechnęła się, widząc zaskoczenie w oczach Jermees. Pokiwała głową.

- Tak, Jenn, ja też tam byłam. Ale potem, w momencie gdy czułam, że już nic mnie nie czeka, że nie ma nadziei, pojawił się ktoś w moim życiu i pomógł mi. Pomógł mi zaakceptować siebie taką, jaka jestem, i pozbyć się wstydu. To była długa i chwilami ciężka podróż, ale nigdy mnie nie zawiódł w swoim uczuciu i poparciu. I teraz wiem, że aby w pełni docenić życie i w pełni w siebie uwierzyć, musisz przyjąć i pokonać wszystko, co życie postawi na twojej drodze. Jestem teraz bogatsza, bardziej szczerza wobec siebie i wobec życia. W ten sposób życie kształtuje człowieka. Rani go i dostarcza mu bólu, aż wydaje mu się, że więcej nie wytrzyma. Wtedy następuje zmiana i człowiek powraca do życia. I kiedy już powróci, rozumie wiele rzeczy, których wcześniej nie pojmował. Odczuwa cudzy ból i cudzą radość i w końcu, wreszcie, jest pełny, choć inny niż przedtem. Wielu z nas musi tego doświadczyć, Jenneen, bardzo wielu. Nie wolno kwestionować wyroków losu czy też Boga, jakkolwiek by je nazwać, bo i tak nigdy nie otrzymamy odpowiedzi. W gruncie rzeczy dobrze, że zdobywamy takie doświadczenia, bo później możemy pomóc innym, kiedy przechodzą przez to samo. Chyba właśnie dlatego chcę ci pomóc.

- I nie przeszkadza ci, że prawie mnie nie znasz?

- Czasami tak jest nawet łatwiej - odparła Vicky. - Czasami najtrudniej dotrzeć do ludzi, którzy są nam najbliżsi, a tak naprawdę wcale nas nie znają.

Jenneen pomyślała nad tym, co powiedziała Yicky, i wolno pokiwała głową.

- Tak. Chyba masz rację. Nie znają nas.

- W innej części Londynu, tuż przed rozpoczęciem przedstawienia, Ellamarie rozpaczliwie próbowała dodzwonić się do Jenneen. Nie miała od niej wiadomości od kilku dni i już nie tylko była zaniepokojona, lecz wręcz się bała. W mieszkaniu Jenneen nikt nie podnosił słuchawki. Ellamarie wybiegła z garderoby, żeby zdążyć na czas swego wyjścia na scenę.

Po przedstawieniu, kiedy wróciła do garderoby, ledwie mogła się przecisnąć przez drzwi, tyle tam było kwiatów. I tak samo jak zawsze, nie było przy nich żadnego bileciku.

Kate siedziała wyprostowana na szpitalnym łóżku, sama w oddzielnym pokoju. Minęły prawie trzy tygodnie, odkąd zabrano ją powtórnie do szpitala, i przez cały ten czas niewiele rozumiała z tego, co działo się wokół niej. Zdawała sobie sprawę, że podłączano ją do różnych urządzeń - jedną rurkę miała wklutą w nadgarstek, druga wychodziła jej z nosa, lecz nie wiedziała, i wcale jej to nie obchodziło, po co się tam znajdowały. Codziennie odwiedzał ją lekarz; kiedy do niej mówił, w wąskiej linii jego warg ukazywały się nierówne zęby, a poważne szare oczy mrugały spazmatycznie. Po pewnym czasie Kate bez oporu odpowiadała na jego pytania, ale z początku ich nienawidziła.

Pewnego dnia dziecko przestało płakać i odtąd wydawało się, że najgorsze minęło. Odłączono jej rurki. Ojciec przyniósł telewizor, żeby mogła coś oglądać. Odwiedziły ją przyjaciółki. Tylko Jenneen z nimi nie było. Dopiero po jakimś czasie Kate przypomniała sobie, co między nimi zaszło, ale nawet wówczas nie potrafiła o tym rozmawiać.

Gapiała się w ekran telewizora, choć trudno byłoby powiedzieć, że cokolwiek ogląda. Jutro miała wyjść do domu i była z tego zadowolona. Rzeczywiście czuła się silniejsza. Nie myślała już o dziecku, przynajmniej nie tak często. Zepchnęła je w najciemniejszy zaułek swego umysłu, gdzie musiało już zostać na zawsze. Nie mówiła tego nikomu, ale zdarzało się czasem, że w środku nocy dziecięcy krzyk budził ją z głębokiego snu. Wiedziała już teraz, że to tylko sny, które z czasem przeminą.

Patrzyła na zarys swego ciała pod kołdrą. Miękkie niebieskie przykrycie marszczyło się wokół nóg, ręce spoczywały nieruchomo złożone na piersi. Przyjrzała się kwiatom, pięknie ułożonym w całym pokoju - przysłano je, żeby jej sprawić przyjemność. Większość z nich pochodziła od Ellamarie, która ostatnio dostawała ich aż za dużo. Kate uśmiechnęła się patrząc na ostatni bukiet przyniesiony

przez Ellamarie. Przyszła razem z Bobem. Obserwując ich razem, Kate zrozumiała, że nie posiada takiej siły wewnętrznej, jaką ma Ellamarie, która nigdy by się nie wpędziła w takie kłopoty. I właśnie ona najbardziej pomogła Kate pozbierać się po tym wszystkim.

W telewizji zmieniła się muzyka. Kate spojrzała na ekran; ukazały się napisy zwiastujące kolejny, dobrze jej znany program. Obraz mrugnął i na ekranie pojawiła się Jenneen.

Kate sięgnęła szybko po pilota i wyłączyła odbiornik. Ręka jej się trzęsła, więc przyciągnęła ją do siebie, próbując uspokoić drżenie.

Nie mogła patrzeć na Jenneen. Nie mogła znieść widoku jej twarzy. Wydawało jej się, że widziała w oczach Jenneen cierpienie i teraz się zastanawiała, czy ono rzeczywiście tam było, czy też tylko pragnęła je tam ujrzeć. Jenneen, droga, kochana Jenneen. Ona, Kate, nagadała jej tyle okropnych rzeczy. Zrzuciła na nią całą winę, chcąc, by poczuła ból, jakiego ona sama wówczas doznawała. Chciała prosić Jenneen o przebaczenie, lecz czy jeszcze kiedyś mogło być między nimi tak jak dawniej? Tak wiele się wydarzyło w tym krótkim czasie. Życie ich wszystkich uległo zmianie. Czy Mną się sobie obce? Nie, nie mogą się od siebie odwrócić. Musi się zobaczyć z Jenneen i błagać ją, by wybaczyła jej te wszystkie okropne oskarżenia. Musi uratować ich przyjaźń. W tej chwili była to jedyna rzecz warta uratowania.

Jenneen była ostatnio taka smutna. Jeszcze zanim się to wszystko stało, była przygnębiona. Ona jedna z nich czterech była samotna, nawet kiedy przebywały razem. Jenneen nie miała nikogo, do nikogo się nie zwracała. Była sama we własnym piekle.

Własne piekło. Kate właśnie przeszła przez coś takiego. Piekło, w którym pozostało jedno niedoszłe istnienie, jedno zamknięte życie. Muszą sobie nawzajem pomóc. Razem dadzą sobie radę.

Tyle że mogło być już za późno na nadzieję. Czy Jenneen będzie w stanie kiedykolwiek jej wybaczyć? A nawet jeśli wybaczy, czy będzie umiała zapomnieć, jak okrutnie Kate się do niej odniosła? Jak, zaślepiona własnym cierpieniem, Kate raniła wszystkich wokół siebie, nie przyjmując do wiadomości, że i oni mogą cierpieć.

Odwróciła głowę na bok, tak że łzy kapały z oczu wprost na poduszkę.

- Och, Jenn - szepnęła. - Jenn, proszę, wybacz mi. Tak bardzo cię Kocham, proszę, wybacz.

Nie usłyszała otwierania drzwi i nie zdawała sobie sprawy z tego, że ktoś oprócz niej jest w pokoju, dopóki nie poczuła, że czyjaś dłoń dotyka jej ręki. Spojrzała na tę dłoń. Była to śniada męska dłoń o długich szczupłych palcach, po zewnętrznej stronie porośniętych krótkimi czarnymi włoskami. Jej własna dłoń w zestawieniu z nią wydawała się dziwnie drobna i biała. Serce podskoczyło jej do gardła. To był Joel. Wrócił do niej, tak jak się zawsze spodziewała;

Spojrzała w górę i zobaczyła, że to Nick stoi przy łóżku i uśmiecha się do mej. Zamknęła oczy i próbowała odpowiedzieć mu uśmiechem. Wciąż te złudzenia, czy nigdy się nie skończą?

- Cześć.

Otworzyła oczy i znowu popatrzyła na niego. Miał niemal doskonale piękną twarz, lecz nie pozbawioną męskiej surowości. Kręcone ciemne włosy opadały mu na kołnierz, a niebieskie oczy, otoczone siateczką zmarszczek, kiedy się śmiał, patrzyły na nią z ciepłym uśmiechem. Dostrzegła, że pod prawym okiem ma pieprzyk, którego nigdy wcześniej nie zauważyła. Spodobał jej się - był małą niedoskonałością w tej doskonałej twarzy.

-*Cześć - odpowiedziała wreszcie na przywitanie.

Podał jej pudełko chusteczek higienicznych, które leżało przy łóżku. Wytarła oczy.

- Przepraszam - Próbowała się roześmiać. - Ostatnio chyba nic innego nie robię.

- To może czas, żebyś przestała - zasugerował. - Chyba, że ci to pomaga.

Zdołała się jednak uśmiechnąć. Usiadła na łóżku.

- Nie jestem pewna, czy pomaga, ale i tak płaczę. Przyciągnął ją do siebie, poprawił poduszki i pomógł jej się wygodnie oprzeć. Widziała, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. -Co jest?

- Nic, tylko czuję się głupio - wyznał. - Przychodzę tu, próbuję zastępować pielęgniarzkę i zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

- I to ma być śmieszne?

- Właściwie nie - roześmiał się.

Też nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Przysunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku.

- Więc jutro wracasz do domu?

~ Najwyższy czas. Leżenie tutaj tylko mi o wszystkim przypomina.

Uciekł wzrokiem, a Kate zastanawiała się, czy mówienie na ten temat sprawia mu przykrość. Postanowiła więcej o tym nie wspominać.

- Nie spodziewałam się, że cię jeszcze zobaczę. Nie powinnam była sprawiać ci zawodu. Przepraszam. Byłeś na mnie wtedy bardzo zły?

- Owszem, byłem - potwierdził lekko. - Ale teraz to już nie ma znaczenia.

Nagle poczuła ochotę, żeby go dotknąć.

- Może masz chęć na winogrona? Rzucił okiem na leżące przy łóżku owoce.

- Yhm. Poważnie się zastanawiam nad produkcją wina, jak stąd wyjdę. Dobry jesteś w handlu?

- Rewelacyjny!

- To masz pracę. Pomyślałam, że nazwę moje nowe przedsiębiorstwo „Karafka Kate”. Co o tym myślisz?

- Myślę, że się cieszę, że cię widzę. Zarumieniła się.

- Wyglądam okropnie. - Przeczesała włosy palcami, - Yhm, widziałem cię w lepszej formie.

- Co za kurtuazja.

- A tak naprawdę, jak się czujesz? - spytał znienacka zupełnie poważnie.

Odwróciła wzrok. Oczy znowu jej zaszły łzami.

- Przepraszam, zdenerwowałem cię - wycofywał się. - Nie powinienem był pytać.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Są momenty, kiedy wszystko wydaje mi się takie okropne i myślę, że dłużej nie wytrzymam, ale to mija.

- Widziałaś się z nim?

- Z Joelem? Nie.

Twarz mu stężała, i przez moment miała wrażenie, że jest zły. Po chwili znowu przybrał pogodną minę.

- Może, jak się poczujesz lepiej, spędzimy razem ten wolny dzień, o którym już rozmawialiśmy?

Ich spojrzenia spotkały się. Kate pierwsza opuściła głowę.

- Nie wiem, Nick. Nie wiem, czy w ogóle chcę kogoś obok siebie. Przynajmniej nie teraz.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Rozumiem. Ale obiecujesz, że zadzwonisz, jak zmienisz zdanie?

- Ty będziesz pierwszy, obiecuję - zapewniła go z uśmiechem. Miał w oczach tyle czułości, że znowu poczuła ochotę, by

wyciągnąć rękę i go dotknąć.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Nick.

- Będę czekał - obiecał. Podniósł się z krzesła i wyszedł.

Rozdział 20

Przestań się zamartwiać - poradził Bob. - Takie rzeczy często zdarzają się aktorkom, nie jesteś pierwsza i nie ostatnia. - Siedział w stołówce na zapleczu teatru i rozmawiał z Ellamarie i Nickiem. Jego zapewnienie, że w otrzymywaniu mnóstwa anonimowych bukietów nie ma nic niepokojącego, wcale nie wygładziło zmarszczonego czoła Ellamarie.

- Słuchaj, powodem do zmartwienia mogłyby być listy z pogrózkami, ale przecież w kwiatach nie ma nic groźnego. Jeśli już, to powinno ci to raczej pochwlebiać.

- No cóż, ale mi nie pochlebia - upierała się Ełłamarie.
 - W porządku, zgoda. Ale przecież ja tu jestem. Nie dopuszczę, żeby ci się coś stało. Zresztą, co by ci się miało stać? Nie wiem, czym się martwisz.
- Ełłamarie puściła oko do Nicka.
- Mój osobisty superman. Bob mówił dalej:
 - Pewnie jest bardzo samotny i nieśmiały. Kto wie, może przypominasz mu matkę.
- Nick wybuchnął śmiechem na widok miny Ełłamarie.
- Zaraz cię palnę - zagroziła. Bob uchylił się przed ciosem.
 - Nie podają jeszcze kawy? - zdziwił się Nick, spoglądając na zegarek.
 - Jest jeszcze wcześniej - wyjaśniła Ełłamarie. - Nie masz ochoty się przysiąc?
- Nick poszedł przynieść sobie krzesło od sąsiedniego stolika. Wracając spostrzegł, że Bob gładzi Ełłamarie po policzku i coś, do niej szepcze. Dosiadł się do nich i starał się nie być intruzem.
- Rozchmurz się - powiedziała Ełłamarie, spoglądając na jego ponurą minę.
 - Nie wiem, co to jest, ale ile razy widzę was razem, odczuwam zazdrość - wyznał z uśmiechem.
 - Hmm, bardzo mi przykro - oświadczył Bob z udawaną powagą -ale nie masz na nią szans. Ona jest moja.
 - Nie to miałem na myśli.
 - No więc możesz być pewien, że jego też nie dostaniesz-włączyła się Ełłamarie.
 - Może to właśnie to r- zastanowił się głośno Nick. - Wy dwoje jesteście zawsze tacy szczęśliwi i wesf li, kiedy jesteście razem. Ile razy na was patrzę; zastanawiam się, jak to jest - być kimś takim jak wy. Czy życie jest naprawdę takie wspaniałe, jak to po was widać?
- Bob i Ełłamarie wymienili spojrzenia. Bob pokręcił głową ; - Nie - oświadczył stanowczo. - Jest jeszcze lepsze, niż na to wygląda.

Ellamarie zachichotała i zwróciła się do Nicka.

- On jest taki romantyczny. Nie zamieniłabym go nawet na nowszy model.

Bob uszczypnął ją, aż pisnęła.

- No cóż, ja bym się chyba zdecydował.

- Sprawiacie na mnie wrażenie pary idealnej. Bob zajrzał mu głęboko w oczy.

- Niezupełnie.

Nick poczuł się nagle zażenowany. Cóż za głupstwo palnął.

- Przepraszam, nie pomyślałem.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła go Ellamarie. - Każdy ma swój garb. Widziałeś się z Kate?

Pokręcił głową.

- Nie widziałem jej od czasu, jak wyszła ze szpitala. Jak się miewa?

- Obawiam się, że nie najlepiej. Nadal jest przygnębiona, ale tego się Chyba należało spodziewać. Zabieram ją jutro na parę dni w takie pewne miejsce w Szkocji. Sądzę, że przyda jej się mały urlop.

Nick się nie odezwał.

- Czemu do niej nie zadzwonisz? - spytał Bob.

- Ona wie, gdzie mnie może znaleźć, jeśli zechce. Nie chcę się narzucać.

Bob wzruszył ramionami.

- Twoja sprawa. Ale uważaj, żebyś nie przedobrzył; Wyciągnął scenariusz *Królowej Kornwalii* i zaczęli w trójkę o nim

rozmawiać. Parę tygodni wcześniej zrobili już pierwsze czytanie, z dublerami, żeby zorientować się w tekście. Bob i Adrian Cowley, który miał być producentem filmu, odbyli wiele spotkań z bankierami, ludźmi interesu i innymi potencjalnymi sponsorami. Zainteresowanie wokół całego przedsięwzięcia rosło, głównie dzięki temu, że Bob firmował je swoim nazwiskiem.

- Dostaję dreszczy za każdym razem, gdy sobie wyobrażę siebie na wielkim ekranie - przyznała się Ellamarie.

- Trudno mi uwierzyć, że tak będzie naprawdę. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, jak

bardzo zawsze chciałam wystąpić w filmie. To znaczy, zawsze chciałam, ale teraz, kiedy to ma nastąpić, wprost nie mogę uwierzyć. Będę gwiazdą filmową! Poczekaście tylko... Ty się ze mnie śmiejesz -przerwała, patrząc na Boba. Rzeczywiście się śmiał. Pochylił się nad stolikiem i pocałował ją w czubek nosa.

- Kocham cię - powiedział i mrugnął porozumiewawczo.

- Zostajesz na dzisiejsze przedstawienie? - spytała.

- Obawiam się, że nie będę mógł. Umówiłem się z Adrianem na spotkanie o siódmej, żeby omówić parę spraw, a potem muszę pojechać do Coliseum. Ale wrócę na czas, żeby cię odebrać.

Elsie, obsługująca bufet, weszła w tym momencie za ladę i Ellamarie podniosła się, żeby przynieść dla wszystkich kawę.

Stojąc przy ladzie i obserwując pozostawionych przy stoliku mężczyzn, Ellamarie myślała o Nicku i Kate. Była przekonana, że Nick podkochuje się w Kate, a Kate niewątpliwie potrzebowała teraz kogoś życzliwego. Musiała odzyskać wiarę w siebie i poczucie własnej godności. Może Nick mógł jej w tym pomóc?

Postanowiła porozmawiać o tym z Ashley, zanim wyjedzie z Kate do Szkocji. Ashley będzie wiedziała, co robić.

Elsie podała trzy kawy. Ellamarie zaniósła je do stolika. Nie mogła się doczekać jutrzejszego wyjazdu do Szkocji. Wiedziała, że nie robi tego wyłącznie z uwagi na zdrowie Kate, choć modliła się o nie do swojego katolickiego Boga. Jechała także z tego względu, że przedstawienia *Wieczoru Trzech Króli* miały być przerwane na tydzień, Bob miał mnóstwo zajęć w Coliseum przy *Don Giovannim*, a Nick wracał do Narodowego z *Wachlarzem Lady Windermere*. Większość pozostałych członków obsady rozjeżdżała się po kraju z innym repertuarem, toteż Ellamarie, która nie miała w perspektywie nawet żadnego przesłuchania, wołała wynieść się z Londynu, żeby nie tracić czasu na rozmyślanie o braku nowych ról. Bobowi pomysł wyjazdu nie bardzo przypadł do gustu; marudził, że będzie za nią tęsknił, lecz ona wiedziała, że przy takim nawale obowiązków nawet nie odczuje jej braku, więc powiedziała mu, że w tej chwili ważniejsze są potrzeby Kate. Miała zamiar zabrać Kate w miejsce, gdzie była

z Bobem wkrótce po tym, jak się poznali. Tam, gdzie po raz pierwszy wyznał jej miłość i gdzie po raz pierwszy się kochali. Nie bardzo wiedziała, dlaczego akurat tam chce zawieźć Kate. Skoro to miejsce było szczególnie dla niej, może stanie się takie i dla Kate.

Udawiała, że słucha Boba i Nicka omawiających pierwsze kwestie z *Królowej Kornwalii*, ale błądziła myślami wokół tego, co Nick powiedział o niej i o Bobie. Czy naprawdę wyglądali na idealną parę? Czasami czuła, że naprawdę nią są. Nie mogła jednak pozbyć się obawy, że to nie może trwać wiecznie. Że zdarzy się coś strasznego i straci Boba na zawsze. Jak fałszywe bywają pozory, pomyślała z gorczyzą. Niby tacy szczęśliwi, wpatrzeni w siebie, a jednak coś ich dzieli. Czy w ogóle istniało coś takiego jak doskonała para i doskonałe szczęście?

Blanche poruszyła się przez sen i przewróciła się na drugi bok. Włosy rozsypały się po poduszce, a promień słońca rzucił jasną plamę na jej twarz.

Julian pogłaskał ją leciutko palcem po policzku - nie chciał jej budzić. Siedział obok na łóżku, patrzył na wschodzące słońce i żałował, że nie może spać tak smacznie jak ona.

Znowu obudził go o świcie ten sam koszmary sen. Ten, który prześladował go co noc. Stał przed ołtarzem z Blanche. Ksiądz pytał, czy ktoś zna powody, dla których tych dwoje ludzi nie powinno się wiązać świętym węzłem małżeńskim, i za każdym razem rozlegał się ten sam głos, wołający, że on kocha inną i nie wolno mu żenić się z tą kobietą. Wiedział, że to jego własny głos, wydobywający się gdzieś ze środka, ostrzegający go, by się powstrzymał, póki nie jest za późno. Budził się półprzytomny, zlany potem.

Przecież kocham Blanche, powtarzał sobie. Naprawdę ją kocham. Daje mi szczęście. Ma wszelkie zalety, jakich mógłbym szukać u żony. Więc dlaczego, pytał głos, dlaczego jesteś niespokojny?

Znał odpowiedź. W głębi duszy wiedział dlaczego, lecz aż do tej chwili nie był w stanie spojrzeć prawdzie w oczy. Ale prawda

pójdzie za tobą wszędzie, gdziekolwiek będziesz, ostrzegaj głos. Nie można się ukryć przed prawdą. Przyznaj się. Przyznaj się, że kochasz kogoś innego jeszcze bardziej niż Blanche. Przyznaj się, że popełniłeś błąd.

Przyznaj się teraz, zanim będzie za późno.

Wyskoczył z łóżka i stanął przy oknie. Słońce było już wysoko, ptaki świergotały pełnym chórem.

Rozpoczął się śliczny dzień. Jeden z pierwszych dni wiosny.

Do ślubu został jeszcze tylko tydzień. Za tydzień Blanche będzie jego żoną. Spojrzał na nią ponownie i jego twarz nie zmieniła wyrazu. Nie zastanawiał się, czy ona także ma jakieś wątpliwości i obawy. Wiedział, że nie. Znał ją tak dobrze, że czasami odgadywał jej myśli, zanim zdążyła je wypowiedzieć. Kiedyś wierzył, że o to właśnie chodzi w prawdziwej miłości - wiedzieć, co myśli ta druga osoba. Teraz rozumiał, że jest to cecha miłości, ale takiej, jaka łączy brata i siostrę. Poznanie głębi czyjegoś umysłu oznaczało poznanie całkowite, bez miejsca na tajemnicę, na tę niewytłumaczalną siłę przyciągania łączącą kochanków. To właśnie czuł do Blanche - braterską miłość, głęboką i trwałą, i bezpieczną.

Przestań uciekać, mówił głos. Staw czoło prawdzie.

Ashley. Gdzie ona teraz jest? Co robi? Zastanawiał się, czy jeszcze o nim myśli. Tak, to ona nawiedzała go w snach, to przez nią ten wewnętrzny głos kazał mu zmierzyć się z prawdą. Nagle poczuł się tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion wielki ciężar. Pogodził się z prawdą. Kochał Ashley, zawsze ją kochał, a próbując temu zaprzeczyć, Oszukiwał tylko siebie i ją.

Tęsknił do jej dotyku, uśmiechu, do jej delikatności, nawet do jej zapachu. I dlatego się bał. Bał się, że już nigdy nie będzie mógł jej objąć, nigdy nie zobaczy jej uśmiechu, nigdy nie będzie się z nią kochał. Bał się, że jeśli nie będzie szczęty wobec własnego serca, to serce mu nigdy nie wybaczy.

Wrócił do łóżka i spojrzał na śpiącą Blanche. Powie jej, musi jej powiedzieć. Kiedy będzie składał przysięgę małżeńską, chce mieć przy swoim boku tylko jedną kobietę, a tą kobietą niestety nie jest Blanche. Żałował tego, ale wiedział, że ona nigdy tego żalu nie zrozumie.

Deszcz lunął z jasnego nieba. Bez zapowiedzi, bez jednego podmuchu wiatru; po prostu nagle zaczęło padać. Keith i Ashley zorientowali się, że zaszli znacznie dalej, niż im się wydawało, i czeka ich długa droga z powrotem do wioski.

Keith śmiał się z niej, bo osłonięta kapturem, chustką i kapeluszem poruszała się po omacku, dosłownie nie widząc nic przed sobą. W końcu wziął ją za rękę i pociągnął do zajazdu w Long Meľford. Zanim tam dotarli, deszcz wprawdzie ustał, ale zdążyli przemoknąć do suchej nitki.

Pobiegli szybko na górę do swojego pokoju, wychodzącego na główną ulicę wsi, i zaczęli pośpiesznie zrzucać z siebie mokre ubrania. Cały czas śmiali się i ciskali w siebie ręcznikami.

- Jesteś brutalnym osiłkiem! - krzyknęła Ashley, kiedy przewrócił ją na łóżko.

- Tobie też nic nie brakuje - odciął się Keith, podziwiając jej zręczny unik,

Zarzucił sobie ręcznik na głowę i energicznie wycierał włosy; Kiedy skończył, wyglądał tak zabawnie, że Ashley wręcz zwijała się ze śmiechu.

- Sama popatrz w lustro - poradził, siadając na krześle pod oknem. - Gdzie ta brandy, którą kupiłeś po drodze?

- spytała Ashley.

Przydałaby mi się kropelka.

- Świetny pomysł. - Keith poszedł do walizki po butelkę. Wybrali się na wspólny weekend poza domem z jednego, jedyne-

powodu... tak przynajmniej sobie mówili. Alex wyjechał na biwak z drużyną skautów, po raz pierwszy z dala ód rodziny. Ashley miała wiele oporów w związku z jego wyjazdem, ale Keith i jej ojciec byli nieustępliwi.

Alex był zachwycony perspektywą nowej przygody, a Ashley skrywała urazę, że tak mu śpieszno opuścić rodzinę. Keith okazał stanowczość. Choć i on miał pewne obiekcje, lecz nie zdradził się z nimi przed Ashley.

Tak było aż do wczorajszego wyjazdu Alexa.

Keith nalał trochę brandy do kubka od mycia zębów i podał Ashley. Siedziała na łóżku, spoglądając przez okno na ponury, deszczowy krajobraz.

Alex byłby wściekły, gdyby wiedział, że rodzice są tak blisko. Keith zadzwonił do opiekuna grupy skautów i zawiadomił go, że są w pobliżu, na wypadek gdyby Alex bardzo tęsknił za domem.

- Ciekawa jestem, co on teraz robi? - zastanawiała się głośno Ashley. Wzięła od Keitha kubek, nie odrywając wzroku od okna.

- Pewnie siedzi przy biwakowym ognisku, piecze kielbasę i pokrywa się warstwą brudu jak prosiak - odpowiedział Keith. - Żałuję, że nie mogę tego zobaczyć. - Otoczył ją ramieniem. - Nic mu nie będzie. Nawet o nas nie pomyśli, tak będzie pochłonięty zabawą. Może pójdziemy w jego ślady?

- Masz rację - zgodziła się. Wstrzymała oddech, widząc wyraz jego twarzy. Nie poruszyła się, kiedy wolno pochylił głowę i dotknął ustami jej warg. Po chwili położyła się na plecach i zamknęła oczy, oddając pocałunek. Zaczął odpinać jej bluzkę.

Od wielu miesięcy często przebywali razem, ale dotąd nie zaszło między nimi coś takiego. Wiedziała, że go pragnie.

Szybko zdjął ubranie, patrząc na nią i czując, jak całe jego ciało reaguje na wyraz jej oczu. Kiedy przesuwając palcami od jej szyi, przez ramiona, aż do piersi, przeszedł ją dreszcz; wyciągnęła do niego ręce, szepcząc, by do niej przyszedł. Nakrył ją sobą i zaraz potem był w niej, próbując delikatnie i cofając się, nie spuszczać oczu z jej twarzy. Objęła go za szyję i przejechała językiem po wargach. Przycisnął ją do siebie z westchnieniem, wchodząc w nią głębiej. Czując, że jest coraz bliżej, unoszony falą spełnienia, pchnął silniej, przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej, aż wreszcie opadł na nią ciężko, głośno dysząc i trzymając ją w kurczowym uścisku.

Leżeli tak razem przez długi czas. Wreszcie podniósł się i odwrócił ją twarzą do siebie.

- Nie miałaś, prawda? - Odgarnął jej włosy z czoła. Spuściła głowę i szepnęła, że to nie ma znaczenia.

- Dla mnie ma.

Wzięła jego rękę i podniosła do ust.

- Nie powinno.

Czuł, że się od niego oddala. Że umyka mu w otchłań własnych myśli, o których wiedział, że są dla niego niedostępne,

- Dokąd idziesz? - spytała, widząc, że podnosi się z łóżka.

- Wykąpać się przed kolacją. Wyszedł z pokoju.

Ashley leżała wsparta na poduszkach i wpatrywała się w okno. Na zewnątrz było już ciemno; panujący w pokoju mrok rozświetlała jedynie uliczna lampa za oknem. Ashley zadrżała. P owinęła się koeem. Nie od razu zorientowała się, że płacze. Próbowwała nie wymawiać jego imienia, ale samo znalazło się na jej ustach, bo było w jej sercu. Tak bardzo za nim tęskniła.

Już za tydzień będzie człowiekiem żonatym. Tylko tydzień. Żadne udawanie tego nie zmieni. Żadna tęsknota go nie zwróci. Wciąż go kochała i widziała go we snach, myślenie o nim było torturą, której sama się poddawała. Zbliżenie z Keithem niczego nie zmieniło. Cały czas była spięta, bo sercem i duszą kochała się z Julianem i bała się, że wykrzyczy jego imię. Czas nie uleczył rany, tylko rozdrapywał ją wciąż od nowa.

Usiadła na łóżku, próbując wziąć się w garść. Łzy nie mogły niczego zmienić.

Co powiesz na spacer? - zaproponował Keith zerkając na zegarek. Sprawiał wrażenie szczęśliwego i ciepłe uczucie wypełniło jej serce. Była zadowolona, że zgodziła się na współżycie. Może następnym, razem będzie lepiej?

- Która godzina?

- Dziesiąta, Możemy się przejść ulicą i wstąpić na drinka do pubu. Wieczorne powietrze było nasycone zapachem mokrej ziemi

i świeżo skoszonych trawników. Był to mocny, zdrowy zapach, Keith wdychał go głęboko, wydając głośne westchnienia. Ashley obserwowała go z rozbawieniem.

- Kocham cię, Ash. - Pocałował ją w czubek nosa. - Ale ty i tak już o tym wiedziałaś, prawda?

Przytaknęła.

Objął ją za ramiona i wolnym krokiem ruszyli w kierunku pubu.

- Ja też cię kocham - powiedziała.

Zatrzymał się w miejscu. Tak długo czekał, żeby usłyszeć od niej te słowa. Te parę słów, które mogły przywrócić mu żonę i syna. I oto teraz, kiedy już prawie stracił nadzieję, ona je powiedziała. Stał naprzeciw niej i położył jej ręce na ramionach.

- Czy wiesz, co mówisz?

Jeszcze raz przytaknęła ruchem głowy.

- Tak, wiem, co mówię.

- Więc wiesz, o co cię teraz zapytam?

Uśmiechnęła się. W przyćmionym świetle ulicy jej oczy miały szklisty blask.

- I jak brzmi twoja odpowiedź?

- Moja odpowiedź brzmi: tak - powiedziała.

Przytulił ją i trzymał mocno, pod latarnią na brukowanej ulicy. Poczwała, że Keith płacze. Głaskała go po włosach, próbując go uspokoić. I powtarzała sobie w duchu, że to, co zrobiła, jest dobre. Dobre dla Keitha, dobre dla Alexa i dobre dla niej.

Rozdział 21

Ashley w żaden sposób nie mogła przewidzieć, że sprawy przybiorą taki obrót. Gdyby wiedziała, nigdy by się nie zgodziła wyjść za Keitha. Prawdziwy stan swojego umysłu poznała zaledwie na parę dni przed ślubem Juliana i wtedy zgodziła się powtórnie wyjść za Keitha.

Było wpół do ósmej, kiedy wreszcie dotarła do domu po ciężkim, męczącym dniu spędzonym w terenie. Mieli ponad pięć godzin spóźnienia przy czwartym z serii odcinków reklamowych dla Newslink, lecz tego dnia już nic nie mogli zrobić ze względu na brak światła.

Była wyczerpana i bardzo chciało jej się pić. Zaczęła jak zwykle przetrząsać kuchnię w poszukiwaniu cytryn. Sophia, jej sprzątaczką, miała zwyczaj chować je w różne dziwne miejsca. Tym razem znalazły się w zamrażarce. Ashley zakłęła pod nosem wyciągając sztywną torebkę. Trudno, będzie musiała wypić gin z tomkiem bez cytryny. Ten drobiazg zirytował ją bardziej niż wszystko inne tego dnia.

Usadowiła się właśnie przed telewizorem, żeby odprężyć się trochę przy jakimś teleturnieju lub mydlanej operze, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Przez chwilę wahała się, czy nie udawać, że nie ma jej w domu. Prawdopodobnie był to Keith. Poczowała wyrzuty sumienia, że go unika. Od kiedy przed dwoma dniami wrócili ze wspólnego weekendu, wydzwaniał do niej przy każdej okazji. Spodziewała się, że lada moment zjawi się w jej mieszkaniu. Nie o to chodzi, że nie chciała go widzieć, ale była zmęczona, a on pragnął omawiać plany na przyszłość. Nie żałowała, że zgodziła się za niego wyjść. Przecież widziała, że wszyscy są z tego powodu tacy szczęśliwi. Matka płakała z radości, a ojciec spacerował przez całą niedzielę z uśmiechem, którego mógłby mu pozazdrościć kot z Cheshire. Ona sama też się cieszyła, ale potrzebowała trochę czasu, żeby się oswoić z tą myślą.

Stukanie powtórzyło się. Przymknęła oczy i uświadomiła sobie, że poczucie winy bierze w niej górę. Musi otworzyć. Podeszła do drzwi przybierając miły wyraz twarzy, ale kiedy je otworzyła, serce w niej zamarło. To był Julian.

Spytał, czy może wejść. Niezdolna odpowiedzieć, usunęła się robiąc mu przejście. Zamknęła drzwi i weszła za nim do salonu.

Rozejrzał się po pokoju. Dużo czasu upłynęło od dnia, gdy był tu poprzednio. Ze zdziwieniem skonstatował, że nic się nie zmieniło. Odwrócił się do Ashley. Jej mina zdradzała zaskoczenie, a być może i złość. Poczł się niezręcznie. Nie wiedział, co powiedzieć. Albo raczej - jak to powiedzieć:

- Jak ci leci? - zaczął.

- Dziękuję, nieźle.

- Świetnie wyglądasz.

Wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

- Może się czegoś napijesz?

Nalała do szklaneczki ginu z tónikiem, podała mu i wskazała gestem krzesło. Sama stała przy stole, skrepowana, czekając żeby zaczął mówić, ale wyglądało na to, że mu się nie śpieszy.

- To niesrwdzianka - odezwała się, przerywając pełną napięcia ciszę.

- Nigdy nie pomyślałaś, że mogę przyjść?

- Nie pozwalałam sobie na takie myślenie, Julianie. Może tu podejdiesz i usiądziesz?

- Stąd też dobrze cię słyszę.

- Proszę cię. Proszę, usiądź. Chyba będzie mi łatwiej powiedzieć, z czym przyszedłem, jeśli usiądziesz.

Przeszła przez salon i usiadła na kanapie. Patrzył na nią, zastanawiając się, o czym myśli. Przeniósł spojrzenie na swoją szklanekę, potem na drzwi. Popatrzyła w tym samym kieninku, ale nie powiedziała ani słowa.

- Ostatnio dużo myślałem - zaczął wreszcie

- Tak?

- O tobie.

Serce zaczęło jej bić szybciej. Wcale nie była pewna, czy chce, aby mówił dalej.

- Nie sądzę, abym sobie z tym poradził, Ash. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Och, to nie znaczy, że nie kocham Blanche - ciągnął. - Kocham ją. Ale nie kocham jej dość mocno... to znaczy, w taki sposób, jak powinienem, do diabła, sam już nie wiem. Wiem tylko, że to nie jest w porządku.

- Rozmawiałeś z nią o tym?

- Nie mogę. - Spojrzał na nią błagalnie. - Musiałem najpierw porozmawiać z tobą.

Ściany wokół niej zawirowały.

Julian wstał z krzesła, zbliżył się i usiadł obok niej. Odstawił swojego drinka na stół.

- Wiesz, co chcę przez to powiedzieć? - spytał, ujmując jej dłoń. Patrzyła na niego rozszerzonymi źrenicami. Potrząsnęła głową.

- Nie!

- Więc ci powiem.

- Nie. - Wyrwała rękę i poderwała się na równe nogi. - Nie mów mi. Proszę cię, nie mów.

On także wstał. Chwycił ją, zanim zdążyła się od niego odsunąć. Ashley zatkała uszy rękami.

- Nie chcę tego słyszeć, Julianie. Nie mogę. Nie mogę. Odciągnął jej ręce od uszu i przytrzymał opuszczone wzdłuż ciała.

Czekał, żeby spojrziała mu w oczy. Nie zrobiła tego.

- To znaczy, że cię kocham, Ashley - powiedział.

Poczuł, że zaczyna drżeć. Płakała. Otoczył ją ramieniem i przycisnął do piersi.

- Wybacz, powinienem ci to powiedzieć już dawno, wiem. Ale chyba sam tego nie wiedziałem. Nie wiedziałem, jak bardzo cię kocham. Dopiero teraz to zrozumiałem.

Wciąż płakała. Głaskał ją po włosach, starając się ją uspokoić. Szukał odpowiednich słów.

- Czy możesz mi przebaczyć, Ashley? Próbowwała uwolnić się z jego objęć.

- Nie, nie odpychaj mnie, proszę. Kocham cię, Ashley. Proszę cię, powiedz, że ty też mnie kochasz. Powiedz, że wybaczasz mi to wszystko, przez co musiałaś przejść.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę - odparła stłumionym głosem. Wtuliła głowę w jego ramię. - Za późno, Julianie.

- Nie jest za późno. Wystarczy, że powiesz słowo, a odwołam ślub. Potrzebuję cię, Ashley. Pragnę cię, kocham cię. Co jeszcze mam powiedzieć, żebyś mi uwierzyła?

- Wierzę ci: Ale nie możesz tego zrobić, jest za późno.

- Przestań to powtarzać. Możemy zacząć wszystko od nowa. Tak jak kiedyś. Powinniśmy być razem, Ashley. Wiesz o tym. Wiedziałaś to wcześniej ode mnie, powinienem był wtedy cię posłuchać. Ale teraz

już wiem. To z tobą chcę się ożenić. Z tobą chcę dzielić życie. Nikt inny me istnieje.

- Ależ istnieje - zawołała. - Istnieje.

- Blanche? Oczywiście, będzie rozzalona. Ale lepiej, żebym jej powiedział teraz, zanim sprawy zajdą tak daleko, że już nie będzie odwrotu.

- Już zaszły za daleko. Nastąpiły pewne zmiany, Julianie.

- Czy to znaczy, że już mnie nie kochasz? - Uniósł jej podbródek i wpatrywał się w oczy.

- Nie, nie o to mi chodzi. Powiedziałam ci, że jest za późno. Nie dlatego, że cię nie kocham, tylko dlatego, że ty masz się ożenić z Blanche, a ja także wychodzę za mąż.

Puścił ją. Twarz mu pobleadła.

- Co powiedziałaś?

- Wychodzę za mąż.

- Jak to? Za kogo?

- Wychodzę za Keitha. Za Keitha!

- Mojego byłego męża.

- Wiem, kim jest, na litość boską. Zapomniałaś o tym wszystkim, co już raz przez niego przeżyłaś? Do licha, przecież to pijak, hazardzista, kobieciarz...

- Już nie - przerwała mu, nie podnosząc głosu. - Zmienił się i bardzo chce, żebym do niego wróciła. Zresztą, to będzie także najlepsze dla Alexa. Będziemy znowu rodziną.

- Nie możesz tego zrobić - upierał się Julian. - Nie możesz, Ashley. Wiesz, że zrobiłabyś wielki błąd.

- Już nic nie wiem - wyznała, odwracając się od niego, - Ale obiecałam Keithowi i mam zamiar dotrzymać obietnicy.

Chwyił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie możesz! Nie pozwolę ci. Ty mnie kochasz, Ashley. Dobrze o tym wiesz.

Wbiła wzrok w podłogę, niezdolna spojrzeć mu w oczy. Delikatnie przesunął palcem po jej brodzie i zmusił ją do podniesienia głowy.

- Powiedz, że tak nie jest, a zostawię cię w spokoju. Nie odpowiadała.

- Sama widzisz. - Jego głos miał błagalne brzmienie. - Nie możesz tego powiedzieć. Przyznaj się, Ashley. Powiedz prawdę. To mnie kochasz. Powiedz, chcę usłyszeć, jak to mówisz.

- Nie! Nie powiem tego.

- W takim razie zaprzecz.

- I nie zaprzeczę. Powiedzenie ci tego niczego by nie dowiodło. Ani niczego nie zmieniło. Musisz się ożenić z Blanche, Julianie. Musisz. A ja wyjdę za Keitha.

- Jesteś szalona! Co to jest, zgrywanie się na honor? Skrzywdzisz go jeszcze bardziej, wychodząc za niego, jeśli go nie kochasz...

- Nie powiedziałam, że go nie kocham - przerwała.

- Ale go nie kochasz. Widzę to po tobie, Ashley. Nie kochasz go. - Owszem, kocham, i wyjdę za niego. Chwytał ją za ramiona, aż się wzdrygnęła pod naciskiem jego palców.

- Nie wyjdiesz za niego - rzekł twardo. - Wyjdiesz za mnie. Ashley czuła się tak, jakby zaraz miała zemdleć. Świat wokół niej wirował. Jakże się kiedyś modliła o tę chwilę. Modliła się, żeby Julian do niej wrócił. Teraz stał przed nią, a ona go odrzucała. Nie mogła się powstrzymać.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wyrwała mu się i pobiegła otworzyć. Chciała uciec od tego choć na sekundę. Keith stał w drzwiach z wielkim bukietem kwiatów, uśniechnięty od ucha do ucha. Spozrzegł minę Ashley i ręka z kwiatami sama opadła.

- Co się stało? - spytał podchodząc do niej. - O co chodzi? Wskazała mu drzwi do salonu. Wszedł tam i znieruchomiał, widząc Juliana stojącego obok kanapy.

- Co on tu robi? - zwrócił się do Ashley, nie spuszczać oczu z Juliana.

— Powiesz mu sama, czy ja mam to zrobić? - zapytał Julian.

Julian odwrócił się od niej i spojrzał na Keitha.

- Ona wyjdzie za mnie, Keith. Bardzo mi przykro i w ogóle, ale tak to właśnie wygląda.

Przestan! - krzyknęła Ashley. Keith zbladł.

- Czy to prawda?

- Nie, to nieprawda. Nie wyjdę za ciebie, Julianie. Nie mogę. Ożenisz się z Blanche.

- Już ci to wyjaśniłem.

- Chyba byłoby lepiej, żebyś stąd wyszedł- stwierdził Keith, tracąc cierpliwość.

- Słuchaj - zaczął Julian, zwracając się do Keitha. - Czy ty tego nie rozumiesz? Ona kocha mnie. I za mnie chce wyjść. Nie możesz jej zmusić, żeby wyszła za ciebie, skoro wiesz, że ona pragnie być z kimś innym. Co to będzie za życie dla was obojga?

- Zdaje mi się - odparł ostro Keith - że to akurat nie twój interes. Słyszałeś chyba, co powiedziałem? Zabieraj się stąd.

- Ashley - nie ustępował Julian, - Na miłość boską, bądź uczciwa wobec siebie. Nawet jeśli nie chcesz być uczciwa wobec nas dwóch. - Przestań się na nią wydzierać - przerwał mu Keith. - Nie musi wysłuchiwać twoich krzyków. Zostaw ją w spokoju.

- Chcę od niej usłyszeć odpowiedź - uparł się Julian. - Nie wyjdę, dopóki jej nie usłyszę. Wiem, że mnie kocha. Ja to wiem, ty to wiesz i ona to wie. Powiedz mu, Ashley. Powiedz mu prawdę.

Keith wpatrywał się w nią wyczekująco. Odwróciła się, żeby nie widzieć cierpienia malującego się w jego oczach.

- Czy to ci wystarczy? - spytał Julian.

- Ash. - Keith próbował spojrzeć jej w twarz. - Tego właśnie chcesz? Czy nadal chodzi ci o niego? Potrząsnęła bezradnie głową.

- Nie wiem - szepnęła. - Nie wiem, Keith. Przepraszam, wiem, że to nie rozwiązuje niczego, ale w tej chwili nie jestem w stanie nie powiedzieć. Proszę was, wyjdźcie. Zostawcie mnie. Muszę zostać sama. Muszę pomyśleć, więc idźcie stąd,

- Nie zostawię cię tak - oświadczył Julian.

- Proszę cię - nalegała. - Naprawdę chcę zostać sama.

- Ash, kocham cię. Zawsze będę cię kochał, niezależnie od wszystkiego - powiedział Keith. - Pomyśl o Alexie. Pomyśl, jak on to przyjmie.

- Myślę o tym. Zapewniam cię, że o tym myślę. Ale muszę zostać sama. Proszę was, odejdźcie obydwaj. Zamknęła za nimi drzwi, próbując tym samym odciąć się od całej tej przerażająco nedorzecznej sytuacji. Dobry Boże, co powinna zrobić?

Dziecko znowu zaczęło płakać, ale Kate wcale to nie przeszkadzało. Właściwie nawet była zadowolona. To oznaczało, że może wziąć je w ramiona, pocieszyć, nakarmić i bawić się z nim. Kiedy dziecko spało, Kate czuła się samotna. Siedziała obok przyglądając się, jak drobna twarzyczka wykrzywia się przez sen, a maleńkie rączki na przemian prostują paluszki i zaciskają je w piąstki. Teraz maleństwo się obudziło, zapewne przyszła pora na jedzenie.

Kate spojrzała na zegarek. Tak, na pewno mała znowu jest głodna. Wsunęła głowę do kuchni, żeby sprawdzić, czy mleko się grzeje, a potem poszła wziąć dziecko.

Wyglądała jak małe ciepłe zawiniątko, a kiedy Kate wyjęła ją z łóżka, natychmiast przestała płakać.

Niebieskie oczka otwarły się szeroko. Kate zastanawiała się, ile mogą widzieć.

- Już, już - szepnęła. - Mamusia jest przy tobie. Jesteś głodna? O tak, na pewno. Wydaje mi się, że trzeba ci też zmienić pieluszkę, prawda?

Dziecko zakwiliło i Kate wsunęła palec w maleńką rączkę. Maleństwo uczepiło się go i ze wzruszającą niezdarnością próbowało wsadzić go sobie do buzi.

- Przepraszam, ale tu jest dla ciebie czysta pielucha, zanim dostaniesz coś do jedzenia. Nie chcemy przecież, żebyś się odparzyła, prawda? - Uśmiechnęła się ciepło do niemowlęcia.

Położyła dziecko na ręczniku rozłożonym na podłodze i zmieniła pieluchę. Mała znowu zaczęła płakać, tym razem już tylko z głodu.

- Cierpliwości, cierpliwości -nuciła Kate. - Już dostajesz. Wzięła z kuchni butelkę, usiadła z małą na kanapie i zaczęła ją karmić.
- Ojej, ależ jesteś głodna - szepnęła. - Utyjesz, jak będziesz tak ciągle jadła.
Dziecko zmrużyło oczka i głośno, łapczywie ciągnęło ze smoczka.
- Kiedy zadzwonił telefon, Kate aż podskoczyła. Spojrzała na aparat ze złością. Jeśli natychmiast nie ucichnie, wystraszy małeństwo. Telefon nie przestawał dzwonić, dopóki w końcu nie sięgnęła po słuchawkę.
- Kate! Gdzie ty się podziewałaś? Cały dzień próbuję się do, ciebie dodzwonić.
- Ach, Ellamarie... Trochę chodziłam po mieście. Miałam różne sprawy do załatwienia.
- No, wreszcie cię zastałam. Jak się czujesz?
- Bardzo dobrze.
- Sądząc po głosie, nie tak znowu bardzo - stwierdziła Ellamarie bez ogródek. - Czy ojciec nadal jest u ciebie?
- Nie, przedwczoraj wyjechał do domu.
- Jesteś pewna, że możesz mieszkać sama? Może chcesz, żebym przyjechała? Mam to przed sobą zdjęcia ze Szkocji. Jesteś na niektórych z nich, wyszłaś świetnie.
- Nie, nie przyjeżdżaj - powiedziała szybko Kate. - Naprawdę wszystko w porządku. Co u ciebie?
- Super! Sprawy *Królowej Kornwalii* posuwają się do przodu.
- To dobrze. - Kate poprawiła smoczek w buzi dziecka.
- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - spytała jeszcze raz Ellamarie. - Wydaje mi się, że masz zmieniony głos.
- Zmieniony? Nie, wydaje ci się. Tak się tylko zamyśliłam.
- Nad czym?
- Nad niczym szczególnym. Zapadła chwila milczenia.
- Nick pytał o ciebie - podjęła rozmowę Ellamarie,
- Tak?

- Tak. Chciał wiedzieć, jak się czujesz.
- Och, powiedz mu, że dobrze. Powiedz, że u mnie wszystko w porządku.
- Miał nadzieję, że zadzwonisz do niego.
- Byłam bardzo zajęta, Ellamarie. Zadzwonię do niego, jak będę miała czas. - Smoczek wysunął się dziecku z buzi; zaczęło popiskiwać. - Słuchaj, muszę już kończyć.
- Co to za odgłos?
- Jaki odgłos?
- Nie wiem. Nie słyszałaś?
- Nie, nic nie słyszałam. Naprawdę muszę kończyć, cześć. - Kate odłożyła słuchawkę. Ellamarie przez parę sekund nie odchodziła od telefonu, zaskoczona nieoczekiwanym końcem rozmowy.
- Jak ona się miewa? - spytał Bob wychodząc z łazienki.
- Sama nie wiem. Jej głos brzmiał jakoś... hmm, dziwnie.
- Dziwnie?
- Bo ja wiem... Tak jakoś niewyraźnie. Jakby nie mogła swobodnie rozmawiać.
- Może jej ojciec tam był?
- Nie, mówiła, że wyjechał do domu. Jak sądzisz, może powinnam jeszcze raz do niej zadzwonić?
- Nie tak od razu. Daj jej trochę czasu, zadzwoń za godzinę. Pewnie niepotrzebnie się martwisz. Jestem przekonany, że nic jej nie jest.
- Pewnie masz rację - zgodziła się Ellamarie, lecz nadal miała zatroskaną miinę.
- O której Nick miał tu być? Ktoś zastukał do drzwi.
- Właśnie teraz. - Ellamarie poszła otworzyć.
- Widzę, że twój adorator jest nadal bardzo hojny - stwierdził Nick wchodząc do salonu. Wszędzie dookoła stały bukiety kwiatów.

- Zrobiło się tu jak w jakiejś cholernej sali pogrzebowej - rzędził Bob. - Odetchnę z ulgą, kiedy temu facetowi wyczerpią się pieniądze albo uczucia, albo cokolwiek innego. Siedząc w tych kwiatkach, czuję się jak ogrodowy krasnal.

- Jest zazdrosny - poinformowała Nicka Ellamarie. - Mówiłam ci, Bob, jak chcesz, to też mi możesz przysyłać kwiaty. Nie będę miała nic przeciwko temu.

Bob mruknął coś pod nosem i usiadł przy stole.

Czas mijał szybko na rozmówię o *Królowej Kornwalii*. W pewnej chwili Nick zorientował się, że prawdopodobnie zabiera Ellamarie i Bobowi te cenne godziny, kiedy mogą być razem. Z pewnym skrepowaniem oświadczył, że musi już uciekać. Był wdzięczny Ellamarie za propozycję, by został jeszcze chwilę.

- Zobaczymy się jutro wieczorem - powiedział wychodząc. -Przedostamie przedstawienie, prawda? Wkrótce zmieniamy kurs?

- Na to wygląda - zgodziła się Ellamarie.

- Jeszcze tylko jedno, zanim wyjdę. Już przedtem chciałem zapytać, jak się czuje Kate? Jak było w Szkocji? - Ellamarie spoważniała.

- Chyba nic jej nie jest? - zaniepokoił się Nick.

- Nie wiem - przyznała Ellamarie. - W niedzielę, jak wróciliśmy, miała się dobrze, ale dzwoniłam do niej dzisiaj i zdawało mi się, że jej głos brzmi jakoś, hmm, inaczej. Chyba jeszcze raz do mej zadzwonię.

- Pozdrów ją ode mnie, dobrze?

~ Jasne. Słuchaj, wiem, że jesteś uparty, ale może byś sam do niej zadzwonił? Jestem pewna, że ucieszy się z tego. Dobrze by jej zrobiło wyjście z domu.

Nick wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem, zobaczymy.

Rozdział 22

Nick skręcił w King's Road i włączył się w strumień wolno rznących pojazdów. Na King's Road zawsze były korki i dostanie się do Sloane Square zajmowało całe wieki. Skręcił więc w Old Church Street i przejechał na skróty do Fulham Road, gdzie zazwyczaj były nieco lepsze warunki jazdy. Będąc na Fulham Road musiał przejeżdżać obok Neville Street. Zanim uświadomił sobie, co robi, włączył kierunkowskaz i wjechał w tę ulicę.

Zatrzymał się przed dużym domem, w którym Kate zajmowała

mieszkanie na drugim piętrze, i spojrzał w okna na górze. Nie zauważył śladów życia. Gdy naciskał dzwonek, był zdenerwowany jak uczeń na pierwszej randce. Nie lubił składać ludziom nie zapowiedzianych wizyt i zaczął właśnie wątpić, czy to dobry pomysł, kiedy usłyszał w domofonie głos Kate.

- Tu Nick. Nicholas Gough - przedstawił się.

- O, Nick. O co chodzi?

- Pomyślałem, że wpadnę sprawdzić, jak się miewasz.

- Świetnie, dziękuję - powiedziała i usłyszał, jak odkłada słuchawkę. Taka nieuprzejmość była zupełnie nie w stylu Kate. Zastanawiał

się, czy powinien jeszcze raz zadzwonić, czy po prostu odejść, kiedy ktoś wyszedł z domu. Nick przytrzymał drzwi, zanim zdążyły się zatrzasnąć.

Szybko wszedł po schodach i znalazł się przed drzwiami do jej mieszkania. Zawahał się - *a* jeśli naprawdę nie chciała go widzieć? Zachowywała się dziwnie, Ellamarie też była tym zaniepokojona. Może powinien jednak spróbować?

Zapukał głośno i czekał. Nikt nie otwierał. Zapukał jeszcze raz, lecz nadal nie było odzewu. Wiedział, że Kate jest w środku, musiała się domyślić, że to on puka, więc czemu nie otwiera? Odpowiedź była oczywista. Nie chciała go widzieć. Już się odwracał, by odejść, ale coś go zmusiło, żeby spróbować jeszcze raz.

Nadal nie odpowiadała. Nick przyłożył ucho do drzwi. Ze środka nie dochodził żaden odgłos.

- Kate! - zawołał. - Kate!

Drzwi nagle ustąpiły, Kate stała w progu. Sprawiała wrażenie niezadowolonej; wyraźnie nie chciała, żeby wchodził do środka. - Słucham? - odezwała się chłodno.

- Hmm, byłem w pobliżu, więc postanowiłem wstąpić...

- Przepraszam, ale trochę mi to nie na rękę.

- Rozumiem. Przepraszam. Powinienem wcześniej zadzwonić. - Tak. Ale to miło, że chciało ci się pofatygować. - Nie ma o czym mówić. Pewnie się wkrótce zobaczymy...

- Tak, ucieła krotko. - Do widzenia.

Odwrócił się, rozczarowany jej niechęcią. W tym momencie usłyszał płacz dziecka. Z początku był zdezorientowany, sądził, że dochodzi z wyższego piętra, ale płacz rozległ się wyraźniej. Odwrócił się gwałtownie. Kate z przestraszoną miną usiłowała zamknąć drzwi. Poraziło go straszne podejrzenie. Zdołał wsunąć stopę między drzwi, uniemożliwiając ich zamknięcie.

- Wpuść mnie - zażądał.

- Nie! - Była bliska hysterii.

- Słyszałem dziecko.

- Nie bądź głupi - syknęła. - Coś ci się przywidziało.

- Więc mnie wpuść.

- Nie. Mówiłam ci, że teraz nie mogę. - Kate odpychała go od drzwi. Dziecko znowu zapłakało. Tym razem był to głośny krzyk, bez

wątpienia dochodzący z mieszkania Kate. Spojrzał na nią i stwierdził, że jest przerażona.

- O mój Boże - jęknął. - Coś ty zrobiła? Wpuść mnie, Kate. - Próbowwała go wypchnąć, ale stanowczo usunął ją z drogi i wszedł do sypialni.

Mimo że słyszał je już, widok dziecka leżącego na łóżku był dla niego szokiem. Mała twarzyczka była czerwona od płaczu, a nóżki kopały w powietrzu ze złości. Kate weszła do sypialni za Nickiem.

- Czyje to dziecko? Podniosła niemowlę i mocno przytuliła.

- Ona jest moja.

Nick zamknął oczy. Co, do diabła, miał teraz zrobić? Dostrzegł strach w oczach Kate. Serce mu się krajało ze współczucia. - Och, Kate, ona nie może być twoja.

Na twarzy Kate odmalowała się rozpacz. Przecież naprawdę nie wierzyła, że dziecko jest jej, i wiedziała, że kiedyś zostanie jej zabrane. Ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie.

Nick wyprowadził ją do salonu. Dziecko przestało płakać, jakby rozumiało, co się wokół niego dzieje. Nick posadził Kate z dzieckiem na kanapie. Stał obok i patrzył na Kate - miała łzy w oczach. Ucieszył się na ich widok. Może wie, że to, co zrobiła, jest złe.

- Dlaczego to zrobiłaś, Kate?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale powstrzymała ją gestem.

- Wybacz, to było głupie, bezsensowne pytanie. Wiem, dlaczego to zrobiłaś. Powiedz mi, kiedy to się stało?

- Dziś rano.

- Gdzie?

- Nie pamiętam.

Dziecko znowu zaczęło płakać. Kate popatrzyła na nie z troską.

- Jest głodna.

- Może dasz mi ją potrzymać i przyniesiesz mleko, czy czego jej tam potrzeba - zaproponował. - Jak masz zamiar ją nakarmić?

- Mam butelkę, kupiłam dziś rano. I pieluchy. Dobrze się nią opiekowałam.

- Jestem pewien. - Nick uśmiechnął się. Podszedł, by wziąć dziecko, ale Kate nie chciała oddać niemowlęcia.

- Nie obawiaj się, nie zrobię jej krzywdy.

Miał w oczach tyle czułości i zrozumienia, że Kate w końcu pozwoliła odebrać sobie niemowlę. Poszła podgrzać mleko, a Nick kołysał małą na rękach. Miał w głowie zamęt, a powinien był podjąć jakąś decyzję. Rzucił okiem na zegarek. Czas uciekał; za godzinę musi się stawić w teatrze.

Kate wróciła do pokoju, wyjęła mu z rąk dziecko i usiadła, by je nakarmić. Nick nie pytał, czy daje mu odpowiednie mleko, bo i tak nie byłby w stanie tego sprawdzić. Wiedział jedno - musi jak najszybciej oddać dziecko prawdziwej matce.

- Będziesz musiała ją oddać, Kate, wiesz o tym, prawda? - zaczął łagodnie.

Nie odpowiedziała, skupiona całkowicie na dziecku.

- Wiesz o tym? - powtórzył pytanie. Pokiwała głową bez słowa.

- Chyba będziemy musieli zadzwonić na policję. Wyglądała na przerażoną.

- Nie, proszę! Tylko nie na policję.

- To gdzie? Musimy odnaleźć rodziców tego dziecka.

- Wiem. Nie chciałam jej zatrzymać. Chciałam ją tylko chwilę potrzymać. Musiałam ją przytulić. Musiałam, Nick. - Zaczęła płakać.
- Wiem. - Otoczył ją ramieniem. - Nie jest ci łatwo.
- Co masz zamiar zrobić?
- Jeszcze nie wiem, ale musimy coś wymyślić. - Znowu spojrzął na zegarek. Nie mógł jej tak zostawić. - Zadzwoń do teatru. Muszę ich uprzedzić, żeby przygotowali zastępstwo.
- Nie rozumiała.
- Mojego dublera - wyjaśnił. - Nie mogę cię zostawić.
- Nie zostawiaj mnie - szepnęła.
- Zadzwoił do teatru i udało mu się połączyć z Bobem.
- Jestem u pewnej znajomej - zaczaj - nie będę mógł wystąpić dziś wieczorem.
- Co to znaczy, że nie będziesz mógł wystąpić?
- Coś się wydarzyło i po prostu nie mogę przyjechać. Dasz radę przygotować zastępstwo?
- Nie mam pojęcia, gdzie mogę go złapać. — Bob był wyraźnie zły. - To do ciebie niepodobne, Nick. Przecież po południu wszystko było w porządku.
- Tak, rozumiem - mówił Nick do słuchawki. - Tak, tak. Zgadza się. Powiedz Ellamarie, ona będzie wiedziała, o co chodzi. - Ellamarie? - zdziwił się Bob, kompletnie zdeorientowany. - A co ona ma do tego?
- Rozmawiałem z nią o tym wcześniej. Tak. Gdybyś mógł, to powiedz jej, że zrobiłem to, o co prosiła.
- O czym ty do cholery mówisz?
- Przy drzwiach - powiedział Nick, modląc się, by Bob okazał domyślność.
- Przy jakich drzwiach?
- Jej drzwiach! - warknął Nick przez zaciśnięte zęby. Zerknął na Kate, ale była zajęta dzieckiem. Chodzi o Kate - szepnął w słuchawkę.
- O kogo?
- Pomyśl! - Nick prawie krzyczał.

- Powiedziałaś Kate? Co z nią?
 - Zgadza się. Coś wymyślisz z tym przedstawieniem, - Czy z nią wszystko w porządku?
 - Nie - odparł Nick z ulgą, że nareszcie został zrozumiany. - Co się stało?
- Nick nie odpowiedział. - Ona tam z tobą jest? - Tak.
- Potrzebujesz pomocy?
 - Sam nie wiem.
 - Możesz mi coś więcej powiedzieć?
 - Nie.
 - O Boże - jęknął Bob. - Co się do diabła stało? Mam poszukać Ellamarie?
 - Nie, na razie nie. Dam ci znać.
 - Zadzwoń, jak tylko będziesz mógł.
 - Dobrze - obiecał Nick.-Zobaczymy się jutro. Dzięki - Odłożył słuchawkę. Gdy się odwrócił, stwierdził, że Kate mu się przygląda.
 - To był Bob? - domyśliła się, a on potwierdził.
- Przejechał dłonią po włosach i niepewnie popatrzył na Kate. Co robić? Siadając koło niej, zauważył, że dziecko zasnęło.
- Co mamy teraz zrobić? - spytał, jakby oczekiwał rady 6d śpiącego niemowlęcia.
 - Nie wiem - wyznała bezradnie Kate.
 - Zacznijmy od początku. Spróbuj mi opowiedzieć wszystko po kolei.
- Kate wzięła głęboki wdech, starając się opanować chęć płaczu. Chwyciła go za rękę, a on uściskał jej dłoń, usiłując w ten sposób dodać otuchy.
- To było takie okropne, Nick - zaczęła. - Od kiedy wyszłam ze szpitala, żyłam w jakimś koszmarnym śnie. Tylko że kiedy się budziłam, sen wcale się nie kończył. Nie opuszczał mnie ani na chwilę. Wszyscy mówili, że będzie lepiej, że z czasem będzie mi lżej, ale nie było. Tak bardzo pragnęłam mojego dziecka, Nick, że

chyba nigdy sobie nie wybaczę tego, co zrobiłam. - Głos jej się załamał. Nick objął ją, próbując dodać jej otuchy.

- Tatusz pocieszał mnie, jak mógł - mówiła dalej. - Ellamarie była dla mnie bardzo miła, zabrała mnie do Szkocji, ale ja potrzebowałam tylko jednego... przytulić do siebie dziecko. Chciałam je poczuć przy sobie. Dotykać jego rączek, karmić je. Utulać, kiedy płacze, i oddać mu wszystkie moje uczucia. Wiesz, co to znaczy, Nick, pragnąć dziecka aż do bólu? Czuć, że serce ci pęknie, jeśli nie przelejesz na kogoś miłości, która je wypełnia? Wiesz, jak to jest, kiedy prześladowuje cię płacz dziecka, które zamordowałaś, któremu odebrałaś życie, jeszcze zanim miało szansę je poznać?

Nick potrząsnął głową. Cóż mógł jej odpowiedzieć?

- Potem, pewnego dnia, tatuś powiedział, że kiedyś będziemy mieli dziecko, my dwoje, i będziemy je kochać i razem je wychowywać. I nikt już więcej nas nie skrzywdzi.

Nick spojrzał na nią ze zdziwieniem. Bardzo dziwnie zabrzmiały te słowa.

- Wtedy sobie pomyślałam, że skoro kiedyś mam mieć dziecko, to dlaczego nie od razu? Nie chciałam jej zabierać, ale nie mogłam się powstrzymać. A teraz, mimo że trzymałam ją w ramionach i przytulałam, wcale nie czuję się lepiej. Jest jeszcze gorzej. Jeśli nie będę mogła jej zatrzymać, to chyba umrę. Chcę, żeby była moja. Kocham ją tak, jakby była moja.

Nick miał tak ściśnięte gardło, że z trudem wydobył z siebie głos.

- Zaplanowałaś, co zrobisz potem?

- Miałam zamiar powiedzieć ojcu, że już mamy to dziecko, którego pragnął. Pomyślałam, że się ucieszy. Ale teraz widzę, że się myliłam. Nie przypuszczałam, że posunę się tak daleko. Naprawdę miałam ją oddać. Ale ciągle odkładałam tę chwilę, nie chciałam się z nią rozstawać. A potem nie mogłam sobie przypomnieć, skąd ją wzięłam. Zupełnie, jakby to wszystko działo się we śnie, z którego teraz niewiele pamiętam.

- Słuchaj, wydaje mi się, że nie możemy zrobić nic innego, jak zadzwonić na policję. - Poczuł, że zeszywniała w jego ramionach,

więc szybko mówił dalej. - Rodzice dziecka do tej pory na pewno zgłosili zaginięcie i prawdopodobnie umierają teraz ze zmartwienia.

- Nie zrobiłam jej nic złego - broniła się Kate.

- Wiem. Ale oni tego nie wiedzą. Wiedzą tylko, że zaginęła. Musisz im ją oddać, Kate. Pomyśl, jak się musi czuć jej matka.

Kate spojrzała na śpiące maleństwo.

- Pozwolisz mi zadzwonić na policję? - spytał Nick.

- Co oni ze mną zrobią?

- Nie wiem. Ale nie stanie ci się nic złego. Obiecuję, że cię nie skrzywdzą.

- Jak myślisz, zamkną mnie w więzieniu?

- Oczywiście, że nie. Pewnie będą ci chcieli zadać parę pytań, ale ja tu będę z tobą.

Patrzył na jej twarz i żałował, że nie może wziąć na siebie chociaż części jej cierpienia. Wydawała się taka krucha i bezbronna, kiedy siedziała z dzieckiem na kolanach, wiedząc, że je utraci.

- Więc pozwolisz mi zadzwonić? - łagodnie powtórzył pytanie. Zmusiła się do uśmiechu.

- Ale nie zostawisz mnie, prawda? Oczywiście, że cię nie zostawię.

Najpierw przyjechała policja, a potem rodzice dziecka. Matka sprawiała wrażenie załamanej bólem i strachem. Nick współczuł jej serdecznie. Kate rozmawiała w sypialni z policjantką, a Nick zajmował się całą resztą. Wszystko to było przygnębiające, w pewnej chwili wystraszył się, że policja będzie się upierać, by zabrać Kate ze sobą.

Karetka odwiozła rodziców i dziecko do szpitala, ale policjanci pozostali. Nick poczęstował ich kawą i herbatą. Kate w tym czasie była z policjantką w sypialni. Wychodząc stamtąd wreszcie, policjantka skinęła poważnie w stronę kolegów i poprosiła Nicka o chwilę rozmowy na osobności.

- To się często zdarza - powiedziała. - Częściej, niż się panu

zdaje. Należą do naszych najtragiczniejszych przypadków. Ona potrzebuje pomocy, bardzo potrzebuje. Jest pan jej mężem?

- Nie. Przyjacielem.

- Może pan z nią zostać na noc? Pokiwał głową twierdząco.

- To dobrze. Obawiam się, że to jeszcze nie koniec. Ktoś przyjdzie zobaczyć się z nią jutro rano. Chyba powinien pan się porozumieć z jej lekarzem, może on będzie w stanie pomóc. W każdym razie, nie powinna zostawać sama.

- Rozumiem. Jak pani sądzi, co się z nią stanie?

- Jeszcze nie wiem. To zależy od raportu policyjnego psychia-i try. Ale ponieważ ostatnio miała ciężkie przeżycia, zostanie to wzięte pod uwagę i będzie traktowana łagodnie, proszę się o to nie martwić.

- Czy zostanie zamknięta w zakładzie?

- To też zależy od tego, co lekarze będą mieli do powiedzenia. Ale po rozmowie z nią myślę, że mogłoby to być dla niej korzystne. Chyba że miałyby kogoś przy sobie przez cały czas. Ona potrzebuje uczucia i troskliwości, musi się znowu odnaleźć. Nie będzie to łatwe, bo to, co się jej przydarzyło, zupełnie ją załamało. Nick spojrzął policjantce w oczy.

- Nie ja byłem ojcem.

- To znaczy, że pan nie jest Joelem?

- Nie jestem.

- I dzięki Bogu. Gdzie on teraz jest?

- Nie mam pojęcia i nie chcę wiedzieć. Jeśli zostanę tutaj przez cały czas i nie zostawię jej samej ani na sekundę, czy pozwolą jej zostać?

Prawdopodobnie. Czy ona ma jakąś rodzinę? Nick przytaknął.

- Muszą się o tym dowiedzieć? -Amepowinni?

- Wydaje mi się, że nie. Nie mogę tego wyjaśnić, ale sądzę, że będzie lepiej, jeśli się nie dowiedzą, przynajmniej na razie.

- Dobrze - zgodziła się policjantka. - Cóż, to na razie wszystko. Ale, jak już mówiłam, rano znowu ktoś przyjdzie.

- Dobrze.

- Może mi pan podać swoje nazwisko?

- Nicholas Gough. - Zapisała w notatniku. - A kim pani jest?

- Detektyw sierżant Brown, Może pan do mnie dzwonić, jeśli tylko będzie trzeba.

- Dziękuję. Będę o tym pamiętał.

Kiedy wszyscy wyszli, Nick przeszedł do sypialni i znalazł Kate leżącą na łóżku, pogrążoną we śnie.

Odganiał jej włosy z policzka. Poruszyła głowę, ale się nie obudziła.

Następnego dnia Kate została zabrana do szpitala. Lekarz zapewnił Nicka, że nie zostanie tam długo, ale chwilowo takie wyjście jest najlepsze.

Nick towarzyszył jej na oddział i był przy niej, dopóki nie zasnęła. Cały czas kurczowo trzymała go za rękę, jakby się bała, że może ją opuścić. Kiedy upewnił się, że śpi, uwolnił dłoń i poszedł do telefonu. Obiecał zadzwonić do Ellamarie, gdy tylko będzie to możliwe. Poprzedniego wieczoru ona i Bob natychmiast po przedstawieniu przyjechali do mieszkania Kate i przesiedzieli z nim całą noc. Wrócili do domu dopiero rano, kiedy Kate zabierano do szpitala.

Ellamarie spała i telefon ją obudził, ale nie była zła. Nick powiedział jej, że Kate zasnęła i że według lekarza najgorsze minęło, postanowiono jednak zatrzymać ją w szpitalu na obserwacji do następnego dnia. Lekarz nic więcej nie był w stanie już pomóc. Kate potrzebowała jedynie miłości i troskliwości, i wielkiej cierpliwości. Nick zdecydował, by nie zawiadamiać ojca Kate. Myśl o panu Callowayu wzbudzała w nim niesmak. Nie zastanawiał się nawet dlaczego.

Wrócił do pokoju Kate i opadł na krzesło obok łóżka. Wkrótce zasnęła głęboko.

Lekarz Kate spotkał się z policyjnym psychiatrą i rozmawiali

ponad godzinę za zamkniętymi drzwiami. Kiedy wreszcie wyszli, lekarz policyjny wyraził zadowolenie, że nie ma niebezpieczeństwa, by Kate próbowała powtórzyć swój czyn, i odszedł.

Kiedy Nick się obudził, Kate siedziała na łóżku i jadła zupę. Uśmiechnęła się do niego.

- Jak się czujesz?

- Trochę skołowana. Ale poza tym, chyba dobrze. Usiadł koło niej na łóżku.

- Pamiętasz coś z ostatniej nocy?

- Tak, wszystko. - Pokiwała głową. - Chociaż to się wydaje złym snem. Szkoda, że to nie był tylko sen.

Przykro mi, że musiałeś to wszystko znosić. Rozmawiałeś z rodzicami dziecka?

Zaprzeczył. - Zresztą, to i tak nie najlepszy pomysł. Jestem pewna, że nie będą chcieli mieć ze mną nic wspólnego. Wcale im się nie dziwię. Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłam. Och wiem, to musiała być reakcja na... no, wiesz, na to wszystko. Ale mhno to nie mogę uwierzyć, że zrobiłam coś tak strasznego. To okropne...

- Oczy napęłniły jej się łzami.

- Nie oceniaj się tak surowo. Nie czułaś się dobrze. Po prostu straciłaś kontrolę nad sobą, to wszystko. Ale teraz już wszystko w rządku.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Dziękuję, Nick. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- Chciałbym powiedzieć, że to była przyjemność - powiedział z uśmiechem. - Ale zważywszy na okoliczności, wydaje mi się, że pouczające doświadczenie będzie lepszym określeniem.

Odsunęła talerz z zupą. Przysunął jej go z powrotem.

- Jedz! - rozkazał.

- Nie jestem głodna.

- Jedz.

Nie zważając na burczenie we własnym brzuchu dopilnował, by zjadła całą zupę. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy sam ostatnio jadł, ale miał wrażenie, że od tego czasu minął co najmniej tydzień; Odstawił pusty talerz na stolik przy łóżku.

- Czy tatuś wie, że tu jestem? Unikał jej wzroku.
- Nie wie.
- Nie zadzwoniłeś do niego?
- Nie. Nie chciałem go dodatkowo martwić. Miałem zamiar zadzwonić, gdyby sprawy przybrały gorszy obrót, ale ponieważ nie wydawało się to konieczne, więc się wstrzymałem.
- I chyba dobrze zrobiłeś. - Pokiwała głową.
- Lekarz twierdzi, że jutro możesz wrócić do domu. Jeżeli będziesz się czuła na siłach. Ale musisz się zgłaszać do przychodni w wyznaczonych terminach.
- Chciałabym wrócić do domu - powiedziała. - Nie bardzo mi się tutaj podoba. Mam wrażenie, że spędziłam tu większość życia.
- Jest jednak pewien warunek. Uniosła brwi ze zdziwieniem.
- Obawiam się, że nie będziesz mogła zostawać sama.
- Hmm, przyznaję, że jestem zaskoczona. Ale skoro tak trzeba... Zamieszka u rodziców, w Surrey. Nick pokiwał głową. Chciał zaproponować, że zamieszka z nią tu, w Londynie, ale zapewne nie była jeszcze na to przygotowana, więc musiał jej dać trochę czasu. Niepokoiła go perspektywa pozostawienia jej pod opieką ojca; starał się o tym nie myśleć.
- Otwarły się drzwi i weszła pielęgniarka. Zabierając talerz, z uśmiechem spytała Kate, jak się czuje. Kate odpowiedziała uprzejmie. Nick uśmiechnął się pod nosem. Grzeczna mała Kate. Prawie taka sama jak dawniej. Miał jednak świadomość, że czeka ją jeszcze długa, długa droga.
- Możemy zamienić kilka słów? - powiedziała pielęgniarka. Podniósł się, by wyjść, lecz zorientował się, że pielęgniarka mówi do niego.
- Na zewnątrz - dodała, widząc, że z powrotem siada.
- Kate spojrzała na nich ze zdziwieniem, ale pielęgniarka była już w drzwiach. Nick wzruszył ramionami i wyszedł za nią na korytarz.
- Tedy proszę - kazała mu iść za sobą.

Posłusznie ruszył za nią, ciekawy, dokąd go prowadzi. Gdy doszli do końca korytarza, pielęgniarka otworzyła drzwi małego pokoiku po prawej stronie. Gestem poleciła mu wejść do środka.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu, przy oknie siedziała Jenneen i najwyraźniej czekała na niego.

- Jenn! Co ty tu robisz?

- Chcę się zobaczyć z Kate.

- Więc dlaczego do niej nie pójdziesz? Jenneen popatrzyła mu w oczy.

- To ty nic nie wiesz? Kate ci nie mówiła?

- Co mi miała powiedzieć?

- Okropnie się pokłóciłyśmy. Tamtego wieczoru, kiedy zerwała z Joelem.

- Dlaczego? O co poszło?

Jenneen wskazała mu krzesło i sama usiadła naprzeciwko. Opisanie tego, co zaszło między nią a Kate, nie zajęło jej dużo czasu, ale kiedy skończyła opowieść, płakała tak rozdzierająco, że Nick wstał, by ją pocieszyć.

- Więc sam widzisz - zakończyła. - To wszystko moja wina. Cała ta cholerna historia zdarzyła się z mojej winy.

- Ależ nie. Jak to może być twoja wina? Nikt nie ponosi za nic winy, nikt. Może z wyjątkiem Joela Martina.

Ale dlaczego tu przyszedłaś?

- Muszę się z nią zobaczyć. Nie mogę jej dłużej unikać. Może mnie nienawidzić, nie mam jej tego za złe.

Może na mnie krzyżeć, ale muszę się z nią zobaczyć. Rozumiesz to Nick, prawda?

- Jasne, że rozumiem - zapewnił. - Kate też zrozumie. Może pójdziesz do niej od razu?

- Jak myślisz, zgodzi się mnie przyjąć?

- Jestem pewien, że tak. Chodź, jeśli chcesz, to pójde z tobą.

- Tak, chcę - ucieszyła się.

Przeszli razem korytarz i stanęli przed drzwiami pokoju Kate. Jenneen zawahała się, kiedy Nick sięgał do klamki. - Może powinienes ją uprzedzić.

- Dobrze - zgodził się ale czekaj tu, nigdzie się stąd nie ruszaj.

- Nie bój się, nie ucieknę - zapewniła Jenneen z nieśmiałym uśmiechem.

Kate leżała wsparta na poduszkach. Słyszając skrzypnięcie drzwi otworzyła oczy. Uśmiechnęła się na jego widok.

- Masz gościa - rzekł.

- O, kto to taki?

- Twoja przyjaciółka. Jenneen.

Oczy Kate zaokrągliły się; pojawił się w nich lęk.

- Wydaje mi się, że chciałaby ci coś powiedzieć, jeśli jej na to pozwolisz. Może wejść?

Kate nie odpowiedziała, ale patrzyła na drzwi. Och, jak bardzo tęskniła do Jenneen przez te ostatnie tygodnie. Marzyła o tym, by z nią porozmawiać, powiedzieć jej o wszystkim, co czuła. Jenneen była taka silna i zawsze wiedziała, co robić. Ale ona rzuciła jej w twarz tyle strasznych słów, że Jenneen z pewnością nigdy jej nie wybaczy.

Nick podszedł do drzwi i otworzył je. Uśmiechem dodał Jenneen odwagi.

- Możesz wejść.

- Aty?

- Ja wychodzę. - Wprowadził Jenneen do środka, a sam wymknął się na korytarz.

Jenneen stała w progu i patrzyła na Kate. Kate leżała na łóżku i patrzyła na Jenneen. Nagle Jenneen pociągnęła głośno nosem.

- Och, Kate! - zawołała i rzuciła się przez pokój, by paść w ramiona przyjaciółki.

- Och, Jenn! - łkała Kate. - Jenn, nie masz pojęcia, jak za tobą tęskniłam.

Jenneen ścisnęła ją mocno.

- Przepraszam cię, Kate. Tak mi przykro...

- Mnie też jest przykro - przerwała jej Kate. - Nie rjowinnam była mówić tych okropnych rzeczy.

- Już dobrze! Nic nie mów - chlpała Jenneen, ocierając Kate łzy z twarzy. - Znowu jesteśmy razem i tylko to się liczy.

- Och, Jenn, kocham cię. Skoro ty tu jesteś, to wierzę, że odtąd już wszystko będzie dobrze.

- Będzie dobrze - powtórzyła Jenneen z przekonaniem. - Na pewno będzie!

Nick wyszedł ze szpitala w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby coś zjeść. Był zdziwiony, kiedy zaczęła go obca kobieta.

- Czy pan jest Nicholas?

Przytaknął i przyglądał jej się z zaciekawieniem.

- Jestem Victoria Deane - przedstawiła się. - Jestem znajomą Jenneen. Czy ona jest teraz z Kate?

Nick potwierdził.

Kobieta wyraźnie odetchnęła z ulgą.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tak mi się wydaje.

- To dzięki Bogu - westchnęła i oddaliła się, nie mówiąc nic więcej.

Rozdział 23

Pan Winston odchylił się na oparcie krzesła. Ashley patrzyła na niego błagalnie, oczekując, że doradzi jej, co ma zrobić. Przez ostatnią dobę walczyła z sobą usiłując podjąć decyzję, ale sprawa wydawała się beznadziejna; nie wiedziała, czego chce, tak samo jak wówczas, kiedy stała przed Keithem i Julianem. W końcu zwróciła się o pomoc do starego przyjaciela. Podniósł szklankę i pokiwał głową. - To nie takie proste - rzekł. - Wcale nie takie proste. - Wiem.

- I tak niewiele czasu na podjęcie decyzji. Ashley przytaknęła, wpatrując się w przyjazną twarz starego człowieka, z której emanowała mądrość i współczucie.
- Naprawdę kochasz ich obu?
- W tej chwili nie jestem pewna, czy w ogóle kocham któregoś z nich.
- W takim razie według mnie odpowiedź jest prosta. Nie spuszczała z niego wzroku.
- Nie wychodź za żadnego z nich, dopóki nie będziesz pewna.
- Ale Julian...
- Julian musi sam zdecydować za siebie - przerwał pan Winston. - Nie może i nie powinien czekać, że ty to zrobisz za mego. Jeśli nie chce się żenić z Blanche, to jego problem.
- A co będzie, jeśli on się ożeni z Blanche, a ja dojdę do wniosku, że to jego chce?
- Trudna sprawa, przyznaję. Ale skoro nie jesteś w stanie podjąć decyzji natychmiast, będziesz musiała się z tym pogodzić, jeśli tak się zdarzy. - A myśli pan, że się zdarzy?
- Skąd mogę wiedzieć?
- A jeżeli już jest za późno?
- Nie wydaje mi się, żeby było za późno.
- Skąd pan wie?
- Nie wiem. Ale los na ogół radzi sobie jakoś w takich przypadkach.
- Chciałabym, żeby los mógł mi teraz podpowiedzieć.
- Może ci i podpowiada. Ale jesteś tak oszołomiona, że tego nie słyszysz.
- Co pan ma na myśli?
- Tylko to, co powiedziałem. Pewnie w głębi serca masz już gotową odpowiedź, lecz nie chcesz jej poznać.
- Ależ Chcę - zapewniła go Ashley. - Naprawdę chcę ją znać.
- To się zastanów.
- Wiem tylko, że w tej chwili chciałabym uciec od tego jak najdalej. Stary człowiek wzruszył ramionami.
- Więc masz swoją odpowiedź.

- Ale czy to nie jest ucieczka?

- Zależy, jak na to spojrzysz. Keith będzie czekał, cokolwiek by się działo. Jemu się nie śpieszy. A Julian, jak powiedziałem, musi sam podjąć decyzję. Wydaje mi się, że on gra na dwie strony.

T Gra na dwie strony?

Nie zerwał zaręczyn z Blanche. Czy się mylę? -Nie.

Więc gra na dwie strony. Jeśli ty go nie zechcesz, zawsze jeszcze zostaje mu Blanche. Jakkolwiek by było, nie ma zamiaru zostać na lodzie.

Nigdy nie patrzyłam na to w taki sposób.

- Przypuszczam, że on też nie. Ale tak właśnie postępuje.

- Czy to źle?

- A jak ci się wydaje? Chyba tak - przyznała.

— Oczywiście, że tak. Jest za słaby, żeby samodzielnie podjąć decyzję, więc próbuje zrzucić to na ciebie.

- A według pana nie powinnam się na to zgadzać.

- Od ciebie zależy, co zrobisz. Ale nie wydaje mi się, żebyś była gotowa zdecydować w tej chwili. Gdyby był wolny, cała sprawa wyglądałaby inaczej.

Ashley zamyśliła się na chwilę.

- Tak, pewnie tak. Ale nie jest wolny.

- Nie jest. Więc albo rozstanie się z Blanche i będzie czekał na twoją decyzję.....

- Albo?

- Albo w ten czy inny sposób unieszczęśliwi czworo ludzi. - Powinnam z nim jeszcze raz porozmawiać?

- Jak chcesz. Ale nie sądzę, żeby to coś zmieniło w tej chwili. Julian sprawia na mnie wrażenie gracza, który nie da sobie zaglądać w karty. Dopilnuje, żeby jakoś wyjść na swoje.

- Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim świetle - wyznała.

- Może nigdy wcześniej nie pokazywał ci się w takim świetle. Ludzie zawsze się zmieniają zgodnie z okolicznościami.

Żałowała, że pana Winstona nie będzie przy jej rozmowie z Julianem.

- A co z Keithem?

- A co ma być z Keithem?

- On też czeka na odpowiedź.

- Sama powiedziałaś, że nie jesteś gotowa udzielić w tej chwili odpowiedzi żadnemu z nich. Najlepiej by było, gdybyś na jakiś czas wyjechała.

- Ma pan na myśli urlop?

- Albo jakiś dłuższy wyjazd.

Ashley zastanowiła się i zrozumiała, o czym mówi staruszek. Był jedyną osobą, której w ogóle o tym wspomniała.

- Myśli pan, że...?

- Tak, to właśnie myślę - potwierdził z uśmiechem. Dotychczas pozostawało to w sferze marzeń, ale kto wie, może to właśnie była odpowiedź, której szukała. Wystarczyłoby pojechać na krótko. Na rok, może dwa lata.

Będzie się musiała nad tym zastanowić. - Napijesz się jeszcze kawy? Ashley pokiwała głową i uśmiechnęła się. - Tak, mam ochotę na kawę. I może coś mocniejszego? Pan Winston zachichotał.

- Nareszcie mówisz rozsądnie - ucieszył się i pomachał na kelnera.

Następnego dnia rano Ashley zadzwoniła do Juliana.

- Chciałabym z tobą porozmawiać - odezwała się do słuchawki.

- Czy to znaczy, że podjęłaś decyzję? - spytał niepewnie.

- Tak, chyba tak, Ale najpierw muszę z tobą pomówić.

- Masz zamiar teraz mi powiedzieć?

- Nie, chcę, żebyś do mnie przyjechał.

- Rozumiem; że jesteś w domu? - Tak.

- Dobrze. Będę za godzinę. Ashley...

- Słucham?

- Niezależnie od tego, jak brzmi twoja decyzja, podtrzymuję, to wszystko, co wtedy powiedziałem.

- Wiem. Do zobaczenia za godzinę.

Odłożyła słuchawkę, zadowolona, że ma już ten krok za sobą. Spędziła bezsenłą noc rozmyślając tylko o tej sprawie i w końcu, po *m* pierwszy od paru miesięcy, czuła się naprawdę silna. Wreszcie odzyskała panowanie nad swoim życiem, widziała rzeczywistość jasno i wyraźnie, a nie przez mgłę samotności i poczucia odrzucenia, za którą kryła się dotychczas. Ta dziwna, zaskakująca odmiana losu odnowiła jej spojrzenie na życie i w duchu była wdzięczna panu Winstonowi za pomoc w odnalezieniu drogi.

Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Odtąd będzie żyła po nowemu. Dostyc sercowych rozterek. Czas rozstać się z tą słabą, niezdecydowaną kobietą, która przez pierwsze pół tego roku poruszała się w życiu po omacku. Czas powitać kobietę z charakterem, jaką przecież jest w rzeczywistości. Roześmiała się. Tak, należy do tej wyjątkowej klasy, o której mówiła Jenneen. Pasuje do niej, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Czekając na Juliana, zatelefonowała do Kate. Nikt nie odbierał. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Ellamarie, ale odrzuciła ten pomysł - przyjaciółka zawsze rano odsypiała przedstawienia. Pomyślała, że musi później wpaść do Kate, i wykreśliła numer studia telewizyjnego. Jenneen była na zdjęciach w terenie i nie spodziewano się jej już tego dnia.

Siedząc przy oknie i wyglądając na Onslow Square, Ashley rozmyślała o przyszłości. Od dziś wszystko miało ulec wielkim zmianom - była tym podekscytowana. Cieszyła się, że jest wiosna. Zapowiadało to nowy początek, a w nadchodzących tygodniach tak dużo miało się wydarzyć. Zastanawiała się przez chwilę, jak wszyscy zareagują, kiedy usłyszą nowinę.

Godzina zleciała błyskawicznie i Julian stukał do drzwi, Kiedy mu otworzyła, przyjrzał jej się uważnie i po jego minie poznała, że wie już, iż ona nie powie mu tego, co chciałby usłyszeć. - Kawy? - zaproponowała, prowadząc go do salonu.

- Nie, dziękuję.
- Usiądź. - Zebrała gazety rozrzucone na kanapie. Usiadł sztywno i czekał,
- Cóż - zaczęła, nieco zdenerwowana - podjęłam decyzję. „-r Powiedziałaś już Keithowi?
- Nie, jeszcze nie. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą. Właściwie wszystko zależy od ciebie.
Zmarszczył brwi i czekał, żeby mówiła dalej.
- Nie spałam prawie całą noc. Przemyślałam to bardzo dokładnie. To nie była łatwa decyzja, ale chyba najlepsza, a w tych okolicznościach jedyna.
- Mam wrażenie, że nie spodoba mi się to, co masz mi do powiedzenia.
- Chyba nie - potwierdziła jego przypuszczenia. - Nie sądzę, żeby ci się spodobało, ale potrzebuję twojej pomocy i wierzę, że mogę na nią liczyć.
- Nic nie obiecuję,
- Nie musisz, przynajmniej na razie.
Zaczerpnęła powietrza i skrzyżowała ręce na piersi.
- Postanowiłam ubiegać się o stanowisko zastępcy dyrektora firmy Frazier-Nelmes w Nowym Jorku.
Julian wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, szeroko otwartymi oczyma.
- Mówisz poważnie?
- Najzupełniej poważnie.
- A wiesz, co mówisz? -
- Dokładnie wiem, co mówię.
- Ależ Ashley, ja cię proszę, żebyś za mnie wyszła, a ty mi odpowiadasz, że chcesz wyjechać do Nowego Jorku. A cóż to za odpowiedź?
- Jedyna odpowiedź, jakiej mogę ci udzielić, Julianie. Przykro mi, wiem, że niezupełnie to chciałeś usłyszeć, ale już postanowiłam. Muszę mieć trochę czasu dla siebie, muszę się na nowo odnaleźć, a jedynym sposobem, żeby to osiągnąć, jest wyjazd.

- To trochę drastyczne rozwiązanie, nie uważasz? Do Nowego Jorku?
- Może ci się takie wydawać, ale ja właśnie tego chcę. Już mi prawie obiecałeś awans tu, w Londynie. Proszę cię o taki sam awans, ryte że w Nowym Jorku. Jeśli zechcesz, możesz mi pomóc. A jeśli nie zechcesz... będę się musiała zastanowić. Ale myślę, że mnie nie zawiedziesz, prawda?
- Sam nie wiem - przyznał się. - Będę z tobą szczery. Kiedy przyszedłem tu tamtego wieczoru, myślałem, że sprawa jest prosta. Myślałem, że nadal mnie kochasz, i wiedziałem, że ja cię kocham. Wszystko wydawało się takie oczywiste. Ale teraz cię po prostu nie rozumiem. Właściwie nie jestem pewien, czy kiedykolwiek cię rozumiałem.
- Ludzie często zmieniają się stosownie do okoliczności - stwierdziła Z uśmiechem, żałując, że pan Winston jej nie słyszy.
Julian wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.
- Jesteś pewien, że nie masz ochoty na kawę?
- Tego jednego jestem pewien - stwierdził z irytacją. - Słuchaj, Ashley* przecież to nie jest żadna odpowiedź. Ty chcesz uciec. Jeśli kochasz któregoś z nas, to nie rozumiem, jak możesz to zrobić.
Zezłościł ją tym, co powiedział. Znowu myślał tylko o sobie.
- A ja nie rozumiem, jak możesz próbować mną manipulować. Wszedłeś znowu w moje życie, na cztery dni przed zaplanowanym ślubem, i mówisz, że mnie kochasz. Nie dość tego, mówisz mi, że wystarczy jedno moje słowo, a odwołasz ślub i ożenisz się ze mną. Co miałam zrobić, Julianie? Miałam klęknąć przed tobą z wdzięczności? Miałam ci paść w ramiona, powiedzieć, że cię kocham i że wszystko się ułoży? Cóż, życie nie jest aż tak proste. Zraniłeś mnie, zraniłeś mnie bardzo głęboko wtedy przed Bożym Narodzeniem. Czy wówczas myślałeś o mnie?
- Wiesz, że tak.
- Otóż nie - powiedziała. - Nie wiem, czy myślałeś. Po prostu odszedłeś ode mnie i nie wróciłeś.
- Zmusiłaś mnie do obietnicy, że nie będę się z tobą kontaktował.

- Och, Julianie - westchnęła. - Ludzie, którzy kochają, zawsze łamią obietnice. Nie możesz się w ten sposób usprawiedliwiać.
- Posłuchaj - rzekł, siadając: obok niej. - Co ty na to, żebym odwołał ślub z Blanche? Zaraz. Zadzwoń do niej stąd i jej powiem. Nie mogę cię stracić, Ashley. Nie mogę znieść tej myśli. Kocham cię. Zgoda, wiem, że dużo czasu mi zajęło uświadomienie sobie tego, ale teraz już wiem. Co ty na to? Mam do niej zadzwonić? Czy wtedy zrezygnujesz z tych swoich nedorzecznych planów?
- Nie zachowuj się jak głupiec, Julianie! - skarciła go. Jeśli w ogóle rozważałeś możliwość dzwonienia do Blanche, i to jeszcze stąd, żeby jej powiedzieć o odwołaniu ślubu, to znaczy, że naprawdę wcale cię nie znałam. A co do moich nedorzecznych planów, jak byłeś łaskaw je nazwać, to jestem zdecydowana. Chcę wyjechać do Nowego Jorku i to im szybciej, tym lepiej.
- A co z Alexem? Pomyślałaś o nim?
- Myślałam o Alexie więcej, niż o was obu razem wziętych. Wyjeżdża we wrześniu do szkoły z internatem. Może przyjechać do Nowego Jorku na wakacje, a ja będę go odwiedzać tak często, jak to tylko będzie możliwe. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale postanowiłam sprzedać Mercedesa, co da mi okrągłąsumę na początek. Mogę wynająć moje mieszkanie, zawsze znajdują się chętni na lokal w dobrym punkcie miasta. - Mój Boże, widzę, że rzeczywiście dokładnie to przemyślałaś.
- Owszem.
- Powiedz mi jedno, Ashley. Wiem, że to nic nie zmieni w tej sytuacji, ale chcę wiedzieć. Czy ty mnie jeszcze kochasz?
- Spojrzała na niego i dostrzegła smutek w jego oczach. Pożałowała, że była taka oschła, może mogła mu to przekazać w nieco łagodniejszy sposób. W końcu był gotów rzucić dla niej prawie wszystko, a ona odprawiała go tak bezceremonialnie.
- Nie wiem - odparła szczerze. - Wydawało mi się, że tak. I podobnie jak ty myślałam, że wystarczy, abyś do mnie wrócił, a padnę ci w ramiona i przyjmę cię z powrotem. A teraz, kiedy to nastąpiło, mogę tylko powiedzieć, że jestem zaskoczona inożą decyzją taksamo jak ty.

- Czy mogę jakoś wpłynąć na zmianę tej decyzji? Potrząsnęła głową.
- Nie, Julianie. Proszę cię, nawet nie próbuj. Sprawiał wrażenie pokonanego. Wzięła go za rękę.
- Wybacz, nie chciałam cię zranić, naprawdę nie chciałam.
- Wiem - westchnął. Cała sytuacja zaczęła nagle zakrawać na złośliwy wybryk losu.
- Muszę jednak wiedzieć, czy zechcesz mi pomóc. - Ashley podniosła się z miejsca. Podniósł głowę i mimo ogarniającego ich oboje smutku, uśmiechnął się do mej.
- Nie doceniałem cię. To chyba główna przyczyna mojej klęski.
- Trzymasz mnie w niepewności...
- Z czystej zemsty powinienem odmówić - zaczął. - Dawać sobie awans, nie, żądać awansu, i do tego w Nowym Jorku. To trudny teren, Ash, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?
- Jestem gotowa zaryzykować.
- A co z Conradem? Wzięłaś pod uwagę, że on też może mieć ta coś do powiedzenia?
- Z pewnością. Ale ty możesz mu naświetlić sprawę po swojej myśli. -Chciałaś chyba powiedzieć - po twojej.
- Już dobrze, po mojej - roześmiała się.
- Wydawało mi się, że za sobą nie przepadacie.
- Nie przepadamy. Jest zarozumiały, arogancki, nikczemny, źle wychowany i szowinistyczny, ale postaram się nie zauważać tych jego drobnych, choć irytujących przypadłości.
- Na twoim miejscu nie mówiłbym mu, co o nim myślę - zachichotał Julian.
- Może i masz rację. Ale ja się nadaję na to stanowisko, Julianie, wiesz o tym. Jeśli jesteś po mojej stronie, to wiesz, że Conrada można przekonać.
- Nie chcę go przekonywać.
- Myślałam, że doszliśmy do porozumienia. Julian westchnął ciężko.

- Więc zrobisz to dla mnie?

Spojrzał na nią zdumiony. Nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu dla jej siły.

- Tak - obiecał. - Tak, jeśli tego właśnie chcesz, zrobię, co będę mógł.

- Dziękuję ci. - Zrzuciła mu ręce na szyję. - Może teraz napijesz się kawy?

- Chętnie.

Kiedy Ashley wracała z kawą, Julianowi stanął na moment przed oczyma pewien wieczór - teraz wydawał się bardzo odległy - kiedy także wniosła kawę do tego pokoju. To był ten wieczór, kiedy odszedł z jej życia.

Odrzucił miłość, którą mu ofiarowała, życie, które chciała z nim dzielić, i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Teraz znowu pili kawę. Ale teraz ona chciała odejść z jego życia.

Wtedy, przed miesiącami, popełnił wielki błąd. Okazał się głupcem. Dziś było już za późno. Podjęcie decyzji jest czasem takie trudne i dopiero po latach można się przekonać, czy była słuszna. A gdyby się okazała niesłuszna? Cóż, robiłby pewnie to, co robi teraz, ponosiłby konsekwencje.

Rozmawiali jeszcze chwilę przy kawie, ale widziała, że Julian woli już iść. Odprowadziła go do wyjścia.

Kiedy otwierała drzwi, chwycił ją w objęcia.

- Zawsze będę cię kochał, Ash. Będę za tobą tęsknił. - Puścił ją i zaczął się oddalać.

- Julian! Odwrócił głowę.

- Ożenisz się z Blanche?

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W końcu lekko pokiwał głową i poszedł.

Ashley uśmiechała się smutno, zamykając za nim drzwi. Jakże dziwne zakręty zdarzają się na drodze życia, myślała. Pozostało jej jeszcze tylko zadzwonić do Keitha.

Ashley, błagam cię, nie rób tego. Proszę!

- Keith, muszę to zrobić. Muszę wyjechać. Czuję, że się tu duszę.

- Nie będę cię krępował. Będę się z tobą widywał tylko w weekendy. Zrobię wszystko, tylko powiedz, że nie pojedziesz.

- Keith, tylko utrudniasz sprawę zachowując się w ten sposób. Powiedziałam ci już, że jestem zdecydowana, więc pozwól mi odejść.

- Nie mogę. Nie mogę pozwolić ci znowu odejść, Ashley, nie rozumiesz tego? Nie chcę żyć bez ciebie. Jesteś dla mnie wszystkim. Kocham cię, kocham, rozumiesz?

- Ja też cię kocham na swój sposób. Ale to nie wystarczy. Chcę czegoś więcej, potrzebuję czegoś więcej.

- Więc powiedz mi, czego potrzebujesz. Po prostu mi powiedz. Daj mi szansę, Ashley. Błagam cię.

- Przestań, Keith, nie błagaj mnie.

- To co mam zrobić, żeby cię zatrzymać?

- Nic nie możesz zrobić. Wyjeżdżam. To postanowione.

- A co z tymi wszystkimi, których zostawiasz? Twoja matka, twój ojciec, Alex. Co z Alexem? Nie obchodzi cię twój własny syn?

- Wiesz, że mnie obchodzi. Obchodzi mnie bardziej niż ktokolwiek inny. Ale postaraj się zrozumieć, Keith, muszę też żyć w zgodzie z sobą samą. Gdyby Alex był starszy, zrozumiałby to. Chciałby, żebym wyjechała.

- On nie jest starszy. Potrzebuje matki. Tu, na miejscu. Żeby mógł ją widzieć, rozmawiać z nią...

- Keith, przestań! - krzyknęła. - Rozmawiałam już na ten temat z matką i ojcem, oni odbierają to tak samo jak ty, ale są skłonni okazać mi poparcie, cokolwiek bym zrobiła. Alex też już wie.

- Powiedziałaś Alexowi? Powiedziałaś mu, jeszcze zanim powiedziałaś mnie? Przymknęła.

- Nie uważasz, że miałem prawo dowiedzieć się pierwszy? - Nie. Przykro roi Keim, lecz Alex jest fajważniejszy.

- Masz dziwny sposób okazywania mu tego.

-Wiem, że ty to możesz widzieć inaczej, ale cóż by ze mnie była za matka, gdybym za kogoś wyszła tylko z jego powodu?

- Na litość boską, Ashley, przecież jestem jego ojcem.

- No tak, ale jeśli dziecko ma mieć dwoje rodziców, to takich, którzy się naprawdę kochają.

- Czy ja nie o tym właśnie mówię? Kocham cię, Ashley.

- Ale ja cię nie kocham.

Skulił się, jakby otrzymał niespodziewany cios. Ashley zrobiło się przykro, że to powiedziała.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie to chciałam powiedzieć. Chodzi

o to, że nie kocham cię tak samo, jak ty kochasz mnie. Żałuję, że nie potrafię, Bóg mi świadkiem. Wszystko byłoby wówczas o wiele prostsze. Ale tak nie jest i na nic się nie zda udawanie.

- Pewnie Julian cię do tego namówił.

- Oczywiście, że nie. On jest tak samo nieszczęśliwy z tego powodu jak ty.

- Więc dlaczego to robisz?

- Keith, robię to dla siebie. Raz w życiu chcę zrobić to, czego naprawdę pragnę.

- Raz? Przecież zawsze robisz to, co chcesz.

- O Boże, nie ma sensu dalej tak rozmawiać. Powiedziałam ci, jestem zdecydowana. Jadę do Nowego Jorku i nic, co powiesz, nie zmieni mojej decyzji.

Wstała i wyszła z pokoju. Przechodząc do kuchni, usłyszała, że Alex z jej ojcem bawią się na podwórku, czekając, aż matka wróci z Guildford. Dziękowała Bogu, że ma takich rodziców. Kiedy im powiedziała o swoich planach, z początku byli zdenerwowani i zaniepokojeni, ale jak zwykle wysłuchali cierpliwie jej argumentów. I teraz, mimo rozczarowania, byli gotowi stanąć po jej stronie i pomóc jej w każdy możliwy sposób. Zaczęli od postarania się, by Alex nie był przy jej rozmowie z Keithem.

Patrzyła przez okno, jak Alex z jej ojcem grają w piłkę; staruszek miał młodzieńczą kondycję. Zastanawiała się, od jak dawna są

w domu, ale jeśli nawet ojciec coś usłyszał, to na pewno dopilnował, żeby to nie dotarło do Alexa.

Wróciła do salonu. Keith nadal siedział na krześle przy wygasłym kominku. Wystraszyła się widząc, że jego ciałem wstrząsa gwałtowny szloch.

- Och, Keith, Keith. - Podeszła do niego. - Proszę cię, spróbuj się wziąć w garść. Alex jest przed domem, zaraz może tu wejść. Proszę cię, przestań.

Keith chwycił ją za rękę i spojrzał jej w oczy. Z trudem wydobywał z siebie głos.

- Nie mogę, Ash. Nie mogę. Nic już się nie liczy. Skoro nie mogę mieć ciebie, życie nic nie jest warte. Tak bardzo cię kocham, nawet nie wiedziałem, że można kogoś aż tak kochać. Nie rób mi tego, Ash. Proszę cię! Nie opuszczaj mnie.

Na moment ogarnęła ją panika; przypomniała sobie, jak jej groził, kiedy poprzednim razem mówiła mu, że odchodzi. Nigdy nie wybaczyła mu tego, że zagroził jej zabiciem Alexa dokądś, gdzie nigdy go miała nie znaleźć. Teraz jednak wydawał się pokonany i rozżalony. Powiedziała sobie, że Keith za bardzo kocha Alexa, żeby chcieć ich wszystkich tak skrzywdzić. W jej oczach także pojawiły się łzy, gdy schyliła się by go objąć. Trzymała go w ramionach długo, czekając, żeby się uspokoił. Nie przychodziło mu to łatwo. Postawił wszystko na ich wspólną przyszłość, bo tylko w ten sposób mógł odzyskać syna, a teraz ta przyszłość legła w gruzach.

W końcu podniósł głowę z jej ramienia. Serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła rozpacz malującą się na jego twarzy.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jeszcze nie wiem na pewno - odpowiedziała. - Wkrótce.

- Czy jest możliwe, że wyjazd nie dojdzie do skutku?

- Nie sądzę. Julian rozmawiał już z Conradem i cała machina poszła w nich.

- A co robi Julian?

- Julian? - Rzuciła okiem na zegarek. - Hmm, za chwilę będzie się żenił z Blanche.

- Mam ochotę go zabić. Gdyby nie wrócił, nie doszłoby do tego wszystkiego.
- Nie możesz tak twierdzić. Zapewne prędzej czy później stałoby się to samo.
- Wolę myśleć, że by się nie stało. Uścisnęła go i pocałowała w policzek.
- Wiem.
- Jak Alex przyjął tę wiadomość? Roześmiała się.
- Alex myśli o tym jak o jeszcze jednej przygodzie. Raczej mu się spodobało, że mama jedzie do Nowego Jorku, chociaż sama nie wiem dlaczego. Planuje już swoje pierwsze wakacje w Ameryce. Właśnie przed chwilą byli z ojcem w bibliotece, żeby wypożyczyć jakieś książki o Nowym Jorku.
- Jest wspaniałym dzieckiem, prawda? - Keith uśmiechnął się smutno.
- Ma to po swoim tacie. ^r

Oczy mu zwilgotniały i Ashley przestraszyła się, że znowu zacznie płakać.

- Daj spokój - rzuciła. - Chyba nie chcesz, żeby cię zobaczył w takim stanie. Może pójdziesz na górę się umyć, a ja zaparzę herbatę. Zawołam, jak będzie gotowa.

Wstała, żeby pójść do kuchni, ale Keith przytrzymał ją za rękę.

- Zawsze będę cię kochał, Ashley. Obojętne, gdzie będziesz i co będziesz robić, zawsze będę cię kochał ponad wszystko. Będę czekał. W końcu do mnie wrócisz. Wiem, że wrócisz.

Pokiwiała głową i uwolniła rękę. Nie chciała odpowiadać. Nie miała już nic więcej do powiedzenia.

Rozdział 24

Linda stanęła na środku wiejskiej drogi, żeby sprawdzić listę zakupów. Tak, odebrała już z pralni koszule Boba i włożyła je do Samochodu. Pobrała ód księgowego nadpłacony podatek. Zamówiła prezent urodzinowy dla Violet. Sprawdziła w torbie, czy nie zapomniała kupić nowej zatyczki do umywalki... Bob narzekał na tę starą już od tygodni. Powinna jeszcze tylko wstąpić do masami i na koniec - poczuła, jak serce zabiło jej mocniej - musi pójść do apteki. Podniosła głowę słysząc wycie nerwowo naciskanego klaksonu.

To był Jason Arnold, syn sąsiada. Z pewnością jej nie rozpoznali. Usunęła się z drogi, a Jason zmienił bieg w swoim Porsche i wystartował, pozostawiając za sobą tuman kurzu. Linda patrzyła za oddalającym się samochodem i rozmyślała o życiu młodego kierowcy. Nagle spostrzegła panią Plester, wychodzącą z poczty. Wymieniły pozdrowienia, Linda odprowadziła ją wzrokiem, zastanawiając się z kolei nad jej życiem. Starając się przybrać pogodny wyraz twarzy, Linda ruszyła chodnikiem załatwiać swoje interesy. Dziesięć minut później wyszła z apteki, wsiadła do samochodu i odjechała do domu. Spojrzała na białą papierową torebkę, leżącą obok niej na przednim siedzeniu, i poczuła dobrze znany ucisk w gardle. Dziś rano, regularnie jak w zegarku, dostała okres. Postanowiła zająć się ciążą, ale wszystko wskazywało na to, że los miał wobec niej inne plany. Ogarnęła ją złość. To nic miłego współżyć z mężem, który duchem jest przy innej kobiecie.

Podjechała pod dom i zaczęła wypakowywać rzeczy z samochodu. Millie, dochodząca służąca, przyszła zabrać koszule Boba. Linda obserwowała ją, kiedy wchodziła z powrotem do domu zatrzasnąwszy za sobą drzwi, aż wisząca w pobliżu rybacka sieć zakotłosała się od podmuchu powietrza. Rutyna codzienności. Linda robiła zakupy, Millie sprzątała. Bob prosił, Linda spełniała jego prośby. Nieodłączny składnik małżeńskiego życia. Jeśli potrzebowała czegoś z Londynu, Bob jej to przywoził. Jeśli on potrzebował... Ich życie przebiegało według ściśle określonego porządku. Poszczególne czynności splatały się ze sobą, jak sznur w rybackiej sieci. Wszystkie oczka jednakowe i równie ważne, ale pojedynczo nic nie znaczące. Tak, gdyby zacząć...

Jutro, Bob przyjedzie do domu. Kolejny weekend wypełniony brzemiennej ciszą i nienagannymi manierami. Czy ona, kimkolwiek jest, wie, czym jest takie życie? Udawanie, dzień po dniu* że wszystko jest w porządku, podczas gdy ziemia w każdej chwili może się człowiekowi usunąć spod nóg, razem z tym całym ustalonym porządkiem.

Teraz jeszcze okres. Też nastąpił zgodnie ze ściśle określonym

miesięcznym porządkiem. To znaczy, że w ten weekend nie dojdzie między nimi do współżycia. Sama nie wiedziała, czy się z tego cieszy, czy nie. Czy on spyta - dlaczego? Nie zadawał żadnych pytań, kiedy wyjechała i podczas weekendu nie było jej w domu. Zostawiła oczywiście wiadomość, więc wiedział, gdzie się znajduje, ale nigdy o to nie zapytał. Nie wrócił wtedy do Londynu. Powiedzieli jej o tym stajenni. Jakże nienawidziła zadawania pytań.

Weszła do środka i zastała Millie przerzucającą stertę programów teatralnych.

- Co mam z tym zrobić?

- Zabiorę je na górę. - Uśmiechnęła się do służącej, wyjmując jej z ręki programy. Poprzedni wieczór spędziła wertując je, odświeżając zawarte w każdym z nich wspomnienia. Program z *Wieczoru Trzech Króli* pozostał metknięty. - Dzwonił ktoś, gdy mnie nie było?

- Ach, tak - przypomniała sobie Millie. - Dzwonił pan McElfrey. Linda odwróciła się zaskoczona.

- Mówił, o co chodzi?

- Chciał tylko przypomnieć o odebraniu jego koszul - poinformowała Millie i włączyła odkurzacz.

Linda zaniósła programy do sypialni. *Wieczór Trzech Króli*. Wzięła do ręki sztywny zeszytek, ostrożnie, jakby dotykała zatrutego jabłka. Chciała go otworzyć, ale wiedziała, że w środku będzie zdjęcie, jej zdjęcie, a Linda nie chciała zobaczyć jej po raz pierwszy w taki sposób.

Odłożyła program i podeszła do lustra. Rozważała tę myśl już od dawna, ale teraz podjęła decyzję. Pojedzie do teatru. Obejrzy przedstawienie *Wieczoru Trzech Króli* i wreszcie ją zobaczy. Nie powie Bobowi, że się wybiera - bała się, że postara się jej to odradzić. Po prostu zjawi się w teatrze, usiądzie anonimowo na widowni i będzie na nią patrzeć. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi potem... ale wszystko w swoim czasie. Obserwując kątem oka znaki dawane przez szefa wydania, Jenneen zwróciła się twarzą do kamery i zakończyła program.

- To już wszystko na dzisiaj. Zapraszamy za tydzień o tej samej

porze, kiedy to między innymi przeprowadzimy wywiad z księżną, Westminsteru. Do zobaczenia;

Wszyscy w studiu zachowali ciszę aż do ukazania się ostatnich napisów. Szef trzymał palec przy uchu przez przepisowe czterdzieści sekund, wreszcie powiedział:

- No, zeszli z nas.

Jenneen zebrała swoje rzeczy i czekała na reżysera, żeby wrócić razem z nim do biura.

- Byłaś dziś w dobrej formie - pochwalił, podchodząc do niej.

- Chyba zawsze jestem?

- Jasne. Chodź, postawię ci kawę.

Opuścili studio i szli przez portiernię w stronę automatu z kawą, Brian sięgnął do kieszeni po drobne, a Jenneen rozglądała się po rozległym pomieszczeniu, nie przerywając rozmowy na temat planu realizacji na następny tydzień.

- Wydaje mi się, że powinniśmy to puścić w dwóch odcinkach. Gary to montuje, więc zadzwonię do niego i zobaczę, co się... -przerwała nagle. Brian podał jej kubek z kawą i popatrzył w tym samym kierunku co ona. Przy głównym wejściu toczyła się ożywiona, choć prowadzona szeptem dyskusja pomiędzy trzema mężczyznami; jednym z nich był Stephen Sommers. Jenneen rzuciła Brianowi wymowne spojrzenie.

- Nie wygląda to zbyt dobrze, co? Jak myślisz, o czym mówią?

- Mogę ci dokładnie powiedzieć, o czym - oznajmił Brian, wyciągając z automatu następny kubek. - O drobnym białym proszku.

- O kokainie?

- O kokainie.

- Co? Tutaj, w foyer wielkiej stacji telewizyjnej? Niemożliwe.

- Zapewniam cię, że możliwe. Sommers nie będzie jej ta teraz kupował, ale jest w kiepskim położeniu. Prawdopodobnie jest im winien pieniądze-i przyszli je odebrać.

- Czy Bill wie o kokainie?

- Owszem.

- I co on na to?

O ile mi wiadomo - nic. Nic nie może zrobić, dopóki Steve się nie przyzna i sam się do niego nie zwróci. Bill już mu proponował pomoc, ale Steve nie chciał o niczym słyszeć. Jednak skoro takie rzeczy dzieją się przy głównych drzwiach, hmm, to wydaje mi się, że Sommers powinien zacząć rozglądać się za inną pracą.

Jenneen poszła z Brianem do biura produkcji. Kiedy mijali drzwi, Stephen Sommers przemknął obok nich i usiadł przy swoim biurku. Obserwowała z rosnącym zainteresowaniem, jak sekretarka, o której chodziły plotki, że ma z nim romans, pochyla głowę słuchając, co Steve do niej mówi, a potem sięga do torebki i wyjmuje niewielki zwitek banknotów.

- Wygląda na to, że miałem rację. Jenneen spojrzała na Briana.

- Przyszli po forszę - stwierdził i odszedł, by porozmawiać z jednym z pracowników biura.

Jenneen usiadła przy biurku i wkręciła do maszyny arkusz papieru. Widziała, jak Steve znowu przechodzi szybko przez pokój; po paru minutach jego śladem poszedł Bill.

Wzruszyła ramionami. Obojętnie, co tu się działo, nie była to jej sprawa. Zaczęła przygotowywać komentarz do filmu, który mieli dubbingować następnego dnia rano.

- Jenneen, możesz przyjść do mnie na minutkę?

Pctdniosła głowę, zaskoczona. Bill wyglądał zza drzwi swojego gabinetu. Nie zauważyła, kiedy tam wrócił. – Oczywiście.

Kiedy weszła, siedział za biurkiem. Widząc jego poważną minę, zamknęła za sobą drzwi.

- Usiądź. - Wskazał jej krzesło naprzeciw siebie. Zastanawiała się, czy zamierza z nią rozmawiać o Stephenie Sommersie, ale wydawało jej się to mało prawdopodobne. Nie miała z tym nic wspólnego, a poza tym Bill nie miał zwyczaju rozmawiać ze swoimi pracownikami o problemach ich kolegów z pracy.

Usiłowała sobie przypomnieć, co takiego ostatnio zrobiła, że spowodowało to tak nagłe wezwanie do gabinetu Billa. Nie miała

pojęcia, co Vicky mu powiedziała, kiedy dzwoniła do niego parę tygodni temu, a Bill nigdy dotąd o tym nie wspomniał. Ale może sprawa ruc ucichła tak całkowicie, jak jej się wydawało. Nie potrafiła sobie niczym innym wytłumaczyć ponurej miny Billa. Przygotowała się w duchu na reprimendę, założyła nogę na nogę i czekała, żeby się odezwał. Bill czytał jakieś papiery leżące przed nim na biurku; przez kilka minut nie odrywał od nich oczu, wyraźnie pochłonięty lekturą. Z minuty na minutę Jenneen coraz bardziej traciła pewność siebie, popadając równocześnie w coraz większy mepokój. W końcu Bill przerwał czytanie i spojrzał na nią. Miał niezwykle sympatyczną twarz z łagodnymi oczyma i wyjątkowo czerstwą cerą jak na mężczyznę dobrze po pięćdziesiątce. Nieliczne zmarszczki wokół oczu podkreślały tylko miłośobowość. Jenneen bardzo go lubiła. Znali się od czasów jej przybycia do Londynu jakieś dziewięć lat temu, kiedy to Bill wziął ją pod swoje skrzydła i zrobił z niej to, czym jest obecnie.

- Więc jak się miewasz, Jenn?

- Świetnie - odparła.

- To dobrze. - Widać było, że naprawdę jest z tego zadowolony. - Masz jakieś wiadomości od swojej przyjaciółki Kate?

- Widziałam się z nią wczoraj. Jest teraz u rodziców w Surrey, odpoczywa.

- Ale między wami już wszystko w porządku?

- O tak, na szczęście. - Zastanawiała się, do czego on zmierza.

- Wielu ludzi ją odwiedza?

- Niezbyt. Jej ojciec ostatnio stał się jeszcze bardziej opiekuńczy. Tylko nieliczni mają prawo do audiencji - zażartowała Jenneen. Bill pokiwał głową.

Nagle do Jenneen dotarło, że Bill może chcieć przeprowadzić wywiad z Kate na temat jej przeżyć.

Przestraszyła się. To była ta strona jej pracy, której nienawidziła. Żerowanie na ludzkiej tragedii.

- Cóż, miło mi słyszeć, że stosunki między wami się poprawiły - stwierdził i wyglądało na to, że chce zakończyć temat. Jenneen odetchnęła z ulgą.

- Poza tym, żadnych problemów?

Unikała jego wzroku. Wiedziała, że ma sińce pod oczami i ogólnie zmęczony wygląd. Ale nigdy nie powie mu o Matthew. Jediną osobą, której o nim powiedziała, była Vicky, lecz nawet ona nie Wspomniała już o nim od tamtego czasu, Jenneen usiłowała zaakceptować Matthew i jego nikczemne żądania jako część życia, od której nigdy nie zdóła się uwolnić. Pogodzenie się z jego wymaganiami i uznanie ich za zwykłą życiową niedogodność było wszystkim, na co mogła się zdobyć. Zakładając, że nie będzie chciał od niej coraz więcej, mogła sobie z tym jakoś poradzić. Zadrżała na myśl, do czego mógłby ją popchnąć Matthew; gdyby się stał zachłanny, choć była przekonana, że w rzeczywistości nie posunęłaby się aż tak daleko.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Nie, nie mam żadnych innych problemów. - Uśmiechnęła się. - Ale kiedy mnie pytasz z taką ojcowską troską w głosie, to prawie zaczynam o nich marzyć, żebym mogła przyjść do ciebie po radę.

- Sam nie wiem, czy to było pochlebstwo, czy wręcz przeciwnie. Tak czy owak, najważniejsze, że masz już wszystkie kłopoty za sobą.

- Tak mi się wydaje - skłamała. Temat pani Green był absolutnym tabu.

- Doskonale. To właśnie chciałem usłyszeć. - Znowu utkwiał wzrok w papierach na biurku.

- Czy to już wszystko? Mogę odejść?

- Nie. Jest jeszcze coś. Prawdziwy powód, dla którego cię wezwałem.

Serce jej zamarło, tak jak się zdarza osobom o nieczystym sumieniu.

- Tak?

- Nie rób takiej wystraszonej miny - roześmiał się Bill. Wziął do ręki dokumenty, które wcześniej czytał z takim zainteresowaniem. - Chodzi o to.

- Co to jest?

- Nie poznajesz?

- Nie widzę, co tam jest napisane.

Położył przed nią papiery, odwracając tak, by mogła przeczytać tytułową stronę.

- To są założenia programowe, które dałaś mi parę miesięcy temu; Jenneen była zaskoczona.
- Trzeba przyznać, że się nie śpieszyłeś. Zaczynałam już myśleć, że gdzieś przepadły pośród starych szpargałów.
- Ależ skąd - obruszył się. - Cały czas były tutaj, na moim biurku. -Więc jak?
- Uważam, że są dobre. Powiedziałbym nawet - bardzo dobre. Chociaż moja opinia nie jest tu taka istotna. Najważniejsze, że ci na górze myślą tak samo. Są bardzo zainteresowani.
- Pokazywałeś im to?
- Owszem - przyznał. - Co więcej, odbyłem z nimi kilka rozmów na ten temat.
- Czemu mi wcześniej nic nie powiedziałeś? Spojrzał na nią spod uniesionych brwi.
- Już rozumiem. Miałam za wiele kłopotów i byłam zbyt roztargniona, tak? - domyśliła się Jenneen.
- Coś w tym rodzaju. Ale ostatnio jesteś chyba w znacznie lepszej formie, więc uznałem, że nadszedł właściwy czas. W tej chwili ustalany jest budżet na przyszły sezon i mamy szansę się w nim zmieścić.
- Żartujesz.
- Nie, jestem śmiertelnie poważny. Jest jednak jeszcze parę rzeczy do zrobienia, zanim dadzą się przekonać, żeby to przepchnąć. Chcą wiedzieć, ile to będzie kosztować. Kogo udało ci się pozyskać dla tego projektu. Czy masz na myśli jakąś konkretną osobę, która mogłaby się tym zajmować, poza tobą samą, rzecz jasna. I wreszcie, ile znasz osób z kręgów filmowych, które zgodziłyby się to poprzeć.
- Kiedy chcą to wszystko wiedzieć?
- Najszybciej, jak się da. Ale radziłbym się śpieszyć. Jeśli tę firmę można w ogóle za coś pochwalić, to na pewno za szybkość w ustalaniu budżetu. Może nie są tacy szybcy, gdy chodzi o programy, ale budżet to całkiem inna sprawa.
- Potrzebuję trochę czasu.
- Ile?

- Co najmniej dwa tygodnie. Muszę się spotkać z mnóstwem ludzi.
 - Rozmawiałaś już z kimś? Tylko z paroma osobami.
 - A co z krytykami? Musisz znaleźć recenzentów, którzy zechcą z tobą współpracować. Bez nich nie zrobisz programu.
 - Znam już paru, którzy się zgodzili. Ale liczę głównie na ich zarozumiałość. Przeważnie mają się za półbogów, więc zrobią wszystko za miejsce w panteonie telewizyjnego studia, gdzie zobaczą nakierowaną na siebie kamerę z czerwonym światłem.
 - Chyba rzeczywiście tak to wygląda. A co z samymi twórcami filmowymi? Rozmawiałaś z którymś z nich?
 - Na razie, z kilkoma. Ale ich może przyciągnąć reklama, szansa na lepsze sprzedanie własnej pracy. Przy odrobinie szczęścia może nam się uda zorganizować całkiem ciekawe dyskusje.
 - Zeby nie powiedzieć: pojedynki na pięści - wtrącił Bill.
 - Właśnie. A co myślisz o tych dodatkowych możliwościach, o których wspomniałam w dokumencie? Szanse dla nowych twórców, pisarzy i tak dalej? Mówili coś o tym?
 - Coś na ten temat wspominali, ale wydaje mi się, że chcą się najpierw przekonać, jak wyjdzie sam program.
 - Co z nagrodami?
 - Ach tak, nagrody. Pomysł im się spodobał. Mają okazję zająć się sztuką i zakładając, że program się sprawdzi, a tak mi się wydaje, wkrótce znajdą się i nagrody.
- Jenneen rozpromieniła się w uśmiechu.
- To wspaniała wiadomość, Bill. Dzięki.
 - Nie ma o czym mówić. Sam chciałbym wziąć udział w czymś takim. Mam nadzieję, że o mnie nie zapomnisz? - Jakże bym mogła - obruszyła się z uśmiechem. - W końcu tobie pierwszemu pokazałam ten plan. Miałam nadzieję, że jeśli coś z tego wyjdzie, zgodzisz się kierować produkcją.
 - To brzmi jak oferta pracy - zaśmiał się.
 - Bo nią jest.
 - Nie za dużo ty sobie pozwalasz? - zażartował. - Ale przyjmuję,

jeśli rzecz dojdzie do skutku. A teraz, co powiesz na lunch? Moglibyśmy omówić szczegóły przy jedzeniu. Umieram z głodu.

- Stawiasz?

- Stawiam - zgodził się po udawanym namyśle.

- No to jesteś przyjęty. Idę po torebkę.

Bill patrzył, jak Jenneen wychodzi z gabinetu. Miał nadzieję, że postępuje właściwie. Nie chciał ponosić nadmiernego ryzyka. Pomysł był dobry. Najlepszy, z jakim miał do czynienia od dłuższego czasu. Naprawdę nie chciał oszukiwać Jenneen, ale przez ostatnie parę miesięcy bardzo niepokoilo go jej zachowanie. Od pewnego czasu było z nią znacznie lepiej, ale nadal gnębiły ją jakieś kłopoty, był tego pewien. Wiedział też, że mu o nich nie powie. Cóż, mógł mieć jedynie nadzieję, że mając własny projekt do rozpracowania, znowu zacznie być dawną Jenneen, na której można było w pełni polegać. Ci na górze byli zachwyceni samym pomysłem, ale ich entuzjazm mocno przygasł, kiedy się dowiedzieli, kto jest jego autorem. Bill miał gwarantować, że przedsięwzięcie się powiedzie. A Bill z kolei musiał polegać na Jenneen. Mógł się tylko modlić, żeby go nic zawiodła.

Wróciwszy wieczorem do domu, Jenneen rzuciła niedbale torebkę i powiesiła płaszcz na wieszaku w holu. Dawno nie czuła się tak dobrze. Uświadomiła sobie, że już prawie zapomniała, co znaczy być szczęśliwym. Nie mogła się doczekać rozpoczęcia pracy nad projektem. Było mnóstwo do zrobienia, a postanowiła za żadną cenę nie zawieść Billa. Miała ochotę ucałować go za to, co *dla* niej zrobił, i nie po raz pierwszy zastanawiała się, kim byłaby bez niego.

Wychodząc z holu była tak pochłonięta przeglądaniem wieczornej gazety w poszukiwaniu recenzji filmowych, że nie zauważyła Vicky, siedzącej na sofie w salonie.

- Cześć.

Jenneen podskoczyła i omal nie upuściła gazety;

- Vicky! Co ty tu robisz?
 - Ta pani z góry mnie wpuściła. Chyba jej się zrobiło żal, że tak Sterczę na klatce schodowej.
 - Nie mówiłaś, że przyjdiesz dziś wieczorem - powiedziała spłoszona Jenneen, zerkając na kalendarz, by sprawdzić, czy przypadkiem nie przegapiła terminu. - Co wcale nie znaczy, że się nie cieszę z twoich odwiedzin - dodała szybko.
 - Miałam parę spraw do załatwienia w sklepie w Kensington, więc pomyślałam, że przy okazji wpadnę do ciebie. - Długo czekałaś?
 - Szczerze mówiąc, długo - przyznała Vicky. - Z początku nie miałam zamiaru zostawać, ale coś się wydarzyło, więc postanowiłam jednak poczekać.
 - Mam nadzieję, że to nic poważnego. Zrobię ci drinka i opowiesz mi o wszystkim. - Podeszła do barku i naląła dwie szkockie z lodem. - Chyba nikt cię nie zaczepiał?
 - Nie, nic w tym rodzaju. Dziękuję. - Vicky wzięła szklanekę z rąk Jenneen.
 - Więc co się stało?
 - Właściwie nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie.
 - O mnie? - zdziwiła się Jenneen. Przełknęła whisky.
 - Tak. Kiedy przyszłam, ktoś tu na ciebie czekał.
- Jenneen zbladła. Nietrudno było się domyślić, kto to był, nawet nie patrząc na minę Vicky.
- Rozpoznałam go od razu - mówiła Vicky.
 - Gdzie on teraz jest?
 - Odszedł, kiedy powiedziałam, że przyszłam się z tobą zobaczyć.
 - To bardzo dziwne, że Matthew poddał się tak szybko.
 - Powiedziałam, że ma przyjść jeszcze kilka osób. To go chyba zniechęciło.
 - Dzięki - westchnęła Jenneen. - Ale przecież był *ta* dopiero wczoraj wieczorem. Po co znowu przyszedł?
 - Tego możesz się dowiedzieć tylko od niego. Często przychodzi?
 - Niestety. Cholernie często.

- Więc to się dalej ciągnie? Jenneen przytaknęła bez słowa.
 - Musisz coś z tym zrobić, Jenn. Nie możesz wciąż na to pozwalać.
 - To nie jest takie proste. On mnie nigdy nie zostawi w spokoju, jestem pewna.
 - Grozi ci?
 - Czy mi grozi?! -r wykrzyknęła Jenneen. - Żartujesz sobie? Oczywiście, że mi grozi.
 - Miałam na myśli to, czy wywiera przemoc.
 - Tak, chyba można to tak nazwać. Ale jeśli ci chodzi o przemoc fizyczną, to nie. Zazwyczaj nie.
 - Zazwyczaj? To znaczy, że się zdarza.
 - Czasami się zdarzało, dawniej. Ale zrozumiałam, że jeśli nie będę stawiać oporu i dam mu pieniądze, to szybko się wyniesie. Mieszka teraz z tą małą dziwką Maggie i pewnie ona mu gotuje, więc ja nie muszę tego robić. Mówił ci coś?
 - Właściwie nie. Spotkaliśmy się już kiedyś, ale nie wiem, czy on to pamięta. To właśnie dlatego postanowiłam na ciebie poczekać. Jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć.
 - A niech to! - syknęła Jenneen, słysząc dzwonek telefonu. -Poczekaj chwilkę.
- Dzwoniła Ashley, żeby jej powiedzieć, że następnego wieczoru odbędzie się Jconferencja w Barnes" i jeśli zdoła wziąć w niej udział, dowie się różnych ciekawych rzeczy.
- Zaintrygowałaś mnie - roześmiała się Jenneen do słuchawki. -Ma się rozumieć, że przyjdę. Do zobaczenia - zakończyła rozmowę. -Przepraszam - zwróciła się do Vicky. - Na czym to stałyśmy? Aha, mówiłaś, że nie wiesz, czy Matthew cię pamięta. Cóż, masz szczęście, jeśli nie. Szkoda, że o mnie nie zapomniał.
- Telefon jakoś wytrącił Vicky z równowagi i nie miała już chęci nic mówić.
- On ci nie da spokoju - powiedziała po chwili. - Przynajmniej tak długo, póki mu ustępujesz.
 - Nie widzę innego wyjścia.

- Możesz pójść na policję.
- Teraz chyba naprawdę żartujesz. - Jenneen była zszokowana. - Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby moje nazwisko pojawiło się w nagłówkach. Nie ma mowy. Poza tym, nie można go nie doceniać
- zełapewnościąjest do tego zdolny. Mówiąc prawdę, wcale bym się nie Zdziwiła, gdyby to kiedyś zrobił, z czystej złośliwości. Matthew Bordsleigh jest chytrą, fałszywą żmiją o wdzięku Dżyngis Chana, choć niewielu ludzi zna go od tej strony. Nie, ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mi do głowy, jest zwrócenie się do policji. To by oznaczało zdanie się całkowicie na jego łaskę.
- Wnioskuje z tego, że nie da się z nim dojść do porozumienia?
- Wnioskujesz prawidłowo.
- Ale nie możesz się wiecznie na to godzić, Jenneen. Nie będziesz miała życia. Nie będziesz miała pieniędzy, wolności, spokoju. Musisz się go pozbyć,
- Poza morderstwem żaden inny sposób nie przychodzi mi do głowy.
- Cóż, zasługuje na to, ale to chyba nie jest najlepsze rozwiązanie -roześmiała się Vicky. - Będziemy musiały wymyślić coś innego. Trzeba go powstrzymać. Pytanie tylko, w jaki sposób.
- Nie ma sensu nawet o tym mówić. Możesz mi wierzyć: gdyby było jakieś wyjście, do tej pory już bym je znalazła. Zresztą już prawie znalazłam, tylko że ty mnie powstrzymałaś. Niestety, Matthew Bordsleigh pozostanie pijawką na Jenneen Grey, dopóki sam nie zrezygnuje. Muszę się z tym po prostu pogodzić.
- Może pozwolisz mi z nim porozmawiać?
- Nie będzie cię słuchał, a zresztą nie chcę, żebyś była w to zamieszana. To wredny typ, zdolny do wszystkiego.
- To śmieszne, ale kiedy go poznałam, pomyślałam, że jest bardzo miły. Atrakcyjny, interesujący, uśmiechnięty. Trudno uwierzyć, że jest kłamcą, oszustem i szantażystą.
- O,, zapewniam cię,' że jest - stwierdziła Jenneen. - Pozory bardzo często mylą. On jest najlepszym dowodem.
- Nie zamierzam tak tego zostawić. Musi być jakaś rada. Na pewno coś wymyślę.

Jenneen zaniepokoiła się.

- Słuchaj, nikomu o tym nie mówiłam, nawet moim najbliższym przyjaciółkom. Nikt o niczym nie wie.¹¹

- Nie martw się - uspokoiła ją Vicky z ciepłym uśmiechem. - Zachowam tajemnicę, jeśli sobie tego życzysz. Może jeszcze łyczek szkockiej?

- Bardzo chętnie — zgodziła się Jenneen. Napelniając kieliszki, żałowała, że zwierzyła się Vicky. Myślała o dniu, kiedy Vicky uratowała jej życie, i zastanawiała się ze smutkiem, czy jeszcze kiedyś posunęłyby się tak daleko. Głupi pomysł! Przecież ostatnio sprawy miały się znacznie lepiej. Stosunki z Kate się naprawiły, a poza tym pracowała nad własnym programem, przy poparciu zarządu i pomocy Billa.

- Musimy coś uczcić - powiedziała, odwracając się do Vicky.

- O, coś nowego - stwierdziła ostrożnie Vicky.

Jenneen roześmiała się i opadła na fotel. Gdy Vicky usłyszała nowinę, ucieszyła się i zaprosiła Jenneen na kolację do restauracji.

- Proszony lunch i kolacja? Dobrze mi się dzisiaj powodzi - zauważyła żartobliwie Jenneen. - Pójdę się przebrać. Nie mogę tak wyjść, wyglądam okropnie.

- Według mnie, wyglądasz dobrze - powiedziała Vicky. - Czyja przypadkiem nie znam skądś tej sukienki?

- Ależ tak. Jest trochę pomięta, bo miałam ją na sobie cały dzień. Nie chciałam cię urazić.

- Wcale się nie czuję urażona.

Jenneen odstawiła szklankę na stół i podniosła się, by wyjść z pokoju.

- Jenn.

Odwróciła się, zaniepokojona poważnym tonem głosu Vicky.

- Słuchaj, Jenn, przepraszam cię. Nie powinnam wtykać nosa w nie swoje sprawy. To nie mój interes, wybacz, chciałam tylko pomóc.

- Och, Vicky - przerwała Jenneen, siadając znowu. - Przecież wiem.

- Mam nadzieję, że ufasz mojej dyskrecji. Jeśli kiedykolwiek coś z tego Się wyda, przysięgam, że nie będzie w tym mojego udziału. Mimo to cieszę się, że mi powiedziałaś. Duszenie w sobie takich rzeczy wcale nie jest dobre. Ale rozumiem, że tu chodzi o twoje życie i musisz nim kierować według własnego uznania. Nie poruszę już tego tematu, obiecuję.
- Dzięki. Przepraszam, że byłam trochę oschła.
- Wcale nie byłaś. A teraz idź się przebrać. Jestem strasznie głodna, no i chciałabym usłyszeć coś więcej o tym twoim programie.

Rozdział 25

Wszystko stało się tak szybko... Ashley dosłownie nie mogła uwierzyć, że od chwili, gdy poprosiła Juliana o umożliwienie jej wyjazdu, minęły zaledwie cztery tygodnie, a teraz była tu, w Nowym Jorku, na Manhattanie, i jeszcze nigdy nie czuła się taka ożywiona. Miała ochotę wyciągnąć ręce i tańczyć z radości. Była zachwycona tym miejscem. Wszystko wokół niej było takie dynamiczne, podniecające, a ona, Ashley Mayne, stanowiła część tego świata. Nie była zwykłą turystką, zatrzymującą się tu na krótkie wakacje, lecz prawdziwą, pełnoprawną mieszkanką Nowego

Jorku. W każdym razie miała być, kiedy już uda jej się znaleźć jakieś mieszkanie.

Tymczasem mieszkała w East Side w małym hoteliku o bardziej angielskim niż amerykańskim charakterze, gdzie ludzie bardzo się nią interesowali i zachwycali się jej „uroczym angielskim akcentem”.

Myślała, że na początku będzie się czuła osamotniona i zapewne by tak było, gdyby miała na to czas. Zanim rozpoczęła pracę na Madison Avenue, miała pięć dni wolnego i zmieściła w tych pięciu dniach tyle, ile tylko było możliwe - autobusową wycieczkę po mieście, zwiedzanie muzeów, galerii sztuki i wszystkich znanych atrakcji turystycznych w okolicy. Największe wrażenie zrobiła na niej bez wątpienia Piąta Aleja. Te wszystkie wytworne sklepy, magazyny wystawiające na sprzedaż różne wspaniałości, od diamentów po futra, od wyrobów Cartiera do Tiffany'ego. Otworzyła już sobie rachunek u Saksa i kusiło ją, żeby zrobić to samo u Tiffany'ego, nawet nie po to, żeby robić tam zakupy, bo raczej nie było jej na to stać, tylko żeby zrobić na ludziach wrażenie.

Parę razy dzwoniła do domu, lecz matka tak się denerwowała kosztami połączenia, że zawsze szybko musiała kończyć rozmowę. Jenneen dzwoniła dwa razy, raz zadzwonili także Ellamarie i Bob. Szczególnie ucieszył ją telefon od Ellamarie, bo przyjaciółka była jakaś nieswoja podczas tygodni poprzedzających wyjazd i Ashley niepokoila się, czy ma to jakiś związek z Bobem. Teraz, w czasie rozmowy telefonicznej, odniosła wrażenie, że Ellamarie jest w lepszej formie, a Bob był razem z nią i też chciał coś powiedzieć. Można było mieć nadzieję, że jeśli nawet były między nimi jakieś nieporozumienia, zostały szczęśliwie zażegnane. Kate sprawiła jej niespodziankę nie tylko telefonem; kiedy Ashley zjawiała się w hotelu, czekała na nią butelka szampana i kwiaty. Na załączonym bileciku było napisane: „Z pozdrowieniami od Kate. I ode mnie także. Nick”. Ashley uśmiechnęła się czytając dopisek Nicka i na moment ogarnęła ją tęsknota za domem. Ale tak naprawdę smuciło ją tylko to, że nie ma ich wszystkich tutaj i nie mogą brać udziału w jej nowym życiu. W piątek rano po przyjeździe stawiała się w budynku IBM przy

Madison Avenue, gdzie mieścili się biura firmy Frazier-Nelmes. Została miło przyjęta przez elegancką kobietę w średnim wieku o imieniu Jan, która miała być jej sekretarką. Kiedy Jan pokazała jej gabinet, Ashley starała się nie okazać, jak wielkie zrobił na niej wrażenie. Rozmiarami dorównywał powierzchni całego działu artystycznej agencji w Londynie, a biurko było tak ogromne, że siedząc za nim czuła się trochę śmiesznie. Po przeciwnej stronie znajdowała się niewielka wnoka z dwiema skórzanymi sofami i

marmurowym stolikiem do kawy. Jan wskazała ten kąt jako miejsce, gdzie można odbywać mniej oficjalne rozmowy. Ashley zauważyła wbudowany w ścianę barek, w którym po otwarciu znalazła wszystko, czego mogła się spodziewać, a nawet więcej.

Później, kiedy Jan oprowadziła ją po całym biurze; przedstawiając jej kierowników wszystkich działów, przeszły do osobistego biura Conrada, gdzie poznała jego sekretarkę, Candice, która nie sprawiła jej niespodzianki. Wyglądała dokładnie tak, jak Ashley wyobrażała sobie sekretarkę Conrada. Elegancka, inteligentna i piękna. Ashley polubiła ją od razu i odniosła wrażenie, że z wzajemnością. Candice poinformowała ją, że Conrad jest nieobecny i wróci dopiero pod koniec miesiąca. Podróżował po Karaibach z klientami, co stanowiło jeden z przyjemniejszych obowiązków szefa firmy.

Ashley cieszyła się w duchu, że go nie zastała; obawiała się trochę ich nieuchronnego spotkania. Była głęboko przekonana, że odniósł się niechętnie do zabiegów Juliana, by umieścić ją na tym stanowisku, i zapewne kable telefoniczne aż się skręcały, kiedy wyrażał swą opinię dzwoniąc do Londynu. Jednakże była zdecydowana jakoś sobie z nim poradzić.

Kiedy wróciła w poniedziałek rano o wpół do dziewiątej, gotowa energicznie zabrać się do pracy, stwierdziła, że wszystko przygotowano na jej przyjęcie. Była pełna podziwu dla sprawności pracowników swojego działu, a szczególnie dla Jan. O dziesiątej w meficer jalnej części swego gabinetu odbyła spotkanie z wszystkimi podwładnymi, którzy byli akurat na miejscu. Ich zachowanie przyjemnie ją zaskoczyło.

Spodziewała się pewnej rezerwy czy może nawet

niechęci, a spotkała się jedynie z przyjaznym nastawieniem i chęcią współpracy. Czowała, że praca będzie im się dobrze układać.

W porze lunchu Candice zabrała ją do restauracji o nazwie Prima Donna, gdzie opowiedziała o poszczególnych pracownikach agencji. Ashley nie zapytała ani słowem o Conrada, a z krótkich wzmianek Candice na jego temat przebijała szczerą sympatia. Ashley była tym Ogromnie zaskoczona. Mogła sobie wyobrazić wiele różnych uczuć, jakie można było żywić do Conrada Frazier, ale sympatia z pewnością nie wchodziła w ich zakres. Jednak, stosunek Candice do Conrada był jej prywatną sprawą, Ashley przyjechała tu pracować i zacząć nowe życie i na tym zamierzała się skupić.

Pierwsze dwa tygodnie pracy minęły szybko, prawie nie pozostawiając jej wolnego czasu dla siebie. Odbyła mnóstwo spotkań; słyszała, że Amerykanie lubią się spotykać, ale to, co przeżyła, przerosło jej najśmielsze oczekiwania. Spotkania zaczynały się przy śniadaniu, około ósmej rano, i trwały przez cały dzień, kończąc się czasami dobrze po północy w jakimś klubie czy restauracji,

Stwierdziła, że tutejsi klienci są o wiele bardziej bezpośredni tuż ci w Londynie, ale też i o wiele bardziej wymagający. Wszystko musiało być zrobione na wczoraj, a jeszcze lepiej na zeszły tydzień. Panował bezustanny ruch. Codziennie nakręcano filmowe reklamówki, plansze i plakaty reklamowe były na przemian wieszane i j^ejmowane w całym mieście, trwało nieprzerwane polowanie na powierzchnię ogłoszeniową w gazetach i czasopismach, a dział artystyczny dostarczał swoje prace z taką szybkością i wydajnością, że Ashley niemal się rumieniła na myśl o skromnym tondyóskim współudziałowcu. Ci ludzie z pewnością wiedzieli, jak się pracuje, i dawali z siebie wszystką dopóki praca me była wykonana.

Pozostawało jej jeszcze znalezienie mieszkania, choć na szczęście nie było to aż takie pilne. Jan była bardzo pomocna i codziennie przeglądała biuletyn agencji nieruchomości w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego. Ashley skwapliwie powierzyła jej to zadanie, jako że sama nie miała nawet pojęcia, gdzie kobieta o jej pozycji powinna zamieszkać. Próbowwała nie zdradzać przerażenia, ilekroć Jan pod-

suwała jej jakąś propozycję do rozważenia - tu było jeszcze drożej niż w Londynie. Zapomniała, że przy obecnych dochodach może sobie na sporo pozwolić.

Wkrótce nadszedł koniec miesiąca i zanim się zorientowała, Conrad był z powrotem na miejscu. Chciała mieć jak najszybciej za sobą pierwsze spotkanie i spodziewała się, że wezwie ją do siebie natychmiast po powrocie. Czeką ją jednak rozczarowanie. Przez większą część tygodnia konferował za zamkniętymi drzwiami z dyrektorem finansowym i prezesem, a potem znowu wyjechał.

To sprawiło, że Ashley była jeszcze bardziej zdenerwowana na myśl o nieuchronnym spotkaniu. Ignorując ją tak ostentacyjnie, Conrad zapewne wyrażał niechęć, że Ashley została mu narzucona. Niech mu będzie. Była już tu, na miejscu i chce czy nie chce, będzie to musiał jakoś przełknąć. Żałowała, że w rzeczywistości nie potrafi okazywać takiej pewności siebie, jaką prezentowała w myślach.

W połowie piątego tygodnia pracy Conrad wreszcie wezwał ją do, swojego gabinetu. Zdziwiła się, kiedy Candice przekazała jej polecenie, bo nie wiedziała nawet, że Conrad jest w swoim biurze. Na szczęście szaleńczy ruch w agencji ostatnio nieco się uspokoił i Ashley czuła się względnie na siłach stawić czoło sytuacji.

Candice siedziała przy swoim biurku i rozmawiała przez telefon, kiedy Ashley znalazła się przed drzwiami gabinetu szefa. Podniosła wzrok i gestem poleciła Ashley wejść do środka, pokazując równocześnie na migi, że Conrad czeka.

Ashley zapukała i czekała na wezwanie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnęła drzwi i zajrzała do środka. Rozmawiał przez telefon. Rzucił jej przelotne spojrzenie wskazując wzrokiem krzesło po drugiej stronie biurka, więc weszła zamykając za sobą drzwi. Zbliżyła się do okna i wyjrzała na widoczną daleko w dole ulicę.

Rozmowa prowadzona przez Conrada nie dotyczyła interesów, Ashley starała się nie słuchać. W końcu odłożył słuchawkę i obrócił się w fotelu twarzą do niej.

Natychmiast poczuła chęć, by wymierzyć mu policzek. Taksował

ją wzrokiem z tym dobrze znanym, lekceważącym uśmiechkiem. Od razu stało się dla niej jasne, że ich wzajemne stosunki wcale nie będą wyglądały lepiej niż dotychczas.

- A więc - zaczął z wyraźnym amerykańskim akcentem, którego wcześniej jakoś nie zauważyła - przyjechała pani, żeby do nas dołączyć, Ashton.

Zagryzła mocno wargi.

- Ley - syknęła.

- Leigh? - Spojrzał ze zdziwieniem w rozłożone na biurku papiery. - Wydawało mi się, że pani nazwisko brzmi Mayne. - Zgadza się. Na imię mam Ashley.

- O przepraszam. Proszę usiąść, chciałbym z panią porozmawiać. Zamierzała usiąść po drugiej stronie biurka, ale Conrad wstał i przeszedł do „nieoficjalnej” wnęki w przeciwnym końcu gabinetu. Poszła więc za nim i usiadła na jednym z foteli. Weszła Candice z kawą. Stawiając tacę na stoliku, mrugnęła porozumiewawczo do Ashley. Conrad wziął do ręki dzbanek.

- Nie widziałem pani na ślubie - zaczął, podając jej napełnioną filiżankę.

Ashley przyjęła kawę i uśmiechnęła się słodko.

- Bo mnie tam nie było - wyjaśniła, nie dając się sprowokować.

- Więc jak się pani pracuje?

- Bardzo dobrze - zapewniła, zadowolona, że zmienił temat. -Wszyscy są bardzo mili i życzliwi. Uczę się szybciej, niż mogłam przypuszczać.

- To dobrze. To świetny zespół. Tu kadry często się zmieniają, nie to, co w Londynie.

- Większość londyńskich agencji ma dużą fluktuację kadr.

- Och, nie Frazier-Nelmes.

- Owszem. Nie Frazier-Nelmes. Julian stara się zaszczepić w swoim zespole poczucie lojalności wobec firmy.

- A czyż pani nie opuściła gniazda?

- Nadał pracuję dla tej samej agencji,

- No tak, prawda. A tak na marginesie... gratuluję szybkiego awansu.

Ashley oblała się rumieńcem; nie przyszła jej do głowy żadna celna odpowiedź, więc się nie odezwała. –
Cóż - ciągnął Conrad, Julian zapewnia mnie, że stanowi pani prawdziwy klejnot, więc chyba będę musiał mu uwierzyć.

- Może się pan przekonać, co potrafię, zanim pan uwierzy Julianowi.

- O, wiem już, co pani potrafi - powiedział. - Nie było mnie tu, ale obserwowałem pani dokonania. I pewnie miło pani będzie usłyszeć, że jestem pod wrażeniem tego, czego się dowiedziałem. Mam nadzieję, że nie spocznie pani na laurach.

Ten człowiek był tak irytujący, że mogła tylko się modlić, by ich kontakty ograniczały się do minimum.

- Znalazła pani już jakieś mieszkanie?

- Ach, więc jednak obserwacja nie była aż tak ścisła? Uniósł brew, ale nic nie odpowiedział.

- Nie — powiedziała, czując że znowu zaczyna się rumienić. -Jeszcze nie znalazłam. Jan pomaga mi szukać.

- Gdzie pani mieszka?

- W hotelu.

Pokiwał głową i przeszedł do informacji na temat agencji, zapoznając ją z miesięcznym programem zebrań, które odbywały się w sali posiedzeń. Ashley słuchała uważnie, parokrotnie czując na sobie jego przenikliwy wzrok. Za każdym razem czuła, jak jej policzki zmieniają kolor. Kiedy po pół godzinie Candice zapukała do drzwi, Ashley odczuła taką ulgę, że westchnęła głęboko i niechętnie przewróciła filiżankę na talerzyku. Na szczęście była pusta. Conrad spojrział na nią z wyraźnym rozbawieniem.

Candice powiadomiła, że przyszedł Gavin Berkeley, dyrektor finansowy.

- Mam powiedzieć, żeby zaczekał?

- Nie - powstrzymał ją Conrad, podnosząc się z fotela. - Już skończyłem. Poproś, żeby wszedł.

Ashley wstała. Najwyraźniej spotkanie dobiegło końca.

- Jestem pewien, że wkrótce się zobaczymy - stwierdził, odprowadzając ją do drzwi. - Ale chciałem panią powitać w Nowym Jorku.

- Dziękuję - powiedziała, zaskoczona miłym tonem jego głosu. Sięgnął ręką do klamki.

- A jak tam życie towarzyskie? - spytał. - Dużo pani bywa?

- Wystarczająco, dziękuję.

Drzwi się otworzyły i Candice wprowadziła Gavina Berkeleya. Stłoczyli się w progu we czworo. Conrad otworzył szerzej drzwi, robiąc miejsce, by Ashley mogła wyjść.

- Poproszę Candice, żeby wypisała dla pani listę dobrych basenów - powiedział z niewinnym wyrazem twarzy. - O ile pamiętam, ma pani upodobanie do sportów wodnych.

Ashley gwałtownie wciągnęła powietrze, czując, że robi się paśowa. Miała świadomość, że Candice i Gavin przyglądają się jej z zaciekawieniem, ale nie była w stanie nic powiedzieć. Z wymuszonym uśmiechem szybko opuściła gabinet.

Nie zapalając światła, Ellamarie weszła po schodach i otworzyła drzwi do mieszkania. Gdy zatrzasnęła je za sobą, przeszła do kuchni, i wrzuciła do zlewu przyniesione naręczce kwiatów. Nalała sobie dużą porcję brandy. Była wściekła. Cholernie wściekła.

Tego wieczoru odbyło się ostatnie przedstawienie *Wieczoru Trzech Króli* i po jego zakończeniu wszyscy poszli na kolację do restauracji. Wszyscy, oprócz niej i Boba. Nie miała pojęcia, gdzie on jest w tej chwili, co zważywszy na jej nastrój było dla niego raczej korzystne.

Obiecał, że przyjedzie na czas, żeby ją zabrać po spektaklu. Miał być tego wieczoru w Coliseum, a potem spotkać się z Adrianem Cowleyem w sprawie *Królowej Kornwalii*, ale nie powiedział jej gdzie. Do tej pory nigdy jej nie zawiódł. Maureen Woodley z wrednym uśmieszkiem na twarzy poinformowała ją, że widziała Boba tuż po zakończeniu przedstawienia, ale dokąd się potem udał, niestety, przykro jej bardzo, nie potrafi powiedzieć. Ellamarie sprawdziła u sekretarki Boba, ale ta potwierdziła, że nie miał w planie na ten wieczór żadnych innych spotkań. Gdyby Ellamarie nie była taka wściekła, może zauważyłaby zaniepokojenie sekretarki, kiedy jej przekazywała tę wiadomość.

Ale skoro wrócił do teatru, to gdzie mógł teraz być? Dlaczego na nią nie czekał? Ostatnio nie było między nimi żadnych nieporozumień, wręcz przeciwnie, większość tego popołudnia spędzili razem w łóżku. Czekala przy tylnym wyjściu prawie pół godziny, dopóki Nick, który czekał razem z nią, nie stwierdził, że musi już iść. Miał pojechać po Kate, która zatrzymała się na noc w swoim mieszkaniu w South Kensington. EUamarie nie miała nic przeciwko temu, żeby sobie poszedł. Była zadowolona, że Kate zgodziła się wreszcie spędzić wieczór poza domem z przyjaciółmi, to jej mogło bardzo dobrze zrobić. Chociaż tym bardziej zaostrzyło wściekłość EUamarie, bo chciała się zobaczyć z Kate. Ale kiedy Bob nadal się nie pokazywał, uznała że wieczór jest dla niej stracony, wsiadła do taksówki i pojechała prosto do domu. Podniosła słuchawkę i wykreśliła numer zajazdu, w którym mieszkał Bob. Nie było odpowiedzi, tak jak się zresztą spodziewała. Rzuciła słuchawkę. Nie było sensu kłaść się do łóżka - i tak nie mogłaby zasnąć. Nie było też sensu włączać telewizor - przy takim stanie nerwów nie mogłaby się skupić na oglądaniu niczego. Odpadało również czytanie. Nalała sobie następnego drinka. Przesiedziała dwie godziny, coraz bardziej pijana, a w miarę jak uchodził z niej gniew, wzrastało zaniepokojenie. Mógłby przynajmniej zadzwonić, zawiadomić ją, że jest cały i zdrowy, ale nawet o tym nie pomyślał. W końcu zrezygnowana położyła się do łóżka. O drugiej nad ranem usłyszała przez sen pukanie do drzwi. Wyciągnęła rękę, żeby obudzić Boba. Otworzyła oczy, kiedy dłoń trafiła na pustą poduszkę. Niechętnie wstała z łóżka. Owinęła się szlafrokiem, zapaliła światło i spojrzała na zegar. Pukanie rozległo się znowu, tym razem bardziej niecierpliwie. Zawołała, że już idzie. Nie zapalała lampy w holu, bo światło padające z sypialni wystarczająco oświetlało jej drogę. Pukanie powtórzyło się jeszcze raz.

- Dobrze już, dobrze - mruknęła. - Już idę. Otworzyła drzwi.
- Spa... - Nie zdążyła się nawet dobrze przyjrzeć postaci stojącej

w progu, gdy potężne uderzenie rzuciło ją o ścianę. Otworzyła usta do krzyku, ale poczuła dłoń zaciskającą się na jej twarzy. Usłyszała trzaśnięcie drzwi i napastnik wepchnął ją z odwrotem do sypialni, popychając brutalnie od tyłu. Została rzucona na łóżko. Zdołała się odwrócić na tyle, by spojrzeć na twarz intruza. Oczy rozszerzyły jej się z przerażenia.

Mężczyzna cicho zamknął za sobą drzwi. Wyczuwała, że uśmiechał się pod wełnianą maską. Z jego postawy domyśliła się, co zaraz nastąpi.

Skuliła się w rogu łóżka, kiedy ruszył w jej stronę.

- Czcz... czego chcesz?

- Jak się masz, Ellamarie?

O Chryste, skąd on znał jej imię?

Zbliżał się do niej powoli. Nagle poczuła, że wracającej siły. Przekreśliła się na łóżku i zsunęła na podłogę po drugiej stronie. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Dalej zbliżał się krok po kroku. Delikatne białe ręce miał opuszczone wzdłuż ciała. Sięgnął do jej Włosew: Zrobiła unik, zanim zdołał jej dotknąć.

- Nie, proszę. Kim jesteś? Czego chcesz?

- Chcę ciebie, Ellamarie. - Jego głos miał miękkie brzmienie. - Myślałem, że będziesz to wiedziała.

- Skąd znasz moje imię?

Stał nad nią. Czubki jego sportowych butów znajdowały się parę centymetrów od jej kolan. Przywarła plecami do ściany i próbowała wstać. Roześmiał się cicho i pchnął ją z powrotem na podłogę. Spojrzała na niego z dołu i chwyciła się ręką za szyję, nagły przypływ panicznego strachu omal jej nie udusił. Napastnik wyglądał groteskowo, kiedy tak stał nad nią, oświetlony od spodu lampą, t^ttt! Zerknęła na znajdującą się nie opodal toaletkę i bez namysłu sięgnęła pó stojącą na niej lampę. On jednak był szybszy. Uderzył ją boleśnie w ramię.

- To było nieładne - powiedział z naganą.

Prawie go nie słyszała. Łomot serca zagłuszał wszystkie dochodzące do niej dźwięki. Cofnęła się, wciskając całym ciałem w kąt pokoju.

Jak zahipnotyzowana patrzyła na jego kolano zbliżające się do jej twarzy. Wymierzyła cios, ale chwycił ją mocno za nadgarstek i wykręcił jej rękę.

- Wstań - rozkazał.

Podniosła wzrok. Cała drżała z przerażenia. Wolno pokręciła głową.

- Powiedziałem, wstawaj! - Ton jego głosu zapowiadał, że lepiej spełnić żądanie. Podniosła się, nie spuszczać oczu z maski. Uczepiła się rękami blatu toaletki.

- Tam - powiedział cicho, wskazując na łóżko.

- Nie - chlipnęła, zaciskając szlafrok pod szyją.

Patrzyła, jak wkłada rękę do kieszeni. Kiedy wyjął ją z powrotem, dostrzegła nóż. Próbowwała krzyknąć, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Zatoczyła się na ścianę zawiadując o toaletkę. Leżące na blacie przedmioty pospadały z brzękiem na podłogę.

Zaczęła płakać.

- Proszę! Proszę - błagała. - Nie rób mi krzywdy. Proszę cię, nie dotykaj mnie.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy - powiedział, jakby zdziwiony, że coś takiego mogło jej w ogóle przyjść do głowy. - Wejdz na łóżko.

Pozostała w miejscu, ze strachu niezdolna się poruszyć. Nacisnął guzik w rękojeści noża; ukazało się ostrze.

Przyłożył jej chłodny metal do gardła.

- Powiedziałem, na łóżko.

Omijając go przysunęła się w stronę łóżka. Może jej nie skrzywdzi, jeśli zrobi to, czego żąda? Ale czy potem jej nie zabije? Czy nie zabije jej mimo wszystko?

Usiadła na brzegu łóżka. Nie wypuszczając noża z ręki, pchnął ją na poduszki. Nachylił się i przeciągnął dłonią po jej twarzy i szyi. Szarpnęła głową w bok i natychmiast zrozumiała, że robi błąd. Rozzłościła go.

Znowu przytknął jej nóż do gardła. Zacisnęła powieki, czując dotyk zimnego ostrza na skórze. Sparaliżowana strachem czekała na cios. Zamiast tego poczuła na ciele jego oddech stłumiony maską. Przysunął się bliżej i przeciął nozem pasek jej szlafroka.

Nie zwracając uwagi na jej płacz, wpatrywał się w jej prawie nagie ciało. Znalazł się nagle na łóżku, blisko niej, nóż znowu dotykał jej gardła. Otoczył ją ramieniem i próbował do siebie przyciągnąć.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy, Ellamarie - wymamrotał przez maskę. - Chcę być dla ciebie miły. Powiedz, co by cię podnieciło.

- Nic! Proszę cię, nic nie rób!

- Coś cię przecież musi podniecać. Co powiesz na to? - Przeciągnął dłonią po jej biodrze. - Podobało ci się? Sprawia ci to przyjemność?

- Nie! Nie! To znaczy tak! - krzyknęła, kiedy mocniej przycisnął nóż.

- Chcesz wiedzieć, co mnie podnieca? Nie odpowiedziała.

- Chcesz? To daj rękę!

Próbowała schować rękę pod siebie, ale wyszarpnął jej zaciśniętą dłoń i przytknął sobie do krocza.

- Czujesz? - spytał chrapliwie. - Odpowiadaj, czujesz?

- Tak!

- Jest gotowy dla ciebie, Ellamarie. Gotowy, właśnie dla ciebie. A ty zrobisz wszystko, co on zechce, dobrze?

- Przesunął nożem po jej piersi. W miejscu zetknięcia ostrza z ciałem pozostała cieniutka strużka krwi. -

Dobrze?

- Tak - szlochała. - Tak.

Wymierzył jej silny policzek. Krzyknęła, lecz zakrył jej usta.

- Zamknij się! - syknął. - Szybko, rozepnij mi rozporek. Wypiął biodra.

Ręce jej się trzęsły. Nie mogła sobie poradzić z zamkiem. Zniecierpliwiony, uderzył ją jeszcze raz. W końcu sam rozpiął zamek i Ściągnął dzinsy. Poczowała na sobie ciężar jego ciała. Leżała sztywno wyprostowana, z każdym mięśniem napiętym do granic wytrzymałości. Poruszył się, owiewając jej twarz stłumionym przez maskę oddechem. Rozsunął jej nogi. Potem nastąpił akt przemocy i upodlenia. Nie miało nawet znaczenia to, że nie użył noża. Jego apetyt seksualny był nienasycony

i zwyrodniały; gwałcił ją, wyrzucając z siebie stek wyzwisk wprost do jej ucha. Popadł w szal, chwilami zupełnie tracąc nad sobą kontrolę.

Łzy spływały jej po twarzy. Niewidzącymi oczyma patrzyła na jego dżinsy porzucone na podłodze. Tak mocno zagryzała wargi, że czuła smak krwi w ustach. Jego perwersja nie miała granic. Chwycił ją w pasie i jednym szarpnięciem odwrócił na brzuch. Słyszała samą siebie, mamroczącą coś niezrozumiale. Nagle krzyknęła. Ból był tak silny, że nieomal zemdląła. On jednak uznał, że powinna poznać cały zasięg jego żądy i ciągnął ją za włosy, wbijając się w nią rytmicznie.

Wreszcie skończył. Opadł na poduszki dysząc ciężko. Pot ściekał mu spod maski. Leżała bez ruchu, patrząc na nóż rzucony obok łóżka. Gdyby tylko mogła tam dosięgnąć, zabiłaby go. Rozleniwiony zaspokojeniem żądy, leżał obok niej, sapiąc. To była jej jedyna szansa. I wtedy, ku jej przerażeniu, gdy już zaczęła wolno wysuwać rękę w tamtą stronę, przyciągnął ją do siebie. Podniósł jej głowę. Zbliżył twarz, odsuwając maskę z ust, i usiłował ją pocałować. Zatopiła zęby w jego dolnej wardze. Szarpnął się do tyłu i spojrzał na nią ze zdziwieniem. Wtedy po raz pierwszy przyjrzała się jego oczom, spoglądającym na nią przez otwory w masce. Serce zamarto jej ze strachu; równocześnie błysk przypomnienia przeszył jej mózg. Te wyblakłe, zimne oczy obserwowały ją już kiedyś w zatłoczonym pokoju. Te odrażające jasnoszare oczy śledziły każdy jej ruch. Adonis z przyjęcia Roberta Blackwella. Nie uwolni się od tych oczu przez resztę życia.

Podniósł się ciężko z łóżka i spojrzał na nią z góry. Nie była w stanie przełknąć grudy, która nagle utkwiała jej w gardle. Patrząc, jak podnosi rozrzucone ubranie, poczuła gwałtowny ból ramienia, ale nie sprawdziła, co jest przyczyną. Zahipnotyzowana jego oczyma, nie zwracała na nic uwagi. Pragnęła jedynie umrzeć.

- Powiedziałem ci, że poczekam - odezwał się. - Ale zmęczyło mnie czekanie.

Z zamkniętymi oczami słuchała, jak on się ubiera. Kiedy nastała cisza, wolno uniosła powieki. Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Poszedł.

Drząc na całym ciele, wolno podniosła się z łóżka. Wszystko bolało ją tak, że z trudem mogła się poruszać. Zobaczyła krew na ramieniu i domyśliła się, że skaleczył ją nożem. Potem dostrzegła jeszcze krew na swoich udach i na prześcieradle. Próbowwała zrzucić z łóżka pościel, ale osłabłe ręce odmawiały posłuszeństwa. Łzy nieprzerwanym strumieniem spływały jej po twarzy. Czuła się jak Upolowane, schwytane w pułapkę zwierzę, które straciło chęć walki o życie, wyczerpane i zdolne jedynie kwilić bezradnie.

Udało jej się resztkami sił dotrzeć do łazienki. Odkręciła kran, napelniając wannę gorącą wodą. Kiedy zanurzała okaleczone ciało w parującej wodzie, ból był nie do zniesienia. Nie mogła się jednak powstrzymać. Szczotką do paznokci wcierała mydło w obolałą skórę. Potem wolno, centymetr po centymetrze, szorowała gąbką całe ciało. Lecz choć tarła z całych sił, nie mogła się pozbyć wrażenia, że wciąż czuje dotyk jego rąk. Była zbrukana nie tylko z wierzchu, ale i w środku. Bała się, że już nigdy nie będzie czysta.

Wyszła z wanny i owinęła się ręcznikiem. Odwróciła wzrok przed lustrem - nie mogła na siebie spojrzeć. Otworzyła szafkę nad umywalką i wyjęła pojemniczek z aspiryną. Przeszła do kuchni, gdzie nalała sobie szklankę wody. Chodzenie sprawiało jej ból; poruszała się wolno. Wreszcie dotarła do kanapy w salonie i osunęła się na poduszki.

Zaschło jej w ustach, więc wypiała kilka łyków wody, Położyła na języku dwie tabletki i popiła je wodą. Potem dwie następne i znowu łyk wody...

Ubudził ją ostry dzwonek telefonu. Ellamarie otwarła oczy i rozejrzała się wokół siebie. Nie dziwiło jej, że znajduje się w salonie. Ani na chwilę, nawet podczas snu, nie zapomniała, co się stało, co on jej zrobił. W jasnym świetle dnia wydawało się to jeszcze gorsze niż koszmarne sen. Telefon wciąż dzwonił, Zsunęła się z kanapy na podłogę. Nie

mogła wstać. Miała zeszywniałe nogi, a ból był nadal tak silny, że zdołała jedynie dopełznąć do telefonu.

- Ellamarie? To był Bob. Nie odpowiadała.

- Ellamarie? Jesteś tam?

- Tak - wychrypiła.

- Dobrze się czujesz?

Spodziewał się, że będzie na niego zła i da temu wyraz, ale jej głos brzmiał jakoś dziwnie. Bob od razu domyślił się, że coś jest nie w porządku.

-Tak.

- Masz zmieniony głos. Znowu nie odpowiadała.

- Jesteś tam?

- Gdzie byłeś? - wykrztusiła wreszcie, czując, że łzy znowu płyną jej po policzkach, -Gdzie ty byłeś?

- Wszystko ci wytłumaczę. Zaraz tam będę.

- Niel Nie przyjeżdżaj teraz.

- Co? Co się tam dzieje? Dobrze się czujesz?

- Przyjeżdż później . Nie przyjeżdżaj teraz. - Odłożyła słuchawkę. Upadła na podłogę i leżąc rozglądała się po pokoju. Kwiaty! Tyle

kwiatów! Kwiaty od gwałciciela... od sodomity.

Koło kanapy leżały rozsypane tabletki aspiryny, obok nich przewrócona szklanka. Widocznie zemdląca, zanim zdążyła zażyć wystarczającą ilość, bo inaczej byłaby przecież martwa i nie musiałyby znosić tych strasznych, upokarzających wspomnień.

Jakimś cudem wykrzesła z siebie resztki siły i podniosła się. Ręcznik, którym była owinięta, spadł na podłogę. Ogarnęła ją panika... Musi się okryć. Była splamiona, nieczysta... Musiała zawsze pozostać zakryta; Zwinęła kilka gazet, położyła na palenisku kominka i przytknęła zapalną. Jeden po drugim, wrzucała w ogień kwiaty. Przeszła do sypialni. Widok łóżka wywołał falę przerażenia, która zatrzymała ją w drzwiach. Zmusiła się jednak do zebrania pościeli. Zaniósła ją do

salonu, wyjęła z szuflady nożyczki i wolno, metodycznie, pocięła cały materiał na wąskie paski. Gdy skończyła, wrzuciła je do ognia i patrzyła, jak płoną.

Przeszło jej przez myśl, by zawiadomić policję, ale co by to dało? Już to zrobił. Przemocą zapanował nad jej ciałem. Cóż mogła pomóc policja? No tak, mogliby go powstrzymać przed zrobieniem tego powtórnie, zakładając, że by go złapali. Ale przecież tak naprawdę nie wiedziała, kim on jest. I nie chciała się nigdy dowiedzieć. A gdyby się wszystko wydało? Czy chciała, żeby ludzie przychodzili do teatru lub kina, żeby zobaczyć „tę zgwałconą aktorkę”? Gdyby ludzie wiedzieli, patrzyliby na nią innymi oczyma. Była zbrukana i poniżona. Była ofiarą gwałtu.

Bob zjawił się natychmiast. Kiedy przyszedł, była znowu w wannie. Nie mógł się dostać do łazienki. Łańcuch blokował drzwi, a dha nie chciała go wpuścić. Kazała mu odejść i nie wracać, dopóki sama go nie wezwie. Do końca życia nie chciała oglądać żadnego mężczyzny. Na samą myśl, że jakiś mężczyzna mógłby się do niej zbliżyć, dostawała gęsiej skórki. Próbowwała się zastanowić, zapanować nad własnym umysłem. Okazało się to jednak niemożliwe, więc zrezygnowała.

Kiedy Bob zjawił się po raz drugi, drzwi były otwarte. W mieszkaniu panowała zupełna cisza i nawet zaczął przypuszczać, że Ellamarie gdzieś wyszła. A jednak była tu. Siedziała przy kominku, wpatrując się w wygasły popiół. Nawet nie podniosła wzroku, kiedy wszedł do pokoju.

- Cześć - odezwał się, stając w progu. Żadnej odpowiedzi.

Rozejrzał się po salonie z niejasnym poczuciem, że coś się zmieniło. Po chwili uświadomił sobie, że zniknęły wszystkie kwiaty. Znowu popatrzył na nią, ale siedziała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie. Wyczuwał w niej napięcie.

- Mogę wszystko wyjaśnić - rzekł, zbliżając się.

- Możesz? - spytała, nie podnosząc głowy.

- Spotkanie trwało dłużej, niż się spodziewałem. - Tak?

Czuł, że mu nie wierzy. Zacisnął zęby, nagle rozgniewany na samego siebie. To jasne, że będzie musiał powiedzieć jej prawdę. Nie była głupia. Wiedziała, że gdyby spotkanie się przeciągnęło, zadzwoniłby do niej i przyszedł później do domu. Ale jeszcze nigdy nie widział jej w takim nastroju i po prostu bał się powiedzieć, co zaszło.

Usiadł w fotelu naprzeciw niej; była zadowolona, że nie próbował jej dotykać. Nie była pewna, co by zrobiła. Pochylił się do przodu opierając łokcie na kolanach i usiłował spojrzeć jej w twarz, ale zasłaniały ją włosy, a EUamarie nie podnosiła głowy.

- Chyba będzie lepiej, jak się od razu przyznam.

- Skoro tak uważasz...

- Moja żona była wczoraj w teatrze. Przepraszam - ciągnął nerwowo - nie miałem pojęcia, że przyjedzie. Była tam już, kiedy wróciłem ze spotkania z Adrianem, więc musiałem ją stamtąd zabrać, zanim wyjdiesz z garderoby. Czekał, żeby coś powiedziała, ale nie odezwała się. Patrzył na nią. Miał ochotę wyciągnąć rękę, by jej dotknąć, ale było w jej zachowaniu coś, co go przed tym powstrzymywało.

- Nigdy nie widziałam twojej żony - powiedziała wreszcie.

- Nie widziałas.

- Jak ona wygląda?

Bob nie odpowiedział. Nie wiedział, co powiedzieć. Wolałby, żeby się gniewała, krzyczała na niego, nawet czymś w niego cisnęła. Wszystko byłoby lepsze, niż to.

- Przepraszam - zaczął od nowa. - Naprawdę mi przykro. Powinienem był zadzwonić, wiem, że powinienem, przepraszam. Co jeszcze mogę powiedzieć?

- To już nie, ma znaczenia.

Uklęknął przy niej i próbował wziąć ją za rękę. Wyrwała się.

- Nie dotykaj mnie! - Z jej głosu biła taka nienawiść i strach, że aż się cofnął. Podnosząc się z klęczek, dostrzegł siniaki i zadrapania na jej twarzy.

- Nie dotykaj mnie! - krzyczała. - Już nigdy! - Wybiegła z pokoju.

Rozdział 26

Po upływie czterech tygodni Ellamarie nadal nie była w stanie powiedzieć nikomu, co zaszło. Przeciwnie, stała się jeszcze bardziej skryta i zamknięta w sobie, tak że mimo najszczerzych wysiłków ani Jenneen, ani Kate nie mogły się z nią porozumieć. Dwa dni po tym, jak Ellamarie uciekła przed nim z pokoju, Bob odleciał do Rzymu na spotkanie z kierownictwem wytworni filmowej w sprawie *Królowej Kornwalii*. Pertraktacje przeciągały się i nadal nie wiedział, kiedy wróci do Londynu. Często dzwonił do Ellamarie, ale ich rozmowy były krótkie... Pomimo

oddalenia wyczuwał, że jest nieswoja. Na razie jednak nic nie mógł zrobić. Nie zgodziła się przylecieć do niego do Rzymu.

Kate zadzwoniła do Ashley, z nadzieją że może ona dotrze do Ellamarie, bo wydawało jej się, że Ellamarie zawsze najbardziej liczyła się właśnie z Ashley. Jednakże i Ashley nie odniosła sukcesu; było to niełatwe przy tak odległym połączeniu i Kate zdawała sobie w duchu sprawę z tego, że jej nadzieje są płonne.

Ashley zamartwiała się losem przyjaciółki jeszcze długo po nieudanej rozmowie telefonicznej, ale później musiała o tym zapomnieć i skoncentrować się na obowiązkach służbowych. Conrad Frazier okazał się twardym szefem.

Po kolejnym spotkaniu z nim wróciła do swojego gabinetu bliska furii. Najwidoczniej postanowił uprzykrzać jej życie. Każda rozmowa kończyła się tak, że ona wściekła opuszczała jego biuro, a on uśmiechał się pod nosem zadowolony, że jeszcze raz udało mu się wyprowadzić ją z równowagi. Choć pilnowała się jak mogła, zawsze w końcu udawało mu się ją sprowokować.

Jan podniosła wzrok, kiedy Ashley w stanie najwyższego Wzburzenia wpadła do sekretariatu.

- Nie poszło najlepiej, co?

Ashley spojrzała na nią, ale była zbyt wściekła, żeby się odezwać. Na biurku Jan zadzwonił telefon. Ashley wykorzystwała ten moment, żeby zniknąć w swoim gabinecie. Wzięła do ręki wycinki prasowe, które dostarczono pod jej nieobecność, i zaczęła je przeglądać. Trudno jej się jednak było na nich skupić, więc gdy w chwilę potem zabręczał sypał w jej aparacie telefonicznym, ucieszyła się z pretekstu, że może je odłożyć na później, Jan poinformowała, że jest do niej rozmowa z Londynu.

Ashley rzuciła okiem na zegarek. W Londynie musiała być już dziesiąta wieczór.

- Połącz.

- Ash? - Głos po drugiej stronie wydawał się bardzo odległy.

- To ty, Ellamarie?

- Tak. To ja.

- Och, Ellamarie, przepraszam, że tak długo się nie odzywałam, ale miałam tutaj urwanie głowy. Jak się miewasz? Już lepiej?

Dobrze. A ty?

- Cóż, skoro pytasz, to muszę ci powiedzieć, że w tej chwili jestem cholernie wściekła. Miałam przyjemność po raz kolejny rozmawiać z Conradem Frazierem.

- Co się stało?

- Powiem ci innym razem. Mów, co u ciebie. Na pewno lepiej się czujesz? Jak tam Bob? Wrócił już?

- Nie, jeszcze nie.

Jan wsunęła głowę przez drzwi. Ashtey popatrzyła na nią pytająco.

- Poczekaj sekundę - powiedziała do słuchawki.

- Jesteś znowu wzywana - oznajmiła sekretarka. - Chce, żebyś wzięła udział w zebraniu.

- No pewnie - warknęła Ashley. - Dobrze, zaraz tam będę. - Przyłożyła do ucha słuchawkę.

- Powiedział: zaraz - dodała Jan, najwyraźniej zdetonowana. Ashley wywróciła oczami.

- Dobrze. Jan zamknęła za sobą drzwi.

- Przykro mi, Ellamarie - wróciła do rozmowy Ashley. - Będę musiała kończyć. Mogę zadzwonić do ciebie później?

- Jak sobie życzysz.

W tonie głosu Ellamarie było coś niepokojącego.

- Słuchaj, to zebranie nie powinno długo trwać. Zadzwonię do ciebie za godzinę, dobrze?

- Jasne.

- Gdzie jest Kate? Albo Jenneen? Nie mogłabyś tymczasem zadzwonić do nich?

- Nie, nie trzeba, wszystko w porządku. Słowo daję. - Zawahała się. Och, Ash, tak mi ciebie brakuje. - Ashley była pewna, że słyszy płacz.

- Ellamarie, co się stało? Powiedz mi, czy coś jest nie tak?

- Ash, musiałam z kimś porozmawiać. Stało się coś strasznego i teraz...

- Co takiego? Powiedz mi. Z pewnością to nie może być aż takie straszne.

- Jest straszne. Och, naprawdę jest.

- Co takiego? - Wróciła Jan. Ashley spojrzała na nią błagalnie. Jan wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Conrad nie lubił czekać.

Ellamarie szlochała do słuchawki. Ashley czuła się zupełnie bezradna.

- Słuchaj - powiedziała w końcu. - Przepraszam cię, ale naprawdę muszę iść. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mogła; i porozmawiamy spokojnie.

- Dobrze.

- Będziesz w domu cały czas?

- Tak. Nigdzie nie wychodzę.

- Zadzwoń, jak tylko będę wolna - obiecała Ashley i odłożyła słuchawkę.

Jan wetknęła jej do ręki plik papierów.

- Chyba ci się to przyda.

Ashley nawet jej nie podziękowała. Myślami była w Londynie. Zastanawiała się, co mogło wprowadzić Ellamarie w taki nastrój. Wypisała numery telefonów Kate i Jenneen i poprosiła Jan, żeby się z nimi skontaktowała i kazała im zadzwonić do Ellamarie. Nękana poczuciem winy, że opuściła przyjaciółkę w chwili, gdy ta wreszcie zdecydowała się z kimś porozmawiać o swoich problemach, pełna niechęci weszła do biura Conrada.

Odłożywszy słuchawkę po rozmowie z Ashley, Ellamarie usiadła na podłodze, starając się nie myśleć.

Trudno jej było uwierzyć, że minął już cały miesiąc od tamtej koszmarnej nocy, kiedy mężczyzna o wyblakłych oczach wdarł się do jej mieszkania. Ból, upokorzenie i poczucie upodlenia nie odstępowały jej ani na chwilę. Wydawało jej się, że żyje we śnie, że w każdej chwili może się obudzić i on tam będzie. Będzie patrzył na nią z góry tymi nienawistnymi oczyma, będzie trzymał nóż przy jej szyi. Każdy mężczyzna, którego teraz widziała, przypominał jej

o tamtym. Bała się wychodzić z domu. Jeśli rozlegało się pukanie do drzwi, zaczynała się trząść i nigdy, nawet w ciągu dnia, nie otwierała.

Nie powiedziała nikomu, nawet Kate czy Jenneen. Tego wieczoru chciała powiedzieć Ashley, ale odpowiednia chwila minęła i było już a późno.

Cieszyła się, że Bob wyjechał. Nienawidziła własnego ciała i nigdy na nie nie patrzyła. Czuła się tak, jakby już do niej nie należało. Należało do gwałciciela. Wziął je, zawładnął nim używając przemocy, wykorzystując je wbrew jej woli, pozbawił ją wszystkiego, Czasami wręcz piekła ją skóra na wspomnienie rąk napastnika dotykających jej ciała. Rzuciła się wtedy na podłogę, załamana rozpaczą, i prosiła Boga, żeby uwolnił ją od potwornych wspomnień.

Skrecało ją z głodu, ale nie mogła jeść. Podniosła rękę i podwinęła rękaw, żeby się przyjrzeć bliźnie po ranie od noża. To wszystko było takie straszne i takie niesprawiedliwe. Dlaczego to się musiało zdarzyć właśnie wtedy? Dlaczego w ogóle musiało się stać? A skoro już, to dlaczego właśnie wtedy? Jak ma poznać prawdę? Obciągnęła rękaw i objęła ramionami podkurczone nogi. Zamarła nagle, słysząc jakiś hałas dochodzący z holu. Drzwi wejściowe zaniknęły się. Usłyszała jakiś dziwny odgłos. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to jej własne łkanie. Otworzyły się drzwi do pokoju, w którym siedziała. W progu stał Bob. Skuliła się, chowając twarz w podciągniętych pod brodę kolanach. Bob szybko przeszedł przez pokój i chciał ją objąć.
- Nie, nie - wyszeptała chrapliwie.

Próbował ją dotknąć. Prosił, żeby mu powiedziała, o co chodzi, lecz widząc jej przerażenie, cofnął rękę. Patrzył na nią czując się równie bezradny jak wcześniej, kiedy telefonował do niej z Rzymu. Wreszcie odwrócił się i podszedł do okna. Na zewnątrz było już ciemno, więc zaciągnął zasłony. Nie bardzo miał ochotę przychodzić tu dziś wieczorem. Był zmęczony. Lot z Rzymu miał opóźnienie, a Ellamarie nie przyjechała po niego na lotnisko. Właściwie, wcale się nie spodziewał, że będzie tam na niego czekała, ale mimo to był zły. Miał nadzieję, że nim wróci do Londynu, Ellamarie

zdąży mu wybaczyć to, że wówczas ją zawiódł, lecz sprawy miały się równie źle, jak w chwili wyjazdu. Odwrócił się do niej. Płakała, przyciskając do siebie podkurczone kolana, jakby chciała się przed czymś obronić. Miała rozczochrane włosy, brudne ręce. Zauważył, że jest dużo chudsza; przeszło mu przez myśl, że w ogóle przestała jeść. Nagle zaczął się bać. Tracił ją i nie wiedział, jak temu zapobiec.

Zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymał się, widząc, że cofa się przed nim. Znowu ogarnęła go fala złości. Co do diabła miał zrobić, żeby się z nią porozumieć? Może powinien stąd wyjść. W tej sytuacji pozostawanie nie miało przecież sensu. Nie chciała go. A jednak coś w środku podpowiadało mu, że mimo wszystko ona go potrzebuje. Kiedy się kocha kogoś tak bardzo, jak on ją kochał, nie można tak po prostu odejść.

Spokojnie przeszedł przez pokój i usiadł przy niej na podłodze. Nie poruszyła się, słyszał tylko jej cichutkie pochlipywanie. Siedzieli tak, nie odzywając się do siebie, przez dłuższy czas, aż wreszcie łagodnie objął ją ramieniem. Natychmiast poczuł, jak zeszywniała i wstrzymała oddech. Odgarnął jej z twarzy wilgotne włosy, lecz nie odwróciła głowy, by na niego spojrzeć. Ale też się nie odsunęła; czego się spodziewał.

Czas płynął, a oni siedzieli w milczeniu. Wydawało mu się, że przestała płakać. Siedziała wyprostowana, spięta. Nie miał odwagi przysunąć się bliżej; bał się, że może go odepchnąć.

Telefon zadzwonił kilka razy, ale nie podniosła się żeby odebrać, więc i on się nie ruszał. W końcu, kiedy zegar wybił północ, wstał, próbując i ją postawić na nogi. Stawiała opór, więc Zrezygnował. Przyszło mu do głowy, że gdyby zrobił kawę, mogliby porozmawiać. Może to nie było zbyt mądre, ale musiał się czegoś uchwycić.

Popatrzył na nią z góry. Wpatrywała się w palenisko kominka z nieprzeniknionym wyrazem pobladłej, ściągniętej smutkiem twarzy. Ruszył do drzwi.

- Bob - rozległ się jej szept.

Odwrócił się, ale ona nadal nie odrywała wzroku od kominka.

Przez moment sądził, że się przesłyszał. Wtem powtórzyła jego imię. Podeszedł do niej. Tym razem spojrzała na niego, a rozpacz malująca się w jej oczach ścisnęła go za serce jak jeszcze nic w życiu. - Bob - powtórzyła, chwytając go za nogi i wtulając się twarzą w nogawki spodni. Drżała na całym ciele, wstrząsana gwałtownym łkaniem.

Odciągnął jej ręce od swoich nóg i uklęknął przed nią na podłodze. Ujął w dłonie jej twarz i przytulił do swego ramienia. Trzymał ją w ramionach, a ona płakała i płakała jakby nigdy nie miała przestać. Stopniowo przywierała do niego, obejmując go, by w końcu ścisnąć tak mocno, że z trudem oddychał. Cały czas powtarzała przy tym jego imię.

Długo trwało, zanim się znowu uspokoiła. Przeniosły ją ostrożnie na kanapę. Miała lodowato zimne ręce. Wstrząsały ją dreszcze. Usiadł obok niej i masował jej dłonie, próbując je trochę rozgrzać. Przycisnęła jego ręce do swej twarzy i zaczęła je całować z zapamiętaniem, jakiego jeszcze u niej nie widział.

- Och Bob, Bób, Bob. Nigdy nie odchodź. Proszę cię, nigdy mnie nie zostawiaj. - Popatrzyła mu w oczy. - Obiecuj, proszę. Powiedz, że mnie nigdy nie zostawisz.

- Kochanie - rzekł łamiającym się ze wzruszenia głosem. - Oczywiście, że nigdy cię nie zostawię. Nigdy. Nawet na minutę. - Wziął ją w ramiona i kołysał jak dziecko.

- Wybacz mi - powtarzała w kółko. - Wybacz mi. Ale proszę cię, nie zostawiaj mnie.

- Ciii... Jestem tu z tobą. Jestem.

Patrzyła mu w twarz, bezwiednie skubiąc palcami kołnkrzyk jego koszuli.

- Kochasz mnie, prawda, Bob? Proszę cię, powiedz, że mnie kochasz. Proszę cię.

- Kochanie, wiesz, że tak.

- Powiedz to. Proszę, powiedz, że mnie kochasz.

- Kocham cię - westchnął. - Bardzo cię kocham. Znowu ukryła twarz na jego ramieniu

Obejmij mnie; Przytul mnie mocno

Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że niemal siedziała na jego kolanach. Trzymał ją w ramionach i całował delikatnie po włosach.

- Przepraszam, że zrobiłem ci przykrość. Nie chciałem cię urazić. Już nigdy tego nie zrobię, przysięgam.

- Nie - odezwała się stłumionym głosem. - Nie.

- Nie. Już nigdy.

Odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy. Zaczęła kręcić głową, najpierw wolno, potem coraz szybciej. Chwyił ją za ramiona i potrząsnął, starając się uspokoić.

- Nie rozumiesz - krzyknęła. - Ty nie wiesz. To nie twoja wina. To nie ty, Bob, to ja. To chodzi o mnie!

- Nie Ty nie zrobiłaś nic złego. To moja wina. Przepraszam cię, kochanie, wybacz mi. - Próbował znowu przyciągnąć ją do siebie.

- Proszę cię, wysłuchaj mnie. Nic nie jest twoją winą. Nic. Musisz to zrozumieć, to chodzi o mnie.

Zrozumiał, że usiłuje mu coś powiedzieć. Wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z twarzy.

- O co chodzi, powiedz.

Broda zaczęła jej się trząść. Był pewien, że znowu zacznie płakać, ale nie rozplakala się. Oddychała ciężko. Nie mogła złapać tchu. Wystraszył się, posadził ją prosto i podtrzymał ją.

- O co chodzi? Ellamarie, co się stało?

- Och, Bob - szepnęła. - To takie straszne. Nie mogę o tym mówić. Nie mogę tego powiedzieć. - Z trudem chwytła powietrze.

- Uspokój się, powoli. Weź głęboki wdech. - Sam wciągnął głęboko powietrze, zachęcając ją, by zrobiła to samo. Nie spuszczać oczu z jego twarzy, posłusznie wykonała polecenie, uspokajając się wreszcie trochę. Złapała go kurczowo za rękę. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale przytknął jej palce do warg.

- Nic nie mów, dopóki nie będziesz gotowa. To nieważne, jestem tu i wszystko będzie dobrze.

Odepchnęła jego rękę od ust i potrząsnęła głową.

- Muszę ci to powiedzieć. Muszę ci powiedzieć teraz. Proszę cię, obiecaj, że mnie wysłuchasz,

Skinal głowa i ujął jej dłonie.

Rozpaczliwie próbowała się uśmiechnąć, lecz jej się to nie udało. Bała się, że zobaczy, jak on odwraca się od niej z obrzydzeniem, i nie wiedziała, czy będzie w stanie to znieść. Patrzył na nią czule i ze zrozumieniem, a ona zastanawiała się, co wyczyta w jego oczach potem, kiedy już powie mu o wszystkim. Umierała ze strachu.

Zebrała się w sobie, przelknęła ślinę, ale słowa nie chciały jej przejść przez ściśnięte gardło.

Już dobrze, kochanie, W porządku.

- To było takie straszne. Tak się bałam - zaczęła.

- Dlaczego? Co było straszne? - przerwał, starając się uspokoić ją głosem. - Powoli, wszystko po kolei.

- Nie mogę, nie mogę;

- Nie szkodzi - odwrócił ją twarzą do siebie.

- Zostałam zgwałcona! - wyrzuciła z siebie wreszcie. - Bob, zostałam zgwałcona! Zgwałcona! Rozumiesz? Zgwałcona! Zgwał...

- Przestań! Dostyc! - Chwyił ją mocno za ramiona i przycisnął do siebie. Nie chciał, żeby widziała wyraz jego twarzy. Rozglądał się po pokoju próbując przetrwać jakoś to, co powiedziała, i kołysząc ją w ramionach.

Omal się nie udławił morderczą, wściekłością, jaka w nim nagle wezbrała.

- Kiedy to się stało? - zdołał wreszcie wydobyć z siebie głos. - Powiedz mi, kiedy to się stało?

- W ten wieczór; kiedy twoja żona zjawiała się w teatrze - łkała. - Byłam sama w domu, myślałam, że to ty.

Sądziłam, że zapomniałeś klucza. Wpuściłam go. Drzwi... otworzyłam i potem upadłam, a on miał nóż.

Błagałam go... Och, Bob, to było takie straszne. Nie zostawiaj mnie, proszę cię, nie zostawiaj mnie.

Uścisnął ją mocno.

- Cicho - szepnął. - Nigdzie nie idę. Już cię nie zostawię. Gdybym cię nie zostawił tamtej nocy, to by się nie stało. Och, Ellamarie, kochanie, najdroższa. Co ja ci zrobiłem? Co musiałaś przeze mnie znieść. Och, kochana, wybac mi.

- Przytul mnie mocno i nie puszczaj. Powiedz, że nadal mnie kochasz, mimo wszystko. Proszę cię, kochaj mnie dalej.

- Och, kochanie, oczywiście, że dalej cię kocham. Nie masz powodu w to wątpić. Zawsze będę cię kochał.

- Nie będziesz - wykrzyknęła, odsuwając się od niego. - Nie, nie będziesz. Nie potrafisz.

- Nie mów głupstw. - Przygarnął ją do siebie z powrotem, - Oczywiście, że będę:

- Nie będziesz - upierała się. - Nie możesz. Jestem w ciąży, Bob! Słyszysz? Jestem w ciąży!

Przesiedzieli objęci całą noc, czasem płacząc, czasem rozmawiając, ale żadne z nich nie zmrużyło oka.

Próbowali wspólnie zapanować nad uczuciowym zamętem, ogarnąć umysłem sytuację. Ta noc zbliżyła ich do siebie jeszcze bardziej.

Świtało już, gdy wreszcie Bob zebrał się na odwagę, by zadać pytanie, które dręczyło go całą noc.

- Brałaś pod uwagę usunięcie ciąży? - odezwał się ostrożnie, mając żywo w pamięci niedawne przejścia Kate i zdając sobie sprawę, co to może oznaczać dla Ellamarie. - Nie wiem, czy to jest właściwe rozwiązanie, ale czy o tym myślałaś?

- Tak, myślałam o tym. - Pokiwała głową. Opuściła wzrok na swoje zaciśnięte dłonie.

- No i...?

- Zrobiłabym to, gdybym była pewna, że dziecko nie jest twoje. - Ale przecież...

- Tak, wiem - przerwała mu. - Zrobiłam coś głupiego. Kiedy Kate zaszła w ciążę, pomyślałam sobie, że chociaż dla niej to nie było dobre, może być dobre dla nas. Przestałam brać pigułkę. Och, Bob, wiem, że nie powinnam była tego robić bez porozumienia z tobą, ale bałam się, że się nie zgodzisz. Pomyślałam, że jeśli będę miała dziecko, to będzie ci łatwiej podjąć decyzję. Zrobiłam to tylko dlatego, że tak bardzo cię kocham, a wtedy odszedłbyś od żony

i został ze mną. Wiem, jak to musi brzmieć, ale musiałam coś zrobić. Było nam tak dobrze, chciałam ci pokazać, jak bardzo mi na tobie zależy... jak bardzo chcę być z tobą. A teraz wszystko się tak skomplikowało... przeze mnie. Ale rozumiesz, ponieważ istnieje szansa, że to może być twoje dziecko, to sam rozumiesz...

Ujął jej twarz w dłonie i po raz pierwszy od dwóch miesięcy pocałował ją. Miała miękkie, ciepłe wargi, a poczucie bliskości, jakie znowu go ogarnęło, było czymś, czego za nic nie chciałby stracić. W końcu oderwał się od niej i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Tak bardzo cię kocham - szepnęła. - I naprawdę myślę, że to twoje dziecko. Naprawdę. Po prostu to wiem.

- Oczywiście, że tak - powiedział. - Nie wolno nam w to wątpić. Znowu podała mu usta do pocałunku, przekonując się w myśli, że

to na pewno Jego dziecko nosi pod sercem. Przyłożył dłonie do jej policzków.

- Co powiesz na małe śniadanko? - zaproponował z uśmiechem. Potrzebował choć paru minut w samotności, żeby ochłoniąć i pomyśleć.

Zgodziła się.

Poprosił, żeby została w pokoju i odpoczęła chwilę, leżąc z uniesionymi na poduszce nogami. Później miała się położyć do łóżka i spać przez resztę dnia.

Czekała, aż Bob wróci z kuchni. Choć się uśmiechała, w sercu nadal miała niepokój. Nie wątpiła, że Bob ją kocha, kocha prawdziwie i mocno. Lecz czy dziecko na pewno jest jego? Dobry Boże, musiało być jego. Ale czy nie będzie miał wątpliwości, patrząc na nią? Czy będzie w stanie całkowicie je zaakceptować, tak jak obiecał? A co będzie, jeśli się urodzi i będzie miało takie straszne, bezbarwne oczy? ©ime, tylko nie to. Nie mogłaby żyć, gdyby te oczy patrzyły na nią bez przerwy. Ale przecież nie będzie musiała. Nosi w sobie dziecko Boba. Swoje i Boba, i będzie miało jego piękne szafirowe oczy.

Co on zrobi? Czy naprawdę odejdzie od żony? Czy mimo trapiących go wątpliwości potrafi opuścić żonę i pozostać z nią?

Nagle zrozumiała, że nie może mu na to pozwolić. Nie może mu tego zrobić.

Bob wniósł śniadanie. Patrząc na niego poczuła, jak jej serce przepelnia się miłością. Miał podkrążone oczy, a siwe pasemka w brodzie wydawały się wyraźniejsze niż dotychczas. Uśmiechnął się do niej, a ona pomyślała, że jest przystojny, kiedy się uśmiecha. Pomyślała też, że bardzo jej go będzie brakowało. Będzie za nim tęsknić tak bardzo, że nie wiadomo, czy zdoła to wytrzymać.

Postawił tacę na stole i przysunął dla niej krzesło.

- Do ostatniego okruszka - nakazał. - Nic nie ma prawa zostać na talerzu.

Podniosła się z kanapy, ale nie usiadła przy stole. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Kiedy się odwróciła, dostrzegła, że Bob ją obserwuje. Była ciekawa, o czym myśli w tym momencie. Spuściła głowę, nie mogąc znieść jego spojrzenia.

- O co chodzi?

Nie mogła się zmusić do podniesienia wzroku.

- Proszę cię, usiądź. Chcę ci coś powiedzieć. Przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

Przyklękła u jego stóp i wzięła go za rękę. Widziała w jego oczach zmieszanie, wiedziała tylko tyle, że nie chce już więcej przysparzać mu cierpień. Patrzyła na ich splecione razem dłonie.

- Bob, mam zamiar pozwolić ci odejść.

- O czym ty mówisz? - Ujął ją pod brodę, chcąc spojrzeć jej w oczy.

- Nie mogę ci tego zrobić. Za bardzo cię kocham. I wiedząc, że ty także bardzo mnie kochasz, nie mogę cię tak skrzywdzić. Musisz odejść, Bob, nie możemy żyć w kłamstwie. Skończyłoby się tym* że byś mnie znienawidził, a tego bym nie zniosła.

- Ellamarie, nie mógłbym cię nienawidzić. - Patrzył jej głęboko w oczy. - Za bardzo cię kocham.

- Nie teraz. - Próbowwała się uśmiechnąć. - Ale z czasem. Czułbyś się uwięziony w pułapce i miał mi to za złe.

- Przestań mówić takie rzeczy. Obiecałem, że nigdy cię nie zostawię. I nie zostawię cię.

- Wiesz, że nie chcę, byś odchodził. Ale musisz. Za dzień

lub dwa spojrzysz na wszystko inaczej i przyznasz mi rację. Jestem pewna. - Usta zaczęły jej drżeć, ale starała się wszelkimi siłami powstrzymać łzy.

Dotknął palcem jej ust. Próbował podnieść ją z klęczek. Nie pozwoliła mu na to.

- Nie, Bob. Nie.

Na jego twarzy pojawił się nagle grymas złości.

- Przestań mnie odpychać. Kocham cię, nie możesz tego zrozumieć? Kocham cię i nigdzie nie odejdę, obojętne, co mi powiesz.

Wstała, odeszła w drugi koniec pokoju.

- Proszę cię, nie kłóćmy się więcej.

Natychmiast znalazł się obok niej. Złapał ją za ramiona odwrócił twarzą do siebie.

- Mam ci jeszcze jedno do powiedzenia: chcę się z tobą ożenić. Zaskoczenie odebrało jej mowę.

- Wyjdiesz za mnie?

- Ale...

- Tak czy nie?

Patrzyła mu prosto w oczy. Bob nie spuścił wzroku. Wytrzymał jej spojrzenie, czekając na odpowiedź.

Wreszcie, po długiej chwili, zaczęła się uśmiechać. I on także się uśmiechnął.

- Czy to oznacza zgodę?

- Tak - szepnęła. - Jeśli jesteś pewien, że naprawdę tego chcesz, to zgadzam się.

- Jeszcze nigdy nie byłem niczego bardziej pewien - stwierdził, porywając ją w ramiona.

Rozdział 27

W towarzystwie dwóch kolegów filmowców Jenneen wbiegała po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz. Na szczycie wszyscy troje przystanęli, aby złapać oddech.

- Co cię tu sprowadza tak późno wieczorem? - wy sapał Richard.
- Wpadłam po parę drobiazgów - odparła ze śmiechem Jenneen.
- Bar jest jeszcze otwarty- zauważył Gary. - Wiecie co, dałbym się zaprosić na drinka.
- Dzięki za zaszczyt.
- Ja stawiam - zgodził się Richard.

- Przykro mi, ale mam za dużo roboty.
 - Chyba wiesz, jak kończą niepoprawni pracusie - ostrzegł Gary. - Stają się nudziarzami, ale ja i tak już jestem strasznie nudna - roześmiała się Jenneen. - Mówię serio, naprawdę dzisiaj nie mogę. Jeśli będziecie tu jutro w porze lunchu, to postawię wam obu po jednym, zgoda?
 - Hmm, pewnie, że tak - poddał się Gary. - Daj nam chociaż buzi na pożegnanie.
 - Jutro - rzuciła przez ramię, odchodząc.
- Nagle poczuła, że ziemia ucieka jej spod nóg - mężczyźni nieśli ją w stronę baru.
- Puśćcie mnie - dusiła się ze śmiechu, ale zanieśli ją na miejsce i usadzili przy kontuarze.
 - Dwa piwa i gin z tonikiem dla pani - zadysponował Richard.
 - No nie, czy wy nie przyjmujecie do wiadomości odmowy? Ostatecznie wypiję jednego szybkiego i muszę lecieć.
- Rozglądając się po barze, zauważyła Stephena Sommersa, siedzącego w rogu z paroma ludźmi z popołudniowego programu. Skrzywił się, napotykać spojrzeń Jenneen.
- Widzę, że klub twoich wielbicieli jest tu dziś w komplecie - skomentował Gary widząc jej minę.
 - On jest wściekły jak wszyscy diabli z powodu tego twojego nowego programu - stwierdził Richard, gramoląc się na wysoki barowy stółek.
 - A więc wie ó nim?
 - ; - Dlaczego miałby nie wiedzieć?
 - Głupie pytanie. Co mówił?
 - Wolałbym nie powtarzać - wykręcił się Richard. - Ale na twoim miejscu uważałbym na niego. Podpadłaś mu.
 - To mnie akurat nie dziwi - powiedziała Jenneen z lekceważeniem. - Stephenowi Sommersowi podpada każda kobieta, która ma czelność być czymś więcej niż sekretarką.
 - Racja - zgodził się Gary.
- Patrzyli, jak Stephen chowa do kieszeni papierosy i wychodzi

z baru. Jenneen wzruszyła ramionami i uniosła szklankę w stronę zamkniętych drzwi.

Wypiła drinka i uparła się, że musi iść. Ruszyła korytarzem do biura produkcji. Kiedy tam weszła, światła jeszcze się paliły. Zerknęła na zegarek i domyśliła się, że zespół odpowiedzialny za wieczorne wiadomości korzysta z tych pomieszczeń przygotowując ostatni tego dnia serwis. Mieli bliżej niż z własnego biura do studia, z którego nadawano dziennik.

Gdy wyminęła szafy archiwum, dostrzegła paru dziennikarzy wystukujących coś pracowicie na maszynach do pisania i sekretarkę zajętą robieniem odbitek na kserografie. Rzuciła słówko powitania jednemu z dziennikarzy, który w wielkim pośpiechu wybiegał właśnie z pokoju, i okrążając rząd szaf skierowała się do swojego biurka. Nagle zatrzymała się w pół kroku. Nie spodziewała się zobaczyć tu Stephena Sommersa. W zwykłych okolicznościach zapewne by go zignorowała i nawet nie zastanawiała się, co on tu robi. Lecz teraz patrzyła: stał przy jej biurku i przeglądał coś, co najwyraźniej wyjął z szuflady, którą zresztą pozostawił otwartą.

Na szczęście nikt nie zauważył jej wejścia, więc wycofała się cicho za szafy i przez parę minut śledziła go z ukrycia. Ze sposobu, w jaki przeszukiwał jej biurko szybko wywnioskowała, że chodzi mu o coś konkretnego. Zastanawiała się, co to może być.

Nie musiała długo czekać, żeby się dowiedzieć. Z dolnej szuflady, gdzie trzymała wszystko, co dotyczyło jej nowego programu, wyjął małą skórzaną teczkę, po którą właśnie wróciła. Przerzucił szybko jej zawartość, nawet nie tracąc czasu na czytanie. Wyraźnie zadowolony, że znalazł to, czego szukał, podszedł do fotokopiarki, odbił wszystko strona po stronie i włożył oryginał z powrotem do szuflady.

Nie spuszczała go z oczu, kiedy wepchnął kopię pod marynarkę i ruszył w jej kierunku. Szybko cofnęła się do gabinetu Billa, którego drzwi znajdowały się akurat za jej plecami, i przeczekała tam, dopóki nie odszedł.

Upewniwszy się, że opuścił biuro, podeszła do biurka i wyjęła

teczkę z szuflady. Na co mogły mu się przydać te papiery? Wprawdzie nigdy nie mówiła w biurze o swoim projekcie, ale nie miała nic do Obycia. Dyrekcja stacji dała zgodę na produkcję pilota i wystarczyło Spojrzeć na grafik, by wiedzieć, że będzie nakręcany za dwa tygodnie. Wzruszyła ramionami. Cóż, skoro był tak zainteresowany nią i jej pracą, to Bóg z nim. Zapoznanie się z samymi założeniami niewiele ran da, chyba że chciał tylko zaspokoić ciekawość.

A jednak przez następny tydzień nie mogła zapomnieć o tym incydencie. Dręczyło ją niejasne przeczucie, że chodzi o coś więcej.

Nick nie mógł opanować zdumienia, kiedy Kate otworzyła mu drzwi. Rozpływała się w uśmiechu i była bliska podskakiwania z radości.

- Słyszałeś już? - spytała podekscytowana, niemal wciągając go do mieszkania. - Słyszałeś?

- Co miałem słyszeć?

- O Ellamarie i Bobie.

- Co o Ellamarie i Bobie?

- Pobierają się.

- Co robią? - Nick omal się nie zakrztusił.

- Biorą ślub.

- Jakim cudem? To znaczy kiedy? Jak to możliwe?

- Sama nie wiem. - Kate nie traciła entuzjazmu. - Ale wiem, że się pobierają. Czy to nie cudowne? Chodź, mam szampana. Uczcijmy to! - Wybiegła w podskokach do kuchni.

- Masz szampana? - spytał rozbawiony Nick. - Ale przecież to oni się pobierają.

- A co to za różnica? Tak czy inaczej, możemy to uczcić.

- Jasne, czemu nie - zgodził się bez oporów. - Mógłbyś strzelić korkiem?

Wziął z jej rąk butelkę. Kate trzymała w pogotowiu dwa kieliszki. Napełnił je i wzniesli toast za pomyślność Ellamarie i Boba.

- Mmm, niezły - mruknął z uznaniem Nick. - A co powiesz na to, żebyśmy teraz wypili za ciebie?

- Za mnie?
 - Owszem. Przeczytałem dziś pierwszy rozdział twojej książki i uważam, że to też należy uczcić.
 - Naprawdę? Podobała ci się? Bądź ze mną szczery, Nick. Naprawdę ci się podobało?
 - Podobało mi się. Nie rób takiej zdziwionej miny. Jest dobra.
 - A było tam coś, co ci się nie podobało? Możesz być brutalnie szczery, nie obrażę się.
- Otworzył usta, żeby coś powiedzieć.
- No, może nie bardzo brutalny - zastrzegła. Uśmiechnął się.
 - Co do jednego mam tylko wątpliwości.
 - Ach tak... - Kate nie umiała ukryć rozczarowania. - Co takiego?
 - Kiedy to się właściwie dzieje?
 - W latach siedemdziesiątych - wyjaśniła takim tonem, jakby to było oczywiste.
 - Nie napisałaś tego.
 - A powinnam?
 - Cóż, nie jestem krytykiem, ale tak mi się wydaje.
 - Zajmę Się tym - obiecała. - A teraz chodź, usiądziemy. Przeszedł za nią do salonu i usiadł na tym samym fotelu przy kominku, co zwykle. Wprawdzie zaczął się już lipiec, ale na dworze trudno było dopatrzeć się śladów lata. Było bardzo zimno.
 - Czy to znaczy, że Bob powiedział już swojej żonie? - Nick wrócił do poprzedniego tematu.
 - Przypuszczam, że tak. Nie pytałam. Tak się ucieszyłam, że Ellamarie jest znowu w dobrym nastroju. .
 - Yhm. - Nick pociągnął łyk szampana. - Dowiedziałaś się, o co chodziło? Dlaczego ostatnio była taka dziwna. - Nie, nie mówiła mi. Ale cokolwiek to było, nie sądzę, żeby teraz miało znaczenie, skoro wszystko jest w porządku. Wszyscy czasami przeżywamy załamania, nawet Ellamarie.
 - Chyba tak.
 - Dowiedziałaś się, kiedy jest czytanie *Królowej Konwalii*.

- Nie. Nie mogłem nigdzie złapać Boba. Nie wiem czer.i, nie pomyślałem, żeby zadzwonić do Ellamarie. Zresztą może i lepiej, że me zadzwoniłem. Kiedy się zdecydowali?

- Wczoraj, dziś rano do mnie dzwoniła.

- Poznałaś jego żonę?

- Nie, a ty?

- Też nie, ale widziałem ją.

- Naprawdę? - zainteresowała się Kate. - Jak ona wygląda?

- Hmm, to było dość dawno i nie miałem okazji dobrze się przyjrzeć, ale z tego, co widziałem, jest mniej więcej w tym samym wieku co Bob i tego samego wzrostu. Ma ciemne włosy i jest ładniejsza niż się spodziewałem.

- Po tym, co mówiła Ellamarie, zawsze sobie wyobrażałam, że ona jest pospolitą szarą myszką.

- Mnie też się tak zdawało, ale ona z pewnością nie jest pospolita. Chociaż widziałem ją tylko przełomie.

Zadzwonił telefon. Kate sięgnęła po słuchawkę. Z ciepłego brzmienia jej głosu Nick domyślił się, że rozmawia z ojcem. Wyszedł do kuchni po resztę szampana. Kiedy wrócił, Kate jeszcze nie skończyła, więc usiadł. Czuł się trochę nieswojo. Nie cierpiał, kiedy ludzie, u których był z wizytą, rozmawiali w jego obecności przez telefon. Czuł się wtedy tak, jakby podsłuchiwał.

Kate chyba to wyczuła, bo powiedziała do słuchawki: - Muszę kończyć, tatusiu. Mam gościa.

Nick poczuł ukłucie złości, że nie powiedziała ojcu, kogo.

- Powiedz mi jeszcze tylko - poprosił na koniec ojciec - jak tam praca nad książką. Posuwa się?

- Tak, wydaje mi się, że idzie całkiem nieźle. - Mrugnęła do Nicka.

- Jenneen jest tam z tobą?

- Nie, ma przyjść później. W tej chwili jest to Nick. Słyszała, jak ojciec wzdycha po drugiej stranie lani.

- Ciągłe cię prześladowuje?

Kate odwróciła się plecami w stronę pokoju.

- Wcale nie.

- Kochanie, na litość boską; CO ty widzisz w tym aktorzynie?
 - To wcale nie jest tak, jak myślisz - odpowiedziała, zadowoloną że Nick nie słyszy słów ojca.
 - No, cieszę się, że to słyszę. Więc czemu mu nie powiesz wprost, że nie chcesz go więcej Widzieć? Ostatnio ciągle u ciebie przesiaduje, to musi być dla ciebie okropne.
 - Nie jest i nie powiem mu.
 - Nie denerwuj się. Próbuję ci tylko otworzyć oczy. Powinnaś się teraz skupić na swojej powieści, a to nie będzie możliwe, jeśli on się będzie stele koło ciebie kręcił.
 - Słuchaj, zadzwonię do ciebie później.
 - Wychodzę. Zadzwon rano. I spróbuj się pozbyć tego głupka.
 - Nie! - rozzłościła się na dobre. - Nie mów tak więcej.
 - Chyba się w nim nie zaczynasz podkochiwać, co?
 - Nie. To znaczy, właściwie tak.
 - Myślałem, że życie już cię czegoś nauczyło, Katherine.
 - Co masz na myśli?
 - Kochanie, próbuję cię tylko chronić, byś znowu nie doznała krzywdy. Nie chcemy przecież, żeby się powtórzyło to, co z Joelem Martinem, prawda?
- Kate oblała się rumieńcem.
- Nie przypominaj tego nigdy więcej. Nie chcę o tym mówić i nie chcę, żebyś ty o tym mówił. A poza tym, zrobię, co zechcę, więc przestań się wtrącać. Zadzwonię do ciebie jutro. Odłożyła słuchawkę.
 - Przepraszam cię - zwróciła się do Nicka - ale ojcowie potrafią być czasami strasznie denerwujący.
 - Nie będę pytał, o co poszło, ale chyba mogę się domyślić. Powiedz mi, kto ma przyjść później?
- Kate zmarszczyła brwi. - Powiedziałaś do telefonu, że ona ma przyjść później.
- Ach tak, Jenneen. Wpadnie na drinka i może na coś do jedzenia. Chce, żebym rzuciła okiem na projekt jej nowego programu.
 - O nie, czy to oznacza, że znowu mam coś przynieść z restauracji?

- Obawiam się, że tak. Ale rozchmurz się, ugotuję ci coś pysznego w sobotę. Co ty na to?

Nie odezwał się, podniósł tylko kieliszek w geście toastu.

- Mam za to dla ciebie niespodziankę. Byłam dziś w Cliveden House, w sprawie cyklu artykułów, które piszę na temat zabytkowych domów nie należących do National Trust.

- Myślałam, że Cliveden należy do National Trust - zdziwił się Nick.

- Wydierżawili go firmie Blakeney Hotels, nie pamiętasz? Mówiłam ci, obecnie jest tam hotel. Poczekaj tylko, aż zobaczysz to miejsce.

- Mam jechać je oglądać? Kiedy?

- W niedzielę. Pojedziemy tam na cały dzień. Zakochałam się w tej budowli, kiedy tam dziś byłam, i jestem pewna, że ty też będziesz zachwycony. Spędzimy tam cały dzień w przyszłą niedzielę. Miejmy nadzieję, że pogoda się poprawi. O, to pewnie Jenneen -zakończyła, słysząc brzęczyk domofonu.

Weszła Jenneen z następną butelką szampana i roześmiała się, widząc na stoliku poprzednią.

- Wygląda na to, że pomyśleliśmy o tym samym. - Wzięła kieliszek podany przez Nicka. - No to za szczęśliwą parę. Widzieliście się z nimi ostatnio?

Kate odstawiła kieliszek i potrząsnęła głową.

- Nie. A ty?

- Nie, ale teraz, kiedy przeżywają takie wzloty, pewnie nie chcą nikogo widywać. Nie wiecie, czy Bob powiedział już swojej żonie?

- Nie sądzę, żeby miał okazję - wyraziła przypuszczenie Kate. - Ciekawa jestem, jak ona to przyjmie.

- Zapewne nie są ze sobą zbyt blisko. To trwa już od dłuższego czasu. Prawdopodobnie wcale jej to nie zaskoczy, a może nawet przyniesie ulgę. .

- Nie posuwałbym się aż tak daleko - wtrącił Nick. - Zerwanie nigdy nie jest łatwe, nawet jeśli się tego kogoś już nie kocha.

- Chyba nie jest - potwierdziła Kate. - Może wypijemy też za Lindę. Żeby także znalazła szczęście.

Wypili więc za zdrowie Lindy i usiedli nad projektem Jenneen. Około ósmej Nick wyszedł po „chinszczyznę”, a o dziewiątej trzydzieści wszyscy troje byli syci i całkiem weseli.

- To jak - odezwała się Jdmeen, chowając projekt do teczki. Myślicie, że jest dobry?

- Świetny - zachwycam się Kate. - Wprowadź tylko kilka zmian, o których mówiliśmy, a będzie rewelacja. Pomysł jest doskonały!

- A co ty sądzisz, Nick?

- To samo, co Kate. Jest paru krytyków, nie mówiąc już o reżyserach, których chciałbym zobaczyć na cenzurowanym. O której godzinie to pójdzie?

- Jeszcze nie wyznaczono czasu na antenie. Ale raczej późno. Przypuszczam, że gdzieś koło jedenastej.

- Szkoda. Ale może po jakimś czasie wyznaczą wcześniejszą porę.

- Może - powtórzyła Jenneen. - Zawsze trzeba mieć nadzieję. Zadzwoił telefon. Jenneen spojrzała na zegarek.

- Świetnie! To pewnie Ashley. Zostawiłam jej wiadomość, żeby zadzwoniła tu do nas dziś wieczorem.

- Halo - rzuciła do słuchawki. - Halo - powtórzyła, ale nie było odpowiedzi. Popatrzyła na Kate i Nicka i wzruszyła ramionami. - Nikt nie odpowiada. - W słuchawce zatrzeszczało. - Halo - odezwała się głośniejszym głosem. - Ashley, czy to ty? - Nadal nie było odpowiedzi. Odłożyła słuchawkę. - Pewnie pomyłka.

Po paru minutach telefon znowu zadzwonił. Tym razem odebrała Kate.

- Cześć, Ash!

- Halo - odpowiedział stłumiony głos, z całą pewnością nie należący do Ashley.

- Halo? Kto mówi?

Kate - mówił głos. - Witaj, Kate. ' Kate zmarszczyła czoło; zbladła. Spojrzała na Nicka, który natychmiast poderwał się na równe nogi.

- To znowu on?

- Kto? - nie rozumiała Jenneen.

- Tak mi się jsydaje - szepnęła Kate, podając słuchawkę Nickowi. . Nick przyłożył ją do ucha i słuchał. Po paru sekundach zapadła cisza, ale zdołał usłyszeć wszystko, co trzeba. Czuł na sobie spojrzenia Kate i Jenneen. Odwrócił się, pełen niesmaku, jaki pozostawił mu ten telefon.
- To był on, prawda? - spytała Kate z napięciem.
- Kto? - dopytywała się bezskutecznie Jenneen. Nick unikał jej wzroku.
- Co mówił?
- Co się tu dzieje? - zirytowała się Jenneen. - Kto to był? Nick ruszył do kuchni, wciąż unikając spojrzenia Kate.
- Przyniosę jeszcze trochę winą - zaproponował po drodze.

Rozdział 28

A więc - powiedział Conrad, odchylając się na oparcie krzesła i dając tym samym do zrozumienia, że zebranie dobiega końca - chcę, żeby dołożono wszelkich starań. Jak wiecie, nasza agencja obsługiwała już kiedyś tę firmę i chcę, żeby wrócili do naszych usług. Pokładam w was nadzieję, choć wiem, że ta sprawa nie będzie łatwa. Praktycznie wszystkie miejscowe agencje będą się ubiegać o to zlecenie i od was zależy, czy myje dostaniemy. Wymagam od was, żebyście pracowali na okrągło przez całą dobę, bez Wyjątków, i wkładali w tę sprawę każdy gram talentu, jaki

Znacie się w waszych ślicznych główkach. Nie muszę wam mówić, a jaką stawkę toczy się gra. Chcę dostać te pieniądze. - Spojrzał na Aahiey. - Candice poda pani wszystkie dostępne dane przy wyjściu. - Ashley skinęła głową, a Conrad kontynuował: - One was przekonają, leżeliście mi się dotąd nie udało tego dokonać, jak bardzo mi zależy, żeby firma Mercer Burgess Insurance na powrót stała się naszym klientem. Jeśli ktoś z was wpadnie na jakiś pomysł, a spodziewam się, że nastąpi to w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, niech zwróci się bezpośrednio do mnie. Będę się osobiście zajmował tą sprawą, a gdyby mnie przypadkiem nie było na miejscu, Candice będzie wiedziała, gdzie mnie szukać. Więc, jak powiedziałem, wszystko jest w waszych rękach. Bierzcie się do roboty! - zakończył z uśmiechem.

Bill Fownest, prezes rady nadzorczej nowojorskiego oddziału agencji Frazier-Nelms, wstał i mrugnął dyskretnie do Ashley. Uwielbiał moment, kiedy agencja angażowała się w tego rodzaju przedsięwzięcia. Czuł wtedy, że krew szybciej krąży mu w żyłach, podniecało go to bardziej niż wszystko inne... no, może z jednym lub dwoma wyjątkami. Obserwował Ashley zbierającą swoje papiery. O ile wyczucie go nie myliło, w jej głowie już rodziły się załączki pomysłów; był gotów pójść o zakład, że przeżywała to równie mocno jak on sam. Doszły go słuchy, że to głównie dzięki niej londyński oddział firmy pozyskał lukratywne zamówienie Newslink. Był ciekaw, co zaprezentuje tym razem. Kierowała tu w Nowym Jorku dobrym, twórczym zespołem i przez ten krótki czas, jaki z nimi spędziła; zdążyła sobie zyskać szacunek podwładnych i ze dwudziestu innych kierowników działów firmy. Szkoda, że nie znalazła wspólnego języka z Conradem, ale nie wydawała się tym specjalnie zmartwiona, więc czemu on miałby się przejmować?

- Ashley! - Conrad stanął za swoim biurkiem.

Zatrzymała się przy drzwiach, podobnie jak kilka innych osób, które jednak z jego miny poznały, że to, co ma do powiedzenia Ashley, ich nie dotyczy, i szybko opuściły gabinet.

Conrad pisał coś w rozłożonych na biurku papierach. Rzucił jej szybkie spojrzenie; znów poczuła się - tak; jakby ją osaczał.

- To jest najtrudniejsze zadanie, jakie się pani trafia od chwili przybycia do Nowego Jorku - zaczął wreszcie - więc pewnie się pani dziwi, dlaczego właśnie pani ponosi za nie odpowiedzialność.

Akurat miała się czemu dziwić! Czyż nie wypruwafetsobie żył, jak to dobitnie określiła Jan, żeby dostać ten przydział?. Czekala bez słowa, by mówił dalej,

- Nie chcę się powtarzać - ciągnął z tym swoim-irytującym uśmiechem - ale chyba zdaje pani sobie sprawę z tego, jak ważne jest, byśmy wygrali. Chociaż pani osiągnięcia z Londynu mówią same za siebie to jest Nowy Jork i walka będzie ostra. Słabi odpadają. Nie możemy sobie pozwolić na odpuszczenie tego zlecenia, lepiej, żeby pani dobrze o tym pamiętała.

Patrzył na nią poważnie, z lekko uniesionymi brwiami, jakby zadał pytanie i teraz czekał na odpowiedź.

Zrozumiała dokładnie, co miał na myśli, i nienawidziła go za to.

- Sądzę, że wyraził się pan wystarczająco jasno, Conradzie. Cały czas wpatrywał się w nią przenikliwym spojrzeniem.

- Taką mam nadzieję - zakończył i sięgnął po telefon.

- Czy to już wszystko? . - Na razie.

Skierowała się do wyjścia.

- Aha, jeszcze jedno - przypomniał sobie, kiedy stała już z ręką na klamce. - Wpadnę po panią o siódmej.

Idziemy do opery.

Nie zdążyła nic odpowiedzieć.

- To wszystko. Niech pani będzie gotowa na czas. Candice -zwrócił się przez telefon do sekretarki - daj mi tu z powrotem Billa Fownesta.

Po powrocie do swojego biura Ashley zastała tam oczekującą na nią Jan.

- Potrzebujesz czegoś ode mnie, zanim wyjdę?

- Poza jakimś dobrym pomysłem, chyba nie.

- Obawiam się, że akurat w tym nie mogę ci pomóc - roześmiała się Jan i zaczęła pakować swoje rzeczy. -

Rozumiem, że miałyśmy rację, chodzi o firmę Mercer Burgess?

Zgadza się, o Mercera Burgessa. I o ile się nie mylę, o całą moją karierę

Słucham? - Jan zastygła w bezruchu. Ashley otrząsnęła się, zrozumiała, że wypowiedziała na głos swoje myśli.

- Och, mc takiego - zbagatelizowała. - Pamiętałaś, żeby wysłać plan spotkań do Jill Robertson?

- Jasne. Aha, byłam w archiwum i wzięłam stare materiały dotyczące Mercera Burgessa, z czasu, gdy prowadziliśmy ich poprzednią kampanię. Kazałam im też wygrzebać wszystko, co mają o ubezpieczeniach. Maggie przyniosła te analizy, o które prosiłaś. Są na twoim biurku.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - uśmiechnęła się Ashley. - A teraz uciekaj już, bo się spóźnisz.

- Dzięki - powiedziała Jan z wyraźną ulgą.

- Baw się dobrze - pożegnała ją Ashley. Syn Jan występował tego wieczoru na Broadwayu. Miał wprawdzie tylko niewielką partię w chórze JCotów, memniej jednak był to Broadway i *Koty*.

Ashley weszła do swojego gabinetu. Było wpół, do szóstej. Miała dobre trzy godziny do wyjścia do domu.

Wzięła stare akta Burgessa

i zaczęła je wertować. Nie mogła się jednak skupić, w głowie wciąż dźwięczały jej słowa Conrada. Wiedziała, że rozumiała go właściwie, ale wciąż nie mogła uwierzyć, że cała jej rjrzyszłość tu, w Nowym Jorku, zależy od tego, czy zdoła uzyskać zamówienie Mercera Burgessa. Jeśli jej się nie uda, Conrad odeśle ją do Londynu. Przecież to nedorzeczność. Nie może tego zrobić. Roześmiała się gorzko. O tak, on mógłby to zrobić i z pewnością by to zrobił. Nie było przyjemnie wiedzieć, że jej obecność tutaj jest mu aż tak niemiła. Ale poznawała Conrada Fraziera coraz lepiej i jedno rozumiała bardzo szybko - Conrad lubił sam podejmować decyzje i nie podobało mu się, kiedy ktoś decydował za niego. A o jej pojawieniu się w agencji zdecydowała ona sama, nie on. Teraz dawał jej do zrozumienia, że albo się sprawdzi, albo będzie musiała odejść.

Zaprosił ją do opery. Najwidoczniej nie wystarczało mu to, że

dokucza jej w ciągu dnia w pracy, i postanowił wtrącać się także do jej prywatnego życia. Niech go szlag trafił! Jak chce iść do opery, to niech sobie idzie sam.

Sięgnęła do szuflady po notatnik. Kiedy go wyjmowała, na podłogę wypadła pocztówka. Ashley schyliła się po nią.

Przeczytała kartkę z uśmiechem. Była od Juliana: Życzył jej szczęścia na nowej drodze życia. To był z jego strony szlachetny gest. Ashley miała nadzieję, że jego ślub z Blanche okaże się szczęśliwym rozwiązaniem. Jeśli chodzi o nią, ostatnie dwa miesiące spędzone w Nowym Jorku upewniły ją tylko, że wyjeżdżając zrobiła właściwy krok.

Położyła kartkę przed sobą na biurku i patrząc na nią zamyśliła się. Julian. Conrad. Julian i Conrad. Tak bardzo się różnili. Julian był wyrozumiały, a Conrad bezwzględny. Niepokoiła ją myśl, że musi stanąć na głowie i wymyślić coś przeciw niemu, czy raczej w tym przypadku dla niego, by utrzymać swoją pozycję. Doszła do wniosku, że Conrad jest postacią wyjątkowo irytującą i niezmiernie trudną do polubienia. A jednak podczas zebrania obserwowała go z zainteresowaniem i parę razy przyłapała się nawet na tym, że myśli o nim, zamiast skupić się na istocie sprawy. Mimo osobistych animozji, nurtowała ją ciekawość, jaki on naprawdę jest... jako mężczyzna. Aż za dobrze wiedziała, jakim jest zwierchnikiem, choć musiała przyznać, jakkolwiek niechętnie, że darzy go szacunkiem. Ale co robił, kiedy nie był Conradem Frazierem, szefem agencji w Nowym Jorku? Bez wątplenia musiał być jedną z lepszych partii w mieście, choć nigdy nie słyszała, by łączono go z jakąś kobietą. Był bardzo przystojny, właściwie aż za przystojny, według Ashley. Zdawał sobie sprawę ze swego wyglądu i nie raz była świadkiem, jak wykorzystywał ten atut wobec żon klientów. Wyczuwała jednak, że pod okazywanym na zewnątrz czarującym wdziękiem kryje się znudzenie lub nawet irytacja tymi kobietami, jakby miał im za złe, że ulegają tanim pochlebstwom.

Otrząsnęła się z rozmyślań. Nic jej nie przyjdzie z rozważań nad osobą Conrada Frazia. Spojrzała na rozłożone na biurku materiały

i ogarnęło ją nerwowe napięcie. W tej kampanii będzie musiała zmierzyć się z najślawniejszymi specjalistami od reklamy na świecie. Lecz przecież każdy musiał od czegoś zaczynać, a ona właśnie stała aa progu sławy. Jej pomysły będą nowsze, świeższe i bardziej ambitne od innych. Zacznie od skontaktowania się z Arthurem Fellowmanem, prezesem firmy Mercer Burgess. Spróbuje namówić go na podwojenie budżetu. Ziarenko pomysłu, które dotąd zaledwie w niej kielkowało, zaczęło szybko rosnać i wiedziała, że wychodząc stąd dzisiaj powinna mieć gotowy plan, który przekona go do wyrażenia zgody na astronomiczną dotację, jakiej potrzebowała na pełną rozmachu kampanię.

Wzięła do ręki pióro i zaczęła pisać, uśmiechając się złośliwie pod nosem. Jeśli już ktoś ma decydować o tym, czy zostanie w Nowym Jorku, niech to będzie ona sama, a Conrad Frazier może się wypchać swoimi pogroźkami.

O szóstej trzydzięci przerwała pisanie i spojrzała na zegarek. Przeszedł ją dziwny dreszcz. Przyjemnie było pomyśleć o wystawieniu do wiatru Conrada Fraziera. Będzie wściekły, a myśl o rozwścieczeniu go dawała jej wyjątkową satysfakcję. Od dawna chciała się na nim odegrać za wiele rzeczy i teraz nadarzała się okazja. To będzie dla niego nauczka. Może następnym razem, chcąc się z nią umówić, zada sobie więcej trudu, by być uprzejmym. Żałowała tylko, że nie zobaczy , jego miny, kiedy nie zastanie jej w domu. Wzruszyła ramionami i biorąc znowu do ręki pióro, kontynuowała zaczęłą pracę.

Było dziesięć po siódmej, kiedy drzwi jej gabinetu otwarty się gwałtownie i Conrad stanął przed jej biurkiem. Miał w oczach złe błyski i twarz pociemniałą od gniewu. Ashley aż się cofnęła na jego widok,

- Co pani tu do diabła robi?

- Właśnie...

- Nic mnie to zresztą nie obchodzi! - ciągnął przez zęby. - Kiedy mówię, żeby pani była gotowa na siódmą, to oczekuję, że będzie pani gotowa. Co pani sobie wyobraża? Nie będziemy się tak bawić. Nie pozwalam moim podwładnym robić ze mnie głupca. Idziemy.-Chwycił ją za ramię i niemal wyciągnął „zza biurka..

Notatnik i pióro upadły na podłogę, kartka pocztowa również; Schyliła się po nie, ale kartka wylądowała u stóp Conrada i zanim Ashley zdążyła po nią Sięgnąć, miał ją w rękach. Nie mógł nie rozpoznać pisma na odwrocie. Gdy odbierała kartkę, zauważyła w jego oczach pogardę. Spuściła oczy.

- Proszę zabrać swoje rzeczy.

- Chwileczkę...

- Dosyć - uciał, odwracając się do niej. - Proszę wziąć to, co jest pani potrzebne. Będzie pani musiała pójść tak jak stoi.

Ruszył w stronę drzwi.

- Nigdzie nie idę, ani z panem, ani z nikim innym. Jeśli pan chce, żebym z panem poszła do opery, to mógłby mi pan to chyba, do cholery, zaproponować w jakimś ludzkim języku. Ale oszczędzę panu kłopotu, nie musi się pan wysilać. Odmawiam! Nie chcę iść do opery. I nie pozwolę, żeby mnie ktoś tak traktował, a zwłaszcza pan! Patrzył na nią i Ashley ku swemu zdumieniu i złości stwierdziła, że on się śmieje, choć w jego oczach nadal czai się gniew.

- Niezłe powiedziane - pochwalił. - Ale proszę sobie nie pochlebiać. To jest wyjście do opery z klientami.

Konkretnie z pani klientem, którego powinna pani poznać. - Spojrzał na zegarek. - Na dole Czeka taksówka.

Ma pani dwie minuty. - Opuścił gabinet.

Ashley była wdzięczna, że wychodząc nie obejrzał się. Miała ochotę zapaść się pod ziemię z upokorzenia. Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak wziąć torebkę i wyjść za nim.

Drzwi taksówki były otwarte, więc wśliznęła się szybko do środka i usiadła przy nim, odwrócona twarzą do szyby. Znajdowała się w idiotycznej sytuacji i w dodatku sama się w nią wpakowała. Nawet nie wiedziała, o jakich klientów chodzi. Nie miała zamiaru pytać. Niech jej sam powie. Była rozczochrana, nieodpowiednio ubrana, a jej makijaż wymagał odświeżenia. Żeby go diabli wzięli!

- Ashley - odezwał się, przerywając pełną napięcia ciszę. Spiorunowała go wzrokiem.

- Już dość - powiedział całkiem spokojnie.

- Przecież jeszcze nic nie powiedziałam. - Dusiła się ze złości.

Nie musi pani nic mówić. Proszę się uspokoić. Jeśli już ktoś ma prawa się wściekać, to raczej ja. I jestem zły, ale nad sobą panuję. Niech pani też się postara.

Siedziała wyprostowana, patrząc prosto przed siebie i poruszając bezdźwięcznie ustami, niezdolna znaleźć odpowiedniego słowa.

Żadne z nich nie odezwało się przez całą drogę do Lincoln Center. Conrad zapłacił za przejazd, odwrócił się i ruszył przez tłum w stronę Metropolitan Opera House. Ashley dreptała za nim, próbując dotrzymać mu kroku. W foyer spotkali państwa Halworth, potentatów z branży spożywczej. Ashley zauważyła wymowne spojrzenie, jakim pani Halworth obrzuciła jej sukienkę. Rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu i poczuła się jeszcze bardziej głupio.

Męczyła się, oglądając *Rusalkę*, która sama w sobie nie bardzo jej się podobała, i z ulgą przyjęła zakończenie. Co jeszcze miała przeżyć tego "Wieczoru? Nie musiała długo czekać, żeby się przekonać. Czarna limuzyna, która wyglądała tak, jakby ją rozciągnięto na łożu tortur, czekała przy wyjściu, by powieźć ich przez gorącą, parną noc do klubu Twenty-One.

Podczas kolacji Ashley usiłowała zabawiać panią Halworth miłą rozmową, ta jednak najwyraźniej była zainteresowana wyłącznie Conradem. Ashley odniosła wrażenie, że jej rozmówczyni potrzebuje bardzo niewiele zachęty, by to zainteresowanie wyszło daleko poza granice wspólnych interesów. Była zdegustowana.

Rozglądając się dyskretnie, zauważyła, że Conrad przyciąga wzrok wielu kobiet; parę razy pozwoliła sobie nawet unieść brew, dając obserwatorom dół zrozumienia, że dostrzega ich spojrzenia. Zastanawiała się, czy on zna te wszystkie kobiety, i czuła z tego powodu niejasny niepokój.

Po pewnym czasie zorientowała się, że pan Halworth uważa ją za żonę Conrada, i wydało jej się to tak niewiarygodne, że zaniemówiła. Przecież Conrad musiał im chyba powiedzieć, kim jest; Ashley. Wzajemna prezentacja przebiegła tak szybko, że nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie Conrad wówczas powiedział. Ale dlaczego

teraz nie sprostował? Może niczego nie zauważył? Zerknęła kątem oka w jego stronę, ale nie zdołała nic wyczytać z wyrazu jego twarzy. Spojrzała na pana Halwortha i ze zgrozą stwierdziła, że do niej mrugnął. Zarumieniła się, zrozumiawszy pomyłkę. Ten człowiek prawdopodobnie sądził, że mieli z Conradem małżeńską kłótnię przed wyjściem z domu dziś wieczorem. Musiała przyznać, że miał podstawy tak przypuszczać, bo ich zachowanie stwarzało właśnie takie wrażenie.

Podano kawę, co Ashley powitała z ogromną ulgą. Nie mogła się doczekać powrotu do domu.

Pan Halworth zamówił brandy, której Ashley jako jedyna odmówiła, po czym zaczął otwarcie przyglądać się jej i Conradowi.

Ashley opuściła wzrok i zaczęła nerwowo bawić się obrączką, którą nadal nosiła na środkowym palcu. Zesztywniała, słysząc słowa pana Halwortha.

- Słyszałem, że pan się żeni, Conradzie. Nie wiedziałem, że to już nastąpiło. Kiedy miał miejsce ten wielki dzień? - Nie dodał, że według tego, co słyszał, Conrad miał się ożenić z jedną z najbardziej wziętych amerykańskich modelek, Candidą Rayne.

Ashley spojrzała na Conrada, oczekując, że natychmiast wyjaśni nieporozumienie. On jednak przybrał niewinną minę i było jasne, że nie zamierza nic tłumaczyć. Uśmiechnął się jedynie trochę szerzej, widząc wyraz jej twarzy. Podniósł kieliszek i Ashley odniosła wrażenie, że był to toast przeznaczony specjalnie dla niej. Dobrze, pomyślała, sam się o to prosi.

Świadoma spoczywających na niej czujnych oczu pani Halworth, zwróciła się do jej męża ze słodkim uśmiechem:

- Dwa tygodnie temu. - Nie patrząc na Conrada, nachyliła się konspiracyjnie do ucha rozmówcy. Zdradzę panu nasz mały sekret - szepnęła, tłumiąc śmiech, kiedy pani Halworth przysunęła się, żeby lepiej słyszeć. - Oczekujemy naszego pierwszego dziecka na Gwiazdkę.

Conrad zakrztusił się, wylewając brandy na koszulę. Ashley rzuciła mu pobłażliwy uśmieszek i powiedziała:

- Och, kochanie, powinieneś być bardziej ostrożny. - Pochyliła Się nad nim i zaczęła wycierać plamę. - Sam tego chciałeś! - syknęła mu do ucha.

- Pan Halworth roześmiał się i wezwał kelnera, żeby przyniósł więcej brandy.

- Czemu pan nie mówił? - zawołał radośnie. - Mogliśmy otworzyć szampana.

- Mówi pani, że jesteście po ślubie już dwa tygodnie - upewniła się pani Halworth, która zgodnie z założeniami Ashley nie tracąc czasu analizowała daty. - Jak to miło.

Ashley wsunęła Conradowi rękę pod ramię.

- O tak, prawda, skarbie? Jego zażenowanie sprawiło jej niebywałą satysfakcję.

- Proszę mi powiedzieć - zwróciła się do Ashley pani Halworth - czy zrezygnuje pani z pracy, kiedy dziecko przyjdzie na świat.

- O tak, z pewnością. Connie się przy tym upiera, prawda, skarbie?

- To urocze! - stwierdziła pani Halworth. Odwróciła się do męża. - Nie sądzisz, że to urocze?

- Oczywiście, że urocze - zgodził się rozpromieniony.

- Przepraszam, chyba muszę wyjść na chwilę - oznajmiła znienacka pani Halworth. Conrad i pan Halworth podnieśli się, kiedy wstała.

Ashley z napięciem oczekiwała na jakąś reakcję ze strony Conrada. Zerknęła na niego ukradkiem, ale jego twarz zachowała nieprzenikniony wyraz. Sięgnął po kieliszek.

- Moja sekretarka skontaktuje się jutro z pańskim biurem - powiedział do pana Halwortha. - Chciałbym umówić się na spotkanie przed końcem miesiąca. Kiedy pan wyjeżdża?

Pan Halworth odwrócił się od Ashley, nieco zaskoczony gwałtowną zmianą tematu.

- W połowie października. Tak, doskonale. Pod koniec miesiąca. Rozmawiał pan już z kimś?

- Jeszcze nie, ale porozmawiam. Mamy mecz podczas weekendu.

- Tak, niestety, nie będę mógł być Obecny. Gra pan?

- Owszem.

Dopiero po chwili Ashley zorientowała się, że rozmawiają o rozgrywkach polo.

Wróciła pani Halworth. Conrad oznajmił, że na nich już czas. Podał Ashley torebkę, unikając jej wzroku.

Poczuła się trochę niepewnie.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, pan Halworth nalegał, by pozwolili się odwieźć do domu limuzyną, ale Conrad okazał stanowczość.

- Mamy niedaleko - dodał, nie patrząc na nią. - Ashley lubi nocne powietrze.

Pomachali Halworthom na pożegnanie, a kiedy limuzyna zniknęła za rogiem, Conrad zatrzymał taksówkę.

Poczekał, aż zaparkuje przy krawężniku, i otworzył drzwi, żeby ją wpuścić do środka. Jednak jej już nie było.

Rozejrzał się i dostrzegł, że oddała się chodnikiem.

- Proszę zaczekać - rzucił do kierowcy, zostawił drzwi otwarte i ruszył za nią.

- Puść mnie! - zachnęła się, kiedy złapał ją za ramię.

- Nie bądź dziecinna. A poza tym, nie wiem, czy zauważyłaś, że idziesz w przeciwnym kierunku.

Odwróciła się do niego ze złością.

- Nie rozumiem, co cię to obchodzi, w którym kierunku idę. Puść mnie!

- Wsiadaj do taksówki - rzekł poważnie. - Chcę z tobą pomówić.

- Nie wsiadę! Wezwę sobie inną.

- Wsiadaj do taksówki, albo ja cię do niej wsadzę. - Jego głos przybrał niebezpiecznie niskie tony.

- Przestań się zachowywać jak drugorzędny gwiazdor filmowy - syknęła. — Jeżeli...

Zanim zdążyła dokończyć, porwał ją na ręce i niósł do taksówki. Wsadził ją do środka i usiadł obok niej.

Kierowca ruszył, chichocząc ¹ pod nosem.

- Róg Madison i Siedemdziesiątej Piątej, Montclair - rzucił do taksówkarza i rozsiadł się wygodnie, spoglądając przez szybę.

- Ja tam mieszkam - stwierdziła Ashley.

- Przecież chciałaś wracać do domu - warknął.

- W milczeniu przejechali trasę do jej mieszkania. Wysiadł pierwszy i obszedł samochód dookoła, żeby otworzyć jej drzwi. Widziała, że nadal jest wściekły.

- Sądzę, że zrozumiałaś to, co mówiłem wcześniej w biurze - odezwał się, kiedy zaczęła wysiadać. - Więc może obudź się wreszcie i zrozum; w jakim świecie żyjesz. A jak już zrozumiesz, to pomyśl o tym, jak wytłumaczyć awoje dzisiejsze zachowanie wobec Halworthów. - Wsiadł z powrotem do taksówki. - Chcę cię widzieć w moim gabinecie jutro po południu i oczekuję, że do tego czasu zadzwonisz do Halwortha i przeprosisz go za te wszystkie kłamstwa, których dziś tyle nagadałaś. Dobranoc!

Nie miała możliwości odpowiedzieć, bo zamknął drzwi i taksówka ruszyła. Ashley stała na chodniku i patrzyła za nią, dopóki nie znikła jej z oczu.

Rozplakała się ze złości. Jak mogła zrobić coś tak głupiego, idiotycznego i bezsensownego. Zamiast się na nim odegrać, zrobiła z siebie kompletną idiotkę, narażając swoją pozycję.

Stała przed drzwiami swojego mieszkania i po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Nowego Jorku zatęskniła za domem.

Następnego dnia rano Ashley zadzwoniła do pana Halwortha do jego biura na Lexington i złożyła przeprosiny. Prawie całą noc nie spała, zastanawiając się, co powinna mu powiedzieć. W końcu doszła do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego, jak przyznać się do wszystkiego i wytłumaczyć swoje zachowanie niegodną chęcią zemsty.

Pan Halworth śmiał się głośno, kiedy zakończyła wyjaśnienia, i przyznał, że domyślał się poczynań Conrada. Współczuł jej, że musi znosić takie szykany.

Nim rozmowa dobiegła końca, Ashley była już niemal zaprzyjaźniona z panem Halworthem i otrzymała zaproszenie na lunch w następnym tygodniu. To byłby spory kamyczek do ogródka

Conrada. Jednakże słowa, które powiedział pan Halworth na pożegnanie, nieco zbiły ją z tropu.

- Na koniec jeszcze jedno - rzekł ze śmiechem. - Gdybyście jednak postanowili się pobrać, nie zapomnijcie mnie zaprosić na ślub. - Odłożył słuchawkę zanim zdążyła odpowiedzieć.

Kusiło ją, żeby zadzwonić jeszcze raz i rozwiać jego złudzenia, ale nie zrobiła tego. Dzień upływał jej na planowaniu działań związanych z kampanią Mercera Burgessa. Reszta zespołu ochoczo poparła jej projekt, choć jedna czy dwie osoby miały pewne zastrzeżenia co do rozmiarów przedsięwzięcia. Nie martwiła się tym zbyt. Wiedziała, że gdy tylko uda jej się uzyskać zgodę prezesa firmy Mercer Burgess, wszyscy staną po jej stronie. Arthur Fellowman zgodził się z nią spotkać tego popołudnia, więc musiała przygotować starannie swoją propozycję. Nie próbowała się kontaktować z Conradem, a i on po nią nie przysyłał. Widziała, jak opuszczał budynek Około trzeciej, i na szczęście jej nie zauważył.

Arthur Fellowman bez wątpienia był pod wrażeniem jej pomysłów. Zwołał swoich ludzi od marketingu i konferował z nimi znacznie dłużej, niż pierwotnie zakładał. Spotkanie zakończyło się wreszcie o szóstej trzydzięci ustaleniem, że zadzwonią do Ashley następnego dnia rano. Tymczasem Arthur polecił jej rozpracowywać projekt teoretycznie i zastanowić się nad nowymi rozwiązaniami.

Zespół już od pewnego czasu zajmował się tym. Nadzieje Ashley nieco się rozwiały, kiedy Arthur powiedział jej przy rozstaniu, że rozmawiał także z kimś z innej agencji, choć nie zgodził się podać żadnych szczegółów. Wspomnił tylko, że to, co przedstawili mu konkurenci, jest również atrakcyjne, a o połowę tańsze.

- Chcę tylko, żeby pani wzięła to pod uwagę - powiedział, odprowadzając ją do windy.

- Budżet, o który pani prosi, nie wspemunając już o kosztach dodatkowych, nie bardzo się spodoba radzie nadzorczej.

Podziękowała mu za szczerość.

- Nasza rada jest taka sama jak wszystkie inne - stwierdził.

Cieężko im wydać jakiegokolwiek pieniądze, a jeśli już, to chcą, żeby były jak najmniejsze. W sprzyjających okolicznościach pani pomysł może wygrać, zakładając, że zostanie odpowiednio przedstawiony. Choć, niestety, może się też zdarzyć, że wygra inny. Zresztą, na pewno pojawią się w najbliższym czasie jeszcze inne propozycje. Tak czy inaczej, życzę szczęścia.

Wracając do agencji, próbowała nie poddawać się zniechęceniu. Jej pomysł będzie najlepszy, musi być najlepszy. A to, co najlepsze, najczęściej kosztuje. Ci z firmy Mercer Burgess muszą spojrzeć na to w ten sposób,

O wpół do ósmej niewiele pozostało jej już w biurze do zrobienia. Zgodziła się pójść do kina z Candice. Czowała, że powinna się oderwać. Musiała się jeszcze zobaczyć z producentką, ale Gemma była gdzieś w centrum miasta, szukała miejsc na kręcenie reklamówki do jakiegoś bieżącego zlecenia. Jan poinformowała, że Gemma wróci dopiero około dziesiątej, a reszta pozostającej przy pracy załogi zapewniła, że poradzi sobie ze zrobieniem kawy i podtrzymywaniem się wzajemnie na duchu, więc Ashley wyszła z Candice, zapowiadając, że wróci po filmie.

- Wiesz co - powiedziała Candice, kiedy kupowały bilety, na *Monę Lisę* - niedługo wybieram się do Londynu.

- Tak, musisz tam pojechać, spodoba ci się - ożywiła się Ashley. -Daj mi znać, jak będziesz wyjeżdżać. Mam tam paru dobrych przyjaciół, którzy chętnie się tobą zajmą i pokażą ci miasto.

- Świetnie. - Candice spojrzała na zegar ścienny. - Może wstąpimy na drinka przed filmem? Jest jeszcze wcześnie.

Ashley zamówiła w barku dwa kieliszki wina i usiadły przy narożnym stoliku,

- O której przyjeżdża jutro twoja rodzina?

- O Boże, prawie o nich zapomniałam - wykrzyknęła Ashley. -Że też akurat teraz to wypadło..

Candice uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Twój synek też przyjedzie z nimi?

- Co za pytanie? Alex nie przepuściłby takiej przygody jak wyjazd do Nowego Jorku!

- Szkoda, że nie widzisz teraz swojej miny ~ roześmiała się Candice trochę zazdrośnie.
 - Dlaczego?
 - Bo wyglądasz jak kobieta zakochana.
 - Już raz mi to ktoś powiedział - przypomniała sobie Ashley. -Wtedy też dotyczyło Alexa. Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć. W przyszłym tygodniu kończy osiem lat. Muszę wymyślić coś specjalnego na jego urodziny.
 - Będę miała okazję go poznać?
 - Pewnie, że tak. Postanowił odwiedzić mnie w biurze, ale muszę wybrać dzień, kiedy nie będzie Conrada. Jakoś nie wydaje mi się, żeby mu się taka wizyta spodobała; Musisz też przyjść któregoś dnia na kolację i poznać moich rodziców.
 - Dziękuję za zaproszenie. - Candice podniosła do ust kieliszek. -Jak idą prace nad projektem dla firmy Mercer Burgess? - Nie najgorzej. Nie będzie lekko, ale wydaje mi się, że mamy szansę.
 - Masz już coś dla Conrada? -Nie.
 - Zabrzmiało to dość stanowczo.
 - Obawiam się, że nie mam nic, co by go mogło szczególnie zainteresować.
- Candice zaśmiała się w duchu, patrząc na twarz Ashley.
- Nie ma wątpliwości, że go nie znosisz, prawda?
 - Nie znoszę.
 - Ale dlaczego?
 - Jakbyśmy miały wolną godzinę, tobym ci powiedziała - odparła Ashley.
 - Szkoda.
 - Czego szkoda?
 - Że go nie lubisz.
 - Cóż, to uczucie jest wzajemne, jak zapewne zauważyłaś. Candice skwitowała jej wypowiedź uśmiechem.
 - Czy ty, no wiesz, spotykasz się z nim? - spytała Ashley

i natychmiast oblała się rumieńcem. Nabierała amerykańskiego zwyczaju zadawania osobistych pytań, ale ciągle ją to jeszcze krępowało.

- Ja?! Dobry Boże, nie.

- Myślałam, że...

- Myślałaś, że szaleję na jego punkcie?

- No, tak.

- Kiedyś, owszem. Dawno temu. Ale on nigdy nie był mną zainteresowany. Teraz kocham go za to, że jest taki, jaki jest. Ashley potrząsnęła głową:

- W głowie mi się nie mieści, jak ktoś może go kochać za to, że jest taki, jaki jest.

- On naprawdę nie jest taki zły.

- Zdania na ten temat są podzielone - stwierdziła Ashley, sięgając po wino. - Widziałam, że wcześniej wyszedł dziś z biura. - Pojechał po swoją siostrę i jej dzieci, żeby ich przywieźć do miasta na tydzień. Jej mąż wyjechał, a ona chciała się wybrać na zakupy.

- Tak?

Podniosły głowy, bo do baru weszła grupa rozdokazywanych nastolatków.

- O nie - jęknęła Candice. - Mam nadzieję, że nie usiądą przy nas.

- Czy Conrad ma dziewczynę? Candice popatrzyła na nią z uśmiechem.

- Jak na kogoś, kto nie może znieść widoku Conrada Frazier, jesteś nim mocno zainteresowana.

- Wcale nie. Jestem tylko ciekawa.

Candice zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

- Czy Conrad ma dziewczynę? - powtórzyła pytanie i spojrzała na Ashley.

- Bardzo jesteś tajemnicza - stwierdziła Ashley, żałując, że spyła.

- Bo to jest dosyć tajemnicza sprawa... w pewnym sensie.

- No cóż, albo ma, albo nie ma.

- Powiedzmy, że ma kogoś na oku.

- Znam tego kogoś?

Candice przytaknęła, ale nie powiedziała nic więcej.

- Więc? - naciskała Ashley. - Powiesz mi wreszcie? - Sama była zdziwiona swoim ożywieniem. Cóż to w końcu dla niej za różnica, czy Conrad ma kogoś na oku, czy nie ma? Musiała jednak przyznać, że jest ciekawa, kto to, taki.

- Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie wiesz?

- Oczywiście, że nie wiem. Przecież bym nie pytała.

- Nie mówił ci?

- Mnie miałby powiedzieć?! Jestem ostatnią osobą, której by się zwierzył z czegoś takiego.

- Nie byłabym taka pewna - zaśmiała się Candice.

Ashley poczuła się zażenowana odpowiedzią Candice i jej śmiechem.

- Słuchaj - zaczęła. - Przepraszam, że spytałam. Właściwie nic mnie to nie obchodzi, więc może zmienimy temat. - Jak sobie życzysz.

Ashley pociągnęła łyk wina i ku własnemu zdumieniu przyjęła papierosa zaproponowanego przez Candice. Paliła tylko wtedy, kiedy była czymś zmartwiona lub zdenerwowana.

- Gdzie on mieszka? - spytała, wypuszczając dym bez zaciągania się. Candice tym razem otwarcie wybuchnęła śmiechem.

- Ashley! Ty jesteś niemożliwa. Mieszka trzy przecznice od ciebie, skoro już chcesz wiedzieć. I na wypadek, gdybyś tego też nie wiedziała, to on znalazł dla ciebie mieszkanie.

- Conrad? Jan nic mi nie mówiła.

- Pewnie zabroniono jej mówić. Widocznie sądzono, że gdybyś się dowiedziała, mogłabyś odmówić.

- Coś podobnego! - parsknęła Ashley z oburzeniem. - Ale dlaczego to zrobił?

Candice pokręciła głową.

- Ashley, Conrad Frazier Się w tobie kocha. Nie mów mi, że o tym nie wiedziałas.

Papieros wypadł Ashley z ust wprost na kolana. Podskoczyła, wywracając kieliszek z winem.

- Jesteś szalona! - stwierdziła, gdy doprowadziła się do porządku. Candice świetnie się bawiła sytuacją.
- Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie wiedziałaś?
- Oczywiście, że nie - zapewniła Ashley.- Przecież to nieprawda. - Nie będę się z tobą spierać. Ale możesz mi wierzyć: ma fioła na twoim punkcie. Na pewno tam ci o tym powie w najbliższym czasie. Choć muszę przyznać, że to niepodobne do Conrada, żeby zwlekać aż tak długo.
- Nie chcę już o nim rozmawiać - ucięła Ashley. - To absurd. To wszystko kompletna bzdura. Nie chcę być niegrzeczna, Candice, ale albo coś ci się pomyliło, albo straciłaś rozum.

Candice przyjęła uwagę wzruszeniem ramion.

- Niech ci będzie. Ale pamiętaj, że ja dobrze znam Conrada i sama się przekonasz, czy nie miałam racji. - Spojrzała na zegar. -Chodźmy, już czas.

Schodząc za nią po schodach na widownię, Ashley czuła, że kręci jej się w głowie. Jak ma się teraz skupić na filmie?

Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczała. Ucieszyła się, widząc na ekranie swój ukochany Londyn, chociaż sceny *Mony Lisy* rozgrywały się głównie w jego mniej atrakcyjnej części. Szybko dała się wciągnąć w akcję filmu i jeśli nawet Conrad Frazier próbował się wkładać w jej myśli podczas tych dwóch godzin, przepędzała go stamtąd natychmiast. Cała ta sprawa była niewiarygodna.

Po filmie Candice zaproponowała, by poszły coś zjeść. Ashley nie była wprawdzie głodna, ale zgodziła się dotrzymać jej towarzystwa. Szybko uporały się z posiłkiem, bo Ashley chciała jak najprędzej znaleźć się z powrotem w biurze. Ponadto miała jeszcze sporo do zrobienia w domu przed jutrzejszym przyjazdem rodziców.

Nie wyspała się tej nocy. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała nad sobą twarz Conrada Fraziera, a w uszach brzmiały jej słowa pana Hałwortha i Candice.

Rozdział 29

Co to ma znaczyć? - Vicky śmiała się, stojąc w drzwiach. - Ucinamy sobie popołudniową drzemkę, co?

- Boh mnie głowa. - Jenneen uśmiechnęła się trochę nerwowo i przeciągnęła palcami po zmierzwionych włosach.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

Jenneen obejrzała się za siebie, zanim szerzej otworzyła drzwi.

- Ależ tak, proszę.

Vicky rzuciła jej dziwne spojrzenie.

- Przyniosłam pare; rzeczy, które mogą się jutro przydać. Jenneen zajrzała do sypialni i ruszyła za gościem do salonu. - Jutro?

- Jutro. Nie mów mi, że zapomniałaś. Jenneen potrząsnęła głową.

- Przepraszam. Nie, jasne, że nie zapomniałam. Pilotażowy odcinek. - Zamknęła za sobą drzwi.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła Vicky. - To pewnie z nerwów. Masz coś do zmywania makijażu? Lepiej nie przymierzaj tego, zanim się umyjesz.

Jenneen przyłożyła dłonie do policzków. Pamiętała o zdjęciu peruki przed otwarciem drzwi, lecz zapomniała o makijażu.

- Chwileczkę. Zaraz się doprowadzę do porządku. Poczekaj tu.

- Pamiętałam, co mówiłaś - zawołała za nią Vicky, siadając przy stole. - Nic niebieskiego, nic białego, żadnych pasków, żadnych kratek.

Jenneen się nie odezwała, więc Vicky wzruszyła tylko ramionami, przekonana, że nie została usłyszana.

Zaczęła rozpakowywać sukienki. Jenneen wspominała coś o efekcie migotania w kamerze, użyła jakiegoś dziwnego słowa... Dotyczyło to pewnych kolorów i deseni. Vicky przyniosła sporo ubrań, które wydały jej się odpowiednie. Jej samej najbardziej podobała się kremowa szmizjerka i ten zielony kostium od Calvina Kleina, ale nie była pewna, czy przypadną do gustu także Jenneen. Starannie rozłożyła przyniesione rzeczy na stole.

Skończyła właśnie, kiedy Jenneen wróciła do pokoju. Vicky z przyjemnością zauważyła, że wygląda teraz znacznie lepiej; w ciężkim makijażu nie było jej do twarzy. Doszła do wniosku, że pewnie wszyscy pacykują się tak przed kamerę. Tyle że Jenneen nie była przecież dzisiaj w pracy. Może chciała coś wypróbować...

Jenneen przymierała po kolei wszystko, co przyniosła Vicky, ale uparła się, by Vicky zostawała w salonie, kiedy ona wychodziła przejrzeć się w lustrze. Zachowywała się dziwnie, lecz kiedy Vicky spytała, czy wszystko jest w porządku, wykręciła się odpowiedzią, że ból głowy jeszcze nie całkiem jej minął.

Wreszcie, zdecydowawszy, się na wystąpienie w kremowej sukience, Jenneen poprosiła Vicky, żeby zostawiła ją samą.

- Chyba wrócę jeszcze na chwilę do łóżka - powiedziała. - Tylko to mi pomaga na ból głowy

- To dobry pomysł, Mogę przed wyjściem skorzystać z łazienki?

- Oczywiście - zgodziła się Jenneen, ale Vicky czuła, że jest niezadowolona. Znalazłszy się w łazience, Vicky odkryła przyczynę jej niechęci.

Jenneen musiała zapomnieć, że zostawiła perukę na półce koło wanny, a Vicky od razu ją zauważyła.

Wzdychając ze smutkiem, wzięła do ręki ciemne, poskręcane włosy. Od tamtej nocy, spędzonej w mieszkaniu Vicky, Jenneen nigdy nie wspominała o pani Green i Vicky miała nadzieję, że przyjaciółka nie czuje już potrzeby zaspokajania żądań swego drugiego wcielenia. Jednak ta peruka i gruby makijaż Jenneen upewniły ją, że się myliła. Jenneen najwyraźniej nadal potrzebowała pomocy.

Odłożyła perukę na miejsce i wróciła do salonu. Jenneen siedziała owinięta szlafrokiem; nie podniosła głowy na jej wejście.

- Jenn - odezwała się cicho Vicky.

- Hmm?

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

- Oczywiście. - Jenneen zmusiła się do uśmiechu; Masz, zapakowałam, wszystko z powrotem w folię. Może wypiszę ci czek na tę jedną, którą wzięłam?

Vicky pokiwała głową. Widziała, że nie ma sensu drażyć tematu, więc postanowiła zrezygnować.

Przynajmniej na razie. Odczekała, aż Jenneen wypisze czek, wzięła go od niej, cmoknęła ją lekko w policzek i wyszła.

Jenneen stała przez parę minut oparta plecami o drzwi, trzęsąc się na myśl, jak łatwo mogło dojść do katastrofy. Zapomniała, że Vicky ma przyjść tego popołudnia. Jednak pani Green nie interesowały codzienne sprawy Jenneen Grey. Kiedy pani Green domagała się uwagi, Jenneen Grey przestawała istnieć.

Jenneen spojrzała w stronę drzwi sypialni i poczuła, jak wzbiera

w niej furia. Przeszła przez hol i szarpnęła za kłamekę. Skrzywiła się z obrzydzeniem, widząc go siedzącego na swoim łóżku. Co za diabeł w nią wstąpił, że go tu przyprowadziła? Mężczyzna siedzący na łóżku uśmiechnął się do niej. - Masz popielniczkę, złotko? - spytał, wydmuchując w powietrze kłęb dymu.

- Wynoś się z tego łóżka!

Spojrzał na nią zdziwiony, ale się nie poruszył.

- Nie słyszysz? Kazałam ci wynosić się z tego łóżka! Natychmiast!

- Och, daj spokój, złotko - zaprotestował. - Jest całkiem wcześnie.

- Nie obchodzi mnie; która jest godzina, po prostu się wynoś! - podbiegła do łóżka i szarpnęła nakryciem.

Odwróciła się tyłem, widząc jego nagość, zebrała z krzesła ubranie i rzuciła mu je nie oglądając się.

- O co chodzi? - mruczał, wciągając spodnie. - Przecież się tu nie wpraszałem.

- Ani słowa więcej. Wynoś się jak najszybciej. - Wyszła z sypialni. Po paru minutach pojawił się w drzwiach salonu. Jenneen zaniknęła

oczy, nie chcąc nawet na niego patrzeć. Jak mogła zrobić coś takiego?

- No to idę - odezwał się niepewnie. Nie odpowiedziała. Nawet nie знаła jego imienia.

- Miło było cię poznać - powiedział uprzejmie i wyszedł. Jenneen zaczęła bić pięściami w poduszki kanapy.

Dlaczego?

Dlaczego? Dlaczego to robiła? On był okropny. Śmierdział piwem i tytoniem, i prawie cały czas mu się odbijało. W dodatku jeszcze przyprowadziła go tutaj. Chyba traciła zmysły. Co by było, gdyby Vicky otworzyła drzwi do sypialni? Co by powiedziała, widząc tę kreaturę leżącą jakby nigdy nic w jej łóżku?

Jenneen zadrżała na samą myśl o tym.

Wcześniej, nie zastanawiając się nawet nad tym, co robi, nałożyła makijaż i wyszła z domu. Nie planowała przebrania ani założenia peruki, to stało się jakoś mimochodem. Znalazła się w samochodzie, pojechała do Reading, zaparicowała tam i złapała okazję z powrotem do Londynu,

Kierowca ciężarówki był przyjaźnie nastawiony, rozmowny i wyraźnie zadowolony z towarzystwa. Spojrzał na Jenneen ze zdziwieniem, kiedy zaproponowała, że zapłaci mu za podwiezienie, i pokręcił głową.

- Nie, nie trzeba - odmówił. - Miło się z parną podróżowało. Zrobiło jej się niedobrze na wspomnienie jego miny, kiedy

odpowiednimi gestami: wyjaśniła, jaki rodzaj zapłaty ma na myśli. Nawet wówczas się sprzeciwił.

- Nie, nie trzeba.

Ale ona była uparta. Cholernie uparta.

Zaczęła miotać się nerwowo po pokoju. Pani Green i Matthew Bordsleigh. Do końca życia nie uwolni się od żadnego z nich. Oboje zgodnie ściskali ją za gardło i żadne nie miało ochoty puścić. Zastanawiała się, jak długo to jeszcze może trwać, zanim ktoś ją nakryje. Zresztą, jakie to mogło mieć znaczenie? Jest złą, tanią dziwką i na nic więcej nie zasługuje. Po co brać kąpiel i próbować zmyć z siebie wspomnienie kierowcy ciężarówki. Prawdopodobnie wkrótce i tak wyjdzie poszukać kogoś innego.

Czasami uświadamiała sobie, jak bardzo ryzykuje zdrowie, ale nawet to jej nie mogło powstrzymać.

Stanęła przed lustrem i przyjrzała się swemu odbiciu.

- Tfu! - splunęła na nie. - Podła! Ohydna! Żałosna! - Odwróciła się ze wstrętem.

Usłyszała samochód zatrzymujący się przed domem. Podeszła do okna, by wyrzec na ulicę. Do pełni szczęścia brakowało jej jeszcze tylko Matthew. Ale to nie był on, lecz sąsiad wracający z zakupów.

Przeszła do sypialni i zaczęła zbierać porzucane kosmetyki pani Green. Wyciągnęła spod łóżka torbę i cisnęła je do środka. Rozejrzała się za peruką. Nie mogła jej nigdzie znaleźć. Ściągnęła pościel z łóżka, sądząc, że musiała się w niej zawieruszyć, ale tam jej nie było.

I wtedy sobie przypomniała. Serce jej zamarło. Kiedy Vicky zapukała do drzwi, Jenneen wyskoczyła z łóżka i wbiegła do łazienki, gdzie zdarła z głowy perukę. Rzuciła ją byle gdzie i poszła

otworzyć. Vicky wchodziła później do łazienki. Pewnie ją widziała. I z całą pewnością domyśliła się, co zaszło.

Jenneen z zamkniętymi oczami przysiadła na skraju łóżka. To jasne, że Vicky zgadła. Czyż nie próbowała jej czegoś powiedzieć, wychodząc? Może nawet widziała tego obrzydliwego typu, leżącego z zapalonym skretem na jej łóżku.

Mimo panującego w mieszkaniu ciepła, Jenneen zaczęła drżeć. To, że Vicky wiedziała o pani Green, to jedno, ale widok ofiary, to zupełnie co innego. Co ona sobie musiała pomyśleć? Teraz wszystko się zmieni. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby się przyjaźnić z kimś takim jak Jenneen Grey? Przepelniona nienawiścią do samej siebie rzuciła się na łóżko i zaczęła krzyczeć poprzez łzy wściekłości i żalu. Nie chciała więcej widzieć Vicky. Nienawidziła jej także za to, że wie.

Nick! - zawołała Kate do słuchawki. - Nareszcie! Wydzwaniam do ciebie przez cały dzień.

- Miałem spotkanie z Adrianem. Dopiero co wróciłem.

- Z Adrianem?

- Z Adrianem Cowleyem, producentem *Królowej Komwalii*.

- Ach tak, oczywiście. Jak poszło?

- Całkiem nieźle. Wygląda na to, że za dwa tygodnie możemy jechać do Nowego Jorku. Znaleźli jakichś amerykańskich sponsorów i Adrian chce, żebym tam z nim pojechał. Pewnie dlatego, że Bob nie może się wybrać osobiście.

- Na jak długo byś wyjechał?

- Przypuszczam, że na tydzień. Najwyżej dwa.

- O... - westchnęła Kate. - To długo.

- Czy to znaczy, że będziesz za mną tęsknić?

- Nie wyłudжай ode mnie komplementów - wykręciła się. - Właściwie dzwonię w sprawie jutrzejszego dnia.

- Tak? Co z jutrem?

Wiesz, że mieliśmy jechać do Cliveden House,

- Yhm.
- Obawiam się, że to memożliwe.
- Dlaczego?
- Przez tatusia - wyjaśniła. - Denerwuje się, bo nie byłam w domu od kilku tygodni, więc czuję się w obowiązku pojechać do niego jutro.
- Rozumiem. A co z dzisiejszym wieczorem?
- Przygotuję ci coś pysznego. Sardynki na grzankach.
- Sardynki na grzankach! Nienawidzę sardynek.
- Żartowałam - uspokoiła go. - Nie bój się, to niespodzianka. Nie powiem ci, co dostaniesz, dopóki się tu nie zjawisz. - Mam przynieść wino? - Mnóstwo.
- Nie chciałbym, żebyś się upiła - powiedział z przesadną troską.
- Nie bądź zrzędą, O której przyjdiesz?
- Może o wpół do ósmej?
- Świetnie. No to do zobaczenia. Nick... -Tak?
- Bardzo jesteś zawiedziony z powodu jutrzejszego dnia?
- Bardzo.
- Naprawdę?
- Owszem. Cieszyłem się na tę wycieczkę.
- Hmm, zastanawiałam się, czy mógłbyś sobie zrobić wolny dzień w piątek. Mogłabym do nich zadzwonić i spytać, czy możemy wtedy przyjechać. Tak, już idę, pani Adams - zawołała, słysząc dobijanie się do drzwi. - Co ty na to? - Muszę sprawdzić w karnecie - zażartował. - Do zobaczenia o wpół do ósmej.

Odłożyli słuchawki.

Nick starał się stłumić w sobie niechęć do uległości, jaką Kate okazywała wobec ojca. Parę razy próbował z nią o tym rozmawiać, ale zbywała go, jakby czepiał się nieistotnych drobiazgów.

Może jednak dałoby się coś z tym zrobić? Ostatnio jego stosunki

z Kate układały się tak dobrze, że chyba warto było spróbować. Wszedł do łazienki w swoim kawalerskim mieszkaniu przy Holland Park i zapalił światło. Napotkawszy wzrokiem swoje odbicie w lustrze, uśmiechnął się z zadowoleniem i mrugnął do siebie. Tak, może wreszcie nadszedł właściwy moment. Pomyślał, co jej powie, i jeszcze raz się uśmiechnął.

Może się pospieszysz - upomniał Bob, odwracając się i chwytając Ellamarie za ramię;

- Nie wiem, czy zauważyłeś - podniosła głos, próbując przekrzyczeć uliczny szum - ale chciałam ci dać coś do zrozumienia.

Bob nie odezwał się ani słowem, tylko szybko ruszył przed siebie.

- No dobrze, wiem, zawsze niezbyt pojmowałeś aluzje - poddała się i posłusznie poszła za nim.

- Ellamarie, przeszliśmy Bond Street tam i z powrotem chyba ze trzy razy, a teraz przyciągnęłaś mnie na Knightsbrigde. Jeśli chcesz pierścionek zaręczynowy, to może mogłabyś chociaż wybrać coś, co nie ma tek horrendalnej ceny?

- A więc jednak zrozumiałeś!

- Skoro zatrzymywaliśmy się przy każdej wystawie sklepu jubilerskiego, to musiałbym być skończonym idiotą, żeby się nie domyślić.

- Więc jak? Dostanę? Spojrzał na nią niepewnie.

- Proszę cię! ; Tamowali ruch na chodniku, więc usunął się, by przepuścić przechodniów. Zdażyła zauważyć cień, jaki pojawił się na jego twarzy. Oczy mu już nie błyszczały, rysy się wyostrzyły. Miał zamiar powiedzieć: nie.

- Nie wydaje ci się, że to trochę przedwcześnie? - spytał, znowu odwracając się do niej. Objął ją ramieniem i prowadził przez zatłoczoną ulicę. - Przecież jeszcze nawet, nie powiedziałem żonie.

- Ale powiesz jej w ten weekend - przypomniała Ellamarie.

Pewnie będzie go trzeba dopasować, więc gdybyśmy zamówili teraz, byłby gotowy akurat na czas; -
Tłum przechodniów nieoczekiwanie zgęstniał i Bob wysunął Ellamarie przed siebie, ułatwiając jej przejście. Omal nie wybuchnął śmiechem, widząc jej sposób chodzenia. Jeszcze nic nie było widać, nawet kiedy była naga, ale już zaczęła nosić ciężowe ubrania i nabrała kołyszącego chodu, Kiedy zrównał się z nią, spojrzała mu prosto w oczy. Miała po dziecinnemu wydęte wargi i wyraz błagania w oczach.

- No dobrze - zmiękł. - Skoro tak ci na tym zależy. Upatrzyłaś sobie już coś?

- Och, Bob! -r Zawisła mu na szyi. - Zareczamy się - wyjaśniła mijającemu ich człowiekowi w meloniku.

Mężczyzna skinął głową ze zrozumieniem i uśmiechnął się do nich. Bob poczuł się bardzo skrepowany.

- Nie tak głośno - upomniał.

- Chcę, żeby cały świat o tym wiedział.

- Poczekaj do przyszłego tygodnia. Jeśli ktoś mnie rozpozna, prasa to roztrąbi, a nie chcę, żeby moja żona dowiadywała się w taki sposób.

- Tak, chyba masz rację - westchnęła Ellamarie. - A co z ludźmi u jubilera? Mogą cię rozpoznać.

- Właśnie. - Bob dopiero teraz o tym pomyślał. - Jeszcze jeden powód, żeby odłożyć zakupy do przyszłego tygodnia. Co ty na to?

Nie sprawiała wrażenia zachwyconej tą perspektywą.

- Tak będzie naprawdę rozsądniej - namawiał.

- Obiecujesz? W przyszłym tygodniu?

- Obiecuję. Mówiłaś, że chcesz wstąpić do Harrodsa, zanim pójdziemy do domu.

Przytaknęła i wzięła go za rękę. Czasami jest szczęśliwa jak dziecko, gdy może postawić ha swoim, pomyślał Bob. Ałe kochał ją, na dobre i na złe, i naprawdę kochał ją w tych złych chwilach dokładnie tak samo, jak w tych dąbrych.

Nie pozwolił sobie na rozważania, co powie Lindzie. Odkładał to na później. Serce musię tylko ścisnęło na mysli o tym, jaki sprawi jej ból.

Matthew przeszedł wolno przez pokój i poczęstował się whisky. Jenneen obserwowała go stojąc w drzwiach.

- No więc - zaczął, siadając wygodnie na kanapie ze szklaneczką w ręku. - Jak tam pilot programu? - Zmrużył oczy w uśmiechu. Skąd o tym tyle wiesz? - spytała zaskoczona.

- O, zdziwiłabyś się, ile ja wiem. Dzisiaj, tak?

Patrzyła na niego chłodno. Nie potrzebowała dużo czasu, żeby się domyślić.

- Nie wiedziałam, że znasz Stephena Sommersa - stwierdziła. - Ale przecież światek narkomanów i alkoholików jest mały, prawda? Odpowiedział krzywym uśmiechem.

- Nie napijesz się? - Machnął szklanką w stronę barku. - Jak to od niego wyciągnąłeś?

Wzruszył ramionami, pociągając spory łyk szkockiej.

- Chyba mi nie powiesz, że zapłaciłeś mu za informację?

- Może i zapłaciłem.

- Pieniędzmi wyłudzonymi ode mnie? - Uśmiechnęła się gorzko na myśl o paradoksie sytuacji.

- Więc - ciągnął, ignorując jej uwagę. - To było dzisiaj?

- Po co pytasz, skoro znasz odpowiedź?

- I... ?

- I co?

- I jak poszło?

- W porządku.

- W porządku? Tylko tyle?

- Nie mam ochoty z tobą o tym rozmawiać, Matthew. To nie twój pieprzony interes, więc powiedz, czego chcesz, i idź stąd.

- Nie mój interes? - Rozwalił się na poduszkach, opierając nogi na stoliku.

- Nie. Więc odczep się od tego. Ile chcesz? Czy może raczej powinnam zapytać, ile chce Stephen?

Jednym haustem wychylił resztę zawartości szklanki.

- Nic. - Patrzył z uśmiechem, jak zaskoczenie na jej twarzy ustępuje miejsca podejrzeniu.

- Więc po co tu właściwie jesteś?
- Właśnie zamierzam ci to powiedzieć - odparł. - Może przyjdiesz tu i usiądziesz?
- Wygodniej mi tu, gdzie jestem - powiedziała, opierając się o framugę. - I przestań zgrywać się na gospodarza w moim mieszkaniu. - Jenneen - warknął. - Na wypadek gdybyś zapomniała, to przypominam, że mogę robić w twoim mieszkaniu wszystko, co mi się żywnie podoba.
- Daruj sobie. - Steyżowała ręce na piersi. - Czego chcesz? Wstał z miejsca. Odczekała, aż napełni sobie szklanekę. - Chcę wziąć udział w twoim programie - powiedział lekkim tonem, odwracając się do niej.
- Co?! - omal się nie zakrztusiła.
- Chcę pracować w twoim programie.
- Zwariowałaś do reszty. Rysy mu stężały.
- To program publicystyczny, Matthew, nie przedstawienie. Nie ma tam nic dla ciebie.
- Szukasz reportera, prawda?
- Reportera, owszem. Ale nie aktora.
- Zajmującego się filmami kręconymi aktualnie w Anglii? Przyjrzała się jego twarzy, brzydkiej i nalanej, i zaczęła rozumieć, do czego on zmierza.
- Mógłbym sobie w ten sposób znaleźć parę dobrych ról - rzekł, potwierdzając jej obawy. Wrócił z drinkiem na kanapę. - Szukamy kogoś, kto się zna na tej robocie - wyjaśniła.
- Jestem aktorem, myślisz, że się nie znam na kręceniu filmów?
- Tak, jako aktor. Ale nie jesteś dziennikarzem. Jak możesz pisać scenariusze albo robić reportaże? Och, na litość boską, po co ja w ogóle z tobą o tym rozmawiam. To przecież śmieszne.
- Mogę to robić.
- Nie możesz!
- Owszem, mogę - powtórzył głośniejszym głosem. - Co więcej, ty dopilnujesz, żebym dostał tę posadę.

- Nawet się nie łudź - ucięła. - Nie nadajesz się do tego, nie masz o tej pracy pojęcia i nie będziesz tego robił. Więc lepiej od razu wybij to sobie z głowy.

- Jenneen. - Założył nogę na nogę. - Chcę dostać tę posadę. Jeśli jej nie dostanę i nie zacznę pracować razem z tobą, to i ty nie zaczniesz.

Czuła, że mięśnie twarzy zastygają jej w nieruchomą maskę.

- Nie możesz mi tego zrobić, Matthew. Nie możesz. Pracowałam na to bardzo ciężko, zawsze o tym marzyłam. Zostaw mnie wreszcie w spokoju. Daję ci przecież pieniądze, czy to ci nie wystarczy?

- Nie. Doszedłem do wniosku, że chcę więcej.

- Ale ja nie mam nic więcej. - Patrzyła na niego, czując, że kłębiąca się w niej nienawiść za chwilę wybuchnie.

- Ty sadystyczny sukinsynu! - wysyczała. - Rujnujesz mi życie i jeszcze cię to bawi!

- Zgadza się - potwierdził. Tym razem w jego głosie brzmiała już wściekłość.

Nagle odezwał się w niej gniew, tłumiony od kilku dni. Straciła panowanie nad sobą.

- Ty pieprzony sukinsynu! - krzyczała. - Wynoś się stąd! I nie pokazuj tu więcej swojej ohydnej gęby. No już, wynocha! Odczep się od mojego życia. Niedobrze mi się robi na twój widok, kiedy tu siedzisz i żłopiesz whisky, jak jakaś cholerna pompa bez dna. Jesteś wrzodem na tyłku, Matthew. Zrób wreszcie światu przysługę: weź butelkę i zapij się na śmierć!

Poderwał się błyskawicznie, zrzucając szklanę na podłogę.

- Nie odzywaj się do mnie w teft sposób, suko! - ryknął. - Nie pozwolę na to takiej małej dziwce jak ty. -

Chwycił ją za włosy i szarpnął odwracając do siebie.

- Puść mnie!

- Stul pysk! - wrzasnął i uderzył ją mocno w twarz.

Rzuciła się na niego z pięściami, ale niewiele mogła zdziałać przy tak wielkiej różnicy sił.

— Przestań! Przestań! - krzyczała, lecz on ciągnął ją za włosy przez pokój, by na koniec rzucić nią o ścianę.

- Dopilnuj, żebym miał tę robotę. Mam dostać odpowiedź następnym razem, jak tu będę. I lepiej dla ciebie, żeby to była odpowiedź pozytywna.

- To nie zależy ode mnie. Ja nie mam takiej władzy. - Ledwo wydobywała z siebie głos, tak mocno ścisnął jej szczękę.

- Chyba mnie nie słuchałaś - rzekł wolno, podnosząc pięść do kolejnego ciosu. - Jeśli ja nie będę robił tego programu, to ty też nie będziesz. Rozumiesz? Więc teraz wszystko zależy od ciebie.

Spojrzała najpierw na jego uniesioną rękę, potem na twarz. Patrzył na nią z góry. Włosy opadały mu na nabiegłe krwią oczy, z kącików ust sączyła się ślina: Odsunęła głowę najdalej jak mogła i splunęła mu w twarz.

Cios, który potem nastąpił, był tak mocny, że upadła na podłogę. Widziała, że stoi nad nią, a później poczuła ból w boku, następny w innym miejscu i jeszcze innym... Kopał ją z bezlitosną, dziką gwałtownością, jakby chciał zabić. Próbowwała uciec, ale złapał ją i jednym pchnięciem znowu powalił na podłogę. Cały czas miotał wyzwiska, którymi wcześniej sama siebie obrzucała, wykrzykując brutalną prawdę o swoim życiu.

Wreszcie udało jej się wpełznąć pod stół, gdzie nie mógł jej dosięgnąć. Skulona w kłębek czekała, co on zrobi. Słyszała jego ciężki oddech, miała przed oczyma jego nogi. Postać chwilę w miejscu, a potem ruszył do podręcznego barku. Czowała w ustach smak krwi, trzęsła się cała i mocno obejmowała rękami obolałe ciało.

Odwrócił się nagle i zrobił krok w stronę stołu. Wstrzymała oddech.

- Wyłaż stamtąd, suko! Zastygła w bezruchu.

- Powiedziałem, wyłaż! - wrzasnął. Zawartość barku roztrzaskała się o podłogę.

Nadal się nie poruszyła.

Podniósł krzesło i rzucił nim o ścianę. Potem przyklęknął i zajrzał pod stół. Cofnęła się, zaciskając powieki z bólu, ale wyciągnął rękę i zdołał ją chwycić .

- Mam cię - sapnął, wyciągając ją z kryjówki. - Cierp, suko. Cierp!

- Przestań, Matthew. Proszę cię - błagała. - Już dosyć.
- Powiedziałem, że masz cierpieć - wrzeszczał, tłukąc jej głową o podłogę.
- Przestań! Przestań! - wyła. Odepchnął ją i podniósł się.
- Wstawaj!

Patrzyła na niego z dołu oczyma rozszerzonymi strachem.

- Wstawaj! - wrzasnął jeszcze raz.

Nie zdejmując z niego przerażonego wzroku, chwyciła krawędź stołu i zaczęła się wolno podciągać do pozycji stojącej. Cały czas pochlipywała cicho z bólu i strachu. W końcu zdołała się podciągnąć na tyle, że opadła na krzesło, tracąc oddech od kłującego bólu pod żebrami.

- Błagam - szepnęła, kiedy zaczął się do niej zbliżać. - Proszę cię, nie bij mnie więcej.

Stał nad nią już bardzo pijany. Nagle chwycił ją za gardło i nachylił się do jej twarzy.

- Praca - powiedział chrapliwie. Pokiwała głową.

Puścił ją i wychylił potężny łyk alkoholu z butelki, którą trzymał w ręce. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Usłyszała własny głos, odbijający się echem w jej głowie.

- Dlaczego, Matthew? Dlaczego?

Postawił butelkę na stole z takim hukiem, że aż się wzdrygnęła, i znowu niemal dotknął twarzą jej twarzy.

- Dlaczego? - wysyczał, pryskając na nią śliną. - Dlaczego? Powiem ci, dlaczego. Bo byłem na tyle głupi, żeby się w tobie zakochać, dlatego! A ty mnie wystawiłaś do wiatru. Ty! Ty dziwko! Ty kurwo! Kochałem cię i nie wyszło mi to na dobre, Jenneen. I teraz zapłacisz mi za to wszystko. A jeśli nie załatwisz tego, ty kurwo, to będzie po tobie! Słyszysz mnie? Będiesz pieprzonym trupem!

Patrzyła w tę zniechęconą twarz. On oszalał. Dotąd nie wierzyła w groźby, że ją zabije, ale teraz nie miała wątpliwości, że jest zdolny do wszystkiego

Puścił ją i ruszył do drzwi, zabierając ze sobą prawie pustą butelkę.

- Wróć - powiedział na odchodnym. - i to szybko. Wiesz czego chcę, i wiesz, co zrobię, jeśli mi tego nie załatwisz. Pomyśl o tym. -Odwrócił się, i wyszedł z pokoju.

Poczekala, aż opuści mieszkanie, i spróbowała się podnieść. Ból był jednak tak silny, że z jękiem opadła na kolana.

Parkując samochód przed domem Jenneen, Vicky dostrzegła Matthew wychodzącego chwiejnym krokiem z budynku. Z jego miny domyśliła się, że tam na górze miała miejsce kolejna nieprzyjemna scena. Zaczekała, aż odejdzie na pewną odległość, i pośpiesznie weszła do środka.

Drzwi były otwarte. Weszła do mieszkania i zawołała głośno. Nie było odpowiedzi, więc zamknęła za sobą drzwi wejściowe i ruszyła na poszukiwanie Jenneen. Najpierw uderzył ją bałagan panujący w pokoju, a dopiero potem zobaczyła Jenneen leżącą na podłodze. Jej drobnym ciałem wstrząsało łkanie. Całą twarz miała we krwi. Vicky upuściła torebkę i podbiegła do niej.

- Och, Vicky, Vicky! - płakała rozpaczliwie Jenneen. - On mnie bił i kopał, i chce, żebym mu pomogła, i ja muszę mu pomóc. Jeżeli mu nie pomogę, to mnie zabije. Tak mówi i wiem, że to robi, O Boże, co mam zrobić, żeby gb powstrzymać?

- Już dobrze - uspokajała ją Vicky, starając się panować nad głosem. - Już dobrze. Chodź, spróbuję cię przenieść na kanapę.

Ułożyła Jenneen na wznak na poduszkach i poszła do łazienki po ciepłą wodę i watę. Kiedy wróciła, Jenneen usiłowała wstać. Vicky pchnęła ją łagodnie z powrotem na poduszki i zaczęła jej obmywać twarz.

- Nie ruszaj się - poprosiła. - Postaraj się nie ruszać.

- Powiedział, że mnie zabije - krzyczała Jenneen, zbliżając się do granicy hysterii i znowu usiłując się podnieść.

- Cicho mówiła miękko Vicky - Cicho. Połóż się. Jenneen chwyciła jej dłoń i przyłożyła sobie do twarzy.

- On chce mojego programu. Powiedział, że mam mu go oddać. On chce mi zabrac mój program. Co mam zrobić?

- Cicho - powtarzała spokojnie Vicky. - Cicho.

Jenneen położyła głowę na poduszce i pozwoliła sobie umyć twarz. Ręce Vicky były delikatne i ostrożne i Jenneen stopniowo przestawała się trząść.

- Chcę do mamy - chlipnęła żałośnie.

- Wiem - uśmiechnęła się do niej Vicky. - Wiem. Potrzebujesz odpoczynku, skarbie. Koniecznie musisz odpocząć.

- Tak, chcę spać. Chcę odejść. Pomóż mi się od niego uwolnić.

- Pomogę - Obiecała Vicky.

- Możesz zadzwonić do mojej matki, żeby tu przyjechała i mnie zabrała? Proszę cię, zrób to!

- Oczywiście, że zrobię. Gdzie jest jej numer?

- Nie ma jej teraz pod telefonem. - Jenneen znowu się rozplakała.

- Moje biedactwo kochane - westchnęła Vicky.

Jenneen przytuliła się do niej i szlochała z twarzą ukrytą na jej ramieniu.

- Co ja teraz zrobię? - rozpaczała. - Powiedz mi, co ja mam teraz zrobić?

- Wyjedziesz stąd gdzieś, gdzie nikt cię już nie skrzywdzi, gdzie będą się tobą opiekować i pomogą ci.

W oczach Jenneen odmalowało się przerażenie.

-Chcesz mnie odesłać do jakiegoś zakładu? Nie pojedę! Nie wysyłaj mnie! Proszę cię, nie wysyłaj mnie nigdzie. Nie jestem wariatką! To przejdzie. Nie zniósłabym tego. - Jej twarz znowu wykrzywiła się z bólu.

Vicky uścisnęła ją mocno.

- Nie mów głupstw - uspokajała. - Nikt cię nie wyśle do zakładu. Powiedz mi, jakie masz zobowiązania na ten tydzień i jakoś wszystko pozalutujemy.

Jenneen odsunęła się i spojrzała jej głęboko w oczy. Vicky uśmiechnęła się do niej; nie widziała jeszcze, żeby dorosła kobieta aż tak przypominała dziecko.

- Muszę dopilnować wydania, ale od piątku będę wpina, przez cały weekend. Może gdzieś wyjedziemy. Pojedziesz, zę mną?

- Oczywiście, że pojedę. Może wybierzemy się na weekend do domu moich rodziców, do Wiltshire? Będziemy mogły chodzić na długie spaceru i rozmawiać, jeśli będziesz miała ochotę. Przede wszystkim wyjedziemy z Londynu. Chcesz tego, prawda?

- Tak, chcę się wynieść z Londynu.

- W takim razie wiesz, co zrobimy? Zadzwoń jutro do rodziców i powiem, że przyjeżdżamy. A teraz marsz do łóżka. Spróbuj się trochę przespać, - zarządziła stanowczo Vicky. - Nie bój się - dodała, widząc wyraz twarzy Jenneen. - Zostanę z tobą. Nie opuszczę cię. Będę spała na sofie. Gdybyś czegoś potrzebowała, to po prostu zawołaj. Dobrze?

Jenneen uśmiechnęła się przez łzy i pokiwała głową.

- Jesteś niesamowita, wiesz?

- Niesamowita?

- Tak. Już drugi raz zjawiasz się w momencie, kiedy wcale się ciebie nie spodziewam, a jesteś mi najbardziej potrzebna.

Vicky spojrzała na nią z czułym uśmiechem.

- Chyba właśnie tak powinno być między przyjaciółkami?

- Tak. Chyba właśnie tak.

Rozdział 30

Ashley wyszła ze swojego biura z projektami nowych rozwiązań reklamowych dla Mercera Burgessa i skierowała się do działu artystycznego. Podobnie jak reszta zespołu od paru dni pracowała do późnej nocy, łapiąc, kiedy się dało, po parę godzin snu. Właściwie powinna była padać z nóg, jednakże sprawy miały się całkiem nieźle, nawet lepiej, niż się spodziewała, nic więc dziwnego, że była ożywiona i pełna energii. Kiedy Arthur Fellowman zadzwonił do niej, tak jak obiecywał, okazał znacznie większą przychylność dla jej pomysłów niż po zakończeniu pierwszego spotkania. Czuła, że zespół jej stronie i zrobi wszystko, żeby poprzeć

jej projekt przed radą nadzorczą. Gdyby jej się udało choć trochę obniżyć koszty, wówczas naprawdę miałyby szansę.

Była już przy końcu korytarza, gdy przypomniała sobie, że przed wyjściem miała pomówić z Jan. Zawróciła. Kiedy weszła do biura, Jan odkładała właśnie słuchawkę.

- O, wróciłaś - powitała ją - Akurat... Ashley nie słuchając od razu przeszła do rzeczy:

- Muszę jeszcze dziś rano porozmawiać z Arthurem Fellowmanem. Zadzwoń do jego sekretarki i spytaj, gdzie mogę go złapać. Bądź tak dobra i skopiuj te wszystkie papiery z niebieskiej teczki, którą zostawiłam na biurku. W dwóch egzemplarzach. Zadzwoń do Waltera i dowiedz się, czy zrobił poprawki, o które prosiłam. A potem zadzwoń do tych od mediów i poproś, żeby nam przysłali ostatnie dane z telewizji, o które prosiliśmy wczoraj. Jeśli trzeba, to zejdź na dół i sama je odbierz. Ach tak, czekam także na listę obsady od Gemmy, to bardzo ważne. Potem zadzwoń do Candice i umów spotkanie z Conradem. Oko mu zbieleje, jak zobaczy, co mamy -zakończyła, obdarzając Jan promiennym uśmiechem.

- Bill właśnie... - zaczęła Jan, lecz Ashley zniknęła za drzwiami.

- Pali się? - spytał Bill Fownest, chwytając ją za ramię, by uniknąć czołowego zderzenia.

- Przepraszam - powiedziała Ashley ze śmiechem. - Po prostu bardzo się śpieszę. Chcę to dostarczyć Conradowi przed lunchem.

- Właśnie chciałem rzucić na to okiem, mogę? - Bill wskazał na projekty.

- Oczywiście - zgodziła się Ashley. - Pana też chętnie olśnie. Bill roześmiał się i wziął z jej rąk teczkę.

- Hmm - mruknął z uznaniem, przeglądając zawartość. - Interesujące. Chętnie zobaczę całość.

- Zobaczy pan, już wkrótce. Jeśli wytrzyma pan do jutra, będzie pan mógł zobaczyć to wszystko przeniesione z papieru na taśmę filmową - powiedziała Ashley, odbierając mu teczkę.

- Pokazywała pani już coś Conradowi?

- Jeszcze nic - odparła z udawaną nonszalancją.

Bill był zaskoczony.

- McJanatakąską, a pani mu nawet o tym nie wspomniała? Bo o ile się zdążytem zorientować, odeszła pani dość daleko od założeń Mercera Burgessa.

Ashley pokryjajmepokój wzruszeniem ramion.

- Doszłam do wniosku, że to jedyna droga.

- Czy Arthur Fellowman o tym wie? -Tak.

-Rozmawiała pani z nim?

- Oczywiście.

- Bez wiedzy Conrada?

- Owszem.

- Chciałbym być w pobliżu, kiedy się o tym dowie. Kontynuowali rozmowę, idąc korytarzem.

- Niełatwo mu dogodzić, prawda? - zapytał. - Mam na myśli Conrada.

- Na ogół niełatwo. Pan wie, że mam zamiar zdobyć to zlecenie, prawda, Bill?

- Wiem.

- A więc trochę jednak pan we mnie wierzy - roześmiała się. -Dzięki.

- Proszę nie dziękować mnie, tylko Conradowi.

- Conradowi? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Trzeba podziękować Conradowi. Dopilnował, żeby pani wygrała.

- Co?! W jaki sposób?

- Po prostu dopilnował.

- Czy to znaczy, że on już o wszystkim wie? - wykrzyknęła, wskazując na teczkę z projektem.

- O ile wiem, to nie,

- No to o czym pan mówi? . Dotarli do windy. Bill nacisnął guzik.

- Chyba się nie mylę zakładając, że istnieje pewien hmm... warunek, związany z tą kampanią? Jeśli chodzi o panią, ma się lozumieć.

Ashley patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Wie pan coś na ten temat? Bill przytaknął.

- Conrad panu powiedział? Jeszcze jedno skinięcie.

- Chyba nadal nic z tego nie rozumiem. Czemu to ma oznaczać, że Conrad dopilnował, abym to ja dostała to zlecenie?

-Bill!

Bill i Ashley obejrżeli się równocześnie i dostrzegli Conrada, idącego w ich stronę z twarzą jak chmura gradowa. Ashley nie widziała go od czasu nieszczęsnego wydarzenia w klubie Twenty-One. Schodziła mu z drogi, by uniknąć spotkania.

- Słucham, Conradzie - odezwał się Bill.

- Potrzebuję dane z ostatniego tygodnia. Chcę je przejrzeć wspólnie z tobą, jeśli znajdziesz trochę czasu.

Bill zdjął rękę z ramienia Ashley.

- Już idę.

Conrad zawrócił na pięcie i odszedł. Ashley zrobiła za jego plecami minę do Billa. Odpowiedział mrugnięciem i ruszył za Conradem.

Ashley niecierpliwie wcisnęła guzik windy, zadowolona, że na razie jej się upiekło. Lecz godzinę później, po powrocie z dzianiny artystycznego, znów zamyśliła się nad słowami Billa. Jednak mimo najszczerzych chęci, nadal nie mogła nic z nich zrozumieć.

Podczas przerwy na lunch Ashley pococzywam nad dobiżę zasłużoną filiżanką kawy. Spojrzała na drzwi, zdziwiona, że ktoś je otwiera bez pukania. Jej zdziwienie jeszcze wzrosło, kiedy ujrzała Conrada.

Podszedł do jej biurka i rzucił na blat pękatą kartonową teczkę.

- Co to ma być, do cholery? ' Ashley sięgnęła po teczkę.

- No więc?

Otworzyła ją i lekko drżącymi rękami zaczęła wyjmować na biurko jej zawartość.

- Pozwól, że coś ci powiem. - Conrad wsparł się na krawędzi biurka. - Jeśli to ma przedstawiać kampanię, którą planujesz dla Mercera Burgessa, to możesz dać sobie spokój z tą sprawą! I to od zaraz! Oszczędziła; sporo pieniędzy, czasu i talentu. Nawet reklamy usług kościelnymi mają zazwyczaj więcej polotu.

Ashley zachnęła się, odsuwając od siebie rozgrzebaną teczkę. Zmierzyła Conrada lodowatym spojrzeniem.

- Nie jesteś już w Londynie - ciągnął Conrad. - Tu jest Nowy Jork. A pomysły reklamowe w Nowym Jorku muszą być dobre, ostre i oryginalne! Te – podkreślił z naciskiem, wskazując na przyniesione papiery - nie są! I jeśli właśnie oś takiego masz do zaoferowania tej agencji, to możesz sobie zarezerwować bilet na następny samolot do Londynu!

Ashley poderwała się z biurka.

- To - powiedziała przez zęby, podnosząc teczkę z biurka i wymachując mu nią przed nosm - nie jest moje! Należy do J.S.&A.

- W takim razie, co do diabła robiło na moim biurku?

- Nie mam bladego pojęcia. Może Jan się pomyliła? Bo mój projekt jest tutaj! - podała mu właściwą teczkę. Przyjął ją, ale na nią nie spojrzał.

- Skąd się wziął u ciebie projekt J.S.&A.?

- U mnie? - spytała podniesionym głosem. - To u ciebie się znalazł. Ja go wcześniej w ogóle nie widziałam.

- Nie życzę sobie tego rodzaju matactw - oświadczył Conrad. - Jeśli zdobędziemy ten kontrakt, to uczciwie.

Nie pozwolę na żadne amatorskie akcje szpiegowskie w mojej agencji. Więc lepiej porozmawiaj z tym kimś, kto dostarczył ten projekt, a potem każ mu go odnieść do J.S. & A. Potem zaś przyślij go do mnie.

- Mówisz tak, jakbym wiedziała, o kogo chodzi. - Ashley znowu się najeżyła. - Znasz swoich ludzi lepiej niż ja, dlaczego sam nie znajdziesz winnego?

- Wydałem ci polecenie i oczekuję, że zostanie wykonane. Jutro rano chcę mieć dokładne sprawozdanie.

Teraz zajmijmy się tym. - Otworzył teczkę z projektem Ashley. - Miejmy nadzieję, że będzie

lepsze od tego, co widziałem przed chwilą - dodał, siadając na krześle po drugiej stronie biurka. Była zaskoczona. Spodziewała się, że zabierze projekt ze sobą, przejrzy go w swoim gabinecie i dopiero potem będzie chciał z nią rozmawiać.

- Może zechcesz mi objaśniać na bieżąco - zaproponował, podnosząc wzrok znad papierów. - Przede wszystkim usiądź.

Usiadła. Nie miała, wcale ochoty omawiać z nim w tej chwili swoich pomysłów, ale nie miała wyboru.

- Więc - zaczęła - jak widzisz, całość jest oparta na ofercie dodatkowych ubezpieczeń dla tych, którzy zdecydują się na wykupienie świadczeń podstawowych.

- Słucham, słucham - rzucił wertując kartki.

- Głównym celem kampanii jest wzbudzenie zainteresowania przeciętnie sytuowanych osób, zwłaszcza młodych. Obecnie Mercer Burgess ma dosyć konserwatywną klientelę, więc zwracając się do młodych, dorabiających się ludzi, rozszerzy swoje wpływy na tym rynku i uatrakcyjni swój *image*. Założenie jest takie, że jeśli na przykład wykupujesz polisę na dom, to Mercer Burgess daje ci zniżkę na ubezpieczenie motoryzacyjne. Jeśli wykupujesz[^]obie, ubezpieczają ci dodatkowo za darmo, na okres roku, artykuły luksusowe na sumę, powiedzmy, trzech tysięcy dolarów, Będzie się to nazywać polisą luksusową i pozwoli osobom niezbyt bogatym mieć poczucie zamożności. Zostanie to przedstawione na filmach reklamowych przez pokazywanie takich sprzętów zaliczanych do tej kategorii, jak aparatura hi-fi, komputery i tym podobne, z zastosowaniem animacji i udziałem gwiazd filmowych. Lista proponowanej obsady jest dołączona do projektu. Na końcu jest analiza możliwości wykonawczych i propozycja wykorzystania bezpośrednich przesyłek pocztowych jako uzupełnienia do kuponów drukowanych w gazetach i czasopiśmie. Teksty mogłyby być lepsze. Walter je jeszcze dopracowuje, ale wydaje mi się, że istota naszej propozycji jest tu zawarta.

Conrad dokończył przeglądanie zawartości teczki, po czym odłożył ją na biurko.

- To wszystko?
- Tak, w zasadzie tak.
- Czyś ty rozum straciła?
- Co?! - Z oburzenia aż jej dech zapało.
- Pytam, czy przypadkiem nie postradałaś zmysłów?
- To jest dobre! - Porwała teczkę z biurka i machała mu nią przed oczami. - i ty o tym wiesz!
- Nie to miałaś zrobić. Myślałem, że wyraziłem się jasno. Chcę zdobyć to zlecenie i wierzyłem, że mi w tym pomożesz. Byłem głupi. Nie możesz planować kampanii kierując się tylko tym, że według ciebie jest dobra, i nie liczyć się z kosztami.
- Wzięłam pod uwagę koszty. Rozmawiałam o nich z Arthurem Fellowmanem. Zna całą sprawę. Conrad patrzył na nią z niedowierzaniem.
- Chcesz powiedzieć, że rozmawiałaś o tym z Arthurem Fellowmanem bez porozumienia ze mną? Co cię do diabła opętało?
- Ta kampania. Ta cholerna kampania. Powiedziałeś, że chcesz dostać to zlecenie. Właściwie mi groziłeś, mówiąc, co się stanie, jeśli go nie dostaniemy, więc zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby je zdobyć.
- W każdym razie zrobiłaś wszystko, żebym wyszedł na dumia, to na pewno...
- Sam robisz z siebie dumia. Wiesz, że ten projekt może wygrać. Doskonale wiesz, że jest dobry. Ale wkurzasz się, bo zwróciłam się do Arthura Fellowmana nie czekając na twoje błogosławieństwo. Czemu mnie nie zapytasz, jakie jest jego zdanie, zamiast tu siedzieć i wydzierać się na mnie?
- Conrad patrzył na nią spode łba. - Więc jakie jest jego zdanie?
- Podobało mu się. Porozmawia z zarządem i spróbuje ich namówić na zwiększenie budżetu.
- Chciałaś powiedzieć: potrojenie.
- Niech ci będzie: potrojenie.
- Czy Fellowman zaproponował ci pracę?
- O co ci chodzi?

- Cóż, z tego, co tu widze postawiłaś na głowie cały dział marketingu Mercera Burgessa.

- Powiedziałaś, że mu się podobało.

Conrad niespodziewanie uśmiechnął się. Zbiło ją to z tropu jeszcze bardziej niż jego wcześniejszy gniew.

- Muszę przyznać, Ashley, że masz ikrę. Chcesz powiedzieć, że naprawdę zaniósłaś mu ten projekt i poprosiłaś o potrojenie budżetu?

- Tak.

- A on się zgodził spróbować. Rozmawiał z Davidem Burgessem?

- Tego nie wiem - przyznała Ashley.

- Z pewnością jeszcze nie, bo już by do mnie zadzwonił. - Conrad ponownie wziął do ręki teczkę i otworzył ją.

- Więc jak, jesteś zadowolony?

- Nie. - Z jego głosu znów przebijała złość. - Nie jestem zadowolony. Powiedziałem ci, że jestem bezpośrednio zainteresowany tą sprawą, a ty to zlekceważyłaś. Na przyszłość, jeśli dostaniemy to zlecenie, będziesz przestrzegała moich wskazówek. Zrozumiano?

- Tak. Ale dalej nie wiem, co właściwie myślisz o samym projekcie,

- Myślę, że gdyby ci pozwolić na takie działanie, wkrótce mogłabyś rozłożyć tę firmę na łopatki.

Ashley opuściła wzrok. Wyglądało na to, że już podjął decyzję. Wygrają czy nie wygrają, ona nie zostanie w agencji Frazier-Nelms. Podniósł się z krzesła, więc i ona wstała.

- Zabieram to ze sobą. A ty dopilnuj, żebyteczka J.S. & A. wróciła tam, gdzie trzeba. I módl się, żeby nie zauważyli, że zginęła. Chociaż pewnie i tak jest za późno. - Odwrócił się do wyjścia i prawie już chwycił za kłamkę, kiedy drzwi się otwały. Weszła Jan... z Alexem.

Ashley opadła na krzesło i zamknęła oczy. Co Conrad na to powie? Był w tak fatalnym nastroju, że pewnie zacznie krzyczeć nie czekając na wyjście Alexa.

- O, pan Frazier - odezwała się Jan, czerwieniąc się po uszy. Rzuciła Ashley przeproszające spojrzenie. - Nie wiedziałam, że pan tu jest, proszę mi wybaczyć.

- Nie szkodzi - odparł i przyjrzał się stojącemu obok niej

wystraszonemu dziecku. Ashley zrobiło się go serdecznie żal. Alexowi rzadko zadzało się kogoś bać, ale gniew Conrada był tak widoczny, że nawet Alex go dostrzegł. Postać nachylającego się wysokiego mężczyzny musiała się wydawać przerażająca komuś tak małemu jak Alex.

I wtedy, ku całkowitemu zaskoczeniu Ashley, Conrad uśmiechnął się i wyciągnął dłoń do chłopca.

- Czołem młody człowieku - zagadnął malca. - Czy myślimy się już kiedyś nie spotkali?

Alex zerknął na matkę, która zdobyła się jedynie na lekkie skiniecie, i patrząc znów na Conrada, niepewnie wysunął rękę.

- Czy ty przypadkiem nie masz na imię Alex? Chłopiec pokiwał głową, ale nadal się nie odzywał.

- Nie wiedziałem, że twoja rodzina jest tutaj. - Conrad zwrócił się do Ashley, a potem znowu skierował wzrok na chłopca. - Na jak długo przyjechałeś, synku?

- Na trzy tygodnie - odpowiedział cichym głosem Alex. Conrad przykucnął przed dzieckiem i uśmiechnął się, patrząc na wystraszoną twarzyczkę.

- Co powiesz na to, żeby się jutro wybrać ze mną na mecz? Gdyby nie to, że sama osłupiała, Ashley z pewnością wybuchnęłaby śmiechem na widok miny swojej sekretarki.

- Na mecz? Jaki mecz? - Oczy Alexa zrobiły się okrągłe z ciekawości.

- Baseballowy - wyjaśnił Conrad. - Zabieram jutro moich siostrzeńców. Są mniej więcej w twoim wieku. Może byś poszedł z nami? Ma się rozumieć, jeśli mama pozwoli - dodał, oglądając się na Ashley.

- Mogę, mamo? - spytał Alex.

Musiała odchrząknąć, żeby wydobyć z siebie głos.

- A chciałbyś? - udało jej się wreszcie wykrztusić.

- Czy bym chciał? - zachłysnął się chłopiec, patrząc na Conrada, jakby ten był co najmniej świętym Mikołajem.

Conrad wyprostował się z uśmiechem.

- Oczywiście, możesz pójść - powiedziała Ashley, dalej nie

bardzo wiedząc, co myśleć. - To znaczy, jeśli pan Frazier naprawdę chce cię zabrać.

- Tak, chcę - oznajmił Conrad z przekonaniem. - Nadaję ci przywilej mówienia mi po imieniu, tak jak to robią moi pozbawieni szacunku dla starszych siostrzeńcy.

- Dzięki. - Alex dosłownie promieniał. - Czy dziadzio także może pójść z nami?

- Pewnie, że może - zapewnił Conrad. Podszedł do drzwi. -No - rzucił do Jan - na co czekasz? Siadaj do telefonu i zarezerwuj dwa dodatkowe bilety. - Zniknął, nim zdążyła coś odpowiedzieć.

Obydwie, Jan i Ashley, wpatrywały się w drzwi bez słowa. Pierwsza doszła do siebie Ashley.

- Zaraz ci mucha wpadnie - odezwała się do Jan, stojącej z ustami otwartymi ze zdumienia.

- Nie wierzę własnym uszom. - Jan odzyskała mowę. - Nie mogę w to uwierzyć.

W sekretariacie zadzwonił telefon, więc Jan wyszła, zabierając ze sobą Alexa.

Ashley zamknęła za nimi drzwi i usiadła przy biurku. Nie wiedziała, co myśleć o tym wszystkim. Przed chwilą Conrad złościł się na nią i krzyczał, a zaraz potem zaprosił jej synka na mecz baseballowy.

- Właśnie dzwonił Bill Fownest - zawiadomiła Jan przez intercom. - Prosił, żebyś przyszła do jego biura.

- Mówił, o co chodzi?

- Wydaje mi się, że Reeds chce wznowić serię powieści z cyklu „Zimowa Miłość”. Posłałam do Julii Petersen po ich akta. Ona się tym ostatnio zajmowała.

- Dziękuję. Zaraz tam będę.

Gdy wróciła do swojego biura po rozmowie z Billem, zastała Alexa ulokowanego na jej krześle za biurkiem i bawiącego się telefonami. Roześmiała się na widok małej figurki, ledwie wystającej zza krawędzi biurka.

Najwyraźniej, próbując dopasować wysokość obrotowego fotela do, swojego wzrostu, jeszcze ją obniżył.

- Babcia zaraz tu będzie, kawalerze - oznajmiła. - Jesteś gotowy? - Pewnie.

Ashley uniosła brwi.

- Zabrzmiało to bardzo po amerykańsku.

- Pewnie - powtórzył niedbałym tonem malec, rozśmieszając ją serdecznie.

- Co ty tu masz? - zainteresowała się na widok sporej torby, którą usiłował dźwignąć.

- Dostałem od Conrada.

- Od Conrada?

- Pewnie, był tu przed chwilą.

- Co to jest?

- To do baseballa - objaśnił Alex, wytrząsając zawartość torby na podłogę. - Czapka, koszulka, kij i piłka.

Wszystko amerykańskie.

- Hmm, wygląda na to, że będziesz musiał sporo podrosnąć, zanim to będzie na ciebie pasować - zauważyła Ashley, rozkładając koszulkę.

- Wcale nie - obruszył się chłopiec. - Conrad mówił, że wszyscy noszą takie duże.

- Ach tak, rozumiem. A to co?

- Fotosy zawodników. Ten jest najślawniejszy, ale zapomniałem, jak się nazywa. Conrad mówił, że jest nie do pobicia. Ashley uśmiechnęła się kwaśno i wzięła od niego zdjęcie.

- Conrad powiedział, że jutro po meczu możemy pójść do parku i nauczy mnie grać.

- Naprawdę? - Ashley nie zdołała ukryć zaskoczenia. Alex potwierdził.

- Powiedział, że jego siostrzeńcy grają bez przerwy i że ja też powinienem się nauczyć, skoro mam mieszkać w Nowym Jorku. Ashley patrzyła na syna z zadumą. Nic nie odpowiedziała. Było jej największym pragnieniem, by Alex tu z nią zamieszkał, ale nie zdobyła się jeszcze na odwagę, żeby powiedzieć o tym rodzicom. - Wygląda na to, że lubisz Conrada.

- On jest świetny! - wykrzyknął Alex. - Może pojechać z nami na Long Island podczas weekendu? Myślę, że chciałby pojechać.

- Nie sądzę - roześmiała się Ashley. - Jestem pewna, że ma inne plany.
- Nie ma - zapewnił chłopiec. - Pytałem go. Mówił, że i tak się tam wybiera i może się z nami spotkać.
- Long Island to bardzo duże miejsce. Nie przypuszczam, żebyśmy się spotkali.
- Ale on powiedział, że tak. Mówił, że ma tam konie i mogę się na jednym przejechać.

Tego zaczynało być już trochę za wiele.

- Powiedz mi, kochanie, co jeszcze Conrad miał do powiedzenia.
- Sporo rzeczy - rozległ się głos Conrada.

Ashley podskoczyła, odwracając się w miejscu, i zobaczyła go. Stał w drzwiach.

- Przepraszam. - Zarumieniła się. - Nie wiedziałam, że przyszedłeś. Jesteś bardzo miły dla Alexa. Nie musiałeś zadawać sobie tyle trudu. Podziękowałeś, Alex?
- Dziękuję - powiedział grzecznie chłopiec i podrzucił piłkę. Ashley, przestraszona, wyrwała mu ją z ręki.
- Nie tutaj - upomniała.

Ze zdumieniem dostrzegła, że Conrad mrugnął porozumiewawczo do Alexa, a potem zwrócił się do niej z surową miną.

- W czwartek wieczorem - zaczął - Warners wydaje doroczny bal i jak zwykle zaprosił niektóre osoby z naszej agencji. Chciałbym, żebyś tam była. Będzie też Bill Fownest z żoną. - Nie uszedł jej uwagi nacisk, jaki Conrad położył na słowie żona. Oblała się rumieńcem. - Zakładam, że jesteś wolna.
- Nie sądzę, żeby cię to naprawdę obchodziło.
- Zgadza się - przyznał i wyszedł.
- No cóż - westchnęła Ashley, obejmując synka. - To dziwny człowiek; Może i lubi ciebie, kochanie, ale z pewnością nie przepada za mną. Zastanawiam się, co trzeba by zrobić, żeby był zadowolony: Uśmiechnęła się do uniesionej twarzyczki dziecka. - Zresztą, to by i tek nie wystarczyło - dodała ze śmiechem. Alex zawtórował jej, mimo że zupełnie nie rozumiał, co matka ma na myśli;

Rozdział 31

W czwartek wieczorem, punktualnie o siódmej trzydzieści, Conrad podjechał pod budynek Montclair na wschodniej Siedemdziesiątej Piątej. Portier zaanonsował go i nacisnął guzik windy, która miała zawieźć Conrada do mieszkania Ashley. Matka Ashley czekała przy drzwiach; zaskoczyła go serdecznym powitaniem. Uznała, że Conrad wygląda niezwykle przystojnie w ciemnym wizytowym garniturze i odprasowanej na sztywno białej koszuli. Dopiero widząc go zrozumiała całe to zamieszanie wokół jego osoby- Alex od czasu środowego meczu prawie o niczym innym

nie mówił, a i jej mąż był mniej powściągliwy niż zazwyczaj w wyrażaniu opinii o nowo poznanym człowieku. Tylko Ashley okazywała chłód i obojętność, kiedy rozmowa schodziła na temat Conrada. Pani Lakeman uśmiechała się wówczas pod nosem, lecz nigdy sobie nie pozwoliła na żaden komentarz.

- Zaprowadzę pana do męża - powiedziała, prowadząc Conrada przez hol. - Ashley niedługo będzie gotowa.

- Dziękuję - uśmiechnął się uprzejmie Conrad.

- O, Conrad - przywitał go pan Lakeman. - Miło pana znowu widzieć. Napije się pan czegoś?

- Witam, panie Lakeman. - Conrad uściśnął podaną dłoń. - Poproszę o szkocką.

- Zechce pan usiąść. - Pani Lakeman szybko usunęła z fotela porzucone tam przez Ashley opakowanie po sukience.

- Dziękuję. - Conrad rozejrzał się po pokoju, z uznaniem oceniając obecne w nim dzieła sztuki. - Nie widzę Alexa - zauważył, kiedy pani Lakeman wzięła od męża kieliszek sherry i usiadła w fotelu naprzeciwko. Pani Lakeman rzuciła mężowi szybkie spojrzenie.

- Poszedł do kina - wyjaśniła.

- Tak? Czyżby zawarł jakieś nowe znajomości?

- Nnie... niezupełnie.

- Dziękuję. - Conrad przyjął drinka z rak pana Lakemana.

- Poszedł do kina ze swoim ojcem - dokończyła pani Lakeman. Conrad uniósł brwi.

- Nie wiedziałem, że mąż Ashley też tu jest.

- Przyjechał dziś rano - włączył się pan Lakeman. - Trochę niespodziewanie...

- Cóż, jestem pewien, że oboje, Alex i Ashley, są zachwyceni. Pani Lakeman wyczuła w jego głosie zdenerwowanie.

- Alex tak - stwierdziła z pewnym wahaniem - ale jeśli chodzi o Ashley, nazwałabym to raczej zaskoczeniem, nie- zachwytem. O właśnie, o wilku mowa...

- Dobry wieczór, Conradzie - powiedziała Ashley stojąc w drzwiach.

Podniósł się z fotela. Zobaczyła w jego oczach wyraźne uznanie. Opląciły się zrobione w ostatniej chwili zakupy na Piątej Alei.

- Wyglądasz ślicznie, kochanie - pochwaliła matka. - Powiedz, mój drogi, czyż ona nie wygląda pięknie? - zwróciła się do męża.

Ashley oblała się rumieńcem;

- O tak, ślicznie - zgodził się pan Lakeman, promieniejąc ojcowską dumą.

Ashley spojrzała szybko na Conrada i natychmiast opuściła wzrok. Uśmiechał się tym swoim krzywym uśmiechem, którego kiedyś tak nie znosiła. Ostatnio przestał jej tak bardzo przeszkadzać. Pewnie się po prostu przyzwyczaiła. - Nie widziałaś gdzieś mojej torebki, mamó?

- Tak, jest tutaj. - Matka podniosła torebkę ze stołu i podała córce.

- Nie powinniśmy już wychodzić?

- Jak najbardziej - ocknął się Conrad.

Zeszli na dół i wsiedli do samochodu. W momencie przekręcenia kluczyka w stacyjce rozległy się ciche dźwięki muzyki z automatycznie włączonego odtwarzacza stereo. Ashley oparła się wygodnie i zaczęła słuchać. Conrad wyprowadził samochód na ulicę i spojrzał na nią, ale siedziała z zamkniętymi oczami i tego nie zauważyła. Uśmiechnął się do siebie i wjechał w Aleję Parkową.

- Rozmawiałem dzisiaj z Davidem Burgessem. Otworzyła oczy.

- Tak? I co miał do powiedzenia?

Conrad zrećnie ominął podwójny rząd taksówek. - Całkiem sporo.

- Podoba mu się?

- Z początku nie byłem pewien, bo chciał ze mnie pasy drzeć za bezczelność.

- Och... - westchnęła Ashley.

- Ale możesz się uspokoić, podoba mu się.

- To cudownie. Czy to znaczy, że dostaliśmy zlecenie? - Jeszcze nie.

Kiedy się dowiemy?

- Dowiesz się całkiem niedługo - obiecał z uśmiechem, najwyraźniej zamierzając na tym zakończyć temat. Miała ochotę zapytać go, czy to oznacza jej pozostanie w agencji Frazier-Nelmes, ale bała się odpowiedzi. Przez dalszą drogę niewiele rozmawiali, a wkrótce wysiedli z samochodu przed hodemem. Conrad polecił kelnerowi odnalezienie ich stolika. Ashley czekała u jego boku, rozglądając się za znajomymi twarzami. Żałowała, że nie ma z nią Kate, która natychmiast potrafiła wyłowić z tłumu sławne osobistości. Conrad obserwował ją przez chwilę, dopóki się nie odwróciła i nie przyłapała jego spojrzenia. Rozbawiło go jej zakłopotanie.

- Wiesz, rzeczywiście - odezwał się tajemniczo. Co rzeczywiście?

- Pięknie dziś wyglądasz - uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc jej minę.

Kelner wrócił i poprowadził ich przez salę do właściwego stolika. Siedzieli tam już Bill Fownest z żoną oraz - co Ashley przyjęła ze zdziwieniem - Ron Fairchild i Cole Wallace, dwaj wicedyrektorzy z agencji Frazier-Nelmes.

Wszyscy trzej panowie wstali, kiedy Conrad i Ashley zbliżyli się do stolika. Ashley przywitała się z nimi serdecznie. Bill przedstawił ją żonie, atrakcyjnej kobiecie przed czterdziestką. Ashley polubiła ją od pierwszego wejrzenia, podobnie jak jej męża.

Później, kiedy uprzątnięto po kolacji, dyrektor zarządu firmy Wamers poprosił swoją żonę do tańca. Inni uczestnicy przyjęcia nie zwlekając poszli w ich ślady i po chwili Ashley także znalazła się na parkiecie z Billem Fownestem.

- Wszyscy ślicznie wyglądają — zauważyła, kiedy raczej torowali sobie drogę w tłoku, niż tańczyli.

- Yhm, właśnie - potwierdził Bill, patrząc na nią wymownie.

- Pana żona jest bardzo miła. Jak długo jesteście małżeństwem?

- Od dwóch lat. A pani?

- Ja? Już nie jestem mężatką.

- Ale nosi pani obrączkę.

- To prawda - przyznała, spoglądając na swoją lewą rękę. - Sama nie wiem, dlaczego. Może powinnam ją przełożyć na drugą rękę.

- Od jak dawna jest pani rozwiedziona?

- Od dwóch lat - odparła.

Trudno było nazwać to tańcem, bo co chwila musieli się zatrzymywać. Bill witał niemal każdego i chciał jej wszystkich przedstawić. Wzbraniała się ze śmiechem, mówiąc, że nigdy nie zdoła zapamiętać tylu nazwisk, i poprosiła, żeby zaprzestał wzajemnych prezentacji chociaż na dwie minuty.

Spełnił jej życzenie i cała uwagę skupił na rozmowie.

- Nie powiedziała mi pani jeszcze, jak Conrad ocenił pani projekt dla Mercem Burgessa.

- Trudno powiedzieć - skrzywiła się. - Chyba mu się podoba, choć nie dałabym za to głowy. Mówił panu coś na ten temat?

Bill przytaknął.

- Mówił? I nie zdradzi mi pan, co powiedział?

- Nie.. - Nie? Tak po prostu?

- Ano nie - zaśmiał się. - Całkiem po prostu.

- Hmm...

- Dowie się pani już wkrótce - obiecał tak samo jak poprzednio Conrad, i musiało jej to wystarczyć. Zbliżyli się do żony Billa, tańczącej z Cole'em Wallace'em, i panie zamieniły się partnerami.

Ashley nie znała bliżej Cole'a, ale sprawiał miłe wrażenie. I dobrze tańczył.

- No więc... - obrócił nią w tańcu - ...jak się pani podoba tu u nas, w Nowym Jorku?

- Podoba mi się bardzo - odparła szczerze. - I gdybym miała szansę tu zostać, to chyba spodobałoby mi się jeszcze bardziej. Uniósł brwi i uśmiechnął się.

- Nie tęskni pani za Londynem?

- Tęsknię okropnie, ale Londyn mi nie ucieknie. Zawsze mogę wrócić, jeśli zechcę.

- Ale na razie pani nie chce?

- Nie, na razie zostaję tutaj. Przede wszystkim, mam tu na oku niezłe zlecenie.

- Sądzi pani, że je dostanie?

- Oczywiście - zapewniła. A pan nie?

- Oczywiście - odparł krótko.

Rozejrzała się po sali. Poprzez tłum dostrzegła Conrada rozmawiającego z jakimiś nie znanymi jej ludźmi.

- To prezes Wamersa - wyjaśnił Cole, podążając za jej wzrokiem. Zderzyli się z jakąś pijaną parą. Cole podtrzymał Ashley, obejmując ją mocniej w pasie. Roześmiała się, przyjmując nieco bełkotliwe przeprosiny.

- Chyba czas na chwilę usiąść i odpocząć - zasugerowała. Cole odprowadził ją do stolika. Conrad nie wracał, więc po chwili

poszła z Billem na parkiet, zła na Conrada, że ich zaniedbuje.

- Zastanawiałam się... - zaczęła. Bill powstrzymał ją uniesieniem ręki.

- Ani słowa więcej na temat Mercem Burgessa.

- Nie, nie chodzi o to. Chociaż i tak w jakiś sposób to od pana wyciągnę. Ale zastanawiam się, dlaczego Ron i Cole przyszli sami.

- Ach, odpowiedź jest prosta. Ci z Wamersa zawsze rezerwują dla naszej agencji sześciuosobowy stolik i Conrad wybiera te sześć osób. Przeważnie zaprasza ludzi odpowiedzialnych za ich zamówienie. W tym przypadku Cole'a, Rona i panią.

- Aha. - W głosie Ashley słychać było nutkę rozczarowania. Więc nie powinnam się czuć wyróżniona?

- Przykro mi, ale to normalna praktyka. - Uśmiechnął się pod nosem.

- A ja się łudziłam, że Conrad chociaż raz chciał mi zrobić przyjemność. - Nie potrafiła ukryć zawodu.

- A nie zrobił? - Bill przyjrzał jej się uważnie. Zdziwiło ją jego pytanie.

- Nie.

- Czy nie przyjechał po panią i nie przywiózł tu pani? Odparła, że tak właśnie było.

- No to może pani uznać, że zrobił dla pani coś miłego. Ostatecznie po Cole'a i Rona nie pojechał.
- Przekonał mnie pan - roześmiała się. Na chwilę utknęli nieruchomo w tłoku.
- Proszę mi powiedzieć - odezwała się, kiedy już znowu byli w stanie się poruszyć - po kogo Conrad pojechał w zeszłym roku? -Pytanie samo jej się wymknęło, zanim zdążyła się powstrzymać. Miała ochotę odgryźć sobie język na widok miny Billa. Odniosła wrażenie, że wszyscy patrzyli na nią w ten sposób, kiedy tylko wspomni o Conradzie. Nawet jej matka.

Przy drzwiach powstało nagle jakieś zamieszanie. Bill zerknął w tamtą stronę ponad ramieniem Ashley. Zobaczyła, że się uśmiecha.

- Jak na zawołanie – rzekł. Proszę się teraz nie odwracać, ale odpowiedź na pani pytanie właśnie weszła na salę.

Ashley spojrzała w tamtą stronę i natychmiast tego pożałowała. Właśnie prowadzono do stolika najpiękniejszą kobietę, jaką w życiu widziała. Nieznajoma szła przez salę z wdziękiem unoszącego się na wodzie łabędzia, uśmiechała się błyszczącymi oczyma, przystając tu i ówdzie, by przywitać znajomych. Niemal wszystkie głowy w tej części sali zwróciły się w jej kierunku. Musiała być tego świadoma, lecz zachowywała się zupełnie naturalnie. Przybyła w asyście trzech mężczyzn. Ashley patrzyła, jak zajmują stolik, niezbyt odległy od ich własnego. Kelnerzy uwijali się przy nowych gościach, podając szampana i kieliszki, a także tace z wymyślnymi zakąskami. Kobieta wybierała przysmaki smukłymi palcami i w szczególnie zmysłowy sposób wkładała do ust.

- To ją Conrad przyprowadził w zeszłym roku? - domyśliła się Ashley.

Bill twierdząco skinął głową.

- Kim ona jest? Jest piękna.

— To Candida Rayne. Znana modelka i zarazem wnuczka Davida Burgessa, tego od naszego drogiego Mercera Burgessa.

- Ach tak - mruknęła Ashley. - Rozumiem.

- Nie sędzę, żeby pani rozumiała.

- Czy on się z nią nadal spotyka?
- Przypuszczam, że od czasu do czasu.
- Na tym polega osobiste zaangażowanie Conrada w kampanię?
- Właśnie. Ashley powróciła wzrokiem do Candidy.
- I pani także — dodał Bill.
- Moje?
- Mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli Conrad czegoś pragnie, wie, jak to zdobyć. Jego metody bywają czasami pokrętne, żeby nie powiedzieć diabelskie, ale rzadko zawodzą. Może usiadziemy, bo w tym tłoku już w ogóle nie sposób się poruszać.

Ashley wracała za nim do stolika, zupełnie oszołomiona sytuacją. Bill nie dał z siebie wyciągnąć ani słowa więcej. Musiała sama uporać się z tą łamigłówką. Nie miała pojęcia, od czego zacząć.

Conrad w dalszym ciągu rozmawiał z prezesem Wamersa. Stał bardzo blisko miejsca, gdzie siedziała Candida.

Ashley spojrzała tęsknie na butelkę z resztą szampana. Tak bardzo chciała dobrze się bawić tego wieczoru, a teraz wszystko jakoś w niej oklapło. Może odrobina szampana poprawiłaby jej zepsuty nastrój.

Żona Billa po tańcu z Ronem także powróciła do stolika, a Cole, który zniknął gdzieś na chwilę, pojawił się z powrotem ze smutną miną, bo jego oszałamiający wdzięk nie podzielał na upatrzoną gwiazdkę filmową. Bill klepnął go w ramię i doradził podjąć następną próbę, kiedy obiekt zalotów trochę więcej wypije.

Ashley widziała, jak Conrad odłącza się od grupy osób skupionych wokół prezesa i idzie porozmawiać z kimś innym. Po paru minutach wrócił do stolika. Był w doskonałym nastroju i Ashley pomyślała, że wreszcie może się przekonać, dlaczego jest tak lubiany przez innych pracowników agencji. Dotąd go takim nie widziała.

Cole przysunął się do niej. Pilnował, żeby miała napełniony kieliszek, a ona nie broniła się przed jego troskliwością. Zatańczyła z nim kilka razy, parę razy także z Ronem, ale Conrad jej nie poprosił.

Trochę później, kiedy Ron był w połowie jednej ze swych rozwlekłych opowieści, Ashley złapała się na tyra, że obserwuje

twarz Conrada i że podoba jej się to, co widzi. Rzecz jasna, nigdy nie negowała tego, że jest nieprzeciętnie przystojny. Ale jego śmiech był dla niej czymś nowym i bardzo jej się spodobał. Jak często się zdarza w przypadku ludzi, którzy rzadko się śmieją, siła jego uśmiechu była większa, niż można by liczyć. W tej chwili jednak się nie uśmiechał i wcale nie słuchał. Z poważnym wyrazem twarzy spoglądał w drugi koniec sali,

Ashley spojrzała także w tamtym kierunku i widząc, na kogo on patrzy, poczuła bolesne ukłucie w okolicy serca. Otoczona przez mężczyzn Candida najwyraźniej doskonale się bawiła. Odrzuciła do tyłu bujną grzywę jasnych włosów i uśmiechała się załomie do swych rozanielonych kompanów. Boże, mężczyźni bywają czasami tacy beznadziejni, ścielą się u stóp byle ślicznotki, jakby była jakąś grecką boginią, i upajają się każdym jej słowem. Że też nie obierają jej jeszcze winogron ze skórki;..

Zerknęła na Conrada i stwierdziła, że nadal nie spuszcza wzroku z Candidy. Ashley odwróciła się do niego bokiem i wzięła Cole'a za rękę. Był zaskoczony, lecz przyjął jej gest z zadowoleniem i drugą ręką zaczął ją głaskać po palcach.

- Dobrze się bawisz?

Przytaknęła, starając się, by towarzyszący sldnięciu uśmiech wypadł przekonywująco.

Pieszczota Cole'a nie sprawiała jej przyjemności, więc przeprosiła i wyszła się odświeżyć do toalety.

Wracając musiała się przedrzeć przez grupkę osób stłoczonych wokół ich stolika. Stała jak wryta. Na opróżnionym przez nią krześle siedziała Candida Rayne. Ashley rozejrzała się spłoszona za jakimś miejscem, gdzie mogłaby się udać, zamiast wracać do własnego stolika. Doznała wrażenia określanego jako *dejdvu*.

Prawie rok temu będąc w Ritzu po powrocie z toalety zastała przy swoim stoliku Juliana z Blanche. A jednak to było coś innego. Uczucia, jakie powodowały ją wówczas, były zupełnie różne od obecnych...

przynajmniej tak sobie usiłowała wmawiać. Co powinna zrobić? Bill przyglądał się jej, więc wypadam podejść jednak do stolika. Wpraw-

dzie nie było tam dla niej miejsca, lecz zapewne któryś z panów by się podniósł, rozwiązując ten problem. Tyle że okropnie nie chciała siadać przy stoliku, przy którym Conrad rozmawiał z Candidą. W dodatku się śmiał. A więc bawiło go towarzystwo Candidy. Ashley poczuła zazdrość, że ona sama nigdy nie doprowadziła go do takiej wesołości. Co prawda nigdy się nie starała. Ale czy on musiał się tak gapić w te jej wielkie zielone oczy? I po co trzymał ją za rękę? Ashley uświadomiła sobie nagle, że jej własne ręce drżą, więc zacisnęła je, żeby nie było tego widać. Zrozumiała z przerażeniem, że jest zazdrosna.

- Zatańczymy? usłyszała nad sobą obcy głos i zobaczyła nieznajomego mężczyznę.

- Chętnie - zgodziła się, wykorzystując niespodziewaną szansę odwrotu.

Nieznajomy objął ją i zaczął kołysać w rytm muzyki.

Przytakiwała bezmyślnie jego przemądrzałej paplaninie i niemal żałowała, że nie zna go na tyle, by poprosić o odwiezienie do domu. Nie mogła oderwać wzroku od stolika - Candida sprawiała wrażenie, jakby zamierzała tam spędzić resztę wieczoru. Ashley obserwowała, jak Conrad dolewa jej szampana, a potem, zwracając się tylko do niej, podnosi kieliszek w toastie.

- Coś nie gra?

Spojrzała zdziwiona na swojego partnera.

- Rozluźnij się, jesteś strasznie spięta - zaproponował.

- Przepraszam. - Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Teraz lepiej - pochwalił z zadowoleniem.

Roześmiała się i wbrew swemu nastrojowi zaczęła z nim flirtować. Postanowiła nie wracać do stolika, dopóki będzie tam Candida. Gdyby to było konieczne, gotowa była przetańczyć resztę wieczoru. Partner okazał się nie najgorszy. Można właściwie powiedzieć, że całkiem przystojny. Jeśli Conrad zechce zabrać Candidę do domu, ona także nie będzie musiała wzywać taksówki.

Muzyka znacznie zwolniła tempo i partner przyciągnął ją do siebie. Ashley nie stawiała oporu; przeciwnie, oparła czołona jego ramieniu.

— Nie, nie - zaprotestował, podnosząc jej głowę, -Nie tak. Chcę ci patrzeć w oczy.

Ashley posłusznie spełniła życzenie. Czowała jego dłonie prześlizgujące się po plecach. Nie zrobiła nic, by go zniechęcić. Dostrzegając kątem oka Conrada, który był teraz na parkiecie z Candidą, przywarła mocniej do swego partnera i przyciągnęła jego głowę bliżej swojej twarzy. Ochoczo przystał na jej sugestię.

Nagle ktos chwycił ją za ramię i zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, była w ramionach Conrada.

Jej dotychczasowy partner zaprotestował.

- Przykro mi, stary - zbył go Conrad. - Ten taniec moja żona zarezerwowała dla mnie.

Ashley najpierw wstrzymała oddech, a potem roześmiała się, widząc, jak odprawiony partner wycofuje się zawiedziony, lecz rozumiejący sytuację.

- Czy ty nigdy nie prosisz do tańca? - spytała Conrada.

- Czasami - odparł krótko.

- O ile dobrze pamiętam, już raz mnie tak potraktowałeś na pewnym przyjęciu.

- A o ile ja dobrze pamiętam, dostałem wtedy po buzi.

- To też pamiętam - zaśmiała się.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz teraz tego powtórzyć - powiedział z uśmiechem. Ashley czuła jego dłonie na plecach. Przyciągnął ją do siebie.

- Można odbić partnerkę? - Znienacka pojawił się przy nich Cole. Ashley spojrzała na niego niechętnie.

- Nie.- Odpowiedź Conrada była jak zwykle zwięzła i konkretna.

- Wydaje mi się, że decydowanie w moim imieniu zaczyna ci wchodzić w krew.

Odpowiedział uniesieniem brwi i leniwym uśmiechem.

- Lepiej tańczysz teraz, niż gdy poprzednio z tobą tańczyłem.

Tłum na parkiecie znacznie się przerzedził. Mogli tańczyć swobodnie, nie objając się o pozostałe pary.

Conrad zauważył, że Ashley rozgląda się po sali.

- Szukasz kogoś?

- Nie. Nie, to znaczy... Tak tylko myślałam... gdzie jest Candida? Nie będzie miała nic przeciwko, że tak długo ze inną tańczysz?

Conrad był zdziwiony, że wie o Candidzie.

- A powinna?

Wzruszyła ramionami; zła, że nie może zapanować rad rumieńcem oblewającym jej policzki ;

- Czy ona nie jest...

- Czy kim nie jest?

- Czy ty się z nią spotykasz?

- Kiedyś się spotykałem.

To, że użył czasu przeszłego, dziwnie ją ucieszyło.

- Przeszkadza ci to? - spytał.

- Czy przeszkadza? Mój Boże, oczywiście, że nie.

- Słyszałem, że przyjechał twój mąż - odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

Ashley pokiwała głową. - Mój były mąż - sprostowała. - Przeszkadza ci to?

- Tak - odparł z uśmiechem.

Odwróciła głowę nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Powiedziałem: tak.

- Wiem, słyszałam.

- I nie zapytasz, dlaczego mi przeszkadza.

- Nie jestem pewna, czy powinnam.

- Dlaczego? Boisz się odpowiedzi?

Czuła, że serce wali jej mocno i zastanawiała się, czy on też to czuje. Nic nie odpowiedziała, a on zatrzęsł się tylko od tłumionego śmiechu.

Przetańczyli kilka kawałków i wrócili do stolika. Reszta towarzystwa pozostała na parkiecie. Usiedli. Conrad rozlał resztkę szampana do kieliszków.

- Za pomyślną prezentację - wzniosł toast - Chciałbym, żebyś poznała Davids Burgessa.
- Tego z Mercera Burgessa?

- Tego samego. Zaaranżowałem spotkanie na wtorek rano. Powinnaś je potraktować jako ostateczny i chyba najważniejszy etap walki o to zlecenie. To spotkanie zadecyduje o przyszłości.

Patrzyła na niego i wiedziała, co ma na myśli, mimo że jego twarz zachowała nieprzenikniony wyraz. Miała ochotę go spytać, dlaczego zdobycie akurat tego zlecenia jest dla niego takie ważne. Dlaczego, skoro przy innych spisywała się tak dobrze, właśnie to miało decydować o jej losie? Zaczynała podejrzewać, że gdzieś poza jej plecami toczy się gra, w której ona jest tylko pionkiem. Bill wiedział o tym, tego była pewna, i Conrad oczywiście wiedział także. Nie było jednak sensu pytać, żaden z nich do niczego by się nie przyznał.

Znowu spojrzała na Conrada. Jego dotychczasowy dobry nastrój gdzieś się ulotnił i znowu stał się chłodnym, nieprzystępnym człowiekiem, którego tak dobrze знаła. Zastanawiała się gorączkowo, jak przywrócić mu dobry humor, lecz nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Zresztą i jej samopoczucie znacznie się pogorszyło. Czowała się żałośnie, siedząc tylko z nim przy opuszczonym stoliku. Nie wiedziała, co zrobić, co powiedzieć...

Obserwowała precyzyjne, celowe ruchy jego rąk, kiedy podnosił kieliszek lub zapalał cygaro. Pograżony w myślach, wodził wzrokiem po parkiecie. Wypatrywał Candidy? Był zazdrosny, że może tańczy z kimś innym?

Ashley opuściła głowę. Chciała, żeby ten bal się już skończył, żeby mogła wrócić do domu i spokojnie pomyśleć. Poza tym wypijała stanowczo za dużo szampana.

W końcu doczekała się, że samochód Conrada podstawiono pod wejście do hotelu i portier o imieniu René otworzył przed nią drzwi. Miała ochotę zaproponować, że wróci taksówką, ale bała się, że zabrzmiałoby to niegrzecznie. Tak sobie przynajmniej wmawiała, siadając obok Conrada.

Była zadowolona, że nie odzywał się podczas drogi. Sama też nie próbowała nawiązywać rozmowy. Po pięciu minutach podjechał pod budynek, w którym znajdowało się jej mieszkanie. Wyłączył silnik i odwrócił się do niej.

Uśmiechnęła się do niego trochę niepewnie.

- Dziękuję za miły wieczór.

Kiwnął głową i zarzucił rękę na oparcie siedzenia.

- Chyba powinnam już iść - powiedziała, nie ruszając się z miejsca.

- Tak, chyba powinnaś.

- No to, dobranoc...

- Dobranoc.

Widziała, jak uśmiechnął się w ciemności. Serce zabiło jej mocniej, tak jak wtedy, gdy przycisnął ją na parkiecie.

- Jeszcze raz dziękuję. Naprawdę świetnie się bawiłam.

Nie spuszczał z niej wzroku. Sięgnęła po torebkę leżącą na desce rozdzielczej. Chwycił rękę Ashley i odwrócił ją twarzą do siebie. Wolno, bardzo wolno, pochylił się i pocałował ją w usta. Nie mogąc ani nie próbując się powstrzymać, objęła go rękami za szyję i oddała pocałunek.

W końcu odsunął się od niej i dotknął dłonią jej policzka. Nagle zabrakło jej pewności siebie. Nie wiedziała, co powiedzieć. Uśmiechnął się, rozbawiony jej skrepowaniem.

- Chyba lepiej będzie, jak już pójdziesz - odezwał się, podając jej torebkę. - Zanim zrobimy coś, czego możemy później żałować.

Wzięła od niego torebkę i bez słowa wysiadła z samochodu. Kiedy się odwróciła, nie patrzył w jej stronę. Niechętnie, z trudem, zmusiła się do odejścia.

Rozdział 32

gdy Margaret Stanley, szefowa redakcji „Światowego Życia” zauważyła wymykającą się z biura Kate, poderwała się na równe nogi i ruszyła do drzwi. -Kate! Kate!

Kate, już jedną nogą za drzwiami, jęknęła na dźwięk głosu szefowej. Miała nadzieję, że uda jej się uciec niepostrzeżenie. Spojrzała szybko na zegarek i wydała jeszcze jeden jęk. Nick pewnie już na nią czeka przed budynkiem. Nie miała jednak wyboru, więc odwróciła się z wymuszonym uśmiechem.

- Margaret! - zaszcebiotała. - Myślałam, że dzisiaj nie będzie cię w redakcji.
 - Naprawdę? - zdziwiła się Margaret. - A któż ci to, do diabła, powiedział? - Przez moment; sprawiała wrażenie nieco zmieszanej, lecz zaraz znowu się rozpogodziła. - Zresztą, to nie ma znaczenia. Helen mówiła mi, że wybierasz się dziś znowu do Cliveden.
- Kate rzuciła zabójcza spojrzenie sekretarce Margaret siedzącej przy biurku pod oknem, nagle bardzo zajętej notowaniem rozmowy telefonicznej.
- Chciałam ci tylko powiedzieć, że twój artykuł zrobił na mnie tak wielkie wrażenie, że wysyłam tam fotografa.
 - Przecież dostałaś wszystkie możliwe ujęcia - zdziwiła się Kate.
 - Tak, ale chcę jeszcze parę zdjęć personelu. I może ciebie, kiedy pijesz herbatę albo spacerujesz nad basenem lub w ogrodzie.
 - Mnie? - oburzyła się Kate. - Od kiedy to mam występować jako ilustracja do własnych artykułów?
 - Od teraz - oświadczyła Margaret, może nieco zbyt uroczystym tonem. - Szczególnie podobał mi się ten fragment o uczuciu, że towarzyszy ci przeszłość. No wiesz, że jesteś otoczona przez ludzi nawet w pustym pokoju i że oni prowadzą cię w dawne czasy, Więc, jak już mówiłam, wysyłam fotografa. Spotkacie się tam na miejscu. - Ale ja dzisiaj nie pracuję dla redakcji.
 - Pracujesz - zapewniła ją Margaret z uśmiechem, polegającym wyłącznie na rozciągnięciu ust.
 - Ale ja tam kogoś ze sobą zabieram.
 - To chyba w niczym nie będzie ci przeszkadzać?
 - Owszem; będzie.
 - Och, nie bądź niemądra. To nie zajmie wiele czasu. Do lunchu powinno być po wszystkim i resztę dnia będziesz mogła mieć dla siebie.
 - Przed lunchem me zdążymy tam dojechać - stwierdziła Kate, nawet nie starając się ukryć złości.
 - Z pewnością, jeśli nadal tu będziesz sterczeć.
- Kate patrzyła zimno na szefową; świadoma, że kłótnia w niczym jej nie pomoże.

- Kto jest tym fotografem?

- Jillian. Jillian Jones.

- O nie! - Kato była załamana.

Brwi Margaret podjechały tak wysoko, że niemal odchyliły jej głowę do tyłu, dodając jeszcze jeden podbródek do tych dwóch, które już miała.

- Ona jest najlepsza, Katherine, myślałam, że będziesz zadowolona. Poza tym byłam przekonana, że dobrze wam się razem pracuje.

- Zwykle tak. Ale musiałaś wysłać ją dzisiaj?

- Nic na to nie poradzę, Ona jest już w drodze, więc i ty się zbieraj, moja droga. Bawcie się dobrze. - Zniknęła w swoim pokoju, zanim Kate zdążyła cokolwiek dodać.

- Zbieraj się, moja droga. Bawcie się dobrze - przedrzeźniała szefową Kate. - Może by tak ktoś napisał jej jakieś nowe hasła.

Helen parsknęła śmiechem.

- Wybacz, ale kiedy mnie spytała, co dzisiaj robisz, a ja jej powiedziałam, że jedziesz do Cliveden ze znajomym, to myślałam, że da ci spokój. Nie przypuszczałam, że to się może tak skończyć. Przepraszam.

- To. nie twoja wina.

- Jeśli możesz, przekaż, tę wiadomość Jillian. - Wydarła kartkę z notatnika. - Dzwonił ktoś tuż po jej wyjściu. Kate schowała kartkę do kieszeni.

- Jillian. Ta piekielna Jillian. Że też to musi być akurat ona.

- Myślałam, że ją lubisz. Zawsze opowiadacie, jak wam się świetnie razem pracuje.

- Owszem, kiedy jesteśmy tylko we dwie, ale nie dzisiaj. Helen oparła brodę na dłoni i przyjrzała się Kate z zainteresowaniem.

- Nie dzisiaj? A można spytać, dlaczego nie dzisiaj? Chyba nic przed nami nie ukrywasz? Czy raczej... nikogo? Kate z uśmiechem podeszła do biurka. Nachyliła się i wymierzyła Helen prztyczka w nos.

- Otóż owszem, ukrywam. Wiązałam z dzisiejszym dniem spore nadzieje... aż do tej chwili.

- Powiesz mi, kto to jest? - Mowy nie ma!
- Daj spokój. I tak się wszystkiego dowiemy od Jillian
- Wiem - westchnęła Kato. - Między innymi dlatego jestem wściekła. Ale nie tylko dlatego.
- Dlaczego jeszcze?
- Dla samej Jillian. Przede wszystkim!
- Co masz jej do zarzucenia?
- Nic... i o to właśnie chodzi. Jest piękna, wysoka, jasnowłosa, smukła, uprzejma, miła, seksy... Mam wymieniać dalej?

- Chyba wystarczy - roześmiała się Helen. - A więc to jakiś szczególnie bliski... hmm, znajomy.

Kate ponownie spojrzała na zegarek.

- Pogadamy później. Powiedz Margaret, że ma mi zapłacić dietę za dzisiejszy dzień. Za cały dzień! - Wybiegła z redakcji.

Helen potrzęsnęła głową i wróciła do przerwanej zajęcia. Intrygi, dziennikarki, diety i Margaret Stanley stanowiły zmorę jej życia.

Obawiam się, że będziemy mieli towarzystwo - odezwała się Kate, patrząc przed siebie. - Przynajmniej przez część dnia. - Pędzili autostradą w kierunku Taplow.

Nick spojrzał na nią podejrzliwie.

- Tylko mi nie mów, że zaprosiłaś swojego ojca. Kate odwróciła się do niego gwałtownie.
- Nie - odparła, zdziwiona tonem jego głosu. - Nie zaprosiłam. Ale o co chodzi? Przeszkadzałoby ci to?
- Nie - odpowiedział szybko, by zaraz potem dodać: - Właściwie tak. Przeszkadzałoby.
- Dlaczego?
- Co to znaczy, dlaczego?
- To, co powiedziałam.

Po prostu przeszkadzałoby.

- Dlaczego?

- Nieważne - wykręcił się Nick. - Kogo w takim razie zaprosiłaś? Kate zapatrzyła się w pejzaz za oknem.
 - Nikogo nie zapraszałam. Ta osoba została nam narzucona. Margaret postanowiła wysłać tam fotografa, więc będę musiała poświęcić na to trochę czasu.
 - Aha.
 - Masz coś przeciwko temu?
 - Nie.
 - POD WARUNKIEM, że to nie mój ojciec?
 - Zgadza się -Rozumiem.
 - Nie rozumiesz.
 - No to mi wytłumacz.
- Nick rzucił okiem w boczne lusterko i włączając kierunkowskaz wjechał na pas szybkiego ruchu.
- Dobrze, wytłumaczę. Nie chciałem, żeby twój ojciec jechał z nami, bo myślałem, że spędzimy ten dzień razem. Tylko we dwoje. Wystarczy ci takie wyjaśnienie?
 - Tak.
 - To dobrze.
 - Ale i tak nie będziemy tylko we dwoje.
 - Ten fotograf. Jak szybko możemy się go pozbyć?
 - Jej.
 - Jej? Kate wzruszyła ramionami.
 - Nie powinno to zająć dużo czasu.
 - Chciałaś chyba powiedzieć, nie zajmie dużo czasu.
 - Och, uwielbiam, kiedy jesteś taki władczy - powiedziała Kate z uśmiechem. - Szczególnie wtedy, kiedy jesteś nie ogolony. Nick rzucił jej szybkie spojrzenie i skrzył na środkowy pas jezdni. Mijali właśnie lotnisko Heathrow. - Patrz! Odruchowo wcisnął hamulec, zamierzając zjechać na pobocze, lecz zorientowawszy się, o co jej chodzi, znowu przyśpieszył.

- Concorde! - Pokiwał głowa. - Powiniennem się domyślić.
- Przepraszam - bąknęła speszona. - To zabawne, latam już tak długo, a ja zawsze się zachwycam jego widokiem. - Oprócz ciebie jeszcze parę milionów ludzi - zauważył Nick zwalniając, bo jadący przed nimi również podziwiali samolot.
- Ale musisz przyznać, że jest niezwykły. Właśnie sobie coś przypomniałam na jego widok. Miałam dziś rano telefon od Ashley. - Co u niej?
- Wszystko świetnie, przynajmniej tak twierdzi. Ale odniosłam wrażenie, że się czymś przejmuję. Poza tym, zadzwoniła o siódmej rano, więc w Nowym Jorku musiał być wtedy środek nocy.
- Może chciała skorzystać z taniej taryfy.
- Yhm, może.
- No i... - ponaglił. - Co mówiła?
- Właściwie nic takiego. Pytała, jak się miewam i spytała też o ciebie.
- O mnie?
- Tak, co w tym dziwnego?
- I co powiedziałaś? - Uśmiechnął się pod nosem.
- Powiedziałam, że masz się doskonale i że być może za jakieś dwa tygodnie pojedziesz do Nowego Jorku. Nawiasem mówiąc, uparła się, żebyś u niej zamieszkał, chyba że będziesz miał inne plany. - Spojrzała na niego wyczekująco. Nick tylko się uśmiechnął.
- Poza tym - mówiła dalej- - spytałam, co u niej słyhać. Powiedziała, że wróciła właśnie z jakiegoś balu czy czegoś w tym rodzaju. Brzmiało to bardzo światowo. Kiedy spytałam, z kim była, nagle zmieniła temat. Więc zapytałam ją o pracę, wiesz, że ma przed sobą tę ważną prezentację, ale o tym także nie miała ochoty rozmawiać. Wtedy wsrwmniałam coś o Conradzie i prawie się na mnie rzuciła.
- Nigdy się specjalnie nie lubili, o ile dobrze pamiętam.
- Owszem - przyznała Kate w zamyśleniu. - To prawda, nie lubili się. W każdym razie, nie chciała o nim rozmawiać. Zaraz potem odłożyła słuchawkę.

- Pewnie była zmęczona.

-Tak, chyba masz rację. Zobaczysz się z nią, jak będziesz w Nowym Jorku?

- Tak sędzę, Właściwie mógłbym nawet u niej zamieszkać. -Kate zauważyła błysk w jego oczach, kiedy się do niej odwrócił.

Dojechali do Taplow i Kate skierowała go na drogę do Cliveden, a gdy wjechali w długą aleję, zamilkła poddając się nastrojowi tego miejsca. Nick musiał przyznać, że i na nim wywarło podobne wrażenie. W momencie przekroczenia granic posiadłości, poczuł się otoczony atmosferą spokoju, gościnności i ciepła. Spojrzał na Kate i pomyślał, że wygląda ślicznie, kiedy tak siedzi przy jego boku, zauroczona otoczeniem. Skręcili na główny podjazd i Nick zatrzymał samochód. Siedzieli przez chwilę, zachwycając się misternie rzeźbioną, romantyczną Fontanną Miłości.

- A teraz popatrz tam - odezwała się cicho Kate.

Odwrócił się i ujrzał dom, stojący dumnie u wylomu lipowej alei. Mimo swej surowości, wyglądał tak, jakby czekał, i to od dawna, właśnie na nich.

Nick ruszył wolno w tamtą stronę.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Kate. - Chyba wszyscy wrażliwi ludzie odbierają to w taki sam sposób: jakby ten dom był twój, prawda? Jakby tu stał specjalnie dla ciebie.

Nick spojrzał na nią, zaskoczony trafnością spostrzeżenia. Kate uśmiechnęła się.

- Tam - zaczęła objaśniać, kiedy znaleźli się na dziedzińcu -za tym murem, jest basen, a za nim śliczna altanka. Obok jest trawnik do gry w krykieta. I wieża zegarowa - ciągnęła - wybudowana dla księżnej Sutherland w 1861 roku.

- Przypomniała mi się dziecinna rymowanka. Kto ją zbudował?

- Henry Clutton.

- Jesteś dobrze przygotowana. - Zerknął na nią z uznaniem.

- Oczywiście - potwierdziła, nie siląc się na skromność. - Podjedź tam, przed zachodnie skrzydło.

Ledwie zdążył wyłączyć silnik, a przy drzwiach samochodu pojawił się lokaj, gotowy wprowadzić ich do domu.

W wielkim holu czekał szef służby hotelowej. Kate przywitała go jak starego znajomego i przedstawiła Nicka. Spytano, czy się napiją herbaty.

Nick spojrzał pytająco na Kate i omal nie wybuchnął śmiechem, kiedy poprosiła, by podano im ją w buduarze. Ich rozmówca najwyraźniej był przygotowany na taką okoliczność i poprowadził ich do niewielkiego, przynajmniej jak na standardy Cliveden, utrzymanego w błękitnej tonacji narożnego pokoju. Nickowi od razu się tam spodobało, czuł się, jakby zaproszono go raczej do czyjegoes domu niż do hotelowego saloniku. Kato z rozpromienioną twarzą wskazała widok za oknem.

To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Przed jego oczyma rozpościerał się przepiękny ogród kwiatowy, ogrodzony po obu stronach najbardziej wymyślnie i starannie przyciętym żywopłotem, jaki widział w życiu. Kate stanęła obok Nicka w oknie.

- Balustrada od frontu pochodzi z Villa Borghese w Rzymie. Objął Kato i przyciągnął do siebie.

- To wszystko uzmysławia człowiekowi jego własną małość - stwierdził z zadumą.

- Yhm - zgodziła się. - Po herbacie zaprowadzę cię z powrotem do Wielkiego Holu i pokażę ci portrety.

Spodoba ci się Nancy Astor, jest taka piękna. Opowiem ci też historię drugiego księcia Buckingham, który uciekł z hrabiną Shrewsbury i zamieszkał tutaj w roku 1668. Ich portrety też tutaj wiszą.

Nick pogłaskał ją po głowie. Była pełna entuzjazmu jak dziecko.

- Kate! Nareszcie cię znalazłam. Myślałam już, że się gdzieś zgubiłaś. Jak się masz? Cieszę się, że znów cię widzę.

Jillian szła do nich przez pokój, jeszcze wyższa i bardziej oszałamiająca niż zwykle, z wyciągniętymi ramionami, gotowa porwać Kate w objęcia. Kate dała się uściskać i roześmiała się, kiedy Jillian puściła ją wreszcie i oznajmiła żartobliwie wyniosłym głosem, że lokaj już idzie z herbatą.

- Jest trochę powolny, ale wiesz, moja kochana, jak to jest. Ciężko w dzisiejszych czasach o dobrą służbę. - Upozowała się wdzięcznie na kanapce.
- Kate zakryła ręką dłoń i odwróciła się spłoszona, widząc pracownika obsługi Stojącego w progu z tacą.
- Czy to już wszystko, proszę pani? - zwrócił się do Jillian, stawiając tacę na stoliku.
- Na razie - odparła Jillian nie zmieniając tonu. - Zadzwoń, jeśli będzie trzeba.
- Do usług, proszę pani. Następnym razem, proszę pani, postaram się być mniej powolny. - Przystanął w drzwiach i powiedział do Kate: - „Sally Anne” odpływa o czwartej.
- Ach tak, dziękuję - wyjąkała Kate. - Dziękuję. - Poczekala, aż się oddali. - Jillian! - wybuchnęła, kiedy już była pewną, że lokaj nie może ich usłyszeć.
- Przepraszam - rzekła skruszona Jillian. - Nie mogłam sobie odmówić. Jak myślicie, chyba się nie obraził?
- Chyba nie. - Kate dała się rozbroić. - Dla mnie proszę bez cukru. Jillian podała jej filiżankę i odwróciła się w stronę Nicka.
- Nie zapoznałaś nas, Kate - Obrzuciła. Nicka pochlebny spojrzeniem. Wstała, wyciągając do niego rękę. - Jillian Jones - przedstawiła się. - A ty jesteś Nicholas Gough, od razu cię rozpoznałam, Kate wszystko mi o tobie mówiła.
- Naprawdę? - zdziwił się Nick. Kate miała ochotę udusić Jillian na miejscu.
- Nick potrząsnął dłońmi Jillian.
- Dla mnie też bez cukru, dziękuję. - Podeszedł do małego stolika przy kominku i podniósł oprawiony w srebrną ramkę portret Nancy Astor. .
- Jillian przyłapała wzrok Kate.
- On jest boski! - szepnęła bezgłośnie i usiadła, by dokończyć nalewanie herbaty. Kate dostrzegła uwodzicielski, uśmiech, jakim Jillian obdarzyła Nicka podając mu filiżankę.
- Dziękuję. Jaka „Sally Anne”? - Nick zwrócił się do Kate.

- To łódź należąca do posiadłości Kursuje po rzece. Wozi tytko gości hotelowych, ale poprosiłam szefa obsługi, żeby pozwolił nam popłynąć.
 - Wygląda na to, że zyskałaś tu sobie sporą sympatię - zauważyła Jillian, rozsiadając się wygodnie z filiżanką w ręku.
 - Zapewniam cię, że zwzajonnością - oznajmiła Kate, okrążając kanapę, na której siedziała Jillian. - Od czego chcesz zacząć?
- Jillian zignorowała pytanie, cały czas wpatrzona w Nicka, nieświadomego, że jest obiektem wnikliwej obserwacji.
- Czy jakiś czas temu nie występowałeś przypadkiem w *Romeo i Julii* w teatrze Old Vie?
- Nick był zaskoczony.
- Owszem, występowałem.
 - Nie mów mi, zaraz sobie przypomnę... - Namyslała się z dłonią przyłożoną do czoła. - Grałeś Benwolia.
 - Zgadza się. - Nick był wyraźnie pod wrażeniem. - Widziałaś to?
 - Oczywiście. A wcześniej występowałeś w czymś innym w Narodowym. Czy nie w *Szewskich wakacjach* Nick pokręcił głową.
 - Nie. Grałem w sztuce *Człowiek i nadczłowiek* Shawa. A potem w *Wachlarzu Lady Windermere*.
 - No jasne, *Człowiek i nadczłowiek*. Byłeś Octaviusem Robinsonem. Wiesz, byłam na tym dwa razy.
 - Serio? Chcesz powiedzieć, że wytrzymałaś scenę Don Juana w piekle więcej niż raz?
- Jillian roześmiała się perliście, wywołując gniewne zachnięcie Kate.
- Muszę się przyznać, że za drugim razem opuściłam tę scenę. Nie żebym uważała ją za złą, bo była wspaniała, ale trochę ciężka. Chyba nie byłam tego dnia w odpowiednim nastroju.
 - Nie miałam pojęcia, Jillian - wtrąciła się Kate, zajmując miejsce koło Nicka - że jesteś taką zapaloną teatromanką.
 - Żartujesz? Bywam w teatrze co najmniej trzy razy w miesiącu. Uwielbiam teatr. - Zwróciła się znowu do Nicka: - W czym teraz występujesz?

- Właśnie skończyliśmy grać *Wieczór Trzech Króli*.

- Ach tak, niestety, nie widziałam tego przedstawienia. Nie udało mi się dostać biletów. Powinnam się była zwrócić do ciebie, Kate.

Czemu mi nic nie mówiłaś?

- Bo, jak już wspomniałam - odezwała się Kate trochę ostrzej, niż zamierzała – nie wiedziałam, że cię to aż tak interesuje. - A co będzie następne? - ciągnęła temat Jillian, zupełnie nie zrażona tonem Kata. Znowu Szekspir?

- Chwilowo nie - uśmiechnął się Nick.

- W takim razie, co?

- Wiesz, jacy jesteśmy, my aktorzy, nigdy nie mówimy o swoich planach, dopóki sprawa nie jest przesądzona.

- Spróbuję wycisnąć to z Kate, kiedy się z nią spotkam następnym razem, Nie mogę tego przegapić, zwłaszcza teraz, kiedy cię poznałam.

- Chcesz powiedzieć, że właśnie zyskałem wielbicielek?

- I to oddaną - roześmiała się Jillian.

Może byśmy się wzięły do pracy? - Kate odstawiła swoją filiżankę na tacę.

- Skoro musimy... Może zaczniemy na zewnątrz? Jest taki śliczny dzień, chodźmy na spacer. Co ty na to? -

Pytanie najwyraźniej było skierowane do Nicka.

- Dlaczego nie - zgodził się z ochotą.

- Świetnie. - Kate pierwsza ruszyła do drzwi. - No to idziemy?

- Ty prowadź - zadysponowała Jillian,

- Nie będziesz potrzebowała swojego aparatu? - spytała Kate, patrząc znacząco na sprzęt porzucony na kanapie. - Myślałam, że idziemy na spacer? - Żeby zrobić zdjęcia.

Jillian wzruszyła ramionami. - Niech ci będzie. Ona nie zawsze jest taka - wyjaśniła Nickowi. - Zgrywa się na pracusia. Zwykle to ja muszę ją zaganiać do roboty. Przypuszczam, że chce zrobić na tobie dobre wrażenie.

Mylisz się - sprostowała Kate. - Myślałam raczej o tobie. Im szybciej się z tym uporamy, tym wcześniej będziesz mogła wyjechać.

Nick zasłonił twarz ręką, próbując ukryć rozbawienie. Nie uszło to uwagi Jillian.

Następna godzina upłynęła całkiem przyjemnie, choć Kate wiele by dała, żeby Jillian mniej uwagi poświęcała Nickowi; a więcej swoim obowiązkom służbowym, Nie powiedziała jednak ani słowa na ten temat W gruncie rzeczy bardzo lubiła Jillian i nie chciała być dla niej niemiła.

Znacznie później, kiedy Jillian weszła do środka, by sfotografować obsługę hotelu przy pracy, Nick i Kate udali się nad rzekę, gdzie czekała na nich „Sally Aane”. W pobliżu nie było nikogo, więc mieli całą łódź do swojej dyspozycji. Kate wreszcie mogła się odprężyć. Miała obawy, że Jillian uprze się, by towarzyszyć im w przejażdżce, a był to punkt programu, w którym szczególnie chciała być sam na sam z Nickiem.

Kapitan „Sally Anne” był osobą taktowną i od razu domyślił się, że lepiej nie wygłaszać swojej zwykłej mowy na temat mijanych widoków. Nick okazał największe zainteresowanie, kiedy mijali Spring Cottage, ukryty pośród drzew na brzegu.

- To właśnie tutaj - wyjaśniła mu Kate - miała miejsce afera Profumo.

- Tutaj? Byłem przekonany, że to się zdarzyło w domu,

- Nie. Wszystko rozegrało się tutaj. Gdzieś tu musi być trawnik, na którym premier tańczył na golasa.

- Co?! McMillan? - nie mógł uwierzyć Nick. - W głowie się nie mieści. Jesteś pewna, że to był premier?

- Tak mówią. Ale kto wie?

- Ciekawej że partia torysów, partia moralności i wartości wiktoriańskich, ma na swoim koncie najwięcej skandali. Chociaż trzeba przyznać, że jeśli już rząd konserwatystów miał upaść, to trudno o lepsze miejsce i przyjemniejszy sposób.

- Myślę, że pani Thatcher miałaby coś w tej sprawie do powiedzenia - zaśmiała się Kate.

- Hmm, nie sądzę, żeby ją ktoś kiedykolwiek nakrył tańczącą nago na trawniku.

Z dziobu dobiegł chichot kapitana.

Kiedy wysiedli na brzeg, Nick ruszył na szczyt pobliskiego wzniesienia, a Kate zatrzymała się na krótką rozmowę z kapitanem. Gdy się odwróciła by dołączyć do wspinaczki, Nick był już w połowie stromego zbocza. Została na dole i obserwowała jego wysiłki.

Znali się już od kilku miesięcy i jak dotąd nie uczynił nic, co mogłoby wskazywać, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń. Wiedziała, że bez niego trudno byłoby jej przetrwać ten straszny okres. Jak żaden inny mężczyzna rozumiał, co musiała wówczas przecierpieć. Ta niesłychana tęsknota za dzieckiem, rozpaczliwe poczucie winy... Nadal trudno jej było o tym myśleć. Te przeżycia zbliżyły ich do siebie, lecz teraz pragnęła czegoś więcej. Chciała, żeby ją kochał, tak jak mężczyzna kocha kobietę. Pragnęła, żeby wziął ją w ramiona i powiedział, że zawsze będzie przy niej. Rzadko zdarzały się dni, kiedy nie rozmawiali ze sobą lub się nie widzieli, ale ich wzajemny stosunek nigdy nie wykroczył poza serdeczność, jaką okazują sobie osoby zaprzyjaźnione.

Przywiozła go do Cliveden, bo była w nim zakochana. Gdy była tu po raz pierwszy, dała się całkowicie opanować romantycznej atmosferze tego miejsca. Jeśli on się temu nie podda, będąc tu razem z nią, będzie to znaczyło, że nie ma szans na rozbudzenie w nim uczucia. Niech szlag trafi tę Margaret Stanley za to, że przysłała tu Jillian. Gdyby nie ona, wszystko mogłoby się ułożyć po myśli Kate.

Nick obejrzał się i pomachał do niej. Odpowiedziała mu tak samo i zaczęła się wspinać na górę. Począł na nią i kiedy się z nim zrównała, wziął ją za rękę. Czy już zawsze tylko to miało być między nimi? Czasami otaczał ją ramieniem. Raz, wychodząc z jej mieszkania wieczorem, cmoknął ją lekko w policzek, ale odsunął się, zanim zdążyła popatrzeć na niego. Wszystko wskazywało na to, że w grę wchodziła jedynie głęboka i trwała przyjaźń. Żałowała, że nie ma odwagi poprosić o więcej. Dzień dobiegał końca i Kate robiło się coraz ciężiej na sercu. Z trudem powstrzymywała napływające do oczu łzy. Cliveden, piękne Cliveden... Wierzyła; że jeśli Nick ma się w niej kiedyś zakochać, to właśnie tutaj. Całe to miejsce zdawało się

przeziąknięte miłością. Było wymarzone dla kochanków i miłosnych wyznań. Ale on szedł przed siebie, wyprzedzając ją o krok, zdążając z powrotem do domu.

- Nick.

Odwrócił się, ale widząc pytanie w jego oczach, straciła odwagę i nie potrafiła nic powiedzieć.

- Nie, nic. - Potrząsnęła głową.

- Mam wrażenie, że komuś się tu oczy pocą od dawnych wspomnień i wzruszeń - powiedział ze śmiechem.

Doszli do domu. Kiedy znaleźli się w holu, jeszcze raz zdobyła się na odwagę i zaczęła:

- Zastanawiałam się...

- No nareszcie. Strasznie długo was nie było. Kate zamknęła oczy, tracąc resztę nadziei.

- Jillian - westchnęła, zmuszając się do uśmiechu. - Jeszcze tu jesteś?

- Byłam na górze - tokowała Jillian, ciągle pełna energii. - Obserwowałam, jak idziecie sobie rączka w rączkę przez trawnik. Nie myślcie sobie, uwieczniłam to na zdjęciu. Przyślę wam odbitki.

- Dziękujemy bardzo. - Kate zagryzła zęby unikając wzroku Nicka.

- Wiecie co - zaproponował Nick, biorąc Kate za rękę - może byśmy się przed wyjazdem czegoś napili?

- Doskonały pomysł - przytaknęła Jillian. Kate usiłowała posłać jej znaczące spojrzenie, ale Jillian była wpatrzona w Nicka i nie zauważyła. - Skoczę tylko do samochodu zostawić sprzęt. Zamówcie dla mnie koktail z szampanem. Zaraz wracam.

- A co dla pani? - spytał kelner.

Kate spojrzała na niego półprzytomnie. Nie widziała, kiedy do nich podszedł.

- Może to samo.

- Dla mnie również - zdecydował Nick.

- Może chcą państwo, by podać napoje przy basenie?

- Dobra myśl. Pójdę powiedzieć Jillian, gdzie ma nas szukać - wyrażał gotowość Nick.

- I tak będziemy musieli przejść koło niej, żeby tam dotrzeć -zauważyła cierpko Kate.
- No to razem jej powiemy.
- Dziękujemy - powiedziała Kate do oddalającego się kelnera. Wyszła na zewnątrz za Nickiem.
- Jillian! - zawołała. - Będziemy nad basenem.
- Dobrze - odrzyknęła Jillian, wystawiając głowę z samochodu. Kate wiedziała, że jej złość staje się widoczna, ale była wściekła

na Jillian, że została tak długo. Okrążając basen, usłyszała za sobą głos Nicka.

- Przestałaś się odzywać. -Naprawdę?
- Owszem. Coś cię zdenerwowało?
- Jestem! - rozległ się okrzyk Jillian, która weszła przez bramę w murze.
- O tak - mruknęła Kate. - Trudno nie zauważyć.

Nick uśmiechnął się do siebie, lecz Kate tego nie zauważyła.

- Gdzie usiądziemy? - Jillian dołączyła do nich. - Może w tej ślicznej altance przy końcu basenu?
- Ja usiądę tutaj. - Kate opadła na leżak.
- Jak sobie życzysz, niech będzie tutaj.

Jillian usiadła obok niej. Nick zajął miejsce przy drugim boku Jillian. Kelner przyniósł koktajle i ustawił je na małym stoliku przed nimi.

- Szef obsługi kazał mi panią poinformować - zwrócił się do Kate - że apartamenty lady Astor i księcia Buckingham są w tej chwili wolne, gdyby pani chciała je obejrzeć.
- Ach tak, dziękuję. - Kate uniosła się z leżaka. - Prawie o tym zapomniałam.
- Cudownie! - entuzjazmowała się Jillian. - Cały dzień marzyłam, żeby zwiedzić te pokoje, ale mnie nie chcieli wpuścić.

Siedzieli w milczeniu, popijając koktajle. Kate wręcz parowała złością i bardzo się starała to ukryć, a Nick w duchu pękał ze śmiechu i też próbował się z tym nie zdradzić. Jillian spoczywała na swoim leżaku, najwyraźniej nieświadomą ich emocji

- Fantastyczny wieczór - westchnęła. - Cudownie było cię poznać, Nick.
Kate zeszytywniała, wbijając paznokcie w zaciśnięte dłonie. To było już ponad jej siły. Poderwała się i ruszyła przed siebie. Nick rzucił Jillian szybkie spojrzenie i mrugnął do niej, podnosząc się z leżaka.

- Dokąd to? - spytał, zrównując się z Kate.
- Dwoje to kompania... - rzuciła przez zaciśnięte zęby i szła dalej. Roześmiał się i chwycił ją za ramię, w chwili gdy miała zniknąć za bramą w murze.
- O co chodzi?
- A jak myślisz? - OJ illian?
- Strzał w dziesiątkę.
- Ja ją nawet dosyć lubię. - Zauważyłam.
- No, moi mili - odezwała się Jillian, podchodząc do nich z kieliszkiem w ręku. - Chyba na mnie już czas. - Spojrzała na Kate i nie potrafiła się powstrzymać przed dodaniem: - Przykro mi, że nie mogę zostać dłużej. Nick odwrócił się, by Kate nie zobaczyła wyrazu jego twarzy. Odprowadzili Jillian do samochodu i stojąc przed domem machali jej, dopóki nie zniknęła za zakrętem przy Fontannie Miłości.
- Lepiej późno niż wcale - mruknęła Kate, kierując się z powrotem W stronę domu.
- Och, nie bądź taka.
- Przy następnym spotkaniu nagadam jej do słuchu.
- Ona przez cały czas specjalnie się z tobą drażniła. Nie wyczułaś tego?
Kate odwróciła się wolno i spojrzała na Nicka podejrzliwie. Pokiwał głową.
- A teraz chodź. Kierunek - apartamenty lady Astor.
Kate udała się do recepcji, by wziąć klucz, i przy okazji zwrócić kieliszki, a Nick przechadzał się wokół holu oglądając wiszące na

ścianach portrety. Uderzyło go, że wszyscy poza lady Astor mieli powieki pozbawione rzęs. Może artyści w tamtych czasach nie widzieli potrzeby zadawania sobie trudu malowania ich. Jednak szkoda, to by znacznie poprawiło urodę portretowanych. Doszedł do końca pomieszczenia, zatrzymując się przed podobiznami drugiego księcia Buckingham oraz hrabiny Shrewsbury. Uśmiechnął się do księcia i puścił do niego oko. Potem przeniósł wzrok na wyniosłą hrabinę i zdziwił się, że była tak okropnie brzydka. Kate byłaby wstrząśnięta jego brakiem szacunku! Ale trudno było nie przyznać, że hrabina przypominała smoka. Zresztą, co tu dużo mówić, księżę też nie grzeszył urodą. Nick wzruszył ramionami i odwrócił się od dostojnych wizerunków. W swoich czasach pewnie uchodzili za piękności, pomyślał w duchu i zawrócił w stronę drzwi. Kate pojawiła się z kluczem i gestem nakazała mu iść za sobą. Z radością stwierdził, że powrócił jej radosny entuzjazm dla tego miejsca. Ochocho ruszył za nią po schodach na górę. Jerzy III spoglądał na niego z portretu z wyrozumiałym uśmiechem: Nick także się do niego uśmiechnął. Tak, tak, Wasza Wysokość, kto wie, może ma pan rację, pomyślał, przemierzając szybko resztę schodów. Kate przeszła do końca korytarza i zatrzymała się przy ostatnich drzwiach.

Nick wszedł za nią do środka. Wspaniały wystrój pokoju wręcz odebrał mu mowę. A więc tak wyglądał słynny apartament lady Astor. Wszystkie sprzęty sprawiały wrażenie tak delikatnych i kruchych, że czuł się, jakby wtargnął do prawdziwej sypialni hrabiny, i niemal czekał, by ona sama pojawiła się przy wspaniałym kominku. Podeszedł do okien obramionych ciężkimi kotarami, i wyjrzał na ogród. Próbował sobie wyobrazić, jak by to było budzić się co rano i zaczynać dzień od podziwiania tego pięknego widoku. Kate siedziała na jednej z błękitnych kanapek otaczających kominek, patrzyła na Nicka i czekała, żeby się odezwał. Nick zbliżył się do łóżka i dotknął falban zdobiących wezgłowie. Następnie stanął przed kominkiem w lekkim rozkroku, założył ręce na plecach i podziwiał to wszystko, co miał przed sobą.

- Kiedy tak stoisz, sam wyglądasz na lorda.
- I tak się też czuję.
- Wiesz, wcale nie byłam zazdrosna - wykrztusiła Kate po chwili milczenia.

Nick roześmiał się serdecznie.

- Byłaś, byłaś!
- Nieprawda, nie byłam.
- Byłaś. I słusznie, bo ona mnie bezwstydnie uwodziła.
- Zauważyłam. I nie byłam zazdrosna.

Usiadł przy niej na kanapie. Splótł ręce na karku i wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Zdaje się, że ona była kiedyś modelką? Jest bardzo piękna, nie sądzisz?

Kate wzruszyła ramionami.

- Ma świetną figurę. Kate nic nie odpowiedziała.
- Muszę przyznać, że nie mogłem oderwać oczu od jej nóg. Kate poderwała się z miejsca.

Jednym ruchem usadził ją z powrotem na kanapie.

- Ale, ma się rozumieć... - Obrócił ją twarzą do siebie. - Nie dorasta ci do pięt. Tak samo zresztą jak nikt inny.
- W oczach nadał miał uśmiech i Kate mimo woli także się uśmiechnęła. - i - ciągnął - cieszę się, że byłaś zazdrosna.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zanim zdążyła się odezwać, Nick pochylił się i pocałował ją. Pchnął ją miękko na poduszki oparcia i trzymał w ramionach, nie przerywając pocałunku. Kiedy wreszcie ją puścił, popatrzył jej głęboko w oczy, czekając na to, co ma mu do powiedzenia. Odwróciła wzrok, nagle skrepowana, nie wiedząc, od czego zacząć. Znowu się nad nią nachylił i lekko dotknął ustami jej warg.

- Wydaje mi się szepnął - że zaczynam się poddawać romantycznej atmosferze tego miejsca.
- Muszę przyznać, że bardzo na to liczyłam - powiedziała z uśmiechem.

Odgarnął jej włosy z czoła i pocałował ją w koniuszek nosa. Rozejrzył się po pokoju. Kate zrobiła to samo.

- Tylko ci, którzy mieli wielkie pieniądze albo wielkie szczęście, zamieszkiwali w tym pokoju.

- Szkoda, że nie jesteśmy bogaci. To chciałaś powiedzieć? - spytał, patrząc jej w oczy.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Ale, kto wie, może będziemy mieć szczęście. - Podniósł rękę i pogładził ją po policzku - Chciałabyś tu zamieszkać?

Przełknęła slinę. Chciała się odezwać, ale słowa nie mogły jej przejść przez gardło. Kiwnęła głową

- Na dzisiejszą noc? - Nagle spowaźniał.

Serce zabiło jej przyspieszonym rytmem. Próbowwała się uśmiechnąć. Z pewnością tylko sobie z niej żartował.

- Czyżby mi pan czynił nieprzyzwoite propozycje, panie Gough?

- Nie sądzę, żeby ktoś mógł robić coś nieprzyzwoitego w takim otoczeniu.

A więc tylko się z nią drażnił. Odwróciła głowę, by ukryć rozczarowanie.

- Ale moja propozycja nie byłaby nieprzyzwoita, gdybyś się zgodziła zostać moją żoną.

Zamarła, oczekując, że zaraz zacznie się z niej śmiać. Ale patrzył na nią poważnie, a ona nie wiedziała, co powiedzieć.

- Więc...?

- Ale my nigdy... właściwie... My nawet nie...

- To chyba dobre miejsce, żeby zacząć? - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją tak czule, że serce jej się ścisnęło ze wzruszenia. - Ale nie słyszałem jeszcze twojej odpowiedzi.

Czując, że oczy napęcznieją jej się łzami, skinęła głową.

- Tak.

Znowu zaczął ją całować, a ona przytuliła się do niego tak mocno, jakby już nigdy nie miała go puścić.

Oswobodził się jednak i spojrzał na nią rozesmianymi oczyma.

- Lepiej chodźmy się zameldować.

- To będzie bardzo dużo kosztowało - ostrzegła, wychodząc za nim na korytarz. - Na pewno chcesz zostać?
- Na pewno. - Poglądził ją po karku.

Szef obsługi ucieszył się, że chcą zostać na noc. Podsuwając Nickowi księgę meldunkową, uśmiechnął się, podobnie jak wcześniej Jerzy III z portretu. Nick omal nie wypuścił pióra z ręki, kiedy zobaczył, jaką sumę będzie musiał uiścić za wynajęcie apartamentu. Wiedział jednak, że warta

- Może zjemy najpierw kolację? - zaproponował, biorąc klucz.
- Skoro musimy... - Jej oczy lśniły tajemniczym blaskiem. Kelner wyrósł koło nich jak spod ziemi.
- Nakryto dla państwa stół w jadalni. Co ze śniadaniem? Zechcą państwo zjeść w pokoju czy zejść do francuskiej jadalni?
- Kolację zjemy w jadalni - zdecydował Nick. - Ale śniadania już nie.

Odpowiedział mu uśmiech pełen zrozumienia.

- Proszę za mną.

Przygotowano dla nich stół w rogu, przy oknie. Siedzieli w milczeniu wyglądając na ogród i ciągnące się za nim łagodne wzniesienia, na zasnutą srebrzystymi oparami rzekę. Odległy horyzont był zamglony, jakby łagodnie, przechodził w niebo. Skądś dobiegał niewyraźny szum kosiarki, lecz w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

Nick popatrzył na Kate i sięgnął po jej rękę. Kelner przyniósł im kartę dań. Kate przeglądała ją uważnie, próbując się zdecydować, na co ma ochotę. Nick starannie omijał wzrokiem ceny.

Kelner przyjął zamówienie i wręczył Nickowi listę win. Nie pozostawało nic innego, jak zamówić szampana, więc po raz trzeci sprawdzając dyskretnie portfel Nick poprosił o butelkę Louis Roederer Cristal rocznik siedemdziesiąt dziewięć.

Podano zamówione-dania. Najpierw pasztet z gęsich wątróbek z brokułami, następnie filet z łososia w sosie szczypiorkowym. Żadne z nich nie jadło zbyt wiele.

- Deser? - Kelner znów pojawił się przy ich stoliku.

Kate spojrzała na Nicka i oboje, jak na komendę, pokręcili głowami.

- Kawa?

- Nie, dziękujemy - odmówił Nick, zanim Kate miała możliwość w ogóle się odezwać. Kelner oddalił się bezszelestnie.

Nick wziął Kate za rękę.

- Jesteś gotowa? - spytał, patrząc jej poważnie w oczy. Czując nagłą suchość w gardle, tylko pokiwała głową. Przeszli przez jadalnię i weszli schodami na górę. Mijając Jerzego III Nick uśmiechnął się jak do starego znajomego. Stanęli pod drzwiami pokoju i tym razem Nick otworzył zamek kluczem. Pchnął drzwi i odwrócił się do Kate.

- Czegoś ci jeszcze nie powiedziałem - wyznał, biorąc ją w ramiona.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Kocham cię.

- Och, Nick - zawołała, zarzucając mu rękę na szyję. - Ja też cię kocham. Kocham cię.

- Chodź. - Wciągnął ją do środka i zamknął drzwi.

Rozdział 33

Stół był nakryty, pozostawało jedynie zapalić świece. Linda rozejrzała się za zapalkami - znalazła je na kredensie. Biorąc do ręki pudełko, przystanąła na moment i spojrzała na stojącą obok fotografię. To była ta, która zawsze stała na oknie w ich sypialni. Zabrała ją stamtąd dziś rano i umieściła tutaj. To dziwne, pomyślała z zadumą, jak zdjęcie może stać nie zauważane przez całe lata, by nagle znowu ożyć, przybliżając wspomnienie dnia, kiedy zostało zrobione. Miała nadzieję, że Bob także będzie pamiętał.

Podeszła do stołu nachyliła się, by zapalić świecę. Zgasiła górne światło. Od dawna już nie korzystali z jadalni. Od czasów, gdy w ich domu bywało mnóstwo ludzi.

Zerknęła na swoje odbicie w lustrze, ale zaraz szybko odwróciła głowę. Odeszła parę kroków, zmieniła zdanie i wróciła przed lustro. Rano wybrała się do miasta, do fryzjera. Przyjrzała się krytycznie swemu nowemu uczesaniu, poprawiła kosmyki, które wysunęły się z koka upiętego na czubku głowy i zwisały swobodnie na szyi. Jej cera dobrze się prezentowała w ciepłym, lekko różowawym blasku świec. Wiedziała, a przynajmniej miała nadzieję, że wygląda młodo jak na swoje trzydzieści osiem lat. Wygładziła biały kołnierzyk u czarnej sukienki i przypięła brylantową broszkę przy wycięciu pod szyją. Dostała ją w zeszłym roku od Boba, z okazji rocznicy ślubu.

Nie mogła się powstrzymać od wspomnień. Zastanawiała się, w którym momencie popełniła błąd i co mogła zrobić, żeby sprawy ułożyły się inaczej. Nie chciała teraz o tym myśleć. Musiała się skupić na tym, jak go zatrzymać. Co mu powiedzieć, kiedy oświadczy, że ją opuszcza. Bo nie było sensu dalej się oszukiwać - od kilku tygodni czuła, że sytuacja dojrzała do rozwiązania. Rano wstała z łóżka z przekonaniem, że właśnie dzisiaj Bob powie jej, że odchodzi.

Zadrzała, lecz udało jej się zachować spokój. Cokolwiek miało się stać, musi zachować spokój. W chwilach największej rozpaczki wątpiła, czy uda jej się to wszystko przetrzymać, ale teściowa robiła wszystko, by dodać jej otuchy. Kochana Violet. Dobra, kochana Violet. Nigdy nie zawiodła jej zaufania i nie powiedziała synowi, że Linda wie o tej drugiej kobiecie. Pozwoliła, by Linda sama decydowała o rozwoju wydarzeń. Linda zastanawiała się teraz, co by zrobiła bez Violet, bez długich rozmów, jakie toczyły podczas ostatnich tygodni. Ale dziś wieczorem zdana była tylko na siebie. Znowu ogarnął ją ten szarpiący wnętrzości lęk, który nie dawał jej spokoju od rana. Upłynęło wiele lat, od kiedy poprzednio się tak czuła - jakby znowu była nastolatką, tyle że obecnie chodziło o coś znacznie ważniejszego.

- Co ja widzę - usłyszała znienacka głos Boba i aż podskoczyła.

Co się tu dzieje? - Stał w drzwiach, uśmiechnięty, więc i ona się niego uśmiechnęła.

- Czyżbym o czymś zapomniał? - spytał, patrząc na uroczyście nakryty stół i srebrne sztucce, używane tylko przy specjalnych okazjach.

- Nie - odparła podchodząc do niego. - Pomyślałam tylko, że moglibyśmy urządzić sobie miłą kolację we dwoje. - Nie dodała, że być może ostatnią. Objęła go i pocałowała lekko w policzek. Odpowiedział uściskiem, po czym odsunął ją na odległość ramienia.

- Wyglądasz ślicznie.

- Dziękuję. - Zachowywał się tak naturalnie. Nie mogła znieść świadomości, że to wszystko nic dla niego nie znaczy. Nie wiedziała, że kiedy na nią patrzył, bolesny żal ścisnął mu serce. - Może otworzysz butelkę wina - zaproponowała, wychodząc do kuchni. - Ja sprawdzę, jak się sprawy mają z jedzeniem.

Zniknęła za drzwiami. Bob otworzył butelkę, napełnił dwa kieliszki i podniósł swój do ust. Wiedział, że powinien zanieść jej kieliszek z winem do kuchni, ale nie mógł się na to zdobyć.

Dlaczego, dlaczego akurat dziś wieczorem tak się zachowywała? Była taka ciepła i czuła i wyglądała ładniej niż zwykle. Jak, na litość boską, miał jej to powiedzieć?

Usiadł przy stole i pociągnął łyk wina. Rozglądał się po pokoju, myśląc o tych wszystkich miłych chwilach, które tutaj spędzili. We dwoje lub z innymi ludźmi. Jego wzrok padł na fotografię ustawioną na kredensie. Patrząc na nią przypominał sobie dzień ślubu i to, jacy byli wówczas szczęśliwi. Mimo że mieszkali razem już na długo przedtem, ten dzień był najpiękniejszym momentem w ich życiu. Zdjęcie pokazywało, jak bardzo byli w sobie zakochani.

Odwrócił wzrok. Co się z nimi stało? Dlaczego do tego doszło? Cała wina leżała po jego stronie, lecz to niczego nie zmieniało i bynajmniej nie ułatwiało niczego. Dlaczego, do licha, musiało tak być? Dlaczego musiał skrzywdzić drugiego człowieka? I jak spojrzył jej w twarz, kiedy już to wyduka?

Podniósł nóż i zaczął obracać go w palcach. Miał nerwy napięte do granic wytrzymałości. Gdyby go ktoś spytał w tej chwili, czego naprawdę chce, musiałby szczerze odpowiedzieć, że nie chce jej opuszczać. Nie chce odchodzić. Nie chce porzucić tego domu, gdzie żyli razem i cieszyli się szczęściem. Stajni, w których trzymała swoje konie, świeżości poranków, kiedy razem wypuszczali się na przejażdżki po własnym terenie i okolicznych polach. Miał ją przed oczyma, z włosami patarganymi wiatrem, śmiejącą się, że nie może jej dogonić. Pomyślał o wspólnie spędzonych wieczorach, kiedy siedzieli razem, jak mąż i żona, odpoczywając, czytając lub rozmawiając, czerpiąc spokojną radość ze swego towarzystwa. Jak mógł to wszystko odrzucić? Wiedział jednak, że musi. Obiecał Ellamarie i nie mógł jej zawieść, nie teraz.

Usłyszał kroki Lindy przy drzwiach i wziął się w garść. Kiedy weszła do jadalni, stał przy stole, wyciągając w jej stronę napełniony kieliszek.

- Za co wypijemy? - spytała sięgając po wino.

- Za nas, oczywiście - odparł, wstrząśnięty swoją obłudą. Uśmiechnął się jednak podnosząc kieliszek.

- Za nas - powtórzyła. Wypili. - Wszystko jest gotowe. Przyniosę pierwsze danie.

Wróciła niosąc na tacy dwa talerze zupy. Oparła tacę na stole i postawiła przed nim jeden z talerzy.

- Gazpacho - zauważył, niezdolny podnieść oczu. To była jedna z jego ulubionych potraw. Nie po raz pierwszy tego dnia przeszło mu przez myśl, że ona wie, co ma nastąpić.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować - powiedziała Linda. Zaczynała odczuwać zmęczenie napięciem i tą wymuszoną uprzejmością.

Bob z trudem przełykał kolejne łyżki zupy. Poczucie winy i niechęć do samego siebie zupełnie odebrały mu apetyt.

- Nie smakuje ci?

- Smakuje, jest pyszna. Podniósł do ust pełną łyżkę. W końcu z ulgą odsunął od siebie pusty talerz. - Może jeszcze wina?

- Yhm, poproszę.

Napełnił kieliszki modląc się w duchu, by nie zauważyła, jak drżą mu ręce.

- Jesteś gotowy na ciąg dalszy?

- Można podawać. - Silił się na wesołość.

Postawiła przed nim dużą porcję smażonego łososia. Omal nie jęknął. Robrze chociaż, że nie był to jego ulubiony befszytk wołowy, bo tego by już nie zniósł. Podała mu talerz napełniony sałatą i usiadła na swoim miejscu. Czuła się tak, jakby występowała w jakiejś komedii. W każdej chwili mogą się rozleć oklaski' widowni i przedstawienie dobiegnie końca. Tylko że nie było żadnej widowni. Spojrzała na niego - zmarszczki wokół jego oczu ostatnio jakby się pogłębiły. Współczuła mu z powodu rozterek, jakie przeżywał. To musiało być dla niego bardzo trudne. Sprawiał wrażenie zmęczonego i zamkniętego w sobie. Miała ochotę objąć go i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale może nie była już tą kobietą, w której objęciach pragnął się znaleźć. Podniosła sztucę, przełykając łzy cisnące się jej do gardła.

- Violet dzisiaj dzwoniła.

- Tak?

- Wtedy, jak pojechałeś do wsi.

- Jak się miewa?

- Dobrze. Pytała, czy może , przyjechać na parę dni pod koniec miesiąca. Będzie miała remont w mieszkaniu i chce się stamtąd wynieść na ten czas.

Koniec miesiąca. Mój Boże, pod koniec miesiąca jego już tu nie będzie. W całej tej sprawie w ogóle nie pomyślał o matce.

- Nie mam nic przeciwko temu. Co jej powiedziałaś?

- Że, oczywiście, może przyjechać. Przyjedzie samochodem, więc nie ma potrzeby czekać na nią w Londynie.

- Samochodem? Taki kawał drogi?

- Tak powiedziała. Próbowałam ją zniechęcić do tego pomysłu, ale nie chciała mnie słuchać.

- Ja z nią porozmawiam - oznajmił. - To za daleko dla niej,

zwłaszcza w jej wieku. Do tego zawsze się denerwuje, kiedy prowadzi: Może ja mógłbym po nią pojechać. - Co on wygaduje? Jak ma po nią pojechać, skoro go tu nie będzie?

Linda patrzyła na Boba. Co on mówi? Czy to znaczy, że nie ma zamiaru odchodzić? Przynajmniej nie przed końcem miesiąca?

- Sądzę, że się zgodzi, choć, jak znam Violet, będzie to wymagało jeszcze trochę perswazji.

Bob uśmiechnął się. O tak, Linda знаła Violet, która co prawda była jej tesciowa, lecz Linda kochała ją jak własną matkę. Przecież będą mogły się widywać nawet po jego odejściu. Zamknął oczy. Po jego odejściu. Będą tu siedzieć we dwie, w tym domu, który on tak kochał, będą rozmawiać o nim i pocieszać się wzajemnie po tym, co im zrobił.

- Wydaje mi się, że z nogą Moonlighta jest już lepiej. Może moglibyśmy wybrać się rano na przejażdżkę. Przydałoby mu się trochę ruchu, tobie chyba także. - Nieśmiała próba uczynienia rozmowy bardziej swobodną nie powiodła się. Znowu wbiła wzrok w talerz. Prawie nie tknęła jedzenia. Widziała, że i on zjadł niewiele. - Masz jakieś wiadomości na temat *Słynnej tragedii królowej Konwalii*! "

- Adrian wyjeżdża w przyszłym tygodniu do Nowego Jorku, wtedy się czegoś więcej dowiemy.

- Jedziesz z nim?

- Nie mogę. Przynajmniej nie od razu. Obiecałem wygłosić mowę na konferencji poświęconej sztuce. Adrian jest trochę zły z tego powodu, ale nie mogę się wycofać. Chce, żebym dołączył do niego po konferencji.

- Masz zamiar tak zrobić?

- Chyba nie będę miał wyboru.

- To brzmi tak, jakbyś nie miał ochoty tam lecieć? Bob wzruszył ramionami.

- Nie cierpię tego jeżdżenia i zebrania o pieniądze.

- Myślałam, że lubisz Nowy Jork.

- Owszem, lubię. Po prostu w tej chwili nie mam ochoty tam jechać.

Nie zapytała dlaczego. W każdym razie - ciągnął Bob - Adrian będzie miał przy sobie do pomocy Nicholasa Gougha.

- Nicholasa Gougha? Czy on może grał Sebastiana w *Wieczorze Trzech Króli!*

Bob przytaknął.

- Obsadzamy go w roli Tristrama w *Słynnej tragedii królowej Kornwalii.*

- Ach tak. - Włożyła do ust niewielką ilość jedzenia i przeżuwała starannie. - Znaleźliście już kogoś do roli królowej?

Zauważyła, że twarz mu stężała i pociemniała od rozchodzącego się od szyi rumieńca.

- Hmm, jeszcze nie podjęliśmy decyzji.

Widziała wyraz jego oczu, kiedy pochylił się nad talerzem,

A więc wiedziała już, kim jest ta druga kobieta. Musiała jeszcze

tylko poznać jej nazwisko. Choć ono było akurat bez znaczenia.

Z jednej strony wolałaby go nie znać, lecz z drugiej jakaś nieznaną siłą zmuszała ją, by o nie zapytać.

Wreszcie, zagłuszając inny wewnętrzny głos, ostrzegający ją przed zadaniem pytania, Linda odezwała się:

Macie kogoś konkretnego na myśli? Odłożył sztućce i sięgnął po kieliszek. Drżenie ręki było prawie niewidoczne, a jednak nie uszło jej uwagi. A więc miała rację. Kimkolwiek była ta druga kobieta,, miała zagrać królową Kornwalii. I kimkolwiek była, miała dzielić z nim życie w przyszłości. Być może całe życie.

- Czytałeś w dzisiejszej, gazecie o Johnie Harcie? - spytała nieoczekiwanie.

Bob spojrział na nią zdziwiony. Z wyrazu jej twarzy wyczytał, że wie o wszystkim. Odstawił kieliszek.

- Nie - odparł zmęczonym tonem, potrząsając głową. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będą tak udawać. I, na litość boską, dlaczego ten talerz ani trochę się nie opróżniał? - Nie - powtórzył. - Co piszą?

- Wygląda na to, że wpakował się w jakieś tarapaty. Coś jest nie tak z rachunkami w jego firmie, ale nie podają żadnych szczegółów.

- Nie wiedziałem, że John ma kłopoty - zdziwił się Bob.
- Ja też nie. Zresztą nie wiemy jeszcze, czy to prawda.
- Może powinienem do niego zadzwonić. W końcu w przeszłości wyświadczył mi sporo przysług. Może mógłbym mu jakoś pomóc.
- To byłoby miłe - stwierdziła Linda. - Na pewno byłby wdzięczny. Próbowałam się dziś dodzwonić do jego żony, Janice, ale nikt nie odbierał telefonu. Obawiam się, że ten skandal bardzo się na niej odbije. Wiesz, jak ona dbała o to, żeby zawsze być w porządku. A teraz całe jej życie ma być wywleczone na widok publiczny przez jakiś brukowiec. To musi być dla niej okropne.
- Tak, to prawda - przyznał. Spojrzał na Lindę zastanawiając się, jak ona sobie poradzi, kiedy jej osobiste sprawy zostaną opisane na łamach prasy, co niechybnie musi nastąpić. To była jeszcze jedna rzecz, o której dotąd nie myślał. To, że on i Ellamarie znajdą się na pierwszych stronach gazet, było oczywiste, ale nigdy nie brał pod uwagę, że spotka to również Lindę. Codziennie będzie napastowana przez wścibskich dziennikarzy, a fotoreporterzy będą wyskakiwać zza każdego krzaka, kiedy wybierze się na przejażdżkę. Banda pozbawionych skrupułów pismaków zatruje jej życie.
Jezu Chryste! Niedobrze. Wszystko, co mówili, miało swoje drugie dno. Za długo się znali, by dalej ciągnąć tę grę pozorów. Odsunął od siebie talerz. - Nie mogę jeść.
- Ja też nie. - Odłożyła nóż i widelec.
- Myślę, że powinniśmy porozmawiać, Lindo. Może usiądziemy wygodnie.
Przyptyw paniki sparaliżował ją do tego stopnia, że nie była w stanie się odezwać. Teraz jej powie. Powie, że już jej nie kocha i ma zamiar ją opuścić. Nię może go dopuścić do słowa. Musi odezwać się pierwsza.
Przeszła za mm do salonu i usiadła w dużym fotem przy korninku. On zajął sąsiedni fotel; zapatrzył się w płomienie. Napełniła jego kieliszek z butelki, którą zabrała ze sobą z jadalni i wyprostowała się w fotelu.
- Bob...
- Lindo...

Zaczęli mówić w tym samym momencie.

- Przepraszam - wycofał się Bob

- Ależ nie, mów. Wiedział, że patrzy na niego, ale nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Lindo, muszę ci coś powiedzieć. Nie jest to łatwe, ale muszę ci powiedzieć.

- Nie, nie mów - szepnęła. - Proszę cię, nie mów tego. Jeszcze nie. Nie wiem, czy będę mogła to znieść.

Pokiwał głową ze smutkiem, patrząc, jak nawija luźne kosmyki włosów na palec.

- Mogę ja najpierw coś powiedzieć? - spytała. Przytaknął.

Podniosła do ust kieliszek. Bob słyszał, jak przetyka wino. Znowu zacięła bezwiednie oplatać włosy na palcu, jakby to jej pomagało zachować spokój.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Bob. Wiedziałam już od pewnego czasu. Nie chcę, żebyś myślał, że cię obwiniam. Tak naprawdę to wcale nie mam do ciebie żalu. Mogłam się bardziej starać. Teraz to wiem, ale takie rzeczy zazwyczaj wie się, kiedy już jest za późno. Chcę tylko, żebyś wiedział, że nadal cię kocham i gdybyś kiedyś zmienił zdanie, to będę tutaj. Będę na ciebie czekać, Bob. Co noc będę się modlić, żebyś do mnie wrócił. Ale widzę, jak cierpisz, bo patrząc na mnie, masz ją przed oczyma. Czuję dotyk twoich rąk i wiem, że dotykając mnie myślisz o mej. Wiem, że to nie może dłużej trwać. Wiem, że cię straciłam i że to nie mnie już kochasz. Wiele bym dała, żeby cofnąć czas, ale jest za późno. Chciałam cię uszczęśliwić, wierz mi, chciałam, żebyś był ze mną szczęśliwy. Ale mi się nie udało. Nie mam ci za złe. Nigdy nie będę cię obwiniać. Mam tylko nadzieję, że ona da ci szczęście.

Bob zakrył dłońmi oczy.

- Tak mi przykro - odezwał się zduszonym głosem. - Boże, tak mi przykro. - Wziął ją za rękę i spojrzał jej w oczy. - Nie chcę, żebyś myślała, że nie byłem szczęśliwy. Byłem. Nie chcę cię opuszczać, wierz mi, nie chcę cię opuszczać. Ale muszę. Proszę cię, nie każ mi tego wyjaśniać, ale naprawdę muszę. Nadal cię kocham.

To mi sprawia największy ból, to, że nadal cię kocham. I jeszcze ta świadomość, że ty też mnie kochasz, pomimo krzywdy, jaką ci wyrządziłem. Mój Boże, gdybyś wiedziała, jak bardzo będę za tobą tęsknił. Ale po co to wszystko mówić? Przecież to nic nie zmienia.

Linda potrzaskała głową i wzniosła oczy do góry. Bob słyszał jej płacz, lecz nie był w stanie na nią spojrzeć.

- Kochasz ją?

- Nie będę cię okłamywał - westchnął. - Już nigdy...

- Nie, me mów. Chyba tego nie zniosę.

- Nic już nie powiem.

Długo siedzieli w milczeniu. Chciała go spytać, kiedy zamierza odejść, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Było tyle rzeczy, o które chciała go spytać, lecz żadne słowa nie przechodziły jej przez gardło. W każdej chwili mógł wstać z tego fotela, by nie usiąść w nim nigdy więcej. A ona odtąd będzie się wpatrywać w ten fotel i myśleć o nim, będzie sobie zadawać cierpienie zastanawianiem się, co on robi w tej chwili. Co piątek będzie nasłuchiwać zgrzytnięcia jego klucza w zamku. I za każdym razem wracając do domu będzie się modlić, by jego samochód stał przed domem, kiedy wyjedzie z zakrętu. I co noc będzie myśleć o nich obojgu i zastanawiać się, czy on jeszcze się śmieje, czy w ogóle, o niej myśli.

Bob westchnął głęboko. Spojrzała wreszcie w jego stronę. Sprawiał wrażenie zmęczonego i nieszczęśliwego, ale nie potrafiła go pocieszyć.

- Gdybyś tylko wiedziała. Gdybyś wiedziała, jak inaczej to wszystko mogło się potoczyć. Gdybyś nie przyszła tamtego wieczoru do teatru.

- Tyle gdybania...

- Tak, dużo. Na wszystko już za późno. Oddychanie sprawiało jej trudność. Ukryła twarz w dłoniach, żeby powstrzymać łzy.

- Wiem, że me powinnam ci tego robić, Bob. Wiem, że to niczego nie zmieni i nie przestaniesz jej kochać. Ale proszę cię, powiedz, że nigdy nie będziesz żałował tamtej nocy, kiedy przyjechałam do teatru. Proszę cię, powiedz.

Spojrzał na nią pytająco.

- Proszę cię, po prostu powiedz

- Nie mogę. Gdybyś знаła prawdę, wiedziałabyś, żenię mogę.

- Och, Bob - zaszlochała. - Gdybyś ty znał prawdę; nigdy byś tego nie powiedział.

- Prawdę? Jaka prawdę?

Opuściła wzrok. Zaczęła obracać w palcach kieliszek.

- Już nic. Zapomnij, co powiedziałam. - Ból i smutek w jej głosie zraniły go bardziej niż wszystko do tej pory.

Wiedział, choć dopiero teraz to do niego naprawdę dotarło, że kocha swoją żonę. To z nią chciał pozostać na zawsze. Ale teraz było to już niemożliwe.

Podniósł się z fotela.

- Będę dziś spał w gościnnym pokoju.

Kiedy na niego spojrzała, uświadomił sobie, że gdyby poprosiła, by do niej przyszedł, nie umiałby się powstrzymać. Jednakże nic nie powiedziała.

Podszedł do drzwi.

- Lindo - powiedział cicho, nie odwracając się. - Przepraszam. Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo mi przykro.

Wyszedł.

Następnego ranka, tuż przed szóstą, Linda poszła na górę się przebrać. Przesiedziała w fotelu całą noc. Nie była w stanie spać w ich małżeńskim łóżku wiedząc, że on jest w sąsiednim pokoju. Zapadała w krótkie drzemki, lecz to zmęczyło ją jeszcze bardziej, niż gdyby w ogóle nie spała. Za każdym razem, budząc się w ubraniu na fotelu, przypominała sobie wszystko i ogarniała ją fala rozpacz. W końcu nie mogła już tego wytrzymać.

Wyjęła z szafy bryczesy i buty do konnej jazdy i nałożyła je na siebie, zrzucając sukienkę. Wiedziała, że niełatwo jej będzie jeździć po polach, po których tyle razy galopowali razem, ale musiała wyjść z domu.

Musiała być z jednym ze swych koni, czuć dotyk miękkich chrap, przytulić się do ciepłej końskiej szyi.

Wyszła z domu i omal nie zawróciła od progu. Słońce świeciło jasno, zapowiadał się piękny dzień. Przyroda nie dzieliła jej smutku. Nie wróciła jednak do domu. Po chwili Barry osiodłał jej ukochanego Petruchia.

Wzięła od stajennego wodze i wyprowadziła konia na podwórze.

Wskakując na jego grzbiet, nie obejrzała się w stronę domu. Gdyby to zrobiła, mogłaby dostrzec Boba obserwującego ją przez okno. Z tej odległości nie widziałaby jednak żalu w jego oczach i śladów łez mu policzkach. Patrzył, jak się oddala. Odwrócił się dopiero, kiedy zniknęła mu z oczu. Wszedł do sypialni i otworzył szuflady ze swoimi rzeczami. Patrzył na nie przez dłuższą chwilę, nie mogąc się zmusić, by ich dotknąć.

W końcu usiadł ciężko na łóżku i próbował spokojnie się zastanowić. Myśli kłębiły się bezładnie, przyprawiając go o zawrót głowy. Położył się i zamknął oczy.

Musiał widocznie zasnąć, bo kiedy znów je otworzył, dochodziła ósma. Podeszedł do okna. W zasięgu jego wzroku nie było nikogo. Zapewne dawała mu czas na odejście, nie chciała być tutaj, gdy będzie się wyprowadzał.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Po drugiej stronie kilka razy rozległ się sygnał, a potem usłyszał głos matki.

- Mamo, tu Bob.

- Jak się masz, mój drogi?

- Dobrze. Nie, to kłamstwo. Wcale nie czuję się dobrze.

- Rozumiem - powiedziała tonem, który go zaskoczył.

- Muszę ci coś powiedzieć, mamo.

- Słucham.

- Może powinienem do ciebie przyjechać.

- Może powinieneś - zgodziła się. - Ale wolałabym, żebyś powiedział mi to teraz.

Zapadła cisza, lecz wiedziała, że on nie odłożył słuchawki, i czekała cierpliwie.

- Chodzi o Lindę - zaczął wreszcie. - O Lindę i o mnie. Usłyszał głębokie westchnienie po drugiej stronie.

- To znaczy, że jej powiedziałaś?
- A więc matka także wiedziała. Zastanawiał się, od jak dawna.
- Jak ona to przyjęła? - spytała Violet, nie doczekawszy się potwierdzenia.
- Nienajlepiej.
- Gdzie teraz jest?
- Jeździ konno.
- Aha. Jesteś pewien, że podjąłeś właściwą decyzję?
- Nie, ale musiałem podjąć właśnie taką.
- Dlaczego?
- Nie chcę o tym mówić, mamo, po prostu uwierz mi, że musiałem.
- Kochasz tę drugą kobietę. Zawahał się na ułamek sekundy.
- Tak. Kocham ją.
- A Linda? Kochasz ją?
- Tak. Bardziej niż przypuszczałem. Ale nic już na to nie mogę poradzić.
- To brzmi tak, jakbyś się znalazł w pułapce.
- To nie jest całkiem tak.
- Cóż, nie chcę znać szczegółów, ale wnoszę z tego, że gdybyś miał możliwość wyboru, nie opuściłbyś Lindy?
- Zapadła cisza.
- Jesteś tam?
- Tak - odezwał się. - Jestem.
- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.
- Nie mogę na nie odpowiedzieć. Jest już za późno. Sprawy zaszły za daleko.
- Usłyszał, jak matka znowu wzdycha.
- Usiądź, Bob, o ile jeszcze nie siedzisz. Myślę, że nadszedł czas, abyśmy porozmawiali poważnie.

Rozdział 34

Heather wydała z siebie radosny pisk i schowała się za drzewem. Jenneen pobiegła w tamtą stronę; dziecko roześmiało się głośno, kiedy znienacka wystawiła głowę zza pnia z okrzykiem: A kuku!

- Teraz twoja kolej szukania - stwierdziła Jenneen. - Zasłoń oczy, tym razem masz uczciwie doliczyć do dziesięciu.

Dziewczynka przyłożyła raczki do twarzy.

- Jeden, dwa, trzy... - Dziecięce paluszki rozchyliły się nieco.

- Znowu oszukujesz! - krzyknęła Jenneen. - Nie wolno podglądać.

Heather zachichotała i przycisnęła buzię do pnia.

- Jeden dwa, trzy... - zaczęła od nowa.

Jenneen obiegnęła wokół altankę i wcisnęła się pod żywopłot.

- ...dziewięć, dziesięć. Szukaaam! - Heather rzuciła się w pościg. Vicky stała w drzwiach wiejskiego domu rodziców i z uśmiechem

obserwowała Jenneen bawiącą się z jej małą kuzynką. Przyjechały tu w piątek wieczorem. Jenneen była tak zmęczona, że z trudem dowlokła się do łóżka. A teraz, po upływie zaledwie dwóch dni, tryskała energią, gotowa znowu stawić czoło całemu światu. No, może nie akurat całemu światu, ale z pewnością rabinie Vicky.

Tego ranka niespodziewanie zjawił się kuzyn Paul z żoną, zapowiadając, że zatrzymają się tu na trzy dni w drodze do Kornwalii. Ciotka przyjęła go z otwartymi ramionami. Vicky wyczuła pewne napięcie, kiedy Jenneen zobaczyła Paula. Domyśliła się, że Paul był jedną z jej zdobyczy w przeszłości, najprawdopodobniej podczas przyjęcia u Roberta Blackwella. Vicky włączyła się do rozmowy, usiłując rozładować sytuację. Żona Paula okazała się jednak mało spostrzegawcza; nie nabrałaby chyba żadnych podejrzeń, nawet gdyby Jenneen próbowała w jej obecności powtórzyć przedstawienie. Była miłą, przyjaźnie nastawioną do świata osobą. Wypytywała Jenneen o rodzinę i pracę w telewizji. Jenneen szybko poczuła do niej sympatię. Trudno było zresztą nie polubić tak zagorzałej zwolenniczki swojego programu.

Po lunchu rodzice Vicky zapadli w zwyczajową popołudniową drzemkę, a Paul wybrał się z żoną na spacer. Heather, ich czteroletnia córeczka, uprosiła rodziców, by pozwolili jej zostać i pobawić się z Jenneen. Vicky zajęła się przegadaniem kilku zaległych sprawozdań finansowych. Popołudnie minęło spokojnie.

Uporawszy się z pracą, Vicky doszła do wniosku, że mogłaby dołączyć do Jenneen i Heather, ale widząc, jak świetnie się razem bawią, postanowiła im nie przerywać. Stała w drzwiach i przyglądała się ich zabawie.

- Dam ci pensa, jak powiesz, o czym myślisz,

- Paul - wykrzyknęła, oglądając się za siebie. - Nie słyszałam, kiedy wróciłeś.
- Bo strasznie byłaś zamyślona. Gdzie ciocia Grace?
- Jeszcze w łóżku. Obawiam się, że niedzielne popołudniowe drzemki stają się coraz dłuższe. Gdzie Susan?
- Poszła wziąć kąpiel.
- Skąd do licha to wasze dziecko ma tyle energii?
- Po tatusiu ma się rozumieć. Vicky uniosła brew.
- No tak, głupie pytanie. Napijesz się herbaty?
- Nastawię czajnik.

Vicky usiadła przy stole, patrząc na Jenneen i Heather przez otwarte drzwi. Po chwili riodniosła wzrok i uśmiechnęła się, widząc, że Paul stoi obok i także razygląda się harcom w ogrodzie. Położył jej rękę na ramieniu i lekko uścisnął.

- Powiedziałaś jej już?
- Komu? - odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz.
- Jenneen.
- O czym?

Popatrzył na nią bez słowa.

- Nie, nie powiedziałam. - Odwróciła głowę.
- Masz zamiar jej powiedzieć?
- Nie wiem. Nie wiem, czy powinnam. Podeszedł do drzwi; włożył ręce do kieszeni.
- Myślę, że powinnaś.
- Tak sądzisz?
- Yhm. - Pokiwał głową.
- Jak myślisz, jak ona to przyjmie?
- Ty znasz ją lepiej.
- Czasami tak mi się wydaje. - Vicky wzruszyła ramionami. -Ale nieraz...

- Przecież tak jest z każdym.
 - Po prostu... nie wiem, jak jej to powiedzieć.
 - To rzeczywiście niełatwe.
 - Woda się gotuje. - Vicky ocknęła się z zamyślenia. - Zaparzysz herbatę, czy ja mam to zrobić?
 - Może ty zrób. Ja pójdę aa odsiecz Jenneen. Niech Heather pójdzie pomęczyć trochę Susan w kąpielni.
 - O, nastawiliście wodę na herbatę - ucieszyła się pani Deane wchodząc do kuchni. - Pewnie słyszeliście, że wstajemy? - Czy słyszeliśmy? Już się zastanawialiśmy, co wy tam na górze z wujem wyprawiacie - zażartował-Paul. - Zdziwiłbyś się - zachichotała pani Deane, wywołując zaskoczenie u córki.
 - Tatuś też już schodzi?
 - Tak. Ubiera się. Mój Boże, one nadal szaleją w ogrodzie? - zdziwiła się pani Deane, wychodząc przed dom.
 - Spędziły tam całe popołudnie.
 - Właśnie miałem zamiar uwolnić Jenneen - oznajmił Paul, schodząc po kilku schodkach prowadzących z domu do ogrodu. - Dziękuję, kochanie. - Matka przyjęła od Vicky filiżankę. Przełknęła łyk herbaty. - Jak myślisz, czy twoja przyjaciółka dobrze się u nas czuje?
 - Jestem pewna, że tak - odparła Vicky. - Wszyscy jesteście dla niej tacy mili.
 - Nie będę pytać, co jej było, ale wygląda teraz znacznie lepiej niż w chwili przyjazdu tutaj.
 - Myślę, że ona to czuje.
 - Wyjeżdżacie dziś wieczorem?
 - Woląłybyśmy wyjechać jutro, jeśli to ci nie sprawi różnicy.
 - Oczywiście, że mi nie sprawi. Wjesz przecież, że możecie zostać tak długo, jak wam się spodoba.
 - Wiem - Vicky uśmiechnęła się, siadając koło matki. Pani Deane wbiła wzrok w dno filiżanki.
 - Czy Jenneen?... Czy ty?... - Nie. - Vicky zaśmiała się z przymusem.
 - Tak tylko się zastanawiałam.
- Wrócił Paul, niosąc Heather pod pachą; za nimi zjawiała się Jenneen.
- W dzbanku jest herbata - powiedziała Vicky. - Poczęstujcie się.

- Mogę dostać lemoniady, babciu?
- Tak, skarbie. Zaraz ci przyniosę.
- Proszę się nie trudzić, ja podam - zaoferowała się Jenneen. Podeszła do lodówki i naląła także dla siebie. - Jestem wykończona. -Opadła na krzesełko. - Zawsze mnie zdumiewa, skąd dzieci czerpią tyle energii. Amoże to ja się po prostu starzeję?
- Starzejasa aię - potwierdziła ze śmiechem Vicky. Jenneen chwyciła gąbkową piłeczkę Heather i rzuciła w nią z udawaną złością.
- Czas do wanny - zdecydował Paul, wyjmując dziecku z rąk szklanke.
- Nie chcę się kąsać, dopiero co wczoraj się kąpałam.
- I dzisiaj też możesz. Chodź, mamusia już jest w łazience. Może zmieścimy się w wannie we trójkę? - Mrugnął do zebranych przy stole pań.
- Tylko pamiętajcie, żeby wytrzeć podłogę, jak skończycie -zawołała za nimi pani Deane.
- Nie wiem jak wy... - Vicky podniosła się z miejsca. - Ale ja idę na spacer.
- Ja chyba nie mam siły. - Jenneen ziewnęła, po czym roześmiała się, widząc minę Vicky. - No dobrze, już dobrze, idę. - A ty, mamusiu?
- Dziękuję, moja droga. Ja zostaję.
- Ty to masz szczęście - odezwała się Jenneen, kiedy szły w stronę małego zagajnika, oddzielającego posiadłość Deanów od sąsiedniej farmy.
- Szczęście? Dlaczego?
- Dlaczego? Bo masz to wszystko.-Jenueen machnęła ręką w stronę drzew. -I rodzinę. To cudowni ludzie. Chciałabym, żeby moja rodzina była podobna. Chociaż od razu czuję się winna, że tak pomyślałam. Vicky uśmiechnęła się pod nosem.
- To nie znaczy wcale, że nie kocham mojej rodziny. Kocham ich. Ale moje życie bardzo się różni od ich życia. To smutne, mam jednak wrażenie, że należymy do dwóch różnych światów. Ja znam ich świat, ale oni nie znają mojego. I tak, jakby się go bali.

- Chciałabym się kiedyś spotkać z twoją rodziną - stwierdziła Vicky.

Jenneen odwróciła się do niej z uśmiechem.

- To miłe, ale obawiam się, że spotkanie nie byłoby udane. Oni by się czuli bardzo niepewnie, a ciebie i mnie by to bardzo krępowało. W każdym razie, dziękuję za dobre chęci.

- Mówiłam szczerze.

- Wiem o tym.

Szły przez chwilę w milczeniu, zrywając z drzew kolorowe jesienne liście. W pobliżu nie było żywej duszy, Jenneen poczuła się tak, jakby spacerowała po jakimś zakątku raj, gdzie wszystko jest skończone doskonale. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Z czego się śmiejesz?

- Pomyślałam sobie, że jest tu tak pięknie, że człowiekowi nie chce się wyjeżdżać.

- To prawda - przyznała Vicky. - Ale zawsze można wrócić. Doszły do skraju lasu. Jenneen wspięła się na przełaz i usiadła na szczycie. Vicky oparła się z boku.

- Vicky - odezwała się Jenneen po chwili milczenia.

- Tak?

. - Mogę cię o coś spytać?

- O co?

- Hmm, to dosyć osobiste pytanie.

- Spróbuj. - Vicky wzruszyła ramionami.

- Byłaś kiedyś zakochana?

Vicky spojrzała na nią, wyraźnie zaskoczona pytaniem.

- Owszem, byłam. Dlaczego pytasz?

- Sama nie wiem. Może dlatego, że nigdy o tym nie mówiłaś.

- Nie bardzo jest o czym mówić. A ty? Byłaś kiedyś zakochana? Jenneen przez parę sekund myślała nad odpowiedzią, po czym potrząsnęła głową.
- Nie, chyba nie byłam. Vicky tylko się uśmiechnęła.
- Oczywiście, czasem mi się zdawało, że jestem zakochana

- ciągnęła Jenneen - ale kiedy rozmawiałam z Ashley albo Ellamarie, to wtedy sobie uświadamiałam, że nigdy nie czułam do nikogo tego, co one.

- Jeszcze poczujesz.

- Wszyscy tak mówią. Ten jeden jedyny czeka gdzieś i może się zjawić w każdej chwili.

- Można się znudzić wysłuchiwaniami tego w kółko.

- Właśnie.

Jenneen zsunęła się z mostku i ruszyła w stronę lasu.

- A ty myślisz, że on naprawdę czeka? I że się zjawi?

- Może to zależy od tego, czy chcesz, żeby się zjawił. A chcesz?

- I tak, i nie. Nie wiem, czy poznam, że to właśnie on. Nawet jeśli się pojawi.

Dotarli do niewielkiej polanki, Vicky zatrzymała się przy starym, skrzywionym dębie, gdzie często bawili się z Pauliem jako dzieci. Jenneen przykucnęła, by nazbierać stokrotek. Potem usiadła na trawie i zaczęła splatać wianek. Vicky obserwowała ją z uśmiechem. Przypominała jej dziecko.

- Jenn - odezwała się po chwili łagodnym tonem. - Kiedyś będziesz musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Wiesz o tym? Ręce splatające wianek znieruchomiały.

- Wiem - powiedziała Jenneen nie podnosząc oczu.

- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego to robisz? Co za siła cię do tego zmusza?

Jenneen potrząsnęła głową.

- Musi być jakiś powód. Nie mogę zrozumieć, dlaczego sama wyrządzasz sobie taką krzywdę.

- Ja też tego nie rozumiem. Czy Matthew o tym wie?

- O pani Green?

- Tak,

- Tak, wie o wszystkim.

- Co masz zamiar zrobić?

Jenneen wreszcie na nią spojrzała.

- Może powinnaś zadać to pytanie Matthew. Co on zamierza zrobić? Ale pytam ciebie.

Jenneen wstała i podeszła do pobliskiego drzewa. Zaczęła palcami obskubywać korę.

- Chyba zamierzam go zabić. Vicky patrzyła na nią bez słowa.

- Mam pistolet. - Jenneen odwróciła się tyłem do drzewa i wsparła plecami o pień.

- Naprawdę jesteś gotowa go użyć?

- Nie wiem.

- Jeśli go zabijesz, to on wygra.

- Wiem.

Stały przez chwilę w milczeniu.

- To nie jest rozwiązanie, Jenn.

- Możliwe, że nie. Jak myślisz, dlaczego on mnie tak nienawidzi?

- Kto może wiedzieć, co kryje się w takim pokrętnym umyśle jak jego?

- Albo jak mój - zaśmiała się gorzko Jenneen.

- Albo jak twój - zawtórowała jej śmiechem Vicky.

W leśnym poszyciu coś nagle zaszeleściło. Wiewiórka wspięła się na pień i zniknęła pośród liści korony.

- Nie podoba mi się to, co robię. Później nienawidzę siebie za to. Ale równocześnie nie potrafię nad sobą zapanować. Może z Matthew jest tak samo, kto wie?

- Nie - sprzeciwiła się Vicky. - Matthew jest chory. Autentycznie chory. Pamiętaj, że jest alkoholikiem. Jego mózg nie pracuje normalnie z powodu whisky.

- Nie zawsze.

- Właśnie dlatego jest chory. Jest sadystą. Nie ma sensu spekulować dlaczego robi to, co robi. Żadna z nas nie znajdzie na to odpowiedzi.

- Matka zawsze mi powtarzała, że w każdym jest jakieś dobro, nawet w najgorszym człowieku. -

- Moja mówi to samo. Ale tacy ludzie jak Matthew. .. No cóż, od każdej reguły są wyjątki.

- Sądysz, że to, co mi robi, sprawia ma przyjemność?
- Kto wie? Vicky wzruszyła ramionami. - Pewnie tak, w jakiś perwersyjny sposób. A ty? Czy to, co robi pani Green, sprawia ci przyjemność?

Jenneen popatrzyła na nią z przerażeniem w oczach.

- Nienawidzę pani Green. Budzi we mnie wstręt, myślałam, że wiesz o tym.
- Więc dlaczego to robisz?
- Mówiłam ci już - W głosie Jenneen słychać było zniecierpliwienie. - Nie wiem. Nie mogę się powstrzymać. To jest niezależne ode mnie.
- A ci mężczyźni, których wybierasz?
- O co ci chodzi? Czy mają z tego przyjemność? - Jej uśmiech wyrażał jedynie gorycz. - Skąd mam wiedzieć? Czemu ich nie spytasz?

Vicky zignorowała subtelną aluzję do Paula.

- Złości cię myśl, że ty lub pani Green mogłyście dawać im przyjemność?

Jenneen milczała. Przyglądała się, jak zając umyka do nory. w korzeniach drzewa. Nad jej głową zaskrzeczał ptak. Spojrzała w górę, by odszukać go wzrokiem w gałęziach. Vicky wciąż czekała na odpowiedź.

- Więc?...

Ku zdumieniu Vicky oczy Jenneen zapłonęły gniewem.

- Tak, skoro już chcesz wiedzieć. Złości mnie jak cholera. A panią Green nie. Pani Green się to podoba. Ale ja ich nienawidzę. Wszystkich razem i każdego z osobna. Nienawidzę ich za to, kim są, za ich słabość, a najbardziej za to, że mnie dotykają. Tak, złości mnie. Tak bardzo, że po tym miałabym ochotę pozabijać ich wszystkich. Ha! Dobrze powiedziane. Po tym. Zauważ, że powiedziałam: po tym. Nie wcześniej.; Bo wcześniej, ja ich proszę. Rozumiesz? Czasami wręcz ich błagam, żeby się ze mną pieprzyli. Mieści ci się tow głowie? A potem, kiedy już to zrobią, mam ochotę ich zabić albo wykastrować, bo ich nienawidzę. Ale najbardziej ze

wszystkich nienawidzę siebie. - Odepchnęła się od pnia i wolnym krokiem ruszyła naprzód. Zatrzymała się na granicy polany.

Nie odzywały się. Vicky patrzyła na jej pochylone plecy. Była przekonana, że Jenneen płacze, lecz kiedy się odwróciła, w jej oczach nie było śladu łez, a twarz przybrała łagodny wyraz.

- Wiesz, ja jestem tak samo chora jak Matthew. Może nawet bardziej.

- Nie, nie jesteś chora. Jedyne zagubiona.

- Zagubiona! - wykrzyknęła Jenneen, wznosząc ręce do nieba. -Zagubiona! Jestem trochę więcej niż zagubiona. Jestem zboczona. Jestem schizofreniczką. We mnie są dwie osoby, Vicky, nie widzisz tego? To jest jak opętanie, jak posiadanie w swoim wnętrzu złego ducha, nad którym nie można zapanować. Nigdy nie wiesz, do czego cię zmusi. Na jakie dno nieprawości cię zepchnie. Chowa się, odchodzi, ale wraca, jeszcze gorszy, jeszcze bardziej przebiegły. Bierze we władanie moje ciało, mój rozum, moje zmysły, bierze całą moją pieprzoną duszę i, słowo daję, nie wiem już, co dalej zrobić.

Vicky podeszła i wzięła ją w objęcia. Jenneen oparła głowę na jej ramieniu.

- Co ja zrobię? - zaszlochała. - Proszę cię, powiedz, co mam zrobić?

- To może się okazać nie takie trudne, jak ci się wydaje,

- To się nie zmieni. Uwierz mi, to się nie zmieni.

- Zmieni się, jeśli tego pragniesz. Jenneen oswobodziła się z jej objęć.

- Jasne, że pragnę. Nie słyszałaś, co powiedziałam? Nienawidzę siebie. Nienawidzę Matthew. Nienawidzę tego wszystkiego.

- Powiedz mi, Jenn, ale tak szczerze, z głębi serca, czy ty kochasz Matthew?

Jenneen spojrzała Vicky prosto w oczy.

- Tak szczerze i z głębi serca to ja go nienawidzę. Budzi we mnie odrazę, - Jej głos był zupełnie spokojny.

Vicky wiedziała, że mówi prawdę. - Pogardzam nimi wszystkimi - dodała Jenneen. - Każdym z nich. Chce się od nich uwolnić, ale nie wiem jak.

Vicky wzięła Jenneen pod rękę. Ruszyły z powrotem w stronę domu.

- Ja wiem - Vicky powiedziała tylko tyle.

Kiedy znalazły się już w domu, Jenneen przeprosiła towarzystwo i udała się do swojego pokoju. Była już spokojniejsza, lecz nadal nie miała siły brać udziału w błażej pogawędce.

Jakaś godzinę później usłyszała pukanie do drzwi. Weszła Vicky z dwoma kwiliskami wina.

- Pomyślałam sobie, że powinnaś spróbować domowego wyrobu taty.

Jenneen podriękowała, biorąc kieliszek.

- Jak się teraz czujesz? Jenneen podeszła do okna.

- Właściwie nie wiem. Nic nie czuję. Vicky stanęła obok niej.

- Popatrz na zachód słońca - powiedziała cicho Jenneen, obserwując ognistą kulę znikającą za horyzontem. Stały w ciszy.

- Vicky - odezwała się znowu szeptem, kiedy na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno.

- Słucham?

- Dziękuję ci. Dziękuję, że zmusiłaś mnie do myślenia, że słuchałaś . i że byłaś przy mnie. Nie wiem, czy to coś pomogło, ale i tak ci dziękuję.

- To ważne, żeby mieć kogoś przy sobie. Kiedyś przy mnie był Paul. Wydaje mi się, jakby to było bardzo dawno, w jakimś innym życiu, ale to dlatego jesteśmy sobie tacy bliscy. On wie o mnie wszystko.

Jenneen spojrzała jej w twarz.

- A ty wiesz wszystko o mnie:

- Prawie wszystko.

- To był cudowny weekend. - Jenneen westchnęła. - Cieszę się, że mnie tu przywiozłaś.

Objęła Vicky i mocno uścisnęła. Vicky odwzajemniła uścisk.

- A ja się cieszę, że miło spędziłaś ten czas. Ją także. Jenneen odsunęła się, by spojrzeć Vicky prosto w oczy.
- Jesteś taka dobra - szepnęła. Vicky nachyliła się i lekko musnęła wargami jej usta. Był to delikatny, przyjacielski pocałunek i Jenneen odebrała go jako coś zupełnie naturalnego. Dotknęła policzka Vicky.
- Dziękuję ci.

Vicky delikatnie chwyciła jej rękę i złożyła lekki pocałunek we wnętrzu dłoni. Patrzyły sobie, w oczy. Potem Jenneen ujęła dłoń Vicky i zrobiła to samo. Vicky pogładziła ją po włosach, a potem pochyliła się i znowu ją pocałowała. Jenneen czuła, jak jej własne usta z drżeniem oddają pocałunek.

Vicky gwałtownie oderwała się od niej.

- Przepraszam. - Odwróciła się, żeby odejść.
- Nie, proszę cię, nie przepraszaj. Vicky uśmiechnęła się smutno.
- Jesteś taka piękna.
- Ty też.

Spojrzenie Vicky znowu nabrało czułości. Ujęła w dłonie twarz Jenneen. Teraz Jenneen nachyliła się i odszukała ustami jej wargi. Objęła ją w pasie i przycisnęła do siebie, kładąc jej głowę na ramieniu.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytała Vicky drżącym głosem.
- Nie wiem. - Jenneen nie zdejmowała głowy z jej ramienia. - Wiem tylko, że jest mi dobrze, kiedy mnie tak obejmujesz. Po chwili odsunęła się od niej.
- Idę do łóżka.
- To ja już sobie pójdę - powiedziała Vicky z posmutniałą miną.
- Nie, proszę cię, nie odchodź.
- Ale Jenn...
- Cicho. Nie boję się. Jeśli ty się nie boisz.

Vicky się uśmiechnęła. Odgarnęła Jenneen włosy za uszy.

- Czy to mówi pani Green, czy Jenneen?
- To ja, Jenneen.

- To się nie boję.

Rozebrały się w milczeniu, nie patrząc na siebie. Wciąż nie mówiąc ani słowem weszły do łóżka. Vicky zgasiła światło i leżały obok siebie w ciemności, nadal się nie odzywając.

- Jenn.

- Tak?

- Wiedziałaś? Chodzi mi... o mnie?

- Nie - odpowiedziała Jenneen. - Nie wiedziałam.

- Powinnam była ci powiedzieć.

- To nie ma znaczenia.

- Masz mi za złe? Jenneen odwróciła się do niej.

- Nie.

- Szczerze?

- Szczerze. Daj mi rękę.

Vicky wyjęła ręce spod kołdry i dotknęła ręki przyjaciółki. Jenneen chwyciła jej dłoń i przyłożyła sobie do serca. Potem podniosła ją do ust i pocałowała.

- Chciałabym cię znowu objąć, Jenn - powiedziała szeptem. Vicky. - Bardzo...

Jenneen obróciła się i całym ciałem przylgnęła do Vicky, która otoczyła ją ramionami.

- Jesteś taka miła w dotyku. Taka delikatna.

Pocałowały się jeszcze raz, tym razem w pocałunku był już ślad namiętności. Jenneen przytuliła się mocniej.

Usłyszała westchnienie Vicky i poczuła na sobie jej ręce, pieszczące ją leciutko. Ona także podniosła rękę i położyła na piersi Vicky. Miłosny akt, który nastąpił potem, był nieporównywalny z niczym, co Jenneen dotąd przeżyła. Doznawała nowych, niespodziewanych wrażeń. Z zachwytem odkrywała ciepłą jedwabistość skóry pod palcami, miękkość dotykających ją ust. Kiedy tak obdarzały się pieszczotami w ciemności, Jenneen czuła, jak coś się w niej w środku zmienia. Wiedziała, że Vicky jest przy niej i nigdy jej nie opuści. Opadła na poduszki, odrzuciła kołdrę i pozwoliła; by ręce i usta

Vicky poprowadziły ją w podróż aż do kresu, w podróż miłości, jakiej jeszcze nigdy nie odbyła. U celu nie czekał jej ten wewnętrzny wstrząs, podobny do eksplozji, tocz rozkosz spokojna, ale tak głęboka, że nic nie mogło się z nią równać. Uśmiechnęła się, widząc nad sobą twarz Vicky.

- Nie żałujesz? - usłyszała nieśmiałe pytanie.

- Nie. Pierwszy raz od nie wiem jak dawna kochałam się z kimś i nie czułam potem nienawiści. Czy wiesz, czego dokonałaś? Vicky potrząsnęła głową,

- Pokazałaś mi, że Jenneen Grey jest zdolna przeżywać miłość, nie zamieniając się przy tym w panią Green.

- Cieszę się. To właśnie chciałam usłyszeć.

- Pewnie powinnam mieć poczucie, że wpakowałam się w jeszcze jeden kłopot. Ale nie mam. Wiedziałaś, że to się stanie? - Z początku nie.

-Anie żałujesz, że się stało?

Vicky uśmiechnęła się, biorąc Jenneen za rękę.

- Jak mogłabym żałować?

- Masz taki smutny głos. Co ci jest?

- Nic takiego. - Vicky nie patrzyła jej w oczy.

Jenneen odwróciła jej twarz w swoją stronę i delikatnie pocałowała ją w usta.

- Proszę cię, powiedz mi, o co chodzi.

- To może ci się wydawać rozwiązaniem, Jenn, ale nim nie jest.. W każdym razie nie rozwiązuje wszystkiego.

Może dlatego ze sobą walczysz, dlatego robisz to, co robisz, żeby stłumić to, co jest w tobie, w środku. Może boisz się samej siebie. Nie wiem, żadna z nas tego nie wie. Będziesz potrzebowała pomocy, większej, niż ja mogę ci udzielić. Jenneen milczała.

- Zwrócisz się o pomoc?

- Jeśli zostaniesz przy mnie.

Vicky przytuliła ją do siebie i pocałowała czule.

- Tak, zostanę przy tobie.

Rozdział 35

Odkładając słuchawkę Ashley spojrzała na obraz wiszący na ścianie. Był to prezent od Ellamarie, Kate i Jenneen. „Taki sobie drobiazg do powieszenia w tym twoim nowym eleganckim mieszkaniu”, jak powiedziała Ellamarie. Ashley aż krzyknęła, kiedy po otwarciu paczki znalazła reprodukcję obrazu Claude'a Moneta *Narożnik mieszkania*, przedstawiającego żonę artysty Camille i syna Jeana. Żałowała, że przyjaciółek nie ma z nią tutaj, w tej chwili, tak bardzo potrzebowała z nimi porozmawiać. Westchnęła, zwracając się znowu do Keitha - jego twarz nadal była ściągnięta gniewem.

- To był Conrad - wyjaśniła, bez potrzeby machając ręką w stronę telefonu. - Muszę się z nim spotkać w jego biurze o ósmej rano, zanim pójdziemy do Davida Burgessa.
 - Jaśnie pan zawołał, więc Ashley pędzi w podskokach.
 - Jest moim szefem. - Marzyła, by Kehn wrócił do swojego hotelu. Było późno i czuła się zmęczona.
 - Na pewno tylko tym, Ashley? Tylko szefem?
 - Nie mam zamiaru odpowiadać na tego rodzaju pytania.
 - I zawsze już tak ma być? - ciągnął Keith. - Conrad woła, a Ashley biegnie na Wezwanie? Bo skoro tak, to popełniasz duży błąd, jeśli chodzi o mojego syna. Wielki błąd. Nie pozwolę, żebyś zniszczyła także jego życie. Ostrzegam cię. Nie pozwolę ci go zabrać ze szkoły, do której się już przyzwyczył, i przenieść go do Nowego Jorku.
 - Mam sądownie przyznane prawo do opieki - zauważyła Ashley, zastanawiając się gorączkowo nad sposobem zakończenia tej rozmowy.
 - Już niedługo będziesz je mieć, jeśli się o to postaram. A mam zamiar się postarać.
- Ashley nieco zbladła.
- Słuchaj, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to będę tu jeszcze co najmniej przez najbliższe pięć lat. Może dłużej. Nie chcę, żeby Alex dorastał beze mnie.
 - Samolubna do końca. Za to pozwolisz mu dorastać bez ojca!
 - Wiesz, że zawsze będziesz mógł go odwiedzać.
 - Nowy Jork to nie sąsiednia dzielnica.
 - Ale my będziemy często przyjeżdżać do Anglii, w odwiedziny do babci i dziadka.
 - Na litość boską, Ashley, nie rozmawiaj ze inną, jakbym był dzieckiem.
 - Keith, nie krzycz. Obudzisz Alexa.
 - Nie chcesz, żeby wiedział, że matka chce go rozdzielić z ojcem; tak?
 - Nie dlatego go >m sprowadziłam, dobrze o tym wiesz.

Ashley, nie ma dla ciebie znaczenia, że on jest Anglikiem? Że tam się urodził i wychował? Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Oczywiście, że znaczy, ale nie wydaje mi się aż takie ważne. Myślę, że lepiej mu będzie tutaj, ze mną.

- Z tobą! Jesteś tak zajęta sobą i tą cholerną agencją. Jak znajdziesz czas dla niego?

- Znajdę.

- Kiedy? Godzinę po pracy raz lub dwa razy w tygodniu, o ile nie będziesz musiała zostać do późna w biurze? A co z wieczorami, które spędzasz bywając w wielkim świecie z Conradem Frazierem? Gdzie wtedy będzie z Alexem?

- Nie bywam, jak to nazywasz, z Conradem Frazierem w wielkim świecie. Wyszliśmy razem jeden raz, w zeszły czwartek. To było służbowe wyjście, nic więcej.

- Chciałabyś mieć wszystko, co? Pragniesz kariery, ciekawego życia towarzyskiego, pieniędzy, tego pieprzonego prezesa... I zdaje mi się, że nieważne jakiego, byle prezesa.

- Jesteś żaloszny - powiedziała Ashley odwracając się, by nie dostrzegł, że się zaczerwieniła. - Nie ma nic pomiędzy mną a Conradem, wyobrażasz sobie niestworzone rzeczy.

- Wymyśliłem, że zabrał mojego syna na mecz baseballowy? Wymyśliłem sobie, że zabrał moją żonę na bal?

- Nie jestem twoją żoną!

- To dlaczego nadal nosisz obrączkę?

Ashley popatrzyła na swoją lewą rękę. Właściwie nie wiedziała, dlaczego dalej ją nosi. Może ze względu na Alexa? Teraz zrozumiała, jakie to głupie i w sumie bez znaczenia. Zsunęła obrączkę z palca i podała Keithowi.

- Dziękuję, możesz ją zatrzymać. Nie wątpię, że jedynym powodem, dla którego ją ściągnęłaś, jest zrobienie miejsca na następną, i masz nadzieję, że nałoży ci ją Conrad Frazier.

- Keith, na litość boską, zamknij się.

- Twardszy orzech do zgryzienia, niż się spodziewałaś, co? -szydził. - Ale muszę przyznać, że tym razem sięgnęłaś po najlepszy

kąsek. Prezes własnej agencji, do tego w Nowym Jorku... Biedny Julian w Londynie to przy nim prowincjusz.

- Ile razy mam ci powtarzać, że z Conradem nic mnie nie łączy i nigdy nie będzie mnie łączyć. Choćby dlatego, że on mnie nie znosj.

- I tylko przypadkiem? pojawił się w czasie weekendu, żeby zabrać Alexa na przejażdżkę? Oczywiście, zawsze się tak zachowuje wobec dzieci osób, których nie lubi?

- Może lubi Alexa? Nie przyszło ci to do głowy?

- Nie udawaj naiwnej. Byłaś zaskoczona, kiedy Alex po powrocie opowiedział ci o tej „fantastycznej pani”, którą spotkał u Conrada.

O tej, która pojechała z nimi na przejażdżkę. Nie jesteś ciekawa, kto to był?

- Wiem, kto to był. To była Candida Rayne. Ona i Conrad spotykają się od jakiegoś czasu. Zadowolony jesteś?

- Ja może i tak, ale nie widzę, żebyś ty się z tego cieszyła.

- Nie cieszę się, bo to po prostu nie mój interes. – Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy. Mieli rozmawiać o przyszłości Alexa, o jego przyjeździe do Nowego Jorku, a nie o Conradzie Frazierze. Bo na ten temat nie miała ochoty rozmawiać ani z Keithem, ani z nikim innym.

- Obojętne, jakie są twoje plany, Alex nie będzie tu mieszkał. To moje ostatnie słowo.

Ashley odwróciła się i spojrzała na niego mrużąc oczy.

- Może twoje tak, ale nie moje, zapewniam cię, Keith.

- Będę walczył o to, by mnie przyznali prawo do opieki nad synem - zagroził.

- Nie bądź głupi.

- Chciałem cię tylko uczciwie przestrzec. Wniosem sprawę do sądu natychmiast po powrocie do Anglii. On nie przyjedzie do Ameryki. I to ty będziesz musiała przelecieć nad Atlantykiem, żeby się zobaczyć z dzieckiem, nie ja.

Ashley zbladła. Widziała, że Keith mówi poważnie, a myśl o sądowej walce o syna była dla niej nie do przyjęcia, nie tylko ze względu na dobro Alexa.

- Nigdy nie wygrasz - stwierdziła zimno. - Z twoją przeszłością nie masz szans. Żaden rozsądnie myślący sędzia nie przyzna ci prawa do opieki. Jesteś nie zrównoważony, wiesz o tym.

- A ty niby, to co? Uciekasz do Nowego Jorku, żeby się wymigać przed podjęciem decyzji. Dokąd uciekniesz, Ashley, kiedy Conrad zostawi cię na lodzie? Gdyby Alex został ze mną, mógłby przynajmniej chodzić do szkoły w Anglii, tam gdzie zaczął i gdzie dobrze się czuję w znanym otoczeniu. Ma tam dziadków, którzy go wychowali. Co z ciebie za matka, Ashley?

- Jest mómi synem - podkreśliła twardo. - I nikt mi go nie odbierze. Przyjmij to wreszcie do wiadomości.

- Jest także moim synem, I nikt, nawet ty, nie zabierze go ode mnie. Więc ty też to sobie przemyśl, kochana Ashley.

- Naprawdę masz zamiar znowu wywlec przed sądem całą tę żenującą historię naszego małżeństwa? Ojciec pijak i kobieciarz, porzucający żonę, by szlajać się z inną kobietą tej samej nocy, kiedy dziecko przyszło na świat. Ojciec, który grozi, że prędzej zabije syna, niż pozwoli, by został z matką. Chcesz wyciągać to wszystko od , nowa? Keith, Alex ma osiem lat, będzie rozumiał, co się dzieje. Chcesz, żeby się dowiedział, jaki jesteś naprawdę?

- Ty suko! - warknął. - Jesteś zdolna do wszystkiego, byle osiągnąć cel, co?

- Nie chcę, żeby dorastał przy tobie. Jeśli chcesz wiedzieć, nigdy nie chciałam. Nie jesteś porządnym człowiekiem, Keith. Jesteś zerem.

Podniósł rękę do ciosu. Nie uchyliła się.

- No dalej, uderz mnie. Pokaż, jaki jesteś naprawdę. Nie zmieniłeś się, Keith, i nigdy się nie zmienisz. I dlatego nigdy nie otrzymasz prawa do opieki nad synem. Dopilnuję tego, żebyś nie dostał.

- Jeszcze tego pożałujesz, Ashley. Ostrzegam cię, pożałujesz.

- Nie jesteś w stanie nię zrobić, dobrze o tym wiesz.

- Alex zostanie ze mną w Anglii. Zrobię wszystko, żeby cię pograżyć. Ciebie i twojego kochanka-reklamiarza. Faceta, który się z tobą nie ożeni. Wykorzysta cię tylko i porzuci tak samo jak zrobił jego wspólnik. Nikt nie stanie po twojej stronie, Ashley, a ja zabiorę

ci Alexa. Dałem ci szansę, lecz ty wolałaś wybrać siebie i swoją karierę. Teraz się przekonasz; jak drogo ci przyjdzie za to zapłacić.

- Jeżeli spróbujesz mu zrobić jakąś krzywdę albo zabrać go ode mnie, to zobaczysz Keith, że cię zabije. Przysięgam, zabije cię.

- Lepiej zrezygnuj z myśli; że zatrzymasz go tu, w Nowym Jorku. Bo on nigdy tu nie zamieszka. Nigdy! Ellamarie spacerowała po opustoszałym teatrze, wolno ciągnąc za sobą nogi. Przesuwała dłonią po oparciach krzeseł na widowni.

Nie widziała się z Bobem od piątku rano, nie miała też od niego żadnej wiadomości. Zanim wyjechał, spodziewała się, że może wrócić w sobotę wieczorem, kiedy powie żonie o wszystkim. Najpóźniej w niedzielę rano. Ale był już poniedziałek, a po nim nadal ani śladu.

Kilka razy dzwoniła do zajazdu, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Kusilo ją niezmiernie, żeby zadzwonić do jego domu, ale zdołała powstrzymać się przed tym krokiem. Czuła, że musi wyjść z domu, więc przyszła tu, do teatru. Właściwie nie spodziewała się go tutaj zastać, a mimo to serce jej się ścisnęło, kiedy sekretarka poinformowała ją, że Bob nie pokazał się w teatrze od kilku dni.

Z każdą minutą narastał w niej strach, że zmienił zdanie. Starala się nawet nie brać takiej możliwości pod uwagę, lecz należało się pogodzić z rzeczywistością, ta zaś była taka, że nie miała od niego żadnych wiadomości, a to mogło oznaczać tylko jedno?

Może jednak Linda przyjęła to gorzej niż się spodziewali? Może musiał zostać, by ją uspokoić? A jeśli zagroziła, że targnie się na swoje życie? Wówczas musiałby przy niej zostać. Niepewność była dla Ellamarie najgorszą torturą.

Spojrzała na scenę i wyobraziła go sobie, stojącego do niej plecami, ze śmiechem zagadującego aktorów. Przeczesał palcami brodę; wesole błyski w oczach zadawały kłam surowej minie.

Wszystko skończone. Czuła to w głębi serca i w głębi serca wiedziała, że niezależnie od wszystkiego, zawsze go będzie kochała.

Być może nigdy by się im nie ułożyło, przez świadomość tego, co się wydarzyło w tamtą straszną noc przed czterema miesiącami. Ale gdyby tak mogła go jeszcze, zobaczyć, ten jeden, ostatni raz... Żeby się pożegnać i powiedzieć mu, że nie ma do niego żalu i rozumie, że nie mógł porzucić żony po to, by wychowywać bachora spółdzonego z gwałtu. Rozumiała go i nie miała do niego żalu.

Nick nie miał ochoty na to spotkanie. Właściwie trochę się bał. I teraz, kiedy stał twarzą w twarz z ojcem Kate w bibliotece -fch domu w Surmy, spełniały się jegonajgorszeobawy.

Calloway miał poważną minę, choć w kącikach jego ust czaiło się coś na kształt drwiny, kiedy uważnie przyglądał się twarzy Nicka. Kate taktownie zniknęła gdzieś w głębi domu, nie było też w pobliżu pani Calloway.

- Proszę usiąść. - Calloway wskazał Nickowi krzesło.

- Dziękuję.

Nick skierował się do jednego z dwóch neorokokowych foteli stojących przy kominku. Calloway usiadł naprzeciw niego.

- Sądzę, że pan wie, dlaczego tu jestem.

Calloway przekrzywił nieco głowę i nadał mu się przyglądał. ^ Chodzi o Kate.

- Słucham.

- Chcemy się pobrać.

Nie po raz pierwszy Nickowi wydało się absurdem, że w tym wieku musi prosić ojca Kate o pozwolenie na małżeństwo z nią. Ale Kate się uparła.

- Tak...

Nick niespokojnie poruszył się w miejscu. Było jasne, że ten człowiek nie zamierza w żaden sposób ułatwić mu sprawy. Odchrząknął.

- To był pomysł Kate, żebym z panem porozmawiał. . Calloway pokiwał głową.

Nick rozejrzał się po pokoju. Zatrzymał wzrok na rządach starych książek, które ojciec Kate zgromadził przez lata. Biurko pod oknem,

przy którym Calloway czasami pracował, było zarzucone papierami, a trochę przetarty dywan biegł przez całą podłogę, jakby próbował sięgnąć przeciwległej ściany.

- Więc - podjął Nick, przenosząc spojrzenie z powrotem na ojca Kate - pewnie chce pan się dowiedzieć, kiedy zamierzamy wziąć ślub. Calloway odezwał się dopiero po dłuższym namyśle.

- Nie, nie chcę.

Nick wpatrywał się w mego, usiłując wyczytać coś z jego twarzy, ale pozostała nieprzenikniona.

- Czy to znaczy, że pan nie będzie obecny na ślubie? Calloway znów nie śpieszył się z udzieleniem odpowiedzi. W końcu oznajmił:

- Można to i tak ująć.

- Ale chyba pan wie, jak Kate na tym zależy?

I tym razem odpowiedział po dłuższym zastanowieniu.

- Możliwe. Proszę powiedzieć, panie Gough, czy pan naprawdę prosi mnie o zgodę na to, by pan się mógł ożenić z moją córką? - No, tak.

- A jeśli odmówię?

- Kate przekroczyła wiek, w którym potrzebna jest jej zgoda rodziców.

- To prawda. - Calloway podniósł się z fotela i podszedł do niewielkiej szafki w rogu pokoju..- Napije się pan czegoś? Może szkockiej?

Gdyby zachowanie poprawnych form nie było dla Kate takie ważne, o czym go uprzedziła, Nick najchętniej by teraz odmówił i się pożegnał. Ale w tej sytuacji...

- Bardzo proszę, tylko niedużo.

Calloway napełnił szklanki i jedną z nich podał Nickowi.

- Rozumiem, że Kate przyjęła pańskie oświadczenia?

- Oczywiście.

- Tak, oczywiście, przyjęła. - Calloway wrócił na fotel.

- Bardzo się kochamy - Nick poczuł się głupio natychmiast po wypowiedzeniu tych słów.

- Nie wątpię.
 - Ma pan zamiar odmówić? - nie wytrzymał Nick. Calloway podniósł szklanę do ust i pociągnął spory łyk.
 - Musze
 - Mogę spytać, dlaczego?
 - Może pan spytać.
- Nick miał ochotę przeklinać, ale zachował milczenie. Dobrze, skoro tak, pogramy sobie w te klocki, pomyślał ze złością.
- Calloway wstał. Podeszedł do okna i wyjrzał na ogród przed domem. Stał przy oknie przez dłuższy czas. Nick czekał. - Panie Gough...
- Może powinien mi pan mówić po imieniu. Calloway puścił jego uwagę mimo uszu.
 - W tej rodzinie jest wiele spraw, o których nie ma pan pojęcia. Może nie tyle same słowa, ile ton jego głosu zaniepokoił Nicka. Czekał na ciąg dalszy.
 - Nie wiem - mówił dalej Calloway czy powinienem panu o tym mówić.
 - Zapewniam pana - wtrącił Nick - że cokolwiek by to było, nie odwiedzie mnie od zamiaru poślubienia Kate.
- Calloway powrócił do fotela, usiadł i zapatrzył się w opróżnione palenisko kominka.
- Wydaje się panu, że zna pan Kate. Myśli pan, że wie o niej wszystko.
 - Z pewnością nie wszystko.
 - To dobrze, że pan tak myśli. Bo pan nie wie.
 - Wiem to, co jest dla mnie ważne.
 - A co, jeśli można spytać, jest dla pana ważne?
 - Wiem, że ją kocham. Czy to nie wystarczy?
 - Nie. To nie wystarczy.
- Cierpliwość Nicka zaczynała się wyczerpywać.
- Na litość boską, zachowuje się pan tak, jakbyśmy nadal tkwili w czasach wiktoriańskich. Nie muszę tu siedzieć i wysłuchiwać pana zawitych przemyśleń. Przyszedłem jedynie dlatego że mnie

o to prosiła. Gdyby to zależało tylko ode mnie, już bylibyśmy po ślubie.

- Lepiej dla pana, że tak się nie stało. - Wybuch Nicka nie zrobił na Callowayu najmniejszego wrażenia. - Nie zdziwiło pana, że Kate poprosiła, by pan najpierw ze mną porozmawiał?

- Czuje się z panem bardzo związana. Nie ma w tym nic dziwnego.

- Ale musi pan przyznać, że jej upór, by pan to przyjechał, był trochę, hmm... nienormalny?

- Nienormalny? Nie; wcale nie. Zresztą wcale się nie upierała. Poprosiła, a ja spełniłem jej prośbę.

- Ale nie miał pan ochoty przyjeżdżać?

- Nie będę zaprzeczał, Zwłaszcza teraz.

- Musiałby pan przyjechać, wcześniej czy później - stwierdził Calloway. - Tego może pan być pewien.

- Obojętne, co pan ma na myśli, nic nie zmieni mojej decyzji ożenku z Kate. Więc jeśli ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia, to bardzo proszę się pośpieszyć. Choć jak już powiedziałem, cokolwiek to jest, pobieramy się z Kate na początku przyszłego miesiąca i nic tego nie zmieni.

Calloway okazał zdziwienie i pewien niepokój.

- Na początku przyszłego miesiąca - powtórzył. - Tak szybko?

- Nie, nie jest w ciąży - uprzedził pytanie Nick. Podniósł się i odstawił szklanekę na gzyms kominka. - Skoro to już wszystko...

- Proszę usiąść - rozkazał Calloway. Nick patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Kazałem panu usiąść. Usiadł posłusznie.

- Jeszcze drinka?

- Nie, dziękuję. Calloway zabrał jego szklanekę z gzymsu kominka i poszedł

Ją napełnić. Wręczył pełną Nickowi.

- Proszę.

Nie wiedząc, jak się zachować, Nick przyjął kolejną porcję whisky. Wspomniałem o

sprawach w naszej rodzinie. Jestem zmuszony panu o nich powiedzieć. Ale nim to zrobię, chcę, żeby pan pamiętał, że nie mówię tego, by pana straszyć tecz przedstawiam fakt, który powinien pan wziąć pod uwagę dla własnego dobra i oczywiście dla dobra mojej córki. Jestem bardzo ustosunkowanym człowiekiem, panie Gough. Znacznie bardziej, niż się panu wydaje. Joel Martin przekonał się o tym na własnej skórze. Nie chciałbym i panu tego udowadniać, ale jeśli będę zmuszony, to się nie zawaham.

Nick przyglądał się jego twarzy, lecz nie wyczytał w niej ani gniewu, ani niepokoju.

-Chcę, żeby pan o tym pamiętał i to pamiętał jeszcze długo po naszej rozmowie. - Odczekał chwilę, ale widząc, że Nick nie zamierza niczego wtrącać, mówił dalej: - Panie Gough, nie może się pan ożenić z moją córką.

Nick wychylił się z fotela.

- A ja panu mówię, że mam zamiar się z nią ożenić.

- Mieć zamiar i móc to dwie różne rzeczy - zauważył Calloway. -Pan mówi, że ma zamiar, a ja mówię, że pan nie może. I zaraz panu wytłumaczę, dlaczego ona może wyjść za pana, ale pan się nie może z nią ożenić. Ona może za pana wyjść, bo ona wie. Pan nie może się z nią ożenić, bo pan nie wie.

- Panie Calloway. - Nick z najwyższym trudem hamował złość. -Jestem już trochę zmęczony pana zagadkami. Proszę łaskawie przejść do rzeczy.

- Tak, do rzeczy. - Calloway zajrzał do swojej szklanki. - Nie może się pan ożenić z Kate, ponieważ Kate jest zakochana we mnie.

Nick czuł, jak krew odpływa mu z twarzy; patrzył z przerażeniem na siedzącego naprzeciw starszego mężczyznę.

- Pan jest szalony!

- Nie - powiedział spokojnie Calloway. - Jestem w pełni władz umysłowych, a to, co mówię, chociaż może się panu nie podobać, jest prawdą.

- Jest pan kłamcą. - Nick zawarł w swoim głosie całe obrzydzenie, jakie poczuł do tego człowieka. - To nie ona jest w panu zakochana,

to pan się w niej kocha. We własnej córce. Wiedziałem, ale nie mogłem w to uwierzyć. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś może być tak... tak zdeprawowany! To pan do niej wydzwaniał, tak?

- Wydzwaniał? - Calloway na moment stracił pewność siebie.

- Dzwonił pan do Kate i szeptał do słuchawki te obleśne świństwa, strasząc ją śmiertelnie.

- Tak panu powiedziała? No tak, pewnie musiała to powiedzieć.

- Na litość boską, ona nawet nie wiedziała, że to pan! - Nick nie mógł opanować krzyku.

- Proszę nie podnosić głosu. Wiedziała oczywiście, że to ja. Ale to zrozumiałe, że kiedy dzwoniłem w czasie obecności jej znajomych, musiała udawać.

- To nie było udawanie - krzyczał Nick. - Byłem tam, widziałem jej minę. Była przerażona, mówię panu, przerażona.

- Przerażona, że któreś z was domyśli się prawdy. Nick zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pokoju.

- Pan jest chory, Calloway. Kate nic o tym nie wie, prawda? Nie wie, jakie zamiary żywi wobec niej własny ojciec. Co mu się roi w chorym umyśle. Chryste, muszę ją przed panem uchronić, wyrwać ją z pana rąk.

Calloway uśmiechnął się pod nosem.

- To by nie było rozsądne. Zresztą, ona nie zechce odejść. Może jeśli panu zdradzę, dlaczego zgodziła się za pana wyjść, łatwiej będzie się panu pogodzić z tym, co powiedziałem. Posiadanie męża da jej prestiż, którego potrzebuje, i zapewni alibi, którego potrzebujemy oboje. Chociaż ja jestem przeciwny temu, by posuwała się aż tak daleko.

- To jakiś koszmar - zawołał Nick. - To jakiś cholerny koszmar.

- Przykro mi, ale musi się pan z tym pogodzić. Nie może się pan ożenić z Kate, teraz pan rozumie? Ze względu na siebie samego nie może pan jej poślubić.

Nick wpatrywał się w niego oniemiały.

- Niech się pan zastanowi: czy mógłby pan żyć z kobietą, o której pan wie, że współżyje z kimś innym? Może się pan ożenić z kobietą,

która kocha innego? Potrafi pan zaakceptować kobietę, która robi to, co robi Kate, z własnym ojcem? Oczywiście, że nie. Nikt by nie mógł.

- Jest pan. kłamcą, parszywym, zboczonym kłamcą. - Nick dyszał z wściekłości. Ona jest normalnym, przyzwoitym człowiekiem.

- Panie Gottgh, Kate należy do mnie. Jest moja już od dłuższego czasu. Mamy za sobą... różne doświadczenia. Łączy nas miłość, której nikt, nawet pan, nie jest w stanie zniszczyć. Jeśli musi pan to sam sprawdzić, to niech pan sprawdza. Ale ostrzegam, że to będzie dla pana trudna i bolesna naučka. Dlaczego nie miałby pan jej oszczędzić konieczności wyznania prawdy? I tak jest jej trudno. Wszystko, co robi, robi dla mnie. Śmiem przypuszczać, że jeśli pan się dobrze zastanowi, sam przyzna mi pan rację. Nawet to głupie nieporozumienie z Joelem Martinem. Tak, nawet to było dla mnie. Chciała, żebyśmy mieli dziecko. Ale rzecz jasna, nie możemy mieć własnych dzieci. Chciała, żeby Martin powiedział, że to jego dziecko, rozumie pan? Miał je uznać za swoje, żeby na nas nie spadły żadne podejrzenia. A potem nawet porwała niemowlę... - Mówił to wszystko ze smutną miną, wpatrując się znowu we wnętrze kominka. - Mówiłem jej, po tym, co się stało z Martinem, że pewnego dnia będziemy mieli dziecko, które będzie nasze, więc poszła i ukradła niemowlę, choć wiedziała, co może jej za to grozić. - Wstała spojrzał na Nicka. - A teraz zgodziła się wyjść za pana. Zgodziła się wyjść za pana, żeby mieć to dziecko. Kiedy się urodzi, małżeństwo się rozpadnie. Opuści pana i wróci z dzieckiem do mnie.

- Nie wierzę w nic, co pan powiedział - oznajmił Nick, ale w jego głosie brakło przekonania. Coś w słowach Callowaya poważnie go zaniepokoiło. Szczegóły, które nadawały temu, co mówił, jakieś cechy prawdopodobieństwa.

- Chce pan, żebym ją zawołał? Miałem nadzieję, że nie będzie pan wymagał od niej potwierdzenia, ale skoro pan chce...

- Mógłby pan iść do więzienia za to, co pan powiedział.. - Nick spojrzał mu w twarz.

- Może powinienem przypomnieć panu, od czego zaczęła się nasza rozmowa? - rzucił Calioway.

Nick odwrócił się do niego plecami.

- To nieprawda, nieprawda - powtarzał. - To nie może być prawda. - Mówił bardziej do siebie niż do Callowaya.

Znalazł się nagle przy oknie. Kate była w odległym końcu ogrodu - siedziała na ławeczce nad strumieniem. Wyglądała tak niewinnie i ślicznie...

- Przykro mi - odezwał się Calloway. - Wyobrażam sobie, jak pan się musi czuć. W końcu, ja też ją kocham.

- Niech pan przestanie! Niech pan się zamknie! - krzyknął Nick. Nie chcę nic więcej słyszeć. Nie wierzę panu. Nigdy nie uwierzę. Dobrze, niech pan ją wezwie. Niech ona tu przyjdzie. Niech mi sama powie. Jeśli ona potwierdzi, że to prawda, wtedy odejdę. Odejdę i nigdy nie wrócę. Ale nie uwierzę, dopóki nie usłyszę tego od niej.

- Jeśli jest pan pewien, że tego właśnie chce... - Calloway podniósł się z fotela.

Nick wcale nie był pewien, ale przytaknął.

- Proszę tu zaczekać.

Nick stał przy oknie i patrzył, jak Calloway zmierza przez schludnie utrzymany trawnik do miejsca, gdzie siedzi jego córka. Serce waliło mu tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Widział, jak Kate podnosi ręce do twarzy i odwraca się gwałtownie. Patrzył, jak zwraca się z powrotem do ojca i coś do niego krzyczy. Biła go po piersi zaciśniętymi pięściami, a on usiłował ją do siebie przyciągnąć. Odepchnęła go i ruszyła w stronę domu. Ojciec szedł za nią. Nick dostrzegł, że Kate płacze.

- Dlaczego! - usłyszał jej krzyk. - Dlaczego?

Nie mógł dosłyszeć innych słów, bo znajdowali się za daleko. Calloway coś mówił, lecz Kate wyraźnie nie chciała go słuchać. Opadła na kolana i zaczęła bić pięściami o ziemię.

Calloway przykucnął obok niej i próbował ją objąć, ale odpychała go od siebie. Nie przestając mówić, zdołał ją chwycić za rękę. Zaczęła go słuchać, a potem na niego spojrzała. Upadła znowu na trawę, a ojciec usiadł przed nią, zasłaniając ją sobą przed wzrokiem Nicka.

Potem Nick zobaczył, jak Kate zarzuca ojcu ręce na szyję.

Obserwował ich z niedowierzaniem, widząc, że Calloway całuje córkę, a ona oddaje mu pocałunek. To było już ponad jego siły. Wybiegł z domu, wskoczył do samochodu i odjechał. W ustach czuł gorycz, skręcało go na myśl o tym, czego był świadkiem przed chwilą. Było mu niedobrze z obrzydzenia. W ogrodzie, z twarzą wtuloną w ramię ojca, Kate błagała, żeby jej powiedział, dlaczego Nick już nie chce się z nią ożenić.

Rozdział 36

Ellamarie stała w drzwiach i patrzyła na Boba. Siedział na krześle, tym pojedynczym, nie pasującym do reszty mebli w pokoju, i po raz pierwszy Ellamarie pomyślała, że on także tu nie pasuje. Miał zmęczoną twarz. Powstałe od śmiechu zmarszczki wokół oczu rozciągnęły się, jakby chciały mu nadać wygląd staruszka. Za oknem wiatr szumiał monotonie, przypominając o nadchodzącej jesieni. Ellamarie podniosła głowę, nasłuchując pierwszych uderzeń deszczu o szyby. Bob ukrył twarz w dłoniach. Serce jej się ścisnęło, miała ochotę do mego podejść. Zamiast tego spytała:

- Napijesz się czegoś? Może kawy? Albo czegoś mocniejszego? Nie, nic nie chcę. - Potrząsnął głową. Przeszła przez pokój i usiadła na sofie. Pełna napięcia cisza przedłużała się, przyprawiając ją o bolesny skurcz w okolicy żołądka. W końcu Bob podniósł głowę i popatrzył na nią, ale się nie odezwał.

- Martwiłam się - zaczęła pierwsza. - Chyba mogłeś zadzwonić. Zresztą, te już nieważne - dodała zaraz. - Najważniejsze, że jesteś tu, cały i zdrowy.

Podniósł się z krzesła.

- Posłuchaj, Ellamarie. Oboje wiemy, dlaczego tu jestem, więc nie ma potrzeby udawać.

Nie odpowiedziała. Strach, kołaczący się w niej od paru dni, odezwał się z całą mocą.

- Prawda jest taka, że ja nie potrafię dalej tak żyć. Muszę wyjechać. Muszę mieć czas, żeby wszystko przemyśleć. Trochę czasu tylko dla siebie.

- Rozumiem.

- Na litość boską, nie mów tak. Nie rozumiesz, jakie to dla mnie trudne i bez tego?

- A co mam powiedzieć? - spytała, czując że mówi do obcej osoby.

- Nie wiem - wyznał bezradnie. - I o to właśnie chodzi. Nic już nie wiem.

Nie mogła nie zadać tego pytania.

- Czy to znaczy, że mnie już nie kochasz?

- Zrozum, powiedziałem tylko, że nie wiem. Wiem tylko jedno, że nie potrafię w tej chwili podjąć decyzji.

- Powiedziałeś żonie? -Tak.

- Jak to przyjęła?

- A jak według ciebie miała przyjąć?

Ellamarie odwróciła się od niego: A więc wreszcie wiedziała, jak to jest. Tak często o tym myślała, rozważała, co może powiedzieć,

ale nawet jej się nie śniło, że Bob tak ją zrani. Patrzyła na niego, prawie nie słysząc jego słów, które przelatywały przez pokój i trafiały w nią jak noże w łatwy cel. Za ściągniętą smutkiem twarzą mówił, że ją kocha, ale kocha też swoją żonę. To prawda, że kłamał, ale nieświadomie. Nie wiedział, dlaczego tak się to wszystko potoczyło, ale stało się i jest mu przykro, że ją skrzywdził. Zrobi wszystko, by jej to wynagrodzić. Może zagrać rolę królowej w *Słynnej tragedii królowej Kornwalii* – kamera jakoś sobie poradzi z ukryciem jej stanu. Potem ona urodzi dziecko, a on będzie jej dawał pieniądze na jego utrzymanie. Ale teraz musi wyjechać.

Ellamarie wstała. Przebrnęła ślinę, usiłując pozbyć się bolesnego, duszącego ucisku w gardle. Chodziła po pokoju, nie zdając sobie sprawy, dokąd i po co idzie. Po prostu musiała się poruszać. Zacisnęła drżące palce na szyi.

- Twoje rzeczy - powiedziała wreszcie. - Mam ci się pomóc spakować? Większość już przygotowałam. -

Uśmiechnęła się, zmniejszając dystans, który on tak rozpaczliwie starał się utrzymać.

- Przestań! - krzyknął. - Przestań się tak zachowywać. Czemu nie płaczesz? Tup nogami, krzycz, przeklinaj, ale przestań być taka cholernie szlachetna.

- Nie wiem, co powiedzieć - odezwała się ledwie słyszalnym głosem. - Zrozum, ja cię Kocham, Bob.

- Do licha - zawołał, chwytając ją za ramiona. - Chcę tylko spędzić trochę czasu w samotności. A ty zachowujesz się tak, jakbym uciekał i cię porzucił.

- A nie uciekasz?

Odgłos policzka zaskoczył ich oboje. Po dłuższej chwili podniosła wzrok i stwierdziła, że Bob płacze.

Wyciągnęła rękę, chcąc go do siebie przytulić, lecz zrobił unik.

- Proszę cię, nie dotykaj mnie. - Odszedł od niej i stanął przed kominkiem. Oparł się rękami o gzyms i patrzył w wygasłe palenisko.

- Przecież nie chcesz mnie krzywdzić - powiedziała drżącym głosem.

Odwrócił się do niej z twarzą ściśniętą cierpieniem, ale w tym momencie zadzwonił telefon, co go powstrzymało przed odezwaniem się. Ellamarie poszła odebrać. Dzwoniła Kate.

Ellamarie słuchając, jak Kate mówi że między nią i Nickiem wszystko skończone, obserwowała Boba, który niespokojnie spacerował po pokoju., Od tak dawna była źródłem wsparcia i otuchy dla swoich przyjaciółek, kiedy tego potrzebowały, że nie przyszło jej do głowy, by przerwać rozmowę. Parę razy Bob zerknął w jej stronę, jakby czekając, że odłoży wreszcie słuchawkę. Patrzyła na niego prawie nie słuchając, co mówi Kate. Policzek nadal piekł ją od uderzenia; odruchowo gładziła go palcami. Bob nagle przystanął i odwrócił się do niej. Jego twarz przypominała maskę, a oczy, zwykle pełne czułości i roześmiane, miały zimny wyraz. Schylił się po płaszcz. Nie patrząc na nią, przeszedł obok i zniknął za drzwiami.

Nim Kate skończyła rozmowę, Ellamarie omal nie udusiła się z bólu. Nie wiedziała, co mówi do Kate.

Wpatrywała się w drzwi. A więc odszedł. Cicho, nie oglądając się za siebie, usunął się z jej życia. Bez słowa pożegnania.

Ashley zazwyczaj chodziła do pracy pieszo; krótki poranny spacer dawał jej czas na spokojne myślenie.

Jednakże tego ranka, zmęczona brakiem snu, zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i ciężko opadła na tylne siedzenie.

Tarła piekące z niewyspania oczy. Myśli kłębiły jej się pod czaszką. Wróciła do domu nad ranem, przesiedziawszy pół nocy z Nickiem w jego pokoju w hotelu Waldorf. Nie mogła o tym teraz myśleć, nie chciała o tym myśleć w ogóle nigdy. Poczula nagle mdłości. Próbowwała je przewyciężyć, lecz nie ustępowały.

Wiedziała, że powodem jest nie tylko rozmowa z Nickiem, choć, mój Boże, już samo to wystarczało.

Kiedy wychodziła dziś rano do pracy, Alex był rozdrażniony i nieznośny, a nastrój Keitha jeszcze się pogorszył od czasu poniedziałkowej sceny. Kusiło ją, żeby wrócić na chwilę do domu,

ale spojrzawszy na zegarek upewniła się, że nie ma na to czasu. Pewnie wyjeżdżają już do Bostonu, gdzie mieli się zatrzymać na noc u dalekich krewnych Keitha, a poza tym, Conrad chciał się z nią widzieć o wpół do dwunastej, by powiadomić ją o rezultatach wczorajszego spotkania z Danielem Burgessem.

O jedenastej weszła do budynku IBM. Wiedziała, że musi się skontaktować z Kate. Przymknęła oczy myśląc o przyjaciółce i zastanawiając, się, co ma zrobić. To nie mogła być prawda. Niezależnie od tego, czego Nick był świadkiem, po prostu nie mogła być prawda. Musi porozmawiać z Kate. Nie miała pojęcia, co jej powie, ale postanowiła za wszelką cenę dowiedzieć się prawdy.

Znalazłszy się w biurze, poprosiła Jan o dopilnowanie, by nikt jej nie przeszkadzał. Zamknęła za sobą drzwi gabinetu i ruszyła prosto do telefonu.

W mieszkaniu Kate nikt nie odpowiadał. Długo nie odkładała słuchawki, licząc sygnały po tamtej stronie. Nie chciała dzwonić do domu rodziców, ale wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia.

Odebrała matka Kate. Ashley przeprosiła, że dzwoni tak wcześnie, i poprosiła Kate do telefonu, lecz dowiedziała się tylko, że jej tu nie ma.

Zrezygnowana odłożyła słuchawkę i ukryła twarz w dłoniach. Misi się zastanowić. Musi być jakieś wyjście. Czy odważy się powiedzieć Jenneen lub Ellamarie? Nick zwierzył jej się, licząc na dyskrecję. Ale przecież, na miłość boską, muszą mieć do siebie wzajemnie zaufanie. Gdyby go zabrakło, to byłby już koniec. Jeszcze raz wybrała numer. Miała świadomość, że głos jej drży, kiedy relacjonowała całą sprawę Jenneen. Przyjaciółka była tak samo wstrząśnięta jak ona.

- To nieprawda, Ash - powiedziała, gdy Ashley skończyła. -Wiesz, że to nieprawda.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Jenn.
- Jezu Chryste, to niemożliwe. Muszę się z nią zobaczyć.
- Nie ma jej w domu. Próbowałam się dodzwonić. – Zostaw ton mnie, znajde ja.

Ashley westchnęła z ulgą i odłożyła słuchawkę. Nie pozostawało jej nic innego jak modlić się, by Jenneen miała rację, że to nieprawda.

Poprosiła przez intercom o kawę próbując odgonić od siebie złe przeczucie, Zadzwoiła do swojego mieszkania. Nie było odpowiedzi, afe też nie oczekiwała, że będzie.

Weszła Jan z kawą.

- Jesteś wzywana.

- Już? - zdziwiła się Ashley, spoglądając na zegarek. - Chryste, jest za dwadziesciaa dwunasta. Czemu mi nie przypomniałaś?

- Prosiłaś; żeby ci nie przeszkadzać. - Po chwili Jan dodała ze skruszoną miną - Wybacz, zapomniałam.

- Nie przejmuj się, - Ashley uśmiechnęła się do niej. Wypiła kilka łyków kawy. - No dobrze, Mahomet znowu musi iść do góry. Trzymaj za mnie kciuki, bo jak nie, to jeszcze w tym tygodniu możesz mieć nową szefową.

- Powodzenia - życzyła Jan. -Jakoś mi się nie wydaje z tą nową szefową.

- Czeka na ciebie - powitała ją Candice, kiedy Ashley przekroczyła próg sekretariatu prezesa.

- W jakim jest humorze? Candice zrobiła odpowiednią minę.

- O Jezus - jęknęła Ashley. Zapukała do drzwi Conrada i weszła, zamykając je za sobą.

Conrad podniósł wzrok znad jakichś papierów.

- Chodź tu i siadaj. - Machnął w stronę krzesła po drugiej stronie biurka, wracając do przerwanej zajęcia.

Usiadła we wskazanym miejscu i patrzyła przez okno. Dopiero po paru minutach zorientowała się, że jest obserwowana.

- Jesteś trochę blada - zauważył.

- Miałam ciężką noc.

- Martwiłaś się o zlecenie?

- Między innymi:

Conrad uśmiechnął się, a Ashley serce podskoczyło w piersi. Był taki silny i zawsze opanowany.

Zastanawiała się, jakby to było,

gdyby mogła się do niego zwracać o pomoc w takich chwilach jak ta, kiedy czuła się bezradna i zagubiona. Trzymał ręce przed sobą na biurku. Silne, sprawne ręce, które tylko raz trzymały ją w objęciach. Gdyby tak mogła teraz ich dotknąć i zaczerpnąć z nich trochę siły. Szybko otrząsnęła się z tych myśli. Wszystko to z powodu zmęczenia, usprawiedliwiła się przed sobą z własnej słabości. , Conrad przyglądał się jej uważnie; przez chwilę bała się, że czyta w jej myślach.

- A więc - zaczął, odchylając się w krzesło i wyciągając przed siebie nogi - przejdźmy do Mercera Burgessa. Ashley poczuła ucisk pod żebrami. Zmusiła się do uśmiechu i powtórzyła cichym, lecz w miarę spokojnym tonem:

- Do Mercera Burgessa.

- Rozmawiałem dziś rano z Davidem Burgessem; przekazał mi swoją decyzję.

Ashley wpatrywała się w jego twarz, ale jak zwykle nie mogła z niej nic wyczytać.

- Przykro mi, ale twój projekt nie znalazł uznania. Odrzucili go.

- Co?! - Ashley omal się nie zachłysnęła.

- O ile wiem, decyzja została podjęta wczoraj późnym wieczorem. Ashley nie mogła wydobyć z siebie głosu. Rozglądała się bezradnie

po gabinecie. To niemożliwe, przecież była taka pewna wygranej. David Burgess prawie jej to obiecał, kiedy pokazywała mu materiały na video wczoraj rano. Nie mogli odrzucić jej projektu. Ale z drugiej strony, Conrad by nie kłamał w takiej sprawie. Mój Boże, w końcu dla niego było to tak samo ważne jak dla niej. Odważyła się wreszcie na niego spojrzeć. - Rozumiem- powiedziała cicho.

- Przykro mi.

- Tak, jestem pewna, że ci przykro. - Czuła, że twarz jej tężeje. Wstał i obszedł biurko dookoła. Poderwała się.

- Załatwmy to szybko, dobrze? Pójdę od razu zebrać swoje rzeczy. Do końca dnia wyprowadzę się z gabinetu, choć nie mogę obiecać, że tak szybko wyniosę się z Nowego Jorku. Zgodzisz się,

żebym została w mieście do końca tygodnia? - Ostatnie pytanie zadała idąc już w stronę drzwi.

- Ashley wracaj tu i usiądź. Odwróciła się i spojrzała na niego nieprzyjaźnie.

- Conrad, naprawdę wolałabym nie drażnić tego tematu. Postawiłeś sprawę jasno na samym początku: jeśli nie zdobędę tego zlecenia, mam odlecieć następnym samolotem do Londynu. Będzie tak, jak chcesz. Przykro mi, że Mercer Burgess nie wybrał usług naszej agencji; choć przypuszczam, że w gruncie rzeczy nie miało to nic wspólnego z tym, czy ja zostaję, czy nie. Więc, jeśli pozwolisz...

- Siadaj! – wykrzyknął zniecierpliwiony. Zatrzymała się z ręką na klamce.

- Proszę cię - dodał spokojniej. Nachylił się nad biurkiem i przez intercom poprosił Candice o podanie kawy. Ashley odsunęła się od drzwi. Była zbyt wściekła, by zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo czuje się pokrzywdzona i rozczarowana. I by przyznać przed sobą, z jakim żalem będzie go opuszczać, wiedząc, że on tylko tego pragnął od samego początku. Tylko tego, by wyjechała.

- Chyba jestem ci winien wyjaśnienia - powiedział, odwracając się od biurka. - Chcę, żebyś została i wysłuchała mnie. Wolałbym właściwie, żebyś usiadła, a nie stała w progu, patrząc na mnie jak szarżujący byk.

Weszła Candice z kawą; postawiła tacę na biurku. Ashley czekała, postukując lekko butem o podłogę, aż napelni filiżanki. Nie potrafiła zdobyć się na uśmiech, kiedy Candice przed wyjściem podała jej filiżankę.

- No dobrze - ponagliła, gdy znów zostali sami. - Słucham, co masz mi jeszcze do powiedzenia.

- Od czego by tu zacząć? - Conrad usiadł na krawędzi biurka i pociągnął łyk kawy. Ashley patrzyła na niego, nie wykazując zamiaru wypicia swojej.

- Przypuszczam - zdecydował się wreszcie - że muszę zacząć od osoby Candidy. - Zauważył, że twarz Ashley pociemniała na samą wzmiankę tego imienia i po jego ustach przebiegł szybki uśmieszek.

Niestety, tak się złożyło, że kiedy Candida dowiedziała się o twoim przyjeździe do Nowego Jorku, wpadła w furję.

- A niby dlaczego, do diabła, miałyby wpadać w furję? Conrad wzruszył ramionami.

- Nie znam powodów jej postępowania, ale możesz mi wierzyć na słowo, że wcale nie była zachwycona twoim przyjazdem. Chyba mogę zaryzykować stwierdzenie, że diabeł w nią wstąpił. A kiedy diabeł nawiedza osobę Candidy Rayne, cały Nowy Jork musi o tym wiedzieć. W tym przypadku ty miałaś być jej ofiarą. Ale nie tylko ty. Ja także. A jest coś, co powinnaś wiedzieć o Candy. Niewielu jest ludzi w tym mieście, włącznie ze mną, którzy mogą sobie pozwolić na zadarcie z nią. Musiałem więc wymyślić coś, co pozwoliłoby nam, mam na myśli firmę Frazier-Nelmes, uniknąć sytuacji, w której mogłabyście nam zaszkodzić. - Siedząc tam i patrząc na niego, na ten arogancki uśmieszek na jego twarzy, który najpierw znienawidziła, potem pokochała, a teraz znowu nienawidziła, Ashley poczuła, że wybuch wzbiera w niej jak w wulkanie. Nie mogła mu darować tej opowieści o Candidzie. Tego, że chciał ją odesłać do Londynu. Tego, że patrzył na nią z tym cholernym uśmieszkiem. A najbardziej nienawidziła go za to, że nie ma pojęcia, jak bardzo ona go kocha.

Wzięła głęboki wdech i przechylając lekko głowę powiedziała przez zaciśnięte zęby:

- A więc z jej powodu, pal sześć, czy dostanę zlecenie Mercera Burgessa czy nie, muszę się wynosić z powrotem do Londynu. Candida, Candy - poprawiła się z ironią - nie chce mnie tutaj.

Conrad uniósł brew i uśmiechnął się szerzej. Ashley miała ochotę albo się rozplakać, albo cisnąć w niego filiżanką.

- Nic nie rozumiesz - stwierdził. - Wiedziałaś, że Candy jest wnuczką Davida Burgessa?

- Owszem - potwierdziła Ashley, marząc, by przestał używać zdrobnienia Candy.

Nasza agencja utrzymuje się na powierzchni dzięki trzem wielkim firmom korzystającym z naszych usług - ciągnął Conrad

- Tak się składa, że David Burgess jest w radach nadzorczych wszystkich trzech. Czy to ci trochę pomaga zrozumieć sytuację?

- W niczym mi to nie pomaga - oświadczyła Ashley, z rozmysłem nie wykazując domyślności.

- No dobrze. Zacznijmy po kolei. David Burgess uwielbia swoją wnuczkę. Candy zawsze ma to, co chce, zazwyczaj za sprawą dziadka. Gdyby zechciała, mogłaby narazić na straty całą naszą agencję. A skoro ty się tu znalazłaś, było całkiem prawdopodobne, że tego zapragnie.

Ashley wzruszyła ramionami.

- A więc odsyłasz mnie do Londynu po to, żeby uratować agencję. Dzięki, żeś mi powiedział, to wielka ulga. - Odwróciła się do drzwi.

- Nigdzie cię nie odsyłam. Jeśli chcesz wracać do Londynu, zrobię wszystko, żeby cię zatrzymać, choć ostateczna decyzja będzie należeć do ciebie.

Znieruchomiała z ręką na klamce.

- Słucham?

- David Burgess zaoferował ci pracę w dowolnie wybranej z jego firm. Muszę od razu dodać, że odrzuciłem ofertę w twoim imieniu.

- Co zrobiłeś? - Nadal nie wierzyła własnym uszom.

- Powiedziałem mu, że chcesz pozostać w agencji Frazier-Nelmes. Mam nadzieję, że się nie pomyliłem.

Ashley dosłownie straciła mowę z wrażenia.

- Rozumiesz więc - mówił dalej Conrad - że ta cała awantura w sumie się opłaciła, na co zresztą po cichu liczyłem. Kiedy przygotowałaś ten imponujący projekt, którego, prawdę mówiąc, po tobie się spodziewałem, wiedziałem, że David Burgess będzie chciał się z tobą zobaczyć. To był jedyny sposób, żeby utrzymać ten interes i równocześnie zatrzymać cię w Nowym Jorku.

- Chyba jednak nie nadażam - wyznała bezradnie Ashley.

- Chodzi głównie o to, że wywarłaś na staruszku piorunujące wrażenie i choć nie mogą nam dać zlecenia w tym kwartale, to poważnie zastanawia się nad następnym kwartałem i chce,

żebyś to ty prowadziła kampanię. Co więcej, chciał, żebyś się w ogóle przeniosła, do jego firmy, ale jak już powiedziałem, to nie wchodzi w rachubę. Tak więc teraz, niezależnie od kaprysów Candy, zarówno ty, jak i agencja Frazier-Nelmes jesteście bezpieczne. Ten facet cię ubóstwia, masz go całkowicie w garści. Ashley zmarszczyła brwi ze zdziwieniem.

- W takim razie, kto dostał zlecenie?

- J.S.&A.

- J.S.&A.? Ale przecież widziałeś, co oni proponowali.

- Owszem. A tak nawiasem mówiąc, to ty wzięłaś ich teczkę, jak się dowiedziałem. Nie, nie. - Podniósł rękę, powstrzymując jej protest - Zrobiłaś to nieświadomie. Wzięłaś ją razem ze swoimi rzeczami w tamten dzień, kiedy poszłaś na spotkanie z Arthurem Fellowmanem. Nawiasem mówiąc, wcale się tym nie zmartwił, raczej chciał mi wyrządzić przysługę. Pewnie próbował mnie powstrzymać przed wydaniem jeszcze większych pieniędzy, niż ty to już zrobiłaś. - Chcesz powiedzieć, że nie muszę wracać do Londynu?

- Chyba że sama tego zechcesz. Potrząsnęła głową.

- To dobrze - odetchnął, wsuwając rękę do kieszeni. - Miałem taką nadzieję.

- Powiedz mi - zaczęła. - Mówiłeś serio, że chcesz, abym została? - Naturalnie.

- Mimo że nie dostaliśmy zlecenia?

- Ono nigdy nie było aż takie ważne - wyznał. - Ważne było tylko to, żebyś ty mogła tu zostać i żeby Candy nie mogła się za to odgrywać na agencji lub na mnie osobiście. Ashley z trudem przełknęła ślinę.

- Trochę za wiele wrażeń naraz, jak dla mnie.

- To może lepiej usiądziesz - podsunął.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Dziękuję. - Podeszła do jego biurka i odstawiła filiżankę na tacę. Jeszcze jedno - postanowiła zaryzykować i wyjaśnić sprawę do końca. - Jestem ciekawa, czy to właśnie Candidę spotkał Alex wtedy, gdy zabrałeś go na przejażdżkę?

Conrad sprawiał wrażenie trochę zaniepokojonego pytaniem. - Ach, tak to była Candy. Przyjechała bez zapowiedzi, a ponieważ sprawa zlecenia była jeszcze nie wyjaśniona, musiałem być dla niej miły.

- Rozumiał ucięła krótko.

On także odstawił filiżankę i ku wielkiemu zdumieniu Ashley, wziął ją za rękę,

- Nie rozumiesz, ale nie będę ci tego tłumaczył. - Sięgnął po jej drugą rękę. - Cieszę się, że chcesz zostać.

Spojrzała mu w oczy i serce jej podskoczyło na widok bijącej z nich powagi. Uśmiechnął się, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. - Och - westchnęła, kiedy ją puścił.

- Tylko tyła masz mi do powiedzenia?

Uświadomiła sobie, że z rozchyłonymi ustami musi wyglądać jak zaskoczona złota rybka. Przywołała się do porządku.

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Roześmiał się głośno.

- Wiedziałaś, że zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia?

- Och, Conradzie, dobrze wiesz, że to nieprawda.

- A szkoda. - Stał nad nią, ujął jej twarz w dłonie i zajrzał głęboko w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie, lecz nie śmiała się odezwać ze strachu, że czar pryśnie i wróć do rzeczywistości. Bała się, że w każdej chwili może się zbudzić w Londynie. Conrad powoli opuścił głowę i rozchylił wargi, przyciągając ją znowu do siebie. Kiedy złączyli się w pocałunku, Ashley zarzuciła mu rękę na szyję, a on mocno przytulił ją do siebie. Przywarła do niego, czując, jak całe jej ciało odpowiada ciepłem na jego dotyk. Chciała znaleźć się jeszcze bliżej niego, zapominając o wszystkim dookoła, wiedząc jedynie, że właśnie tego pragnęła najbardziej na świecie - być tutaj razem z nim.

Brzęczyk na biurku gwałtownie przywołał ich do rzeczywistości. Nie wypuszczając Ashley z objęć, Conrad nachylił się i wcisnął przełącznik.

- Samochód czeka przed budynkiem - oznajmiła Candice i natychmiast się rozłączyła.

Conrad odwrócił się z powrotem do Ashley i uśmiechnął się na

widok pytania i zawodu, matojących isię w jej oczach. Czyżby miał ją teraz zostawić i gdzieś wyjechać?

- Chodź - pociągnął ją za sobą.

- Dokąd idziemy?

Zatrzymał się przy drzwiach, by jeszcze raz ją uścisnąć.

- Naprawdę myślisz, że mógłbym czekać dłużej? - Przycisnął ją do siebie, widząc, że zaczyna drzeć. -

Powiedz, że się zgadzasz.

Podczas drogi niewiele się do siebie odzywali. Powietrze między nimi było naładowane długo tłumionym pożądaniem. Co jakiś czas Conrad zerkał na nią, lecz Ashley bała się na niego popatrzeć. Czowała, że gdyby jej dotknął, mogłaby całkowicie stracić panowanie nad sobą. Pragnęła go tak bardzo, że bolało ją całe ciało. Kiedy znaleźli się przed drzwiami budynku, w którym było jego mieszkanie, rzucił klucz odźwiernemu i pociągnął ją do środka.

Gdy winda wiozła ich na dziewiąte piętro, Ashley obawiała się, że za chwilę spłonie z pożądania. Weszli do mieszkania i Conrad zatrzasnął za nimi drzwi, po czym wprowadził ją do sypialni.

Niecierpliwie zdzierali z siebie ubrania. Naga wsunęła się w jego objęcia. Pochylił głowę do pocałunku, przygarniając ją do siebie tak mocno, że czuła twarde mięśnie jego ud, siłę ramion obejmujących ją w pasie, sprężystość dłoni opartych na jej pośladkach. Pchnął ją łagodnie na łóżko. Przez chwilę stał nad nią jedynie patrząc. Jego wzrok był jak pieśczoć. Ashley jęknęła cicho, czując, jak jej ciało samo odpowiada na tę pieśczoć. Gdy zbliżył się do niej, opuściła wzrok na jego członek, wzniesiony wysoko, nabrzmiący, gotowy do miłosnego aktu. Wróciła spojrzeniem do jego twarzy i zadrżała, kiedy położył ręce na jej udach, rozsunął jej nogi i opadł przed nią na kolana. Jego język, twardy i giętki, doprowadził ją do krzyku rozkoszy. Objął dłońmi wżgórki jej piersi, ściskając je i gniojąc, aż brodawki mieniły się w twarde koraliki. Nakrył je ustami, całując i pieśzcząc językiem, kojąc bolesne napięcie. Wyciągnęła rękę i objęła palcami jego członek.

Usłyszała westchnienie przechodzące w jęk - zmysły zawładnęły nim całkowicie. Nagle leżał

przy niej - czuła jego palce zagłębiające się w niej niecierpliwie. Napała na niego, podając biodra do przodu. Otworzył szeroko usta i zgniótł jej wargi w łakomym, gwałtownym pocałunku. Chwycił ją mocno w pasie i wszedł w nią jednym szybkim pchnięciem. Krzyknęła, nie od razu rozpoznając swój głos, kiedy poczuła go w sobie. Jego namiętność była gwałtowna, wręcz dzika, a język sprawny i wymagający, gdy wciskał go jej głęboko w usta. Szarpała go za włosy, wbijała mu paznokcie w plecy, kiedy zagłębiał się w nią coraz szybciej, z coraz większym zapamiętaniem. Poddała się rytmowi wychodząc naprzeciw niego biodrami, przyjmując go w siebie z niecierpliwością. Wreszcie odchylił głowę, by spojrzeć jej w oczy. W chwili wytrysnięcia nasienia wykrzyczał jej imię. Jakby skądś z oddali usłyszała własny głos, odpowiadający na jego wołanie, a ich splecione ze sobą ciała zafalowały rozkoszą, silniejszą i piękniejszą niż kiedykolwiek zaznali.

Musiało upłynąć dobre parę minut, zanim oboje odzyskali dech na tyle, by się odezwać. Spojrzał jej w oczy z czułością i troską, że być może był zbyt gwałtowny, ale skwitowała jego obawy leniwym uśmiechem i przyciągnęła go do siebie, by go pocałować. Roześmiał się mówiąc, że w takim razie może to ona była zbyt gwałtowna. W odpowiedzi na zarzut ugryzła go w palec, co znowu go rozśmieszyło. Przetoczył się na plecy, pociągając ją za sobą. Niedbale błędził dłonią po jej skórze, zatrzymując się w okolicy piersi i pieszczotą pobudzając brodawki, aż stanęły sztywne tak jak przed chwilą. Odwróciła się z westchnieniem w jego ramionach. Przestał się śmiać, patrząc w jej rozszerzone źrenice.

- Niemożliwe - westchnął, zaskoczony natychmiastową, żywą reakcją swego ciała. Tym razem okazali sobie bezmierną czułość i cierpliwość, pozwalając mówić ciału to, czego język nie zdołałby wyrazić.

Później, leżąc w jego objęciach i bezwiednie przesuwając palcami po jego udzie, Ashley westchnęła cicho i obróciła się, by pocałować go w ramię. Poczuła ciepło rozlewające się wokół serca, kiedy przytulił ją mocno do siebie. Wiedząc, że na nią patrzy, zwróciła się do niego twarzą; jego dobrze znajomy, nieco kpiarski uśmiech wydał jej się w tej chwili wyjątkowo uroczy.

- Kocham cię - szepnęła.

- No pewnie, że mnie kochasz - rzucił niedbałym tonem. Otworzyła już usta, by skarcić go za bezczelność, gdy przyłożył jej dłonie do policzków i pocałował.

- I ja cię kocham - powiedział, puszczając ją. W jego oczach znowu pojawiły się wesołe błyski. - Choroba, jesteś najlepszą dupeczką, jaką facet może sobie wymarzyć.

Zaniemówiła z udanego oburzenia.

- Proszę? - wykrztusiła i rzuciła się na niego ze śmiechem.

- Wiesz co, jedno jest pewne - odezwał się po paru minutach.

- Co takiego?

- Dzisiejsze popołudnie bije na głowę ten pierwszy raz, kiedy się kochaliśmy. A wydawałoby się to niemożliwe.

Podniosła głowę z jego piersi i spojrzała na niego z niemym pytaniem w oczach.

- Jaki znowu pierwszy raz? - spytała w końcu.

Dotknął jej twarzy, delikatnie przesuwając kciukiem po policzku.

- Pamiętasz basen?

Ashley odepchnęła się od niego, ale nim zdołała coś powiedzieć, już trzymał ją przy sobie w mocnym uścisku, zamykając jej usta pocałunkiem. W tym momencie zadzwonił telefon. Przeklinając w duchu, Conrad sięgnął po słuchawkę. - Przepraszam - rozległ się głos Gandice po drugiej stronie - ale to ważna sprawa.

- Na pewno nie może poczekać?

- Obawiam się, że nie - upierała się Candice. Conrad podniósł się z westchnieniem.

- No dobrze, mów, o co chodzi.

- Jest tu ze mną gosposia Ashley.

- Czego chce? - Conrad spojrzał na Ashley, a ona uśmiechnęła się do niego, kreśląc palcem zawile wzory na jego plecach. - Przyniosła ze sobą jakąś kartkę z wiadomością, znaną w mieszkaniu Ashley.

- Jaką kartkę? Co to za wiadomość?

- Hmm, od jej męża, to znaczy, byłego męża. Píše, że wyjeżdża do Anglii i zabiera ze sobą chłopca.

- Co?! - Conrad niemal krzyknął.

Ashley znieruchomiała. Jakiś szósty zmysł podpowiadał jej, że wiadomość może jej dotyczyć.

- Jest tam napisane coś jeszcze?

- Niestety, tak - mówiła Candice. - Napisał, że jeśli będzie próbowała ściągnąć go z powrotem, to wtedy...

Przeczytam to dosłownie. Píše: „Mówiłem ci, Ashley, że nigdy nie będziesz mieć Alexa w Nowym Jorku.

Może teraz wreszcie mi uwierzysz. Wywożę go z powrotem do Anglii i jeśli zrobisz cokolwiek, powtarzam - cokolwiek, żeby go zabrać, to nie zawaham się zabić jego i siebie. Tym razem to nie jest pogrożka.

Powiedziałem ci, że nigdy nie wygrasz. Może teraz mi uwierzysz". Podpisał się: „Twój mąż, Keith".

Conrad czuł na sobie pełen napięcia wzrok Ashley.

- Dzwoń na lotnisko - polecił Candice. - Zarezerwuj dwa bilety na Concord. Albo na jakikolwiek najbliższy lot. Wyślij kogoś do jej mieszkania. - Obrzucił Ashley szybkim spojrzeniem. - Niech spakuje najniezbędniejsze rzeczy i odeśle prosto na tomisko Kennedy'ego.

- Już się robi - odpowiedziała Candice, lecz Conrad zdążył odłożyć słuchawkę.

- O co chodzi? - spytała Ashley z pobladłą twarzą. Niepokój, który męczył ją na początku dnia, nagle zaczął pulsować w jej głowie.

Conrad otoczył ją ramieniem - była bardzo spięta.

- Ubieraj się.

- Nie - zaprotestowała. - Najpierw mi powiedz, co się stało. Powiedz mi, Conradzie. Alex, to ma coś wspólnego z Alexem, prawda? Proszę cię, powiedz mi!

- Ciii... - próbował ją uspokoić. - Zbieraj się szybko. Powiem ci % w drodze na tomisko.

- Ale dokąd mamy lecieć?

- Do Londynu.

Rozdział 37

Jenn telefon do ciebie!

Jenneen zatrzymała się i spojrzała na zegarek.

- I tak już jestem spóźniona - westchnęła, biorąc słuchawkę od sekretarki. - Kto dzwoni?

- Nie przedstawił się - odparła, wracając do swojego biurka.

- Halo, tu Jenneen Grey.

- Mówi Matthew.

Jenneen zeszywniała. Dał pierwszy znak życia od czasu pamiętnego dnia, gdy została przez niego pobita.

- Chcę się dziś z tobą spotkać, Jenn. O wpół do ósmej, u ciebie. Jenneen była zaskoczona - Matthew nigdy nie zapowiadał swoich wizyt.

- Hmm, dobrze się składa, bo ja też chciałam się z tobą zobaczyć.

- Świetnie j- ucieszył się Matthew. - Nie zabawię długo, wędnie musisz odwoływać innych spotkań.

- To miło z twojej strony - zakończyła Jenneen i odłożyła słuchawkę.

Udała się do studia video na piątym piętrze. Szła jak automat, nie myśląc o tym, co robi i dokąd idzie:

Jednakże to nie Matthew zaprzętał jej myśli. Wciąż była opanowana przez to dziwne, nie znane jej dotąd uczucie, nie opuszczające jej od czasu weekendu. Z początku nawet nie potrafiła go określić. Nie kojarzyło jej się z niczym złym. Wręcz przeciwnie, wprawiało ją w radosny nastrój, kiedy budziła się rano, i towarzyszyło jej w ciągu dnia, czasami nawet nawiedzało ją w snach. Z biegiem czasu coraz częściej widywała się z Vicky i nabierała coraz głębszego przekonania, że to uczucie dawało jej poczucie spełnienia. Było spełnieniem i szczerością. W końcu osiągnęła równowagę wewnętrzną. Nie było już potrzeby przed niczym uciekać, znalazła to, czego zawsze pragnęła, choć to pragnienie długo pozostawało nie uświadomione.

Czasami wciąż trudno jej było uwierzyć, że zostały z Vicky kochankami. Wydawało się to niewiarygodne.

Nadal, przypominając sobie gładkość skóry Vicky, piękno jej oczu i delikatność pocałunków, w głębi duszy czuła dziwny wstyd. Jednakże z każdym dniem ten wstyd stawał się coraz słabszy, stopniowo ustępując radości z nowo odkrytego uczucia. Było jej dobrze. To uczucie wcale nie wzbudzało w niej wyrzutów sumienia, czego jeszcze niedawno się obawiała. Było inaczej niż dotychczas, w kontaktach z mężczyznami.

Obecna miłość wydawała się czysta i delikatna i czuła się z nią dobrze.

Nikommu nie mówiła o tym, co zaszło. Nawet doktorowi Bryantowi, psychiatrze, do którego zaczęła uczęszczać na wizyty. Na zwierzenia było jeszcze za wcześnie. Wszystko powinno następować we właściwym czasie, jak uczyła ją Vicky, pośpiech nie był wskazany.

Jenneen wyobraziła sobie twarz Vicky, patrzącej na nią roziskrzonym wzrokiem, przemawiającej miękkim głosem.

- Nie jesteś pierwszą osobą na świecie, której się to przytrafiło - mówiła ze śmiechem Vicky, - I nie będziesz ostatnią. Niektórym przychodzi to łatwiej. Te wszystkie uprzedzenia, które przez lata wpajało ci otoczenie, nie ustąpią tak od razu. Musisz być cierpliwa. Ale przekonasz się, że nie ma się czego wstydzić.

Jenneen uśmiechnęła się do siebie. Kochana Vicky. Z nich dwóch ona zawsze była tą silniejszą, nie poddawała się przeciwnościom życia. Lecz tego ranka wydawała się dziwnie bezbronna i jakby niepewna. Jenneen zastanawiała się, czy Vicky jest w niej zakochana. Dziwne, ale ta myśl wcale jej nie przstraszyła. Musiała przyznać, że ma co do tego pewne przeczucia, a przy całej świadomości, że nie będzie im łatwo, w głębi serca pragnęła miłości Vicky.

Miała ochotę do niej zadzwonić lub wstąpić do sklepu, by się z nią zobaczyć. Wciąż wydawało jej się niesamowite trzymanie w ramionach drugiej kobiety w taki sposób, jak dotąd obejmowała tylko mężczyznę. Było w tym coś tak radosnego, jakby upajała się samym zapachem kobiecej skóry.

Jenneen roześmiała się na głos. Pomyśleć tylko, że snuje fantazje na temat czegoś, o czym wcześniej nie śmiała nawet myśleć. Co więcej, teraz życie przekroczyło fantazję. Dotyk ust Vicky, miękki i delikatny, wzbudzał w niej odczucia, jakich wcześniej nie знаła. Myślała o piersiach Vicky, ocierających się o jej własne piersi, o ciepłe jej drobnych rak na swoim ciele. Jeszcze niecały tydzień temu Jenneen uznałaby to za coś odpychającego, nie do przyjęcia. A teraz marzyła tylko o tym, by poczuć ją znowu blisko siebie.

Weszła do kabiny, gdzie przygotowywano wstawki filmowe do programu na następny dzień. Greg, odpowiedzialny za montaż, na jej widok podniósł głowę znad pulpitu.

- Zacząłem bez ciebie - poinformował. - Chcesz zobaczyć, co dotąd zrobiłem?

- Jak uważasz. Ale jestem pewna, że wszystko jest jak trzeba. Greg ponaciskał odpowiednie guziki.

- To jak, mam przewijać?

- No dobrze, rzućmy na to okiem.

Przebierając palcami jak niezbyt biegły pianista, wprawił urządzenie w ruch, przewijając taśmę do samego początku. Jenneen przeszła do drzwi i zajrzała do pomieszczenia z aparaturą. - Ile kamer mamy do dyspozycji? - Dwie.

- Głupie pytanie - mruknęła do siebie. - Jakbyśmy kiedykolwiek mieli więcej; Myślałam, że dzisiaj mieliśmy dostać trzy? - Mieliśmy - potwierdził. - Ale jedną zabrali na godzinę ci z dziennika, żeby nadać jakiś wywiad w wydaniu o szóstej. Przyglądając się krytycznie zgromadzonej w studio aparaturze, usłyszała odgłos zrywającej się taśmy. - Niech to szlag! - zezłościł się Greg. - Poczekaj chwilę, muszę to naprawić.

Jenneen poszła za nim; przyglądała się, jak manipuluje przy urządzeniu, mocując taśmę na miejscu. Nagle usłyszała głos, który wydał jej się znajomy. Rozejrzała się, próbując ustalić, skąd dochodzi.

- Hej - zawołała, patrząc na niewielki monitor znajdujący się nie opodal ich stanowiska. - Czy to przypadkiem nie Bob McElfrey?

Greg zerknął na ekran.

- Znasz go? - Wyraźnie mu zaimponowała.

- Owszem. Co on tu robi? Który to program?

- Wiadomości.

- Zaraz wrócę. - Jenneen zniknęła w sąsiedniej kabinie. - Mogę popatrzeć? - spytała inżyniera zajmującego się nadawaniem wywiadu.

- Bardzo proszę. - Usunął teczkę z wolnego krzesła.

Wywiad trwał już od pewnego czasu. Zrobiło jej się głupio, że od tak dawna nie rozmawiała z Ellamarie, ale przez cały czas, odkąd wróciła od rodziców Vicky, była bardzo zajęta. Po obejrzeniu całego wywiadu zadzwoni do Ellamarie i powie jej, jak Bob wspaniale wypadł.

Mówił o konferencji poświęconej sprawom sztuki, w której miał wziąć udział jeszcze tego wieczoru. Jenneen przypomniała sobie, że także była na nią zapraszana. Teraz, gdy wiedziała, że Bob miał być

tam obecny, żałowała, że nie przyjęła zaproszenia. Kamera przesunęła się na kobietę siedzącą obok niego, Jenneen wychyliła się do przodu, kiedy kobieta zaczęła mówić.

- ...tak - mówiła - tak, czasami biorę udział w zawodach, ale raczej rzadko. Bob często startował w młodości. Pamiętasz? - zwróciła się do niego.

Bob roześmiał się. Jenneen zauważyła, że trzymają się za ręce.

- Czy kiedykolwiek zaważyło na waszym małżeństwie to, że pani jest tak zajęta swoimi końmi, a Bob spędza mnóstwo czasu poza domem? - spytała osoba prowadząca wywiad.

- Chyba nie - brzmiała odpowiedź. - Ale muszę przyznać, że tęsknię za nim,- kiedy nie ma go w domu.

Następne pytanie było skierowane do Boba.

- Podobno w piątek odlatuje pan do Nowego Jorku? Bob przytaknął. ,

- Czy ma to może coś wspólnego z plotkami, że będzie pan kręcił *Królową Kornwaliit*

Bob potwierdził ze śmiechem.

- Doszły nas słuchy, że znalazł pan kogoś do roli królowej. Mogę spytać, o kogo chodzi?

- To tylko plotki - zapewnił Bob. - Mieliśmy pewną kandydaturę, ale jest już nieaktualna.

- A pani, pani McElfrey, czy jedzje pani z mężem do Nowego Jorku?

- Owszem, jadę. Zazwyczaj nie jeżdżę z nim w podróże służbowe, ale postanowiliśmy zrobić sobie przy tej okazji małe wakacje. Może się okazać, że będą nam musiały wystarczyć na dłuższy czas. - Znowu odwróciła się do męża.

Mimo kompletnego oszołomienia, Jenneen dostrzegła błysk zmieszania w oczach Boba, zanim wygiął usta w uśmiechu.

- Przypuszczam, że nawał obowiązków męża nie sprzyja częstym wakacjom - wtrącił dziennikarz.

- To prawda. - Linda uśmiechnęła się i jeszcze raz zerknąwszy na Boba pochyliła się ku prowadzącemu wywiad. Jej twarz oblała się lekkim rumieńcem. - Ale właściwie... zdradzę panu pewien mały

sekret. Nie będziemy z Bobem mieć czasu na wakacyjne wyjazdy przez najbliższy rok lub dwa, bo w lutym spodziewamy się naszego piemszego dziecka.

Jenneen nie słuchała wylewnych gratulacji składanych przez prezentera. Ze zgrozą w oczach spojrzała na człowieka siedzącego obok niej w kabinie.

- O Bożei - wyszeptała. - O mój Boże! - Poderwała się. - Gdzie jest telefon.

Inżynier, machnął ręką w kierunku sąsiedniego pomieszczenia. Na szczęście nikogo tam nie było. Szybko wybrała numer. Ellamarie odebrała dopiero po kilku sygnałach.

- Ellamarie! - krzyknęła Jenneen do słuchawki.

- W porządku, Jenneen, widziałam to.

- O mój Boże! - Jenneen wstrzymała na chwilę oddech. - Ellamarie, nie wiem, co powiedzieć. Wiedziałaś?

Nie odpowiadając na pytanie, Ellamarie poprosiła:

- Możesz do mnie przyjechać, Jenn? Chyba nie potrafię być sama dzisiejszej nocy.

Jenneen spojrzała w szybę kabiny montażowej, gdzie powinna znajdować się w tej chwili. Jeśli wyjdzie, narazi na ryzyko cały swój nowy program. Co miała do diabła zrobić? Myśląc gorączkowo nad jakimś rozwiązaniem, rzuciła do słuchawki:

- Posłuchaj, przyjadę, jak tylko będę mogła. Tymczasem zadzwoń do Kate i powiedz jej, żeby natychmiast do ciebie przysłała. Och, Ellamarie, tak mi przykro.

- Rozumiem. - Ellamarie (zakończyła rozmowę.

Długo patrzyła na telefon, nim zdecydowała się wykrecić numer Kate. Cóż one mogły jej pomóc? Straciła go już na zawsze, była tego pewna. Na wypadek, gdyby miała jakieś wątpliwości, pozwolił Lindzie ogłosić to przed światem. Przyjaciółki pomogą jej przetrwać najgorsze, muszą jej pomóc.

Kate odebrała telefon zdyszany od pośpiechu głosem.

- Pędzę na lotnisko - wyjaśniła. - Nick czeka na mnie w Nowym Jorku. Jenneen ci nie mówiła? Nie, nie oglądałam dzisiaj dziennika. Stało się coś? Nic? Och, czasami jesteś dziwna, Ellamarie. Słuchaj, wiesz co, wstąpię do ciebie w drodze na lotnisko, dobrze? Nie, oczywiście, że to nie będzie żaden kłopot. Mam jeszcze sporo czasu do odlotu. Och, jak to miło z twojej strony, jasne, że możesz mnie odwieźć na lotnisko. Muszę kończyć, do zobaczenia później. - Odłożyła słuchawkę.

Calloway wszedł do mieszkania Kate posługując się własnym kluczem. Zamykając za sobą drzwi, dostrzegł Kate znikającą w sypialni z naręczem ubrań.

Odwiesił płaszcz na wieszak i poszedł za nią.

- Co robisz? - spytał, widząc na łóżku otwartą walizkę.

Kate na moment zastygła w bezruchu, a potem wróciła do pakowania.

- Jadę do Nowego Jorku.

- Do Nowego Jorku? - zdziwił się, robiąc krok w stronę łóżka. - Wysyłają cię na delegację? Nic o tym nie wspominałaś. Wyjęła z szuflady bieliznę i cisnęła ją do walizki.

- Nie, jadę do Nowego Jorku, ponieważ tam jest Nick.

Ojciec zatrzymał się w pół kroku; patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nick?!

- Owszem, Nick.

- Myślałem... - zająknął się. Kate nie przerywała pakowania, starając się ukryć drżenie rąk. Ojciec obserwował, jak krąży pomiędzy walizką a szafą.

- Chcesz mi powiedzieć - zdołał się wreszcie odezwać - że lecisz za nim, po tym, co ci zrobił?

Kate zacisnęła palce na trzymanej w rękach sukience. Nie spodziewała się, że ojciec może przyjść dzisiaj do niej. Próbowała odsuwać od siebie myśli o tym wszystkim, co usłyszała od Jenneen, ale w tej sytuacji okazywało się to niemożliwe. Odwróciła się powoli do ojca,

- A co Nick mi zrobił, tatusiu? Co właściwie Nick mi zrobił?

- Kate, na litość boską, nie mogłaś tak szybko zapomnieć.

Kate patrzyła w twarz, którą znała i kochała przez całe życie. Nawet teraz, kiedy już wiedziała, co powiedział Nickowi, nie mogła w to uwierzyć: Rozmawiała potem z Nickiem. Wszystko potwierdził. Kazał jej natychmiast przyjechać do Nowego Jorku.

„Nie spotykaj się z ojcem przed wyjazdem - ostrzegł. - Wsiadaj w najbliższy samolot." I to właśnie miała zamiar zrobić. Ale on był tutaj i pomimo całego swego gniewu i rozpacz, nie chciała go tak po prostu opuszczać. Kochała go, mimo tego, co zrobił. Był przecież nadal jej ojcem.

Zbliżył się do niej, a ona, wbrew miotającym nią rozterkom, padła mu w ramiona.

- Tatusiu, och, tatusiu - szlochała. - Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego oni mówili takie rzeczy? Powiedz mi, że to wszystko nieprawda. Powiedz, że nigdy czegoś takiego nie powiedziałaś.

- Cicho - szepnął, ściskając ją w ramionach i gładząc po włosach.

- Proszę cię, powiedz, że to nieprawda.

- Co oni mówili? Z kim rozmawiałaś?

Wstrząsnęła się, kiedy chwycił jej dłoń. Nagła fala obrzydzenia przyprawiła ją o mdłości. Gwałtownie odsunęła się od ojca.

- Nie! Nie dotykaj mnie. Nie wolno ci mnie dotykać. Nie po tym... - Głos jej się załamał.

- Kochanie, o co chodzi? - Ojciec próbował z powrotem przyciągnąć ją do siebie.

- Nie! - krzyknęła piskliwie. - Oni powiedzieli... Jenneen, Nick, mówili... Nie, nie podchodź do mnie. Nie powinieneś tu przychodzić. Och, mój Boże, co się dzieje, chcę jechać do Nicka.

Rozejrzała się z rozpaczą po pokoju. Z jednej strony chciała uciec od ojca jak najdalej, z drugiej pragnęła, by ją przytulił i powiedział, że to był tylko jakiś koszmarny sen. Gdyby potrafiła pogodzić się z tym, o czym w głębi duszy była przekonana, zrozumiałaby, że straciła ojca. Ze nie powinni się już nigdy widywać.

- Kate - odezwał się ojciec.

Spojrzała na niego i dostrzegła w jego oczach miłość. Zawsze ją tam widziała... od czasu, gdy była dzieckiem.

Widząc jej wahanie, znowu wyciągnął ramiona, Wolno uniosła ręce i ich dłonie spotkały się.

- Już dobrze, dobrze - uspokajał. Zbierz swoje rzeczy i jedźmy do domu, zgoda? Na dole czeka samochód.

Ukryła twarz na jego ramieniu.

- Och, tatusiu - chlipała. - Wszystko się tak poplątało.

- Uspokój się, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Jesteś po prostu bardzo zmęczona. Potrzebujesz odpoczynku.

Podniósł jej twarz i spojrzał w oczy. Mrugała, chcąc odgonić łzy, bezskutecznie próbowała zmusić swój umysł do rozsądnego myślenia. Ojciec tak długo kierował jej życiem, że teraz potrafiła jedynie go słuchać. Tylko jemu mogła ufać. Przyjaciele ją okłamali. Z pewnością ją okłamali. Przecież wcześniej okłamywali ją w sprawie Joela. A teraz znowu kłamią. Jej ojciec nigdy by nie był zdolny do tego, co sugerowali. To było straszne i obrzydliwe.

Patrzyła mu w twarz z tak bezbronną ufnością, że ogarnęła go potężna fala miłości. Tak potężna, że przeniosła go ponad granicę opanowania. Pochylił głowę i nakrył wargami jej usta.

Nie stawiała oporu. Sparaliżowana zdumieniem i strachem, poczuła, że pocałunek staje się coraz bardziej namiętny. Objął ją mocno, tak jak to robił, gdy była dzieckiem. Tyle że nie była już dzieckiem i coś w niej w środku krzyczało, że tak nie wolno. Że to, co on z nią robi, jest złe. Ten mężczyzna był jej ojcem, a obejmował ją i całował jak kochanek.

- Nie! - Odkoczyła od niego. - To niemożliwe! Dlaczego to robisz? - Chciał ją dotknąć, ale zrobiła krok do tyłu. - Muszę się od ciebie uwolnić - krzyczała. - Nie dotykaj mnie. O, Boże, Nick! Tak, Nick. Muszę do niego jechać. - Kate, nie możesz, - Głos ojca brzmiał jak błaganie.

- Przestań! Proszę cię, przestań!

- Nie pozwolę ci jechać. - Calloway złapał za uchwyt walizki leżącej na łóżku.

- Puść! - krzyczała, wyszarpując mu walizkę. - Puszczaj, puszczaj!

- Kate - żebrał. - Posłuchaj. Nie możesz do niego jechać. Popęlniasz straszny błąd. On cię nie kocha, musisz mi wierzyć. On cię nie kocha.

- Kocha mnie! Kocha i pragnie być ze mną! Puść!

Ojciec wyszarpnął jej walizkę i odrzucił w drugi koniec pokoju.

- Nigdzie nie jedziesz. Zostajesz tutaj, ze mną. -Nie.

Patrzył na nią tak, że znów była bliska poddania się.

- Och, tatusiu, nie rób mi tego - szlochała. - Nie rozumiesz? Ja go kocham. Wybiegła z pokoju.

Znalazł ją w kuchni. Przerzucała zawartość szuflady w poszukiwaniu paszportu,

-Kate - odezwał się, przelękając z trudem ślinę. - Musisz mnie posłuchać.

- Nie. Nie chcę cię już dłużej słuchać. Zostaw mnie w spokoju. Odejdź i zostaw mnie w spokoju. Nie dość szkód już narobiłeś?

- Proszę cię, posłuchaj. Nie możesz jechać do Nowego Jorku. Nie możesz jechać do Nicka. On cię nie chce. Nie potrzebuje cię. To ja cię potrzebuję. Nie rozumiesz tego? Potrzebuję cię tutaj, przy sobie. Nie zostawiaj mnie, Kate. Błagam cię, nie opuszczaj mnie.

Próbowała go wyminąć, lecz złapał ją za rękę i zmusił do spojrzenia sobie w twarz.

- Nie możesz mi tego zrobić, Kate. Nie możesz mnie opuścić. On nigdy nie będzie w stanie , zrobić dla ciebie tyle, co ja. Nie jedź, kochanie. Proszę, obiecaj, że mnie nie opuścisz. Kocham cię, Kate. Nie rozumiesz tego? Ja cię kocham.

Patrzyła na niego oczyma rozszerzonymi strachem.

- Kate... - Głos ojca był już trochę spokojniejszy. Czując, że jej opór słabnie, przyciągnął ją do siebie i znów próbował pocałować.

- Niiieeeee! - krzyknęła histerycznie i z całej siły odepchnęła go od siebie. Uderzył plecami o ścianę.

Widziała, jak wyprostowuje się i rusza w jej kierunku. Cofała się z wyciągniętymi przed siebie rękami, potrząsając głową. Płacząc błagała go, żeby się nie zbliżał, ale on wciąż szedł w jej stronę.

- Kate, nie patrz tak na mnie. Nie patrz na mnie takim wzrokiem. Wszystko będzie dobrze. Wszystko się ułoży.

- Nie dotykaj mnie!

Chwycił ją za ręce i i przycisnął plecami do kredensu. Zamknęła oczy.

- To nieprawda, to mi się tylko wydaje - powtarzała szeptem, -To mi się tylko śni.

- Nie mów tak. – Jego twarz znalazła się bardzo blisko jej twarzy. - Ty też mnie kochasz, Kate, wiesz o tym.

- Nie, proszę. O Boże, pomóż mi. Niech mi ktoś pomoże! Próbowała się wyrwać, ale jego uścisk był mocny.

Nagle wykręcił jej ręce do tyłu i napał na nią całym ciałem. Zaczął ją całować. Kate wykręcała głowę, niemal dławiąc się z obrzydzenia. Rozchylił jej bluzkę. Poczowała jego ręce na ciele.

Wyrwała się z krzykiem. Uciekła w drugi koniec kuchni, z trudem chwytając ustami powietrze. Stał znów naprzeciw niej.

- Nie zbliżaj się - chlipnęła, kiedy wykonał pierwszy krok, lecz to go nie powstrzymało. Namacała za sobą uchwyt szuflady. Wsunęła rękę do środka.

- Kate...

- Nie, zostań na miejscu. Nie ruszaj się. Nie podchodź bliżej. Nie zatrzymaj się.

Zacisnęła palce na rękojeści noża. Wysunęła ostrze przed siebie, by go powstrzymać, ale było za późno - już się na nią rzucił.

Spotkali się wzrokiem. Oboje mieli w oczach niedowierzanie. Patrzyła, jak twarz ojca powoli tężeje. Potem cicho opadł na podłogę, pozostawiając ją z ręką wciąż zaciśniętą na uchwycie noża, z twarzą zmartwiałą z przerażenia.

Parę sekund później odwróciła się gwałtownie, gdy pukanie do drzwi odbiło się echem po pogrążonym w ciszy mieszkaniu.

Dwie godziny później Ellamarie wciąż jeszcze czekała na Kate. Jenneen miała przyjść lada moment, naprawdę nie było powodów do paniki. Nie myśl o Bobie, nie myśl o tym, że jest teraz na konferencji razem z żoną, Nie myśl o tych wszystkich okrutnych rzeczach, jakie ci powiedział. Zamknij oczy, nie rozglądaj się po pokoju, bo tu

wszystko tylko ci go przypomina. Ileż razy sobie to już powtarzała, ale nadal myślała tylko o nim.

Gdzie ta Jeaneen? Dlaczego jeszcze rde przyszła? Kate też mówiła, że przyjedzie...

Mijały minuty i nadal nikt nie pukał do drzwi. Stała przy oknie, wpatrując się w pustą ulicę. Wieczór był toki cichy. Niechby coś się wydarzyło... niechby ktoś przyszedł... Przycisnęła twarz do szyby. Bob! Och, Bob!

Dostrzegła go, wyłaniającego się zza rogu. Był tam, sięgał do wieszaki po klucze. Wchodził. Wrócił do niej. Zamrugła oczami i ulica znów stała się pusta.

Musiała się w końcu pogodzić z tym, że nikt do niej nie przyjdzie. Samotna, w miejscu, o którym przywykła myśleć jak o domu, była teraz kimś obcym.

Podeszła do telefonu i wykręciła numer rodziców.

- Mama?

- O, Ellamarie, to ty. Jak się masz, kochanie?

- Mamo, chcę przyjechać do domu.

- Ale my wyjeżdżamy, skarbie. Nie mówiłam ci? Nie? No więc, wyjeżdżamy na trzy tygodnie. Jedziemy na Florydę. Oczywiście, przekażę pozdrowienia tatusiowi. Dzwonisz w jakiejś konkretnej sprawie? Nie? No to na razie, skarbie. Pa!

Ellamarie poczuła, że zbliża się do przepaści.

Z rękami w kieszeniach, z pogodną, wręcz nonszalancką miną, Matthew szedł przez hol w mieszkaniu Jenneen. Rozglądał się, jakby widział to miejsce po raz pierwszy. Raz i drugi przystanął, by popatrzeć na oprawione w ramki zdjęcia wiszące na ścianie. Żadnych obrazów, tylko fotografie. Niektóre przedstawiały Jenneen w plenerze, na innych była z gośćmi w studiu. Były też abstrakcyjne kompozycje wykonane przez profesjonalistów.

Jenneen podążała za nim z rękami skrzyżowanymi na piersi, zatrzymując się za każdym razem, gdy on stawał, jakby zwiedzali jakąś galerię.

Zjawił się wcześniej, niż się spodziewała, dlatego miała na sobie szlafrok i włosy zawinięte ręcznikiem. Zerknęła na zegarek, modląc się, by nie zabrał jej dużo czasu. Martwiła się o Ellamarie i chciała do niej pojechać jak najszybciej.

Wreszcie Matthew pchnął drzwi do jadalni i usiadł przy stole, wzbudzając tym zdziwienie Jenneen.

Zazwyczaj kierował się prosto do barku po whisky.

Stanął na środku pokoju. Matthew siedział z wyciągniętymi daleko przed siebie nogami, nadal nie wyjmując rąk z kieszeni. Miał głowę pochyloną tak, że niemal dotykał piersi podbródkiem, a na ustach błąkał mu się uśmiech, który osobie nie zorientowanej w sytuacji mógłby się wydać nawet miły. Obserwował ją kątem oka. Nie zmieniając ułożenia rąk, przeniosła ciężar ciała na jedną nogę.

- No więc, Matthew, wróciliśmy do punktu wyjścia. Niewiele się zmieniło, co?

Przyglądał się jej przez parę sekund, po czym wyjął jedną rękę z kieszeni, położył łokieć na stole i oparł głowę na dłoni.

- Dzisiaj przynajmniej nie jesteś pijany - zauważyła. - Więc może jednak coś się zmieniło. - Ponieważ dalej nie wykazywał chęci do rozmowy, Jenneen podeszła do stosu książek leżących na małym stoliku pod oknem, przeniosła je do półek na ścianie i zaczęła ustawiać we właściwych miejscach. Obserwował ją, nadal nic nie mówiąc.

- Matthew, nie sądzisz, że moglibyśmy przejść do rzeczy - zaproponowała, uporawszy się z ostatnim tomem. - Trochę się śpieszę. - Odwróciła się w jego stronę.

- Świetnie - odezwał się wreszcie, - A do czego właściwie chciałabyś przejść?

- Och, daj spokój, Matthew - zniecierpliwiła się. - Dzwoniłeś do mnie, pamiętasz? Ile chcesz? Pięćdziesiąt, sto, sto pięćdziesiąt?

- Co za hojność - zakpił.

- To będzie ostatnia suma, jaką dostaniesz. Od dzisiaj nie będzie już ani pensa.

- Czyżby? Podjęłaś męską decyzję, jak widzę.

- Owszem, podjęłam.

- Świetnie,

Nie podobało jej się jego zachowanie. Ten spokojny, swobodny ton nie pasował do niego.

- No wiec?

Zapatrzył się w sufit. Zagryzając dolną wargę udawał zamyślenie.

- Cieszę się, że podjęłaś decyzję - powiedział po dłuższej chwili, - Zwłaszcza że ja także się zdecydowałem. A tak nawiasem mówiąc, co słyhać z twoim nowym programem?

- Wejdzie na antenę wiosną. Pewnie już o tym wiesz.

- Owszem, wiem - zaśmiał się. Spojrzała na zegarek.

- A ta posada latającego reportera?

r- Nieaktualna. Bill przyjął kogoś w zeszłym tygodniu. To była jego decyzja. Ja nie miałam nic do powiedzenia.

- No i świetnie.

Przyjrzała mu się podejrzliwie Nie takiej reakcji się spodziewała. Znowu splotła ręce na piersi.

- O co w tym wszystkim chodzi, Matthew?

Zdjął rękę ze stołu i schował z powrotem do kieszeni. Skrzyżował wyciągnięte nogi.

- Co słyhać u Vicky? - Jenneen zmartwiała.

- O, przepraszam. Powinienem wcześniej zapytać. Nieładnie z mojej strony.

Spojrzała na niego z nienawiścią.

- Ty wstrętny, podły szantażysto! Wynoś się stąd!

- Przepraszam - drwił dalej. - Najwyraźniej trochę cię zdenerwowałem. Zapomnijmy o tym, że wspomniałem o Vicky, dobrze? Udawajmy, że nie padło ani jedno słowo na jej temat. W końcu nie powiedziałem, że jest lesbijką, prawda? Nie mówiłem też nic o tym, co robicie razem w łóżku. Więc zapomnijmy, że w ogóle coś mówiłem.

- Mój Boże, ty mnie naprawdę musisz nienawidzić; - Patrzyła na niego z pogardą.

- Nienawidzić cię? Nie, wcale nie czuję do ciebie nienawiści, Jenn. Ja nie. Maggie owszem, tak, pamiętasz Maggie? Ona cię nienawidzi. Nie pytaj mnie za.ćo, ale tak jest. Powtarzam jej, żeby się nie martwiła, bo nie jest w twoim typie. Ale to nic nie pomaga, ona dalej cię nienawidzi. Ale nie przejmowałbym się tym zbytnio, w końcu jej przejdzie.

- Dobrze - przerwała Jenneen. - W porządku. Jesteśmy z Vicky kochankami. Tak, masz rację. Sypiamy ze sobą; kochamy się ze sobą. Zadowolony jesteś? Przyznałam się. Czy sprawia ci to przyjemność?

- A tobie to sprawia przyjemność?

- Jesteś odrażający.

- A ty nie? - Wzruszył ramionami. - Tak czy owak, nie przyszedłem tu omawiać twojego perwersyjnego pożycia z Vicky. Przyszedłem się pożegnać. - Przeszedł przez pokój i usiadł na kanapie. - Mam coś dla ciebie.

- Wyciągnął z kieszeni marynarki brązową kopertę i wysunął w jej stronę.

Nie wyciągnęła ręki, więc położył kopertę na stole.

- Nie ma pośpiechu - zgodził się.

Patrzyła przez chwilę na brązowy papier. Wreszcie ciekawość wzięła górę nad powściągliwością. Podeszła do stołu.

Kiedy zobaczyła zdjęcia znajdujące się w środku, wydała z siebie zduszony krzyk. Przez moment była pewna, że zemdleje.

- Brighton to ładne miasteczko, prawda? Twarz Jenneen przybrała kolor popiołu.

Śmiał się, podczas gdy w niej wzbierała ślepa furia. Wyglądał tak brzydko. Był nie ogolony, miał czerwone plamy na szyi, tłuste, nie uczesane włosy. Przypominał włóczęgę.

Wyjął jej z rąk kopertę i podsunął sobie przed oczy, jakby oceniał jakość zdjęć.

- Przyszło mi właśnie do głowy, że może Vicky miałyby ochotę je obejrzeć. Jenneen na wycieczce w Brighton. Mam jeszcze jeden zestaw, dam wam, żebyście mogły oglądać równocześnie. A tak z czystej ciekawości, chciałbym wiedzieć, czy widok jednej kobiety pieprzonej przez dwóch facetów was, lesbijki, też podnieca?

Zaschło jej w gardle; odezwała się chrapliwym głosem:

- Wiesz dobrze, że nic nie możesz zrobić z tymi zdjęciami, Matthew. Żadna gazeta ich nie wydrukuje. Nie będą mogli tego zrobić.

- Och, ale będą, będą. Może nie wszystkie, ale znajdą się chętne. Czasopisma także. Tyle że one nie mają odpowiednio dużego nakładu. A ty chcesz być sławna, prawda Jenneen? Szkoda, że nie mogę ci bardziej pomóc. To znaczy, mógłbym, ale nie mam zamiaru. Nie, nie mam zamiaru wysyłać tych zdjęć do żadnych gazet ani magazynów, pornograficznych. Wysyłam je zupełnie gdzie indziej. Koperta jest już zaadresowana. Możesz sobie przeczytać. - Przysunął jej przed oczy.

Krew pulsowała jej w uszach niemal rozsadzając głowę. Nie była w stanie oderwać od niego wzroku.

- Nie szkodzi. Jak chcesz, to sam ci przeczytam. - Odwrócił kopertę do siebie. - Hallsinger Street, numer dwadzieścia trzy, Oak...

- Nieceee! - Rzuciła się na niego z krzykiem. Zdołała mu wyrwać kopertę z ręki i podarła zdjęcia na drobne strzępki. Matthew wyjął z kieszeni następną kopertę, taką samą jak poprzednia.

- Ty sukinsynu! Ty pieprzony sukinsynu! Co oni ci zrobili?

- Twoi rodzice? Nic. Przynajmniej nic sobie nie przypominam. Pomyślałem tylko, że mogą być ciekawi, co ich droga córka robi w dalekim Londynie. Czy raczej w tym przypadku w Brighton.

- Skąd wzięłeś ich adres?

- Daj spokój, Jenneen. Nie potrzeba było Sherlocka Holmesa, żeby się dowiedzieć. Maggie. Pamiętasz kochaną małą Maggie? Ona też ma taki zestaw. Przypuszczam, że chce go wysłać swojej matce. Zdaje się, że mieszka gdzieś w pobliżu twojej rodziny?

- Vicky miała co do ciebie rację. - Jenneen wydeła usta z odrazą. - Jesteś zły. Chorym zły, sadystyczny i ohydny,

- Przechodzimy z powrotem do Vicky? Ma się rozumieć, mamusia nie wie też nic o Vicky, prawda?

Zastanawiam się, czy nie powinienem zrobić na ten temat małego dopisku. - Wstał, chowając kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Nie mówiłaś przypad-

kiem, że się śpieszysz? No to ja już będę leciał. Pomyślałem tylko, że wpadnę przekazać ci nowinę. Żegnaj, Jenneen. Powodzenia. - Ruszył do drzwi.

- Stój, Mathew! - syknęła! - Nie ruszaj się. Odwrócił się z uśmiechem.

- Chciałaś powiedzieć...

- Oddaj mi kopertę, Matthew. Oddaj mi ją natychmiast. - Ręka zaciśnięta na pistolecie drżała nieznacznie.

Uśmiech zniknął z twarzy Matthew.

- Oddaj mi ją, Matthew.

- Ty nie masz dość ikry, żeby to zrobić - powiedział szyderczo. - Pewnie nawet nie jest naładowany.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. A teraz daj mi kopertę.

- Jenneen, kochanie - powiedział tonem dobrej rady, wysuwając głowę w jej stronę. - Idź się pieprzyć.

- Mówię poważnie, Matthew. Oddaj mi kopertę, a potem możesz sobie pójść. Ale nie wyjdiesz przez te drzwi, jeśli nie spełnisz mojego żądania.

- Jesteś szurnięta! Wiesz dobrze, że nie możesz mnie zabić. Co by się wtedy stało z twoją bezcenną opinią? Nimfomanka, lesbijka i do tego morderczyni. I wszystko to się wyda, jeśli mnie zabijesz. Pomyślałaś o tym? Stała bez ruchu, z wycelowanym w niego pistoletem.

- Powiedziałem ci, odłóż to, ty lesbo! No już, odkładaj. Nie użyjesz tego. Możesz być zboczona, ale nie jesteś głupia. Spójrz tylko na siebie, jesteś żałosna. Zresztą jak chcesz, to strzelaj. Popatrz, mogę nawet podnieść rękę do góry...

- Zamknij się! - wrzasnęła dziko.

- Zabij mnie, ty suko, to będę cię straszył, No, już, zastrzel mnie!

- Jenneen, nie! - rozległ się od drzwi krzyk Vicky.

I w tej samej chwili nastąpił ogłuszający huk wystrzału.

Rozdział 38

Conrad i Ashley szybko przeszli odprawę na lotnisku Heathrow. Conrad przysiągł sobie w duchu podnieść pensję Candice, widząc tablicę z wypisanym swoim nazwiskiem. Sam nie pomyślał o tym, jak dostaną się z Ashley do centrum Londynu, kiedy już wylądują na Heathrow. Candice załatwiła to za nich.

Ashley podała kierowcy swój adres na Onslow Square. Wyczuwając ich pośpiech, nie żałował gazu i dotarli do South Kensington w rekordowym czasie siedemnastu minut.

Kiedy wysiadali z samochodu, kierowca wręczył Conradowi kluczyki od czarnego Mercedesa.

- Pan Arbrey-Nelmes mówił, że może pan potrzebować samochodu - oznajmił i oddał się na piechotę.

Ashley wpadła do mieszkania. Dzięki Bogu, że Conrad groził jej odesłaniem do Londynu, bo pewnie już dawno pozbyłaby się mieszkania. Było puste, nie ogrzane i sprawiało przez to dość przygnębiające wrażenie, lecz ona tego teraz nie dostrzegała. Telefon zadzwonił w momencie, gdy do niego podbiegła. Odebrała natychmiast, lecz ręce tak jej się trzęsły, że upuściła słuchawkę. Conrad znalazł się obok niej i wsunął jej słuchawkę do ręki.

- Halo! - odezwała się zdyszana.

- Ash! To ja.

- Ellamarie!

- Dzwoniłam do twojego biura, powiedzieli mi, co się stało...

- Och, Ellamarie!

- Ash, czy mogę coś dla ciebie zrobić? Proszę cię, pozwól mi jakoś ci pomóc.

- Tak, nie...

- Mam przyjechać?

- Jest tu Conrad. Wybacz, Ellamarie, muszę się rozłączyć. - Postukała palcem w widelki, przerywając połączenie. Szybko wybrała numer.

- Zrobię kawę - zaproponował Conrad.

- Potrzebuję czegoś mocniejszego - rzuciła Ashley, czekając na sygnał po drugiej stronie. - Tam znajdziesz. - Machnęła ręką w stronę szafki kryjącej barek.

- Zrobię kawę - nie dał się przekonać Conrad. - Musisz jasno myśleć. - Wyszedł do kuchni.

Po drugiej stronie linii zabrzmiały monotonicznie powtarzające się długie sygnały. Odruchowo zaczęła je liczyć. Musi zachować spokój. Niezależnie od tego, co przyjdzie jej zrobić, musi zachować spokój. Dwadzieścia, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy...

Conrad wrócił z kuchni.

- Nie ma go w domu - oznajmiła Ashley z rozpaczą.

Wyjął jej słuchawkę z rąk i odłożył na miejsce. Objął ją i szepnął:

- Nie martw się, znajdziemy go.

- Gdzie on jest? Dlaczego nie odpowiada?

- Gdzie jeszcze mógł pojechać?

- Nie wiem, po prostu nie wiem. Nie jestem w stanie myśleć. Jego matka, może pojechał do matki.

- Masz jej numer?

- Jest w notesie.

Conrad podniósł torebkę, którą rzuciła na podłogę wpadając do mieszkania.

Jednakże Keitha nie było u matki, a pani Mayne nie wiedziała, gdzie może być. Sądziła, że syn przebywa wciąż w Nowym Jorku. Ashley nie wyjaśniła, dlaczego dzwoni, jedynie poprosiła panią Mayne, by kazała Keithowi zadzwonić do jej mieszkania w Londynie, gdyby przypadkiem się z nią skontaktował.

Conrad przyniósł filiżankę kawy. Wziął Ashley pod ramię i podprowadził do fotela.

- Co teraz zrobimy? - spytała, patrząc na niego bezradnie.

- Do kogo jeszcze mogłabyś zadzwonić? Kogoś, kto może wiedzieć, gdzie on jest? Może do twoich przyjaciółek?

Ashley pokręciła głową.

- O, Boże! Kate! - wykrzyknęła, przypominając sobie nagle. Ukryła twarz w dłoniach. - Boże, co się dzieje?

Dlaczego wszystko tak fatalnie się układa?

- Uspokój się, kochanie. - Przytulił ją do siebie. - Znajdziemy go. Nie martw się, obiecuję ci, że go znajdziemy. Na razie możemy tylko czekać¹.

- Gdzie jest Alex? A jeżeli... - Głos jej się załamał. Wybuchnęła płaczem.

- A twoi rodzice? Myślisz, że mógł go tam zawieźć?

- Nie. Ale może powinnam do nich zadzwonić. - Wróciła do telefonu. Zdążyła wybrać połowę numeru, kiedy Conrad wyjął jej z ręki słuchawkę.

- Nie - zdecydował. - Nie trzeba ich jeszcze martwić. Jeśli go tam nie ma, będą chcieli wiedzieć, dlaczego jesteś w Londynie. Musi być lepszy sposób, żeby się z nimi skontaktować. - Odprowadził ją na fotel, a potem sam zatelefonował.

- Julian?

- Conrad? Nareszcie. Są jakieś wiadomości? Candice powiedziała mi o wszystkim. Czy samochód czekał na was na lotnisku? Jak się czuje Ashley? Gdzie ona jest?

- Jest tutaj. Jesteśmy w jej mieszkaniu w Kensington.

- Jak ona to znosi?

- Jakoś wytrzyma. Słuchaj...

- Mogę w czymś pomóc?

- Właśnie chcę cię o to poprosić. Zadzwoń do rodziców Ashley. Nie mów im, co się stało. Spytaj tylko, czy Alex wrócił już z Nowego Jorku, bo masz dla niego prezent urodzinowy, a potem oddzwoń do mnie.

Domyślam się, że znasz numer.

Julian uśmiechnął się pod nosem na tę drobną uszczypliwość.

- Owszem, znam numer. Zadzwoń natychmiast, jak będę coś wiedział.

Conrad wrócił do Ashley i pomógł jej podnieść się z fotela: Usiedli na kanapie, by przeczekać noc, która zapowiadała się na wyjątkowo długą.

Jak się później miało okazać, była najdłuższą nocą w życiu "wszystkich czterech przyjaciółek: Ashley, Jenneen, Ellamarie i Kate.

Ellamarie siedziała na podłodze, przyciskając do piersi słuchawkę. Cichutko jęczała. Czegoś takiego nie zaznała nawet w najgorszych snach. Musiała z kimś porozmawiać, prosiła Boga, by znalazł się ktoś, kto mógłby jej wysłuchać. Gdzie była Kate i Jenneen? Dlaczego się nie zjawiły? W głębi duszy czuła, że jest tylko jedna osoba, do której może się zwrócić.

Przecierając oczy wierzchem dłoni, wykręciła numer. Kiedy odezwał się ktoś po tamtej stronie, wyjaśniła zduszonym głosem, że musi porozmawiać z Bobem McElfreyem. W bardzo ważnej sprawie.

Zapadła długa cisza lecz Ellamarie czekała cierpliwie ze słuchawką przy uchu. Wreszcie usłyszała głos Boba.

- Bob – szepnęła.

- Ellamarie - odpowiedział dopiero po dłuższej pauzie.

- Bob, muszę się z tobą zobaczyć - wykrztusiła, choć za wszelką cenę starała się mówić spokojnie. Twarz miała mokrą od łez. - Muszę się z tobą spotkać.

- Wydawało mi się, że powiedzieliśmy sobie już wszystko, co było do powiedzenia.

- Tak niewiele sobie powiedzieliśmy. - Łzy dusiły ją w gardle. Kiedy nie odpowiadał, nie wytrzymała i krzyknęła: - Och, Bob, dlaczego odszedłeś w taki sposób?

- Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać - syknął niecierpliwie. Ellamarie spojrzała na list leżący obok niej na podłodze. Podniosła zapisaną kartkę i patrzyła na nią. - Widziałam wywiad. Czemu mi nie powiedziałeś? Dlaczego pozwoliłeś, żebym się dowiedziała w taki sposób?

Bob zerknął przez ramię i zobaczył, że Linda zmierza w jego stronę. Myślał gorączkowo, co powiedzieć.

- Słuchaj, spotkajmy się w zajeździe - zaproponował, doszedłszy do wniosku, że Linda będzie mogła tam zadzwonić, co ułatwi mu szybkie zakończenie spotkania.

- O której? Spojrzał na zegarek.

- Za godzinę. To nie powinno zająć dużo czasu? - Potrząsnął głową udając wyczerpanie i z uśmiechem otoczył Lindę ramieniem. Nie – powiedziała Ellamarie. - To nie zajmie... - Ale on już się rozłączył.

Noc wlokła się niemiłosiernie. W regularnych odstępach czasu Ashley dzwoniła pod numer Keitha w Surrey, ale nikt nie odpowiadał. Raz u niej zadzwonił telefon, lecz był to tylko Julian, donoszący

o wynikach rozmowy z rodzicami Ashley. Dowiedział się od matki, że Alex ma być w domu dopiero pod koniec następnego tygodnia.

Ashley była spokojniejsza, choć twarz miała bladą i ściągniętą niepokojem. Ile razy spojrzała na Conrada z niemałą prośbą o sprawienie cudu, serce mu się ścisnęło ze współczucia. Usiadł koło niej i wziął ją za rękę.

- Miałam rano dziwne przeczucie - odezwała się nagle. - Wiedziałam, że coś się stanie. Potem, jak mi powiedziałeś o tej sprawie z Mercerem Burgessem, myślałam, że właśnie o to chodziło. Że przeczucie dotyczy tamtej porażki. Ale teraz... Och, Conradzie, jak myślisz, gdzie on mógł go zabrać? Gdzie oni są?

- Żałuję, że nie mogę ci na to odpowiedzieć, ale znajdziemy ich. Obiecuję ci, że ich znajdziemy.

- Chyba nie sądzisz....-Keith nie mógłby chyba... - Znowu się rozplakała.

Otarł jej łzy z policzków i pocałował ją.

- Nie - zapewnił. - Nie mógłby. On kocha Alexa.

Ashley była śmiertelnie zmęczona, lecz sądziła, że nie wolno jej zasnąć. Może być potrzebna Alexowi. Nie powinna spać, musi czuwać. Dłonie Conrada gładziły ją pocieszająco. Jego głos był taki spokojny.

Nasłuchiwała jego oddechu, starając się oddychać równo z nim.

Conrad zajrzał jej w oczy i stwierdził, że zapadła w płytką drzemkę. Musnął ją ustami po włosach i z powrotem odchylił głowę na oparcie kanapy. Patrzył w sufit, wiedząc, że tej nocy nie zazna snu. Po raz pierwszy znalazł się w sytuacji, kiedy nie panował nad wydarzeniami, i wcale mu się to nie podobało.

Bezradność doprowadzała go do niepokojów, a niepokój wzbudzał złość. Nie mógł zrozumieć, jak człowiek może wyrządzić coś takiego własnemu dziecku.

Dzwonek telefonu gwałtownie przerwał ciszę. Ashley natychmiast się obudziła i spojrzała na Conrada.

Widział w jej oczach strach.

- Wolisz, żebym ja odebrał?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Gdyby Keith dowiedział się, że tu jesteś, to mógłby.... nie, ja odbiorę.

Podeszła do telefonu. Drżącymi rekami ujęła słuchawkę.

- Halo. - Ashley

- Keith, gdzie jesteś?

- Mówiłem ci, żebyś nie przyjeżdżała.

- Gdzie jest Alex? Co z nim zrobiłeś? Gdzie on jest? Nic mu nie jest?

- Nic mu nie jest. Jest tutaj, ze mną.

- To znaczy, gdzie?

- Niedaleko. Muszę przyznać, że szybko się zjawiłaś w Londynie, Ashley. Matka mówiła mi, że dzwoniłaś.

- Matka? Czy to od niej dzwonisz?

- Nie.

- W takim razie, skąd? Keith, proszę cię, powiedz mi, gdzie jesteś.

- Czytałaś mój list?

- Tak, czytałam. Chyba me masz zamiaru zrobić tego, o czym pisałeś, Keith. Nie możesz go skrzywdzić, on jest tylko dzieckiem. Nie możesz go wykorzystywać w taki sposób. Proszę, powiedz, gdzie jesteś. Pozwól mi przyjechać i go zabrać.

- Powiedziałem ci, Ashley, że nie dostaniesz go z powrotem. Nie zabierzesz go do Nowego Jorku.

- Dobrze - zgodziła się. - W porządku. Jeśli tego chcesz, nie zabiorę go do Nowego Jorku. Może zostać tutaj, tylko nie rób mu krzywdy. Obiecuj, że go nie skrzywdzisz.

- On jest moim synem, Ashley. Ciągłe ci muszę o tym przypominać?

- Więc nie zamierzasz zrobić tego, co napisałeś w liście?

- Zamierzam. Jeśli spróbujesz go zabrać, zrobię to.

- Już ci powiedziałam, że go nie zabiorę. Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko nie rób mu krzywdy. Gdzie on jest? Mogę z nim porozmawiać?

- Teraz śpi.

- Pytał o mnie? Och, Keith, jak mogłeś zrobić coś takiego? Jak mogłeś?

- Zrobiłem to, bo go kocham, Bo obchodzi mnie on i jego życie. Bo jest moim synem i chcę, żeby był tu ze mną,
- Rozumiem, jak się czujesz, Keith, naprawdę rozumiem. Wiem, że go kochasz i że on kocha ciebie. Ale jest także moim synem i wiesz, że nie zrobiłabym nic, co byłoby dla niego złe. Chcę dla niego jak najlepiej.
- Ja uważam, że najlepiej dla niego będzie zostać ze mną w Anglii. Ty robisz teraz karierę, Ashley. Poświęciłaś się tej karierze bez reszty. Nikt cię nie prosił, żebyś jechała do Nowego Jorku. Nikt ci nie kazał porzucać syna i jechać do Nowego Jorku. To była twoja decyzja i teraz musisz za nią zapłacić. Powiedziałem ci, że chcę mojego syna i będę go miał.
- Ale Keith...
- Nie jesteś dobrą matką, Ashley. Zawiodłaś, już dawno temu.
- Keith - krzyknęła. - Nie rób mi tego! Przestań! Pozwól mi go zobaczyć! Pozwól mi się przekonać, że nic mu nie jest. Obiecuję, nie będę próbowała go zabrać. Muszę go tylko zobaczyć. Proszę cię, powiedz mi, gdzie jesteście. Zaraz tam przyjadę.
- Mówiłem ci, że on teraz śpi.
- Nie będę go budzić. Nawet go nie dotknę, chcę go tylko zobaczyć. Proszę cię, Keith. Błagam cię, pozwól mi go zobaczyć. - Kto o tym wie? Komu powiedziałaś?
- Nikt, przysięgam, nie mówiłam nikomu.
- Jesteś sama?
- Tak. Proszę cię, powiedz, że mogę go zobaczyć. Podaj mi adres, zaraz przyjadę.
- Nie.
- Keith! - podniosła głos do krzyku. - Keith, proszę cię, błagam. Chcę się tylko przekonać, że nic mu nie jest. Nic więcej. Keith, proszę cię... - Zaczęła szlochać.
- Jestem w mieszkaniu mojego brata w Fulham - powiedział w końcu. - Masz przyjechać sama. Chyba nie powiedziałaś policji? Jeśli tak, tym gorzej dla ciebie.
- Nie, nie zgłaszałam policji. Przyjadę sama. Przyniesę. Jaki to adres? - Conrad podał jej długopis i kartkę.

- Na pewno nikogo tam z tobą nie ma?
- Nikogo - zapewniła, patrząc na Conrada.
- To wcale nie znaczy, że będziesz go mogła ze sobą zabrać. Chyba to rozumiesz?
- Tak, rozumiem. Mówiłam ci, że chcę go tylko zobaczyć. Przekonać się osobiście, że nic mu nie jest.
- Jutro będę miał nakaz sądowy, by dziecko pozostało w kraju, przynajmniej do rozstrzygnięcia sprawy. Więc sama widzisz, że lepiej nic nie kombinować.

Walczyła z sobą, żeby się znów nie rozpłakać,

- Adres, Keith. Podaj mi adres. Szybko zapisała nazwę ulicy i numer.
- Zaraz tam będę. Keith... -Tak?
- Będziesz tam, prawda?
- Obaj tu jesteśmy. - Odłożył słuchawkę.

Odeszła od telefonu przyciskając dłonie do policzków.

- Samochód - powiedziała, nie patrząc na Conrada. - Mogę wziąć samochód?
- Zawiozę cię.
- Nie. Powiedział, że muszę być sama.
- Nie pozwolę ci jechać samej. Włóż płaszcz.
- Nie, Conradzie. Obiecałam mu. Powiedziałam, że przyjadę sama. Proszę cię, czekaj tu na mnie.
- Możesz wejść sama do domu. Ja będę czekał w samochodzie albo gdzieś na ulicy w pobliżu, ale nie pojedziesz sama, Ashley. Ubieraj się.

Nie upierała się dłużej. Nie chciała tracić cennego czasu.

Noc była pogodna, drogi niemal zupełnie puste. Szybko dotarli do Fulham, choć dla Ashley czas płynął zbyt wolno. Mieszkanie brata Keitha znajdowało się na najwyższym piętrze starej, wiktoriańskiej kamienicy bez domofonu. Ashley nacisnęła dzwonek i czekała. W końcu usłyszała kroki Keitha w korytarzu i drzwi się otworzyły. Wymijając go, wbiegła na schody. Keith dogonił ją w ostatniej chwili, gdy już miała wejść do mieszkania.

- Gdzie on jest? - zawołała. - Chcę go zobaczyć. Pozwól mi do niego pójść.

- Mamusia!- rozległ się głos Alexa.

Ashley odwróciła się i zobaczyła synka stojącego na środku holu.

- Alex! - Rzuciła się w jego stronę. - Och, Alex! Kochanie moje. Mój skarbie. Dobrze się czujesz?

- Pewnie, że dobrze, mamusiu - odparł nieco zdziwiony pytaniem, przecierając zaspane oczy. - Cieszę się, że przyjechałaś.

- Och, kochanie, ja też się cieszę. - Spojrzała na Keitha. Obserwował scenę powitania, stojąc w drzwiach. -

Wiesz, że to było niepotrzebne - zwróciła się do niego. - Nie musiałeś mu tego robić.

Keith odwrócił się i bez słowa przeszedł do salonu. Ashley wzięła Alexa za rękę i poszła za Keithem.

Na zewnątrz Conrad wysiadł z samochodu i zaczął spacerować tam i z powrotem po ulicy. Od czasu do czasu spoglądał w okna na górze, ale zasłony były zaciągnięte i nic nie mógł dostrzec.

Keith stanął plecami do okna. Skrzyżował ręce na piersi. Ashley patrzyła na niego, trzymając w objęciach Alexa.

- A więc wszystko skończone, Ash - odezwał się Keith spokojnie. - Wreszcie wszystko skończone.

- O czym ty mówisz? - Potrząsnęła głową. - Co jest skończone?

- Ty, ja, Alex. To koniec.

- To znaczy, że pozwolisz mi go zabrać?

- To znaczy, że kłamałaś. Conrad Frazier jest tam na dole, na ulicy. Conrad Frazier z Nowego Jorku.

Okłamałaś mnie, Ashley. Naprawdę myślałaś, że jestem aż tak głupi? Widziałem, jak podjeżdżasz pod dom.

Myślisz, że będziesz go mogła zabrać ze sobą, co? Myślisz, że będziesz mogła go zabrać do Nowego Jorku?

- Nie - krzyknęła. - Nie. Powiedziałam ci, chciałam go tylko zobaczyć.

- Jesteś kłamczuchą, Ashley. - Jego głos brzmiał nadal spokojnie.- Może bym ci uwierzył, ale obecność Conrada, tu w Anglii, tylko potwierdza twoje zamiary. Wszystko mogło się ułożyć, Ashley.

Mogło być dobrze. Ale mnie oszukałaś. Powiedziałaś, że jesteś sama, a cały czas byłaś z nim. - Wolno pokręcił głową. - Dlaczego mnie okłamałaś?

- Nie pozwoliliśmy go zobaczyć, gdybym ci powiedziała prawdę. Spróbuj to zrozumieć, Keith. Myślałam tylko o Alexie.

- Ty zawsze myślisz tylko o sobie! - Spojrzał na syna, później podniósł wzrok z powrotem na Ashley. - Nie będziesz go miała, Ashley, więc cokolwiek sobie wyobrażasz, możesz od razu wybić to sobie z głowy. Już nigdy mi go nie zabierzesz, przysięgam. Przesądziłaś o losie moim, Alexa i swoim także. Nie powinnaś tu przyjeżdżać z Conradem. To był twój największy błąd.

Ashley poczuła, jak drobne ciało synka przywiera do niej mocniej. Przytuliła go do siebie z całej siły.

- Keith, przestań mówić takie rzeczy. Nie widzisz, jak to działa na Alexa? Nie obchodzi cię to?

- Alex, wracaj do sypialni. - Keith zwrócił się do syna. Dziecko z wykrzywioną strachem twarzą kurczowo trzymało się matki.

- Nie - sprzeciwiła się Ashley. - Nie widzisz, że jest przestraszony?

- Alex - powtórzył ostrzejszym tonem Keith. — Wyjdź do sypialni. Nic ci nie będzie. Po prostu wyjdź do sypialni. Chcę porozmawiać sam na sam z twoją matką.

Alex podniósł oczy na Ashley.

- Muszę wyjść, mamusiu?

Ashley ze ściśniętym sercem patrzyła na syna. Rzuciła szybkie spojrzenie Keimowi, a potem powiedziała:

- Zrób to, o co tatuś prosi, kochanie. Zaraz tam do ciebie przyjdę.

Alex niechętnie puścił rękę matki i wyszedł z pokoju. Ashley obserwowała wychodzące dziecko, a Keith obserwował Ashley.

Kiedy chłopiec zniknął za drzwiami, Ashley odwróciła się do Keitha. Opuścił ręce i ruszył w stronę kominka. Mówił tak cicho, że Ashley z trudem rozróżniała poszczególne słowa.

- Pewnie się zastanawiasz, co mam zamiar zrobić, żeby ci

udowodnić, jak wiele znaczy dla mnie własny syn. - Stał, ale się nie odwrócił. - i tak bym to zrobił, gdybym musiał. Ale cieszę się, że tu jesteś. Tak jest lepiej.

Ashley patrzyła na niego, bojąc się odezwać.

Sięgnął do półki nad kominkiem i wziął stamtąd niewielką paczkę. Rozwijał ją powolnymi, opanowanymi ruchami. Zmięty papier upadł na podłogę. Keith odwrócił się do niej.

Otworzyła szeroko oczy z przerażenia, widząc, co trzyma w dłoni.

- Nie! - szepnęła. - Nie, Keith. Spojrzał na pistolet, zważył go w dłoni.

- Co... Co masz zamiar zrobić?

- To, co powiedziałem, że zrobię, jeśli będziesz chciała go zabrać. Potrząsnęła głową, czując, jak zalewają ją fale paralizującego strachu.

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Chciała się odezwać, lecz słowa nie przechodziły jej przez zaciśnięte gardło.

- Nie! - przemogła się wreszcie. - Nie możesz tego zrobić. On jest jeszcze dzieckiem, ma przed sobą całe życie. Keith, na litość boską, to twój syn. Myślałam, że go kochasz.

Conrad nadal nerwowo spacerował przed budynkiem. Potarł dłonią powieki i spojrzał na zegarek. Ktoś wyszedł z sąsiedniego budynku i zmierzał w jego stronę. Przechodząc obok nieznajomy mężczyzna obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem. Conrad skinął mu głową i popatrzył w okna na najwyższym piętrze.

Dalej nic się nie działo, więc ruszył w kolejną rundę. Noc była zimna, na niebie świeciły gwiazdy i okrągły, bliski pełni księżyc. Conrad owinał się szczelniej płaszczem, chroniąc się przed wiatrem. Wtedy usłyszał krzyk. Zastygł w bezruchu, a kiedy podniósł głowę w kierunku okna, usłyszał wystrzał z pistolem.

- Ashley! - Rzucił się biegiem do wejścia. W tym momencie rozległ się następny strzał. - Ashley! - krzyczał, wpadając przez drzwi.

Po paru sekundach nastąpił jeszcze jeden wystrzał i zapadła cisza.

Bob przeciągnął dłonią po włosach, na jego twarzy malowało się znużenie. - Posłuchaj, Ellamarie, nie mam za wiele czasu, więc proszę cię, przejdźmy do sedna sprawy. Nie odpowiedziała.

Odwróci się i podszedł do swego biurka. W każdej chwili mógł zadzwonić telefon, wybawiając go z kłopotliwej sytuacji. Przymknął oczy, prosząc w duchu Lindę, by nie zwlekała dłużej. W końcu powiedział:

- Mówiłem już, że mi przykro z powodu tego wywiadu, nie chciałem, żebyś się dowiedziała w taki sposób.

Ale stało się. Zresztą i tak byś się dowiedziała, wcześniej czy później.

- To znaczy, że nie zamierzałeś sam mi tego powiedzieć? - Ellamarie popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

Miała czerwoną, opuchniętą twarz, jeszcze mokrą od łez.

Spuścił oczy.

Odgłos syreny rozdarł znieciska nocną ciszę. Bob odsunął firankę i wyjrzał na zewnątrz.

- To znaczy, że nie miałeś zamiaru... - powtórzyła głośniejszym głosem Ellamarie.

- Tak! - Obrócił się do niej gwałtownie. - Skoro chcesz to usłyszeć, to tak! Właśnie tak.

Wpatrywała się w niego oczyma pociemniałymi z bólu.

- Jak mogłeś? Jak mogłeś?

- A co miałem zrobić? - zawołał. - Na miłość boską, nie wiedziałem, że tak się to wszystko potoczy. Zresztą, mówiłem ci, że między nami skończone, Między mną a tobą skończone, Ellamarie. Przestań się tym zadreć, przestań mnie zmuszać, żebym to powtarzał.

- Mam ci ułatwić sprawę, tak?

- Owszem. I sobie także.

- Czy twoja żona wie, że jestem w ciąży, Bob? Powiedziałeś jej, czy może poczekamy, aż to się znajdzie w prasie?

- Nie zrobisz tego! - zająknął się.

- Czego nie zrobię? Nie powiem światu, że zapłodniłeś mnie

w tym samym czasie co swoją żonę, a potem porzuciłeś? Nie zrobię tego, Bob? Nie zrobię?

- Nie możesz tego zrobić! Dziecko, które w sobie nosisz, nie jest nawet...

- Ty draniu! - krzyknęła. - No, powiedz to! Dalej, nie powstrzymuj się! Nie jest nawet twoje, to chciałeś powiedzieć? Nie, jest pomiotem gwałciciela! Nie może przecież być dzieckiem wielkiego Boba McElfreya. To właśnie masz zamiar zrobić, prawda Bob? Powiedzieć wszystkim, że zostałam zgwałcona i wtedy zaszłam w ciążę. Zrobiłbyś to, co?

- Gdybym był zmuszony. - Patrzył na nią zimno.

Rzuciła się na niego z pięściami, krzycząc, bijąc, gdzie popadnie. Chwycił ją za rękę i pchnął na kanapę.

- Przestań, Ellamarie. Zachowujesz się jak historyczka.

- Histeryczka? - krzyczała. - To nic w porównaniu z tym, co ze mnie zrobiłeś. Wiesz,, gdzie byłam, zanim tu przyszedłam? Wiesz? Poszłam do teatru, właśnie wyrzucali do śmieci skrypty *Wieczoru Trzech Króli*, tak samo jak ty chcesz mnie wyrzucić na śmietnik.

- Zamknij się, Ellamarie. Musisz wszystko tak dramatyzować? Myślałam, że wezwałaś mnie tutaj, bo chcesz porozmawiać...

- Wezwałam cię tu tylko z jednego powodu.

Patrząc na nią, Bob sam nie rozumiał, jak mógł zrobić coś takiego osobie, którą przecież kocha.

- Mam zamiar cię zabić, ty draniu. Mam zamiar zabić cię za to, co mi zrobiłeś.

Widział, jak wyjmuje z torebki pistolet. Rzucił się w jej stronę, ale okazał się nie dość szybki. Huk wstrząsnął pomieszczeniem. Bob przycisnął dłonie do piersi. Po chwili nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł na bok, jęcząc cicho.

- Ellamarie - zdołał jeszcze wyszeptać. - Ellamarie.

Patrzyła na niego z przerażeniem. Pistolet wyśliznął jej się z dłoni i z głuchym stukiem uderzył o podłogę.

Zaczęła wolno kręcić głową.

- Och, Bob. - Poruszała bezgłośnie ustami. - O Boże, Bob, Bob! Ze szlochaniem upadła obok niego. Słyszała rzeźnię wydobywającą

się z jego płuc. Śmiertelnie przestraszona przywarła do niego całym ciałem. Po chwili poczuła jego dłoń, słabą i drżącą, gładzącą ją po włosach. Uniosła głowę i napotkała jego wzrok.

- Kochałem cię. Nie wiedziałaś tego? - wyszeptał resztką sił.

- Nie - jeknęła. - Nie możesz mi teraz tego mówić. - Stracił na moment oddech, kiedy przytuliła go do siebie. - Dlaczego, Bob? Dlaczego?

- Nie potrafiłem inaczej. - Zamknął oczy, głowa opadła mu bezwładnie na podłogę.

- Bob! - krzyknęła rozpaczliwie. - Bob! Nie umieraj. Nie możesz teraz umrzeć. Jakoś sobie ze wszystkim poradzimy. Skoro nadal mnie kochasz, wszystko się jakoś ułoży. Bob!

Powieki mu drgnęły. Z najwyższym trudem zaczerpnął powietrza. Poruszył ustami, więc nachyliła się nad nim, by usłyszeć, co mówi, ale jego słowa zagłuszył ostry dźwięk telefonu.

„...Nico wcześniej rzecznik policji potwierdził, że rozpoczęto zakrojone na wielką skalę poszukiwania zabójcy. Jak dotąd nie ma dowodów pozwalających ustalić motyw tej zbrodni, a policja zwraca się do wszystkich osób, które znajdowały się wówczas w pobliżu i mogły dostrzec lub usłyszeć coś podejrzanego, aby zgłaszały się...” - Głos spikera czytającego wiadomości dobiegał przez otwarte drzwi budynku.

Zacisnęła powieki, próbując nie słuchać. Nie chciała myśleć o morderstwie. Nie teraz.

Trzymając się poręczy, posuwała się dalej w górę po schodach. Udawała, że nie czuje strachu ściskającego jej serce.

Wreszcie dotarła do drzwi u szczytu schodów. Zawahała się przez -chwilę, nie wiedząc, co robić. Rozejrzała się po pustym korytarzu - nie wyglądał zachęcająco. Podskoczyła, kiedy wewnątrz mieszkania rozległ się dzwonek telefonu. Wsłuchiwała się w przeciągłe sygnały. Nikt nie podnosił słuchawki. Dzwonek umilkł równocześnie z trzaśnięciem drzwi na dole.

Cisza.

Wolno uniosła rękę i zapukała, Głuchy odgłos odbił się echem od ścian korytarza.

Jeszcze raz się rozejrzała. Była zupełnie sama. Siegnęła do torebki po klucz. Wsuwając go do zamka czuła łomotanie serca. Myślała tylko o jednym - uciec stąd.

Drzwi otwarły się z cichym szcęknięciem. Weszła do środka. Mimo słonecznej pogody panującej na zewnątrz, mieszkanie było pogrążone w mroku. Wszystkie zasłony były zaciągnięte.

Zawołała głośno, ale nikt się nie odezwał.

Przesuwając się wzdłuż ściany holu, doszła do drzwi sypialni. Nacisnęła klamkę, a uświadomiwszy sobie, że własna ostrożność tylko zwiększa jej zdenerwowanie, pchnęła drzwi i znalazła się w środku. Pokój był pusty.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę i rozejrzała się po sypialni. Tutaj również story były zasunięte.

Wycofała się z powrotem do holu. Jeszcze kilka kroków i dotarła do kuchni. Powtórzyła wołanie, ale tym razem także nie było odzewu.

Z parapetu otwartego okna nagle zeskoczył kot, lądując na podłodze u jej stóp.

Wstrzymując oddech i próbując zapanować nad gwałtownym trzepotaniem serca, schyliła się, by go pogłaskać.

Znowu rozdzwonił się telefon, więc przeszła do salonu, aby go odebrać. Po drodze odstawiła kota na krzesło.

Nagle pozbawiona strachu, ponieważ dzwoniący telefon dał jej poczucie obecności drugiej osoby, zdecydowanym ruchem pchnęła drzwi.

Krzyknęła... Krzyczała i krzyczała, a telefon wciąż dzwonił i dzwonił...

Ze szlochom oparła się o ścianę i zakryła twarz rękami. Nie mogła patrzeć. Czuła wzbierające mdłości.

Telefon wciąż dzwonił. Ledwo zdołała podnieść słuchawkę, tak jej się trzęsły ręce.

- Halo? Halo? - odezwał się niecierpliwy głos po drugiej stronie. - Ellamarie, jesteś tam?

- Ashley! O Boże, Ashley!

- Jenneen? To ty?
- Tak, to ja - chlipała w słuchawkę Jenneen. - Ashley! O moj Boże Ashley.
- Jenneen, co się stało? Słyszałam wiadomości. Próbuję się dodzwonić. Co się stało?
- To Ellamarie.
- Co się stało, Jenneen? - Głos Ashley przybrał wysoki ton. -Powiedz mi, co się stało?
- O Boże - szlochała Jenneen. - Ona nie żyje. Ashley, ona nie żyje.

Rozdział 39

SZEŚĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Kiedy Conrad wszedł do sekretariatu, Jan podniosła wzrok znad biurka. Kiwnął głową w stronę gabinetu Ashley.

- Jest u siebie?

- Rozmawia przez telefon - powiedziała Jan, zerkając na światelko w centralce.

Conrad otworzył drzwi gabinetu. Ashley uśmiechnęła się na jego widok. Gestem zachęciła go, by wszedł do środka.

- Oczywiście - mówiła do telefonu. - Tak, tak, będziemy. Około siódmej. Dobrze, wystarczy. Tak, tak. Do zobaczenia. - Odłożyła słuchawkę. - To Candice - wyjaśniła. - Doniosła mi właśnie, że Londyn jest najwspanialszym miejscem na ziemi i mogłaby nigdy stamtąd nie wracać.

Conrad pokiwał głową z nieco złośliwym uśmiechem.

- O tak, mogę sobie wyobrazić Candice w Londynie. Jak ją znam, Wzięła całe miasto szturmem. - Przeszedł do barku i poczęstował się szkocką. Widziała się z Alexem?

- Tak, wczoraj. Mówiła, że był uroczy, jutro znowu ma jechać odebrać go ze szkoły. Powiedziałam jej, że będziemy w domu około siódmej.

Widząc, jak twarz jej pochmurnieje, Conrad podszedł i otoczył ją ramieniem. - Ciągłe za nim tęsknisz?

- Strasznie. - Westchnęła. - Wydaje mi się, że wakacje są tak krótkie, że jeszcze się dobrze nie zaczęły, a już jest po nich i Alex musi z powrotem lecieć do Londynu. Za to nie chce mi się wierzyć, że od Bożego Narodzenia minęło dopiero sześć tygodni. Czuję, jakby to było pół roku.

Conrad przytulił ją mocniej.

- Jutro go zobaczysz - przypomniał ciepłym głosem.

- Nie mogę się doczekać - rozpogodziła się od razu. Wsunęła mu palec pod kołnierzyk koszuli. - A na razie, nie mogłabym chociaż dostać buzi?

Odstawił szklanekę na biurko i ochoczo zabrał się za spełnianie życzenia. Po paru minutach łagodnie odsunął ją od siebie.

- Nie chciałbym, żeby się powtórzyło to, co wczoraj - powiedział znaczącym tonem, nawiązując do poprzedniego wieczora, kiedy to zbyt podnieceni, by czekać, aż znajdą się w domu, kochali się w jego gabinecie, zamknawszy jedynie drzwi na klucz.

- Mowy nie ma - obruszyła się Ashley wydymając wargi. Pocałował ją w koniec nosa.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwała się od drzwi Jan. Szerokim uśmiechem skwitowała surową minę Conrada. - Przesłano właśnie wasze bilety. A poza tym, ja już wychodzę.

- Zostaw je na moim biurku - poprosiła Ashley, nalewając sobie drinka.

Jan położyła bilety we wskazanym miejscu i zatrzymując się przy

drzwiach spojrzała na Conrada. Wiedząc, o co jej chodzi, poczekał, aż Ashley się odwróci.

Ashley powiodła zaciekawionym spojrzeniem od jednego do drugiego i wyczuwając, że Jan czeka, aby im coś zakomunikować, zachęciła ją uśmiechem.

- Hmm, chciałam tylko powiedzieć - zaczęła Jan - że wszyscy tutaj będziemy o was myśleć. Będziemy za wami tęsknić.

- Nie będzie nas tylko miesiąc - zauważył Conrad.

- No tak, ale mimo to będziemy tęsknić. Bawcie się dobrze.

- O, o to możesz być spokojna - zapewniła Ashley, biorąc Conrada pod rękę.

- Mam jeszcze coś zrobić przed wyjściem?

- Myślę, że zrobiłaś już wszystko, co trzeba - powiedziała Ashley, rozglądając się po biurze. - A tak przy okazji, skontaktowałaś się z panem Halworthem?

- Rozmawiałam z jego sekretarką. Wszystko zorganizowała. Wylatują pojutrze.

- Z Halworthem? - zdziwił się Conrad, patrząc podejrzliwie na Ashley.

Mrugnęła porozumiewawczo do Jan.

- Do zobaczenia za miesiąc. - Oboje z Conradem serdecznie wyściskali Jan na pożegnanie. Robiła wrażenie bardzo zadowolonej.

- Z Halworthem? - ponowił pytanie Conrad, kiedy Jan zniknęła za drzwiami.

- Wyraził kiedyś życzenie, żeby go zawiadomić, kiedy zdecydujemy się na małżeństwo - wyjaśniła Ashley. - Więc go zawiadomiłam. Przyjeżdża na ślub.

- Halworth?!

- Już trzeci raz powtarzasz to nazwisko. Tak, Dick Halworth. Jest przekonany, że to on nas ze sobą wyswatał. Conrad roześmiał się głośno.

- Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać. - Wziął ją w ramiona. - Na czym to stanęliśmy, zanim Jan nam przerwała?

- Wydaje mi się, że na tym. Ashley podała mu usta do pocałunku.

- O ile dobrze pamiętam, to ci odmówiłem.
 - Miałam nadzieję, że o tym zapomniałeś. Conrad podniósł z biurka bilety.
 - Schowaj je do torebki - poradził, wręczając je Ashley. - Skoro już się uparłaś, żebyśmy lecieli Concordem, lepiej nie odkładać niczego na ostatnią chwilę. O której odlot?
 - O dziewiątej. - Spojrzała mu w oczy. - Kochanie, chyba nie masz nic przeciwko temu, że pobieramy się w Anglii, prawda?
 - No cóż, skoro i tak większa część mojej rodziny... i moich pracowników - dodał trochę zgryźliwie - już tam jest, to chyba tak będzie najwygodniej.
 - Pojechali tam tylko ze względu na ślub.
 - Też coś - mruknął, - Każda wymówka jest dobra, żeby sobie zrobić wakacje. Nie zauważyłaś, że wszyscy znaleźli się tam jeszcze przed nami? - Zajmują się przygotowaniami.
 - Niby jakimi?
 - Nie zadawaj niemądrych pytań. Jest masa rzeczy do zrobienia. Candice, Jenneen i Vicky wszystko organizują. Gdyby moja matka nie miała ich pod ręką, żeby móc zrządzić, zamęczałyby nas bez przerwy telefonami. Zresztą podobnie jak twoja. Rozmawiałeś ze swoją matką?
 - Nie. Ona rozmawiała ze mną. Nie udało mi się wtrącić ani słowa. Ashley ze śmiechem zarzuciła mu ręce na szyję. - Kocham cię, wiesz?
 - Wiem. - Uśmiechnął się władczo, a potem syknął z bólu, bo nadepnęła mu na nogę.
 - Nie podoba mi się ten twój okropny nawyk.
 - To powiedz, że mnie kochasz - zażądała.
- Zajrzał jej głęboko w oczy i z poważną miną powiedział, jak bardzo ją kocha.
- Co z Keithem? - spytał nieco później.
 - To trudna sprawa, nie da się ukryć. - Ashley westchnęła ciężko. - Ale jestem zadowolona, że zgodził się przyjść na ślub.
 - Zastanawiałem się nad tym - przyznał Conrad, - To będzie

pierwsze spotkanie od czasu tamtej nocy, więc może powinniśmy zobaczyć się z nim przed ślubem.

- Proponujesz, żeby go zaprosić na przykład do restauracji?

- Jego i Alexa.

- Myślę, że to dobry pomysł - zapaliła się Ashley. Usiadła za swoim biurkiem. – Wiesz, w sumie to się cieszę, że Alex chciał zostać w Caldicott. Oczywiście bardzo za nim tęsknię, ale chyba jest tam szczęśliwszy, zna szkołę, a poza tym, to tak wiele znaczy dla Keitha. Conradzie, nigdy mi nie mówiłeś, co powiedziałeś Keithowi tamtej nocy. Po tym, jak... odwiozłeś go do domu.

- Nic mu nie powiedziałem. To on do mnie mówił przez większą część drogi. - Dostrzegł w jej oczach wspomnienie tamtego koszmaru. - Musisz się postarać o tym zapomnieć, kochanie. To już należy do przeszłości. Nie miał zamiaru nikomu zrobić krzywdy, poczuł się jedynie trochę zagubiony.

- Myślałam, że chce nas wszystkich pozabijać.

- Strzelając ślepekami w ścianę?

- Wtedy tego nie wiedziałam. - Ashley uśmiechnęła się niewesoło. - Ale to rzeczywiście już tylko przeszłość. Conrad podszedł do biurka i stanął przy niej. Nie po raz pierwszy pomyślała, jak bardzo jej pomógł przeżyć ostatnie pół roku. Co by zrobiła bez niego? Był przy niej, kiedy budziła się w środku nocy zlaną zimnym potem, wciąż od nowa przeżywając wydarzenia tamtej letniej nocy w Futham. Uspokajał ją, kiedy pobudzona strachem wyobraźnia podsuwała jej przerażające wizje syna leżącego we krwi i Keitha mierzącego do niej z pistoletu. Trzymał ją w ramionach i pocieszał, kiedy na tamte bolesne przeżycia nałożyło się jeszcze cierpienie spowodowane śmiercią Ellamarie. Wiedziała, że nigdy nie zdoła pojąć losu, który wziął się, by jednej nocy tak okrutnie zaważyć na życiu wszystkich czterech przyjaciółek.

Oparła twarz na dłoni Conrada. Jakim prawem była taka szczęśliwa, skoro opuściła przyjaciółki w chwili nieszczęścia? Gdyby wysłuchała Ellamarie, gdyby zgodziła się skorzystać z jej pomocy, może żyłaby

dzisiaj. Ale odłożyła słuchawkę, odcięła się od niej, pozostawiając ją samą w obliczu tego, co miało nastąpić, o czym myślała Ellamarie w tych ostatnich godzinach życia? Jakie kręgi piekła musiała przekroczyć?

- Ashley, kochanie - łagodny głos Conrada przywołał ją do rzeczywistości. Patrzył na nią z czułością, widząc smutek w jej oczach. - Przestań. Przestań się zadrećzać.

Przełknęła łzy cisnące jej się do gardła i zmusiła się do uśmiechu.

- Przepraszam. - Przyłożyła mu dłonie do policzków, kiedy schylił się, by ją pocałować.

- Teraz - oświadczył, podnosząc ją z fotela.

- Co, teraz? Wzruszył ramionami.

- Jak to, co? Skoro Jan już poszła, to nie ma powodów, żebym ci dłużej odmawiał.

Ashley wybuchnęła śmiechem, uwalniając się od ciężaru smutnych myśli.

- Nie tak szybko, mój panie - powstrzymała go, kiedy ruszył do drzwi, by przekręcić klucz w zamku. -

Zabieram cię do domu, gdzie będziemy mogli świętować kulturalnie.

- Świętować?

Ashley oblała się rumieńcem.

- Miałam z tym poczekać, ale chyba pęknę, jak ci od razu nie powiem. - Nagle dziwnie skrepowana opuściła wzrok.

Conrad obserwował ją, czekając, co ma mu do powiedzenia.

- No i nie widzę żadnego wybuchu. Ashley wzięła głęboki wdech.

- Cóż, chyba nie ma innego sposobu, żeby to powiedzieć... Będziemy mieli dziecko.

Conrad patrzył na nią z niedowierzaniem. Uśmiech znikł mu z twarzy.

- Powtórz to jeszcze raz. Roześmiała się na widok jego miny.

- Powiedziałam, że będziemy mieli...

- Słyszałem za pierwszym razem - przerwał i nagle znalazł się obok niej. Wziął ją w ramiona i ścisnął. - O Boże, Ashley, kocham cię. Kiedy się dowiedziałeś? Czemu wcześniej nic mi nie mówiłaś?

- Chciałam, żeby to była niespodzianka. Cieszysz się?

- Jezu Chryste, a nie widać? Kiedy?

- Za siedem miesięcy. We wrześniu. Położył jej rękę na brzuchu.

- Jeszcze nic nie wyczujesz - roześmiała się.

- To fakt, ale wystarczy mi świadomość, że nosisz moje dziecko. Ashley poczuła, jak serce bije jej mocniej, kiedy dojrzała w jego

oczach łzy wzruszenia. Rzuciła mu się na szyję, uświadamiając sobie, że i ona płacze. Później, kiedy wychodzili z biura, Ashley powiedziała:

- Wiesz, pomyślałam sobie, że jeśli to będzie dziewczynka, to moglibyśmy dać jej na imię Anna.

Conrad zatrzymał się w drzwiach. Patrzył na nią poważnie, kiedy nieco drżącym głosem mówiła mu to, co już wiedział. Ze gdyby Ellamarie miała córeczkę, wybrałaby dla niej imię Anna.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Nie zgadzam się - powiedział cichym, lecz stanowczym tonem. - To dziecko jest nasze, twoje i moje. Wiem, ile dla ciebie znaczyła Ellamarie, ale ona też by tego nie chciała. Nie możesz mieć dziecka za nią.

Spochmumiała. Conrad przycisnął ją do piersi.

- Wiem, że to może brzmieć brutalnie, ale będziesz się musiała pogodzić z tym, co się stało. Musisz przestać obwiniać siebie.

- Wiem, że masz rację, ale nie mogę się powstrzymać...

- Ona by to zrozumiała - przerwał jej Conrad, T Bardzo cię kochała i nie chciałaby, abyś spędziła resztę życia męcząc się poczuciem winy za to, co było od ciebie niezależne. Jej dziecko było jej dzieckiem, Ashley, a to, które nosisz, jest nasze.

- Może...

- Może powinnaś porozmawiać z Jenneen i Kate, kiedy będziemy

w Londynie. Czas, abyście wszystkie trzy pogodziły się z tym, co się stało. Może wtedy łatwiej wam będzie żyć dalej własnym życiem. A jeśli Ellamarie była choć w połowie tak dobrą przyjaciółką, za jaką ją uważałaś, to z pewnością tego by chciała. Pamiętaj o niej, kochanie, ale nie próbuj przeżyć za nią życia.

Jak mówiłaś, o której mają tu być? - spytała Vicky włączając kierunkowskaz i niebezpiecznie wąskim łukiem wymijając ciężarówkę.

Jenneen drgnęła przestraszona. - O piątej. Zakładając, że nie będzie opóźnienia. Boże, jestem taka zdenerwowana.

Vicky zerknęła na nią z uśmiechem.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Ale zobaczymy się po raz pierwszy od czasu... - Głos utknął jej w gardle.

- Ellamarie. Rozumiem.

Jenneen odwróciła głowę do okna. Ból, jaki wzbudzało w niej samo imię Ellamarie, wcale się nie zmniejszył przez te sześć miesięcy, jakie upłynęły od czasu jej śmierci. Żadna z nich nie była w stanie rozmawiać na temat serii makabrycznych wypadków, które nastąpiły tamtej pamiętnej nocy. Ashley prawie natychmiast odleciała wówczas do Nowego Jorku. Matthew przebywał w szpitalu, a Jenneen, mimo że niepewna własnego losu, musiała wziąć na siebie ciężar powiadomienia rodziców Ellamarie. Vicky była przy niej, pomagała jej we wszystkim. Gdyby tak jeszcze mogły zrobić coś dla Kate. Jenneen przymknęła oczy. Jak miała powiedzieć Ashley o Kate?

- O, widzę, że się obudziłeś- odezwała się Vicky patrząc w górne lustro.

Jenneen odwróciła się w stronę tylnego siedzenia.

- Dziwię się, że w ogóle możesz spać - powiedziała z uśmiechem. - Jak się czujesz?

- Świetnie. I wcale nie spałem. Chciałem tylko, żeby mi oczy trochę odpoczęły - tłumaczył się Matthew, czym rozśmieszył przyjaciółki.

- Masz bilet? - Matthew wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Paszport?

- Przecież już sprawdzaliśmy przed wyjazdem.

- Trzymaj go pod ręką - upomniała Jenneen.

- Co za zrzęda. Nie wiem, jak to wytrzymujesz, Vicky.

- Z trudem - roześmiała się Vicky.

- Na lotnisku da Vinci będzie na ciebie czekał samochód, który zabierze cię do hotelu Excelsior w Rzymie.

Nie musisz za nic płacić, wszystko jest na koszt firmy. Jutro masz dzień wolny przed rozpoczęciem zdjęć.

Ktoś się z tobą skontaktuje i powie ci...

- Już dobrze, dobrze. - Matthew podniósł ręce w geście poddania. - Powtarzałaś to już ze sto razy, Jenn.

Poradzę sobie, naprawdę.

- Jestem pewna - powiedziała Jenneen z uśmiechem, - To będzie wielki sukces, czuję to w kościach.

Matthew napotkał wzrok Vicky w lusterku i wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Jenneen znowu

wyglądała przez okno.

To, że Matthew żyje, nadal wydawało jej się cudem. Co noc dziękowała za to Bogu. Jego życie tak długo wisiało na włosku, że była bliska utraty nadziei; Męczyło ją nieustanne poczucie winy, nie tylko za fałszywe alibi, które Vicky i jej kuzyn Paul przygotowali na użytek policji, lecz także za to, że nie zdołała pomóc Ellamarie. Nie dawało jej to spokoju do tego stopnia, że chwilami bała się, iż popadnie w obłęd. Przy tym żyła w ciągłym strachu, że Matthew powie komuś, co naprawdę zaszło, niszcząc tę misterną pajęczynę kłamstw, którą utkali we trójkę. Nie zrobił tego jednak. W końcu, po dwóch miesiącach od postrzału, odłączono go od aparatury i po raz pierwszy usiadł na szpitalnym łóżku. Jenneen była przy tym obecna i zalała się łzami z radości. Po upływie kolejnego miesiąca: wypisano go ze szpitala i Jenneen zabrała go do swojego domu, gdzie wspólnie z Vicky pomagały mu wrócić do zdrowia.

Teraz dzięki swemu nowemu programowi i nawiązanym w świecie filmu licznym kontaktom, zdołała mu załatwić rolę w filmie. Rola nie była duża, lecz wystarczała na dobry początek. Nigdy się nie dowiedziała, dlaczego nie pozwał jej do sądu - może rzeczywiście kochał ją, tak jak mówił. Czy on lub Maggie wyślą kiedykolwiek te fotografie? Nie wiedziała tego i nie chciała wiedzieć. Dzięki Bogu żył i dla obojga skończyła się tortura ostatnich dwóch lat.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Vicky, podjeżdżając pod bramę numer dwa. - Wysadzę was tutaj i będę krążyć w pobliżu. Podjadę po ciebie za dziesięć minut, Jenn.

Jenneen wysiadła z samochodu razem z Matthew i podeszła z nim do stanowiska Alitalii. Chciała mu pomóc nieść walizkę, ale pierwszy złapał za uchwyt.

- Chcę, żebyś się przestała martwić, Jenn - powiedział po dokonaniu odprawy bagażu. - Wszystko będzie dobrze. Jestem już dużym chłopcem.

Wzięła go pod rękę.

- Wiem, lecz to mi nie przeszkadza żałować, że z tobą nie jadę.

- Przecież masz tu na miejscu mnóstwo roboty. Ale jeśli chcesz, będę do ciebie codziennie dzwonił.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Do czasu, jak wrócisz, spróbuję ci załatwić coś innego.

- Jenn, musisz przestać się czuć winna. Myślę, że wyrównaliśmy już rachunki, nie sądzisz? - dodał z uśmiechem.

- Nie, Matthew. Nigdy sobie nie wybaczę tego, co mogłam ci zrobić. A za każdym razem, gdy pomyślę o Ellamarie i Bobie, to...

- Nie myśl o tym - poradził, wiedząc jak bardzo ją przygnębia każda myśl o nich. - Teraz musimy myśleć o przyszłości. Ellamarie też by tego chciała. Może wszyscy się czegoś nauczyliśmy tamtej nocy.

Jenneen spojrzała na niego oczyma pełnymi łez. Matthew uścisnął ją mocno:

- Bądź szczęśliwa, Jenn. Proszę cię, bądź szczęśliwa.

Przytuliła się do niego, próbując przełknąć cisnące się do gardła łzy.

- Wracaj bezpiecznie.

- Nic mi nie będzie.

Godzinę później Jenneen machała z daleka do Conrada i Ashley, których zauważyła przechodzących przez odprawę. Ashley krzyknęła z radości na jej widok i rzuciła się na spotkanie.

- Jenn, och, Jenn! Padły sobie w ramiona. - Wyglądasz cudownie. Pojęcia nie masz, jak się cieszę, że cię widzę. Pokaż no się.

Śmiejąc się i płacząc równocześnie, Jenneen okręciła się na pięcie i wpadła z powrotem w ramiona Ashley.

- Mam ci mnóstwo do powiedzenia, wszystko jest przygotowane. Och, Ash, to będzie najwspanialszy ślub, jaki sobie można wyobrazić.

Conrad stał z boku, przyglądając się z rozbawieniem, jak Ashley wita się serdecznie z Vicky, biorąc i ją w ramiona.

. - Miło cię w końcu poznać. Tyle o tobie słyszałam. Nie mogę się doczekać, żeby obejrzeć twój nowy dom.

— Odwróciła się znowu do Jenneen i wzięła ją za rękę.

- Jest tam jeszcze mnóstwo roboty - roześmiała się Vicky. - A Jenneen nie najlepiej sobie radzi z malowaniem. Brak jej wytrwałości.

- Nie słuchaj jej, jestem doskonała - uniosła się oburzeniem Jenneen. Rozejrzała się dookoła. - Gdzie się podział Conrad? Chciałam powiedzieć, kuzyn Blanche! - zawołała i, ku jego zaskoczeniu, zawisła mu na szyi.

- Wiesz, że jesteś wyjątkowym szczęściarzem, że ją dostajesz?

- Pewnie, że wiem. Ashley promieniała.

- Och, Jenn, tak za tobą tęskniłam. - Conrad patrzył, już lekko znudzony, jak znowu zaczynają się całować. -

A gdzie Kate? - spytała Ashley, oswobodziwszy się wreszcie z objęć Jenneen. - Nie

Przyjechała z wami?

-Zostawiłam na zewnątrz samochód - wtrąciła szybko Vicky. -Lepiej się pospieszmy, zanim go odholują. Kiedy zostawiły za sobą Heathrow, zmierzając w stronę znajomych świateł Londynu, Ashley wychyliła się z tylnego siedzenia i potożył dłoń na nunieniu Jenneen.

- Nie powiedziałaś mi, gdzie jest Kate.

Dostrzegła, jak Jenneen i Vicky wymieniają szybkie spojrzenia. Czując, że Jenneen coś przed nią ukrywa, Ashley zacisnęła palce na dłoni Conrada.

- Chyba nic się nie stało? Pisałaś mi w liście, że wczoraj miała wrócić do domu. Myślałam, że może przyjedzie z wami na lotnisko.

Jenneen jeszcze raz spojrzała na Vicky, która skinęła głową. Jenneen odwróciła się do Ashley.

- Masz rację, miała wrócić wczoraj do domu i miała przyjechać na lotnisko, ale zniknęła. Ash, nikt nie wie, gdzie jej szukać.

Ashley czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Zniknęła? Co to znaczy, zniknęła? Zdawało mi się, że mówiłaś, że wraca do domu.

- Miała wrócić, ale nie dotarła do domu. Sprawdziłam, została wypuszczona z więzienia wczoraj, zgodnie z planem, ale wygląda na to, że powiedziała swojemu kuratorowi, że ją odbiorę, a mnie powiedziała, że odbierze ją kurator. I zniknęła.

- A co z Nickiem? Pytałyście go? Pewnie jest u niego. Jenneen potrząsnęła głową.

- Nie miał od niej wiadomości od czasu, jak ją zamknęli.

- Chyba nie sądzicie, że mogła wrócić do ojca? - W głosie Ashley brzmiała nie skrywana gorycz.

- Nie. Rozmawiałam z nim dziś rano. Nie ma jej tam.

- I dzięki Bogu. Dokąd mogła pójść? Nic wam nie mówiła?

- Nic. Nie widziałam się z nią, Ash. Nie chciała nikogo widzieć. Spojrzały sobie w oczy z niepokojem. To, co dla nich było przemijającym koszmarem, dla Kate okazało się czymś jeszcze

gorszym. Gdyby ta głupia, wścibska sąsiadka z góry nie przyszła wtedy do Kate, nie narobiła paniki i nie wezwała policji... Gdyby jej ojciec miał tyle przyzwoitości, by przyznać, co naprawdę zaszło, Kate nie poszłaby do więzienia. I gdyby sama Kate zgodziła się powiedzieć prawdę... Na szczęście Nickowi udało się pozyskać dla sprawy jednego z najlepszych londyńskich adwokatów. Gdyby nie to, Kate z pewnością zostałaby skazana na długie lata za poważne uszkodzenie ciała. Dzięki dobrej obronie skazano ją na dziewięć miesięcy więzienia za naruszenie nietykalności, a wyszła na wolność po sześciu. Jednakże nawet po tym wszystkim, co Nick dla niej zrobił, Kate nie chciała się z nim widzieć.

Dwa miesiące po tragicznym zejściu Jenneen złożyła wizytę ojcu Kate w Surrey. Zauważyła, że z trudnością porusza lewym ramieniem. Jenneen umyślnie nie wspomniała nic na temat rany, lecz prosiła go o pomoc w wydostaniu Kate z więzienia. Nie udało jej się go przekonać, przez cały czas tego krótkiego spotkania pozostał całkowicie obojętny na jej prośby.

- Wtedy wróci do niego. - To była jedyna odpowiedź, jaką wówczas usłyszała.

Teraz Calloway siedział w domu, przekonany, że córka tu wróci, kiedy zostanie wypuszczona z więzienia.

Mimo gniewu, Jenneen poczuła litość dla tego starego, chorego człowieka.

- Nie miałaś od niej żadnej wiadomości? Zupełnie nic? - Ashley nie mogła uwierzyć.

- Tylko jeden list. Przyszedł w zeszłym tygodniu. Będiesz go mogła przeczytać, jak dojedziemy na miejsce, ale lepiej się przygotuj, bo to nie ta sama Kate, jaką znamy.

- Co pisze?

- Że nie żałuje tego, co zrobiła ojcu. Czytając między wierszami, pomyślałam, że wręcz wolałaby, żeby on...

Zresztą, to w tej chwili nie ma znaczenia. Najgorsze, że ona wierzy, że pokutuje za Ellamarie.

Ashley poczuła, że Conrad mocniej ścisnął jej dłoń; zdała sobie sprawę, że to, co powiedział jej dzień wcześniej, że wszystkie trzy muszą usiąść i spokojnie porozmawiać, jest ważniejsze niż wszystko mnie.

Najpierw jednak musiały odnaleźć Kate.

Rozdział 40

Pani Duff podniosła wzrok znad starej rozklekotanej maszyny do pisania. Okulary zsunęły jej się na koniec nosa. Obserwowała młodą kobietę, która zeszła po schodach, wyszła przez frontowe drzwi i zniknęła za ścianą deszczu. Pani Duff podniosła się z miejsca i stanęła przy oknie.

Tego ranka oblicze starej damy było nieco mniej zatroskane -nieznajoma wyglądała już trochę lepiej. Jej policzki nabrały zdrowszego odcienia, a kroki sprężystości. Tak czy inaczej, zaszła w niej korzystna zmiana od czasu, gdy tydzień temu przyjechała. Miała smutną, pociągłą twarz, a jej oczy natychmiast chowały się pod na

wpół opuszczonymi powiekami, kiedy tylko spostrzegła, że ktoś jej się zbyt bacznie przygląda. To dlatego pani Duff z początku jej nie rozpoznała, choć nazwisko poruszyło jakąś strunę w jej pamięci. Znalazła je w księdze melAmkowej.

- Jak ona się dzisiaj miewa?

Pani Duff odwróciła się od okna i zobaczyła męża stojącego w drzwiach saloniku. Uśmiechnęła się niewesoło.

- Chyba trochę lepiej.

- Mówiłaś jej o telefonie?

- Prosił mnie, żeby nie mówić, więc nie powiedziałam - odpowiedziała mężowi potrząsając głową.

Pan Duff uśmiechnął się pod nosem i sięgnął po gazetę leżącą na stoliku.

- Polubiłaś tę dziewczynę, co, Mary?

Pani Duff nie zaprzeczyła. Nie wiedziała, jakie cierpienia spotkały Kate w ostatnim czasie, ale jej samotność i zagubienie budziły współczucie.

Obserwowała, jak mąż nabija fajkę i sadowi się w ulubionym fotelu, by przeczytać gazetę. Kiedy przewracał strony, pani Duff stała nad nim, śledząc wzrokiem nagłówki. Zastanawiała się, czy postąpiła słusznie, nie wspominając Kate o telefonie, jaki odebrała rwpzedniego wieczoru.

Nagle wyciągnęła rękę, powstrzymując męża przed odwróceniem kolejnej strony.

- Czy to przypadkiem nie jest żona tego reżysera? - spytała, wskazując na zdjęcie kobiety trzymającej niemowlę. - Którego?

- No, chyba pamiętasz, Boba McElfreya. Mieszkał kiedyś u nas. - Nachyliła się, żeby dokładniej obejrzyć fotografię. - A więc to jest jego żona. Myślałam, że ta młoda dziewczyna, z którą tu był, jest jego żoną, ale wygląda na to, że nie. Pamiętasz ją? Była Amerykanką. Zrobiła to niezłe zamieszanie, wesoło z nią było.

Pan Duff zachichotał.

- Jakbym mógł zapomnieć? Wszędzie jej bytopemo. - Zmarszczył brwi w rfflmyll&r Potem bym* jeszcze raz, prawda? Później.

- Yhm -potwierdziła żona. - Przyjechała z tą smutną dziewczuszką, która teraz tu jest.

Pan Dufl poruszył się na fotelu, spoglądając na żonę.

- Wiesz co, tak mi się właśnie zdawało, że już ją kiedyś widziałem, i znów zamyślił się na chwilę. - W takim razie ta druga, ta Amerykanka, była jego kochanką? Ta, co go zabiła?

Pani Deff wolno pokiwała głową.

- Tak, to była ona. Potem sama też się zabiła. Taka straszna tragedia. Podobno była w ciąży. - Westchnęła. - Ciekawe, jak to tam było naprawdę?

Zaczęli razem czytać podpis pod zdjęciem, donoszący o narodzinach syna Boba McElfreya.

- Więc ma zamiar nazwać małego Robert - zauważyła pani Duff. - Mój Boże, serce się człowiekowi kraje.

- Piszą to, że Linda McElfrey współpracuje z Adrianem Cowleyem i Nicholasem Goughem nad filmem *Słynna tragedia królowej Kornwalii*. Film będzie poświęcony pamięci jej męża, który zmarł, nim zdążył go nakręcić.

Cmoknął ustnikiem fajki; wygasła, więc sięgnął po zapalki. Żona uprzedziła go, podając mu ogień.

- A ta dziewczyna, co teraz u nas mieszka, jak myślisz, dlaczego wróciła?

- Nie wiem. - Pani Duff zdmuchnęła zapalkę. - Ale musi mieć jakiś powód, to pewne.

Nie powiedziała nic więcej, a jej mąż mruczając coś pod nosem pogрузzył się z powrotem w lekturze. Pani Duff pocałowała go w czubek głowy i poszła szykować pokoje dla gości, którzy mieli zjechać po południu.

Deszcz tylko kropił, lecz nadal było zimno. Kate podciągnęła do góry kołnierz płaszcza i trzymała go ręką przy szyi.

W pobliżu nie było nikogo. Co chwila przystawała na kamienistej ścieżce i spoglądała na rzekę, szumiącą w ctole, pędzącą nieprzerwanie

do odległego jeziora. Miejscami drzewa rosły gęściej, wpychając się korzeniami na ścieżkę, njełriedy dawno zwalone pnie utrudniały wspinaczkę.

W końcu, ociekając strugami deszczu, doszła do niewielkiej dolinki. Patrząc na rozpościerający się przed nią krajobraz, chłonec jego nieoczekiwane, surowe piękno, Kate poczuła ucisk w sercu - miała ochotę się rozplakać. Podniosła twarz ku niebu oddychając głęboko, z przyjemnością czując pieśczotę deszczu na skórze. W oddali, wysoko ponad nią, wiatr ze świstem szalał pośróđ skalistych wierzchołków. Tu niżej, w jej uszach, nabierał łagodnego, kojącego brzmienia.

Wyciągnęła przed siebie ramiona i obracała się wolno, wpatrzona w potężne szczyty. Surowy majestat gór, wyzywająca siła bijąca z każdego skalnego załomu, przyprawiły ją o gęsią skórke. Wiatr, nagle ścichły do szeptu, przemawiał wprost do jej serca. Była nareszcie wolna.

Zeszła na niewielką skalną półkę odchodzącą od ścieżki. Opierając się o pochyły konar drzewa, zwieszający się nad doliną, patrzyła na rwącą wodę spływającą po kamieniach.

Ogarniało ją uczucie dziwnej euforii. Czekala na to tak długo, że teraz chciała się cieszyć każdą chwilą.

Po pewnym czasie wyjęła z kieszeni wycinek gazety i spojrzala na zdjęcie Lindy McElfrey i jej dziecka.

Uśmiejnęła się smutno, jeszcze raz przebiegając wzrokiem tekst zamieszczony pod spodem. Gdy natrafiła na nazwisko Nicka, podniosła głowę i spojrzala na góry. Serce zabiło jej szybciej. Tak bardzo chciała być teraz z nim.

Deszcz ustał zupełnie. Ciężkie szare chmury popękały i przepuszczały nieregularne plamy światła. Słońce zwyciężało, przecinając krajobraz długimi cieniami rzucanymi przez górskie szczyty.

Wiele lat minęło od czasu, gdy Kate się modliła, lecz teraz, kiedy stała tak pośróđ zapierającego dech w piersi piękna, poczuła, że bezwiednie szepcze do Boga.

Po skończonej modlitwie spojrzala w niebo. Miała w sercu spokój, a w oczach łzy wzruszenia. Nie tylko odzyskala wolność, ale przychodząc tutaj odnalazła Ełlamarie i Boba. Ich obecność wydawała jej się tak ^ iż wystarczy wyciągnąć

rękę, by móc ich dotknąć, Odnalazła ich, lecz nadszedł czas, by pozostawić ich w pokoju. Wiedziała, że już nigdy tu nie wróci.

Kate odwróciła się, chcąc wyjść na ścieżkę i uchwyciła wyciągniętą do niej dłoń. Podniosła wzrok i serce jej zamarło - zobaczyła Nicka.

Uśmiechnął się i pomógł jej stanąć obok siebie. Wpatrywała się w meza, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Przez długą chwilę żadne z nich się nie odzywało, wreszcie Nick ze śmiechem porwał ją w ramiona, Zawtórowała mu, mimo łez spływających jej po policzkach.

- Dostałeś moją kartkę? - spytała w końcu,

-Dostałem.

- Ale skąd wiedziałeś, gdzie jestem? Nie pisałam tego. Nick odgarnął jej z twarzy mokre włosy.

- Nietrudno było się domyślić - odparł. - Skoro wiedziałem, że jesteś w Szkocji.

Odwróciła się znowu. Patrzył, jak po raz ostami ześlizguje się wzrokiem z góry w dolinę.

- Wiesz, że oni tu byli? Ellamarie i Bob.

- Wiem. - Objął ją ramieniem i przytulił.

- Już po wszystkim. Przyszłam się z nimi pożegnać. Nick z uśmiechem pogładził ją po policzku.

- Chodź, zabieram cię do domu.

Schodziła za nim z góry, podziwiając, jak zręcznie skacze z kamienia na kamień. Tęskniła za nim - sama sobie nie chciała się przyznać jak bardzo. Teraz, kiedy patrzyła na jego ciemne włosy, ociekające deszczem i zawijające się na kołnierzu, szerokie plecy, którymi przywierał do skały, szukając wygodnego oparcia dla nóg, zdumiała ją siła miłości, jaką czuła do niego.

- Nick - zawołała.

- Odwrócił głowę, unosząc brwi w niemym pytaniu, ale wyraz jej twarzy był dla niego wystarczającą odpowiedzią.

Znowu zaczęło padać, lecz oni stali naprzeciw siebie bez ruchu. Wiatr rozrzucił jej włosy wokół twarzy. I wtedy, poprzez krople deszczu spływające jej po policzkach wciskające się do ust, szepnęła;

- Kocham cię, Nick. Bardzo cię kocham.

Długo patrzyli sobie w oczy, a potem Nick wziął ją w ramiona i przycisnął usta do jej włosów.

- Nie odchodź już nigdy, Kate - poprosił cicho.

- Och, Nick! - westchnęła, przywierając do niego mocno.

Trzymał jej twarz w dłoniach i muskał wargami, czując na języku słony smak łez. Kiedy podniósł głowę, wyczytał w jej oczach słowa, których nagła nieśmiałość nie pozwoliła jej wypowiedzieć. Ukryła się w jego ramionach, a on niemal uniósł ją nad ziemią, gdy złączyli się w pocałunku, tym razem tak namiętnym, że doprowadził ich tam, skąd nie było już odwrotu.

Wziął ją za rękę i wprowadził między drzewa.

Kochali się w deszczu, na górskim zboczu, wśród szumu strumieni. To przeżycie na zawsze pozostało w ich pamięci i po latach wspominali je ze świadomością, że właśnie wtedy została poczęta ich córka.

Pani Duff stała w drzwiach, kiedy Nick zatrzymał samochód przed starym, zbudowanym z kamienia hotelem.

- No, jesteście wreszcie - powitał ich. - Chodźcie... O mój Boże. Jak pani wygląda, co się stało?

Kate spojrzała na Nicka i stwierdziła, że się z niej śmieje.

- To błoto - wyjaśnił, - Masz całą twarz umazaną błotem.

- Mogłeś mi powiedzieć - skarciła go. Próbowwała wytrzeć policzki, lecz udało jej się tylko bardziej rozmazać brudne smugi.

Pani Duff przyłapała spojrzenie Nicka i uśmiechnęła się znacząco, a on tylko niewinnie wzruszył ramionami. Odsunęła się, przepuszczając Kate przez drzwi. Po wejściu do ciemnego holu Kate wydała z siebie okrzyk radości:

- Jenneen! Co ty tu... - Nie mogła dokończyć pytania. Jenneen gwałtownie ścisnęła ją w ramionach.

Nick roześmiał się, kiedy zobaczył, że obie zalewają się łzami. Wyjął z kieszeni zmiętą chusteczkę, ale nie mógł się zdecydować, której z nich jest bardziej potrzebna, więc schował ją z powrotem.

Pani Duff wyszła z kuchni niosąc na tacy nakrycia i dzbanek gorącej herbaty. Ustawiła wszystko na stole.

- Chyba pójde na górę się przebrać - oznajmił Nick

- Ale tu jest herbata dla ciebie - zaprotestowała Kate.

- Nie dla mnie — powiedział Nick, słysząc odgłos kroków na schodach.

Kate poszła za jego wzrokiem i aż wstrzymała oddech, widząc schodzącą z góry Aahley.

Później, po tym, jak siedząc na brzegu wanny starł już błoto z twarzy i nóg Kate, Nick położył się na łóżku i patrzył, jak jego dziewczyna przebiera się do kolacji.

- Spóźnisz się - ostrzegła, przyłapując jego spojrzenie w lustrze, przed którym szczotkowała włosy.

- Mam zamiar się spóźnić - przyznał. - Macie sobie dużo do powiedzenia. Poza tym, wydaje mi się, że chcą ci coś pokazać.

- Tak?

Pukanie do drzwi wybawiło go od dalszych wyjaśnień.

Kate zeszła z Jenneen i Ashley do małego barku na parterze. W hotelu nie było innych gości, więc mogły się czuć całkiem swobodnie. Jenneen zamówiła drinki, które pan Duff podał im do stolika, po czym natychmiast się oddalił.

Ashley odpowiedziała skinieniem na pytanie Jenneen, która wobec tego sięgnęła do torebki.

Wręczyła Kate list.

- Od Ellamarie - powiedziała cicho. - Napisała go tej nocy, kiedy umarła. Chyba nadszedł czas, żebyś go przeczytała.

Kate zbladła. Drżącą ręką wyjęła list z koperty.

Podczas tych długich miesięcy spędzonych w więzieniu Kate próbowała oswoić się z tym, co się stało.

Jenneen słusznie się domyślała, że Kate traktowała swą karę jako pokutę za śmierć Ellamarie, a nie tylko za to, co zaszło między nią a ojcem. Obie z Ashley obawiały się, że może nie być w stanie tego znieść. Jednak

od tamtej nocy minęło już wiele czasu. Teraz, czytając list Ellamarie, Kate niemal słyszała głos zmarłej przyjaciółki i jak zawsze czuła siłę i odwagę bijącą z jej słów. Zdała sobie sprawę z miłości i Szczęścia, jakich Ellamarie zaznała, nim popadła w ostateczną rozpacz i poddała się załamaniu. Wiedziała, o co przyjaciółka prosiła tym listem. Prosiła o przebaczenie.

Przeczytawszy ostatnie słowa, Kate odłożyła list na stół i podniosła głowę. Miała oczy pełne łez, lecz, Jenneen i Ashley z ulgą rozpoznały, że te łzy wyłtżają smutek utraty, a nie poczucie winy.

- A więc on nadal ją kochał? - szepnęła Kate. Jenneen pokiwała głową.

- Nie chodziło o to, że zawiodłyśmy ją tamtej nocy, kiedy... - nie potrafiła dokończyć Ashley. - Wierzyła, że robiąc to, będzie mogła na zawsze być z Bobem.

Kate spojrzała w odsłonięte okno. Chmury przelatowały po niebie, zmpiając kształt pod wpływem wiatru. Na horyzoncie majaczyły góryto właśnie one pozwoliły jej zbliżyć się jeszcze raz do Ellamarie. Jenneen i Ashley popatrzyły w tym samym kierunku.

- I jest z nim - odezwała się szeptem Kate. - Jest na pewno. Zapadła długa cisza. Patrząc na siebie zrozumiały, że to Ellamarie,

nie Kate, połączyła je znowu dzisiejszego wieczoru.

Jenneen wzięła za rękę Kate, która sięgnęła po dłoń Ashley. Uśmiechnęła się, mówiąc zdławionym szeptem:

- Czasami potrzeba tragedii, żeby człowiek zaczął doceniać życie..

A czym byłoby życie bez przyjaźni?